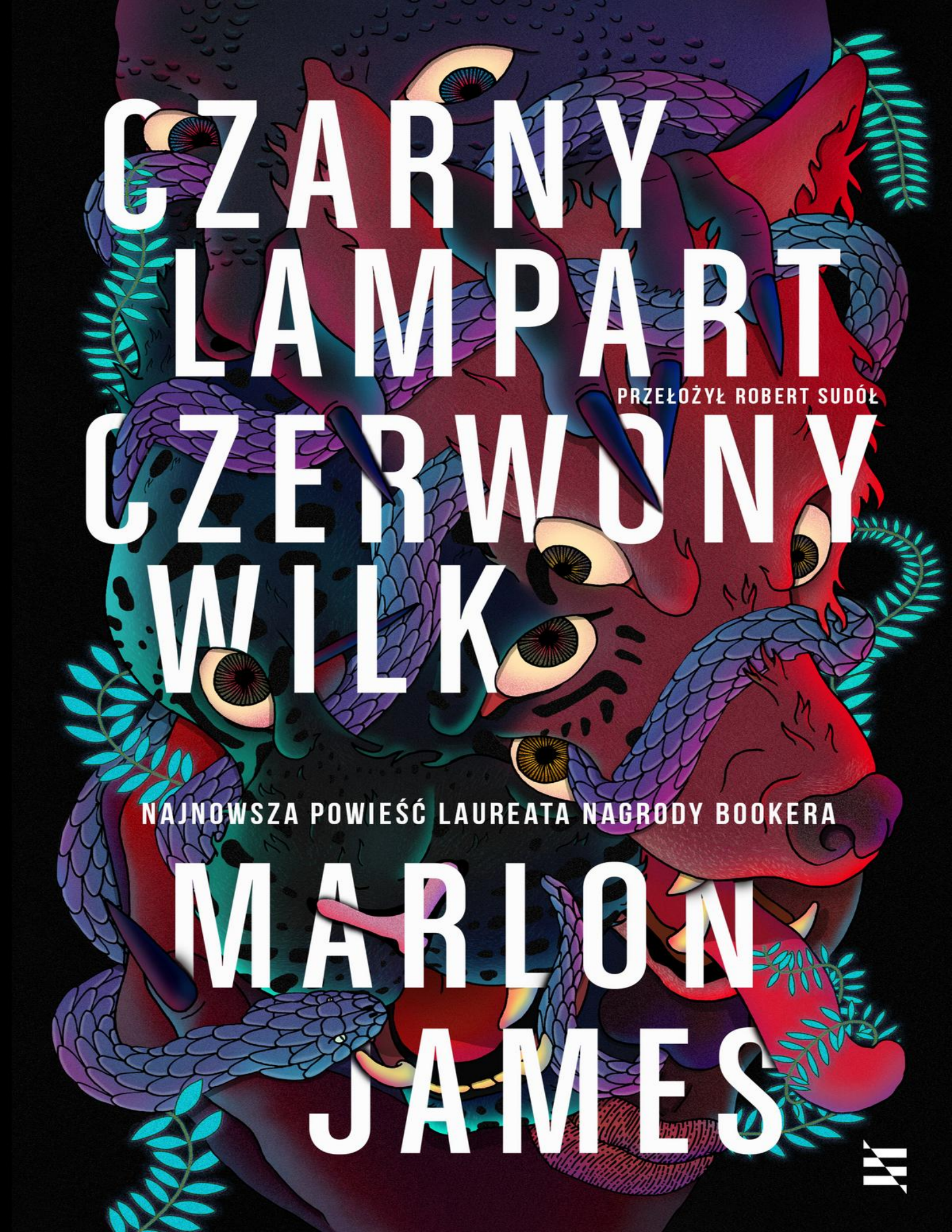

CZARNY LAMPART CZERWONY WILK
PRZEŁOŻYŁ ROBERT SUDÓŁ
NAJNOWSZA POWIEŚĆ LAUREATA NAGRODY BOOKERA
MARLON JAMES

MARLON JAMES

CZARNY LAMPART CZERWONY WILK

PRZEŁOŻYŁ ROBERT SUDÓŁ

ECHA

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

POSTACIE WYSTĘPUJĄCE W TEJ OPOWIEŚCI

PIES, KOT, WILK I LIS

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

MURY I DRZWI

- 6
- 7
- 8
- 9
- 10

JEDNO DZIECKO PONAD SZEŚĆ

- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16

17
BIAŁA NAUKA, CZARNA MATEMATYKA
18
19
20
21
WYSŁUCHAJCIE JEDNEGO ORIKI
22
WILK ŚMIERCI
23
24
25
PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału: *Black Leopard, Red Wolf*

Redakcja: Anna Brzezińska
Korekta: Adam Osiński, Beata Wójcik
Projekt okładki: Helen Yentus
Ilustracja na okładce: Pablo Gerardo Camacho
Adaptacja okładki: Magda Kuc
Projekt map: Marlon James
Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © 2019 by Marlon James
Originally published by Riverhead Books an imprint of Penguin Random House LLC
Copyright © for the Polish translation by Robert Sudół, 2021
Copyright © for the Polish edition by Echa an imprint of Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-351-8

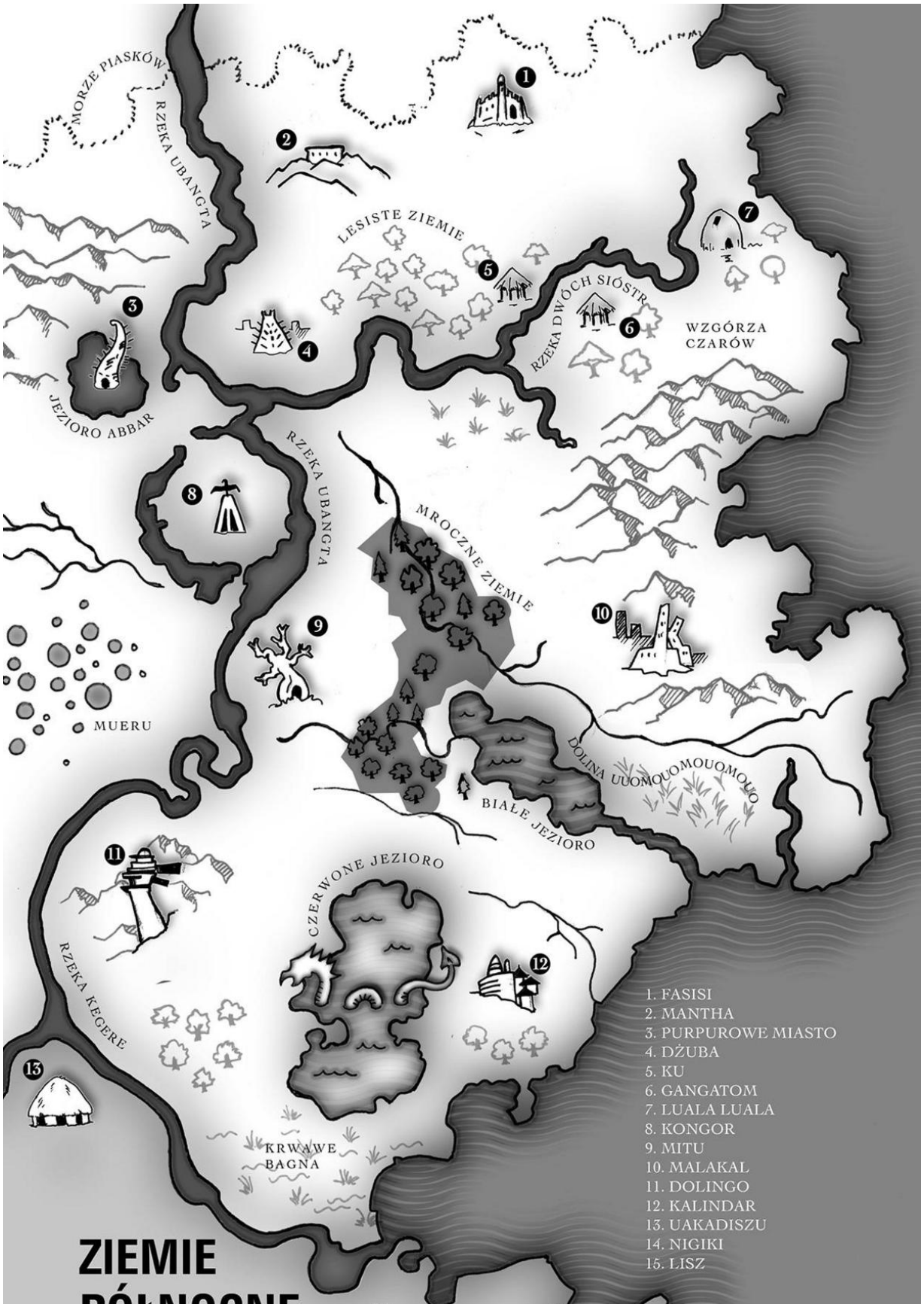
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5
00-519 Warszawa
www.czarnaowca.pl

DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Jeffa za kwadrę księżyca i milion innych rzeczy


MORZE PIASKÓW
RZEKA UBANGTA
LESISTE ZIEMIE
RZEKA DWÓCH SIÓSTR
WZGÓRZA CZARÓW
JEZIORO ABBAR
RZEKA UBANGTA
MROCZNE ZIEMIE
MUERU
DOLINA UUOMOUOMOUOMOUO
BIAŁE JEZIORO
CZERWONE JEZIORO
RZEKA KEGERE
KRWAWE BAGNA
1. FASISI
2. MANTHA
3. PURPUROWE MIASTO
4. DŻUBA
5. KU
6. GANGATOM
7. LUALA LUALA
8. KONGOR
9. MITU
10. MALAKAL
11. DOLINGO
12. KALINDAR
13. UAKADISZU
14. NIGIKI
15. LISZ
ZIEMIE

POSTACIE WYSTĘPUJĄCE W TEJ OPOWIEŚCI

W DŻUBIE, U KU I GANGATOM

KUASZ DARA – syn Kuasz Netu, król Północnego Królestwa, inaczej Król Pająk

TROPICIEL – myśliwy znany tylko pod tym przezwiskiem

JEGO OJCIEC

JEGO MATKA

JEGO UKOCHANY WUJ – wielki wódz ludu Ku

KU – plemię i jego nadrzeczne terytorium

GANGATOM – plemię i jego nadrzeczne terytorium, wrogowie Ku

LUALA LUALA – plemię i jego nadrzeczne terytorium na północ od Ku

ABOYAMI – ojciec

AYODELE – jego syn

CZAROWNIK – nekromanta z ludu Ku

ITAKI – wiedźma żyjąca nad rzeką

KAVA/ASANI – młodzieniec z ludu Ku

LAMPART – zmiennokształtny myśliwy, znany jeszcze pod kilkoma innymi imionami

YUMBOE – leśne skrzaty i opiekunowie dzieci

SANGOMA – antywiedźma

MINGI, a więc:

Żyrafik
Dymka
Albinosek
Kulek
Złączone Bliźnięta
ASANBOSAM – mięsożerny potwór
WÓDZ PLEMIENIA GANGATOM

W MALAKALU

AESI – kanclerz Kuasz Dary
BUNSZI/POPELE – liengu, zmiennokształtna syrena
SOGOLON – Wiedźma Księżyca
SADOGO – ogo, jeden z mocarzy, którzy nie są olbrzymami
AMADU KASAUURA – pan niewolników
BIBI – jego sługa
NSAKA NE VAMPI – najemnica
NYKA – najemnik
FUMELI – łucznik Lamparta
BELEKUN WIELKI – członek starszyzny
ADAGADŻI MĄDRY – członek starszyzny
AMAKI WYKRĘTNY – członek starszyzny, którego nikt nie zna
NUYA – kobieta opętana przez ptaka-błyskawicę
BULTUNDŻI – mścicielki
ZOGBANU – trolle, pierwotnie z Krwawych Bagien
VENIN – dziewczyna chowana po to, aby być pożywieniem dla zogbanu
CZIPFALAMBULA – wielka ryba
GOMIDY – niekiedy miłe stwory leśne

EUELE – zły gomid
EGBERE – jego krewniak, zły, kiedy głodny
ANDŻONU – duch Mrocznych Ziem, który czyta w sercach
SZALONY MAŁPISZON – obłąkany małpolud

W KONGORZE

BASU FUMANGURU – członek starszyzny Północnego Królestwa, zgładzony
JEGO ŻONA – zgładzona
JEGO SYNOWIE – zgładzeni
SIEDEM SKRZYDEŁ – najemnicy
KAFUTA – pan domostwa
PANI UADADA – właścicielka burdelu
EKOIYE – dziwka, który uwielbia cywet
BAWÓŁ – bardzo zmyślny bawół
ARMIA WODZA KONGORU – miejscowi konstable
MOSSI Z AZARU – trzeci prefekt armii wodza Kongoru
MAZAMBEZI – prefekt
CZERWONY OGO – kolejny ogo
NIEBIESKI OGO – kolejny ogo
MISTRZ UCIECH – organizator walk
LALA – jego niewolnica
WIEDŹMY MAUANA – syreny ziemne, inaczej liengu błotne
TOKOLOSZE – mały chochlik, który staje się niewidzialny

W DOLINGO I MUERU

STARZEC – pan domu i griot z Południa
KRÓLOWA DOLINGO – jak stoi napisane
JEJ KANCLERZ
MAŁY NIEWOLNIK
BIALI UCZENI – namroczniejsi nekromanci i alchemicy
ZŁY IBEDŻI – niewydarzony bliźniak
DŻAKUU – biały strażnik króla Batuty
IPUNDULU – wampir, ptak-błyskawica
SASABONSAM – skrzydlaty brat Asanbosama
ADZE – wampir i rój robactwa
ELOKO – trawiasty troll i ludojad
LISSISOLO Z AKUMÓW – siostra Kuasz Dary, mniszka boskiego stowarzyszenia sióstr
SKRZYDŁOCIENIE – nocne demony, które służą Aesiemu

W MITU

IKEDE – griot z Południa
KAMANGU – syn
NIGULI – syn
KOSU – syn
LOEMBE – syn
NKANGA – syn
CHAMSIN – córka

W MALANGICE I POŁUDNIOWYM KRÓLESTWIE

MŁODA WIEDŹMA
KUPIEC
JEGO ŻONA
ICH SYN
KAMIKUAYO – biały uczony przemieniony w potwora

1

PIES, KOT, WILK I LIS

Bi odżu ri enu a pamo.



1

Dziecko nie żyje. Nie ma potrzeby wiedzieć nic więcej.

Mówią, że na południu jest królowa, która zabija posłańca przynoszącego złe wieści. Czy podpisuję więc wyrok na siebie, gdy głoszę nowinę o śmierci chłopca? Prawda pożera kłamstwo, jak krokodyl pożera księżyc, a moje świadectwo będzie dziś takie samo jak jutro. Nie, nie ja go zabiłem. Choć życzyłbym mu śmierci. Pragnąłem jej jak żarłok koźliny. Och, napiąć łuk i strzelić wprost w jego czarne serce, zobaczyć, jak tryska czarną krwią, zobaczyć, jak przestaje mrugać oczami i patrzy, ale już nie widzi, słuchać, jak charkocze, słyszeć, jak w piersi mu rzęzi agonia i jak mówi, patrzcie, mój nieszczęsny duch opuszcza to najbardziej nieszczęsne ciało, uśmiechnąć się na taką nowinę, zatańczyć z radości nad taką stratą. Och, jakże pławię się w tej pysze. Ale nie, nie ja go zabiłem.

Bi odżu ri enu a pamo.

Nie o wszystkim, co widzi oko, winny opowiedzieć usta.

Ta cela jest większa od poprzedniej. Czuję woń zakrzepłej krwi zgładzonych ludzi; słyszę krzyki ich duchów. W waszym chlebie mieszkają chrząszcze, w waszej wodzie mieszkają szczyny dziesięciu i dwóch strażników i kozy, którą ruchają oni dla uciechy. Opowiedzieć ci historię?

Jestem człowiekiem przez niektórych zwanym wilkiem. Dziecko nie żyje. Wiem, że starucha przyniosła ci inne wieści. Okrzyknijcie go mordercą, mówi. Choć mój jedyny smutek to tylko, że jej nie zabiłem. Rudowłosa powiedziała, że głowę dziecka nawiedzały diabły. Jeśli wierzysz

w diabły. Ja wierzę w złą krew. Wyglądasz na człowieka, który nigdy nie przelał niczyjej krwi. A jednak krew klei ci palce. Chłopiec, któregoś obrzezał, dziewczynka za mała dla twojego wielkiego… Popatrz, jak drżysz z uciechy. Spójrz na siebie.

Opowiem ci historię.

Zaczyna się od Lamparta.

I wiedźmy.

Wielki inkwizytorze.

Kapłanie fetyszowy.

Nie, nie wezwiesz strażników.

Być może moje usta powiedzą za dużo, zanim tamci zawrą mi je pałkami.

Przyjrzyj się sobie. Człowiek z dwustoma krowami, co rozkoszuje się skrawkiem chłopięcej skórki i pipką dziewczynki, która nie powinna być kobietą żadnego mężczyzny. Bo tego właśnie pragniesz, czy nie tak? Małej mrocznej rzeczy, której nie znajdziesz w trzydziestu workach złota ani u dwustu krów, ani dwustu żon. Pragniesz tego, co utraciłeś – nie, co ci odebrano. Tego światła, widzisz i pragniesz – światła nie od słońca ani od boga gromów na nocnym niebie, lecz światła bez skazy, światła w chłopcu, który nie zaznał kobiety, w dziewczynce, którą kupiłeś z myślą o ożenku, ale nie dlatego, że potrzebujesz żony, bo przecież masz dwieście krów, ale po to, żeby mieć żonę, którą możesz rozpołowić, bo tego światła szukasz w dziurach, czarnych, mokrych, niewyrośniętych, światła, za którym uganiają się wampiry, i będziesz je miał, wystrojone w rytuał, obrzezanie dla chłopca, konsumacja dla dziewczynki, a gdy utoczysz z nich krew, ślinę, spermę i szczyny, poniesiesz to na swojej skórze, żeby pójść do drzewa iroko i wykorzystać byle dziurę, co tam znajdziesz.

Dziecko nie żyje i tak samo wszyscy inni.

Wędrowałem długo pośród trzęsawisk much na Krwawych Bagnach i skał o ostrych krawędziach na solniskach, dniem i nocą. Dotarłem na południe aż do Omororo, nic nie wiedziałem, nie dbałem o nic. Ludzie więzili mnie jako żebraka, brali za złodzieja, torturowali jako zdrajcę, a gdy wieść o śmierci dziecka dosięgła twojego królestwa, aresztowali jako zabójcę. Wiesz, że w mojej celi siedziało pięciu innych? Cztery dni temu. Chusta na mojej szyi należała do tego, który jako jedyny opuścił celę o własnych siłach. Być może pewnego dnia znów dojrzy świat prawym okiem.

A pozostali? Zakonotuj sobie, co mówię.

Starzy ludzie powiadają, że noc jest głupcem. Nie osądza, ale też nie ostrzeże, kiedy coś nadchodzi. Pierwszy zakradł się do mojego posłania. Obudziło mnie własne przedśmiertne rzężenie, bo ten tam dławił mi gardło. Niższy niż ogo, ale wyższy od konia. Śmierdział, jakby zaszlachtował kozę. Chwycił mnie za szyję i podniósł do góry, a pozostali milczeli. Chciałem oderwać jego palce, ale demona miał w uścisku. Kopałem go w pierś i czułem, że kopię w głaz. Trzymał mnie w powietrzu, jakby podziwiał drogocenny klejnot. Uderzyłem go kolanem w szczękę tak mocno, że zęby rozpłatały mu język. Puścił mnie, zaszarżowałem jak byk, atakując jądra. Upadł, złapałem jego nóż, ostry jak brzytwa, i poderżnąłem mu gardło. Drugi chwycił mnie za ramiona, ale byłem nagi i śliski. Nóż – mój nóż – wbiłem mu między żebra i usłyszałem syk serca. Trzeci wywijał pięściami i stopami, jak nocna mucha, świszczał jak moskit. Pięść zacisnąłem, a potem wystawiłem dwa palce jak królicze uszy. Dźgnąłem go szybko w lewe oko i wydłubałem wszystko na wierzch. Wrzasnął. Patrząc, jak z krzykiem szuka oka na podłodze, zapomniałem o pozostałych dwóch. Ten grubas z tyłu wziął zamach, ja zrobiłem unik, potknął się, upadł, skoczyłem, chwyciłem kamień służący mi za poduszkę i grzmociłem go w głowę tak długo, aż twarz zaśmierdziała mu mięsem.

Ostatni był chłopcem. Rozpłakał się. Był nazbyt rozdygotany, żeby błagać o litość. Powiedziałem mu, żeby w przyszłym życiu był mężczyzną, bo w tym jest wart mniej niż robak, i wbiłem mu nóż w szyję. Krew szybciej niż kolana dotknęła podłogi. Półślepemu darowałem życie, bo potrzebujemy opowieści, żeby żyć, czy nie tak, kapłanie? Inkwizytorze. Nie wiem, jak cię zwać.

Ale to nie byli twoi ludzie. Dobrze. Nie masz pieśni śmierci do zaśpiewania wdowom po tych czterech.

Przyszedłeś po opowieść, a mnie nagli do opowiadania, więc bogowie uśmiechnęli się do nas obu.

Był pewien kupiec w Purpurowym Mieście, który mówił, że stracił żonę. Zaginęła z pięcioma złotymi pierścieniami, dziesięcioma i dwiema parami kolczyków, dwudziestoma i dwiema bransoletkami i dwudziestoma bez jednej obręczami na kostki. Mówią, że masz nos do odnajdywania tego, co inaczej pozostałoby zaginione, powiedział. W latach zbliżałem się do dwudziestki, od dawna wygnany z ojcowskiego domu. Tamten myślał, że ze mnie jakiś ogar, odparłem jednak, że tak, mówią o mnie, że mam nos. Rzucił mi bieliznę żony. Woń była tak słaba, że prawie wywietrzała. Może kobieta przeczuła, że pewnego dnia ludzie będą ją tropić, bo miała chatę w trzech wioskach i nikt nie wiedział, w której mieszka. W każdej chacie była dziewczyna, która wyglądała tak samo jak ona, a nawet odpowiadała na jej imię. Dziewczyna w trzecim domu zaprosiła mnie do środka i wskazała stołek, bym usiadł. Spytała, czy chcę pić, i sięgnęła po dzban z piwem z masuku, jeszcze zanim przytaknąłem. Przypomnę ci, że oczy u mnie zwykłe, tylko nos mam inny, tak mówią. Kiedy więc przyniosła kubek z piwem, wyczułem truciznę, którą wlała, truciznę żon zwaną śliną kobry, co traci smak, gdy rozpuścić ją w wodzie. Dała mi kubek, a jak go wziąłem, chwyciłem ją za rękę i wykręciłem do tyłu. Przystawiłem jej kubek do ust i wci-

snąłem na siłę krawędź między zęby. Łzy spłynęły jej po policzkach, a ja odsunąłem dłoń.

Zabrała mnie do swojej pani, która mieszkała w chacie nad rzeką. Mąż bił mnie tak mocno, że dzieciątko ze mnie wypadło, powiedziała kobieta. Mam pięć złotych pierścieni, dziesięć i dwie pary kolczyków, dwadzieścia i dwie bransolety i dwadzieścia bez jednej obręcze na kostki, które ci dam, wraz z jedną nocą w moim łożu. Wziąłem cztery obręcze i zabrałem ją do męża, bo bardziej pragnąłem jego pieniądza niż jej błyskotek. A potem powiedziałem jej, żeby kazała dziewczynie w trzeciej chacie uwarzyć mu piwa z masuku.

Druga opowieść.

Pewnego wieczoru mój ojciec wrócił do domu, pachnąc rybaczką. Miał na sobie jej woń, tak samo drewnianą planszę bao na ramieniu. I krew obcego mężczyzny. Stanął przeciw binga, mistrzowi bao, i przegrał. Binga zażądał jego wygranych, a ojciec chwycił planszę i roztrzaskał mu ją na czole. Powiedział, że był w gospodzie daleko stąd, żeby pić, podszczypywać kobiety i grać w bao. Mój ojciec walił i walił, aż tamten przestał się ruszać, potem wyszedł z gospody. Ale nie miał na sobie odoru potu, kurzu ani woni piwa w chuchu, nic. Nie był w gospodzie, tylko w norze mnicha opiumisty.

Wrócił więc ojciec i zawołał mnie ze spichlerza, w którym mieszkałem, bo wtedy już przepędził mnie z domu.

– Chodź, synu mój – powiedział. – Zagraj ze mną w bao.

Plansza leżała na podłodze. Brakowało wielu kulek. Za mało na dobrą partię. Ale ojciec nie chciał grać, tylko wygrać.

Z pewnością znasz bao, kapłanie, a skoro nie, to muszę ci wyjaśnić. Cztery rzędy po osiem otworów, każdy gracz ma dwa rzędy. Trzydzieści dwa ziarna dla każdego gracza, ale było mniej, nie pamiętam ile. Każdy

wkłada sześć ziaren w otwór nyumba, ale ojciec zagrał ośmioma. Spytałbym, ojcze, czy grasz stylem południowym, osiem zamiast sześciu? Ale kiedy ojciec może uderzyć pięścią, wtedy nie odpowiada, a bił mnie za mniej niż to. Za każdym razem, gdy wkładałem ziarno, mówił „przechwyt" i mi je zabierał. Lecz był spragniony napitku i zawołał o wino palmowe. Moja matka przyniosła mu wodę, a on pociągnął ją za włosy, uderzył dwa razy w twarz i powiedział: do zachodu słońca twoja skóra wyzbędzie się tych śladów. Matka odmówiła mu radości z jej łez, wyszła tylko i wróciła z winem. Wąchałem w poszukiwaniu trucizny i nie dałbym po sobie poznać, gdyby była. Ale kiedy ojciec bił matkę za to, że używa czarów, by opóźnić swoje starzenie albo przyśpieszyć jego, wtedy przegapił grę. Rozsiałem swoje ziarna, dwa w otwór na samym końcu planszy, i przejąłem jego kulki. To mu się nie spodobało.

– Przeniosłeś grę na etap mtadżi – powiedział.

– Nie, dopiero zaczęliśmy – odparłem.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie bez szacunku? Mów „ojcze", gdy się do mnie zwracasz.

Nie odpowiedziałem, tylko zablokowałem go na planszy.

W środkowym rzędzie nie zostało mu żadne ziarno i nie mógł już wykonać ruchu.

– Oszukiwałeś – rzekł. – Po twojej stronie jest więcej niż trzydzieści dwie kulki.

– Albo oślepłeś od wina, albo nie umiesz liczyć – odrzekłem. – Rzucałeś ziarna, a ja je przechwyciłem. Ja rozsiałem ziarna po całym swoim rzędzie i zbudowałem mur, którego nie przełamiesz, bo nic ci nie zostało.

Uderzył mnie pięścią w usta, zanim zdążyłem powiedzieć choćby słowo więcej. Spadłem ze stołka, a ojciec chwycił planszę, żeby mnie nią grzmotnąć, jak grzmotnął tamtego binga. Lecz był pijany i powolny, a ja podgląda-

łem mistrzów ngolo przy praktykowaniu rzemiosła wojennego nad rzeką. Zamachnął się planszą, rozsypując ziarna po niebie. Zrobiłem trzykrotnie wywrotkę do tyłu na podobieństwo tamtych i przykucnąłem niby przyczajony gepard. Ojciec rozglądał się za mną, jakbym zniknął.

– Wyłaź, tchórzu – powiedział. – Tchórz jesteś jak twoja matka. Dlatego właśnie radość mi sprawia, gdy ją upadlam. Najpierw zbiję ciebie, potem zbiję ją za to, że cię wychowała, i zostawię ślad, żebyście oboje pamiętali, że wychowała syna na kochankę mężczyzn.

Wściekłość jest chmurą, która opróżnia mi umysł i czerni serce. Skakałem, wywijając nogami w powietrzu, za każdym razem wyżej.

– A teraz fika jak byle małpa – rzekł.

Zaatakował mnie, ale już wyrosłem z chłopięctwa. Natarłem w małym domu, zanurkowałem, stopy zamieniłem na ręce, podrzuciłem ciało, zawirowałem jak koło, z nogami w powietrzu, obróciłem się w jego kierunku i zamknąłem w uchwycie łydki na jego szyi, obalając go gwałtownie na ziemię. Wyrżnął głową tak mocno, że matka na dworze usłyszała huk. Z wrzaskiem wpadła do środka.

– Odstąp od niego, dziecko – powiedziała. – Ściągnąłeś zgubę na nas oboje.

Spojrzałem na nią i splunąłem. Potem odszedłem.

Historia ta ma dwa zakończenia. W pierwszym przewracam ojca, nogi zaciśnięte na szyi łamią mu kark. Kona na miejscu, a matka daje mi pięć kauri i sorgo zawinięte w liść palmowy i odsyła z domu. Mówię jej, że odejdę bez niczego, co było własnością ojca, nawet bez odzienia.

W drugim zakończeniu nie łamię mu karku, ale padając, i tak rozbija sobie głowę o ziemię i krwawi. Budzi się jako imbecyl. Matka daje mi pięć kauri i sorgo zawinięte w liść bananowca i mówi: opuść ten dom, wszyscy twoi wujowie są gorsi od niego.

Moje imię było własnością ojca, więc porzuciłem je w progu domostwa. Ubierał się w ładne szaty, jedwabie z krain, których nigdy nie widział, nosił sandały od ludzi, którzy winni mu byli pieniądz, wszystko, byle zapomnieć, że pochodził z plemienia w dolinie rzeki. Opuściłem dom ojca mego, nie chcąc mieć nic, co by mi go przypominało. Stary obyczaj mnie wzywał, zanim jeszcze odszedłem, chciałem pozbyć się wszystkich elementów stroju. Chciałem cuchnąć jak mężczyzna, roztaczać smród i odór, a nie woń pachnideł mieszczek i eunuchów. Ludzie patrzyli na mnie z pogardą zastrzeżoną dla mieszkańców bagnisk. Wchodziłem do miasta albo alkierza, z głową wysuniętą do przodu jak dumny zwierz. Lew nie potrzebuje szat, tak samo kobra. Wędrowałem do Ku, skąd pochodził mój ojciec, chociaż nie znałem drogi.

Tropiciel moim imieniem. W przeszłości miałem inne, ale dawno je zapomniałem.

Trzecia opowieść.

Królowa władająca na zachodzie powiedziała, że sowicie mnie wynagrodzi, jeśli odnajdę jej króla. Dworzanie myśleli, że postradała zmysły, bo król nie żył, utonął przed pięcioma laty, ale ja bez trudu odnajduję umarłych. Wziąłem zapłatę z góry i wyruszyłem tam, gdzie żyją topielcy.

Szedłem i szedłem, aż napotkałem staruchę nad rzeką, siedziała z długim kijem na brzegu. Włosy na skroniach posiwiałe, głowa u góry łysa. W twarzy bruzdy jak ścieżki wydeptane w lesie, żółte zęby zwiastowały cuchnący oddech. Legenda głosi, że wstaje co rano młoda i piękna, w południe rozkwita w pełni dorodna, z zapadnięciem zmierzchu zmienia się w zgrzybiałą staruchę i umiera o północy, żeby narodzić się na powrót w nowej godzinie. Garb z pleców wyrastał nad głowę, ale w oczach miała iskierki, więc umysł bystry. Ryby podpływały do samego końca kija, ale nie bliżej.

– Po coś tu przyszedł? – spytała.

– Bo to droga do Monono – odparłem.

– Po coś tu przyszedł? Ty, żywy człowiek.

– Życie to miłość, a miłości we mnie nie zostało. Miłość ze mnie wyciekła, popłynęła do rzeki takiej jak ta.

– Nie miłość straciłeś, ale ród swój. Pozwolę ci przejść. Lecz gdy legnę z mężczyzną, żyję bez umierania przez siedemdziesiąt księżyców.

Tak oto wyruchałem staruchę. Leżała na wznak obok rzeki, ze stopami w wodzie, sama skóra i kości, ale byłem prężny i pełen wigoru. Coś pływało między moimi nogami, czułem jakby ryby. Dotknęła dłonią mojej piersi i białe paski narysowane gliną przemieniły się w fale wokół serca. Wbiłem się w nią, rozstrojony jej milczeniem. W mroku czułem, że młodnieje, chociaż się starzała. Płomień rozgorzał we mnie, sięgnął koniuszków palców i koniuszka tkwiącego w jej środku. Powietrze gromadziło się dokoła wody, woda gromadziła się dokoła powietrza, a ja wrzasnąłem i wysunąłem się i trysnąłem deszczem na jej brzuch, ramiona i piersi. Dygot targnął mną pięć razy. Nadal była staruchą, ale nie czułem gniewu. Zgarnęła mój deszcz z siebie i strząsnęła go do rzeki. Ryby natychmiast wyskoczyły z wody i dały nura, znów wyskoczyły. Była to noc, kiedy ciemność pożarła księżyc, ale ryby miały w sobie światło. Miały kobiece głowy, ręce i piersi.

– Podążaj ich śladem – powiedziała starucha.

Podążałem więc, dzień, noc, kolejny dzień. Niekiedy woda była nisko do kostek. Kiedy indziej wysoko po szyję. Obmyła mnie z całej bieli, oszczędzając tylko twarz. Kobiety-ryby, ryby-kobiety wiodły mnie rzeką przez długie dni, aż dotarliśmy do miejsca, którego opisać nie umiem. Była to albo ściana wody, która stała twardo, choć mogłem przepchnąć rękę na wylot, albo rzeka wygięła się i mogłem dalej iść, dotykając stopami ziemi, ciało wyprostowane, bez upadku.

Czasem jedyna droga naprzód prowadzi na drugą stronę. Więc przeszedłem. Nie bałem się.

Nie potrafię powiedzieć, czy przestałem oddychać, czy oddychałem pod wodą. Wędrowałem dalej. Otoczyły mnie ryby rzeczne, jakby chciały pytać, co mam za sprawę. Szedłem, woda dokoła rozplątywała mi włosy, obmywała ręce od dołu. A potem natknąłem się na coś, czego nie widziałem w żadnym królestwie. Zamek na pustym polu trawy, postawiony z kamienia, wysoki na dwie, trzy, cztery, pięć, sześć kondygnacji. Na każdym rogu wieża przykryta kopułą, też kamienna. Na każdym poziomie okna wykute w kamieniu, a pod nimi podłoga ze złotymi poręczami zwana tarasem. Z zamku ciągnął się korytarz łączący go z inną budowlą i kolejny korytarz łączący ją z inną budowlą, stały więc cztery zamki spięte w kwadrat.

Żaden z zamków nie był tak ogromny jak pierwszy, a ostatni popadł w ruinę. Woda znikła, pozostawiając kamienie, trawę i niebo, aż nie da się opowiedzieć. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się drzewa w jednej linii, ogrody na planie kwadratu, kwiaty w kręgach. Nawet bogowie nie mają takich ogrodów. Minęło południe i w królestwie było pusto. Wieczorem, który nadszedł rychło, wiatr się zerwał i podmuchy trącały mnie brutalnie jak grubasy w pośpiechu. O zachodzie słońca na widoku pojawili się mężczyźni, kobiety i zwierzęta, ukazując się w cieniu, przepadając w ostatnich promieniach światła, znowu ukazując. Usiadłem na stopniach przed największym zamkiem i patrzyłem na to, gdy słońce umykało przed mrokiem. Mężczyźni, idący obok kobiet, i dzieci, które wyglądały jak mężczyźni, i kobiety, które wyglądały jak dzieci. I mężczyźni niebiescy, i kobiety zielone, i dzieci żółte, z czerwonymi oczami i skrzelami w szyjach. I stwory o włosach z trawy, i konie o sześciu nogach, i stada jednorożców o zebrzych kopytach, oślim grzbiecie i z rogiem nosorożca na czole, biegnące z kolejnymi dziećmi.

Żółte dziecię podeszło do mnie i spytało:

– Jak się tu znalazłeś?

– Przeszedłem przez rzekę.

– Itaki ci pozwoliła?

– Nie znam żadnej Itaki, tylko starą kobietę, która pachnie mchem.

Żółte dziecko zmieniło się w czerwone, a jego oczy zbielały. Przyszli rodzice i zabrali malca. Wstałem i wszedłem po schodach na dwadzieścia kroków w głąb zamku, gdzie śmiało się i rozmawiało, i plotkowało jeszcze więcej mężczyzn, kobiet, dzieci i zwierząt. Na końcu sieni była ściana kasetonów z wojnami i wojownikami odlanymi w brązie i rozpoznałem jedną jako bitwę o środkowy kraj, w której poległo cztery tysiące ludzi, i inną jako bitwę półślepego księcia, który poprowadził całą swoją armię w przepaść z urwiska postrzeganego jako wzgórze. Pod ścianą stał tron z brązu, który sprawiał, że siedzący na nim mężczyzna wyglądał jak małe dziecko.

– To nie są oczy bogobojnego człowieka – rzekł.

Wiedziałem, że jest to król, bo któż inny mógł to być?

– Przyszedłem, żeby zabrać cię z powrotem do żywych – odparłem.

– Słyszano o tobie nawet na ziemiach umarłych, Tropicielu. Ale na próżno poświęciłeś czas i ryzykowałeś życie. Nie ma powodu, aby wracać, nie ma powodu dla mnie, nie ma powodu dla ciebie.

– U mnie nie ma powodu do niczego. Odnajduję to, co ludzie stracili, a twoja królowa straciła ciebie.

Król się roześmiał.

– Tutaj jesteśmy w Monono, ty jedyna żywa dusza, a jednak najbardziej martwa na całym moim dworze.

Inkwizytorze, pragnę, aby ludzie pojęli, że nie mam czasu na takie rozprawy. O nic nie walczę, o nic się nie spieram, nie należy więc marnować

mojego czasu na takie zwady. Zacznij wywijać pięścią, to ci ją wyrwę z przegubu. Zacznij wywijać jęzorem, to ci go wytnę z ust.

Król nie miał straży w sali tronowej, ruszyłem więc ku niemu, patrząc na tłum na mnie patrzący. Nie był poruszony ani zlękniony, miał puste oblicze, które mówiło: właśnie tak musi się stać. Cztery stopnie prowadziły na podwyższenie, na którym stał tron. U stóp króla dwa lwy, tak nieporuszone, że wciąż nie wiedziałem, czy to krew i kości, duch czy kamień. Miał okrągłą twarz z podbródkiem wyglądającym spod podbródka, duże czarne oczy, płaski nos z dwoma pierścieniami i wąskie wargi, jakby wschodnia krew płynęła w jego żyłach. Nosił złotą koronę na białej chuście, pod którą ukrył włosy, biały płaszcz ze srebrnymi ptakami i purpurowy śliniak nad szatą, oblamowany złotą nicią. Zgarnąłbym tego króla jednym palcem.

Podszedłem wprost do tronu. Lwy nie drgnęły. Dotknąłem mosiężnego podłokietnika, wyrzeźbionego jak lwia łapa, a wtedy nade mną przetoczył się grzmot, ciężki, powolny, czarne brzmienie, które pozostawiło swąd zgnilizny na wietrze. Ale u sufitu nic. Wciąż patrzyłem do góry, gdy król wbił mi sztylet w dłoń tak mocno, że ostrze wdarło się w podłokietnik, przygważdżając rękę.

Wrzasnąłem. Zaśmiał się i rozsiadł wygodnie.

– Może ci się zdaje, że zaświaty dotrzymują obietnicy bycia krainą wolną od bólu i cierpienia, ale to obietnica złożona wyłącznie umarłym – powiedział.

Nikt inny nie zawtórował śmiechem królowi, ale patrzyli.

Przyglądał mi się podejrzliwie, gładząc się po podbródku, a ja chwyciłem za sztylet i wyciągnąłem, słysząc własne wycie. Król podskoczył, gdy go chwyciłem, ale tylko wbiłem ostrze w połę płaszcza i odciąłem kawałek. Śmiał się, kiedy opatrzyłem sobie dłoń. Uderzyłem go pięścią prosto w twarz i dopiero wtedy przez tłum przebiegł pomruk. Usłyszałem zbliża-

jące się śmiercionośne kroki i się odwróciłem. Tłum przystanął. Nie, został powstrzymany. Puste twarze, ani gniew na nich, ani strach. A potem wszyscy odskoczyli jak jedna istota, patrząc na króla za moimi plecami, który wstał, w ręku ściskając zakrwawioną lwią łapę. Rzucił nią do góry, pod sam sufit, a tłum westchnął. Łapa nie spadła. Niektórzy z tyłu zaczęli uciekać. Inni krzyczeli, inni wyli. Mężczyzna tratował kobietę tratującą dziecko. Król wciąż się śmiał. Potem zaskrzypiało, zachrobotało, zgrzytnęło, jakby bogowie nieba rozłupywali dach. Omoluzu, powiedział ktoś.

– Posmakowali twojej krwi, Tropicielu. Omoluzu już na zawsze będą podążać twoim śladem.

Chwyciłem króla za rękę i ją rozpłatałem. Buczał jak dziewczę znad rzeki, ale wtedy sufit zaczął się poruszać, wydając odgłosy, jakby pękał, kruszył się i syczał, a przecież pozostał w całości. Dłoń króla trzymałem nad swoją, zbierając w niej jego krew, a on próbował bić i boksować jak mały chłopiec, szarpał się. Gdy rzuciłem królewską krew w powietrze, z sufitu wyłoniła się pierwsza postać.

– Los nas obu teraz połączony – powiedziałem.

Uśmiech spłynął z jego twarzy, szczęka opadła, oczy wylazły na wierzch. Ściągnąłem króla po stopniach, a sufit dudnił i trzeszczał. Wypełzali z niego ludzie czarni na ciele, czarni na twarzach, czarni tam, gdzie oczy być powinny, jak ludzie wypełzający z nor. Gdy się prostowali, stali na suficie, jak my staliśmy na podłodze. Z omoluzu tryskały klingi światła, ostre jak miecze i kopcące jak węgiel trawiony płomieniami. Król uciekł z wrzaskiem, pozostawiwszy swój miecz.

Natarli. Pobiegłem, słysząc, jak zeskakują z sufitu. Jeden hycnął, ale nie spadł na podłogę, tylko wylądował z powrotem na suficie, jakbym to ja stał do góry nogami. Biegłem na zewnętrzny dziedziniec, lecz dwaj mnie wyprzedzili. Zeskoczyli i zamachnęli się mieczami. Moja włócznia

powstrzymała oba ciosy, ale ich siła zbiła mnie z nóg. Jeden natarł z wprawą fechmistrza. Zrobiłem unik w lewo, uciekając przed ostrzem, i wbiłem mu włócznię prosto w pierś. Grot zagłębił się powoli jak w gęstą smołę. Tamten odskoczył, zabierając ze sobą mój oręż. Chwyciłem królewski miecz. Dwaj z tyłu złapali mnie za kostki i unieśli pod sufit, gdzie czerń kotłowała się jak morze nocą. Ciąłem mieczem ciemność, odrąbywałem kończyny, spadłem w końcu na podłogę jak kot. Inny chciał mnie złapać za rękę, ale to ja go chwyciłem i pociągnąłem na ziemię, gdzie zniknął jak dym. Drugi zaatakował z boku, uchyliłem się, lecz ostrzem dosięgnął mi ucha i zapiekło. Odwróciłem się, skrzyżowaliśmy miecze, iskry trysnęły w mroku. Wzdrygnął się. Rękoma i nogami poruszałem jak mistrz ngolo. Turlałem się i toczyłem, dłonie nad stopami nad dłońmi, aż odnalazłem swoją włócznię, w pobliżu zewnętrznego kręgu komnat. Paliło się wiele pochodni. Dobiegłem do pierwszej i umoczyłem włócznię w oliwie i ogniu. Dwaj omoluzu znajdowali się w górze nade mną. Usłyszałem, jak szykują miecze, żeby mnie rozpłatać na pół. Skoczyłem z płonącą włócznią i przebiłem ich obu. Jeden i drugi buchnęli ogniem, który rozlał się po suficie. Omoluzu poszli w rozsypkę.

Pobiegłem przez zewnętrzną komnatę, korytarzem, przez drzwi. Na dworze księżyc rozsiewał słaby blask, światło zza zamglonego szkła. Mały, gruby król nawet nie uciekał.

– Omoluzu pojawiają się tam, gdzie jest dach – powiedział. – Nie potrafią chodzić po otwartym niebie.

– Twoja żona rozmiłuje się w tej opowieści.

– Co ty możesz wiedzieć o miłości kogoś do kogokolwiek?

– Idźmy.

Pociągnąłem go za sobą, ale był jeszcze jeden korytarz, długi na może pięćdziesiąt kroków. Zrobiliśmy pięć i dach znów się rozstąpił. Po dziesię-

ciu naszych krokach już biegli u góry tak samo szybko jak my po podłodze, a mały, gruby król zostawał w tyle. Kolejne dziesięć i pięć kroków i uchyliłem się przed mieczem wzniesionym nad moją głową, który strącił królowi koronę. Po tych dziesięciu i pięciu straciłem rachubę. W połowie korytarza chwyciłem pochodnię i rzuciłem ją w sufit. Jeden z omoluzu buchnął płomieniem i runął, ale zanim spadł na podłogę, rozpłynął się w dymie. Znowu wypadliśmy na dwór. W oddali była brama, z kamiennym łukiem chyba nie na tyle szerokim, aby wypełzli z niego omoluzu. A jednak gdy przebiegaliśmy pod spodem, dwaj wyskoczyli z sufitu i jeden z nich ciachnął mnie w plecy. Gdzieś pomiędzy biegiem nad rzekę a przejściem przez ścianę wody straciłem obie rany i pamięć o ich miejscu na ciele. Szukałem, lecz na skórze nie było śladu.

Zwróć uwagę: wędrówka do królestwa była o wiele dłuższa niż wędrówka do krainy umarłych. Minęły całe dnie, zanim dotarliśmy do Itaki nad rzeką, nie była już jednak staruchą, tylko małą dziewczynką, która brykała w wodzie i zerkała na mnie przebiegle na podobieństwo kobiet starszych od niej czterykroć. Kiedy królowa spotkała się z królem, złorzeczyła, klęła i zbiła go tak mocno, aż domyśliłem się, że sprawą paru dni jest tylko, gdy on znów się utopi.

Wiem, jaka myśl właśnie przeszła ci przez głowę. Wszystkie opowieści są prawdą.

Sufit mamy nad głową.

2

Gdy odszedłem z domu ojca, głos jakiś, może diabła, podszepnął mi, aby uciekać. Za domy, gospody, zajazdy dla utrudzonych wędrowców, za mury z błota i kamienia wysokie na trzech chłopa. Ulica prowadziła do zaułka, zaułek prowadził do muzyki, picia i bijatyk, co prowadziły do muzyki, picia i bijatyk. Handlarki zamykały sklepiki i pakowały stragany. Mężczyźni przechodzili obok w objęciach mężczyzn, kobiety przechodziły z koszami na głowach, starzy ludzie siedzieli na progach domów, próżniacząc wieczór, jak to mówili. Wpadłem wprost na innego mężczyznę, lecz on nie zaklął, tylko ukazał złote zęby w szerokim uśmiechu. Ładny jesteś jak dziewczynka, powiedział. Uciekłem przy akwedukcie, szukając wschodniej bramy, drogi do lasu.

Dzienni jeźdźcy z włóczniami, w rozwianych czerwonych szatach, czarnej zbroi i złotych koronach zwieńczonych piórami, wierzchowce odziane w taką samą czerwień. U bramy siedmiu ich nadjechało, a wiatr był wyjącym wilkiem. Ale dość zwad jak na jeden dzień, przegalopowali obok mnie, zostawiając po sobie tuman kurzu. A potem wartownicy zaczęli zamykać bramę, więc wybiegłem, w kierunku Mostu, Co Jego Nazwy Nawet Najstarsi Nie Pamiętają. Nikt nie zwrócił uwagi.

Szedłem przez otwarte tereny, które ciągnęły się jak piaszczyste morze. Tej nocy dotarłem do wymarłego miasta o walących się murach. Sień, w której spałem, była bez drzwi i z jednym oknem. Dalej zobaczyłem wzgórze z usypanych gruzów wielu domostw. Nie znalazłem pożywienia,

a woda w dzbanach miała zjełczały smak. Sen zmorzył mnie na podłodze przy hurkocie ścian z gliny walących się w całym mieście.

A moje oko? Co z nim?

Och, ale rzecz w ustach i opowieściach, które z nich popłyną, inkwizytorze. Twoje wargi się rozwarły, gdy tylko zobaczyłeś, że mrugnąłem powieką. Spisuj, co widzisz, obojętne, czy to czarnoksięstwo, czy biała nauka, moje oko jest tym, czym myślisz, że jest. Nie mam maski. Nie mam oblicza. Ma twarz to szerokie i krągłe czoło, jak reszta głowy. Brwi tak zwieszone nad oczami, że rzucają cień. Nos stromy jak górskie zbocze. Wargi, co zdają się grube jak palec, gdy wcieram w nie czerwony lub żółty pył. Jedno oko, co jest moje, i drugie, co moje nie jest. Sam przekłułem sobie uszy, myśląc o tym, że ojciec nosi turban, aby zasłonić własne. Ale nie mam oblicza. To właśnie widzą ludzie.

Dziesięć dni po opuszczeniu domu ojca mego dotarłem do doliny, wciąż mokrej od deszczu, który spadł jeden księżyc wcześniej. Drzewa tam rosły o liściach ciemniejszych od mojej skóry. Ziemia utrzymywała człowieka na dziesięć kroków, a przy kolejnym wsysała. Nory pełzaczy, kobry i żmii. Byłem głupcem. Myślałem, że starego obyczaju nauczę się, zapominając o nowym. W trakcie wędrówki po buszu powtarzałem sobie, że choć każdy dźwięk jest nowy, żaden mnie nie przeraża. Że drzewo mnie nie zdradzi, gdy się za nim skryję. Gorąco pod szyją nie miało trwać wiecznie. Pnącza nie chcą dopaść mojej krtani i wydusić ze mnie życia. Głód i to, co uchodziło za głód. Ból od wewnątrz napierający na brzuch, aż sprzykrzyło mu się napierać. Szukałem jagód, szukałem kory młodych drzew, szukałem małp, szukałem tego, co małpy jedzą. Więcej obłędu. Próbowałem jeść ziemię. Próbowałem podążać za wężami podążającymi za szczurami w gęstwinie. Czułem, że coś dużego nadciąga moim śladem. Wspiąłem się na skałę i mokre liście chlasnęły mnie w twarz.

Obudziłem się w chacie, w chłodzie jak nad rzeką. W środku płonął ogień, ale gorąco tkwiło we mnie.

– W wodzie hipopotam jest niewidzialny – odezwał się głos.

W chacie było ciemno albo oślepłem. Nie wiedziałem które.

– *Ye uaren uupsi yeng we*. Dlaczego nie baczyłeś na ostrzeżenie?

Ciągle majaczyła ciemność, ale moje oko dostrzegło coś więcej.

– Żmija z nikim się nie wadzi, nawet z głupim chłopaczkiem. Najniebezpieczniejszy jest Oba Oluszere, zimny, delikatny wąż.

Nos zawiódł mnie do puszczy. Nie widziałem żadnej żmii. Dwa dni wcześniej, gdy człowiek ten znalazł mnie rozdygotanego pod płaczącym drzewem, był przekonany, że jestem jedną nogą w zaświatach, więc wykopał dół w ziemi. Ale potem przez całą noc wykasływałem zielony sok. No i teraz leżałem na macie w szałasie, w którym pachniało fioletowym martwym lasem i płonącym łajnem.

– Odpowiedz z głębi serca. Co robisz w środku puszczy?

Pragnąłem wyjaśnić, że przyszedłem odnaleźć siebie, ale przecież byłyby to słowa skończonego głupca. Albo odrzec coś takiego, co rzekłby mój ojciec, lecz w tamtych czasach wciąż jeszcze myślałem, że człowiek ma tożsamość, którą może utracić, nie wiedziałem bowiem, że nikt tożsamości nie posiada. Lecz już o tym wspomniałem. Milczałem więc wtedy, w nadziei, że moje oczy przemówią. Mimo ciemności widziałem, że na mnie patrzy. Ja i moje szalone wyobrażenia o lesie, gdzie ludzie biegają razem z lwami, żywią się darami ziemi, srają przy drzewie, dzikość jest wśród nich. Wyszedł z ciemnego kąta i mnie spoliczkował.

– Jedyny sposób, by zajrzeć ci do głowy, to ją rozłupać i zobaczyć, chyba że przemówisz.

– Myślałem…

– Myślisz, że ludzie z lasów i znad rzek charczą i szczekają jak psy. Że nie wycieramy dupy po sraniu. Że może smarujemy tym w skórę. Mówię do ciebie jak do mężczyzny.

Inkwizytorze, jesteś człowiekiem, który gromadzi słowa. Zbieraj więc moje. Masz strofę na chłodny poranek, masz strofę na południe umarłych, strofę na wojnę. Ale zachodzące słońce nie potrzebuje twoich słów, tak jak nie potrzebuje mknący gepard.

Ten mędrzec nie mieszkał w wiosce, tylko niedaleko rzeki. Włosy miał białe od popiołu i śmietany z mleka. Jedyny raz, kiedy widziałem rozbierającego się ojca, zobaczyłem na jego plecach koliste blizny jak gwiazdy w kręgu. Ten człowiek nosił krąg gwiazd na piersi. Mieszkał sam w szałasie zrobionym z gałęzi dzikiego drzewa, z których uplótł ściany, i krzaków, z których uplótł dach. W ściany wcierał pył z czarnego kamienia, aż się świeciły, a potem wykonywał wzory i malunki, jeden przedstawiał białą istotę z rękami i nogami wysokimi jak drzewo. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– I dobrze, że tak myślisz, bo nie będziesz już żył, żeby móc mi o tym powiedzieć – rzekł.

Zasnąłem, obudziłem się, zasnąłem, obudziłem i zobaczyłem wielkiego białego pytona owijającego się wokół pnia, obudziłem się i zobaczyłem węża niknącego na tle ściany. Wpadło światło słoneczne, rozjaśniło ściany i zobaczyłem, że znajdujemy się w pieczarze. Ściany ulepione jak wosk topiący się na wosku. W półmroku tu i tam wyglądały one jak rozwrzeszczane twarze, jak nogi słonia, jak szparka młodej dziewczyny.

Gdy potarłem jedną, poczułem ją niby łupinę ignamu. Obok otworu była miękka od krzaków sterczących jak luźne włosy. Wstałem i tym razem nie upadłem. Zachwiać – to się zachwiałem, jak człowiek napełniony winem palmowym, wyszedłem jednak na dwór. Słaniałem się, więc przylgnąłem

do skały, żeby zachować równowagę, ale to nie była skała. Zupełnie niepodobne do skały. Kora. Lecz za szerokie, za duże. Popatrzyłem w górę najwyżej, jak mogłem spojrzeć, i powlokłem się najdalej, jak mogłem się powlec. Nie dość, że słońce wciąż świeciło za gałęziami i liśćmi, to na dodatek pień ten nie miał końca. Zanim go obszedłem, zapomniałem już, skąd wyruszyłem. Konary były tylko u samej góry, pękate jak dziecięce palce, sterczały z gęstwin gałęzi i liści. Małe liście, grube jak skóra, i owoce wielkie jak twoja głowa. Usłyszałem wspinaczkę drobnych stóp, to pawianica z dzieckiem.

– Drzewo małpiego chleba było najnadobniejsze na całej sawannie – powiedział czarownik za moimi plecami. – To się działo przed drugim nastaniem bogów. Co za historia, drzewo to wiedziało, że jest piękne. Zażądało, aby wszyscy pieśniarze śpiewali o jego pięknie. Ono i jego brat piękniejsi od bogów, piękniejsi nawet od Bikili-Lilis, której włosy stały się setką wiatrów. I oto co się potem wydarzyło. Bogowie wydali wściekłość na świat. Sfrunęli z nieba i wyrwali wszystkie baobaby do ostatniego i wcisnęli z powrotem w ziemię korzeniami do góry. Pięćset wieków upłynęło, zanim korzenie wypuściły listowie, i kolejne pięćset, nim wyrosły z nich owoce i kwiecie.

Jednego księżyca wszyscy mieszkańcy wioski przyszli do drzewa. Widziałem, jak patrzą na czarownika, kryjąc się wśród gałęzi i liści. Pewnego razu zjawiło się trzech wioskowych siłaczy. Wszyscy byli wysocy, barczyści, masywni tam, gdzie grubas ma brzuch, nogi mocne jak u byka. Pierwszy odziany był w popiół od stóp do głów, biały jak księżyc. Drugi porysował ciało białymi pręgami jak zebra. Trzeci nie miał barw, tylko ciemną, czerstwą skórę. Nosili naszyjniki i łańcuchy na biodrach, które nie potrzebowały żadnych innych ozdób. Nie wiedziałem, po co przyszli, wiedziałem jednak, że im to dam.

– Wiele razy podpatrywaliśmy cię w lesie – powiedział pręgowany. – Wspinasz się na drzewa i polujesz. Nie ma u ciebie zręczności, kunsztu nie ma, ale może bogowie cię pchają. Ile liczysz księżyców?

– Mój ojciec nigdy nie liczył lat w księżycach.

– To drzewo pożarło sześć dziewic. Połknęło w całości. Nocą słychać ich wrzaski, ale brzmią jak szepty. Ludzie myślą, że to wiatr.

Patrzył na mnie przez chwilę. Potem się roześmieli.

– Pójdziesz z nami na obrzęd męskości zareba – powiedział pręgowany.

Wskazał tego w poświacie.

– Wąż zabił jego towarzysza tuż przed nadejściem deszczów. Pójdziesz z nim.

Nie wyjawiłem, że uratowano mnie od ukąszenia.

– Spotkamy się pod następnym słońcem. Powinieneś poznać ścieżkę wojowników, a nie bab – powiedział ten w poświacie.

Kiwnąłem głową potakująco. Patrzył na mnie dłużej od pozostałych. Ktoś wyciął mu gwiazdę na piersi. Miał pierścienie w uszach, które na pewno sam przekłuł. Górował nad resztą przynajmniej o głowę, dopiero teraz zauważyłem. W Dżubie ci trzej przestaliby już być chłopcami.

Usłyszałem, jak mówi, choć nie usłyszałem, jak mówi:

– Pójdziesz ze mną.

W obrzędzie zareba nie ma kobiet. Ale należy znać ich użyteczność dla mężczyzn. Zareba znajduje się w twoim umyśle; zareba jest w buszu wędrówką od brzasku po południową porę. Przybywasz do sali bohaterów, o ścianach z gliny i dachu krytym strzechą. Kije i przestrzenie do walki. Wchodzą chłopcy, aby uczyć się od najsilniejszych wojowników ze wszystkich wsi i wszystkich gór. Okrywasz się popiołem, żebyś nocą wyglądał jak przybysz z Księżyca. Jesz kleik z durry. Zabijasz chłopca, którym jesteś, żeby stać się mężczyzną, którym jesteś, lecz wszystko musi być wyuczone.

Spytałem chłopca w poświacie, jak się dowiedzieć o kobietach, gdy nie ma kobiet, od których można się dowiedzieć.

Chcesz usłyszeć więcej, inkwizytorze?

Pewnego ranka wychwyciłem woń mego rodu podążającą za mną nad rzekę. Był to chłopiec, który uważał mnie za syna jego wuja. Łowiłem ryby. Przyszedł na brzeg i przywitał się, jakby mnie znał, aż nagle zobaczył, że mnie nie zna. Nie odpowiedziałem. Matka mówiła mu zapewne o abarra, demonie, który nawiedza ludzi jako znajomek, z mową tylko inną. Nie uciekł, oddalił się powoli od rzeki i usiadł na kamieniu. Patrzył na mnie. Nie mógł mieć więcej niż osiem, dziewięć lat, ze smugą białej gliny narysowaną od ucha do ucha przez nos i białymi cętkami na całej klatce piersiowej jak u lamparta. Byłem chłopcem z miasta, w łowieniu ryb szczęście mi nie dopisywało. Zanurzyłem dłonie w wodzie i czekałem. Ryby wpływały mi w ręce, ale wyślizgiwały się, gdy tylko próbowałem je pochwycić. Czekałem, on patrzył. Złowiłem wielki okaz, lecz wymsknęła się, przestraszyła mnie nawet, potknąłem się i wpadłem do rzeki. Mały chłopiec się roześmiał. Spojrzałem na niego i też się roześmiałem, ale potem woń rozniosła się po lesie, zbliżała coraz szybciej. Poczułem – ochra, masło karite, smród spod pach, mleko z matczynej piersi – on też poczuł. Obaj wiedzieliśmy, że wiatr kogoś niesie, on wiedział kogo.

Wyszła spośród drzew, jakby z drzew wyskoczyła. Kobieta wyższa, starsza, twarz już ostro ociosana i sroga, prawa pierś jeszcze nie sflaczała. Lewą zakryła tkaniną przerzuconą przez ramię. Na głowie opaska, czerwona, zielona i żółta. Naszyjniki w każdym kolorze prócz błękitu usypane jeden na drugim jak góra sięgały płatków uszu. Spódnica z kozłowej skóry z kauri na brzuchu wzdętym dzieciątkiem. Popatrzyła na chłopca i wskazała palcem za siebie. Potem spojrzała na mnie i wskazała w tym samym kierunku.

Pewnego ranka pod leniwym słońcem czarownik obudził mnie uderzeniem w twarz, potem w milczeniu wyszedł z szałasu. Obok położył włócznię, sandały i tkaninę, bym nią owinął biodra. Wstałem szybko i podążyłem za nim. Nad rzeką wieś otwierała swe ramiona z domami rozproszonymi na polu. Najpierw minęliśmy pagórki suchej trawy z wierzchołkami jak sutek. Potem minęliśmy okrągłe chaty z gliny i ziemi, rdzawe i brązowe, pokryte strzechą i gałęziami. W środku osady domy były większe. Owalne, postawione w skupiskach po pięć lub sześć, aż wyglądały jak zamki, z połączonymi ścianami, które świadczyły, że to wszystko jest dla jednego człowieka. Im większe domy, tym połyskliwsze ściany, należące do tych, którzy mogli sobie pozwolić na wcieranie onyksu. Większość chat nie była duża. Jedynie człowiek z wieloma krowami mógł mieć osobną chatę do składowania ziarna i osobną do jego gotowania.

Właściciel największych domostw miał sześć żon i dwadzieścia dzieci, wśród nich ani jednego chłopca. Szukał siódmej, żeby wreszcie urodziła mu syna. Był wśród tych kilku, którzy wyszli z chat, żeby mnie zobaczyć. Dwóch chłopców i dziewczynka, nadzy bez farby, ciągnęli za czarownikiem i mną, aż któraś z kobiet krzyknęła coś ostrym tonem i wtedy uciekli do domu na tyłach. Znajdowaliśmy się teraz w środku wsi, przed domostwami bogacza. Na ścianę spichlerza dwie kobiety nakładały świeżą warstwę gliny. Trzej chłopcy w moim mniej więcej wieku wrócili z łowów z martwym buszbokiem. Nie zobaczyłem wśród nich tego w poświacie.

Nadejście myśliwych rozbudziło wieś. Mężczyzna, kobieta, chłopiec, dziewczynka, wszyscy wyszli, żeby zobaczyć owoce polowania, ale zastygali na mój widok. Czarownik wypowiedział imię, którego nie znałem. Pojawił się mężczyzna mający sześć żon, podszedł do mnie. Wysoki, z dużym brzuchem. Kok z gliny na tyle głowy w szarym i żółtym kolorze, zwieńczony pięcioma strusimi piórami. Ten kok, bo był mężczyzną, każde

pióro znakiem ważnego wyczynu. Kości policzkowe znaczyła żółta glina, zwycięskie blizny pokrywały pierś i ramiona. Człowiek ten zabił wielu ludzi i lwy, i jednego słonia. Może nawet hipopotama. Pojawiły się dwie jego żony, jedną była kobieta znad rzeki.

Czarownik zwrócił się do niego:

– Wysłuchaj mnie, ojcze, który mówisz z krokodylem, żeby nas nie pożarł w porze deszczowej.

Potem dopowiedział coś, czego nie zrozumiałem.

Mężczyzna zmierzył mnie wzrokiem od dołu do góry, od góry do dołu. Podszedł bliżej i rzekł:

– Synu Aboyamiego, bracie Ayodelego, ta ścieżka jest twoją ścieżką, te drzewa twoimi drzewami, ten dom twoim domem, a ja jestem twoim ukochanym wujem.

Nie znałem tych imion. Może to były imiona tych, którzy nie mieli ze mną nic wspólnego. W buszu rodzina nie zawsze rodziną, a przyjaciel nie zawsze przyjacielem. Nawet żona nie zawsze żoną.

Poprowadził mnie przez wejście na podwórze, gdzie dzieci uganiały się za kurami. Pachniały gliną, pyłkiem kwiatowym i kurzym gównem deptanym stopami. Dom miał sześć komnat. W oknie dwie żony mieliły mąkę. Obok spichlerza kuchnia wypuszczała na świat najsłodszą woń kleiku, a przy kuchni kolejna żona myła się w strugach wody płynącej z otworu w ścianie. Dalej inna ściana, długa i ciemna, najeżona sutkami z gliny. Za nią otwarta przestrzeń pod strzechą, ze stołkami i dywanami, w tyle najdłuższy mur. Sypialnia mojego wuja, z wielkim motylem nad dywanami do spania. Zobaczył, że się przyglądam, i powiedział, że kręgi pośrodku to kałuże falującej wody, co oznacza odnowę każdej pory deszczowej lub każdy raz, kiedy moczy się w wilgotności siuśków nowej żony. Za jego

komnatą było pomieszczenie, które służyło za skład i w którym spały dzieci.

– Ten dom jest twoim domem, dywany twoimi dywanami. Ale kobiety są moje – dodał i zachichotał.

Uśmiechnąłem się.

Zajęliśmy miejsca w obrębie otwartej przestrzeni, ja na dywanie, on na krześle z tak głęboko cofniętym oparciem, że leżał, nie siedział. Krześle z wklęsłym siedziskiem, żeby wpasował pośladki, usztywnionym z tyłu trzema deskami wyrzeźbionymi w trzy rzędy jaj. Pamiętam, jak ojciec wzdychał, gdy ocierał się plecami o takie samo. Zagłówek żłobiony jak ogromna korona z rogów. Duże oparcie i pękate nogi wyglądały jak u bawołu leśnego. Leżący wuj przeobraził się w potężnego zwierza.

– Krzesło – odezwałem się. – Widziałem podobne, ukochany wuju.

Wyprostował się. Wydawał się poruszony, że są dwa takie.

– To tutejsza robota? – spytałem.

– Lobi, mistrzowie stolarscy z miasta, twierdzili, że wykonali tylko jedno. Ale mieszczuchy kłamią, taka ich natura.

– Znasz miejskie ulice?

– Szedłem niejedną.

– Dlaczego wróciłeś?

– A skąd wiesz, że wieś porzuciłem dla miasta, a nie miasto dla wsi?

Nie potrafiłem odpowiedzieć.

– Gdzieś widział to krzesło? – spytał.

– W moim domu.

Skinął głową i się roześmiał.

– Krew postępuje jak krew, nawet jeśli rozdzieli ją piasek – rzekł i klepnął mnie po ramieniu. – Przynieś mi moje przyprawione krwią wino palmowe i tytoń! – krzyknął do jednej z żon.

Ku, tak ten lud zwał siebie i swoją wieś. Dawniej panowali na obu brzegach rzeki. Potem ich wrogowie, Gangatom, urośli w liczbę i siłę i wielu innych do nich dołączyło i wygnali Ku na stronę zachodzącego słońca. Mężczyźni Ku byli biegli w łucznictwie, prowadzili bydło na świeże pola, pili mleko i spali. Kobiety były biegłe w zbieraniu trawy na strzechę, tynkowaniu ścian gliną i krowim łajnem, stawianiu płotów, żeby powściągnąć kozy i dzieci biegające za nimi, przynoszeniu wody, zgarnianiu kożucha z mleka, dojeniu bydła, karmieniu dzieci, gotowaniu zupy, myciu kalabas, ubijaniu masła. Mężczyźni chodzili na pobliskie pola, żeby siać i zbierać plony. Kopali studnie. Omal nie wpadłem do dziury wydrążonej tak głęboko, że słychać było stare diabły, wielkie jak drzewa, szeleszczące we śnie na samym dnie. Chłopiec w poświacie powiedział mi, że niedługo będzie pora zbiorów durry i kobiety wyjdą z koszami na pola.

Pewnego dnia zobaczyłem dziewięciu mężczyzn wracających do wioski, na niektórych nowa farba, na innych czerwona ochra i masło karite, a wyglądali, jakby się urodzili wojownikami.

Nocną porą śpiewali, tańczyli i walczyli i znowu śpiewali, włożyli maski ludu Hemba wyglądające jak twarze szympansów, ale Kava powiedział, że to na podobieństwo starszyzny, która dawno odeszła, po to, żeby rozmawiać z nią pośród drzew-duchów. Śpiewali w tych maskach, aby przełamać klątwę wielu księżyców nieudanych łowów. Bęben wybijał kekeke. Bambambam, lakalakalakalaka podszyte wiatrem.

Wieś obudziła świeża woń, a była wszędzie. Nowi mężczyźni i nowe kobiety dojrzałe jak owoce. Patrzyłem na nich z domu człowieka, który miał być moim wujem, a on patrzył na swoje żony, drapiąc się po brzuchu.

– Jeden chłopiec powiedział, że zabierze mnie na obrzęd męskości – odezwałem się.

– Chłopiec obiecał ci zareba? Na czyj rozkaz?

– Na własną rękę – odparłem.

– Tak ci mówił? – spytał.

– Tak, będę jego nowym towarzyszem, bo poprzedni umarł od ukąszenia węża. Mówię teraz w waszym języku. Znam wasz obyczaj, ukochany wuju. Jestem krew z twojej krwi. Jestem gotów.

– Czyj ten chłopiec?

Gdzie mieszka chłopiec, tego nie wiedziałem. Wuj potarł podbródek i popatrzył na mnie.

– Narodziłeś się wtedy, kiedy cię znaleziono, nie upłynął nawet jeden księżyc. Nie śpiesz się umrzeć za wcześnie.

Nie powiedziałem mu, że jestem już mężczyzną.

– Widziałeś ich. Chłopców biegających dokoła, mniejszych niż mężczyźni, którzy powrócili.

– Jakich chłopców?

– Chłopców z czerwonymi koniuszkami, co kobiety odcinają mężczyznom.

Nie wiedziałem, o czym mówi, więc zaprowadził mnie na dwór. Niebo było szare i wzdęte od nadchodzącego deszczu. Obok przebiegło dwóch chłopców i wuj przywołał wyższego, o twarzy czerwonej, białej i żółtej, żółta kreska pośrodku głowy ciągnęła się do samego dołu. Pamiętaj, że wuj mój to bardzo ważna osoba, ma więcej krów niż wódz, a nawet trochę złota. Chłopiec podszedł, błyszczący od potu.

– Goniłem lisa – rzekł.

Wuj przywołał go bliżej ruchem ręki. Roześmiał się i powiedział, że chłopiec ma znak głoszący koniec dzieciństwa i chce, by wieś o tym wiedziała. Chłopiec skrzywił się, gdy wuj chwycił go za jądra i kutasa, jakby chciał zważyć w dłoni ich ciężar. Popatrz, rzekł. Farba prawie maskowała

to, że skórka znikła, odcięta, odsłaniając mężny kwietny koniec. Na początku wszyscy rodzimy się parzyści. Jesteś mężczyzną i jesteś kobietą, tak jak dziewczynka jest kobietą i jest mężczyzną. Ten chłopiec będzie mężczyzną, bo kapłan fetyszowy odciął mu kobietę, dodał.

Zesztywniał nieborak, choć próbował stać dumnie wyprostowany. Wuj mówił dalej:

– A dziewczynka musi mieć wyciętego mężczyznę z głębi jej neha, żeby mogła być kobietą. Tak jak pierwsze istoty były parzyste.

Pogłaskał chłopca po głowie, odprawił go i wszedł do środka.

Z boku na skale gromadzili się mężczyźni. Wysocy, silni, czarni, błyskający dzidami. Patrzyłem, jak stoją nieruchomo, aż zachodzące słońce przemieniło ich w cienie. Wuj odwrócił się do mnie i przemówił prawie szeptem, jakby przekazywał straszne nowiny o obcych ludziach:

– Co sześćdziesiąt razy jak Ziemia lata dokoła Słońca, my świętujemy śmierć i odrodzenie. Najwcześniejsi pierworodni byli bliźniakami, ale dopiero gdy boska męskość wypuściła nasienie w ziemię, nastało życie. Dlatego właśnie mężczyzna, który jest także kobietą, i kobieta, która jest także mężczyzną, to niebezpieczeństwo. Za późno dla ciebie. Za dużo masz lat i będziesz jednakowo mężczyzną i kobietą.

Patrzył na mnie, póki jego słowa nie przemówiły do mojej głowy.

– To nigdy nie będę mężczyzną?

– Będziesz mężczyzną. Ale to inne też jest w tobie i cię odmieni. Jak ci mężczyźni, co grasują po naszych ziemiach i przekazują naszym kobietom kobiece sekrety. Będziesz wiedział tyle co oni. Na bogów, będziesz spółkował, jak oni spółkują.

– Ukochany wuju, ściągasz na mnie wielki smutek.

Nie powiedziałem mu, że kobieta już szaleje w moim wnętrzu, że dyszę jej pragnieniami, ale poza tym nie czułem się kobietą, bo chciałem polować

na jelenie, biegać, grać.

– Trzeba więc szybko mnie ciąć – powiedziałem.

– Ojciec powinien był cię ciąć. Teraz za późno. Za późno. Już zawsze będziesz na granicy między dwoma. Zawsze będziesz szedł jednocześnie obiema drogami. Zawsze będziesz czuł siłę jednego i ból drugiego.

Tej nocy księżyc nie wzeszedł, ale chłopiec wciąż jaśniał poświatą, gdy pojawił się w progu chaty.

– Przyjdź popatrzeć, co robią nowi mężczyźni i kobiety – rzekł.

– Musisz mi wyjawić swoje imię.

Nie odpowiedział.

Ruszyliśmy przez busz do miejsca, gdzie bębniarze przekazywali przesłanie bogom na niebie i przodkom w ziemi. Chłopiec w poświacie szedł szybko, nie czekał. Wciąż bałem się, że nadepnę na żmiję. Zniknął w ścianie z gęstych liści, a ja przystanąłem, bo nie wiedziałem, dokąd iść, lecz wtedy biała ręka przepchnęła się przez gąszcz, chwyciła mnie za ramię i wciągnęła do środka.

Dotarliśmy na polanę, na której bębniarze bębnili, inni bili kijami, jeszcze inni gwizdali. Dwaj mężczyźni podeszli, aby rozpocząć ceremonię, a myśmy ukryli się w buszu.

– Bumbangi, oficjał i dawca żywności – powiedział Kava. – A także złodziej. Przypatrz mu się w masce mueelu ze sterczącymi piórami i ogromnym dziobem dzioborożca. Spójrz, obok niego to makala, mistrz czarów i zaklęć.

Nowi mężczyźni stanęli w szeregu ramię przy ramieniu. Wszyscy mieli spódniczki z wybornej tkaniny, jaką widziałem tylko na moim wuju, i wszyscy nosili teraz kok z gliny ze strusimi piórami i kwieciem. Potem zaczęli skakać, w górę, w dół, coraz wyżej i wyżej, tak wysoko, że zawisali w powietrzu, zanim opadli. Przytupywali tak mocno, że ziemia drżała. I tak

skakali do rytmu bodom-bodom-bodom. Dzieci nie było. Może jak chłopiec w poświacie i ja chowały się w buszu. Potem na polanę wystąpiły nowe kobiety. Dwie podeszły wprost do mężczyzn i zaczęły skakać razem z nimi, bodom-bodom-bodom. Kobieta i mężczyzna, skaczący coraz bliżej siebie, przysuwali się, aż skóra dotknęła skóry, pierś piersi, nos dotknął nosa. Chłopiec w poświacie wciąż trzymał mnie za rękę. Pozwoliłem mu na to. Dołączyli ludzie i polana była teraz tumanem kurzu od skakania i tupania, a starsze kobiety ruszyły w pląsy pośród tłumu, opętane boskim dymem.

Bumbangi śpiewał raz po raz:

Mężczyzna z członkiem
Kobieta z pochwą
Nie znacie siebie
Nie budujcie jeszcze domu.

Chłopiec wciągnął mnie w gęstszy, zimny busz. Wyczułem ich woń w chwili, gdy on ich usłyszał. Odór potu niesiony i rozsiewany wiatrem. Kobieta ukucnęła na mężczyźnie, a potem ruszyła do góry, do dołu, do góry. Mrugałem tak długo, aż dostałem nocnych oczu. Potrząsała piersiami. Oboje wydawali dźwięki. W swojej sypialni tylko mój ojciec wydawał dźwięki. Mężczyzna się nie poruszał. W swojej sypialni tylko mój ojciec się poruszał. Widziałem, że kobieta robi dziesięć za jedno, co robi mężczyzna. Kobieta podskakiwała, trzęsła się, szeptała, dyszała, buczała, wrzeszczała, ściskała się za piersi, otwierała się i zamykała. Chłopiec w poświacie wsunął mi rękę między uda, szarpał mi skórkę wte i wewte, żeby dostroić się do ruchów kobiety. Duch mnie dopadł, kazał trysnąć, kazał krzyknąć. Kobieta wrzasnęła, a mężczyzna zerwał się i ją odepchnął. Uciekliśmy.

Mój ojciec mawiał, że opuścił miejsce swojego urodzenia, bo pewien mędrzec pokazał mu, że wychował się wśród zacofanego ludu, który nigdy niczego nie stworzył, nie wiedział, jak przelać słowa na papier, a ruchał się tylko po to, aby się mnożyć. Ale ukochany wuj powiedział mi co innego. Posłuchaj drzewa tu, gdzie teraz żyjesz, bo tu ród twój. Słuchałem więc gałęzi na gałęzi, liścia na liściu, ale nie usłyszałem niczego od naszych przodków. Noc później usłyszałem na dworze głos dziadka, który wziął mnie za swojego syna. Wyszedłem i popatrzyłem w konary, jednak zobaczyłem tylko ciemność.

– Kiedy zemścisz się na zabójcy ojca swego? Włada mną niespokojny sen, czeka na sprawiedliwość – powiedział. Powiedział też: – Po zgładzeniu Ayodelego jesteś najstarszy syn i brat. To bruka plan bogów i musi zostać pomszczone. Mój żar nie wystygł, słaby synu.

– Nie jestem twoim synem – odparłem.

– Twój brat Ayodele, co najstarszy, jest tutaj ze mną, też w burzliwym śnie. Czekamy na słodką woń przelanej krwi nieprzyjaciela – powiedział dziadek, ciągle biorąc mnie za innego.

– Ja nie twój syn.

Wyglądałem aż tak bardzo jak mój ojciec? Zanim miałem włosy, on już posiwiał, a sam nigdy siebie w nim nie dostrzegałem. Z wyjątkiem uporu.

– Zwada nadal świeża.

– Nie mam zwady z krokodylem, nie mam zwady z hipopotamem, nie mam zwady z człowiekiem.

– Ten, który zabił twojego brata, zabił i jego kozy – powiedział dziadek.

– Mój ojciec odszedł, bo zabijanie było starym obyczajem, obyczajem małych ludzi od małych bogów.

– Wciąż żyje ten, który zabił twojego brata. Och, jaka wielka hańba, kiedy ten człowiek w twoim domu odszedł z wioski. Nie wypowiem jego

imienia. Och, co za haniebne postępowanie, słabsze od ptaka, tchórzliwsze niż u surykatki. Pierwsze powiedziały mi krowy. Tamtego dnia, gdy zobaczył, że nie zaznam spokoju, póki nie dokona zemsty, zostawił krowy w buszu i umknął. Krowy odnalazły drogę do chaty. Wyrzekł się swego imienia, wyrzekł się swego życia, swego ludu, polującego łukiem i strzałą, strzegącego pól sorga przed ptactwem, troszczącego się o stada, trzymającego się z dala od błota naniesionego przez powódź, bo w nim właśnie śpi krokodyl dla ochłody. I ty. Czy będziesz jedynym chłopcem w ciągu stu księżyców, którego nienawidzi krokodyl?

– Nie jestem twoim synem – odpowiedziałem.

– Kiedy pomścisz brata? – spytał.

Ruszyłem na tył i zastałem tam wuja pociągającego tabakę z rogu antylopy, jak miastowy bogacz. Chciałem wiedzieć, dlaczego ruszył do miasta, tak samo jak mój ojciec, i dlaczego powrócił, inaczej niż mój ojciec. Przyszedł właśnie po spotkaniu z kapłanem fetyszowym, który przyszedł właśnie po czytaniu przyszłości nad ujściem rzeki. Nie potrafiłem odgadnąć z jego twarzy, czy kapłan przepowiedział mu więcej krów, nową żonę, a może głód i chorobę zesłane przez małodusznego boga. Poczułem od niego daggę, którą żuł, żeby mieć jasnowidzenie, co oznaczało, że nie ufał wieściom kapłana i chciał się upewnić. Wyglądało, że tak jest w naturze wuja. Mój ojciec był inteligentnym człowiekiem, ale nie tak bystrym jak on. Wuj wskazał białą kreskę na swoim czole.

– Proszek z lwiego serca. Kapłan miesza go z krwią miesięczną kobiety i korą mahoniowca, a potem żuje, żeby przepowiedzieć przyszłość.

– I ty to nosisz?

– A co byś wybrał, zjeść serce lwa czy je nosić?

Nie odpowiedziałem.

– Duch dziadka to widmo szalone – rzekłem. – Pyta ciągle, kiedy zabiję zabójcę mojego brata. A ja nie mam brata. Myśli też, że jestem moim ojcem.

Wuj się roześmiał.

– Twój ojciec nie jest twoim ojcem – odparł.

– Jak to?

– Jesteś synem mężnego człowieka, ale wnukiem tchórza.

– Mój ojciec był leciwy i słaby jak starszyzna.

– Twój dziadek jest twoim ojcem.

Nawet nie widział, jak mną wstrząsnął. Cisza stała się tak głęboka, że usłyszałem, jak wiatr porusza liśćmi.

– Gdy miałeś kilka lat, choć my w latach nie liczymy, plemię Gangatom zza rzeki zabiło twojego brata. Zaraz po tym, jak wrócił z obrzędu zareba. Na polowaniu na wolnych ziemiach, co nie są pod władzą żadnego plemienia, natknął się na oddział Gangatom. Panowała powszechna zgoda, że na wolnych ziemiach się nie zabija, ale zarąbali go na śmierć ostrym toporem i siekierą. Twój prawdziwy ojciec, mój brat, był najbieglejszym łucznikiem i strzelcem w całej wsi. Człowiek musi znać imię człowieka, na którym się mści, inaczej ryzykuje, że napadnie boga. Twój ojciec nie słuchał nikogo, nawet swojego ojca. Powiedział, że krew, która w nim płynie, krew lwa, pochodzi najpewniej od jego matki, która zawsze płakała za zemstą. Ten płacz za zemstą wygnał ją z domu męża. Przestała malować twarz i już nigdy nie uszczotkowała włosów. Są tacy, co głupotą zwą mszczenie się za zabicie jednego syna zabiciem drugiego, ale były to czasy głupoty. Pomścił śmierć, lecz jego też zabito. Twój ojciec wziął więc swój łuk i sześć strzał. Obrał cel za rzeką i poprzysiągł, że zabije pierwszych sześć żywych dusz, które zobaczy. Jeszcze przed nastaniem południa zabił dwie kobiety, trzech mężczyzn i jedno dziecko, każdego z innej rodziny. Teraz sześć rodzin

wystąpiło przeciw nam. Sześć nowych rodzin pragnęło naszej śmierci. Zabili twojego ojca na wolnych ziemiach, kiedy człowiek tam mieszkający powiedział, że skóry kupione od niego złachały się po dwóch księżycach. Twój ojciec udał się do niego, żeby rozpatrzyć skargę i bronić swojego dobrego imienia. Ale dwa księżyce wcześniej tamten wydał go zdradziecko trzem wojownikom Gangatom. Chłopiec wycelował z łuku i trafił go w plecy, prosto w serce. Historia o złych skórach pochodziła od Gangatom, bo tamten nie miał w sobie dość rozumu, aby wymyślić takie oszustwo. Tyle mi wyznał, nim poderżnąłem mu gardło.

I jeszcze to wuj mi powiedział. Mój dziadek miał dość zabijania i zabrał mnie i moją matkę z wioski. To on zostawił krowy. Dlatego właśnie od kiedy byłem mały, mój ojciec był już stary, stary jak członkowie tutejszej starszyzny, z garbami na plecach. Ucieczka zrobiła z niego chudzielca, sama skóra i kości. Zawsze wyglądał na gotowego do ucieczki. Teraz ja chciałem uciec od wuja do ojca. Do dziadka. W tamtej chwili ziemia nie była ziemią, niebo niebem nie było, kłamstwo było prawdą, a prawda była niestała i wykrętna. Od prawdy zrobiło mi się niedobrze.

Wiedziałem, że wuj ma mi więcej słów do przekazania; słów, które wbiją mi rozum do głowy, bo wybrała głupotę i nie mogłem zawierzyć własnym przodkom. A może wierzę we wszystko. Wierzę w starego człowieka, który nie był moim ojcem, i młodą kobietę, która była moją matką. Może nie była moją matką. Spali w tej samej komnacie, w tym samym łożu, on położył się na niej, jak to czyni mąż; widziałem na własne oczy. Może mój dom nie był moim domem, może mój świat nie był moim światem.

Duchem przemawiającym do mnie z górnych gałęzi drzewa był mój ojciec. Nakazującym, abym zabił za brata. We wsi wiedzieli. Przyszli do domu wuja mego, żeby spytać. Stare kobiety przysłały słowo przez dzieci: kiedy pomścisz brata? Inni chłopcy, jak uczyli mnie łowić ryby, pytali:

kiedy pomścisz brata? Za każdym razem, gdy ktoś pytał, pytanie nabierało nowego życia. Po latach, kiedy nie chciałem być nijak podobny do ojca, teraz chciałem być nim. Tylko że był moim dziadkiem; chciałem być jak mój dziadek. Babcia postradała zmysły od pragnienia pomsty.

– Gdzie ona mieszka?

– W domu zbudowanym i potem opuszczonym przez wielkie ptaki – odparł wuj. – Pół dnia wędrówki od wioski, jak będziesz się trzymać brzegu rzeki.

Usiadłem za spichlerzem.

Pozostałem tam przez całe dnie.

Nie mówiłem z nikim.

Wuj wiedział, że najmądrzej dać mi spokój. Rozmyślałem o dziadku i wuju, próbowałem ułożyć sobie w głowie, jak wyglądał ojciec. Ale to zawsze ulatywało i zostawałem z dziadkiem i matką, oboje nadzy, ale się nie dotykali. Co tragarz ma zrobić z tym, czego unieść nie może, zrzucić? Czy dać się przygnieść? Byłem głupcem, bo oni wszyscy wiedzieli. Byłem zwierzęciem, które zabije pierwszą osobę rozprawiającą o ojcach i dziadach. Ojca nienawidziłem jeszcze mocniej. Dziadka. Przez tyle księżyców powtarzałem sobie, że nie potrzebuję ojca. Doszło między nami do kuksańców i ciosów, między ojcem a mną. A teraz, gdy nie miałem nikogo, pragnąłem go. Teraz, gdy już wiedziałem, że z siostry zrobiłby ciotkę, pragnąłem go zabić. I matkę. Wściekłość, może wściekłość postawi mnie na nogi, wyprostuje, pogna, ale wciąż tam siedziałem, obok spichlerza. Bez ruchu. Łzy polały się i wyschły bez mojej wiedzy, a gdy się połapałem, nie chciałem dać temu wiary.

– Pierdolić bogów, bo teraz czuję, że mogę skakać po niebie – powiedziałem głośno. Krew z krwi była ograniczeniem, ród więzami. Jestem

wolny, powtarzałem sobie. Tak mówiłem dzień i noc przez trzy dni.

Nigdy nie wyruszyłem na poszukiwania babci. Bo co by zrobiła poza tym, że powiedziałaby mi więcej, czego nie chciałem usłyszeć? Tego, co wyjaśniłoby mi przeszłość, ale przyniosłoby więcej łez i smutku? A od smutku zbierało mi się na rzyganie. Poszedłem do człowieka, który stawiał ognisko przed swoją chatą. Dlaczego jego chaty, jego spichlerza, jego ognisk nie doglądała kobieta, o to nie spytałem. Jak na chłopca, który nie był jeszcze mężczyzną, piął się wysoko.

– Wezmę cię na zareba i zyskasz męskość – powiedział. – Ale musisz zabić nieprzyjaciela przed następnym księżycem, inaczej ja zabiję ciebie.

– W swojej głowie nazywam cię chłopcem w poświacie – odpowiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo skórę miałeś ciemnobiałą jak księżyc, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem.

– Matka woła na mnie Kava.

– Gdzie ona? Gdzie twój ojciec, siostra, bracia?

– Choroba nocna, wszyscy pomarli. Moja siostra ostatnia.

– Kiedy?

– Od tego czasu słońce cztery razy okrążyło świat.

– Niedobrze mi się robi od mówienia o ojcach. I dziadkach. O rodach.

– Ostudź gniew, jak ja zrobiłem.

– Chciałbym, aby krew mogła się wypalić.

– Ostudź gniew.

– Miałem ich i ich straciłem i teraz zostało mi kłamstwo, ale prawda jest jeszcze gorsza. Głowa mi przez nich płonie.

– Pójdziesz ze mną na zareba.

– Wuj mój mówi, że ja niezdatny na zareba.

– A więc ciągle słuchasz swojego rodu.

– Wuj mówi, że nie jestem mężczyzną. Że kobieta na koniuszku nie została odcięta.

– To odciągnij skórkę.

Na tyłach jego domu było już niedaleko do rzeki. Poszliśmy na brzeg. Niósł tykwę. Zgarnął wodę na dłoń, wlał ją do tykwy i przywołał mnie skinieniem ręki. Stanąłem w bezruchu, a on wziął trochę mokrej białej gliny i pomalował mi twarz. Naznaczył szyję, pierś, nogi, łydki, pośladki też. Potem zanurzył dłoń w wodzie i porysował moją skórę jak wąż, co łaskocze. Zaśmiałem się, ale on był jak kamień. Naniósł linie na moich plecach, aż po nogi. Chwycił mój napletek, pociągnął mocno i spytał, co ma zrobić z tym pomarszczonym korzonkiem. Słowa padały wśród drzew, ale nie zwróciłem na to uwagi. Kava powiedział:

– Pragnąłbym mieć nieprzyjaciela, na którym pomściłbym matkę i ojca. Ale czy kiedykolwiek był człowiek, co zabił powietrze?

3

Oto co widziałem.

Trzy dni i cztery noce w chacie Kavy. Wuj nie wyrażał sprzeciwu. Był głową domu i pod słońcem, i pod księżycem, i uważał, że patrzę na jego żony z taką samą rozdziawioną gębą i wywieszonym językiem jak one na mnie. Prawda, domostwo wujowe było tak duże, że mogliśmy chodzić od nowiu do pierwszej kwadry i ani razu się nie zetknąć. Ale potrafiłem wywąchać, co on chowa przed swoimi kobietami – kosztowne dywany z miasta pod tanimi, drogie skóry zdjęte z wielkich kotów pod tanimi szczecinami zdjętymi z zebry, złote monety i fetysze w sakiewkach cuchnących zwierzęciem, z którego skóry je uszyto. Chciwość przymuszała go do ukrywania wszystkiego, przez co nawet sam wyglądał na mniejszego z tym swoim dużym brzuchem.

Chata Kavy.

Na ziemi trzymał tkaniny i skóry, które stawały się odzieniem, gdy je podnosiłem. Czarny pył w tykwie do polerowania ścian na nowo. Dzbany z wodą, dzbany do ubijania masła, tykwa i nóż do utaczania krwi z krów. Był to dom wciąż prowadzony przez matkę. Nigdy nie spytałem, czy jego rodzice zostali pogrzebani tuż pod spodem, czy też ojciec zostawił go z matką, żeby się wyuczył kobiecej roboty, bo nie chodził na polowania.

Nie chciałem wracać do wuja i nie zamierzałem mówić z głosami w drzewach, bo nigdy nie dały mi niczego, a teraz czegoś ode mnie żądały. Zostałem w chacie Kavy.

– Czemu żyjesz sam?

– Pytaj o to, o co chcesz spytać, chłopcze.

– Pierdolić bogów, powiedz mi więc, co chcę wiedzieć.

– Chcesz wiedzieć, jakim cudem żyje mi się tak dobrze bez matki i ojca. Dlaczego bogowie obdarzają moją chatę uśmiechem.

– Nie.

– To samo tchnienie niesie wieść o twoim ojcu i mówi ci, że umarł. Nie mogę…

– No to nie – odparłem.

– A dziadek twój to ojciec kłamstwa.

– Skoro tak.

– Jak każdy ojciec – dopowiedział i się roześmiał. I rzekł jeszcze: – Ta starszyzna, mówią i śpiewają wstrętnymi ustami, że mężczyzna to nic, tylko krew rodowa. Ta starszyzna to głupcy, a ich wierzenia stare. Wypróbuj nowego wierzenia. Ja próbuję co dzień.

– Jak to?

– Zostań przy rodzinie, a krew cię zdradzi. Mnie żadni Gangatom nie szukają. Ale ci zazdroszczę.

– Pierdolić bogów, czego tu zazdrościć?

– Lepiej poznać swój ród, gdy już odeszli, niż patrzeć, jak odchodzą.

Odwrócił się do ciemnego kąta w chacie.

– Jak się wywiedziałeś o obyczajach kobiety i mężczyzny? – spytałem.

Roześmiał się.

– Podglądałem nowe kobiety i nowych mężczyzn w lesie. U Luala Luala, ludu żyjącego nad Gangatom, tam mężczyzna żyje z mężczyzną jak z żoną i kobieta z kobietą jak z mężem, mężczyzna i kobieta bez mężczyzny i kobiety, żyją wedle swoich pragnień, a w tym wszystkim nie ma nic dziwnego.

Skąd to wiedział, skoro nie był jeszcze mężczyzną, o to nie spytałem. Rankiem poszliśmy na skały nadrzeczne, żeby domalować to, co nocą zmył pot. Nocą znałem go, jak on znał mnie, kiedy chciał iść spać, jego brzuch dotykał moich pleców w rytm oddechu. Albo twarz przy twarzy, jego ręka między moimi udami, podgarniająca moje jądra. Mocowaliśmy się i zmagaliśmy, łapaliśmy i szarpaliśmy jeden drugiego, aż błyskawica trzasnęła wewnątrz nas.

Jesteś człowiekiem, który zna się na rozkoszy, inkwizytorze, choć swoją rozporządzasz samolubnie. Wiesz, co czujesz, nie w ciele, ale w sercu, gdy sprawisz, że w mężczyźnie huknie błyskawica? Albo w kobiecie, bo zadałem się z wieloma. Dziewczę, któremu nie wycięli wewnętrznego chłopca, po dwakroć jest pobłogosławione przez boga rozkoszy i obfitości.

Oto moja wiara. Pierwszy mężczyzna zazdrościł pierwszej kobiecie. Jej błyskawica była przepotężna, jej krzyki i jęki dostatecznie głośne, aby zbudzić umarłych. Mężczyzna ten nie mógł się pogodzić, że bogowie obdarzyli słabą kobietę takim bogactwem, więc nim każda dziewczyna stała się kobietą, mężczyzna gotował się, aby to skraść, wyciąć i wyrzucić do lasu. Ale bogowie włożyli to, schowali głęboko, żeby żaden mężczyzna nie mógł znaleźć. Mężczyzna za to zapłaci.

Widziałem więcej.

Dzień nastał, ale słońce się kryło. Kava powiedział, że idziemy do buszu i nie wrócimy przed upływem jednego księżyca. Dobrze, pomyślałem, bo wszystko we mnie chorowało od myślenia o rodzinie. Od myślenia o czymkolwiek Ku. Uznałem, że jak zostanę tutaj dłużej, przemienię się w jednego z Gangatom i zacznę zabijać, aż w wiosce zrobi się dziura tak wielka jak ta, co ją widzę, kiedy zamykam oczy. Martwe nie kłamie, nie oszukuje, nie zdradza, a czymże jest rodzina, jak nie siedliskiem, gdzie trójca ta pleni się jak mech?

– Byle na tak długo, żeby wuj za mną zatęsknił – powiedziałem.

Miałem nadzieję, że to będzie polowanie. Chciałem zabijać. Lecz wciąż lękałem się żmij, a Kava szedł pośród kłaniających się drzew, klęczących roślin, tańczących kwiatów, jakby znał drogę. Dwa razy się zgubiłem, dwa razy jego biała ręka przepchnęła się przez gęste listowie, żeby mnie chwycić.

– Zrzuć brzemię i maszeruj – powiedział.

– Co?

– Brzemię. Nie daj się niczemu powstrzymać, a zrzucisz to jak wąż skórę.

– Dzień, w którym usłyszałem, że mam brata, był dniem, w którym straciłem brata. Dzień, w którym usłyszałem, że mam ojca, był dniem, w którym straciłem ojca. Dzień, w którym usłyszałem, że mam dziadka, był dniem, w którym usłyszałem, że to tchórz, który rucha moją matkę. Żadnych wieści o niej. Jak mam zrzucić taką skórę?

– Maszeruj – odparł Kava.

Szliśmy przez busz, bagna i puszczę, i wielkie solnisko z rozpaloną, spękaną białą ziemią, aż dzień uleciał. Każda chwila w buszu wstrząsała mną, a nocą wciąż na zmianę zasypiałem i wyrywałem się ze snu. Nazajutrz, po długim marszu i moich skargach na długi marsz, usłyszałem kroki nad głową pośród drzew i spojrzałem do góry. Podąża za nami, odkąd ruszyliśmy na południe, powiedział Kava. Wysoko na drzewie był czarny lampart. Szliśmy, szedł. Przystawaliśmy, przystawał. Ścisnąłem mocno dzidę, ale Kava zerknął do góry i zagwizdał. Lampart zeskoczył od przodu, popatrzył twardo i długo, warknął i umknął. Nic nie powiedziałem, bo co można powiedzieć komuś, kto właśnie mówił z lampartem? Ruszyliśmy dalej na południe. Słońce przesunęło się na środek szarego nieba, ale w dżungli, gęstej od zarośli i liści, było zimno. Do tego ptaki z tym ich uakakakaka

i kaukaukaukau. Dotarliśmy do rzeki, szarej jak niebo i płynącej leniwie. Nowe rośliny sterczały z przewróconego drzewa, które spinało oba brzegi rzeki. W połowie drogi z wody wystawało dwoje uszu, ślepia, nozdrza i jeden łeb szeroki jak łódź. Hipopotamica śledziła nas spojrzeniem. Paszcza rozwarta, głowa rozpołowiona, ryknęła. Kava odwrócił się i syknął na nią. Zanurzyła się w rzece. Po pewnym czasie dogoniliśmy lamparta, ale zaraz uciekł głębiej w las. Czekał jednak, gdy tylko za bardzo zostawaliśmy w tyle. Pociłem się coraz mocniej, choć w buszu zrobiło się jeszcze zimniej.

– Idziemy pod górę – powiedziałem.

– Pod górę to idziemy, zanim słońce skręciło na zachód – odrzekł Kava. – Weszliśmy na szczyt.

Wystarczy usłyszeć, że dół jest na dole, żeby dół się zmienił. Nie szedłem na południe, szedłem pod górę. Mgła zstąpiła nad ziemię i rozpostarła się dokoła. Dwa razy myślałem, że to duchy. Woda kapała z liści, grunt był grząski.

– Jesteśmy blisko – powiedział Kava, gdy miałem spytać.

Myślałem, że szukamy polany, ale zagłębialiśmy się coraz bardziej w las. Gałęzie kołysały się wokół, chłostały mnie po twarzy, pnącza owijały się wokół nóg, by mnie powstrzymać, drzewa pochylały się, aby na mnie spojrzeć, a każda rysa w korze była marsem. Kava zaczął mówić do liści. I złorzeczyć. Chłopiec w poświacie oszalał. Nie mówił jednak do liści, tylko do ludzi kryjących się pod nimi. Mężczyzna i kobieta, skóra jak popiół u Kavy, włosy jak srebrna ziemia, nie wyżsi niż od łokcia do środkowego palca. Yumboe, wiadomo. Dobre stworki leśnej gęstwiny, ale wtedy tego nie wiedziałem. Szli po gałęziach, aż Kava chwycił jedno i wtedy wdrapali mu się po rękach na ramiona. Oboje mieli włochate plecy i rozpalone oczy. Samiec siedział na prawym ramieniu Kavy, samica na lewym. Liliput sięgnął do torby i wyjął fajeczkę. Trzymałem się z tyłu, póki moja

żuchwa nie wróciła do ust, wpatrzony w wysokiego Kavę i dwoje niziołków, jedno zostawiające w powietrzu gęstą smugę dymu fajkowego.

– Chłopczyk?

– Tak – odparł liliput.

– Głodny?

– Nasycimy go jagodami i mlekiem maciory – odparła liliputka. – I odrobiną krwi.

Oboje mieli dziecięce głosy.

Przez długi czas wędrówki widziałem tylko plecy Kavy. Wyschnięte rzygi wyczułem, zanim doszliśmy do martwego mrowiska, na którym siedziała ta dziecina z kwiatem w ustach, wargi i policzki czerwone. Kava ukląkł z przodu, a liliput i liliputka zeskoczyli z jego ramion. Wziął dziecko w ramiona i poprosił o wodę. Wody, powtórzył i spojrzał na mnie. Przypomniałem sobie, że niosę jego bukłak. Nalał sobie trochę na dłoń i napoił dziecko. Para liliputów przyniosła tykwę z resztką loszego mleka. Patrzyłem nad ramieniem Kavy i dziecię się uśmiechnęło, dwa górne zęby jak u myszy, wszędzie indziej same dziąsła.

– Mingi – rzekł Kava.

– Co to?

Ruszył dalej z dzieciątkiem, nie odpowiadając. A potem przystanął.

– Bogowie nie mają na niego oka – odparł liliput. – Nie mogliśmy…

Nie dokończył.

Zobaczyłem dopiero, gdy owionął nas słodki smród. Dwie małe stopy wystające z buszu, podeszwy niebieskie. Muchy rozpętujące natrętną muzykę. Ostatni zjedzony posiłek podskoczył mi z powrotem do ust. Nawet gdy już odeszliśmy daleko, mdlący smród ciągnął się za nami. Zła woń, tak samo jak dobra, może wlec się za człowiekiem do jutra. Potem spadł mały

deszcz i drzewa roztoczyły wokół nas zapach owoców. Kava zakrył dziecięciu buzię dłonią. Przemówił, zanim zapytałem.

– Nie widziałeś jego ust?

– Usta dziecka, jak u każdego dziecka.

– Za duży jesteś, żeby być takim głupcem – odparł.

– Nie znasz moich lat i…

– Cisza. Chłopczyk jest mingi, tak samo ta zabita dziewczynka. W jego ustach widziałeś dwa zęby. Ale u góry, nie u dołu; dlatego to mingi. Dziecko, u którego górne zęby wyrosną przed dolnymi, jest przeklęte i musi być zgładzone. W przeciwnym razie klątwa dosięgnie matki, ojca, rodziny, na wioskę ściągnie suszę, głód i zarazę. Nasza starszyzna tak orzekła.

– A to drugie? Zęby też…?

– Mingi jest wiele.

– To mowa starych kobiet. Nie mowa miast.

– A czymże jest miasto?

– Jakie są inne mingi?

– Teraz idziemy. Dalej.

– Dokąd?

Lampart wyskoczył z buszu i para małych ludków ukryła się za plecami Kavy. Warknął, spojrzał do tyłu i ryknął. Pomyślałem, że chce, aby Kava oddał mu dziecię.

Przykucnął na ziemi, potem przewrócił się na grzbiet, przeciągnął i zatrząsł, jakby trawiła go choroba. Znowu warknął niby pies trafiony kamieniem. Przednie łapy się wydłużyły, tylne wydłużyły jeszcze bardziej. Zad się rozszerzył, wessał ogon. Futro zniknęło, ale ciągle był owłosiony. Turlał się, aż wreszcie zobaczyliśmy ludzką twarz, jednak ślepia wciąż były żółte i przeczyste jak piasek porażony błyskawicą. Włosy na głowie czarne

i dzikie, schodziły na skronie i policzki. Kava patrzył na niego, jakby na świecie człowiek co dzień oglądał takie dziwy.

– Oto skutki, kiedy nadejdzie się za późno – powiedział Czarny Lampart.

– Nawet gdybyśmy biegli, dzieciątko i tak by zginęło – odrzekł Kava.

– Za późno oznacza dni. Dwa dni się spóźniliśmy. Śmierć dziewczynki jest na naszych barkach.

– A więc jeszcze pilniej trzeba ratować to tutaj. Ruszajmy. Zielone węże już pochwyciły jego woń. Hieny złapały trop.

– Węże. Hieny. – Czarny Lampart wybuchnął śmiechem. – Pochowam to dziecię. Nie ruszę za wami, dopóki tego nie zrobię.

– Jak pochowasz? – spytał Kava.

– Coś znajdę.

– Wobec tego zaczekamy.

– Przez wzgląd na mnie nie trzeba.

– Nie z twojego powodu będę czekać.

– Pięć dni, Asani.

– Przychodzę, jak przychodzę, kocurze.

– Czekałem pięć dni.

– Trzeba było czekać dłużej.

Czarny Lampart warknął tak głośno, aż myślałem, że zmieni się z powrotem.

– Idź pochować dziewczynkę – powiedział Kava.

Czarny Lampart spojrzał na mnie. Wtedy chyba po raz pierwszy mnie zauważył. Pociągnął nosem, odwrócił głowę na bok i ruszył w busz.

Kava udzielił odpowiedzi, zanim zadałem pytanie:

– Jest taki sam jak inni w lesie. Bogowie go takiego stworzyli, ale zapomina się, kogo bogowie stworzyli najpierw.

To nie nie była odpowiedź na żadne z moich pytań.

– Jak na siebie trafiliście?

Kava wciąż wpatrywał się w busz, gdzie zniknął Lampart.

– Przed rytuałem zareba musiałem dowieść, że chłopiec bez matki godzien jest zostać mężczyzną, a więc gotów umrzeć jako chłopiec. „Musi przejść przez las, prześlizgnąć się obok wojowników Gangatom na otwartych polach. Nie wolno mu powrócić bez skóry wielkiego kota”. A teraz słuchaj, co się wydarzyło. Byłem w żółtym buszu. Usłyszałem trzask gałązki i płacz dziecka i zobaczyłem Lamparta trzymającego maleństwo za szyję. Kłami trzymał. Dobywam dzidy, a on warczy i upuszcza dzieciątko. Myślę, że uratuję malca, ale toto buczy i nie chce ucichnąć, dopóki Lampart znowu go nie podniesie w paszczy. Rzucam dzidą, chybiam, on mnie dopada i w mgnieniu oka widzę mężczyznę, który zaraz grzmotnie mnie pięścią. Jesteś zwykłym chłopcem, mówi. Poniesiesz dzieciątko. No to poniosłem. Znalazł dla mnie skórę martwego lwa, którą zabrałem dla wodza.

– Zwierzę mówi, żebyś poniósł dzieciątko mingi, a ty po prostu niesiesz? – spytałem.

– A czym jest mingi? Dowiedziałem się dopiero, jak doszliśmy do niej – odparł Kava.

– A czym nie jest… Ona to kto?

– Z nią właśnie mamy się spotkać.

– I od tamtej pory wymykasz się u końca każdego księżyca i zanosisz tej onej mingi? Twoja odpowiedź to jeszcze więcej pytań.

– Pytaj więc o to, co chcesz wiedzieć.

Umilkłem.

Czekałem, póki nie wrócił Lampart, pod postacią mężczyzny z twarzą wolną od zgryzot. Teraz szedł za nami, czasem tak daleko w tyle, aż myśla-

łem, że ruszył w swoją stronę, czasem tak blisko, że czułem, jak mnie obwąchuje. Biła od niego woń liści, przez które się przedarł, i świeża wilgoć rosy, trupia woń dziewczynki i świeże piżmo ziemi mogilnej pod paznokciami. Słońce gotowało się do zachodu.

Jak większość mężczyzn Kava nosił dwie wonie. Jedną, gdy po plecach spływał mu i wysychał pot, pot ciężkiej pracy. I drugą, co kryje się pod pachami, między nogami, między pośladkami, to, co się czuje, gdy zbliżyć się na tyle, by móc ustami dotknąć. Czarny Lampart miał tylko drugą woń. Nigdy wcześniej tego nie widziałem, mężczyzny o włosach z czarnej bawełny. Na plecach i nogach, kiedy mnie minął, żeby wziąć dziecię od Kavy. Jego pierś jak dwie małe góry, pośladki wielkie, nogi grube. Wyglądał, jakby miał zmiażdżyć dziecię w objęciach, ale jedynie zlizał mu kurz z czółka. Tylko ptaki mówiły. Oto byliśmy, człowiek biały jak księżyc, Lampart, co stał prosto jak człowiek, kobieta i mężczyzna nie wyżsi od krzaka i dziecię większe od nich obojga. Ciemność się rozpostarła. Liliputka przeskoczyła od Kavy do Lamparta, usiadła mu na ramieniu, śmiejąc się razem z dziecięciem.

Głos w moim wnętrzu szepnął, że łączą ich więzy krwi, a ja obcy. Kava nikomu nie powiedział, kim jestem.

Dotarliśmy do małego wzburzonego potoku. Duże skały i kamienie znaczyły jeden i drugi brzeg, pokryte zielonym mchem jak dywanem. Strumień bulgotał i pryskał mgiełką na zwieszone gałęzie, paprocie i łodygi bambusa. Lampart posadził dziecko na głazie, przykucnął na brzegu i nabrał wody w dłonie. Kava napełnił bukłak. Liliput bawił się z dziecięciem. Byłem zdziwiony, że nie zasnęło. Stanąłem obok Lamparta, ale wciąż nie zwracał na mnie uwagi. Kava znajdował się trochę dalej, wypatrywał ryb.

– Dokąd idziemy? – spytałem.

– Mówiłem ci.

– To nie jest żadna góra. Obeszliśmy dokoła, a potem ruszyliśmy w dół parę kroków temu.

– Dotrzemy tam za dwa dni.

– Gdzie?

Przykucnął, nabrał trochę wody i się napił.

– Chcę wracać – powiedziałem.

– Nie ma powrotu.

– Chcę wracać.

– No to idź.

– Kim dla ciebie jest Lampart?

Kava spojrzał na mnie i się roześmiał. Śmiech, który mówił, że nie jestem jeszcze nawet mężczyzną, ale sprawiam męskie kłopoty. Może do głosu dochodziła kobieta we mnie. Może powinienem chwycić własnego kutasa za skórę i zmiażdżyć kamieniem. Tak powinienem był powiedzieć. Nie podobał mi się ten człowiek-lampart. Nie znałem go, żeby móc nie lubić, ale i tak nie lubiłem. Śmierdział jak rów w dupie starca. Tak bym powiedział. Czy rozmawiacie bez mówienia? Czy znacie się jako bracia? Czy śpisz z ręką między jego nogami? Czy mam czuwać, póki księżyc się nie zaokrągli i nawet nocne stworzenia się pośpią, aby zobaczyć, czy on do ciebie przyjdzie – albo czy ty pójdziesz do Lamparta, położysz się na nim, może on na tobie, a może on jest jak jeden z tych, co mój ojciec ich lubił w mieście, co wkładają sobie mężczyznę do ust?

Dziecię, usiadłszy, roześmiało się do pary liliputów, bo robili miny i podskakiwali jak małpy.

– Nadaj mu imię.

Odwróciłem się. Lampart.

– Musi mieć imię – powiedział.

– Ja nie znam nawet twojego.

– Ja nie potrzebuję imienia. A jak ciebie ojciec nazwał?

– Nie znam swojego ojca.

– Nawet ja znam swojego ojca. Walczył z krokodylem, wężem i hieną tylko po to, żeby dostać obłędu od ludzkiej zawiści. Ale za antylopą gonił szybciej od geparda. Ty tak robiłeś? Gryzłeś najostrzejszym swoim zębem tak głęboko, że ciepła krew tryskała ci w usta, ale mięso ciągle tętniło życiem?

– Nie.

– Jesteś więc jak Asani.

– Mój wuj woła go Kava i wszyscy w wiosce też.

– Palisz pokarm, potem jesz. Jesz popiół.

– Odejdziesz dziś?

– Odejdę, jak będę chciał. Dziś tutaj śpimy. Rankiem poniesiemy dziecko przez nowe ziemie. Znajdę jedzenie, choć nie będzie go dużo, bo wszystkie zwierzęta słyszały nasze nadejście.

Wiedziałem, że tej nocy nie zasnę. Zobaczyłem, że Kava i Lampart odchodzą na stronę, płomienie prężyły się, zasłaniając widok. Powiedziałem sobie, że będę czuwał i pilnował. I tak zrobiłem. Zbliżyłem się do ognia na tyle, że prawie osmalił mi brew. Zszedłem nad rzekę, zimną teraz, aż mi zadygotały kości, i ochlapałem wodą twarz. Patrzyłem w mrok, podążając wzrokiem za białymi plamami na skórze Kavy. Zacisnąłem palce w pięść tak mocno, że paznokcie wbiły się w dłoń. Zamierzałem zobaczyć, co tych dwóch knuje, zamierzałem krzyczeć, syczeć albo kląć. Gdy więc Lampart obudził mnie szarpnięciem za ramię, podskoczyłem zdumiony, że zasnąłem. Wstałem, a Kava chlusnął wodą na ogień.

– Idziemy – powiedział Lampart.

– Dlaczego?

– Idziemy – powtórzył i odwrócił się plecami.

Zmienił się w kota. Kava zawinął dziecię w tkaninę i zarzucił je Lampartowi na grzbiet. Nie czekał. Potarłem powieki i znów otworzyłem oczy. Liliput i liliputka siedzieli na ramionach Kavy.

– Jedna sowa do mnie przemówiła – rzekła samiczka. – Dzień temu w buszu. Mówią, że czytasz wiatr. Tak? Mówią, że masz nos.

– Nie rozumiem.

– Ktoś, idą naszym śladem.

– Kto?

– Asani, to on mówi, że masz nos.

– Kto?

– Asani.

– Nie, nie, kto idzie naszym śladem?

– Idą nocą, nie za dnia – powiedział Kava.

– On mówi, że mam nos?

– Mówi, żeś tropiciel.

Idziemy, powiedział Kava, już się oddalając. Głębiej w mroku Lampart skakał z drzewa na drzewo, z dziecięciem uczepionym grzbietu. Kava mnie przywołał.

– Musimy ruszać – powiedział.

Wszędzie dokoła było ciemno, noc granatowa, zielona, szara; na niebie niewiele gwiazd. Ale wtedy busz nabrał sensu. Drzewa były rękami przepychającymi się przez ziemię i rozczapierzającymi krzywe palce. Wijący się wąż był ścieżką. Trzepoczące skrzydła nocy należały do sów, nie diabłów.

– Podążaj za Lampartem – nakazał Kava.

– Nie wiem, dokąd poszedł – odparłem.

– Właśnie, że wiesz.

Prawą ręką potarł mój nos. Lampart zmaterializował się wprost przed moją twarzą. Widziałem go i jego trop, dojrzały jak jego skóra w buszu.

Wskazałem.

Lampart odbił w prawo, a potem w dół pięćdziesiąt kroków, przekroczył strumień, skacząc z drzewa na drzewo, i ruszył na południe. Zatrzymał się i obszczał cztery drzewa, żeby zdezorientować tych, którzy podążali naszym śladem. Wiedziałem, że mam nos, jak powiedział Kava, ale nie wiedziałem, że mój nos potrafi tropić. Lampart bardzo się oddalił, wciąż jednak znajdował się tuż przed moim nosem. I Kava, i jego wonie, i liliputka, i róża, którą ona wcierała w swoje fałdy, i liliput, i nektar, który on wypił, i robaki, które zjadł, za dużo gorzkiego, gdy potrzebował słodkości, i bukłak, i woda w środku, śmierdząca bawołem, i potok. I więcej, i jeszcze więcej niż to, i jeszcze więcej, dość, by doprowadzić mnie do obłędu.

– Wydychaj wszystko – powiedział Kava.

– Wydychaj wszystko.

– Wydychaj wszystko.

Długo, powoli wypuściłem powietrze.

– A teraz weź wdech Lamparta.

Dotknął mojej piersi i pogłaskał wokół serca. Żal, że nie mogłem dostrzec jego oczu w ciemności.

– Wdychaj Lamparta.

I wtedy znowu zobaczyłem go nosem. Wiedziałem, dokąd idzie. A ten, kto przeraził Lamparta, zaczynał przerażać mnie. Wskazałem na prawo.

– Tędy – powiedziałem.

Biegliśmy całą noc. Za strumień i zwieszone gałęzie, biegliśmy wśród drzew o wielkich korzeniach, które sterczały ponad ziemią i wiły się po krainie w splotach i zawijasach. Tuż przed świtem wziąłem jeden za śpiącego pytona. Drzewa wyższe niż pięćdziesięciu chłopa stojących jeden na ramionach drugiego, a gdy tylko niebo się odmieniło, liście okazały się ptakami, które zaraz odfrunęły. Dotarliśmy do stepu z krzakami i chwastami, co się-

gały nad kolano, bez drzew. Dotarliśmy do solniska w nisko położonej dolinie z białą ziemią, która oślepiała nas światłem i chrzęściła pod stopami, żadnego zwierzęcia jak okiem sięgnąć, a to oznaczało, że ci, co za nami podążali, widzieli nas z daleka. Nic nie mówiłem. Step rozciągał się od ostatnich chwil nocy do pierwszych chwil dnia, kiedy wszystko jest szare. Woń Lamparta przede mną jak lina albo ścieżka. Dwa razy byliśmy blisko, ażeby go zobaczyć, biegł na czworakach, z dziecięciem przywiązanym na grzbiecie. Innym razem trzy lamparty biegły obok niego, zostawiły nas w spokoju. Mijaliśmy słonie i lwy, przepłoszyliśmy kilka zebr. Przeszliśmy przez zagajnik z rzadkim listowiem, jakby to były szkielety, nie drzewa, a ich szepty głośniejsze. I wciąż biegliśmy.

Ranna godzina nastawała jakby z wahaniem. Czwarty dzień, odkąd Kava i ja wyruszyliśmy z wioski. Liliputka powiedziała, że ten, kto nas tropi, śpi za dnia, a nocą poluje. Szliśmy. Za lasem zabitych drzew powietrze znów zrobiło się wilgotne, wdzierało się gęste nosem do płuc. Drzewa odzyskały listowie, listowie coraz ciemniejsze, większe. Dotarliśmy do pola drzew ogromniejszych niż wszystko, co widziałem dotąd w życiu. Zabrakłoby mi ludzi, żeby obliczyć wysokość. Nie drzewa to były, tylko zakrzywione palce pogrzebanych olbrzymów sterczące na wierzchu, porosłe trawą, gałęziami, zielonym mchem. Wielkie łodygi wybijające z ziemi, sięgające nieba, ogromne łodygi wdzierające się w grunt jak rozwarta pięść. Minąłem jedną i obok była mysz. Wszędzie wokół kopce i małe wzgórza, nigdzie nic płaskiego. Wyglądało to, jakby kolejny ogromny palec miał się przepchnąć z dołu na świat, a za nim ręka i ramię, potem zielony człowiek wyższy nad pół setki domostw. Zielony, zielonobrązowy i ciemnozielony i zielony, co niebieski, i zielony, co żółty. Cały las ich.

– Drzewa oszalały – powiedziałem.

– Jesteśmy blisko – odparł Kava.

Mgła rozszczepiała światło na niebieskie, zielone, żółte, pomarańczowe, czerwone i kolor, co nie wiedziałem, że fiolet. Sto albo sto jeden kroków dalej wszystkie drzewa pochylone w jedną stronę, prawie splecione razem. Pnie rosnące ku północy i południu, wschód-zachód, strzelały w górę, zginały się w dół, wiły się jedno przez drugie i znowu po ziemi, jak dzika klatka, która miała czegoś nie wpuścić albo nie wypuścić. Kava wskoczył na drzewo, przygięte tak mocno, że prawie leżało płasko na ziemi. Gałąź była szeroka jak ścieżka i śliska od rosy na mchu. Przeszliśmy całą drogę do końca jednego drzewa i przeskoczyliśmy na drugie, zniżone pod nim, znowu szliśmy pod górę, przeskakując z pnia na pień, znowu wysoko, potem nisko, potem naokoło tyle razy, że dopiero przy trzecim zauważyłem, że idziemy nogami do góry, aleśmy nie spadli.

– A więc to zaczarowane lasy – powiedziałem.

– Porywcze, jak się nie zamkniesz – odparł Kava.

Minęliśmy trzy sowy stojące na gałęzi, które kiwnęły główkami do liliputki. Nogi mnie piekły, kiedy w końcu wyrwaliśmy się ku niebu. Chmury były wiotkie jak zimny oddech, a słońce żółte i wygłodniałe. Unosiło się przed nami podtrzymywane przez mgłę. Prawda, stał na gałęziach, ale ściany opierały się o pień, miał takie same kwiaty i mech. Dom zagnieżdżony w drzewach, koloru góry. Nie potrafiłem powiedzieć, czy wzniesiono drzewo dokoła gałęzi, czy gałęzie wyrosły, żeby je chronić. Prawda, że były trzy domy, całe z drewna i gliny, ze strzechą. Pierwszy mały jak chata, nie większy niż człowiek wysoki na sześć głów. Dzieci biegały, wpełzały do małej jamy z przodu. Dokoła domu wiły się schodki, prowadziły do drugiego powyżej. Tam bez schodków. Gałęzie ułożone prosto, tworzące stopnie, jakby drzewa uległy.

– Zaczarowane lasy – powtórzyłem.

Stopnie z gałęzi wiodły do drugiego domu, większego, z dużym otworem zamiast drzwi i strzechą. Z dachu wystawały schodki prowadzące do mniejszego domu, bez otworów, bez drzwi. Z drugiego domu wychodziły i wracały do niego dzieci, roześmiane, rozwrzeszczane, płaczące, krzyczące, ochy i achy. Nagie i brudne, pokryte gliną i owinięte w dorosłe szaty. Z otworu wyjrzał Lampart. Gdy golutki mały chłopczyk chwycił go za ogon, odwinął się i warknął, a zaraz potem polizał go po głowie. Wybiegło więcej dzieci, żeby powitać Kavę. Zaatakowały go razem, łapały to za nogę, to za rękę, jedno nawet wdrapało się po jego śliskich plecach. Roześmiał się i przygiął do podłogi, żeby mogły po nim przebiec. Niemowlę przepełzło mu po twarzy, rozmazując białą glinę. Wtedy chyba pierwszy raz zobaczyłem jego oblicze.

– W takim miejscu Król Północy trzymał żony, które nie mogły rodzić synów – powiedział. – Tutaj wszystkie dzieci to mingi.

– I ty też byś takim był, gdyby twoja matka wierzyła w dawne sposoby – powiedziała, zanim ją zauważyłem.

Głos miała donośny i chrapliwy, jakby w gardle nosiła piasek. Kilka dzieci pobiegło z Lampartem. W następnej kolejności zobaczyłem jej szaty, szaty, jakich nie widziałem od czasów miasta, żółte ze wzorem w zielone węże, powłóczyste, aż węże wyglądały na żywe. Zeszła po stopniach do pokoju, który tak naprawdę był sienią, otwartą przestrzenią ze ścianą z przodu i z tyłu, z bokami wystawionymi na gałęzie, liście i mgłę z nieba. Szata sięgała tuż pod jej pulchne piersi, a lewą ssał noworodek. Jej głowa owinięta czerwono-żółtą chustą, jakby buchała płomieniami. Wyglądała staro, lecz kiedy podeszła, zobaczyłem wejrzenie, które miałem widywać często, kobiety nie posuniętej w latach, ale wyniszczonej. Chłopczyk ssał mocno, z zamkniętymi oczkami. Chwyciła mnie za podbródek i popatrzyła mi w twarz, przekrzywiła głowę i zaglądnęła w oczy. Próbowałem wytrzy-

mać jej spojrzenie, ale odwróciłem wzrok. Roześmiała się i puściła mnie, dalej jednak patrzyła. Paciorki na paciorkach, rynna naszyjników sięgająca sutków. Pierścień zwisający z przekłutej dolnej wargi. Podwójny ścieg igielnych blizn wijący się z lewego policzka do prawego i do czoła. Znałem ten ślad.

– Ty z Gangatom – rzuciłem.

– Ty za to sam nie wiesz, kto ty – odrzekła. Zmierzyła mnie wzrokiem od samych stóp do głowy, która dziczała, ale nie tak bardzo jak u Lamparta. Patrzyła na mnie, jakbym odpowiadał na pytania bez otwierania ust. – Ale co w ogóle możesz wiedzieć, skoro biegasz z tymi dwoma wyrostkami?

Uśmiechnęła się. Tamci dwaj ciągle bawili się z dziećmi. Berbeć siedział na grzbiecie Lamparta, a Kava hałasował i zezował na dziewczynkę bielszą niż glina nad rzeką.

– Nigdy takiej nie widziałeś – stwierdziła.

– Albinoski? Nigdy.

– Ale słowo znasz. Miejskie obycie – fuknęła.

– Mam na sobie smród z miast?

– Twoje miejsce tam, gdzie dziecię urodzone bez koloru jest klątwą bogów. Choroba nawiedzi rodzinę, bezpłodność dopadnie kobiety. Lepiej rzucić takie hienom i modlić się o inne dziecię.

– Ja nie mam miejsca. Krokodyle na łowach szlachetniejsze serce mają niż wy, ludzie z buszu.

– A gdzie, chłopcze, żyją szlachetne serca, w mieście?

– Chłopcze to ojciec na mnie woła.

– Matko bogów, to mężczyznę mamy między nami!

– Nikt nie wydaje dziecka hienom ani sępom. Woła się zbieraczkę dzieci.

– A co zbieraczka z nimi robi w twoim drogocennym mieście? Jaki użytek z takiej jak ona dziewczynki? – Wskazała małą, a ta zachichotała. – Najpierw wysyłają wieści ptakami na niebie i bębnami na ziemi, może nawet zapis na liściu albo papierze do tych, co potrafią przeczytać. Mówią, słuchajcie, złapaliśmy albinoskę. Kim ci ludzie? Mów do mnie, chłopcze. Wiesz, jacy to ludzie?

Kiwnąłem głową.

– Czarownicy i kupcy, którzy sprzedają czarownikom. Za całe takie dziecko zbieraczka może dostać dobrą cenę. Ale żeby zgromadzić fortunę, za każdą część wylicytuje najwyższą zapłatę. Głowa dla wiedźmy z bagien. Prawa noga dla bezpłodnej. Kości zmielone na ziarno, żeby dziadkowi kutas stawał twardo do kilku kobiet. Palce na amulety, włosy do celów, jakie wskaże zaklinacz. Dobra zbieraczka dzieci może wziąć pięćdziesiąt razy tyle za części, co by wzięła za sprzedanie całego dziecka. A za albinoska podwójnie. Twoja zbieraczka własnoręcznie pokroi dziecię na kawałki. Wiedźmy płacą więcej, jak wiedzą, że kawałek, co im się dostał, wzięty z żywego jeszcze dziecięcia. Krew grozy maże im brew. Żeby szlachcianki z twojego miasta mogły zatrzymać szlachciców, żeby konkubiny nigdy nie rodziły dzieci swoim panom. W mieście, z którego przybywasz, tak właśnie postępują z dziewczynkami jak ta.

– Skąd wiesz, że przybywam z miasta?

– Twoja woń. Życie pośród Ku jej nie zamaskuje.

Nie zaśmiała się, chociaż się tego spodziewałem. To miasto nie było moje, abym miał go bronić. Ulice i sale budziły we mnie tylko odrazę. Nie przypadło mi jednak do smaku, że przemawia, jakby lata całe czekała na takiego, z którego może drwić. Męczyli mnie ludzie, co spojrzą na mnie raz i już im się wydaje, że wiedzą wszystko o moim rodzaju, a przecież o moim rodzaju niewiele można było wiedzieć.

– Dlaczego Kava mnie tutaj przyprowadził?

– Myślisz, że ja mu kazałam?

– Zabawy są dla chłopców.

– Odejdź więc, mały chłopcze.

– Przecież to ty kazałaś mnie przyprowadzić. Czego chcesz, wiedźmo?

– Nazywasz mnie wiedźmą?

– Wiedźmą, prukwą, pokrytą szramami suką z Gangatom, wybierz sobie.

Uśmiechnęła się szybko, żeby pokryć gniew, ale go zobaczyłem.

– Nie dbasz o nic.

– I nie zmieni tego starucha z oseskiem ssącym jałowego cyca.

Uśmiech spłynął z twarzy. Grymas jej niezadowolenia dodał mi odwagi; skrzyżowałem ręce na piersi. Lubić lubię. Nie lubić kocham. Wstręt umiem czuć. Odrazę potrafię wziąć w garść i ścisnąć. Nienawiść wykarmi mnie przez długie dni. Ale jak widzę uśmieszek niewzruszoności, tobym go najchętniej toporem zdjął z takiej zadowolonej twarzy. Kava i Lampart przestali się bawić i patrzyli na nas. Pomyślałem, że ona upuści dziecko i mnie uderzy. Ale ciągle je tuliła, usteczka ssące pierś, oczka zamknięte. Uśmiechnęła się i odwróciła. Wcześniej jednak moje spojrzenie powiedziało, sprawy lepiej będą stały na porozumieniu między nami. Znasz mnie, ale i ja znam ciebie. Poznałem cię całą nosem, zanim jeszcze zeszłaś po tych stopniach.

– Może ściągnęłaś mnie tutaj, żeby zabić. Może posłałaś po mnie, bo jestem Ku, a ty Gangatom.

– Jesteś nikim – odrzekła i ruszyła z powrotem na górę.

Lampart podbiegł na skraj podłogi i skoczył na drzewo. Kava siedział ze skrzyżowanymi nogami.

Przez kilka dni trzymałem się z dala od tej kobiety, a ona ode mnie. Ale dzieci to dzieci, nic innego jak dzieci. Znalazłem luźny kawałek tkaniny przeznaczony dla mingi i przewiązałem się nim w pasie. Prawda, czułem,

że miasto odżyło we mnie, że nie spisałem się jako człowiek lasu. Kiedy indziej przeklinałem własne marudzenie i zastanawiałem się, czy jest inny chłopiec albo mężczyzna, który tak wybrzydza z ubiorem. Piątej nocy rzekłem sobie, że to nie jest ani ubranie, ani nieubranie, tylko to, co mam ochotę zrobić albo nie zrobić. Siódmej nocy Kava powiedział mi o mingi. Wskazywał każde dziecko i wyjaśniał, dlaczego rodzice postanowili je zabić albo pozostawić na śmierć. Te akurat miały szczęście, że były porzucone, ale się odnalazły. Czasem starszyzna obstaje, żeby dopilnować śmierci dziecka, więc matka albo ojciec topią je w rzece. Opowiedział to wszystko, siedząc na podłodze w środkowym domu, a dzieci pospały się na matach i skórach. Wskazał dziewczynkę o białej skórze.

– Ma barwę demonów. Mingi.

Chłopiec o dużej głowie próbował złapać świetlika.

– Górne zęby wyrosły przed dolnymi. Mingi.

Inny chłopiec już spał, ale ciągle wyciągał rękę i chciał złapać powietrze.

– Jego brat bliźniak umarł z głodu, zanim zdążyliśmy ocalić obu. Mingi.

Kulawa dziewczynka przykuśtykała na swoje miejsce na podłodze, z lewą stopą wygiętą w niedobrą stronę.

– Mingi.

Kava zamachał rękoma, nie wskazując nikogo.

– Niektóre urodzone z nieślubnego łoża. Usuniesz mingi, usuniesz hańbę. I ciągle można wydać się za mężczyznę z siedmioma krowami.

Popatrzyłem na dzieci, większość śpiących. Wiatr spowolnił, liście się kołysały. Nie potrafiłem powiedzieć, ile księżyca nadgryzła ciemność, ale poświata była dość jasna, żebym widział oczy Kavy.

– Gdzie idą klątwy? – spytałem.

– Co?

– Te wszystkie dzieci są przeklęte. Jak je tu zatrzymasz, zatrzymasz klątwę na klątwie. Ta kobieta to wiedźma? Jest obeznana z usuwaniem klątwy, takiej, co pochodzi z łona? Czy tylko gromadzi tu jedną za drugą?

Nie potrafię opisać wyrazu jego twarzy. Dziadek patrzył tak na mnie przez cały czas, przez cały dzień w dniu, w którym odszedłem.

– Być głupcem to też klątwa – odrzekł.

4

Kava i Lampart ratowali mingi przez dziesięć i dziewięć księżyców.

Lampart nie spał na podłodze w domu nawet wtedy, gdy był człowiekiem. Każdego wieczoru wspinał się coraz wyżej na drzewo i nocował między dwiema gałęziami. W człowieka zmieniał się we śnie – widziałem to – ale nie spadł. W niektóre noce zapuszczał się daleko w poszukiwaniu pożywienia. Jednej była pełnia – dwadzieścia i osiem dni po tym, jak odszedłem od Ku. Zaczekałem, aż Lampart się oddalił, i ruszyłem za jego wonią. Pełzałem po gałęziach wijących się na północ, zsuwałem po gałęziach wijących na południe, biegłem po gałęziach ciągnących się płasko, ze wschodu na zachód, jak droga.

Gdy go odnalazłem, właśnie zatargał ją w paszczy między gałęzie, jego głowa potężna jak nigdy dotąd. Antylopę, którą zabił zaciśnięciem szczęk na szyi. Powietrze ciężkie od świeżej zdobyczy. Chapnął u nasady tylnej nogi i oderwał ją, żeby dostać się do miększego mięsa blisko brzucha. Krew pobrudziła mu nos. Odgryzł więcej kęsów, przeżuł i połknął szybko, jak krokodyl. Łup o mało nie wyślizgnął mu się z łap, gdy mnie zobaczył, i patrzyliśmy na siebie tak długo, aż zacząłem myśleć, że to może inny lampart. Kły odrywały czerwone mięso, ale ślepia wpatrywały się we mnie.

Nocą wiedźma szła do najwyższej chaty, tej bez drzwi. Byłem pewien, że wchodzi przez klapę w suficie, ale chciałem zobaczyć na własne oczy. Nadciągał świt. Kava leżał gdzieś pod stosem śpiących dzieci, sam też zmo-

rzony snem. Lampart wyszedł, żeby dokończyć to, co zostało z antylopy. Napłynęła gęstsza mgła, aż nie dostrzegałem schodków pod stopami.

– To wszystko musi ci się przydarzyć – powiedział głos, którego nigdy nie słyszałem. Małej dziewczynki.

Podskoczyłem, ale za mną ani przede mną nie było nikogo.

– Czemu nie wejdziesz na górę? – odezwał się inny głos. Kobiety.

– Tu nie ma drzwi – odpowiedziałem.

– Ty nie masz oczu.

Zamknąłem i otworzyłem oczy, ale ściana nadal była ścianą.

– Idź – powiedziała.

– Tu nie…

– Idź.

Wiedziałem, że wpadnę na ścianę, że ją przeklnę, ją i dziecko, które prawdopodobnie ciągle ssało jej pierś, bo może to wcale nie dziecko, ale krwiopijczy obayifo, który rzuca światło spod pach i dupska. Ruszyłem z zamkniętymi oczami. Dwa kroki, trzy, cztery i nie wyrżnąłem czołem w żadną ścianę. Gdy otworzyłem oczy, moje stopy znajdowały się już w pokoju. Był o wiele większy, niż myślałem, ale mniejszy niż chata poniżej. Na drewnianej podłodze, wszędzie rzeźbionej, znaki, zaklęcia, formuły, klątwy; teraz pojąłem.

– Wiedźma.

– Jestem sangoma.

– Brzmi dla mnie jak wiedźma.

– Znasz dużo wiedźm? – spytała.

– Wiem, że śmierdzisz jak wiedźma.

– *Kuyi re nize sasayi*.

– Nie jestem sierotą na tym świecie.

– Ale wiedziesz trudne życie chłopca, do którego nie chce się przyznać żaden mężczyzna. Słyszę, że ojciec twój nie żyje, a matka nie żyje dla ciebie. Więc kim jesteś? A dziadek…

– Przysięgam na boga.

– Którego?

– Zmęczony jestem zabawą słowami.

– Bawisz się jak chłopiec. Jesteś tu dłużej niż jeden księżyc. Czegoś się nauczył?

Narzuciłem milczenie między nami. Nadal się nie ukazała. Wiedziałem, że jest w mojej głowie. Przez cały ten czas wiedźma przebywała daleko i podrzucała mi swój głos. Może Lampart w końcu przedarł się kłami do serca antylopy i obiecał je wiedźmie. Może wątrobę też.

Coś delikatnego uderzyło mnie w głowę i ktoś zachichotał. Kulka trafiła mnie w rękę i odbiła się, ale nie usłyszałem, że spadła na podłogę. Druga uderzyła w ramię i też się odbiła, wysoko, bez dźwięku. Za wysoko. Podłoga wyglądała na niezaśmieconą. Trzecią złapałem, gdy trafiła mnie w prawe ramię. Dziecko znowu zachichotało. Otworzyłem dłoń i wyskoczyła z niej mała grudka koźlego gówna, wysoko, ale nie spadła. Spojrzałem do góry.

Ktoś nabłyszczył gliniany sufit grafitem. Z sufitu zwisała sangoma. Nie, stała na nim. Nie, była do niego przyczepiona i z góry patrzyła na mnie. Ale szata pozostała na swoim miejscu, nawet mimo lekkiego wiatru. Ubiór zakrywał piersi. Prawda, stała na suficie tak, jak ja stałem na podłodze. I dzieci, wszystkie dzieci leżały na suficie. Stały na suficie. Goniły się nad i pod, dokoła, dokoła, syczały i krzyczały, skakały i lądowały z powrotem na suficie.

A jakie dzieci? Dwa bliźniaki, każdy ze swoją głową, swoją ręką i nogą, ale z drugim złączony bokiem i wspólnym brzuchem. Mała dziewczynka

stworzona z siwego dymu ścigana przez chłopca o ciele tak dużym i okrągłym jak kula, bez nóg. Inny chłopiec o połyskliwej małej głowie i włosach zakręconych w punkciki, małe ciało, ale nogi długie jak u żyrafy. I jeszcze jeden chłopiec, biały jak dziewczynka z poprzedniego dnia, ale o oczach dużych i niebieskich niby jagody. I dziewczynka o twarzy chłopca za jej lewym uchem. I troje albo czworo, które wyglądały jak dzieci byle matki, ale stały do góry nogami na suficie i patrzyły na mnie.

Wiedźma ruszyła bliżej. Mogłem dotknąć jej czerepu.

– Być może my stoimy na podłodze, a ty na suficie.

Gdy tylko to powiedziała, oderwałem się od podłogi i szybko wystawiłem ręce, potem uderzyłem głową w sufit. W oczach mi zawirowało. Przede mną pojawiła się dziewczynka z dymu, ale nie przestraszyłem się ani nie zdziwiłem. Nie było czasu na myślenie, a jednak pomyśleć – pomyślałem, że nawet duch dziecka to najpierw dziecko. Moja ręka weszła w dziewczynkę i poruszyła dym. Mała zmarszczyła czoło i uciekła w powietrze. Złączone Bliźnięta wstały z podłogi i podbiegły do mnie. Pobaw się z nami, powiedziały, ale milczałem. Stały wpatrzone we mnie, jedna pasiasta przepaska biodrowa okrywała oba. Dziecko z prawej miało niebieski naszyjnik, to z lewej zielony. Chłopiec na długich nogach nachylił się nade mną, kolana wyprostowane, w luźnych powłóczystych spodniach, jakie nosił mój ojciec, w tym kolorze, którego nie znałem. Jak czerwień ciemną nocą. Purpura, powiedziała. Długonogi przemówił do Bliźniąt w języku, którego też nie rozumiałem. Wszyscy trzej śmiali się, aż w końcu wiedźma ich zawołała. Wiedziałem, kim są te dzieci, i wyznałem jej. To były mingi w pełnym rozkwicie swej klątwy.

– Byłeś kiedy w pałacu mądrości? – spytała z jedną ręką zwieszoną przy boku, z drugą wokół dziecka, które nie chciało sięgnąć jej sutka.

Mijałem ten pałac codziennie, wszedłem do środka niejeden raz. Jego brama stała zawsze otwarta, aby głosić, że mądrość jest dla wszystkich, ale byłem zbyt młody na nauki. Spytałem jednak:

– A gdzie ten pałac?

– Gdzie pałac? W mieście, z którego uciekłeś, chłopcze. Uczniowie zgłębiają prawdziwą naturę świata, nie głupotę starców. Pałac, w którym budują drabiny, żeby dosięgnąć gwiazd, i tworzą sztukę, co nie ma nic wspólnego z cnotą ani grzechem.

– Nie ma takiego pałacu.

– Nawet kobiety chodzą poznawać mądrość mistrzów.

– Tak jak są bogowie, tak nie ma takiego pałacu.

– Szkoda. Jeden dzień mądrości nauczyłby cię, że dziecię nie dźwiga klątwy, nawet takie, co urodziło się duszkiem, żeby umrzeć i narodzić się na nowo. Klątwa pada z ust wiedźmy.

– Tyś wiedźma?

– Boisz się wiedźm?

– Nie.

– Bój się swoich złych kłamstw. Z jakiej kobiety zdejmiesz odzienie takimi słonymi ustami jak twoje? – Patrzyła na mnie bardzo długo. – Jak możliwe, że to przegapiłam? Oczy mi ślepną od widoku chłopców szoga.

– A mnie uszy więdną od wiedźmowego gadania.

– A powinny więdnąć od tego, żeś głupiec.

Zrobiłem krok ku niej i dzieci zastygły, patrzyły na mnie. Wszystkie uśmiechy znikły.

– One nie mogą nic poradzić na to, jakie się rodzą, nie mają wyboru. Kiedy jednak postanowi się być głupcem…

Dzieci wróciły do bycia dziećmi, ale usłyszałem jej słowa mimo zgiełku zabawy.

– Gdybym była wiedźmą, przyszłabym do ciebie jako nadobny chłopiec, bo taki w twoim wnętrzu panuje porządek, nieprawda? Gdybym była wiedźmą, przyzwałabym tokolosze, ogłupiła go, żeś dziewczyna, kazała mu cię zgwałcić, kiedy jest niewidzialny co noc. Gdybym była wiedźmą, wszystkie te dzieci zostałyby zabite, poćwiartowane i sprzedane na targu w Malangice. Nie jestem wiedźmą, głupcze. Zabijam wiedźmy.

Trzy noce po pierwszym księżycu obudziła mnie burza w chacie. Nie było jednak deszczu, tylko wiatr miotał się z jednej strony pomieszczenia na drugą, przewracając dzbany i czary z wodą, grzechocząc półkami, przesiewając mąkę z sorgo i wyrywając niektóre dzieci ze snu. Na dywanie dygotała Dymka, rozlewając się poza własny kształt. Jęczała, z buzią stężoną jak skóra, a potem rozpadała się w dym, żeby zaraz zniknąć. Z jej twarzy wyłoniła się inna twarz, która też była cała z dymu, z przerażonymi oczami i rozwrzeszczanymi ustami, trzęsła się i krzywiła, jakby chciała wyskoczyć sama z siebie.

– Diabły burzą jej sen – powiedziała sangoma, przebiegając po Dymce.

Dwa razy chwyciła ją za policzki, ale skóra zaraz zmieniała się w opary. Dziewczynka znowu krzyknęła i tym razem usłyszeliśmy. Więcej dzieci się obudziło. Sangoma ciągle próbowała złapać ją za policzek, wołała, żeby obudzić. Zaczęła okładać dziewczynkę, mając nadzieję, że dym przemieni się w skórę na dłużej. Uderzyła ją dłonią w lewy policzek i dziewczynka zbudziła się i zakwiliła. Pobiegła prosto do mnie i wskoczyła mi na pierś, od czego bym się przewrócił, gdyby była cięższa od powietrza. Poklepałem ją po pleckach, ale ręka mi wpadła, więc poklepałem drugi raz, lżej. Chwilami była cielesna na tyle, żeby ją poczuć. Chwilami czułem, jak małymi rączkami trzyma mnie za szyję.

Sangoma kiwnęła głową na Żyrafika, który też się obudził, więc dał krok nad śpiącymi dziećmi, żeby podejść do ściany, gdzie stało coś zakryte bia-

łym płótnem. Chwycił to, sangoma podała mi żagiew i wszyscy wyszliśmy na dwór. Dziewczynka wciąż spała, obejmując mnie za szyję. Na zewnątrz panował głęboki mrok. Żyrafik postawił posąg na ziemi i ściągnął z niego płótno.

Stał i patrzył na nas jak dziecko. Wyrzeźbiony z najtwardszego drewna i owinięty tkaniną z brązu, z kauri w trzecim oku, z tyłu sterczące pióra, dziesiątki dziesiątków gwoździ wbitych w szyję, ramiona i pierś.

– Nkisi? – spytałem.

– Kto ci takiego pokazał – spytała sangoma, nie pytając.

– Widziałem na drzewie czarownika. Pokazał mi, co to.

– To nkisi nkondi. Tropi i karze zło. Zamiast mnie to on przyciąga siły zaświatów. Inaczej bym oszalała i knuła z diabłami, jak wiedźma. To lek w głowie i brzuchu.

– A dziewczynka? Miała po prostu niespokojny sen.

– Tak. A ja mam wieści dla tego, kto sen niepokoi.

Skinęła głową na Żyrafika, który wyciągnął gwóźdź wbity w ziemię. Wziął młotek i wbił gwóźdź w pierś nkisi.

– *Mimi naomba nguvu. Mimi naomba nguvu. Mimi naomba nguvu. Mimi naomba nguvu. Kurudi zauadi mara kumi.*

– Co zrobiłeś? – spytałem.

Żyrafik okrył nkisi, ale zostawiliśmy posąg na dworze. Chwyciłem dziewczynkę, żeby ją postawić, a teraz była twarda pod dotykiem. Sangoma spojrzała na mnie.

– Wiesz, dlaczego nikt nie napada na to miejsce? Bo nikt go nie widzi. To jak opary trucizny. Ludzie, którzy zgłębiają zło, wiedzą, że jest miejsce dla mingi. Ale nie wiedzą, gdzie jest to miejsce. To nie znaczy jednak, że nie mogą wysyłać czarów w powietrze.

– Co zrobiłaś?

– Oddałam dar darczyńcy. Dziesięć razy.

Odtąd budziłem się w siwym dymie, z dziewczynką leżącą na mojej piersi, zsuwającą się po udzie do stopy, siedzącą na głowie. Uwielbiała siedzieć mi na głowie, kiedy próbowałem iść.

– Oślepiasz mnie – mówiłem.

Ale ona tylko chichotała, a brzmiało to jak wiatr w liściach. Byłem rozgniewany, a potem nie byłem, brałem to takie, jakie było, prawie przez cały czas na mojej głowie albo ramionach siedział obłok siwego dymu.

Pewnego razu ja i Dymka wybraliśmy się z Żyrafikiem do lasu. Szliśmy tak długo, że aż nie zauważyłem, że nie jesteśmy już na drzewie. Po prawdzie podążałem za chłopcem.

– Dokąd idziesz? – spytałem.

– Szukam kwiatu.

– Tu wszędzie kwiaty.

– Idę szukać kwiatu – powtórzył i zaczął brykać.

– Zwolnij, dziecko. Twój hyc to dla nas cały skok.

Przyhamował, ale i tak musiałem szybko przebierać nogami.

– Długo mieszkasz z sangomą?

– Niedługo chyba – odpowiedział. – Wcześniej liczyłem dni, ale ich tak dużo.

– Oczywiście. Większość mingi zabija się zaraz po urodzeniu albo zaraz po wyrośnięciu pierwszych zębów.

– Mówiła, że będziesz chciał wiedzieć.

– Kto, sangoma?

– Mówiła, że będziesz chciał wiedzieć, dlaczego tyle dożyłem, skoro jestem mingi.

– A jak brzmi twoja odpowiedź?

Usiadł w trawie. Nachyliłem się, a Dymka zgramoliła się z mojej głowy jak szczur.

– O, jest. Jest mój kwiat.

Zerwał małą żółtą roślinkę wielkości jego oka.

– Sangoma uratowała mnie od wiedźmy.

– Od wiedźmy? A dlaczego wiedźma cię nie zabiła, jak byłeś mały?

– Sangoma mówiła, że niejeden kupiłby moją nogę do uprawiania występnego rzemiosła. A noga chłopca większa od nogi dzieciątka.

– No pewnie.

– Ciebie ojciec sprzedał?

– Sprzedał? Co? Nie. Nie sprzedał. Ojciec nie żyje.

Popatrzyłem na niego. Poczułem chęć, by się do niego uśmiechnąć, ale poczułem też, że jestem przez to fałszywy.

– Wszyscy ojcowie powinni umrzeć, gdy tylko się rodzimy – powiedziałem.

Spojrzał na mnie dziwnie, jak dziecko, co usłyszało słowa, których rodzice nigdy nie powinni wypowiedzieć.

– Nazwijmy kamień jego imieniem, przeklnijmy go i zakopmy – dodałem.

Żyrafik się uśmiechnął.

O dzieciach da się powiedzieć jedno. Zawsze znajdą w tobie coś do użycia. I jeszcze da się powiedzieć drugie. Nie potrafią sobie wyobrazić świata, w którym człowiek ich nie kocha, bo co robić, jak ich nie kochać? Chłopiec-kula zorientował się, że mam nos. Ciągle wtaczał się na mnie, o mało nie przewracając, i krzyczał. Znajdź mnie!, krzyczał i turlał się dalej.

– Oczy miej zam… – wołał, ale nie kończył, bo przetaczał się po swoich ustach.

Nie używałem nosa. Chłopiec zostawiał po sobie szlak kurzu na suchej błotnistej ścieżce i tratował trawę w buszu. Krył się za drzewem zbyt wąskim, żeby zasłonić jego okrągłe ciało. Gdy skoczyłem od tyłu i krzyknąłem: widzę cię, spojrzał mi w otwarte oczy i wybuchnął płaczem, zawodził i wrzeszczał. I lamentował, a lamentować potrafił. Myślałem, że nadbiegnie sangoma z zaklęciem, że nadbiegnie Lampart gotów mnie rozszarpać. Dotknąłem jego twarzy, pogłaskałem go po czole.

– Nie, nie, nie… Ja… Schowaj się jeszcze raz… Dam ci… owoc, nie, ptaka… przestań płakać… przestań… inaczej…

Usłyszał to w moim głosie, coś jakby groźbę, no i rozpłakał się jeszcze głośniej. Tak głośno, że przeraził mnie bardziej, niż mogą demony. Pomyślałem, żeby uderzeniem w usta zdusić ten płacz, ale wtedy byłbym własnym dziadkiem.

– Proszę cię – powiedziałem. – Proszę. Oddam ci cały swój kleik.

Wnet przestał płakać.

– Cały?

– Nie umoczę nawet palca, żeby go oblizać.

– Cały? – spytał znowu.

– Idź, schowaj się jeszcze raz. Obiecuję, że teraz będę używał tylko nosa.

Zaczął się śmiać tak szybko, jak wcześniej płakać. Potarł czołem o mój brzuch, a potem potoczył się chyżo, jak jaszczurka przemykająca na rozpalonej glinie. Zamknąłem oczy i wywąchałem go, ale przeszedłem obok pięć razy, wołając: gdzie jest ten chłopiec?, a on zachichotał, gdy wreszcie krzyknąłem, że czuję go nosem.

Za siedem dni mieliśmy żyć z sangomą już dwa księżyce. Spytałem Kavę, czy żaden Ku nie przyjdzie nas tu szukać. Spojrzał na mnie, jakby to spojrzenie miało wystarczyć za odpowiedź.

A teraz posłuchaj, kapłanie. Trzy opowieści o Lamparcie.

Pierwsza. Noc tłusta od gorąca. Czasem budziłem się, gdy wzmagała się woń mężczyzn w miejscu, w którym przebywałem, i wiedziałem, że nadciągają, konno, pieszo albo w stadzie szakali. Czasem budziła mnie woń słabnąca i wtedy wiedziałem, że odchodzą, uciekają, oddalają się albo znajdują kryjówkę. Woń Kavy słabła, Lamparta też. Nie było księżyca nocą, ale niektóre rośliny oświetlały szlak w ciemności. Pobiegłem po drzewach i uderzyłem stopą w gałąź. Walnąłem tyłkiem, walnąłem głową, stacałem się jak obluzowany głaz. Dwadzieścia kroków w gęstwinę, tam byli, pod młodym drzewem iroko. Lampart, płasko na brzuchu w trawie. Nie był człowiekiem; skórę miał czarną jak włosy, a ogon chłostał powietrze. Nie był lampartem; dłońmi uchwycił się gałęzi, grubymi pośladkami plaskał w Kavę, który ruchał go wściekle.

Jakże nienawidziłem Kavy. Czy to kobieca dziura na końcu mojej męskości kazała mi nienawidzić, nawet jeśli między moimi nogami była gałąź drzewa i moja nienawiść nie miała nic wspólnego z kobietą, bo na końcu mnie nie było kobiety, tylko dawna mądrość, która była głupotą, skoro czarownik tak mówił?

Chciałem zranić Lamparta i być Lampartem. Jakże czułem nosem to zwierzę i woń ta narastała, i jakże to ludzie inaczej pachną, gdy nienawidzą i się ruchają, i pocą, i umykają przed strachem, i jakże ja to wyraźnie smakowałem w nozdrzach, chociaż próbowali się zamaskować.

Jakie czarodziejstwo uprawiasz dzisiaj, inkwizytorze? Co winieneś wiedzieć?

Szoga? Pewnie, domyśliłem się. Czyż taki człowiek nie wie zawsze? Trzeci już raz wymówiłem to słowo, a ty tego nie znasz? Co się tyczy nas, mężczyzn szoga, znajdujemy w sobie jeszcze jedną kobietę, której nie da się wyciąć. Nie, nie kobietę, ale coś, o czym bogowie zapomnieli, że to

stworzyli, albo zapomnieli ludziom o tym powiedzieć, a może to i lepiej. Wysłuchasz mnie, inkwizytorze, bo kiedy tylko on tego dotknie, potrze mocno albo delikatnie, szarpnie, gdy jest we mnie, to ja tu zostanę i trysnę nasieniem na ścianę, o tam. Dosięgnę sufitu. Dosięgnę wierzchołka drzewa, rozpryskam ponad rzeką aż na drugi brzeg i trafię któregoś Gangatom w oko.

A więc się śmiejesz, inkwizytorze.

Nie pierwszy to raz słyszysz o szoga. Opisz ich poezją, jak my to robimy na Północy; mężczyźni o pierwotnej żądzy. Jak wojownicy Uzundu, którzy są bezwzględni, bo oczy mają tylko jeden dla drugiego. Albo nazwij ich wulgarnymi, jak to robią na południu, jak ci mugaue, którzy noszą niewieście szaty, żeby nie było widać dziury, którą się rucha. Wyglądasz jak basza, kupiec chłopców. A czemu by nie? Chłopcy to śliczne zwierzątka; bogowie dali nam sutki i dziurki, i to nie kutas ani pipka się liczą, tylko złoto w twojej sakiewce.

Szoga toczą wasze wojny, szoga strzegą waszej panny młodej w dniach przed zamążpójściem. Uczymy ich sztuki żonobycia i dbania o domostwo, i piękna, i tego, jak się przypodobać mężczyźnie. Nauczymy nawet mężczyznę, jak zadowolić żonę, żeby mu rodziła dzieci albo żeby co noc spryskiwał ją swoim mlekiem. Albo żeby drapała go po plecach i kuliła palce u nóg. Czasem gramy muzykę tarabu na korze, dżembe, dundunie i jeden z nas legnie jako kobieta, inny legnie jako mężczyzna i pokażemy mu sto dziewięć pozycji dających zadowolenie w miłości. Nie ma u was takiego obyczaju? Może dlatego lubisz młode żony, bo skąd miałyby wiedzieć, czy z ciebie posępny kochanek? Ja i Kava używaliśmy tylko rąk. Nie myślałem, że to dziwne, może dlatego, że ciągle niosłem kobietę na koniuszku. Raz poprosiłem czarownika, by odciął, po tym jak wuj zakazał. Spojrzał na mnie, utraciwszy całą mądrość, nie zostało w nim nic prócz zaskoczenia,

zmarszczka między brwiami, powieki zaciśnięte jak u człowieka tracącego wzrok.

– Pragniesz też jednej nogi czy może jednego oka? – spytał.

– To nie to samo – odparłem.

– Gdyby bóg Oma, co stworzył człowieka, chciał cię mieć pociętego, aby odsłonić takie ciało, sam by odsłonił. Może powinieneś odrąbać sobie głupią mądrość ludzi, którzy ciągle stawiają ściany z krowiego łajna.

Druga. Nazajutrz Lampart obudził mnie kopniakiem w twarz. Otworzyłem oczy i spojrzałem na niego, na dzikie krzaczaste włosy i w oczy, białe z małym czarnym punkcikiem w środku. Bardziej bałem się w nim człowieka niż lamparta. Jego wielka głowa i ramiona były przestrogą, że wciąż potrafi unieść zwierzęta nadrzewne trzy razy cięższe. Stanął mi na klatce piersiowej, z łukiem przerzuconym przez prawe ramię, z kołczanem pełnym strzał w lewej ręce.

– Budź się. Dziś nauczysz się używać łuku.

Zabrał mnie z domu, między skręcone pnie, na inne pole, które wydawało się położone daleko. Minęliśmy drzewko iroko, pod którym dał się wyruchać Kavie. Dalej i dalej, poza zasięg głosu małej rzeki, na inne pole drzew, tak wysokich, że szorowały o niebo, o gałęziach jak nogi pajęcze, wszystkich splątanych. Z tyłu włosy na jego głowie sięgały szyi, pleców, zbiegały się w czubek, kończyły nad pośladkami. Włosy wyrastały znowu na udach i ciągnęły się do stóp.

– Kava mówił, że jak spotkał cię pierwszy raz, próbował zabić cię dzidą.

– Gawędziarz z niego – odparł Lampart, nie zatrzymując się.

Przystanęliśmy na polanie, pierwsze drzewo z pięćdziesiąt kroków dalej. Lampart ściągnął łuk z ramienia.

– Ty jego, on twój? – spytałem.

– Prawdę mówiła sangoma o tobie – odrzekł.

– Ta baba może najwyżej trędowatemu rów wylizać.

Roześmiał się.

– W następnej kolejności będziesz pytał o miłość.

– No to czy u ciebie miłość do niego, a on kocha ciebie?

Popatrzył wprost na mnie. Albo wyrosły mu kocie wąsy, albo dopiero je zauważyłem.

– Nikt nikogo nie kocha – odpowiedział.

Odwrócił się i kiwnął głową w stronę drzewa. Drzewo rozłożyło ramiona na powitanie i odsłoniło dziuplę tuż obok miejsca, gdzie znajdowałoby się serce, dziuplę, którą mogłem przepatrzeć na wylot. Lampart już trzymał łuk w lewej ręce, w prawej cięciwę, wypuścił strzałę, która przeszła przez dziurę w drzewie, bezdźwięcznie, już napiął i strzelił znowu. Napiął i wypuścił trzecią, potem podał mi łuk. Myślałem, że będzie lekki, ale ciężki się okazał jak to dziecko w lesie.

– Patrz na moją rękę – powiedział i przysunął ramię pod mój nos.

Zrobił ruch w lewo, a ja podążyłem spojrzeniem. Ręka poszła daleko do tyłu i skręciłem szyję, żeby zobaczyć, czy chce mnie uderzyć albo inne małe zło zrobić. Ale potem poruszył prawą ręką i znowu patrzyłem, aż zniknęła.

– Trzymaj lewą – powiedział.

– Twoja strzała.

– Co moja strzała?

– Świeci się jak żelazo.

– Bo to żelazo.

– Strzały Ku to kość i kwarc.

– Ku ciągle zabijają dzieci, u których górne zęby wyjdą pierwsze.

Tak oto Lampart nauczył mnie zabijania łukiem i strzałą. Trzymaj łuk z boku oka, z którego korzystasz mniej. Napnij z boku oka, którego używasz bardziej. Rozstaw nogi na szerokość ramion. Strzałę na cięciwie trzymaj trzema palcami. Unieś i napnij łuk, dociągnij cięciwę do podbródka, wszystko chyżo. Mierz w cel i wypuść strzałę. Pierwsza pofrunęła w niebo, o mało nie strąciła sowy. Druga trafiła w gałąź nad dziuplą w pniu. Trzecia to nie wiem, w co trafiła, ale zakwiczało. Czwarta wbiła się w pień tuż nad ziemią.

– Ona się na ciebie złości – powiedział, wskazując drzewo.

Chciał, żebym zebrał strzały. Wyciągnąłem pierwszą z gałęzi i mała dziura się zasklepiła. Za bardzo się bałem, żeby wyrwać drugą, ale Lampart warknął, więc szybko szarpnąłem. Odwróciłem się, żeby uciec, lecz gałąź uderzyła mnie w twarz. Wcześniej jej tam nie było. Lampart się zaśmiał.

– Nie umiem celować – powiedziałem.

– Nie umiesz patrzeć – odparł.

Nie umiałem patrzeć bez mrugania, nie umiałem napiąć cięciwy bez dygotania, nie umiałem wycelować bez przestąpienia na złą nogę. Potrafiłem wypuścić strzałę, ale nigdy w chwili, gdy mi kazał, i nigdy nie trafiła tam, gdzie mierzyłem. Pomyślałem, żeby wycelować w niebo, to trafię w ziemię. Po prawdzie nie wiedziałem, że Lampart umie się śmiać tak bardzo. Ale nie zamierzał odejść, dopóki nie przepuszczę strzały przez dziuplę w pniu, a za każdym razem, kiedy trafiałem w drzewo, ono waliło mnie gałęzią, która albo zawsze tam była, albo nie było jej nigdy. Nocne niebo zrobiło się ciężkie, kiedy wreszcie wbiłem strzałę w cel. Lampart zgarnął kołczan i ruszył z powrotem, znak od niego, że skończyliśmy. Szliśmy ścieżką, której nie rozpoznałem, ze skałą, piaskiem i kamieniem pokrytymi mokrym mchem.

– Tu była rzeka.

– A co się z nią stało? – zapytałem.

– Nienawidzi woni człowieka, więc płynie pod ziemią, kiedy się zbliżamy.

– Prawda to?

– Nie. Koniec pory deszczowej.

Już chciałem powiedzieć, że za długo mieszka u sangomy, ale nie powiedziałem. Spytałem za to:

– Jesteś lampartem, co zmienia się w człowieka, czy człowiekiem, co zmienia się w lamparta?

Szedł dalej, stąpając po błocie, wspinając się na skały w korycie dawnej rzeki. Gałęzie i liście zasłaniały widok gwiazd.

– Czasem zapominam zmienić się na powrót.

– W człowieka.

– W lamparta.

– I co się dzieje, jak zapomnisz?

Odwrócił się i spojrzał na mnie, potem zacisnął usta i westchnął.

– Pod twoją postacią nie ma przyszłości. Mniejsza. Wolniejsza, słabsza.

Nie wiedziałem, co powiedzieć oprócz tego:

– Dla mnie wyglądasz szybszy, silniejszy i mądrzejszy.

– W porównaniu z kim? Wiesz, co zrobiłby prawdziwy lampart? Dawno już by cię pożarł. Pożarł wszystkich.

Nie przestraszył mnie, wcale nie chciał. Wszystko, co we mnie poruszał, znajdowało się poniżej pasa.

– Wiedźma lepiej umie żartować.

– Powiedziała ci, że jest wiedźmą? – spytał.

– Nie.

– Znasz zwyczaje wiedźm?

– Nie.

– No to albo gadasz dupą, albo pierdzisz gębą. Jesteś bezpieczny, chłopcze. Byłby z ciebie okropny posiłek. Mój ojciec się zmienił i zapomniał, jak zmienić z powrotem. Resztę życia spędził w nieszczęściu tej postaci.

– Gdzie jest teraz?

– Zamknęli go w celi dla szaleńców, kiedy dopadł go myśliwy jako człowieka ruchającego geparda. Uciekł, zaciągnął się na statek i popłynął na wschód. Przynajmniej tak słyszałem.

– Słyszałeś?

– Lamparty są sprytne, chłopcze. Możemy żyć wyłącznie w samotności. Zostaw to nam, a kradlibyśmy sobie nawzajem upolowaną zwierzynę. Matki nie widziałem, odkąd nauczyłem się sam zabijać antylopy.

– I nie zabijasz dzieci. To niespodzianka.

– Wtedy byłbym jednym z was. Wiem, gdzie matka ma leże. Widziałem swoich braci, ale gdzie grasują, to ich sprawa, tak jak moją jest, gdzie grasuję ja.

– Ja nie mam braci. Potem przybyłem do wioski i usłyszałem, że miałem jednego, ale Gangatom go zabili.

– A twój ojciec stał się twoim dziadkiem, Asani mi powiedział. A twoja matka?

– Matka gotowała sorgo i trzymała nogi rozłożone.

– Wystarczy jeden w rodzinie, żeby jej rozsunąć.

– Nie mam dla niej nienawiści. Nic dla niej nie mam. Gdy umrze, nie będę w żałobie, ale śmiać się też nie będę.

– Moja matka karmiła mnie piersią przez trzy miesiące, a potem dała mi mięso. To wystarczyło. No ale ja jestem zwierz.

– Mój dziadek był tchórzem.

– Twój dziadek to przyczyna, że żyjesz.

– Zamiast tego lepiej dać mi coś, z czego mógłbym być dumny.

– Bo niby nie masz dumy. Co by bogowie powiedzieli?

Podszedł do mnie, na tyle blisko, że poczułem jego oddech na policzkach.

– Mina ci skwaśniała – rzekł.

Wpatrywał się bacznie, jakby szukał zaginionej twarzy.

– Odszedłeś, bo twój dziadek to tchórz.

– Odszedłem z innych powodów – odparłem.

Odwrócił się i ruszył, rozkładając szeroko ramiona, jakby rozmawiał z drzewami, nie ze mną.

– Oczywiście. Odszedłeś, żeby znaleźć cel. Bo włóczęga, jedzenie, sranie i ruchanie to dobre rzeczy, ale cel żaden. Więc szukałeś, a to poszukiwanie zawiodło cię do Ku. Ale twój cel u Ku to zabijać ludzi, których nawet nie znasz. Moje słowo obowiązuje. Pod twoją postacią nie ma przyszłości. No i jesteśmy tutaj. Ty jesteś tutaj, a kobiety Gangatom kąpią swoje dzieci po drugiej stronie tej rzeki. Mógłbyś pójść zabić parę. Wyrównać rachunki. Może nawet przypodobać się bogom i ich ohydnemu poczuciu równowagi.

– Bluźnisz przeciw bogom?

– Jak bluźnisz, to znaczy, że wierzysz.

– Nie wierzysz w bogów?

– Nie wierzę w wierzenia. Nie, to fałsz. Wierzę, że w lesie będzie antylopa, w rzece ryba, a ludzie zawsze będą chcieli się ruchać, a to jedyny ich cel, który mnie zadowala. Ale mówimy o twoim celu. Twoim celem jest zabijać Gangatom. Tymczasem ty biegniesz do domu kobiety z ludu Gangatom i bawisz się z dziećmi mingi. Asaniego potrafiłem przejrzeć w jeden dzień, ale ciebie? Jesteś dla mnie zagadką.

– I coś wyczytał w Asanim?

– Możesz od tego odejść.

– Odszedłem.

– Ale nadal masz w sercu. Ludzie zabili twojego brata i ojca, a jednak to na własną rodzinę ciągle się gniewasz.

– Dosyć mam próbujących we mnie czytać.

– To przestań się rozkładać jak zwój.

– Jestem sam.

– Podziękuj bogom, inaczej twój brat byłby twoim wujem.

– Nie to miałem na myśli.

– Wiem, co miałeś na myśli. Jesteś sam. Ale serce ci choruje od bycia samemu. To nas różni. Naucz się nie potrzebować ludzi.

Poczułem woń chat nad nami.

– Ruchać bardziej lubisz jako człowiek czy zwierz? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– W tym pytaniu jest sól!

Kiwnąłem głową.

– Lubię jego pierś na mojej piersi, jego wargi na mojej szyi, lubię patrzeć na niego, jak się mną rozkoszuje. On lubi, jak mu ogonem chłoszczę twarz.

– To właśnie z niego wyczytałeś?

– Wyczytałem nogi, które zaniosły go tak daleko, jak może zajść.

– Masz dla niego miłość, a on dla ciebie?

– Miłość? Znam głód, strach i żar. Wiem, jak gorąca krew wlewa się do paszczy, gdy wgryzasz się w mięso świeżej zdobyczy. Asani to po prostu człowiek, który wszedł na mój teren i którego mogłem zabić. Ale odnalazł mnie w noc czerwonego księżyca.

– Nie rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Skoro mowa o terenie… – Poszedł od jednego pnia do drugiego, do trzeciego, zaznaczając ziemię szczynami. Zbliżył się do drzewa, które zaprowadziło nas na górę, i zmoczył u podstawy. – Hieny.

Podskoczyłem.

– Nadchodzą?

– Są tutaj. Obserwują nas z daleka. Nie dałbyś… a nie, nie znasz ich woni. Wiedzą, kto żyje na tym drzewie. A więc tak to jest z tobą? Jak poznasz woń, możesz trafić za nią wszędzie?

– Tak.

– Za moją?

– Tak.

– Jak długo?

– W tej chwili z zamkniętymi oczami mógłbym odnaleźć dziadka, nawet jakby był siedem, osiem dni drogi stąd. I każdą z jego trzech nałożnic, także tę, która przeniosła się do innego miasta. Czasem woni jest za dużo i mój umysł przeskakuje, mrocznieje i powraca ze wszystkim naraz, jakbym się obudził na miejskim placu i ludzie wrzeszczeli do mnie w mowie, której nie znam. Gdy byłem mały, musiałem zakrywać sobie nos, chętnie bym się zabił, jak robiło się za głośno od zapachów. Czasem nadal wariuję.

Patrzył na mnie długo. Pobiegłem spojrzeniem do chwastów jarzących się w mroku, próbowałem dostrzec kształty. Gdy ponownie odwróciłem głowę, ciągle na mnie patrzył.

– A wonie, których nie znasz?

– Pierd może równie dobrze pochodzić od kwiatu.

Trzecia historia.

Trzeba było nocy, bym się zorientował, że jesteśmy z sangomą już dwa księżyce.

– Dziesięć i siedem lat przechodziłam ukuthuasę, inicjację, żeby być sangomą – powiedziała.

Poszedłem do górnej chaty tego i każdego następnego ranka, kiedy czułem, że mnie wzywa. Dymka biegała mi po nogach i klatce piersiowej, siadała na głowie. Kulek podskakiwał dokoła. Sangoma obmacywała paciorki naszyjnika, który zakopała w ziemi trzy noce wcześniej, szeptała zaklęcie. Chłopczyk, który wcześniej ssał jej pierś, ciągle wbiegał teraz na ścianę, cofał się, wbiegał na ścianę, raz za razem, a ona go nie powstrzymywała. Dzień wcześniej powiedziała Lampartowi, żeby mnie zabrał do lasu i nauczył łucznictwa. A nauczyłem się tylko tego, że powinienem spróbować czegoś innego. Teraz rzucam toporem. Nawet dwoma jednocześnie.

– Dziesięć i siedem lat w czystości, korzenia się przed przodkami, uczenia się przepowiedni i rzemiosła mistrza, którego zwałam Iyanga. Poznałam, jak zamykać oczy i wykrywać to, co ukryte. Używać leków do odczyniania czarów. To święta chata. Przodkowie tu żyją, przodkowie i dzieci, niektórzy przodkowie odrodzeni. A niektórzy to po prostu dzieci z darem. Tak jak ty jesteś dziecko z darem.

– Nie jestem…

– Jesteś skromny, owszem. Tyle widać gołym okiem, chłopcze. Poza tym jesteś niecierpliwy, niemądry i niezbyt silny.

– A jednak kazałaś Kavie i Lampartowi przyprowadzić tutaj tego chłopca bez zalet. Mam odejść?

Odwróciłem się do drzwi.

– Nie!

Wyszło głośniej, niż chciała, oboje o tym wiedzieliśmy.

– Rób, jak uważasz – rzekła. – Wracaj do dziadka udającego ojca.

– Czego ty chcesz, wiedź… sangomo?

Skinęła głową na długonogiego chłopca. Poszedł na odległy koniec pomieszczenia i wrócił z tacą z plecionego bambusa.

– W trakcie mojej ukuthuasy mistrz powiedział mi, że będę miała dar dalekiego widzenia. Zbyt dalekiego.

– W takim razie zamykaj oczy.

– Musisz szanować starszych.

– Będę, gdy spotkam starszych godnych szacunku.

Roześmiała się.

– Tyle z ciebie wypływa przednią dziurą, że nic dziwnego, byś chciał, żeby coś weszło tylną.

Nie zobaczy u mnie urażonej miny. Nie usłyszy mnie, nie powącha. Nie przekaże wieści chłopcu w poświacie ani Lampartowi. Nie odsłonię się nawet na mgnienie oka.

– Czego chcesz?

– Popatrz na kości. Rzucam je co noc przez jeden księżyc i dwadzieścia nocy i zawsze spadają tak samo. Kość hieny spada pierwsza, co oznacza, że powinnam spodziewać się myśliwego. I złodzieja. I zaraz po pierwszej nocy tyś przyszedł.

– Ominęła mnie ta wiedza.

– Po co więc mieć dobrodziejstwo oczu? Znam dwóch, co lepiej by je wykorzystali.

– Kobieto…

– Nie skończyłam jeszcze. Użyj nosa, co ci go bogowie dali, bo inaczej następnym razem nie zauważysz żmii.

– Chcesz mieć mój nos?

– Chcę chłopca. Siedem nocy już go nie ma. Kości mi mówią, ale myślałam, że żaden chłopiec nie ucieknie daleko od dobrego jedzenia.

– Dobre nie to, co…

– Nie stawiaj mi się, młodzieńcze. Przestał wierzyć jak dziecko, przestał wierzyć w to, co mu mówiłam przez te wszystkie księżyce. Złodziejką

dzieci mnie nazwał! Tak to jest, jakie dziecko chciałoby wiedzieć, że własna matka porzuciła go na pastwę dzikich psów? Nazwał mnie złodziejką dzieci i poszedł szukać swojej matki. Nawet mnie uderzył, bo nie chciałam mu zejść z drogi. Moje dzieci były wstrząśnięte, inaczej ani chybi by go zabiły. Wskoczył na drzewo i pognał na południe.

Rozejrzałem się dokoła. Wiedziałem, że niektóre z tych dzieci zabiłyby mnie bez zwłoki.

– Odzyskasz chłopca – powiedziałem.

– A niech wpełźnie do zwiędłej matczynej pipy i przyszyje sobie życiodajny sznurek z powrotem do brzucha, nie dbam o to. Tyle że ukradł mi coś cennego.

– Klejnot? Dowód, żeś kobieta?

– Przeklęty będzie dzień, w którym twój umysł zacznie nadążać za ustami. Woreczek żółciowy kozła, którego złożyli w ofierze na moim rytuale inicjacyjnym. Od tej pory nosiłam go we włosach. Odszedł rankiem, ale woreczek zabrał poprzedniej nocy, kiedy spałam.

– Skradł ci z głowy.

– Mówię, że spałam.

– Myślałem, że zaczarowane istoty mają lekki sen.

– A co ty możesz wiedzieć o zaczarowanych istotach?

– Że budzi je byle co.

– To pewnie dlatego włóczysz się po nocy.

– Nie…

– W nadziei, że znajdziesz to, czego szukasz. Dość. Odzyskam go. Mówisz o wiedźmach. Bez woreczka wiedźmy dowiedzą się o tym miejscu. Może nie obchodzą cię dzieci, ale na pewno obchodzą cię złote monety.

– W wiosce nie trzeba mieć złotych…

– Nigdy nie wrócisz do tej wioski.

Spojrzała na mnie, układ blizn nadawał jej oczom wściekłość.

– Weź monety i odnajdź chłopca – powiedziała.

– Dlaczego nie miałbym wziąć…

Uderzyła mnie w twarz przepaską biodrową. Smród wtargnął mi do nozdrzy, zanim zdołałem złapać oddech.

– Bo wiem, jak ten twój nos sobie poczyna, chłopcze. Nigdy nie przestajesz szukać tego, który zostawił woń, inaczej dostałbyś obłędu.

Miała słuszność. Nie wiedziałem, że mogę nienawidzić jej jeszcze bardziej.

– Weź pieniądz i odnajdź chłopca.

Wysłała mnie i Lamparta. On też ma nos, powiedziała. Myślałem, że wyśle mnie z Kavą. Lampart nie wydawał się zadowolony ani niezadowolony. Ale tuż przed wyruszeniem w drogę zobaczyłem ich na dachu trzeciej chaty, Kava wymachiwał rękami jak szaleniec, a Lampart wyglądał jak zawsze. Kava rzucił kijem, a Lampart skoczył na niego szybko jak błyskawica, już z ręką zaciśniętą na jego gardle. Potem puścił go i odszedł. Kava się roześmiał.

– Uważaj, gdzie ten pierdolony kocur cię zaprowadzi – powiedział do mnie, kiedy zobaczyłem go niedługo potem.

Napełniałem bukłaki wodą z rzeki. Oto co się wydarzyło. Gdy już nalałem, zacząłem szukać czerwonego błota i białej gliny. Znalazłem glinę i narysowałem białą kreskę, podzieliłem swoje oblicze. Potem zrobiłem drugą nad brwiami. Potem czerwone linie na policzkach i śladem żeber, które widać było coraz bardziej, co mnie nie martwiło tak, jak zmartwiłoby moją matkę.

– Nigdzie mnie nie zaprowadzi – odparłem. – Idę znaleźć chłopca.

– Uważaj, gdzie ten pierdolony kocur cię zaprowadzi – powiedział ponownie.

Umilkłem. Próbowałem narysować znaki za kolanami. Kava podszedł z tyłu i zgarnął garścią białą glinę. Wtarł mi ją w pośladki aż po zgięcia w kolanach i łydki.

– Lamparty są sprytne. Znasz ich zwyczaje? Wiesz, dlaczego grasują w pojedynkę? Bo zdradziłyby nawet swoich, a padłego w ten sposób nawet hieny nie tkną.

– Ciebie zdradził?

Kava spojrzał na mnie, ale nic nie odpowiedział. Malował mi uda. Chciałem, żeby przestał.

– Jak już we dwóch odnajdziecie chłopca, ruszycie na południowe ziemie. Step wysycha, zwierzyna łowna robi się wstrętna.

– Jeśli będzie chciał.

– Za długo był człowiekiem. Myśliwi zabiją go za dwie noce. Zwierzyna jest dziksza, bestie, co go rozerwą na dwoje. Tam myśliwi mają zatrute strzały i zabijają dzieci. Są bestie większe od tego drzewa, źdźbła trawy, co kochają krew, bestie, co rozer…

– Rozerwą go na dwoje. Co chcesz, żeby zrobił?

Kava umył ręce z gliny i zaczął nanosić wzór na moje nogi.

– Odejdzie ze mną, zapomni o tej kobiecie i jej przeklętych dzieciach. To był jego pomysł, żeby je ocalić, przyprowadzić tutaj, nie mój. Czy umrą, czy przeżyją, to sprawa bogów. Kto mieszka na samej górze? – spytał.

– Nie…

– Ona każdego dnia zabiera tam jedzenie. Teraz zabiera i ciebie.

– Zazdrosny.

– O ciebie? Moja krew to krew wodzów!

– To nie było pytanie.

Roześmiał się.

– Skoro chcesz bawić się czarną magią, rób, jak chcesz. Ale Lampart idzie ze mną. Wracamy do wioski. Sami zabijemy ludzi winnych śmierci mojej matki.

– Mówiłeś, że wiatr wygubił twój ród. Mówiłeś…

– Wiem, co mówiłem, byłem przy tym, gdy to mówiłem. Lampart powiedział, że wyruszy, kiedy tylko wy dwaj znajdziecie chłopca. Powiedz mu, że nie pójdziesz.

– A potem?

– Sprawię, że zrozumie. – odparł Kava.

– Pod twoją postacią nie ma przyszłości.

– Co?

– Tak mi ktoś powiedział kilka dni temu.

– Kto? – spytał. – Nikt nie przechodzi obok tego miejsca. Zaczynasz wariować jak ta suka. Widziałem cię, na dachu tej chaty, trzymałeś powietrze i bawiłeś się z nim jak z dzieckiem. Zaraziła to miejsce. Jakie masz wieści o chłopcu? Że umknął, bo był niewdzięczny? Nazwała go złodziejem? Może zabójcą? – Wstał i popatrzył na mnie. – A więc nazwała – powiedział. – Myślisz jak mężczyzna czy może ona panuje nad wszystkimi twoimi myślami? Chłopiec uciekł.

– To nie jest więzienie.

– To dlaczego umknął?

– Myśli, że matka płacze za nim po nocach. Że wcale nie jest mingi.

– A kto mówi, że on kłamie? Sangoma? Żadne dziecko tutaj nie wie nic innego. Sangoma żyje wśród drzew całymi latami, więc gdzie są dzieci, które dorastają? Ty i zwierz wytropicie go, żeby sprowadzić. A co zrobicie, jak się nie zgodzi, powie, że nie wraca?

– Słyszę, co mówisz. Myślisz, że Lampart też jest głupcem w jej rękach.

– Lampart nie jest głupcem. Nie dba o nic. Ona mówi: idź na wschód, on idzie na wschód, pod warunkiem że jest tam ryba, a tamtejsze guźce są tłuste. W jego sercu nic nie ma.

– A co płonie w twoim?

– Ruchaliście się we dwóch w lesie – powiedział.

Spojrzałem na niego.

– Mówił, że uczył cię strzelania z łuku. Pierdolony zwierz karmił mnie strofami.

Pomyślałem, by zostawić go z tą zagadką lub powiedzieć mu, że tego nie zrobiliśmy i nigdy nie zrobimy, a wtedy by mu ulżyło, ale pomyślałem też: pierdolić bogów i jego potrzebę ulgi.

– On cię nigdy nie pokocha – powiedział Kava.

– Nikt nikogo nie kocha – odparłem.

Uderzył mnie pięścią w twarz – prosto w policzek – i runąłem w błoto. Skoczył na mnie, zanim zdążyłem się podnieść. Kolanami przygwoździwszy mi ramiona do ziemi, znowu mnie uderzył. Grzmotnąłem go nogą w żebra. Wrzasnął i spadł ze mnie. Kaszlałem, dyszałem, płakałem jak chłopiec, więc znów na mnie skoczył. Tarzaliśmy się i wyrżnąłem głową o skałę, niebo poszarzało, sczerniało, błoto wciągało mnie, plwociną trafił mnie w oko, ale go nie słyszałem, widziałem tylko czeluść gardła. Wtoczyliśmy się do rzeki, jego ręce zaciśnięte na mojej szyi, wpychał mnie pod wodę, wyciągał, wpychał, woda wdzierała mi się do nosa. Lampart skoczył mu na plecy i ugryzł go w kark. Impet strącił ich obu do wody. Podciągnąłem się i zobaczyłem Lamparta wciąż wczepionego zębami w Kavę, już chciał go cisnąć jak kukłę, ale krzyknąłem. Puścił go i warknął. Kava zatoczył się głębiej w rzekę i dotknął szyi. Opuścił rękę całą we krwi. Popatrzył na mnie, potem na Lamparta, który ciągle chodził wkoło po rzece, zaznaczając granicę, dalej nie przejdziesz. Kava odwrócił się, wbiegł na brzeg

i zniknął w buszu. Hałasy ściągnęły sangomę z Żyrafikiem i Dymką, która pojawiła się przed moimi oczami i zniknęła. Lampart zmienił się znowu w człowieka, wyminął sangomę i wrócił do chaty.

– Nie zapominaj, dlaczego po ciebie posłałam – rzekła do mnie.

Gdy wyszedłem z rzeki, rzuciła mi grubą tkaninę. Myślałem, że mam się wytrzeć, ale cała była przesiąknięta wonią utraconego chłopca.

– Może siedzieć w moim nosie całe miesiące – powiedziałem.

– To lepiej się pośpiesz i go znajdź – odparła.

Wzięliśmy jeden łuk, dużo strzał, dwa sztylety, dwa topory i tykwę przywiązaną do mojego biodra, z kawałkiem grubej tkaniny w środku, i wyruszyliśmy przed brzaskiem.

– Powinniśmy chłopca znaleźć czy zabić? – spytałem.

– Ma nad nami siedem dni przewagi. Broń po to, jakby ktoś odnalazł go przed nami – odparł Lampart, idąc za mną, pokładając wiarę w mój nos, choć ja nie pokładałem.

W jednym miejscu woń chłopca była za mocna, w innym za słaba, mimo że jego szlak ciągnął się przede mną. Dwie noce później jego trop wciąż był z przodu.

– Dlaczego nie poszedł na północ do wioski? – spytałem. – Dlaczego na zachód?

Zatrzymałem się, Lampart mnie wyminął, skręcił na południe i przystanął po dziesięciu krokach. Pochylił się, żeby obwąchać trawę.

– A kto mówił, że on z twojej wioski?

– Nie poszedł na północ, jeśli teraz szukasz jego śladu.

– Ten chłopiec to twoje zadanie. Ja szukam kolacji.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, opadł na łapy i zniknął w buszu. Znajdowaliśmy się na suchym obszarze, drzewa chude jak łodygi, jakby spra-

gnione deszczu. Ziemia czerwona i stwardniała od spękanego błota. Na większości drzew nie było liści, a z gałęzi wyrastały gałęzie, z których wyrastały gałęzie tak cienkie, że wziąłem je za ciernie. Wyglądało, jakby woda uznała tę krainę za swojego wroga, ale z potoku nieopodal dochodził zapach. Na tyle blisko, że usłyszałem plusk, warknięcie i stukot setek kopyt w panice.

Lampart dotarł do mnie, nim ja dotarłem do strumienia, on nadal na czterech łapach, z martwą antylopą w paszczy. Tej nocy patrzył z odrazą, jak opiekam swoją porcję. Wrócił już na dwie nogi, ale antylopie udo jadł surowe, odrywał zębami skórę, wgryzał się w mięso i zlizywał krew z warg. Pragnąłem smakować, jak on smakował. We mnie czarne opalone udo też budziło wstręt.

Posłał mi spojrzenie, które mówiło, że nigdy nie zrozumie, dlaczego zwierzę w tych stronach jadłoby swoją zdobycz dopiero po przypaleniu nad ogniem. Nie miał nosa do przypraw, a ja nie miałem żadnej, żeby posypać nią swoją porcję. Część antylopy została surowa, pochłonąłem ją, żując powoli, zastanawiając się, czy to właśnie je Lampart, gdy pożera mięso, ciepłe i łatwe do rozczłonkowania, i czy ten smak żelaza rozlewający się po ustach to dobre uczucie. Nigdy bym tego nie polubił. Jego twarz zniknęła w nodze zwierzęcia.

– Drzewa tu inne – powiedziałem.

– Bo inny las. Tutejsze drzewa samolubne. Nie dzielą się niczym pod ziemią. Ich korzenie nie przesyłają niczego innym korzeniom, ani pokarmu, ani nowin. Nie będą żyć razem, więc jeśli nie nadejdzie deszcz, razem pomrą. Chłopiec?

– Jego woń na północy. Nie słabnie i nie narasta.

– A więc tkwi w miejscu. Śpi?

– Może być. Jeśli zostanie, jutro go odnajdziemy.

– To szybciej, niż myślałem. Takie mógłbyś mieć życie, gdybyś chciał.

– Chcę ruszać dalej, jak go odnajdziemy.

Rzucił kość i popatrzył na mnie.

– Co jeszcze mówił ci Asani, zanim próbował cię utopić? – spytał.

– Że odeślesz mnie z chłopcem, ale sam nie wrócisz.

– Powiedziałem, że mogę nie wrócić, nie że nie wrócę.

– A jak będzie?

– Zależy, co znajdę. Albo co znajdzie mnie. A co to ciebie obchodzi?

– Nic, zupełnie nic.

Wyszczerzył zęby, wstał i podszedł do mnie z boku. Ogień rzucał ostre błyski na jego twarz i rozpalał mu oczy.

– Dlaczego wracasz?

– Ona chce mieć swój woreczek.

– Nie do przeklętej sangomy, do wioski. Dlaczego wracasz do wioski?

– Moja rodzina tam żyje.

– Nikogo tam nie masz. Asani mówił, że tylko zemsta czeka tam na ciebie.

– To zawsze coś, prawda?

– Nieprawda.

Popatrzył w płomienie. W ustach robiło mu się niedobrze od gotowania, ale to on rozpalił ogień. Z tykwy wyjąłem tkaninę przesyconą wonią chłopca. Na tych drzewach nie dałoby się spać, nawet gdyby chciał spać nad ziemią.

– Chodź ze mną – powiedział Lampart.

– Dokąd?

– Nie, nie, chodź ze mną potem. Jak już znajdziemy chłopca. Jej na nim nie zależy, chce mieć tylko swój paskudny woreczek, żeby go włożyć

w swoje paskudne kudły. Znajdziemy go, nastraszymy, odeślemy z powrotem. I pójdziemy na zachód.

– Kava chce…

– Czy Asani rozporządza kimkolwiek tutaj?

– Między wami dwoma coś się wydarzyło.

– Nic się nie wydarzyło. To właśnie kij między nami. Góruje nad tobą w latach, ale pod każdym innym względem to on jest młodszym mężczyzną. Igra z życiem i śmiercią, zabija dla zabawy. Te odrażające cechy twojej postaci.

– To przestań się zmieniać w podobną. Jakoś nie wszczynasz hałasu z powodu odrażających czynów, które lubisz.

– Wymień choćby kilka. Myślisz, że pod takim księżycem możesz mnie osądzać, mały chłopczyku? Są takie ziemie, gdzie mężczyźnie, który kocha mężczyznę, odcinają kutasa i zostawiają go, aby się wykrwawił na śmierć. Poza tym ja postępuję, jak postępują bogowie. Ze wszystkich okropnych cech twojej postaci wstyd jest najgorszy.

Wiedziałem, że na mnie patrzy. Wbiłem wzrok w płomienie, ale wyczułem, że przekręcił głowę. Nocny wiatr przynosił zapach, którego nie znałem. Dojrzałość owocu może, ale przecież w tym buszu nic nie owocowało. To przypomniało mi o czymś i aż się zdziwiłem, że stało się to dopiero teraz.

– Co z tymi, którzy szli naszym śladem? – spytałem.

– Z kim?

– Tamtej nocy, gdy dotarliśmy do sangomy. Liliputka powiedziała, że ktoś za nami podąża.

– Ona ciągle się boi, że coś lub ktoś na nią nastaje.

– Ale ty też jej wtedy uwierzyłeś.

– Nie wierzę w strach, ale wierzę w to, w co ona wierzy. Poza tym jest co najmniej dziesięć i sześć zaklęć, żeby przepłoszyć łowców i włóczęgów.

– Takich jak żmije?

– Nie, te są zawsze prawdziwe – odparł ze złowrogim uśmiechem. Wyciągnął rękę i chwycił moje ramię. – Idź spocząć z miłymi snami. Jutro odnajdziemy chłopca.

Wyskoczyłem ze snu na nogi, spragniony powietrza. To nie chodziło o powietrze. Miotałem się na prawo i lewo, jakbym coś zgubił, jakby ktoś mi coś skradł. To obudziło Lamparta. Poszedłem w prawo, w lewo, na północ, na południe, zakryłem nos i wziąłem głęboki wdech, ale ciągle nic. O mało nie wlazłem w dogasający ogień, lecz Lampart złapał mnie za rękę.

– Oślepłem na nos – powiedziałem.

– Co?

– Jego woń. Zgubiłem ją.

– Czy to znaczy, że on…

– Tak.

Usiadł na ziemi.

– Mimo to powinniśmy odzyskać dla niej woreczek – rzekł. – Idźmy dalej na północ.

Dopiero o zmierzchu zdołaliśmy wyjść z tego lasu. Gęstwina, wionąca naszym świeżym smrodem, nie chciała nas wypuścić, smagała nas i chłostała po piersi i stopach, wystawiała gałązki, żeby wczepiały się nam we włosy, rozsypywała ciernie na ziemi, żeby kłuć stopy, wzywała sępy przelatujące nad naszymi głowami, aby krążyły nisko. Nie dbały o nas, o dwoje zwierząt, świeże mięso. Przekroczyliśmy sawannę i ani antylopy, ani czaple, ani guźce nie zwróciły na nas uwagi. Dotarliśmy do następnego gąsz-

czu, który wyglądał na niezamieszkany. Nikt tam nie wszedł, nawet dwa lwy, które popatrzyły na Lamparta i skinęły mu łbami.

W nowym lesie było już ciemno. Wysokie, ale cienkie drzewa z gałęziami sięgającymi ku górze, które pękały pod ciężarem Lamparta. Pnie z odłażącą korą, ukazujące swój wiek. Stąpaliśmy po kościach rozsypanych dokoła. Podskoczyłem, gdy woń mnie uderzyła.

– Jest tutaj – powiedział Lampart.

– Nie znam zapachu jego śmierci – odparłem.

– Są inne sposoby, żeby poznać – rzekł i wskazał ziemię.

Ślady. Niektóre małych stóp, jak młodego mężczyzny. Inne duże, jak odciski dłoni pozostawione w trawie i błocie. Niektóre wariackie, jakby chód, potem bieg, potem szaleńczy bieg. Lampart wyminął mnie, zrobił kilka kroków i przystanął. Myślałem, że znowu się zmieni, ale tylko otworzył torbę i rzucił mi topory. A potem chwycił strzałę i napiął łuk.

– Wszystko to przez cuchnący woreczek żółciowy?

Lampart się roześmiał. Trzeba przyznać, że był milszy od Kavy.

– Zaczynam myśleć, że Asani mówił prawdę o tobie.

– A kto twierdzi, że mówił nieprawdę?

Zamknąłem usta i tylko patrzyłem na niego w nadziei, że zmieni to, co przed chwilą powiedział.

– Chłopiec został porwany. Sangoma go wzięła. Ukradła własnej siostrze. Tak, łączy się z tym historia, mały chłopczyku. Wiesz, dlaczego ma taką złość do wiedźm? Bo jej siostra była jedną. Jest jedną. Bo ja wiem. Siostra opowiada, że sangoma jest złodziejką dzieci, która odbiera matkom potomstwo i szkoli je w występnym rzemiośle. Sangoma opowiada, że jej siostra to wiedźma błotna i że to nie jej synek, bo wszystkie wiedźmy błotne są bezpłodne od tych wywarów, co je piją, żeby mieć moc. Ukradła to dziecko i była gotowa sprzedać je na części w Malangice, na sekretnym

targu czarownic. Niejedna jędza dałaby wiele monet za serce dziecka, wycięte tamtego dnia.

– W którą historię wierzysz?

– Tę, w której martwe dziecko to nie mój wybór. Nieważne. Zatoczę koło. Nie ucieknie.

Pobiegł, zanim zdążyłem powiedzieć, że nie podoba mi się ten plan. Mam nos, jak mówią ludzie. Ale okazywał się bezużyteczny, gdy nie wiedziałem, co czuję w nozdrzach.

Przedarłem się przez gęste krzewy i wszedłem. Kilka kroków i grunt zrobił się suchszy, jakby piasek i ziemia czepiały się moich stóp. Przegramoliłem się przez ogromny szkielet, ciosy podpowiedziały mi, że był to młody słoń, z czterema zmiażdżonymi żebrami. Zawróć i daj mu wypłoszyć chłopca, podszeptywał mi umysł, ale szedłem dalej. Minąłem skupisko kości, jakby ołtarz, podreptałem przez pagórek, rozparłem na boki dwa pnie, żeby się przecisnąć. Powyżej nic się nie poruszało, ani ptak, ani wąż, ani małpa. Cisza to przeciwieństwo dźwięku, nie jego nieobecność. A to była nieobecność.

Spojrzałem przez ramię, ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd przyszedłem. Okrążyłem drzewo, depcząc po krzakach i zaroślach, gdy nagle coś trzasnęło za plecami. Nic, tylko wonie, cierpkie i obrzydliwe. Obrzydliwość, co się bierze ze zgnilizny. Ludzkiej zgnilizny. Lecz nic nie widziałem z przodu, nic nie widziałem z tyłu. A jednak czułem w nosie, że chłopiec tu jest. Chciałem zawołać go po imieniu.

Znowu trzask, odwróciłem się, ale nie przestałem iść. Coś mokrego dotknęło mojej skroni i policzka. Woń, ta woń – zgnilizna. Dotknąłem twarzy i coś odlazło, krew i śluz, może plwocina. Wnętrzności zwisały z góry jak powrozy, inne były zawinięte pod żebrami, cuchnęło jak rozkładające się ludzkie mięso i gówno. Skóra była rozpruta w płatach, jakby wszystko

pod spodem ciął ząbkowany nóż. Trochę skóry odlazło z boku i wystawały żebra. Utrzymywały go pnącza pod ramionami i wokół szyi. Sangoma kazała szukać kręgu małych blizn dokoła prawego sutka. Chłopiec. Na drzewie byli jeszcze inni, mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy martwi, większość bez połowy ciała, niektórzy bez głowy, niektórzy bez rąk i palców, ze wszystkich zwisały wnętrzności.

– Sasabonsam, brat z tej samej matki, lubi pić krew. Asanbosam to ja, ja lubi jeść mięso. O tak, mięso.

Podskoczyłem. Głos brzmiący jak smród. Cofnąłem się. To było legowisko jednego z dawnych i zapomnianych bogów, z czasów, kiedy bogowie byli bestialscy i nieczyści. Albo legowisko demona. Wszędzie dokoła mnie martwi ludzie. Moje serce, bęben w piersi, waliło tak mocno, że słyszałem. Bęben wyrywał mi się biciem z piersi, ciało dygotało. Ohydny głos powiedział:

– Bogowie zesłali nam tłustego, o tak, tłusty jest. Tłustego nam zesłali.

Ja lubi mięso
I kość
Sasa lubi krew
I nasienie. Wysłał nam ciebie.
Ukuau tsu nambu ka takumi ba.

Owinąłem się na pięcie. Nikogo. Spojrzałem do przodu, chłopiec. Jego otwarte oczy, wcześniej ich nie zauważyłem. Wybałuszone, wrzeszczące do nikogo, wrzeszczące do nas, że za późno przybyliśmy. *Ukuau tsu nambu ka takumi ba*. Znałem tę mowę. „Zawsze znajdzie się paszcza dla tego, co martwe”. Wiatr poruszył się za moimi plecami. Odwróciłem się. Wisiał do góry

nogami. Ogromna szara łapa chwyciła mnie za szyję, pazury wbiły się w skórę. Wycisnął ze mnie tchnienie i podciągnął mnie na drzewo.

Nie wiem, jak długo miałem czarny umysł. Pnącze prześlizgnęło się po mojej piersi i wokół pnia, dokoła moich nóg, po czole, zostawiając czystą szyję i odsłonięty brzuch. Chłopiec wisiał dokładnie na wprost, wpatrzony we mnie, oczy szeroko otwarte, poszukujące. Usta wciąż rozdziawione. Pomyślałem, że to jego śmiertelna poza, ostatni krzyk, który został zdławiony, ale potem zobaczyłem coś w jego ustach, czarne, ale też zielone. Woreczek żółciowy.

– Ząb my złamali, a chcemy tylko trochę posmakować. Posmakować, posmakować.

Znałem jego woń i wiedziałem, że znajduje się nade mną, ale doznanie nie chciało zostać. Spojrzałem do góry i zobaczyłem, że spada, z ręką przy boku, jakby nurkował szybko, celując w ziemię. Szary i fioletowy, i czarny, śmierdzący i wielki. Zanurkował pod gałąź, zahaczył się o nią stopami i odbiła. Stopy, długie, z łuskami na kostkach, jeden pazur sterczący z pięty, drugi wystający zamiast palców, owinęły się wokół gałęzi jak hak. Puścił się, zanurkował i uchwycił kolejnej gałęzi, wiszącej na tyle nisko, że jego twarz znalazła się naprzeciw mnie. Fioletowe włosy rosły pasem pośrodku głowy. Szyja i ramiona to mięsień upakowany na mięśniu, jak u bawołu. Pierś jak podbrzusze krokodyla. I jego oblicze. Łuski nad oczami, płaski nos, nozdrza za to wielkie ze sterczącymi fioletowymi włosami. Kości policzkowe wysokie, jakby zawsze był głodny, skóra szara od czyraków, dwa połyskujące ostre kły wystające z kącików gęby, nawet gdy nie mówił, jak u dzika.

– Słyszymy, że w krainach bez deszczu matka mówi o nas i straszy dzieciny. Słyszał ty? Powiedz prawdę, smaczne, smaczne.

I jeszcze ten oddech, wstrętniejszy od zgniłego trupa, wstrętniejszy od gówna człowieka chorującego na brzuch. Pobiegłem oczami za jego tułowiem i grzebieniem kości napinającymi skórę, trzy z lewej, trzy z prawej. Uda grube od mięśni, pnie drzew nad chudymi kolanami. Związał mnie mocno. Usłyszałem, jak mój dziadek mówi, że witał śmierć, gdy czuł, że nadchodzi, ale w tej chwili zrozumiałem, że był głupcem. To gadka kogoś, kto spodziewa się spotkania ze śmiercią we śnie. Pragnąłem wołać, jakie to złe, jakie to niesprawiedliwe widzieć nadchodzącą śmierć, i jak to będę płakał w wiecznym smutku, że postanowił zabić mnie powoli, nadziać i przez cały czas mówić, jaka to dla niego rozkosz. Kąsać moją skórę i odrąbywać mi palce, a każdy strzęp ciała będzie nowym strzępem, każdy ból nowym bólem, każdy lęk nowym lękiem, i będę musiał patrzeć na jego zachwyt. I będę pragnął umrzeć szybko, bo jakże cierpię, ale przecież nie chcę umrzeć. Nie chcę umrzeć. Nie chcę umrzeć.

– Nie chcesz umrzeć? Młody chłopczyk nie słyszałeś o nas? Zaraz zaraz zaraz zaraz będziesz o to błagał.

Wyciągnął rękę, całą w czyrakach, włosy na kłykciach, pazury u palców, i chwycił mnie za podbródek. Otworzył mi usta szarpnięciem za szczękę i powiedział:

– Ładne zęby. Ładna buzia u chłopczyk.

Ze zwłok u góry coś na mnie skapnęło. Wtedy pierwszy raz pomyślałem o Lamparcie. O Lamparcie, który mówił, że obejdzie busz, ale nikt nie wiedział, że busz ma szerokość siedmiu księżyców. Ten syn nędznej kurwy kocicy zmieniający postać poszedł stąd. Asanbosam zadyndał i odskoczył.

– Będzie zły na nas, oj będzie. Zły, zły, bardzo zły. Nie dotykaj ciała, póki nie wezmę swojej krwi, mówi. Ja starszy, mówi. I strasznie wychłoszcze nas. Strasznie, strasznie. Ale poszedł, a my głodny. I wiesz, co gorsze? On też je mięso, na przykład głowę. Sprawiedliwe? Pytam, sprawiedliwe?

Kiedy znów przysunął się do mej twarzy, w ustach miał rękę, czarna skóra gniła na zielono. Odgryzł palce. Sięgnął po mnie lewą łapą i wbił mi pazur w czoło, aż pociekła krew.

– Od dni nieświeże mięso – powiedział. Czarne ślepia otworzył szeroko, jakby chciał mnie ubłagać. – Dużo, dużo dni.

Włożył sobie do ust całe ramię i żuł kawałek po kawałku, a na ustach zawisło mu mięso z łokcia.

– Potrzebuje krwi, o tak, mówi i robi. Zostaw ich żywe, mówi. – Znowu spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami. – Ale nie mówi, żeby zostawić w całości. – Wciągnął mały kęs martwego ciała. – Odciąć trochę…

Pierwsza strzała przebiła mu prawe oko. Druga przeszyła jego krzyk i wylazła przez kark. Trzecia odbiła się od piersi. Czwarta trafiła w lewe ślepie. Piąta przekłuła łapsko, którym chciał dotknąć rannego oka. Szósta wbiła się w miękką skórę na boku.

Pazurze stopy ześlizgnęły się z gałęzi. Usłyszałem, jak spada na ziemię. Lampart skakał z konaru na konar, sfruwając ze słabszych, zanim pękły pod jego ciężarem, lądując na mocnych. Usiadł tam, gdzie pień rozwidlał się na gałęzie, i patrzył na trupy, ogon zawinięty na pęczku zwiędłych liści. Zmienił się w człowieka, zanim zdążyłem napaść na niego z wściekłością, że mitrężył tak długo. Tylko załkałem. Nienawidziłem być chłopcem, mój własny głos mówił mi: dzieckiem jesteś, ot co. Zszedł po torbę i wrócił z toporem. Padłem mu w ramiona i w nich zostałem, zapłakany. Poklepał mnie po plecach, dotknął głowy.

– Powinniśmy ruszać. Oni wędrują dwójkami, ci z tego rodu.

– To jego brat?

– Żyją na drzewach i atakują z góry, ale nigdy nie słyszałem o żadnym tak daleko od wybrzeża. To Asanbosam, mięsożerca. Jego brat Sasabonsam to krwiopijca. I jest mądrzejszy. Musimy ruszać.

– Woreczek.

– Zabrałem go.

– Gdzie jest?

– Musimy iść.

– Nie widziałem, żebyś…

Pchnął mnie.

– Sasabonsam wróci niedługo. Ma skrzydła.

5

Lampart odrąbał Asanbosamowi głowę, zawinął ją w liście sukusuku i wcisnął do torby. Wróciliśmy drogą, którą przyszedłem, broń w gotowości, przyszykowani na każdą bestię, która zamierzałaby pokazać się tej nocy.

– Co zrobisz z łbem? – spytałem.

– Powieszę na ścianie, żebym mógł się o niego dupą podrapać, jak mnie zaswędzi.

– Co?

Więcej nie powiedział. Cztery noce byliśmy w marszu, obchodząc lasy, które szybciej przebylibyśmy przez środek, i zwierzęta o dwóch obliczach, co wywąchałyby woń zgładzonego Asanbosama i powiadomiłyby jego brata. Ledwie jeden ranek odległości od chaty sangomy doszła mnie woń, Lamparta też. Dym, popiół, tłuszcz, skóra. On warknął, ja krzyknąłem, idziemy. Chwyciłem łuk, broń, torbę i pobiegłem. Gdy dotarłem na brzeg, w strumieniu pływał chłopiec twarzą do dołu. Lampart wskoczył do wody i go wyłowił, ale biedak miał serce przebite strzałą. Znaliśmy go. Żaden z górnej chaty, ale jednak mingi. Nie było czasu, żeby go pochować, więc Lampart włożył go z powrotem do rzeki, teraz twarzą ku niebu, zamknął mu oczy i pozwolił odpłynąć.

Ścieżkę tarasowały dwa trupy, chłopiec i albinoska, oboje dźgnięci dzidą w plecy. Wszędzie było czerwono od dziecięcej krwi, a chaty stały w ogniu. Dolna zapadła się w ogromną górę popiołu i dymu, środkowa, osłabiona na

spalonych belkach, rozszczepiła się na pół. Jedna połowa runęła w gruzy niższego domu. Drzewo się kołysało, czarne i nagie, liście dogasały. W najwyższej chacie szalał ogień. Połowa dachu płonęła, połowa ściany czarna i kopcąca. Skoczyłem na pierwszy schodek, ale złamał się pode mną. Przewróciłem się, upadłem, ciągle toczyłem, gdy Lampart śmignął na bezpieczniejsze stopnie i wbiegł do chaty. Wybił kopniakiem dziurę w tylnej ścianie, wciąż wolnej od ognia, kopał i kopał, żeby ją powiększyć. Wyszedł stamtąd jako kot, trzymając chłopca za kołnierz koszuli, nieruchomego. Kiwnął łbem w kierunku chaty, dając znak, że jest ich więcej.

W środku płomienie huczały, rechotały, skakały z liścia na liść, z drewna na drewno, z płótna na płótno. Na podłodze chłopiec bez nóg uczepiony chłopca z nogami żyrafy, wrzeszczał na niego, by się ruszył. Wskazałem ręką dziurę i podniosłem Żyrafika. Chłopiec bez nóg przeturlał się przez otwór, a ja rozejrzałem się, czy nikogo nie przegapiłem.

Sangoma była na suficie, nadal, oczy miała szeroko otwarte, usta rozdziawione w niemym krzyku. Dzida przebiła jej pierś, ale coś jeszcze przytwierdziło ją do sufitu na płask, jakby to była podłoga. Nie dzida. Czary. Przyszła mi na myśl tylko jedna osoba uprawiająca występne rzemiosło. Ktoś złamał jej zaklęcia i przedarł się do środka. Ogniki przeskakiwały po sukni i buchnęła płomieniem.

Wybiegłem z chłopcem.

Bliźnięta wyszły z krzaków, oczy wytrzeszczone, usta rozwarte. Wyraz twarzy, który nigdy ich nie opuści, wiedziałem o tym, żeby nie wiem ile księżyców minęło. Lampart odtoczył martwego chłopca, żeby pod nim dojrzeć innego, żywego albinoska. Mały wrzasnął i zaczął uciekać, ale się potknął i Lampart go dopadł. Posadziłem Żyrafika na trawie, bo pojawiła się Dymka, a dygotała tak bardzo, że rozpadała się na dwie, trzy, cztery. Potem uciekła, zniknęła, pojawiła się znowu na skraju lasu. Przepadła

i zaraz wyrosła przede mną, cicho wołała. Znowu uciekła, przystanęła, pobiegła, zniknęła, pojawiła się, przystanęła i popatrzyła na mnie, aż w końcu połapałem się, że chce, abym za nią poszedł.

Najpierw usłyszałem, potem zobaczyłem.

Hieny.

Za wywróconym drzewem trzy rywalizowały o kawał mięsa, łypiąc, miotając się, gryząc się nawzajem w walce o swoje, łykając całe kęsy. Odgrodziłem się od wszelkiej myśli o tym, co pożerają. Cztery inne ścigały małego chłopca po drzewie, warczały, chichotały, drwiły przed uśmierceniem. Dymka pojawiła się tuż przed chłopcem i wystraszyła stado. Cofnęły się, ale nie na tyle daleko, żeby mały zdołał ujść. Wspiąłem się na drzewo w odległości pięćdziesięciu kroków i zacząłem skakać z gałęzi na gałąź, z konaru na konar, jak to robił Lampart. Z jednego wysoko spadłem na inny nisko, a potem rozbujałem się ku trzeciemu, wyżej. Zlazłem, przeskoczyłem, zsunąłem się po pniu, co rozwidlał się jak proca, przez liście chłoszczące mnie po twarzy, znów skok, uchwyciłem się gałęzi, która najpierw ugięła się pode mną, potem wykatapultowała mnie do góry.

Hieny rechotały, ustawiały się w szyku, decydowały, która ma zagryźć chłopczyka. Drzewo było wysokie, o cienkich gałęziach, bez przyjaźni z innymi drzewami. Zeskoczyłem z gałęzi przy wierzchołku, złapałem się innej, zahuśtałem i wylądowałem na drzewie, łamiąc wszystkie gałęzie dokoła, ścierając sobie nogi i lewy policzek, połykając liście. Cztery hieny nacierały, a Dymka usiłowała chronić chłopca. Duże hieny, największe z całego stada. Samice. Cisnąłem sztyletem w łapę i chybiłem. Jedna odskoczyła, wprost na mój drugi rzut, nadziała się łbem. Druga uciekła, dwie pozostały, warczały i rechotały.

Z toporem w każdym ręku i z nożem w ustach zeskoczyłem z wysoka, wprost przed jedną z tych upartych, i błyskawicznie rąbnąłem podwójnym

ciosem w łeb, zamach, rąb, zamach, rąb, aż mięso i krew trysnęły mi w twarz, oślepiając. Obaliła mnie i ugryzła w lewą rękę, szarpiąc kłami, miażdżąc, aż zazgrzytałem zębami i dodatkowo przestraszyłem chłopca. Druga próbowała skubnąć moje stopy. Dźgnąłem pierwszą w szyję. Wyrwałem ostrze i znów. I jeszcze. I jeszcze. Padła. Kłapiąca pyskiem przy stopach gotowała się do ataku. Odwinąłem się i chlasnąłem ją przez łeb, rozkrawając jedno ślepie. Zawyła i uciekła. Dwie inne hieny capnęły mięso pozostawione przez poprzednie i umknęły.

Moja lewa ręka, zakrwawiona i obwieszona poszarpanym mięsem, utraciła władzę. Chłopiec był tak przerażony, że odsunął się ode mnie. Dymka podbiegła i kiwnęła na niego dłonią, żeby podszedł. Ruszył do nas i wtedy spadła na niego hiena. Runęła z góry, martwa od dwóch strzał wbitych w szyję. Chłopiec wrzasnął, a ja przyciągnąłem go do siebie. Lampart zabił jeszcze dwie hieny i reszta uciekła.

Chłopczyk, którego Lampart wydostał z chaty, nigdy już się nie obudził. Pogrzebaliśmy sześć dzieci, lecz potem przestaliśmy, bo było ich tak wiele, a każda śmierć nas dobijała. Cztery inne, cośmy znaleźli, owinęliśmy w byle tkaninę i skórę, jakie udało nam się znaleźć, i położyliśmy na rzece, aby zabrała ich w zaświaty. Wyglądały, jakby odfrunęły na zew bogini. Gdy zerwaliśmy jagody i przygotowaliśmy mięso dla dzieci, a potem one posnęły na tyle mocno, że przestały we śnie popłakiwać i wołać, Lampart poprowadził mnie między drzewa.

– Wskaż winnego.

– Po co? Wiesz, kto to zrobił.

– Możesz go wywąchać?

– Mogę wywąchać ich wszystkich.

– Będzie więcej.

– Wiem.

Dymka nie chciała mnie puścić. Poszła za mną na skraj polany, poza obszar chroniony zaklęciami, aż musiałem na nią wrzasnąć, żeby wracała. Lampart zgromadził tych, co przeżyli – chłopca, którego uratowaliśmy przed hienami, Albinoska, Kulka, Bliźnięta, Żyrafika i ją. Było za dużo zwłok, aby wszystkie pogrzebać, większość spalonych. Dach najwyższej chaty zapadł się, kiedy wróciłem przed ostatecznym odejściem, a Albinosek się rozpłakał. Lampart nie wiedział, co robić. Głaskał go łapą po buzi, aż w końcu mały wdrapał się na niego i oparł główkę na jego ramieniu.

– Trzeba mi iść – powiedział.

– Nie dasz rady ich wytropić.

– Nie dasz rady ich zabić.

– Wezmę topór i nóż. I dzidę.

– Mogę ruszyć ich śladem.

– Zatarli swój ślad przejściem przez rzekę. Nie znajdziesz ich.

– Masz tylko jedną rękę.

– Jedna wystarczy.

Owinął mi dłoń w aso oke, które wcześniej sangoma nosiła na głowie. Najpierw wonie tamtych osłabły, ale od zmierzchu były już mocne. Odpoczynek nocą. Krok za krokiem dotarli do chat tym samym szlakiem co my. Znalazłbym ich nawet bez pomocy nosa. Błyskotki wszędzie porozrzucane, bo uświadomili sobie, że amulety sangomy nic niewarte. Odnalazłem ich i mojego wuja przed nastaniem głębokiej nocy, piekli mięso na rożnie. Dym z przypalonego mięsa przepłoszył wszystkie koty. Półksiężyc rzucał nikłe światło. Wuj przybył zapewne po to, by udowodnić, że ciągle umie władać nożem. Przeciw dzieciom. Znajdowali się między dwoma drzewami marula, żartowali i drwili, jeden rozpostarł ramiona, wybałuszając oczy, wystawiając język, w mowie wioski opowiadał coś o wiedźmie. Inny jadł owoce z ziemi, chodził pijany i wołał, że jest nosorożcem. Trzeci powie-

dział, że wiedźma zaczarowała mu brzuch, więc idzie na stronę się wysrać. Ruszyłem za nim poza linię drzew, gdzie słoniowa trawa sięgała mu do szyi. Na tyle daleko, że słyszał ich śmiech, ale oni nie słyszeli, jak się natęża. Podkasał przepaskę biodrową i ukucnął. Nastąpiłem na przegniłą gałązkę, więc podniósł głowę. Moja dzida przebiła mu serce, jego oczy zbielały, nogi się ugięły i runął w zarośla, bez hałasu. Wyciągnąłem dzidę i wykrzyczałem klątwę. Tamci zaczęli się gramolić.

Pod pniem innego drzewa zacząłem się wspinać i znowu wydałem głos. Jeden z nich się zbliżył, wymacując drogę, ale nic nie widział w słabej poświacie. Znałem jego woń. Objąłem nogami gałąź i zwiesiłem się tuż przed nim z toporem, kiedy zawołał Anikuyo. Szybki zamach i rąbnąłem go w skroń. Woń jego znałem, ale imienia nie mogłem sobie przypomnieć, za długo o tym myślałem.

Maczuga uderzyła mnie w pierś i spadłem. Palce na moim gardle, mocno zaciśnięte. Zrobi to, wytoczy ze mnie życie i będzie się chwalił, że dał radę w pojedynkę.

Kava.

Znałem jego woń, a on wiedział, że to ja. Półświatło księżyca rozjaśniło jego uśmiech. Nic nie mówił, tylko przykleił się do mojego lewego ramienia i się zaśmiał, gdy zdławił mi krzyk w gardle. Ktoś zawołał z pytaniem, czy mnie odnalazł, a ja zsunąłem prawą rękę z jego kolana, czego nie zauważył. Mocniej ścisnął mi szyję; głowa zrobiła się ciężka, potem lekka i widziałem na czerwono. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że wymacałem nóż na ziemi, póki nie złapałem za rękojeść, patrzyłem, jak Kava się śmieje i mówi: ruchałeś Lamparta?, i wbiłem mu go w szyję, a krew trysnęła jak gorąca woda z ziemi. Wybałuszył oczy. Nie upadł, tylko się osunął delikatnie na moją pierś, a ciepła krew popłynęła mi po skórze.

Tak chciałem powiedzieć czarownikowi.

Że nie widział mnie w ciemności, nie słyszał, jak idę przez busz, nie potrafił mnie wywęszyć na szlaku, gdy go ścigałem uciekającego, bo wiedział, że coś spadło na jego ludzi jak wzburzony wiatr, że potknął się i upadł, że nie trafił mnie żadnym kamieniem, który znalazł i rzucił, ani gównem szakala, co je wziął za kamienie, że to wszystko dlatego; bo choć poskromili ją zaklęciem i zabili na suficie, to wszystko dlatego, że czary sangomy nadal mnie chroniły, a chroniły, bo nie były czarami. Chciałem to wszystko powiedzieć. Ale tylko wbiłem mu nóż w szyję od zachodu i rozprułem gardło przez całą drogę na wschód.

Wuj krzyczał, aby nie odchodzili, ostatni dwaj, którzy trwali u jego boku. Podwoi im kauri, potroi, żeby mogli wynająć innych do walki w swoich waśniach rodowych albo zdobyć kolejną żonę z zamożnej wioski. Usiadł na ziemi, sądząc, że pilnują buszu, ale pilnowali mięsa. Ten z prawej padł jako pierwszy, mój topór rozpłatał mu nos i rozrąbał czaszkę. Drugi wbiegł wprost na moją dzidę. Osunął się i umierał powoli. Przebiłem mu brzuch i przygwoździłem go do ziemi, rzuciłem się do szyi. Trwało na tyle długo, aby wuj pomyślał, że jest nadzieja. Że zdoła uciec.

Mój nóż trafił go w tył prawego uda. Runął gwałtownie, wrzeszcząc, wołając bogów.

– Które dziecko zabiłeś najpierw? – spytałem, stając nad nim.

Czołgał się, ale nie przede mną.

– Ślepy bogu nocy, usłysz moje modły.

– Które? Sam wziąłeś nóż czy wynająłeś ludzi?

– Bogowie ziemi i nieba. Zawsze składałem wam daniny.

– Czy któreś krzyczało?

– Boże ziemi…

– Czy któreś z nich krzyczało?

Przestał się czołgać i usiadł na trawie.

– Wszystkie krzyczały. Jak zamknęliśmy je w chacie i podłożyliśmy ogień. Potem krzyków nie było.

Powiedział to, żeby mną wstrząsnąć, i wstrząsnął. Nie chciałem być człowiekiem, którego nigdy nie poruszą takie wieści.

– Ty. Wiedziałem, że jesteś przekleństwem, ale nigdy nie pomyślałem, że będziesz ukrywał mingi.

– Nie nazywaj…

– Mingi! Widziałeś kiedykolwiek deszcz, chłopcze? Czułeś na skórze? Patrzyłeś, jak kwiaty buchają barwami, bo w jedną noc ziemia obrzękła od wody? A jeśli nie widziałeś nic podobnego? Krowy i koty są tak wychudłe, że żebra wystają spod skóry. Zobaczyłbyś to wszystko. Przez długie księżyce zastanawiałbyś się, dlaczego bogowie zapomnieli o tej krainie. Dali wyschnąć rzekom i kazali kobietom rodzić martwe dzieci. Czy to byś na nas sprowadził? Jedno mingi wystarczy, żeby sprowadzić klątwę na cały dom. A dziesięć i cztery? Nie słyszałeś, jak mówiliśmy, że z polowaniami jest źle i coraz gorzej? Bumbangi może nosić głupią maskę i tańczyć do głupiego boga; żaden z nich nas nie wysłucha w obecności mingi. Jeszcze dwa księżyce i byśmy głodowali. Nic dziwnego, że uciekł słoń, uciekł nosorożec, tylko żmija została. A ty, głupcze…

– To Kava ich chronił, nie ja.

– Patrzcie, jak łże! Kava mówił, że będziesz łgał. Szedł za tobą i jakimś lampartem, co się z nim kładziesz do pary. Ile obrzydliwości może być w jednym chłopcu?

– Powiedziałbym, niech Kava udowodni swoje słowa, ale nie ma już gardła do mówienia.

Przełknął ślinę. Podszedłem. Pokuśtykał dalej.

– Jestem twoim ukochanym wujem. Jedynym krewnym.

– Więc będę mieszkał na drzewach i srał nad rzeką.

– Myślisz, że bębny nie usłyszą? Ludzie wyczują całą tę krew i obwinią ciebie. Kim jest ten bez rodziny? Kim jest ten bez dziecka? Kim jest ten, którego Kava odzyskał dla wioski i o którym mówił, że rzuca klątwy na własny lud? Wdowy po tych wszystkich mężach, których zabiłeś, o czym będą śpiewać? O tobie, który wybrałeś diabelskie dzieci i przekląłeś krainę, teraz odebrałeś im ojców, synów, braci. Jesteś martwym człowiekiem; równie dobrze mógłbyś wziąć nóż i poderżnąć sobie gardło.

Ziewnąłem.

– Możesz tak dłużej? – spytałem. – Czy przejdziesz teraz do targów?

– Kapłan fetyszowy…

– Teraz słuchasz słów kapłanów?

– Kapłan powiedział mi, że coś na nas spadnie jak burza.

– A ty pomyślałeś o błyskawicy. Jeśli w ogóle pomyślałeś.

– Nie jesteś błyskawicą. Jesteś zarazą. Popatrz, jak przyszedłeś do nas nocą jak zły wiatr i wywołałeś klątwy. Miałeś zabijać Gangatom. A ty wykonałeś ich dzieło. Nawet oni nie zwracają się przeciw swoim. Nikt nie jest twój i ty niczyj nie będziesz.

– Jasnowidz z ciebie teraz? Jutro stanęło przed tobą? Ukochany wuju, mam jedno pytanie.

Pożerał mnie oczami.

– Gangatom przyszli po mojego ojca i brata i zmusili dziadka do ucieczki. Jak to możliwe, drogi wuju, że nigdy nie przyszli po ciebie?

– Jestem twoim ukochanym wujem.

– A gdy spytałem, skąd cię znam, skąd znam miejskie obyczaje, powiedziałeś, że przybyłeś z bratem, moim ojcem…

– Jestem twoim ukochanym wujem.

– Ale mój ojciec nie żył. Uciekłeś do miasta z moim dziadkiem, nieprawda? Kupiliście sobie krzesła, jak przystało na baby. W moim domu

było dwóch tchórzy, nie jeden.

– Jestem twoim ukochanym wujem.

– Ukochanym przez kogo?

Zrobiłem unik, zanim rzucił, moim nożem. Nóż trafił w drzewo i upadł. Wuj zerwał się i z wrzaskiem zaatakował jak bawół. Pierwsza strzała przeszyła lewy policzek, potem prawy. Druga wbiła mu się w szyję. Trzecia w żebra. Patrzył na mnie, gdy nogi odmówiły posłuszeństwa i osunął się na kolana. Czwarta też trafiła w szyję. Ukochany wuj zwalił się na twarz. Za moimi plecami Lampart odłożył łuk. Za nim stali Albinosek, Kulek, Bliźnięta, Żyrafik i Dymka.

– To nie było dla ich oczu – powiedziałem.

– Było – odparł.

O wschodzie słońca zabraliśmy wszystkie do jedynych ludzi, którzy gotowi byli je przyjąć, ludzi, dla których żadne dziecko nie jest klątwą. Wieśniacy Gangatom dobyli dzid, gdy zobaczyli nasze nadejście, przepuścili nas jednak, bo Lampart krzyknął, że przynieśliśmy dary dla wodza. Wyszedł z chaty, wysoki, chudy, bardziej człowiek oręża niż władca, popatrzył na mnie zza muru wojowników. Odwrócił głowę w stronę Lamparta, ale spojrzenie oczu, osadzonych głęboko pod brwiami i w cieniu, pozostało wbite we mnie. W każdym uchu miał pierścień, na szyi naszyjniki z paciorków. Pierś była ścianą blizn, dziesiątek na dziesiątkach znaków zwycięstw w boju. Lampart otworzył torbę i wyrzucił ze środka głowę Asanbosama. Nawet wojownicy odskoczyli.

Wódz patrzył na trofeum tak długo, że zleciały się muchy. Wyminął wojowników, podniósł odciętą głowę i się roześmiał.

– Kiedy bracia mięsożerca i krwiopijca zabrali moją siostrę, wyssali z niej tylko tyle krwi, żeby nie umarła, a potem nakarmili ją takim brudem, że stała się ich niewolnicą. Żyła pod ich drzewem, jadła ochłapy z mar-

twych ludzi. Szła za nimi przez wszystkie krainy, aż nawet im się znudziła. Szła za nimi w rzeki, przez mury, w gniazda mrówek ogniowych. Jednego dnia Sasabonsam chwycił brata i zlecieli ze skały, wiedząc, że ona podąży za nimi.

Podniósł głowę wyżej i znowu się roześmiał. Ludzie wiwatowali. Potem spojrzał na mnie i spoważniał.

– A więc, Lamparcie, to twoje męstwo czy głupota, żeś sprowadził tutaj Ku?

– On też przybył z darami.

Szarpnąłem za wujowską pelerynę kozłową i wypadła druga głowa. Wojownicy podeszli bliżej. Wódz milczał.

– Czyś ty nie z jego krwi?

– Ja z niczyjej krwi.

– Widzę to w tobie, wyczuwam, możesz zaprzeczać, ile chcesz. Zabiliśmy wielu mężczyzn, kilka kobiet, większość z twojego plemienia. Ale swoich nie zabijamy. Myślisz, że jaki honor ci to przyniesie?

– Właśnie powiedziałeś, że zabijacie kobiety. I mówisz o honorze?

Wódz znów patrzył na mnie.

– Rzekłbym, że nie możecie tu zostać, ale przecież nie po to przyszliście.

Spojrzał za naszymi plecami.

– Jest więcej darów?

Zostawiliśmy z nim dzieci. Dwie kobiety chwyciły Żyrafika, jedna za pośladek, i zabrały go do chaty. Młody mężczyzna powiedział, że jego ojciec jest ślepy i samotny i nie będzie mu przeszkadzać, że bliźniaki są złączone. W ten sposób nie będzie się martwił, że zgubi któregoś. Mężczyzna ze szlachetnymi piórami w czapce zabrał Kulka na polowanie tego dnia. Kilku chłopców i dziewczynek otoczyło Albinoska, dotykali go i dźgali palcami, aż w końcu któreś dało mu miskę z wodą.

Lampart i ja odeszliśmy przed zachodem słońca. Ruszyliśmy wzdłuż rzeki, bo chciałem choćby w przelocie zobaczyć kogoś z Ku, kogoś, kogo już nigdy nie zobaczę. Ale żaden Ku nie zszedł nad wodę, żeby spotkać się z dzidą Gangatom. Lampart odwrócił się, żeby wejść w głęboki las, gdy nagle liście zaszeleściły za moimi plecami. Najczęściej uchodzi ona za ducha, ale gdy jest bojaźliwa albo uszczęśliwiona, albo zła, zaszeleści liśćmi, przewróci misę. Dymka.

– Powiedz jej, że nie może iść z nami – rzekłem do Lamparta.

– Ona nie ze mną idzie.

Odwróciłem się.

– Wracaj. Idź być córką dla matki albo siostrą dla brata.

Z dymu wyłoniła się jej buzia, ściągnięta brew, jakby nie zrozumiała. Wskazałem wioskę, lecz nie usłuchała mnie. Próbowałem przepędzić ją machnięciem ręki i odwróciłem się, by odejść, ale ruszyła za mną. Pomyślałem, że jeśli przestanę ją zauważać, przestanę zauważać, co wywołuje w moim sercu, ona sobie pójdzie. Ale podążyła za mną na skraj wioski i dalej.

– Wracaj – powiedziałem. – Wracaj, nie chcę ciebie.

Pomaszerowałem i wtedy znowu ukazała się przede mną. Chciałem na nią wrzasnąć, ale się rozpłakała. Odwróciłem się, lecz ponownie się pojawiła. Lampart zaczął się zmieniać i warknął, a dziewczynka podskoczyła ze strachu.

– Wracaj, bo cię przeklnę! – krzyknąłem.

Znajdowaliśmy się na skraju terytorium Gangatom w drodze na północ, ku wolnym ziemiom, a potem Luala Luala. Wiedziałem, że Dymka idzie za mną. Podniosłem dwa kamienie i rzuciłem jeden. Przeleciał przez nią na drugą stronę, kamień, wiedziałem jednak, że to ją przestraszy, ten mój gest.

– Wracaj, pierdolony upiorze! – krzyknąłem i rzuciłem drugi kamień.

Przepadła i więcej jej nie widziałem. Lampart zdążył odejść daleko, zanim uświadomiłem sobie, że wciąż stoję w jednym miejscu, że nie ruszyłem się ani na krok. Ocknąłem się dopiero, gdy warknął.

Poszedłem z nim do Fasisi, stolicy Północy, i zastałem tam wielu mężczyzn i wiele kobiet, co zgubili rzeczy, ludzi, którzy chcieli zrobić użytek z mojego nosa. Lampart miał dość ścian, odszedł więc po dwóch księżycach, a ja na wiele, wiele księżyców zostałem sam.

Minęły lata, gdy znów spotkałem Lamparta, byłem już wtedy mężczyzną. We Fasisi znało mnie dużo rozgoryczonych ludzi, więc przeniosłem się do Malakalu. Spędził tam cztery noce, po czym zostawił wiadomość u mej gospodyni, że chce się ze mną zobaczyć, co było jasne, bo nie miałby powodu chcieć zobaczyć miasta. Wciąż był przystojny, o silnych szczękach, i przyszedł pod ludzką postacią, bluza i peleryna, bo mieszkańcy miasta zabiliby zwierzę. Nogi grubsze, włosy dokoła twarzy dziksze. Miał kocie wąsy, ale to było miasto, w którym mężczyźni kochali mężczyzn, kapłani żenili się z niewolnikami, a smutek przepędzano winem palmowym i piwem z masuku. Nocą poczułem w nozdrzach jego nadejście, kiedy wreszcie przybył. Taką nocą, gdy nawet deszcz, cucąc stare wonie, nie potrafiłby zamaskować jego smrodu. Wciąż cuchnął jak człowiek, który myje się tylko wtedy, kiedy natrafi na rzekę. Spotkaliśmy się w gospodzie Kulikulo, gdzie prowadziłem interesy, gdzie gruby karczmarz podawał zupę i wino i nikt nie zwracał uwagi na to, kto staje w progu. Trzymał dzban piwa i zaproponował mi wino palmowe, którego sam nie wziąłby do ust.

– Dobrze wyglądasz, inaczej, mężczyzna teraz z ciebie – powiedział.

– A ty tak samo.

– Jak twój nos?

– Ten nos zapłaci za wino, bo nie widzę sakiewki przy tobie.

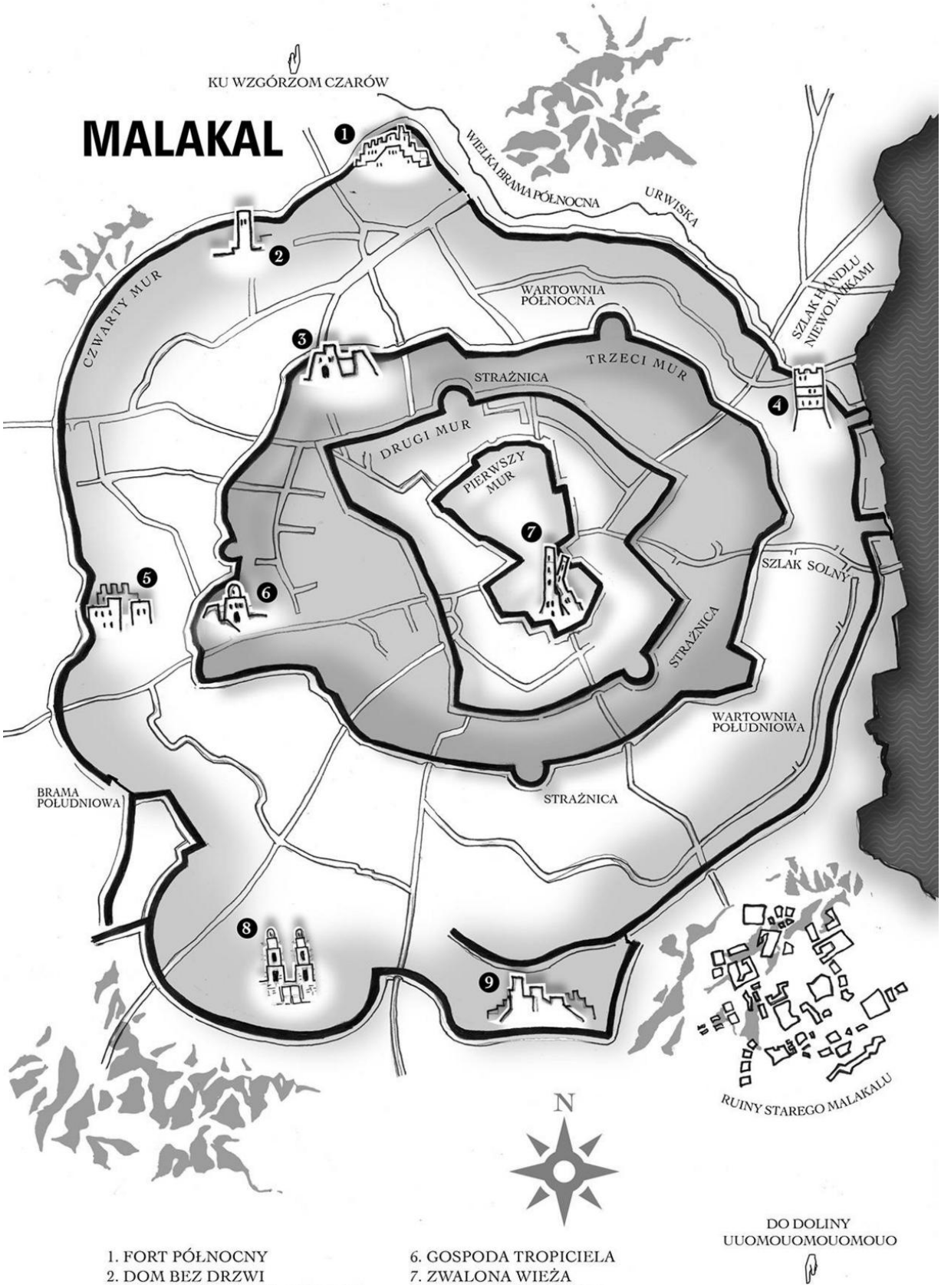
Roześmiał się i powiedział, że przyszedł z propozycją.
– Potrzebuję twojej pomocy, żeby odnaleźć muchę.

2

MURY I DRZWI

Gaba kura baya siyaki.





1. FORT PÓŁNOCNY
2. DOM BEZ DRZWI

6. GOSPODA TROPICIELA
7. ZWALONA WIEŻA

6

To.

Pragniesz, bym to przeczytał.

Sam sprawdź opowieść, mówisz. Zaznacz tam, gdzie słowa są inne od tego, co się wydarzyło. Nie muszę czytać; piszesz wedle życzenia Asze. Asze jest wszystkim, życiem i śmiercią, rankiem i nocą, uśmiechem szczęścia i niepomyślną wieścią. Tym, co wy na Południu macie za boga, a w istocie tym, skąd bogowie się biorą.

Ale czy ja w to wierzę?

Przebiegłe pytanie. Doskonale, przeczytam więc.

„Świadectwo Tropiciela tego dziewiątego dnia. Tysiąc pokłonów dla zadowolenia starszyzny. To świadectwo dowodem na piśmie, wezwaniem bogów nieba, którzy stają do sądzenia z błyskawicą i jadem żmii. I jak wymaga tego zadowolenie starszyzny, Tropiciel głosi swoje świadectwo daleko i wysoko, bo wiele lat i księżyców minęło od utraty dziecka do śmierci tegoż. To środkowa z wielu opowieści Tropiciela, co znaczy, że kwestię prawdy lub fałszu postanawiam pozostawić osądowi starszyzny, mającej na wyłączność rady od bogów. Opowieść Tropiciela wciąż wprawia w osłupienie nawet najbardziej niepospolity umysł. Wędruje on daleko na obce ziemie, jakby opowiadał dzieciom bajki nocą albo koszmary kapłanowi fetyszowemu dla przepowiedni ify. Lecz taka przyjemność i wola starszyzny, że człowiek winien mówić swobodnie i winien mówić tak długo, aż uszy bogów wypełni prawda.

Zagłębia się w obraz, zapach i smak swojego wspomnienia, z wiernym przywołaniem woni w szczelinie męskich pośladków, aromatu pachnideł w alkierzach dziewic Malakalu wypływającego przez okna, pod którymi przechodził, lub widoku zachwycającego słońca odmierzającego powolną zmianę pór roku. Ale o odstępach między księżycami, w roku, trzech latach, nie rzeknie ani słowa.

Tyle wiemy: Tropiciel w towarzystwie dziewięciu, w tym jednego, który też żywy, i jednego nieuwzględnionego, wyruszył na poszukiwanie chłopca. Porwanego, jak stwierdził. W owym czasie chłopca uważano za syna lub strażnika pewnego handlarza niewolników w Malakalu.

Tyle wiemy: wyruszyli z Malakalu na początku pory suchej. Poszukiwania chłopca trwały siedem księżyców. Powiodło im się, znaleźli i zwrócili chłopca, ale cztery lata później znów zaginął, a drugie poszukiwania, już w mniejszej drużynie, zabrały rok i zakończyły się jego śmiercią.

Na żądanie starszyzny Tropiciel opowiedział sumiennie o swoim dorastaniu i barwnym słowem i z pogodnym obliczem opisał kilka szczegółów z pierwszych poszukiwań. Co do drugich, gotów był mówić tylko o ich końcu i odmówił dania świadectwa z czterech lat, które upłynęły między oboma, kiedy to, jak wiadomo, osiadł na ziemiach Mitu.

Właśnie wtedy ja, wasz inkwizytor, zarzuciłem inną przynętę. Tego dziewiątego poranka przyszedł, aby mówić o roku, kiedy na powrót połączył się ze swoim najemnikiem, Lampartem. W istocie powiedział wcześniej, że to Lampart przybył do niego z zadaniem odnalezienia dziecka. Kłamstwo to dom zbudowany starannie, lecz na zbutwiałych palach. Kłamca często zapomina o początku swojej opowieści, zanim dobrnie do jej końca, i w ten sposób można go przyłapać. Kłamstwo to historia skrupulatnie opowiedziana, jeśli na to pozwolić, ja zaś dążyć będę do odkrycia jego nieprawdy, prosząc, aby opowiedział inną część historii. Dlatego wzywam, aby nie

mówił o pierwszych poszukiwaniach ani drugich, lecz o czterech latach między nimi.

ŚLEDCZY: Opowiedz o roku śmierci naszego Króla.

TROPICIEL: Waszego szalonego króla.

ŚLEDCZY: Naszego Króla.

TROPICIEL: Ale szalonego. Przepraszam, oni wszyscy szaleńcy.

ŚLEDCZY: Opowiedz o roku śmierci naszego Króla.

TROPICIEL: To twój król. Ty więc opowiedz.

ŚLEDCZY: Opowiedz mi…

TROPICIEL: Był to rok jak inne lata. Były dni i były noce, a noce były kresem dnia. Księżyce, pory roku, burze, susza. Nie jesteś aby kapłanem fetyszowym, który przynosi takie nowiny, inkwizytorze? Twoje pytania nabierają mocy z upływem dnia, to prawdziwa rozmowa.

ŚLEDCZY: Pamiętasz tamten rok?

TROPICIEL: Ku nie nazywają lat.

ŚLEDCZY: Pamiętasz tamten rok?

TROPICIEL: Był to rok, kiedy wasz najdostojniejszy król wysrał z siebie swoje najdostojniejsze życie w najdostojniejszej latrynie.

ŚLEDCZY: Wypowiadanie złego słowa o Królu jest karane w Południowym Królestwie.

TROPICIEL: Przecież on już trup, nie król.

ŚLEDCZY: Dość. Opowiedz o tamtym roku.

TROPICIEL: O tamtym roku? Moim roku. Przeżyłem go w pełni i zostawiłem za sobą, kiedy się skończył. Co tu jeszcze trzeba wiedzieć?

ŚLEDCZY: Nie masz nic więcej?

TROPICIEL: Obawiam się, inkwizytorze, że ciekawsze opowieści znalazłbyś u tych z nas, którzy pomarli. O tych latach nie mam nic do powie-

dzenia oprócz stabilności, nudy i niekończących się żądań wściekłych żon, abym odnalazł ich niezadowolonych mężów…

ŚLEDCZY: Czy nie porzuciłeś zajęcia w tych latach?

TROPICIEL: Chyba ja najlepiej pamiętam moje własne lata.

ŚLEDCZY: Opowiedz o swoich czterech latach w Mitu.

TROPICIEL: Nie spędziłem czterech lat w Mitu.

ŚLEDCZY: W swoich zeznaniach dnia czwartego powiedziałeś, że po pierwszych poszukiwaniach odszedłeś do wioski Gangatom, a stamtąd do Mitu. Twoje zeznanie dnia piątego zaczyna się słowami: Kiedy odnalazł mnie w Mitu, byłem gotowy odejść. Cztery lata pozostają niewyjaśnione. Nie spędziłeś ich w Mitu?

[Uwaga: gdy zadałem mu to pytanie, klepsydra była w dwóch trzecich przesypana. Spojrzał na mnie tak, jak patrzą ludzie, gdy rozważają buntownicze zachowanie. Brwi w łuk wygięte, grymas na twarzy, a potem pustka, pochyłość w kącikach ust, oczy wilgotne, jakby od złości na moje pytanie przeszedł do innego uczucia na myśl o odpowiedzi. Klepsydra się przesypała, zanim przemówił].

TROPICIEL: Nie znam żadnego miejsca zwanego Mitu.

ŚLEDCZY: Ty nie znasz? Tropiciel, który chełpi się, że był w tak wielu królestwach, w prowincji latających bestii, w krainie gadających małp, w stronach nienaniesionych na mapy ludzkie? Nie masz więc znajomości całego tego terytorium?

TROPICIEL: Wyjmij palce z mojej rany.

ŚLEDCZY: Zapominasz, kto tu wydaje rozkazy.

TROPICIEL: Moja noga nigdy nie postała w Mitu.

ŚLEDCZY: To inna odpowiedź od słów, że nie znasz żadnego miejsca zwanego Mitu.

TROPICIEL: Powiedz, jaką historię chcesz usłyszeć w mojej opowieści. Od zmierzchu jej do świtu? A może jako lekcję albo pieśń pochwalną? A może historia moja powinna się wlec jak kraby, z boku na bok?

ŚLEDCZY: Powiedz starszyźnie, która sporządzi ten zapis jako twoje własne słowa, co zaszło w ciągu tych czterech lat w Mitu.

Opiszę jego twarz bez wrażeń i osądów. Brwi uniósł wyżej niż dotąd, otworzył usta, ale nie przemówił. Odniosłem wrażenie, że warknął albo zaklął w jednym z języków znad północnej rzeki. Potem zerwał się na nogi, odpychając i przewracając swoje krzesło. Skoczył na mnie z wrzaskiem i krzykiem. Ledwo zdążyłem zawołać straże, bo chwycił mnie rękami za gardło. Zaiste pewność mam, że wydusiłby ze mnie życie. Zaciskał palce coraz mocniej, pchając mnie do tyłu na krześle, aż obaj runęliśmy na ziemię. Ośmielę się powiedzieć, że oddech miał cuchnący. Dźgnąć go zdołałem, pisakiem, w dłoń i szczyt ramienia, ale zaświadczę w moim zeznaniu, że już opuszczałem ten świat, i to chyżo. Dwaj straże doskoczyli od tyłu i uderzyli go w głowę maczugami, aż padł na mnie, ale nawet wtedy nie poluźnił uścisku, dopiero gdy zadali trzeci cios”.

Muszę wyznać, że to rzetelne zdanie sprawy, chociaż moje żebra pamiętają kilka kopniaków od twoich ludzi, wymierzonych, nawet gdy już mnie skrępowali. Mój grzbiet wycierpiał batożenie workiem na ignam. I to jeszcze: stopy dostały tyle razów, aż dziwię się, że doszedłem do tej komnaty. Pamięć zwodzi – przywlekli mnie tutaj. Ale nawet nie to było najgorsze, bo najgorsze, że kazałeś ubrać mnie w szaty dla niewolników – jakiej obrazy się dopuściłem, żeby to spowodować?

Tylko popatrz na nas. Ja w mroku nawet za dnia, ty tam na stołku. Podtrzymując papier i pisak kolanami, starasz się nie wywrócić atramentu przy

stopach. I te żelazne pręty między nami. Ten obok mnie co noc wzywa boginię miłości, a takich odgłosów nie słyszałem, odkąd szukałem ojca, to jest dziadka, w kurwiarni. Między nami mówiąc, to chciałbym, aby mu odpowiedziała, bo jego wołania za każdym razem głośniejsze.

Tak oto. Mój ojciec i brat zamordowani, wuj zgładzony moją własną ręką. Wrócić do dziadka? Żeby jakie wieści mu przekazać? Cześć ci, ojcze mój, którego teraz znam jako dziadka, choć kładziesz się z moją matką. Zabiłem twojego drugiego syna. Nie było w tym żadnego honoru, ale tyś już człowiekiem bez honoru. Zaiste jesteś sprytny. Sprytny, inkwizytorze, że mówię do nich, a nie do ciebie. Co to będzie za świadectwo?

Umyłeś się, odkąd widziałem cię ostatni raz. Woda źródlana z cennymi solami, przyprawami korzennymi i wonnym kwieciem. Tyle tych przypraw, aż myślałbym, że twoja dziesięcioletnia żona chciała cię ugotować. Lecz, kapłanie, wyczuwam woń oparzenia po prawej stronie twoich pleców, tam gdzie polała cię wrzątkiem. Na wszystkich bogów, doprawdy chciała cię ugotować. Uderzyłeś ją, rzecz jasna, mocno w usta. Już wcześniej przynosiłeś na sobie jej krew.

Gdzie jest to, co stało się potem? Gdy już twoje straże grzmotnęli mnie w głowę od tyłu, ale zanim mnie tu przynieśli. Ta część, kiedy cię dusiłem, aż byłeś bliski śmierci. Ta część, kiedy straże musieli cię spoliczkować jak głupca po opium w norze handlarza duchów. Nie pytaj więcej o Mitu.

Jeszcze jedno. Kiedy przeniosłeś się do Nigiki? Pytam, bo to są szaty niewolnika z Nigiki. Poza tym wyczuwam solniska, w którąkolwiek stronę się obrócę. Przenieśliście mnie nocą? Co za dziwne mikstury więziły mnie we śnie? Ludzie mówią, że cela w Nigiki jest bardziej przepyszna niż pałac w Kongorze, ale tacy nigdy w celi nie siedzieli. Ją też przeniosłeś czy tylko swojego drogiego, sprawiającego kłopoty Tropiciela?

Ostatnim razem w tym mieście też byłem w kajdanach.

Opowiem ci historię.

Pozwoliłem, aby mnie sprzedano szlachcicowi w Nigiki, bo niewolnik wciąż dostawał cztery posiłki, za które nie płacił ze swojej kiesy, i mieszkał w pałacu. Dlaczego więc nie być niewolnikiem? Gdybym zatęsknił do wolności, mógłbym zabić swojego pana. Ale ten szlachcic miał posłuch u waszego zmarłego Króla. Wiedziałem, bo mówił każdemu, kogo napotkał. Jako że brałem udział w nowej grze – całkowite poddaństwo wobec innego – to się połapałem. Niewolników nie odsprzedaje się w Południowym Królestwie, zwłaszcza w Nigiki, ale on tak robił i tak właśnie zgromadził majątek. Czasem niewolnik rodził się w wolności i zostawał porwany.

Pan mój tchórzem był i złodziejem. Żonę chłostał po nocy i bił za dnia, aby niewolnicy wiedzieli, że żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie stoją wyżej od niego. Pewnego razu przebywał poza domem i wtedy powiedziałem do niej: jeśli to ucieszy moją panią, mam pięć kończyn, dziesięć palców, jeden język i dwa otwory, wszystko dla jej rozkoszy. Odpowiedziała: cuchniesz jak dzik, ale może jesteś jedynym mężczyzną w Nigiki, od którego nie czuć soli. Odpowiedziała: słyszałam o was, mężczyznach z Północy, że do kobiet używacie ust i języka. Przedarłem się przez jej pięć szat, odnalazłem pipę, rozsunąłem wargi na wschód i zachód i przylepiłem język do tej małej duszyczki głęboko w kobiecie, co Ku myślą, że jest ukrytym chłopcem, którego winno się wyciąć, a w rzeczywistości to coś poza chłopcem i dziewczynką. Wydawała dźwięki głośniejsze niż pod batem, ale byłem ukryty pod jej szatami, więc niewolnicy myśleli, że wspomina chłostę albo bóg żniw natchnął ją uniesieniem.

Nigdy nie pozwoliła mi włożyć w nią niczego innego oprócz języka, bo taki wciąż jest obyczaj dam.

– Jak którakolwiek mogłaby legnąć z dzikiem? – pytała.

Czekasz, by się przekonać, jaki był tego koniec. Czekasz, by się przekonać, czy kiedykolwiek rozgarnąłem morze jej szat i wziąłem ją bez jej proszenia, bo tak robicie wy, panowie z Południa. Albo czekasz na tę chwilę, kiedy zabiłem jej męża, bo czyż nie wszystkie moje opowieści kończą się przelaną krwią?

Wkrótce rzekłem do szlachcica: nie minął jeszcze miesiąc, a mnie już sprzykrzyło się być twoim niewolnikiem. Nawet twoje okrucieństwo nie jest zajmujące. Pożegnałem się, pokazałem mojej pani bezecny znak ustami i językiem i odwróciłem się, aby odejść.

Tak, tak właśnie odszedłem.

Niech będzie, skoro musisz wiedzieć, uderzyłem szlachcica od tyłu w głowę płazem długiego miecza, doczekałem chwili, aż niewolnik nasrał mu w usta, a potem obwiązałem mu głowę sznurem, żeby miał zamkniętą szczękę. I dopiero wtedy odszedłem.

Dzieci?

Co to ma za znaczenie?

Próbowałem zobaczyć dzieci. Więcej niż jeden, dwa razy. Ćwierć księżyca po tym, jak zostawiliśmy je u Gangatom, skradałem się nad Rzeką Dwóch Sióstr. Wtedy wieś czuć już byłoby na wietrze trupem Kavy, czarownika i mojego ukochanego wuja. Gdy nadchodziłem, po gangatomowej stronie rzeki, moja pierś w każdej chwili mogła się spotkać z dzidą, a mój zabójca nie skłamałby, gdyby rzekł: oto zabiłem Ku. Przeskakiwałem od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, świadomy, że nie należało przychodzić. Minęło dopiero ćwierć księżyca. Ale może Albinos natrafił na chłopca, który go zaciął, aby zobaczyć, czy krew jego też biała, a może kobiety w wiosce bały się niespokojnego snu Dymki i powinny usłyszeć, że nie trzeba się jej lękać, bo skąd miałyby wiedzieć? I że trzeba jej pozwolić posiedzieć na twojej głowie, jeśli chce posiedzieć na twojej głowie, a może

ten mój chłopczyk, co ma się za kulę, wtoczył się na jakiego mężczyznę, bo tylko tak umie powiedzieć: oto jestem, pobaw się ze mną, ja już zabawką? I żeby Żyrafika nie nazywać żyrafą, nigdy. A Bliźnięta, co za przebiegłe umysły i radosne serca, jeden zagada cię znad prawego ramienia pytaniem, gdzie jest wschód, a drugi skradnie ci łyki kleiku.

No i nie było Lamparta, by za mnie poręczył; zajęcie i uciechę znalazł w Farsisi. Ale rzeka płynie przez obie krainy, a drzewa stały daleko od siebie. Zatrzymałem się przy jednym i już chciałem podbiec do drugiego, dziesięć i siedem kroków dalej, gdy strzały świsnęły obok. Uskoczyłem w tył i drzewo, trafione, złapało trzy z nich. Głosy Ku, mężczyźni po drugiej stronie rzeki myśleli, że mnie zabili. Padłem na brzuch i odczołgałem się jak jaszczurka.

Dwa lata później poszedłem zobaczyć moje dzieci mingi. Przybyłem z Malakalu, obierając inny szlak niż ten używany przez Ku. Żyrafik był teraz wysoki jak prawdziwa żyrafa, nogami sięgał mojej głowy; twarz trochę starsza, ale ciągle młoda. Pierwszy mnie zobaczył, gdy wszedłem do osady Gangatom. Albinosek, nie wiedziałem, że jest najstarszy, póki nie zobaczyłem, że obrósł najbardziej twardym mięśniem, nabrał wzrostu i zdrowo wyprzystojniał. Nie potrafiłem powiedzieć, czy rozwinął się tak prędko, czy dopiero teraz zauważyłem. Nawet gdy do mnie podbiegał, śledziły go niewieście spojrzenia. Bliźnięta były na polowaniu w buszu. Chłopiec bez nóg zrobił się jeszcze grubszy i okrąglejszy, turlał się wszędzie. Przydasz się na wojnie, powiedziałem mu. Czy wszyscyście teraz wojownikami? Albinos kiwnął głową, a beznożny chłopiec zachichotał i potoczył się prosto na mnie, przewracając na ziemię. Dymki nie widziałem.

A potem, po upływie księżyca, szedłem z Żyrafikiem i spytałem: a Dymka, ciągle mnie nienawidzi? Nie wiedział, co odrzec, bo nigdy nie znał nienawiści. Każdy mężczyzna, co wejdzie w jej życie, odchodzi,

odparł, gdy wracaliśmy do jego domu. W drzwiach wychowujące go kobiety powiedziały: wódz umiera, a ten, co ma po nim nastać, źle myśli o wszystkich Ku, nawet takich, co mieszkają z innym ludem w domach z kamienia.

Nie musisz znać ich imion.

Co się tyczy Lamparta, pięć lat minęło, nim znów go spotkałem, w gospodzie Kulikulo. Za stołem, czekał na mnie.

– Potrzebuję twojej pomocy, żeby odnaleźć muchę – powiedział.

– Lepiej poradź się pająka.

Roześmiał się. Lata go odmieniły, choć wyglądał tak samo. Szczęki wciąż mocne, oczy jeziorami światła, w którym człowiek widział siebie. Kocie wąsy i potargane włosy, przez co bardziej przypominał lwa niż panterę. Zastanawiałem się, czy wciąż jest tak samo szybki. Długo dumałem nad tym, czy starzeje się jako lampart, czy jako człowiek. Malakal był miejscem cywilizowanego rzeźnictwa, miastem niedobrym dla człekozwierza. Ale w gospodzie Kulikulo nigdy nie oceniano bywalców po ich postaci ani szacie, nawet jeśli mieli na sobie tylko kurz albo czerwoną ochrę rozsmarowaną z krowim tłuszczem, byleby płacili twardą monetą, co płynie im z ręki jak rzeka. Mimo to wyciągnął skóry z worka i owinął biodra czymś szorstkim i włochatym, potem przykrył grzbiet połyskliwymi liśćmi. To było nowe. Zwierz poznał wstyd ludzki, ten sam zwierz, co kiedyś mówił, że gdyby lampart miał nosić jakieś suknie, toby się w nich urodził. Poprosił o wino i mocny napitek, co wykończyłoby nawet bestię.

– Żadnego serdecznego powitania dla tego, który życie ci uratował więcej razy, niż mrugnie mucha?

– To mucha mruga?

Znowu się roześmiał i podskoczył na stołku. Złapałem go za ręce, ale się wyrwał, chwycił mnie i objął mocno. Już chciałem powiedzieć, że to

wygląda jak u kochających się chłopców na Wschodzie, ale zacząłem słabnąć w jego uścisku, tak bardzo słabnąć, że ledwo zareagowałem. Zebrało mi się na płacz, jak malcowi, i kiwaniem głowy wygnałem z siebie to uczucie. Pierwszy się odsunąłem.

– Zmieniłeś się, Lamparcie.

– Od kiedy usiadłem?

– Od kiedy cię ostatnio widziałem.

– Och, Tropicielu, podły czas odciska na nas piętno. A twoje dni niepodłe?

– Moje dni tuczące.

Roześmiał się.

– Ale wystarczy spojrzeć na ciebie, gadam z odmienionym.

Usta mu drżały, jakby chciał powiedzieć więcej.

– Co? – spytałem.

Wskazał.

– Twoje oczy, głupcze. Co to za czary? Nie chcesz o tym mówić?

– Zapomniałem.

– Zapomniałeś, że masz w twarzy ślepie szakala?

– Wilka.

Przysunął się i poczułem piwo. Teraz wpatrywałem się w niego tak głęboko jak on we mnie.

– Czekam na dzień, kiedy wreszcie opowiesz mi o tym. Łaknę tego. Albo się boję.

Teraz zabrakło mi jego śmiechu.

– Słuchaj, Tropicielu. W twoim mieście nie znalazłem żadnych chłopców do zabawy. Jak sobie radzisz z nocnym głodem?

– Sam gaszę swoje pragnienie – odparłem i wtedy się roześmiał.

Prawda, że w tamtych dniach żyłem jak mnich. Inaczej niż wtedy, gdy wędrówka wiodła mnie daleko, gdzie byli nadobni chłopcy i mniej nadobni rzezańcy, którzy, chociaż nie tak ładni, w grze miłosnej mieli więcej wprawy. Czasem nawet kobieta mi wystarczyła.

– Coś porabiał w ostatnich latach, Tropicielu?

– Porabiałem za dużo i za mało.

– Opowiedz.

Oto historie, które opowiedziałem Lampartowi, gdy piłem wino, a on pił piwo z masuku w gospodzie Kulikulo.

Przez rok mieszkałem w Malakalu, potem przeniosłem się do Kalindaru, spornego królestwa na granicy z Południem. Do ojczyzny wielkich właścicieli koni. Klnę się, że miejsce to bardziej przypominało skupisko stajni z kwaterami dla ludzi, żeby się ruchali, spali i spiskowali. Bez względu na to, z której strony się przybywało, do miasta można było dotrzeć tylko forsowną wędrówką lądem. Rozmiłowany w wojnie lud, zawzięty i mściwy w nienawiści, namiętny i ochoczy w miłości, który gardził bogami i często rzucał im wyzwanie. Tam znalazłem dom, rzecz jasna.

W Kalindarze był książę bez księstwa, który twierdził, że rozbójnicy porwali mu córkę na północnym szklaku. Oto co chcieli jako okup: srebro ciężaru dziesięciu i siedmiu koni. Słuchajże, książę wysłał sługę, żeby mnie sprowadził, czego ten spróbował sposobem zgodnym ze wstrętnymi manierami księcia. Odesłałem go z powrotem bez dwóch palców.

Drugi sługa złożył ukłon przede mną i poprosił, abym uradował księcia swoją obecnością. Udałem się zatem do pałacu, którym było ledwie pięć pomieszczeń, jedno pobudowane na drugim, na dziedzińcu zadeptanym przez kury. Książę miał jednak złoto. Nosił je na zębach i przewleczone

przez brwi, a obok przeszedł chłopiec doglądający wychodka, niósł sracz z czystego kruszcu.

– Ty, co pozbawiłeś palców mojego strażnika, mamy dla ciebie zadanie – powiedział.

– Nie umiem odnaleźć królestwa, którego nie straciłeś – odparłem.

W Kalindarze nie mają rozdwojonego języka, więc ta odpowiedź pofrunęła wprost do morza.

– Królestwa? Nie potrzebuję odnaleźć królestwa. Pięć dni temu zbójcy porwali moją córkę, twoją księżniczkę. Zażądali okupu, srebra ciężkości dziesięciu i siedmiu koni.

– Zapłacisz?

Książę potarł dolną wargę, ciągle wpatrzony w zwierciadło.

– Po pierwsze, potrzebuję wiarygodnego słowa, że księżniczka żyje. Powiadają, że masz nos.

– W rzeczy samej. Życzysz sobie, abym ją odnalazł i sprowadził?

– Posłuchajcie, jak on mówi z książętami! Nie. Życzę sobie, abyś tylko ją odnalazł i złożył mi meldunek. Potem podejmę decyzję.

Skinął głową na staruchę, która rzuciła laleczkę w moim kierunku. Podniosłem ją i powąchałem.

– Ceną jest siedem razy dziesięć kawałków złota – powiedziałem.

– Ceną jest to, że daruję ci życie pomimo twojej czelności.

Ten książę bez księstwa był przerażający jak dziecko, które kwili, bo się zesrało, a jednak wyruszyłem na poszukiwania księżniczki, bo czasem praca jest zapłatą za samą siebie. Zwłaszcza że ślad poprowadził mnie nie na północne szlaki ani do osad zbójców, ani nawet do płytkiego grobu w ziemi, lecz do miejsca położonego niecały ranek marszu od małej siedziby księcia. W chacie obok placu, na którym dawniej był gwarny targ owoców i mięsa, ale teraz porósł dzikim buszem. Odnalazłem ją nocą. Ją

i tych porywaczy kobiet, z których jeden zatoczył się od pacnięcia w policzek.

– Dziesięć i siedem koni? Tylko tyle jestem dla was warta? Dziesięć i siedem koni? I to w srebrze? Czy urodziliście się tak nisko, że wydaje wam się, że więcej nie jestem godna?

Złorzeczyła i zrzędziła tak długo, że zaczęło mnie to nudzić, ale ona dalej swoje. Widziałem, że porywacz myśli już, że może powinien zapłacić księciu, aby ją zabrał z powrotem. Wyczułem u niego dar przeistaczania się, woń kota jak u Lamparta. Lew być może, a inni mężczyźni leżący dokoła byli jego stadem, kobieta przy ogniu patrząca na nich oboje pochmurnym wzrokiem była jego samicą aż do porwania księżniczki. Wszyscy wcisnęli się do pomieszczenia, a księżniczka gderała jak kakadu. Taki był plan: że lew i jego stado porwą księżniczkę i zażądają zapłaty. Takiej, jaką jej ojciec z chęcią da, bo córka warta jest więcej niż srebro i złoto. Okupu księżniczka chciała użyć do zaciągu najemników, żeby obalili księcia, który nie miał księstwa do obalenia. Z początku myślałem, że ona jest jak ci chłopcy i dziewczęta porwani za młodu, którzy w środku niewoli zaczynają swoim ciemiężycielom okazywać wierność, a nawet miłość. Ale potem powiedziała:

– Trzeba mi było wziąć lamparty; przynajmniej mają spryt.

Przywódca lwów zaryczał tak głośno, że zlękli się ludzie na ulicy.

– Chyba wiem, jak kończy się ta historia – powiedział Lampart. – A może po prostu znam ciebie. Wyjawiłeś księciu zamiary jego córki, a potem wyślizgnąłeś się tak cicho, jak nadszedłeś.

– Zacny Lamparcie, jaką miałbym z tego uciechę? Poza tym dni moje były długie, a interes powolny.

– Nudziłeś się.

– Jak bóg czekający, aby czymś zaskoczył go człowiek.

Wyszczerzył zęby.

– Wróciłem do księcia i złożyłem mu meldunek. Powiedziałem: szlachetny książę, muszę jeszcze odnaleźć zbójców, ale w drodze tutaj minąłem dom przy starym targu, gdzie ludzie spiskowali, by odebrać ci koronę.

– Co? – spytał. – Pewien jesteś? Jacy ludzie?

– Nie patrzyłem, tylko czym prędzej przyszedłem do ciebie. Teraz pójdę odnaleźć twoją córkę.

– Co mam począć z tymi ludźmi?

– Każ swoim zakraść się tam nocą jak złodzieje i spalić dom na popiół – odpowiedziałem.

Lampart patrzył na mnie, gotów wydusić mi resztę historii z ust.

– I kazał?

– Kto wie? Ale przy następnym księżycu widziałem córkę w oknie, jej głowa czarnym kikutem. Wtedy przekląłem Kalindar i wróciłem do Malakalu.

– I to cała twoja historia? Opowiedz mi inną.

– Nie, to ty mi opowiedz o swoich wędrówkach. Co robi lampart na nowych ziemiach, gdzie nie może polować?

– Lampart znajduje mięso, gdziekolwiek da się znaleźć. I jest jeszcze mięso, które zjada! Ale znasz mnie. Zwierząt takich jak my nie stworzono do życia w jednym miejscu. Nikt nie zawędrował tak daleko jak ja. Na statek się zaciągnąłem, gorliwy byłem. Popłynąłem na morze, potem zaciągnąłem się na inny statek, który wyprawił się jeszcze dalej, żeglował przez długie, długie księżyce.

Wdrapał resztę ciała na krzesło i przykucnął na siedzisku. Wiedziałem, że to zrobi.

– Zobaczyłem ogromne stwory morskie, między innymi takiego, który wyglądał jak ryba, ale potrafił połknąć cały statek. Odnalazłem ojca.

– Lamparcie! Przecież myślałeś, że on nie żyje.

– On też tak myślał! Był kowalem na wyspie pośrodku morza. Zapomniałem nazwy.

– Nie zapomniałeś.

– Pierdolić bogów, może po prostu nie chcę pamiętać. Nie był już kowalem, tylko starcem czekającym na śmierć. Zostałem z nim. Widziałem, że już nie pamięta, żeby pamiętać, potem że zapomina, że zapomniał. Słuchaj, nie było już w nim lamparta – zapomniał o wszystkim, żyjąc z tą swoją młodą żoną i rodziną pod jednym dachem, a to nie w naturze lamparta. Przeklinam ciebie i twoje wąsy, mówił do mnie niejeden raz. Ale bywały dni, kiedy patrzył na mnie i warczał, i szkoda, że nie widziałeś, jaki był zaskoczony, zastanawiał się, skąd bierze się to warczenie. Jednego razu zmieniłem się na jego oczach i wrzasnął, jak wrzeszczą starcy, nie wydając dźwięku. Nikt mu nie uwierzył, gdy krzyczał: patrzcie, dziki kot, pożre mnie!

– Co za smutna historia.

– A zrobi się jeszcze smutniejsza. Jego dzieci w tym domu, moi bracia i siostry, wszyscy mieli w sobie ślad kota. Najmłodsze miało cętki na całym grzbiecie. Żadne nie lubiło nosić odzienia, mimo że na tej wyspie pośrodku wody mężczyźni i kobiety zakrywali wszystko oprócz oczu. Gdy umierał, na posłaniu śmierci wciąż się zmieniał z człowieka w lamparta, z lamparta w człowieka. Przeraził tym dzieci i strapił ich matkę. W końcu w pokoju zostaliśmy tylko ja, mój najmłodszy brat i on, bo wszyscy poza najmłodszym myśleli, że to czary. Najmłodszy patrzył na ojca i wreszcie zobaczył siebie. Obaj staliśmy się lampartami i polizałem ojca po twarzy, żeby go uspokoić. Zostawiłem go w wiecznym śnie.

– To smutna historia. A jednak jest w niej piękno.

– A ty teraz kto, miłośnik piękna?

– Nie zadałbyś tego pytania, gdybyś widział, kto dziś rano opuścił moje łoże.

Tęskniłem za jego śmiechem. Cała gospoda słyszała, gdy Lampart się śmiał.

– Stałem się wędrowcem, Tropicielu. Szedłem od krainy do krainy, od królestwa do królestwa. Królestwa, gdzie ludzie mają skórę bielszą od piasku, a co siedem dni zjadają swojego boga. Byłem rolnikiem, skrytobójcą, przybrałem nawet imię, Kuesi.

– Co ono znaczy?

– Pierdolić bogów, jeśli wiem. Dla uciechy pokazywałem nawet sprośne sztuki.

– Co?

– Dosyć, człowieku. Powodem, że cię odszukałem…

– Pierdolić twoje powody, chcę posłuchać o tych sprośnych sztukach.

– Nie mamy dużo czasu, Tropicielu.

– No to się uwiń. Ale nie pomijaj szczegółów.

– Tropicielu.

– Kuesi, a może powinienem wstać i zostawić cię z rachunkiem?

Prawie się skrzywił na te słowa.

– Świetnie. Dość. Byłem żołnierzem.

– To nie brzmi jak początek sprośnej historii.

– Pierdolić bogów, Tropicielu. Może historia rozpoczyna się od tego, że mężczyzna znalazł armię…

– Na Południu czy Północy?

– Pierdolić jedno i drugie. Powiadam, że ten mężczyzna tutaj znalazł armię potrzebującą nadzwyczaj umiejętnego łucznika. Ten mężczyzna tutaj znalazł się w krainie bez pożywienia i bez uciech. Ten mężczyzna być może świetnie potrafi zabijać wrogów, ale nie potrafił utrzymać pokoju między

towarzyszami broni. Choć z jednego czy dwóch co bardziej nadobnych dało się zrobić użytek.

– Nawet z Lamparta.

– Oto co się wydarzyło. Napadliśmy wioskę, w której nie było nijakiej broni oprócz kamieni do krojenia mięsa, spaliliśmy chaty z kobietami i dziećmi w środku. Tak to było. Powiedziałem: nie zabijajcie kobiet ani dzieci, nawet gdyście głodni. Ten mały przydupas dowódcy do mnie: zabij ich więc z łuku. Mówię, że to nie są walczący na wojnie, a on do mnie, że mam rozkaz. Odszedłem, bo nie jestem żołnierz, a to nie była bitwa warta pieniądza.

I powiem ci, że jeszcze to się stało. Ten mały przydupas wrzasnął: zdrajca i w okamgnieniu jego ludzie mnie dopadli; tymczasem żołnierze dalej podkładali ogień pod chaty, w których były uwięzione dzieci. Czterej natarli na mnie i wtedy wystrzeliłem cztery strzały między cztery pary oczu. Mały przydupas znów próbował krzyczeć, ale piąta strzała przeszyła mu gardło. Nie trzeba ci więc mówić, Tropicielu, że musiałem odejść, pod osłoną dymu z ognia. Potem wędrowałem dzień za dniem, aż pojąłem, że jestem na Morzu Piasków, gdzie nie ma życia. Cztery dni bez wody i pożywienia, zacząłem widzieć grubą kobietę stąpającą po chmurach i lwy chodzące na dwóch nogach, i karawanę, która nigdy nie dotknęła piasku. Ludzie z karawany podnieśli mnie i wrzucili na tył.

Ocknąłem się, gdy matka kazała chłopcu spryskać mi twarz wodą. Karawana podrzuciła mnie na próg domu w Uakadiszu.

– Od Morza Piasków do Uakadiszu to całe księżyce, Lamparcie.

– To była szybka karawana.

– A więc teraz jesteś najemnikiem – powiedziałem.

– Trędowaty wytykający trąd trędowatemu.

– Ja odnajduję ludzi, nie zabijam ich.

– Oczywiście. Przecież to zawsze krowią krew ocierasz z hełmu. Dlaczego spieramy się o słowa? Jesteś szczęśliwy, Tropicielu?

– Jestem zadowolony z wielu rzeczy. Ten świat nigdy nic mi nie dał, a jednak mam wszystko, czego zapragnę.

– Nie o to pytałem, głupcze.

– A co, zwierzęta poszukują teraz szczęścia? Gdybyś takim miał być człowiekiem, to bądź mniej człowiekiem, a więcej Lampartem.

– Pierdolić bogów, Tropicielu, to proste pytanie. Najdłuższa odpowiedź to ledwie jedno słowo.

– A czy to wpłynie na twoją propozycję?

– Nie.

– A więc masz odpowiedź. Znalazłem zajęcie, a zajęcie lepsze od nudy, nie jest tak?

– Czekam…

– Na co?

– Na to, byś powiedział, że smutek nie jest nieobecnością szczęścia. Albo odwrotnie.

– Mówiłem tak kiedykolwiek?

– Mówiłeś coś podobnego. A do kogo należy twoje serce?

– Powiedziałeś mi dawniej, że nikt nikogo nie kocha.

– Może byłem młody i zakochany we własnym kutasie.

– *Dżakrari mada kairiuoni yoloba mada*.

– Jaki sens ma ta mowa dla kota?

– Dla ciebie twój kutas jest jak wielbłąd.

Ja w te słowa do niego tylko po to, żeby usłyszeć jego śmiech.

– Nie ufam ludziom, którzy idą na wędrówkę bez powrotu – powiedział. – Taka gra nie ma stawki. Byłem, powiedzmy, rozczarowany ludźmi, którzy nie mieli nic do stracenia.

– A ty jesteś szczęśliwy, Lamparcie?

– Na pytanie odpowiadasz pytaniem?

– Bo siedzimy tutaj i biadolimy jak pierwsze żony niechciane już przez mężów. No ale w końcu jestem chłopcem, którego nikt nie wychował, a ty udajesz mężczyznę tylko wtedy, gdy ci to odpowiada, jednak jest wiele zaczarowanych zwierząt, które potrafią mówić. Twoja propozycja, jakakolwiek jest, coraz mniej mi się podoba.

– Moja propozycja nawet jeszcze nie spłynęła z moich ust, Tropicielu.

– Nie, ale poddajesz mnie sprawdzianowi.

– Wybacz, ale nie widziałem cię od długich księżyców po długich księżycach.

– Ale to tyś mnie odszukał, kocie. A teraz marnujesz mój czas. Tu masz pieniądz za surowego dzika. I za tę dodatkową krew, którą zostawili dla ciebie.

– Dobrze, że cię widzę.

– Chciałem powiedzieć to samo, ale zacząłeś dumać o moim sercu.

– Och, bracie, o twoim sercu to ja rozmyślam bez ustanku. I martwię się na dodatek.

– I to też.

– Że co?

– To też część tego twojego pierdolonego sprawdzianu.

– Tropicielu, urodziliśmy się wolni. Jem i piję z innym. Przynajmniej posiedź, skoro nie zamierzasz jeść.

Wstałem, aby odejść. Byłem już dobrych kilka kroków od stołu, kiedy powiedziałem:

– Przyślij po mnie, gdy już uznasz, że przeszedłem ten sprawdzian, co go teraz urządziłeś.

– Myślisz, że przeszedłeś?

– Przeszedłem, jak tylko stanąłem w drzwiach. Inaczej nie czekałbyś czterech dni, żeby mnie wezwać. Widziałeś kiedykolwiek człowieka, co by nie wiedział, że jest nieszczęśliwy, Lamparcie? Szukaj tego w bliznach na twarzy jego kobiety. Lub we wspaniałości jego wyrobów z drewna i narzędzi z żelaza albo w maskach, które wytwarza, żeby samemu je nosić, bo nie pozwala światu oglądać jego twarzy. Nie jestem szczęśliwy, Lamparcie. Ale nie jestem też tak nieszczęśliwy, żebym o tym wiedział.

– Mam nowiny o dzieciach.

Wiedział, że to mnie pohamuje.

– Co? Jak to?

– Ciągle prowadzę handel z Gangatom, Tropicielu.

– Chcę usłyszeć te nowiny. Natychmiast.

– Jeszcze nie. Wierz mi, twoja dziewczynka ma się dobrze, choć ciągle prycha i chrycha, i zmienia się w siwy dym, kiedy traci panowanie nad sobą, czyli często. Widziałeś ich?

– Nie, ani razu.

– Och.

– Co to za och?

– Dziwną masz minę.

– Nie mam.

– Ty, Tropicielu, to same dziwne miny. Nic się nie ukryje w twojej twarzy, choćbyś jak najbardziej starał się to zamaskować. Dlatego właśnie potrafię poznać, jakie masz serce dla ludzi. Jesteś najgorszym łgarzem na świecie i jedyną twarzą, której ufam.

– Chętnie posłucham o dzieciach.

– Jasne. Są…

– Żadne nie mówiło, że przyszedłem się z nimi zobaczyć? Żadne?

– Przecież właśnie powiedziałeś, żeś ich nie widział. Ani razu, tak powiedziałeś.

– Być może ani razu to całkiem w sam raz, skoro mówią, że nie widzieli mojej twarzy.

– Jeszcze więcej dziwności, Tropicielu. Dzieci są podtuczone i uśmiechnięte. Albinos niedługo będzie ich najlepszym wojownikiem.

– A dziewczynka?

– Właśnie ci o niej powiedziałem.

– Jedz.

– Mamy inne sprawy do omówienia. Wystarczy tej tęsknoty na razie.

Wziął do ust ostatni kawałek mięsa i zaczął gryźć. Na półmisku była krew. Popatrzył na nią, ja popatrzyłem, a potem zerknął na mnie.

– Och, bądźże pierdolonym zwierzęciem, Lamparcie. Niepokoi mnie to twoje zabieganie o zgodę człowieka.

Rozciągnął twarz w tym swoim ogromnym uśmiechu, przyłożył półmisek do ust i wylizał go do czysta.

– Nieświeża zdobycz – powiedziałem.

– Ale obleci. No wreszcie. Dlaczego przyszedłem się z tobą zobaczyć.

– W sprawie jakiejś muchy?

– Ach, po prostu próbowałem być sprytny.

– Dlaczego pytałeś, czy jestem szczęśliwy?

– Chodzi o ten szlak, którym chciałbym cię poprowadzić. Och, Tropicielu, jak wiele ci to odbierze. Najlepiej, gdybyś w ogóle nic nie miał.

– Wcześniej mówiłeś, że lepiej byłoby, abym miał coś do stracenia.

– Mówiłem, że byłem rozczarowany ludźmi, którzy nic nie mieli. Niektórymi. Ale Tropiciel, którego znam, nic nie ma i niczego nie pielęgnuje. Czy to się zmieniło?

– A jeśli?

– Wtedy zadałbym inne pytania.

– Skąd wiesz, że…

Obrócił się do tyłu, chcąc zobaczyć, co powstrzymało moje słowa.

– To nic – powiedziałem. – Zdawało mi się, że widzę… że poszło i wróciło… To…

– Co?

– Nic. Płocha myśl. Nic. No dalejże, kocie, bo tracę cierpliwość.

Lampart wstał z krzesła, żeby rozprostować nogi. Usiadł znowu i spojrzał na mnie.

– Nazywa go małą muchą – powiedział. – Dziwne, że tak robi, zwłaszcza tym swoim głosem, który bardziej brzmi jak u staruchy niż mężczyzny, ale wydaje mi się, że ten mucha jest drogi jego sercu.

– Jeszcze raz. Ale z sensem.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, ile tamten mi powiedział. Wyrażał się jasno. Wskazówki zostaw mnie, powiedział. Tropicielu, pierdolić bogów i was, ludzi, którzy chodzicie zakosami. Ciebie też, widziałem tę minę. Przyjacielu, tyle wiem. Zaginęło jedno dziecko. Urzędnicy powiedzieli, że najprawdopodobniej porwała je rzeka albo może dopadły krokodyle, albo lud znad rzeki, bo wy zjecie wszystko, kiedyście głodni.

– Niech ci matkę tysiąc chujów wyrucha.

– Tysiąc i jeden, skoro mówimy o mojej – odparł Lampart i się roześmiał. – Tyle wiem. Urzędnicy uważają, że dziecko utonęło albo zostało zabite i pożarte przez zwierzęta. Ale ten człowiek, znany jako Amadu Kasauura, jest człowiekiem wielkiej majętności i smaku. Ma pewność, że jego dziecko, mała mucha, żyje i być może zdąża na zachód. Jest sporo przekonujących świadectw w jego domu, Tropicielu, rzeczy, które każą ci uwierzyć w jego historię. Poza tym to bogacz, wielki bogacz, biorąc pod uwagę, że żaden z nas nie najmuje się tanio.

– Z nas?

– Najął dziewięciu. Pięciu mężczyzn, trzy kobiety i oby ciebie.

– A więc jego sakiewka musi być największą rzeczą, jaką ma. A dziecko, jest jego?

– Nie mówi tak, nie mówi nie. To pan niewolników, sprzedaje czarnych i czerwonych na statki przybyłe od ludzi, którzy idą za wschodnim światłem.

– Właściciele niewolników mają samych wrogów. Może ktoś zabił dziecko.

– Może, Tropicielu, ale jest zdecydowany w swym dążeniu. Wie, że być może odnajdziemy kości. Ale wtedy przynajmniej zyska pewność, a taka pewność lepsza niż lata udręki. Ale za bardzo przeskakuję i przez to misja…

– Misja to aż będzie? Myśmy teraz kapłani?

– Jestem kotem, Tropicielu. Jak myślisz, ile pierdolonych słów znam?

Tym razem ja się zaśmiałem.

– Powiedziałem ci tyle, ile wiem. Handlarz niewolników płaci dziewięciu ludziom, żeby albo odnaleźli jego dziecko żywe, albo przynieśli dowód jego śmierci, i nie dba o to, co zrobimy, żeby się wywiązać. Może dziecko jest dwie wioski dalej, może jest w Południowym Królestwie, może jest kupą gnatów zakopanych w Mueru. Masz nos. Dasz radę je odnaleźć w kilka dni.

– Jeśli poszukiwania będą takie szybkie, po co mu aż dziewięciu ludzi?

– Bystry Tropicielu, czy nie jest to dla ciebie jasne? Dziecko nie odeszło. Zostało zabrane.

– Przez kogo?

– Lepiej, żebyśmy to usłyszeli od niego. Może byś nie poszedł, gdybym ja to wyjaśnił.

Wpatrzyłem się w niego.

– Znam tę minę – powiedział.

– Jaką minę?

– Taką. Jesteś co najmniej zaintrygowany. Aż się ślinisz na samą myśl.

– Za dużo czytasz w mojej twarzy.

– Nie chodzi tylko o twarz. Chodźże przynajmniej dlatego, że coś cię intryguje, a nie będzie to pieniądz. Skoro mowa o pragnieniach…

Popatrzyłem na człowieka, który niedługo po zachodzie słońca przekonał gospodarza, żeby mu podał na posiłek surowe mięso utopione we krwi. A potem poczułem coś nosem, to samo co wcześniej od Lamparta, a jednak nie od niego. Kiedy wyszliśmy z gospody, woń przybrała na sile, później zaraz osłabła. Znowu mocniejsza i jeszcze mocniejsza, i słaba. Słabła za każdym razem, gdy Lampart się odwracał.

– Kim jest ten chłopiec, co za nami idzie? – spytałem.

Przemówiłem na tyle głośno, aby malec usłyszał. Przesuwał się z mroku w mrok, od czarnego cienia rzucanego przez słup do czerwonego blasku rzucanego przez żagiew. Wsunął się we wnękę drzwi zamkniętego domu, niecałe dwadzieścia kroków od nas.

– Chciałbym wiedzieć, Lamparcie, czy pozwolisz mi rzucić toporem i rozpłatać mu głowę na dwoje, zanim mi powiesz, że on twój?

– Nie jest mój i, na bogów, ja nie jestem jego.

– A jednak czułem go przez cały czas, gdy siedzieliśmy w gospodzie.

– Skaranie z nim – powiedział Lampart, patrząc, jak chłopiec wyślizguje się z wnęki, zbyt onieśmielony, żeby spojrzeć. Niewysoki, ale na tyle chudy, by za wysokiego uchodzić. Skóra ciemna jak cień, czerwona tkanina uwiązana u szyi, sięgająca uda, czerwone opaski nad łokciami, złote bransolety na przegubach, pasiasta spódnica wokół pasa. Niósł łuk i strzały Lamparta.

– Uratowałem go od piratów na trzeciej albo czwartej wyprawie. I teraz nie chce zostawić mnie w spokoju. Przysięgam, że to wiatr ciągle przywiewa go w moją stronę.

– Tak po prawdzie, Lamparcie, gdy powiedziałem, że go czuję, to czułem go od ciebie.

Roześmiał się, ale odrobinę, jak dziecko przyłapane na psocie.

– Gdy tracę ręce, bierze mój łuk i zawsze mnie znajdzie, gdziekolwiek bym poszedł. Kto może wiedzieć prócz bogów? Może będzie o mnie opowiadał wspaniałe legendy, gdy już mnie zabraknie. Naszczałem na niego, by go oznaczyć jako moją własność.

– Co?

– Żart, Tropicielu.

– Żart nie oznacza nieprawdy.

– Nie jestem zwierzęciem.

– Od kiedy?

Powstrzymałem się od pytania, czy to już piąty albo szósty chłopiec, którego sprowadziłeś na manowce, każdy beznadziejnie czekający na coś, czego nigdy mu nie dasz, bo to tylko dajesz, nieprawdaż, twoje oczy w jego oczach, twoje uszy dla tego, co powie, twoje usta dla jego ust, to wszystko, co możesz dać i odebrać, ale nic z tego, czego on pragnie. A może to już twój dziesiąty? Zamiast tego spytałem:

– Gdzie ten pan niewolników?

Handlarz pochodził z Północy, prowadził nielegalne interesy z Nigiki, lecz ze swoimi karawanami, pełnymi świeżego towaru, rozłożył się obozem w dolinie Uuomouomouomouo, niecałe ćwierć dnia jazdy od Malakalu, a schodząc ze wzgórza, nawet szybciej. Spytałem Lamparta, czy człowiek ten nie boi się zbójców.

– Jednego razu banda złodziei próbowała go ograbić blisko Mrocznych Ziem. Przyłożyli mu nóż do gardła, śmiejąc się, bo miał tylko trzech strażników, których zabito bez trudu, no i jak to jest, że sam nie ma oręża, skoro wozi takie towary? Złodzieje uciekli konno, ale handlarz wysłał wieści gadającym bębnem, które doszły tam, dokąd tamci zmierzali i zanim dotarli do bram. Gdy w końcu handlarz stanął u bram, złodzieje byli już na nich przybici, skóra na brzuchach rozcięta, wnętrzności wiszące na wierzchu dla powszechnej przestrogi. Teraz podróżuje tylko z czterema ludźmi, którzy karmią niewolników podczas wędrówki na wybrzeże.

– Już czuję do niego wielką miłość – powiedziałem.

Kiedy doszliśmy do mojej kwatery, przekradłem się na palcach obok gospodyni, która dwa dni wcześniej upomniała mnie, że już jeden księżyc zalegam z czynszem, i podgarniając swoje wielkie piersi dłońmi, dodała, że są inne sposoby zapłaty. W pokoju chwyciłem kozłową pelerynę, dwa bukłaki na wodę, trochę orzechów w sakiewce i dwa noże. Wyszedłem przez okno.

Poszliśmy z Lampartem piechotą. Z mojego zajazdu oddaliliśmy się przez trzecie mury miejskie, pod okiem straży przedzierając się do czwartych, zewnętrznych, które ciągnęły się dokoła całej góry i były tak grube jak mężczyzna leżący na płasko. Następnie z bramy warownej na południu na skalne wzgórza i dalej ku dolinie. Lampart nigdy nie podróżował na grzbiecie innego zwierzęcia, a ja nigdy nie miałem konia, choć kilka w swoim życiu ukradłem. Przy bramie zauważyłem, że chłopiec podąża za nami, nadal przeskakując od cienia jednego drzewa do cienia drugiego i do kikutów zburzonych dawnych wież, które wzniesiono na długo, zanim Malakal stał się Malakalem. Spałem tam jednego razu. Duchy były przyjazne albo może nie dbały o nic. Ruiny pochodziły od ludu, który odkrył tajemnicę metali i potrafił ciąć czarny kamień. Mury bez zaprawy, tylko

cegła na cegle, czasem kopuły ułożone w łuk. Człowiek z Morza Piasków, który potrafił zliczyć wieki, mawiał, że stary Malakal jest sprzed sześciu stuleci, może więcej. Na pewno z czasów, kiedy ludzie potrzebowali murów do tego, żeby w równej mierze chroniły od środka, co od zewnątrz. Obrona, bogactwo, władza. Tamtej jednej nocy poznałem to wiekowe miasto; odrzwia ze spróchniałego drewna, stopnie, zaułki, przejścia, akwedukt na wodę brudną i świeżą, wszystko w obrębie murów wysokich na siedemdziesiąt kroków i grubych na dwadzieścia. I pewnego dnia ludzie ze starego Malakalu zniknęli. Pomarli, uciekli, żaden czarownik tego nie pamięta ani nie wie. Teraz bryły obracały się w gruz, który tu i tam prowadził drogę zakosami i wstecz, i do tyłu, i w dół, w głąb tego, co dawniej było alejką i kończyło się ślepo, nie dając innej możliwości prócz odwrotu, ale odwrotu dokąd? Labirynt. Chłopiec trzymał się tak daleko za naszymi plecami, że przepadł.

– Doprawdy, potrafisz odgryźć człowiekowi głowę jednym kłapnięciem szczęk, a jednak on bardziej boi się mnie. Jak ma na imię?

Lampart, jak zawsze, wysforował się do przodu.

– Nigdy nie trudziłem się spytać – odparł ze śmiechem.

– Pierdolić bogów, jeśli nie jesteś najgorszym z kotów – skwitowałem.

Trzymałem się kilka kroków z tyłu, aż sam też przepadłem w cieniu. Zobaczyłem, że chłopiec próbuje przemykać od kikuta do kikuta, od gruzu do gruzu, od jednego sypiącego się muru do drugiego sypiącego się muru. Mogłem tak na niego patrzeć dopóty, dopóki było ciemno. Zapadł się głęboko w ruiny, które nie były wcale głębokie, i teraz próbował siebie stamtąd wyprowadzić. Gdy rzucił się biegiem, zmieniła się lekko jego woń – zawsze tak jest, gdy górę bierze strach albo uniesienie. Potknął się o moją stopę i runął na ziemię. Może moja stopa czekała na niego.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Nie twoja rzecz – odrzekł i wstał. Wydął pierś i spojrzał za mnie. Teraz wyglądał na starszego niż wcześniej, na takiego, co może mieć dziesięć i pięć lat, ale w głowie ciągle dziesięć. Popatrzyłem na niego, zastanawiając się, co zostanie, jak Lampart nie będzie już miał dla niego przeznaczenia.

– Mógłbym cię porzucić w tych ruinach i błąkałbyś się do świtu – powiedziałem. – A gdzie wtedy byłby już twój drogocenny Lampart, no, słucham?

– Tylko tu cegła i gówno, co nikt ich nie chce.

– Ostrożnie, bo przodkowie cię usłyszą i wtedy nigdy się nie wydostaniesz.

– Każdy jego przyjaciel taki głupi jak ty?

Podniosłem pierwsze, co zobaczyłem, i rzuciłem w niego. Chwycił błyskawicznie. Dobrze. Ale zaraz upuścił, bo zobaczył, że to czaszka.

– On cię nie potrzebuje.

Odwróciłem się tam, gdzie według mego rozeznania była brama.

– Gdzie idziesz?

– Z powrotem, żeby zjeść trochę dobrej zupy od złej kobiety. Powiedz temu swojemu, jak go tam nazywasz, że mówiłeś, że mnie nie potrzebuje, więc odszedłem. To znaczy jeżeli potrafisz znaleźć drogę w ruinach.

– Czekaj!

Odwróciłem się.

– Jak mam stąd wyjść?

Wyminąłem go, nie patrząc, czy za mną ruszy. Wszedłem stopą w zimny popiół, ogień dawno wygasły. Z ziemi sterczały kawałki białej tkaniny, wosk na świece, zgniłe owoce i zielone paciorki, co może były naszyjnikiem. Księżyc wcześniej ktoś próbował dotrzeć do przodka albo bogów. Wydostaliśmy się z ruin i spośród ostatnich drzew na skraj doliny. Kolejna bezksiężycowa noc.

– Jak cię zwą? – spytałem.

– Fumeli – odpowiedział do ziemi.

– Strzeż swego serca, Fumeli.

– Jak to?

Przysiadłem na kamieniu. Głupotą byłoby próbować zejść do doliny w takim mroku, chociaż czułem już tam Lamparta w połowie drogi.

– Śpimy do pierwszego brzasku.

– Ale on…

– Będzie spał mocno na dole, póki go rano nie zbudzimy.

Dwie myśli podczas odpoczynku tamtej nocy.

Lampart mówi zbyt wiele tego, co spływa po nim jak woda po oliwie, za to mnie się czepia jak brud. Po prawdzie są chwile, kiedy czuję, jakbym musiał go przeprać. Zawsze jestem rad, gdy go spotykam, ale nigdy się nie smucę, gdy odchodzi. Pytał mnie, czy jestem szczęśliwy, a ja nadal nie rozumiem pytania ani tego, jaką wiedzę uzyskałby z odpowiedzi. Przemawia tak samo w szczęściu, co w smutku, choć nilkt nie śmieje się więcej niż on. Jedno i drugie to chyba maski, które przywdziewa, w obliczu spraw, co tną głęboko, najpierw serce. Szczęście? Kto go potrzebuje, skoro jest piwo z masuku? I doprawione mięso, dobry pieniądz, ciepłe ciało, z którym można legnąć. Poza tym, żeby być człowiekiem w mojej rodzinie, trzeba się wyzbyć szczęścia, bo ono zależy od zbyt wielu rzeczy, nad którymi nie panujemy.

Coś, o co można walczyć, a może nic do stracenia? Które z tych dwóch czyni nas lepszymi wojownikami? Nie znam odpowiedzi.

O dzieciach rozmyślałem więcej, niż sądziłem, że będę rozmyślał. Niedużo czasu upłynęło, gdy dopadło mnie to jak lekkie łupanie w głowie albo jak przyśpieszone bicie serca, i jeśli nawet mówiłem sobie, że tego nie ma, że nie trzeba się martwić, że dobrze postąpiłem z tymi dziećmi, a przynaj-

mniej najlepiej, jak mogłem, i tak ścigało mnie uczucie, że wcale tak nie było. Ciemny wieczór robił się ciemniejszy. Zastanawiałem się, czy to jeszcze jedna z tych rzeczy, które sangoma zostawiła na mnie jak plamę, czy może łagodny obłęd.

Obudzony zobaczyłem chłopca pochylonego nade mną.

– Twoja druga źrenica świeci po ciemku jak u psa – powiedział.

Wyrżnąłbym go, ale miał już nacięcie nad prawym okiem połyskujące świeżą krwią.

– Śliskie są rankiem te kamienie. Zwłaszcza jak się nie zna drogi.

Chłopiec syknął. Podniósł łuk i kołczan Lamparta. Zastanawiałem się, czy jakikolwiek człowiek wprawiał mnie w taki dygot jak Lampart tego chłopca.

– Poza tym nie chrapię – dodałem, ale on już zbiegał w dolinę i wreszcie przystanął.

Podszedł, usiadł na skale i się zamyślił, odczekał, aż znalazłem się ledwie kilka kroków z tyłu, po czym ruszył znowu. Ale nie za daleko, bo przecież nie wiedział, dokąd iść.

– Pogłaskaj go po brzuchu – powiedziałem. – To mu sprawia przyjemność. Wielką przyjemność.

– Skąd wiesz? Pewnie głaskasz mnóstwo różnych mężczyzn.

– To kot. Kot lubi, jak się go głaska po brzuchu. Tak samo pies. Czy w tej swojej głowie nic nie masz?

Ziemia zrobiła się czerwona i mokra, zielone krzaki wyskoczyły dokoła jak guzy. Im niżej schodziliśmy, tym większa wydawała się dolina. Ciągnęła się aż na koniec nieba i jeszcze dalej. Mędrcy mawiali, że dolina ta była dawniej małą rzeką, boginią, która zapomniała, że jest z bogów. Ta mała rzeka wiła się przez dolinę, obmywała ziemię, skrawek po skrawku, kamień po kamieniu, głębiej i głębiej, aż w tym wieku ludzkim zostawiła

po sobie doliny tak mocno wycięte, że człowiek widział przed sobą, że to nie ziemia leżąca nisko, lecz góra sięgająca wysoko. Patrząc wyżej, idąc niżej i dalej rozglądając się po niebie i przez mgłę, zobaczyliśmy góry dociśnięte do gór, a każda większa niż miasta. Tak wysokie, że niebu odebrały kolor, nie roślinom. Wystarczyło, żeby nie odrywać oczu od nieba, nie od ziemi. Od podłoża, jak czerwieniało, krzaków, które ustępowały drzewom, rzece czystej jak szkło, a w niej grube nimfy o dużych głowach i szerokich ustach, niechowające się za dnia, bo wiedziały, że nie są zwierzyną, na którą poluje ta karawana.

Chłopiec, którego imię już zapomniałem, skoczył w ślad za Lampartem, gdy tylko zeszliśmy z góry. Po prawdzie wiedziałem, że to nie jego lampart, wiedziałem też, że chłopiec bardzo tego kota rozgniewa. Chwycił go za ogon, a Lampart wił się i ryczał, kucał, dopadał chłopca. Inny ryk dobiegł z pobliża pierwszej karawany, a Lampart potruchtał dalej, przygwoździwszy chłopca do ziemi. Ten podskoczył, otrzepał się, zanim ktokolwiek zobaczył, i pobiegł za swoim Lampartem, który siedział już na trawie po człowieczemu i patrzył na rzekę. Odwrócił się do mnie i uśmiechnął, ale nic nie rzekł do chłopca.

– Twój łuk i strzały. Przyniosłem – powiedział chłopiec.

Lampart kiwnął głową, spojrzał na mnie i spytał:

– Czy chcemy poznać handlarza?

Handlarz miał namiot na czele karawany. A karawana była długa jak ulica w Malakalu. Cztery furgony, jakie widywałem tylko na granicy królestw na północ od Morza Piasków, pośród ludzi, którzy wędrują i nigdy nie zapuszczą korzeni. Konie ciągnęły pierwsze dwa, woły dwa ostatnie. Purpura i róż, zieleń i błękit, jakby najdziecinniejsze boginki pomalowały to wszystko. Za furgonami otwarte wozy sklecone z drewna. Na wozach kobiety, od grubej do chudej, niektóre czerwone od ochry, inne połyskujące

masłem z masłosza. Niektóre miały na sobie tylko błyskotki, inne naszyjniki i kozłową skórę zrobioną na żółto i czerwono, pozostałe w pełnych szatach, jednak większość naga. Wszystkie pochwycone i sprzedane albo porwane z krain nadrzecznych. Wszystkie bez blizn Ku i Gangatom. Bez upiłowanych zębów. Ludzie ze Wschodu nie uznawali tych rzeczy za piękne. Za wozami mężczyźni i chłopcy, wysocy i chudzi jak posłańcy, o długich nogach, wielu urodziwych i ciemniejszych niż południowa pora umarłych. Sprawni jak wojownicy, bo większość była wojownikami, którzy przegrali małe wojny, a teraz będą robić to, co robią wojownicy, co przegrali wojnę. Wszyscy mieli żelazo zapięte na szyi i stopach, każdy przykuty do tego z przodu i tego z tyłu. Ludzi z bronią było mniej, niż się spodziewałem. Siedmiu, może ośmiu, z mieczem i nożem, tylko dwóch niosło łuki, cztery kobiety z kordelasem i toporem.

– W odpowiednim czasie – odparł Lampart. – Prowadzi rozprawę, sądzi nikczemników.

Uśmiechnął się, więc pomyślałem, że żartuje.

Za karawanami, przed dużym białym namiotem o kopulastym wierzchołku i trzepoczących połach, siedział handlarz. Po jego prawej stronie klęczał mężczyzna na ziemi, trzymał dymiącą cienką fajeczkę, ze zwiniętym dywanem u kolan. Po jego prawej stronie inny mężczyzna, obnażony do pasa, jak ten na klęczkach, ze złotą misą i gałganem w ręku, jakby chciał obmyć handlarzowi twarz. Tuż za nim stał trzeci, czarny w cieniu parasola, wzniesionego, aby zachować swego pana w cieniu. Kolejny miał misę daktyli, gotów do karmienia. Handlarz nie patrzył na nas. Za to ja spojrzałem na niego, rozpartego tam jak książę, którym zapewne był. Kalindar słynął z takich, ale powiadano, że książęta bez księstw nawiedzali także Malakal, bo Kuasz Dara skąpił łask. Słudzy udrapowali handlarzowi długą tkaninę na lewym ramieniu, prawe zostawiając nagie, jak to każe obyczaj z książętami.

Spod spodu wyglądała biała, kryjąca królewskie jabłko i kij. Dokoła jego ramion złote bransolety wiły się jak węże w śmiertelnym zacisku. Skórzane sandały na brudnych stopach, tkana czapka z jedwabnymi jęzorami zakrywająca uszy nad szeroką twarzą i policzkami tak tłustymi, że przepadały w nich oczy, kiedy się śmiał. Nie spojrzał na nas.

Korzyli się przed nim kobieta i mężczyzna, oboje kopniakami strąceni na klęczki przez dwie strażniczki za ich plecami. Mężczyzna płakał, kobieta milczała jak głaz. Ona, czerwonoskóra niewolnica, a nie czarna jak ludzie z tyłu, niewolnica biała w kolorze zębów i oczu, niewolnica bez skazy. Piękna. Byłaby nałożnicą innego pana, może nawet pana na Wschodzie, gdzie nałożnica może mieć własny pałac. Kobieta porwana z Luala Luala albo nawet jeszcze dalej na północy, o prostym nosie i wąskich ustach. Mężczyzna był od niej ciemniejszy, połyskiwał od potu, a nie od olejków, które wciera się w skórę niewolnika dla uzyskania lepszej ceny. On nagi, ona w szatach.

– Mów bez fałszu, mów bez zwłoki, bez wahania – odezwał się handlarz. Głos miał wyższy, niż się spodziewałem. Jak u niedużego dziecka albo steranej wiedźmy. – Człowiek żyje dla grabieży, gość napada gospodarza, ale ty byłeś człowiekiem w kajdanach. Człowiekiem *ira ueue*. Przykutym do dwudziestu jeden mężów ciężkim żelazem, co łamie kość w nodze. Nie pójdziesz, jak oni nie pójdą, nie przyjdziesz, jak oni nie przyjdą, nie siądziesz, jak oni nie siądą, jak więc znalazłeś się w pipce tej przyszłej księżniczki?

Mężczyzna nic nie odrzekł. Chyba nie znał mowy środkowych ziem. Wyglądał jak ci, co żyją nad Rzeką Dwóch Sióstr, bez króla, za to obdarzeni siłą, ale siłą od uprawiania ziemi, a nie od polowań czy walki pośród armii i wojowników.

Strażniczka z tyłu rzekła, że to kobieta go wyszukała, tak przynajmniej mówią szepty odbijające im się od pleców. Że legła z nim, kiedy pozostali mężczyźni byli cicho, bo mieli nadzieję, że z nimi też legnie. I owszem, legła z jednym lub dwoma, ale najczęściej z tym oto tutaj.

Tamta się roześmiała.

– Mów bez fałszu, mów bez zwłoki, bez wahania. Co mam zrobić z czerwoną niewolnicą noszącą w łonie dziecko czarnego niewolnika? Nie znajdzie się żaden kupiec, co by cię chciał, żaden nie uczyni cię królową i żoną choćby na jeden dzień. Mniej jesteś warta niż szaty na tobie. Zdejmij je.

Strażniczki chwyciły ją od tyłu i zdarły z niej odzienie. Czerwonoskóra niewolnica spojrzała na handlarza, splunęła i się roześmiała.

– Szaty mogę wyprać i włożyć na inną, ale ty…

Mężczyzna karmiący daktylami pochylił się i szepnął mu do ucha.

– Jesteś warta mniej niż mój najbardziej schorowany wół. Zawrzyj pokój z boginią rzeki, bo wkrótce się z nią połączysz.

– Lepiej odrąb mi głowę i spal mnie w ogniu.

– Wybierasz, jak umrzesz?

– Wybrałam nie być twoją niewolnicą.

W kobiecie tej zobaczyłem prawdę, zanim zobaczył ją handlarz. Poszła, żeby mieć dziecko z czarnym niewolnikiem, bo tak postanowiła. Uśmiech na jej twarzy mówił wszystko. Wiedziała, że on ją zabije. Lepiej połączyć się z przodkami niż żyć w pętach z kimś innym, kto może być dobry, może być okrutny, może nawet uczynić cię panią nad innymi podobnymi niewolnikami, ale sam pozostanie panem nad tobą.

– Ludzie, którzy idą za wschodnim światłem, byliby dla ciebie dobrzy. Nigdy nie słyszałaś o czerwonej niewolnicy, co by została władczynią?

– Nie, ale słyszałam o grubym handlarzu, co śmierdzi jak krowie łajno i pewnego dnia udławi się własnym oddechem. Na boga sprawiedliwości

i zemsty, przeklinam cię.

Właścicielowi niewolników zrzedła mina.

– Zabić natychmiast tę sukę – powiedział.

Śmiała się, gdy strażniczka odciągnęła ją na bok. Nawet gdy ją zabrano, wciąż słyszałem jej śmiech. Handlarz popatrzył na mężczyznę i powiedział:

– Powiem ci bez fałszu, powiem bez zwłoki, bez wahania. Panowie z Północy tylko jedno cenią sobie wyżej nad kobietę bez skazy. Rzezańca bez skazy. Zabrać go i takim zrobić.

Dwaj strażnicy dopadli mężczyznę. Był słaby i roztrzęsiony, więc obaj chwycili za łańcuch, żeby go odciągnąć.

Handlarz spojrzał na mnie, jakbym był jego pierwszą sprawą tego dnia. Wlepiał się w moje oczy, tak jak robili to wszyscy, a ja od dawna przestałem o tym myśleć.

– Tyś pewnie ten, co ma nos – powiedział.

7

Zabrali kobietę, by ją utopić, a mężczyznę, by odciąć mu całą męskość.

– Przyprowadziłeś mnie tutaj, żebym to oglądał? – spytałem Lamparta.

– Tropicielu, świat to nie zawsze dzień i noc – odparł. – Ciągle się nie nauczyłeś.

– O niewolnikach wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Czy opowiadałem ci, jak oszukałem jednego handlarza niewolników, żeby sam siebie sprzedał w niewolę? Trzy lata trwało, zanim wreszcie przekonał swojego pana, że też jest panem, po tym jak tamten wyciął mu język.

– Mówisz za głośno.

– Odpowiednio głośno.

Handlarz miał tyle dywanów rzuconych na ziemię, dywanów na dywanach, dywanów wyraźnie ze Wschodu, i jeszcze inne z kolorami, na które nie ma słów, że można go było wziąć za sprzedawcę kobierców, nie ludzi. Wzniósł ściany z dywanów, czarnych dywanów z czerwonymi kwiatami i pismem w obcej mowie. Było tak ciemno, że zawsze paliły się dwie lampy. Usiadł na stołku, jeden ze sług zdjął mu sandał, drugi przyniósł misę daktyli. Być może był księciem, a przynajmniej bogaczem, ale nogi mu śmierdziały. Ten, który trzymał parasole, chciał mu zdjąć czapkę, ale dostał klapsa w rękę, niemocnego, figlarnego, zbyt figlarnego. Wiele księżyców

wcześniej postanowiłem nie czytać z małych ludzkich czynów. Ten z parasolem obrócił się do nas i rzekł:

– Jego znakomitość Amadu Kasauura, lew niższej góry i pan nad ludźmi, przyjmie was przed zachodem słońca.

Lampart odwrócił się do wyjścia, ale ja powiedziałem:

– Przyjmie nas teraz.

Sługa z parasolem podtrzymał swoją opadającą szczękę. Nosiciel daktyli odwrócił się, jakby chciał powiedzieć, że teraz zabrzmią przykre słowa. Chyba się uśmiechnął. Wtedy handlarz pierwszy raz na nas spojrzał.

– Zdaje się, że nie rozumiesz naszej mowy.

– Rozumiem doskonale.

– Jego dostojność…

– Jego dostojność najwyraźniej zapomniał, jak się rozmawia z wolnymi ludźmi.

– Tropicielu.

– Nic z tego, Lamparcie.

Wywrócił oczami. Kasauura zaczął się śmiać.

– Będę w gospodzie Kulikulo.

– Nikt nie wyjdzie bez pozwolenia – powiedział handlarz.

Odwróciłem się, by odejść, i prawie dotarłem do wyjścia, gdy pojawiło się trzech strażników gotowych dobyć oręża.

– Wezmą cię za zbiega – powiedział Kasauura. – Najpierw się tobą zajmą, dopiero później zadadzą pytania.

Strażnicy zacisnęli palce na rękojeściach, a ja wyciągnąłem dwa topory zza pasa na plecach.

– Kto pierwszy? – odezwałem się.

Kasauura zaśmiał się głośniej.

– To jest ten, jak mówiłeś, którego gorąco ostudził czas?

Lampart westchnął głośno. Wiedział, że to sprawdzian, ale ja nie lubię być sprawdzany.

– Moje imię mówi samo za siebie, więc decyduj się szybko i nie marnuj mojego czasu.

Oprócz tego nienawidzę handlarzy niewolników.

– Przynieście mu coś do jedzenia i picia. Surowy udziec koźli dla Kuesiego. Upewnijcie się, że świeżo bity, a może sam wolałbyś ubić? Siadajcie, panowie.

Nosiciel parasola uniósł brwi i zacisnął usta. Podał handlarzowi złoty kielich, a handlarz podał go mnie.

– To…

– Piwo z masuku – powiedziałem.

– Podobno masz nos.

Upiłem łyk. Było to najlepsze piwo, jakiego w życiu skosztowałem.

– Jesteś człowiekiem majętności i smaku – stwierdziłem.

Machnął lekceważąco ręką. Wstał, ale skinął głową na nas, abyśmy pozostali na miejscach. Nawet on się rozeźlił z powodu sług ceregielących się przy każdym ruchu. Klasnął dwa razy w dłonie i wszyscy wyszli.

– Nie marnujesz czasu, więc marnować i ja go nie będę. Trzy lata już, jak zabrali dziecię, chłopca. Ledwo zaczął chodzić i może potrafił powiedzieć: nana. Ktoś go skradł jednej nocy. Nic nie zostawili, nikt nigdy nie zażądał okupu, ani listem, ani bębnami, ani nawet czarodziejstwem. Znam tę myśl, co teraz myślicie. Może sprzedali go w Malangice, małe dziecko dla wiedźm poszłoby za duży pieniądz. Ale moja karawana ma ochronę od jednej sangomy, tak jak ciebie inna wiąże ochroną nawet po swojej śmierci. Wiedziałeś o tym, prawda, Tropicielu? Lampart uważa, że żelazne strzały odbijają się od ciebie ze strachu.

– Mam z tobą do pogadania – zwróciłem się do Lamparta, patrząc wymownie.

– To dziecko powierzyliśmy pieczy pewnej gospodyni w Kongorze. I jednej nocy ktoś poderżnął gardła wszystkim domownikom i uprowadził dziecię. Dziesięciu i jeden, wszyscy zamordowani.

– Trzy lata temu? Nie tylko wyprzedzili nas daleko w wyścigu, ale też mogli ten wyścig już wygrać.

– To nie wyścig.

– Mysz nigdy tak nie myśli, ale kot owszem. Nie dokończyłeś jeszcze swojej historii, a już brzmi ona niemożliwie. Ale dokończ.

– Dziękuję ci. Słyszeliśmy doniesienia, że kilku ludzi, być może kobieta z dzieckiem, wynajęło pokój w gospodzie niedaleko Wzgórz Czarów. Wszyscy wzięli jeden pokój, dlatego któryś z gości to zapamiętał. Poznaliśmy tę nowinę, bo znaleziono gospodarza dzień po odejściu tamtych. Posłuchaj mnie, był martwy jak kamień, blady od utoczonej z niego całej krwi.

– Zabili go.

– Kto wie? Ale dziesięć dni później doszły nas nowiny o dwóch kolejnych. Dwa domy aż na Lisz, gdzie usłyszeliśmy o nich znowu, czterech ludzi i dziecko. I wszyscy martwi po ich odejściu.

– Ale z tych wzgórz do tej krwi zabrałoby to piechotą co najmniej dwa księżyce, może dwa i pół.

– Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wzięliśmy pod uwagę. Zabójstwa są takie same, wszyscy martwi jak kamień. Prawie księżyc później ludzie w Luala Luala uciekają ze swoich chat i nie chcą wrócić, opowiadają o nocnych demonach.

– Wędruje z bandą zabójców, ale go nie zabili? Jakie ma przymioty? Chłopiec urodzony wolnym z handlarza niewolników? To twój własny?

– Jest dla mnie cenny.

– To nie odpowiedź. – Wstałem. – Jak dotąd w twojej historii jest mięso, gdy nie chcesz mówić, i kość, kiedy mówisz. Dlaczego jest cenny dla ciebie?

– Musisz to wiedzieć, żeby nająć się u mnie? Mów bez fałszu.

– Nie musi – wtrącił Lampart.

– Nie, nie muszę. Ale szukasz dziecka zaginionego od trzech lat. Z tego, co wiem, może być już za Morzem Piasków albo od dawna wysrane przez krokodylą dupę na Krwawych Bagnach, może zagubione w Mueru. Jeśli nawet żyje, będzie zupełnie innym dzieckiem niż wtedy, jak zaginęło. Może być w innym domu, innego mężczyznę może wołać ojcem. Albo i czterech.

– Nie jestem jego ojcem.

– Tak powiadasz. Może nawet jest teraz niewolnikiem.

Usiadł przede mną.

– Chcesz, byśmy sprawę postawili wprost. Przyznaj się. Chcesz miotać we mnie słowa.

– Co mam powiedzieć?

– Każdy mąż tutaj niefortunnie spisał się na wojnie. Każda kobieta tutaj zostanie wprowadzona do lepszego życia. W końcu gdyby ich życie było aż tak dobre, nie znaleźliby się na wozie dozorcy.

– On nic nie mówił, dostojny Amadu, taka po prostu jego natura. – wtrącił Lampart.

– Nie mów za niego.

– Właśnie, Lamparcie, nie mów za mnie.

– Byłeś niewolnikiem, czy nie tak? – spytał znamienity Amadu.

– Nie muszę wkładać nosa w gówno, by wiedzieć, że śmierdzi.

– Słusznie. A jednak kim jesteś, że winienem przed tobą tak otwierać swoje życie? Ty, który wyszukasz, znajdziesz i zwrócisz żonę mężowi, cho-

ciaż wykłuł jej oczy. Każdy człek w tym pomieszczeniu ma swoją cenę, Tropicielu. A twoja może nawet jest niska.

– Co ci po nim zostało?

– O nie, nie tak prędko. Muszę najpierw wiedzieć, że moja oferta cię łechce. Poznaliśmy się, wypiliśmy piwo, teraz podejmiemy decyzję. Jedno winieneś wiedzieć. Złożyłem propozycję także innym. Ośmiu, może dziewięciu w liczbie. Niektórzy będą działać z tobą, inni nie. Niektórzy spróbują pierwsi go odnaleźć. Nie spytałeś, ile pieniądza ci zapłacę.

– Nie muszę, skoro tak cenny jest dla ciebie ten chłopiec.

Lampart wszczął zamieszanie. Nie wiedział dotąd, że niektórzy na własną rękę będą szukać zaginionego. Teraz to ja musiałem uciszyć jego.

– Tropicielu, nie czujesz się tym obrażony? – spytał Amadu.

– Obrażony? Nie jestem nawet zdziwiony.

– Nasz dobry przyjaciel Lampart ciągle nie wie, że nie ma w człowieku czerni, są tylko odcienie, odcienie szarego. Moja matka nie była życzliwą kobietą i nie była dobrą kobietą. Ale powiedziała mi: Amadu, módl się do bogów i jednocześnie zawrzyj drzwi. Będzie trzy lata, jak dziecko przepadło.

– Pomyśl, Lamparcie. Gdy znajdziemy chłopca, pieniądz podzielimy na dwa, nie na dziewięć.

Handlarz klasnął w dłonie i do środka wpadło trzech mężczyzn, którzy zaczęli robić to, co wcześniej, masowali mu stopy, podawali daktyle i patrzyli na mnie, jakbym też miał się zmienić w Lamparta.

– Daję wam cztery noce na podjęcie decyzji. To nie będzie łatwa wyprawa. Tropicielu, są pewne siły. Lamparcie, są pewne siły. Rankiem nadchodzą z wiatrem, czasem pod najwyższym słońcem, w godzinę oślepiającego światła wiedźm. Tak jak ja pragnę, aby się odnalazł, tak inni z pewnością pragną, aby pozostał w ukryciu. Nikt nigdy nie przysłał wieści

o okupie, a jednak wiem, że on żyje, zanim jeszcze kapłan fetyszowy poradził się starszych bogów, którzy tak mu powiedzieli. Ale wy dwaj wiedzcie, są pewne siły. Zły wiatr dmący przez miasta w gorącej porze, odbierający to, co nie dla nich. Rabusia za dnia, złodzieja nocą, nie potrafię powiedzieć, co napotkacie. Ale za dużo słów. Daję wam cztery noce. Jeśli się zgodzicie, spotkajmy się u Zwalonej Wieży na krańcu ulicy zbójców. Znacie to miejsce?

– Tak.

– Spotkajmy się tam o zachodzie słońca i niech waszą odpowiedzią będzie zgoda.

Odwrócił się plecami. Na razie zakończył z nami sprawy. I właśnie wtedy do mnie powrócili – kobieta, którą kazał zabić, i mężczyzna, którego uczynił rzezańcem.

– Niemądry Tropicielu, z pewnością wiesz, jak robi się eunuchów – powiedział Lampart. – Ten człowiek niechybnie umrze.

Poprosiłem gospodynię, aby pozwoliła mu zostać w pokoju, który, jak wiedziałem, stał pusty. Gdy z nią rozmawiałem, nie miałem nic na sobie, zgodziła się więc, wiadomo, ale opłata jest odtąd podwójna, inaczej wrócisz z kolejnej wyprawy i w swoim pokoju nic nie zastaniesz. Ale ja nic nie mam, odpowiedziałem. Lampart wziął pokój, kiedy powiedziałem mu, że jeśli znajdzie sobie jakieś drzewo, żeby się na nim przespać jako zwierzę, ktoś wypuści celnie strzałę z łuku i przebije mu żebra. A wszelkie zdobycze należą w tym mieście do jednego lub drugiego człowieka, więc nie wolno się włóczyć i polować. Nawet jak zabijesz czyjąś kozę albo kurę, nie przynoś tego do pokoju, nie rozlej ani jednej kropli krwi.

Rozzłościło to Lamparta, ale dostrzegł w tym mądrość. Wiedziałem, że będzie chodził w tę i z powrotem, świadom, że nie może warczeć. Będzie próbował spać w oknie, świadom, że nie może spać. Będzie czuł przyśpie-

szony bieg krwi w żyłach niedoszłej ofiary tam w dole, w zagrodach dla zwierząt. Dlatego sprowadził chłopca do pokoju. Trzeciego dnia przyszedł do mojej kwatery, wyszczerzony, głaszcząc się po brzuchu.

– Wyglądasz, jakbyś impalę przemycił do gospody.

– Cicho sza. Może tak być, że obżarłem się ostatnio.

– Twój apetyt znany wszystkim w gospodzie.

– Tropicielu, najwyraźniej jesteś jedyną mniszką w kurwiarni. Fantastyczne zwierzęta, fantastyczne popędy. Dokąd dzisiaj? Chcę zobaczyć twoje miasto.

– Przecież już widziałeś.

– Chcę zobaczyć twoimi oczami, a właściwie twoim nosem. Wiem, że w tym mieście coś na nas czeka.

Spojrzałem wprost na niego.

– Kocie, idź się kurwić w swoim wolnym czasie.

– Kto powiedział, że nie możemy robić jednego i drugiego?

– Jak sobie życzysz. Idź się obmyć.

Wystawił jęzor, długi jak młody wąż, i polizał sobie przedramiona.

– Zrobione – rzekł i się wyszczerzył. – Kogo odwiedzimy? Człowieka, który winien ci zapłatę, połamiemy mu nogi? Dla każdego z nas jedna noga!

Powiadają, że Malakal to miasto wzniesione przez złodziei. Malakal to góry, a góry to Malakal. Jedyne miejsce, które nigdy nie zostało podbite, bo jedyne miasto, którego zdobyć nikt się nigdy nie ośmielił. Sama wędrówka między szczyty wyczerpałaby ludzi i konie. Prawie każdy tutejszy mężczyzna urodzonym wojownikiem, większość kobiet też. To była ostatnia reduta Króla przeciw waszemu ludowi Massykinów z Południa, i właśnie tu odwróciliśmy losy wojny i wyłoiliśmy wam ten południowy grzbiet, jak sukom, którymi jesteście. Rozejm był waszym pomysłem, nie naszym. Pra-

wie każde miasto rozpościera się szeroko, ale Malakal pnie się ku niebu, dom na szczycie domu, wieża na szczycie wieży, niektóre tak cienkie i wysokie, że zapomniały o schodach, zmuszając do wspinania się po linie. Wieże pobudowane na tyle ciasno, że zdają się walić na siebie, a na południe od pierwszego muru była jedna, która się zapadła, ale pozostała w użyciu. Cztery mury okalały miasto, każdy zbudowany wewnątrz poprzedniego, cztery pierścienie opięte wokół gór wyrastających jedna z drugiej. Pierwszy mur ludzie postawili ponad czterysta lat temu, gdy stary Malakal popadł w ruinę. Czwarty, ostatni mur był nadal w budowie. Jeśli nadejść w prostej linii, Malakal wygląda jak cztery twierdze, każda wystająca z tej poniżej, wieże wzniesione na wieżach. Ale gdy spojrzysz okiem ptaka, zobaczysz wielkie mury skręcone w spiralę, a w ich obrębie drogi wystrzelające jak nogi pajęcze ze szczytów górskich na równiny, ze strażnicami dla wojowników i szczelinami dla strzał łuczników, domami i gospodami, warsztatami i domami handlowymi, przytułkami dla ubogich i ciemnymi zaułkami dla nekromantów, złodziei i mężczyzn szukających rozkoszy, chłopców i kobiet ją zapewniających. Z naszych okien widać Wzgórza Czarów, gdzie żyje wiele sangom, ale znajdowały się za daleko. Mieszkańcy szybko osiągnęli mądrość, jak spożytkować przestrzeń na podwórka dla tuczenia kurczaków, płoty do powstrzymania psów i górskiej zwierzyny. W dół z gór wiedzie najkrótsza droga na szlaki handlu niewolnikami w dolinie i handlu złotem i solą nad morzem. Malakal nie wytwarza nic prócz złota, handluje wszystkim, co da się zniewolić, i żąda daniny od każdego, kto tędy wędruje, bo gdy znajdujesz się na Północy, to jedyna droga do mórz.

Oczywiście rozprawiam o dziewięciu latach wstecz. Teraz Malakal niczego takiego nie przypomina.

– Nie potrafię powiedzieć, czy to dobry, czy zły czas, żeby być w mieście, bo Król nadciąga – zwróciłem się do Lamparta, gdy wychodziliśmy.

Jego karawanę widziano o dwa dni drogi stąd i cały Malakal miał świętować jego dziesiąty jubileusz jako Kuasz Dary, króla Północy, syna Kuasz Netu, wielkiego zdobywcy Uakadiszu i Kalindaru. Oczywiście świętuje w mieście, które najbardziej przyczyniło się do uratowania jego królewskiego grzbietu, dzięki czemu sługi wciąż mogą obcierać z gówna jego królewską dupę. Ale czarownicy już śpiewali: Chwała Królowi za ocalenie miasta gór. Ludzie z Malakalu nawet nie służyli w jego armii; to najemnicy, którzy wstąpiliby do armii Massykinów, gdyby zaoferować im dobrą zapłatę. Ale pierdolić bogów, jeśli miasto nie miałoby wystawić wspaniałych tkanin i uczt. Wszystko obwieszone czarno-złotymi chorągwiami Kuasz Dary. Nawet dzieci malowały buzie na czarno i złoto. Kobiety złociły lewą pierś, czerniły prawą, obie w znaku nosorożca. Tkacze wytwarzali materiały, mężczyźni nosili szaty, a kobiety zdobiły głowy wieńcami kwietnymi, wszystkie w czerni i złocie.

– Twoje miasto robi dobrą minę – powiedział Lampart.

– Jeden ze starszyzny powiedział mi, że pokój to pogłoska i że w niespełna rok znowu będziemy toczyć wojnę z Południem.

– Wojna czy pokój, żony chcą wiedzieć, kto się rucha z ich mężami.

– To jedna z twoich lepszych ripost, Lamparcie – odparłem.

Mieszkałem w mieście, a to była dla mnie nowość. Zawsze byłem człowiekiem skraju, zawsze na wybrzeżu, zawsze nad granicą. Tym sposobem nikt nigdy nie wiedział, czy właśnie nadszedłem, czy właśnie szykuję się do ucieczki. Obrastałem tylko w tyle, ile zdołałem spakować do worka, by odejść w ciągu jednego obrotu klepsydry. Ale w miejscu takim jak to, gdzie ludzie bez przerwy przychodzą i odchodzą, można było pozostać w nieruchomym środku, a i tak zniknąć. To dogodne dla człowieka, którego niena-

widzą ludzie. Moja gospoda stała na zachodzie, na granicy trzeciego muru. Ludzi w obrębie trzeciego muru inni uważali za bogaczy, ale to nie była prawda. Większość bogaczy mieszkała w granicy drugiego muru. Wojownicy, żołnierze, handlarze szukający posłania na noc zatrzymywali się w obrębie czwartego, w twierdzach we wszystkich czterech rogach, broniących wrogowi dostępu do miasta. Mówię ci o tym, inkwizytorze, boś nigdy tam nie był, bo człowiek twojego pokroju nigdy nie będzie.

Zabrałem Lamparta w głąb ulicy, która się pięła i opadała w dół, wiła się i kręciła, pełzała ku ostatniej wieży na wierzchołku górskiego łańcucha. Rozejrzałem się i odwróciłem, i zobaczyłem, że patrzy na mnie.

– Nie idzie za nami – powiedział.

– Kto, twój mały kochaneczek?

– Nazywaj go, jak chcesz, ale nie tak.

– Pójdzie za tobą choćby w paszczę krokodyla.

– Nie, dopóki opuchlizna nie zejdzie.

– Opuchlizna?

– W nocy próbował głaskać mnie po brzuchu. Pierdolić bogów, nie mogłem uwierzyć. Kto chciałby głaskać kota po brzuchu?

– Wziął cię za psa.

– A czy ja szczekam? Obwąchuję mężczyznom jaja?

– No…

– Ucisz się teraz.

Nie mogłem dłużej pohamować śmiechu.

Lampart zmarszczył czoło, potem zarechotał. Zeszliśmy ze wzgórza. Niewielu ludzi było dokoła, a każdy, kto się pojawił, na nasz widok od razu umykał do drzwi. Pomyślałbym, że się boją, ale w Malakalu nikt się nie boi. Wiedzieli, że coś wisi w powietrzu, i nie chcieli brać w tym udziału.

– Mrok szybko zapada na tej ulicy – powiedział Lampart.

Doszliśmy do drzwi człowieka, który był mi winien pieniądze, ale próbował płacić opowieściami. Wpuścił nas, zaproponował sok ze śliwek i wino palmowe, pokręciłem jednak głową, Lampart zaś kiwnął, więc powiedziałem, że on też nie chce, mimo że wgapił się we mnie. Człowiek ten rozpoczął już kolejną opowieść o tym, jak to pieniądze są w drodze z miasta w pobliżu Mrocznych Ziem, no więc kto wie, co się stało, może napatoczyli się rabusie, choć pieniądze wiózł jego brat, no i słodycze upieczone przez matkę, z których da mi tyle, ile zdołam zjeść. Słodycze od matki były jedyną nowością w tej historii.

– Czy to tylko mnie szczęście nie sprzyja, czy szlaki stały się bardziej niebezpieczne, niż były podczas wojny? – zakończył pytaniem.

Wybierałem do złamania jeden spośród jego palców. Ostatnim razem obiecałem, że tak zrobię, a gdybym tego zaniechał, wyszedłbym na człowieka niedotrzymującego obietnic, żyjąc zaś w mieście, nie można pozwolić, aby taka rozeszła się pogłoska. Ale wtedy spojrzał na mnie i oczy tak wielkie wylazły mu z głowy, aż pomyślałem, że na głos to wszystko powiedziałem. Człowiek ten pobiegł do pokoju i wrócił z sakiewką ciężką od srebra. Wolę złoto, tak mówię swoim klientom, zanim wybieram się na poszukiwania, ale sakiewka ważyła dwa razy więcej, niż był mi winien.

– Weź wszystko – powiedział.

– Doprawdy, zapewne przepłacasz.

– Weź wszystko.

– Czy twój brat właśnie wszedł tylnymi drzwiami? – spytałem.

– Sprawy mego domu cię nie obchodzą. Weź i odjedź.

– Jak to okaże się za mało, to…

– Jest aż nadto. Odejdźcie, by moja żona nie wiedziała, że dwa wielkie brudasy zaszły do jej domu.

Wziąłem pieniądze i oddaliłem się, wciąż zaintrygowany tym człowiekiem. Lampart nie mógł przestać się śmiać.

– Żart między tobą i bogami czy może mi zdradzisz?

– Ten twój dłużnik. Twój człowiek. Zesrał się w drugim pokoju, powiadam ci.

– Dziwne. Chciałem mu złamać palec, jak mówiłem. Ale patrzył na mnie, jakby widział samego boga zemsty.

– Nie patrzył na ciebie.

Gdy pytanie miało opuścić moje usta, odpowiedź sama przyszła do głowy.

– Ty…

– Zacząłem się zmieniać za twoimi plecami. Od przodu się zeszczał, był przerażony. Nie poczułeś?

– Może zaznaczał teren.

– Ładne podziękowania dla kogoś, kto właśnie zapełnił ci mieszek.

– Dziękuję.

– Powiedz to słodko.

– Kocie, nadużywasz mojej cierpliwości.

Poszedł ze mną do kobiety, która chciała przesłać wieści do swojej córki w zaświatach. Powiedziałem jej, że znalazłem zaginioną i że nie jest zaginiona. Inny pragnął, abym ustalił, gdzie umarł człowiek, który był jego przyjacielem, ale skradł mu pieniądze, bo gdziekolwiek leży trup, pod nim leżeć będą worki i worki złota. Powiedział: Tropicielu, dam ci dziesięć złotych monet z pierwszego worka. Ja odparłem: dasz mi pierwsze dwa worki i pozwolę ci zatrzymać resztę, bo twój przyjaciel żyje. A jeśli są tylko trzy worki?, spytał. Trzeba było powiedzieć, odparłem, zanim pozwoliłeś mi powąchać potu, szczyn i nasienia na jego nocnym odzieniu. Lampart roześmiał się i rzekł: jesteś bardziej zajmujący niż dwaj komedianci z Kampary

udający dymanie drewnianymi fiutami. Że słońce zaszło, zauważyłem dopiero wtedy, gdy skoczył kilka kroków do przodu i przepadł w mroku. Oczy mu błyskały jak zielone światło w czerni.

– Nie ma uciech w twoim mieście? – spytał.

– Długo trwało, byś do tego doszedł. Uprzedzam, że kobiety od uciech w tym mieście dawno już zaniechały bycia chłopcami. Nic tam nie ma oprócz blizn rzezańca.

– Ble, rzezańcy. Lepszy abuka bez dziur, bez oczu, bez ust niż eunuch. Myślałem, że człowiek staje się takim, aby zerwać z ruchaniem, ale niech bogowie będą przeklęci, oto są, nawiedzają każdą kurwiarnię, doprowadzając do wrzenia krew każdego mężczyzny, który dla odmiany chce się położyć na plecach. Wolałbym teraz znaleźć już dziecko.

– Wiem, kogo moglibyśmy teraz znaleźć.

– Co, kogo?

– Handlarza niewolników.

– Wybył na wybrzeże sprzedać świeży towar.

– Znajduje się mniej niż czterysta kroków stąd i towarzyszy mu tylko jeden z jego ludzi.

– Pierdolić bogów. Powiadają, że masz…

– Nie mów tego.

Zagłębiliśmy się w zaułek i wyjęliśmy dwie małe pochodnie.

Poszedł ze mną za wieżę o siedmiu piętrach i dachu ze strzechy, kolejną z trzema piętrami i jeszcze jedną z czterema. Minęliśmy małą chatę, w której mieszkała wiedźma, bo nikt nie chciał żyć nad ani pod czarownicą; trzy domy pomalowane w kratkowany wzór bogaczy; i jeszcze jeden budynek o tajemniczym przeznaczeniu. Opuściliśmy drogi i skierowaliśmy się na północny zachód, na samym skraju czwartego muru, niedaleko północnego

bastionu. Byłem psem z sawanny, zgarniałem zbyt dużo mięsa, żywego i martwego, spalony błyskawicą.

– Tutaj.

Zatrzymaliśmy się przed domem wysokim na cztery piętra, a większe budynki rzucały dokoła cienie w księżycowej poświacie. Z przodu nie było drzwi, najniższe okno znajdowało się na poziomie trzech chłopa stojących jeden na ramionach drugiego. U szczytu kolejne okno i jeszcze jedno pośrodku, zaciemnione, jakby z migotliwym światłem. Wskazałem dom, potem okno.

– Jest tutaj.

– No to masz kłopot, Tropicielu – odparł i spojrzał ku górze. – Do mojego lamparta dołożysz teraz swojego kruka?

– Tyle ptaków w dziesięciu i trzech królestwach, a ty mnie zwiesz krukiem?

– Niech będzie gołąb, jastrząb, a co powiesz na sowę? Lepiej fruń szybko, bo w tym domu nie ma drzwi.

– Są.

Lampart popatrzył na mnie uważnie, a potem obszedł jak najdalej cały budynek.

– Nie, nie masz tu drzwi.

– Ty nie masz oczu.

– Ha, „nie masz oczu”. Słucham ciebie, słyszę ją.

– Kogo?

– Sangomę. Z ciebie padają takie same słowa. Myślisz też jak ona, że jesteś przebiegły. Jej czary ciągle cię chronią.

– Nie chroniłoby mnie, gdyby to było czarodziejstwo. Rzuciła coś na mnie, co pęta dziejstwo; powiedział mi to zaklinacz, który chciał mnie zabić za pomocą metali. Tego nie czuć na skórze ani w kościach. To coś, co

zostaje nawet po jej śmierci, co znowu oznacza, że to nie czarodziejstwo, bo zaklęcia wiedźmy umierają razem z nią.

Podszedłem wprost do ściany, jakbym chciał ją pocałować, następnie wyszeptałem słowa zaklęcia na tyle cicho, że nawet uszy Lamparta nie mogły usłyszeć.

– Gdyby to było czarodziejstwo – powtórzyłem.

Zadrżałem i cofnąłem się. Zawsze tak się czułem, gdy wypiłem sok z ziarna kawowego – jakbym miał ciernie pod skórą chcące się przebić, a siły nocy wylazły na świat, by mnie dopaść. Szepnąłem do ściany. Ten dom ma drzwi, a ja z wilczym okiem je otworzę. Cofnąłem się i bez udziału mojej pochodni mur zajął się ogniem. Białe płomienie pognały do czterech rogów w kształcie drzwi, strawiły, zatrzeszczały, buzując, a potem pogasły same z siebie, odsłaniając zwykłe drewniane drzwi nietknięte ogniem.

– Ten, kto tu siedzi, posługuje się sztuką – powiedziałem.

Stopnie z zaprawy i gliny zaprowadziły nas na pierwsze piętro. Pokój wolny od ludzkich woni, ze sklepieniem wiodącym w mrok. Przez okna wpadało światło niebieskiego księżyca. Miałem wprawę w skradaniu się, ale kot posuwał się tak cicho, że dwa razy zerknąłem przez ramię.

Nad nami rozmawiano w głos. Na następnym piętrze był pokój z zawartymi drzwiami, ale nie wyczułem za nimi zapachu żadnych ludzi. W połowie schodów wonie mnie doszły: przypalone mięso, wyschnięty mocz, gówno, cuchnące truchło zwierząt, ptaków. W pobliżu najwyższych stopni dopadły nas dźwięki – szepty, warknięcia, mężczyzna i kobieta, dwie kobiety, dwóch mężczyzn, zwierzę – żałowałem, że uszu nie mam tak dobrych jak nos. Z pokoju błysnęło niebieskie światło, zamigotało w ciemności. Nie sposób było pokonać ostatnich schodów, żeby nas nie zobaczono albo nie usłyszano, więc zatrzymaliśmy się w połowie drogi. I tak widzieliśmy pokój. I zobaczyliśmy, co powodowało migot.

Kobieta, w żelaznej obręczy z łańcuchem na szyi, jej siwe włosy prawie białe, ale teraz niebieskie, bo światło błyskało po pomieszczeniu. Wrzeszczała, szarpała za łańcuch, a błękitne światło tryskało w niej, kursując po drzewie pod jej skórą, które widać, jak się rozkroi człowieka. Zamiast krwi krążyło w niej niebieskie światło. A potem znowu pociemniała. Tylko dzięki temu światłu zobaczyliśmy handlarza w ciemnych szatach, tego, który karmił go daktylami, i jeszcze kogoś, o woni, którą znałem, ale której nie mogłem sobie przypomnieć.

A potem ktoś inny dotknął kija, który buchnął płomieniem jak pochodnia. Kobieta w kajdanach odskoczyła, próbując wgramolić się na ścianę.

Pochodnię trzymała kobieta. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, byłem tego pewien mimo ciemności, ale pachniała znajomo, jakże znajomo. Wyższa od wszystkich dokoła, z dzikim i gęstym włosem jak u niektórych kobiet powyżej Morza Piasków. Wycelowała pochodnią w podłogę, w cuchnące pół psiego truchła.

– Mów bez fałszu – odezwał się handlarz. – Jak wniosłaś tutaj psa?

Przykuta kobieta zasyczała. Była naga i tak brudna, że wyglądała jak biała.

– Podejdź bliżej, to się dowiesz – odparła.

Handlarz podszedł, ona rozłożyła nogi, palcami rozsunęła swoją pipę i strzeliła strugą szczyn, która zmoczyła mu sandały, zanim zdążył się odsunąć. Zaczęła się śmiać, ale on strzelił kłykciami i uderzeniem pięści zdusił jej rechot w ustach. Lampart skoczył, ale chwyciłem go za ramię. Ciągle brzmiało, jakby się śmiała, ale ta z pochodnią oświetliła ją i wtedy zobaczyliśmy łzy gromadzące się w oczach.

Powiedziała:

– Ty ty ty ty ty, wszyscy idźcie stąd. Wszyscy musicie iść. Idźcie, biegiem, biegiem, biegiem, bo Ojciec idzie, idzie z wiatrem, nie słyszycie

konia, idźcie, idźcie, idźcie, nie ucałuje was w głowę, nieczyści chłopcy, idźcie się myć myć myć myć myć myć myć…

Handlarz niewolników skinął głową i kobieta przysunęła pochodnię wprost do jej twarzy. Przykuta odskoczyła i warknęła.

– Nikt nie przyjdzie! Nikt nie przyjdzie! Nikt nie przyjdzie! Kto wy?

Handlarz ruszył, chcąc ją uderzyć. Kobieta skrzywiła się i osłoniła twarz, zaczęła błagać, aby jej nie bił. Za dużo mężczyzn ją bijących i ciągle ją biją, a ona chce tylko trzymać swoich chłopców, pierwszego, trzeciego i czwartego, ale drugiego to nie, bo on nie lubi, jak ludzie go trzymają, nawet własna matka. Ciągle przytrzymywałem Lamparta za ramię, czułem grę jego mięśni i sierść rosnącą mi pod palcami.

– Dość tego – powiedziała wysoka kobieta.

– Tak właśnie można rozwiązać jej język – odrzekł handlarz.

– Zapewne myślisz, że to jedna z twoich żon.

Ramię Lamparta przestało drżeć. Miała na sobie czarną szatę z ziem północnych sięgającą podłogi, ale uszytą w dopasowaniu, żeby ukazać szczupłość ciała. Nachyliła się nad tą w kajdanach, która wciąż kryła twarz. Nie dostrzegłem tego, wiedziałem jednak, że przykuta dygocze. Od tego dygotu grzechotały łańcuchy.

– To dni, które nigdy nie powinny ci się przydarzyć – stwierdziła wysoka kobieta. – Opowiedz mi o niej.

Handlarz kiwnął głową na sługę z daktylami. Sługa z daktylami odchrząknął i zaczął:

– Ta kobieta, jej historia, bardzo dziwna i smutna. To ja będę mówił i…

– Bez występów, ośle. Wystarczy sama opowieść.

Żałowałem, że nie widzę grymasu na jego twarzy, ale ginął w mroku.

– Nieznane jest nam jej imię, a sąsiadów wszystkich wystraszyła.

– Nieprawda. Ten tutaj twój pan zapłacił im, aby odeszli. Przestań marnować mój czas.

– Twój czas nie jest dla mnie wart pierdnięcia zdechłego szczura.

Zastygła. Zorientowałem się, że nikt nie spodziewał się takich słów z ust sługi.

– On zawsze tak się sprawuje? – zwróciła się do handlarza. – To może ty mi opowiedz tę historię, poganiaczu niewolników, a ja wytnę mu język.

Ten z daktylami wyciągnął nóż z rękawa i podsunął jej rękojeść.

– To może to dla zabawy? Dam ci nóż, a ty spróbuj.

Nie wzięła. Uwięziona w kajdanach wciąż kryła twarz w kącie. Lampart zastygł. Wysoka z zaintrygowanym uśmiechem spojrzała na sługę z daktylami.

– Ma język do gadania ten tutaj. Doskonale, dawaj tę swoją opowieść. Wysłucham.

– Jej sąsiadka, praczka, mówi, że ona na imię ma Nuya. I nikt jej nie zna ani się do niej nie przyznaje, zatem niech będzie Nuya, choć na nie nie odpowiada. Odpowiada przed kim innym. Prócz niej nikt żywy się nie ostał, aby dać świadectwo, a ona nie mówi. Tyle jednak wiemy. Mieszka w Nigiki z mężem i pięciorgiem dzieci. Są to Saduk, Machang, Fula…

– Wybierz krótszą wersję, nosicielu daktyli.

Wysoka kobieta wskazała go palcem. Nie spuszczała jednak oka z tej w kajdanach.

– Pewnego razu, gdy słońce minęło południe i zaczęło opadać, dziecko zapukało do jej drzwi. Chłopię, co wyglądało na pięć i cztery lata życia.

– Na Północy mamy na to jedno słowo – odparła wysoka kobieta. – Mówimy dziewięć.

Uśmiechnęła się; sługa z daktylami skrzywił się i rzekł:

– Chłopczyk stukający do drzwi pup-puk-puk-puk, jakby chciał je wybić. Gonią mnie, idą tu, ocal tego chłopczyka!, powiedział. Ocal tego chłopczyka, uratuj go, uratuj mnie, tak mówił. Ocal.

Kobieta w kajdanach rzuciła mu spojrzenie.

– Ooooooooooooocal ggggggggo – zawtórowała.

– Mały chłopiec wrzeszczał i wrzeszczał, co mogła więc zrobić matka? Matka z czterema własnymi synkami. Otworzyła drzwi i chłopiec wbiegł do środka. Wpadł prosto na ścianę i się odbił i nie chciał się uspokoić, dopóki nie zamknęła drzwi. Kto cię goni?, pyta Nuya. Od ojca swojego uciekłeś?, pyta Nuya. Od matki? A jakże, matki bywają surowe, ojcowie bywają podli, ale wejrzenie jego oczu, strach w jego oczach nie wziął się z ostrego słowa ani rózgi. Wyciąga rękę, żeby go dotknąć, ale on odskakuje tak szybko, że uderza głową o szafkę i upada.

Chłopiec za nic nie chciał kiwnąć głową, za nic nie chciał mówić, tylko płakał, jadł i wpatrywał się w drzwi. Jej czterech synów, w tym Machang i Saduk, pytają: co to za dziwny chłopiec, matko, skąd się wziął? Chłopiec nie chciał się z nimi bawić, zostawili go więc samemu sobie. Tylko płakał i jadł. Mąż Nuyi pracował w kopalni soli i miał wrócić dopiero rano. Wreszcie udaje jej się powstrzymać go od płaczu obietnicą kleiku z prosa z dodatkowym miodem. Tej nocy Machang spał, Saduk spał, pozostali dwaj synowie spali, nawet Nuya spała, a przecież ona nigdy nie zasypia, póki wszyscy jej chłopcy nie znajdą się pod jednym dachem. Posłuchaj teraz. Jeden z nich nie spał. Jeden z nich wstał z maty i otwarł drzwi, choć nikt nie pukał. Chłopiec. Chłopiec podszedł do drzwi, do których nikt nie pukał. Chłopiec otworzył i wtedy on wszedł. Przystojnym był mężczyzną, długa szyja, włosy czarne i białe. Nocny mrok krył jego oczy. Grube wargi i kwadratowa szczęka, i biała skóra, jak kaolin. Za wysoki na ten dom. Owinął się w biało-czarną opończę. Chłopiec wskazał pokoje w głębi domu. Przy-

stojny mężczyzna idzie do pokoju chłopców i zabija od pierwszego syna do trzeciego syna, a podłoga była mokra od krwi. Mały chłopiec patrzył. Przystojny mężczyzna budzi matkę, dusząc jej szyję. Podnosi ją nad swoją głowę. Chłopiec patrzy. Rzuca ją na podłogę, a ona jest okaleczona bólem, jęczy, krzyczy, kaszle, ale nikt nie słyszy. Patrzy, gdy on przyprowadza czwartego syna, najmniejszego chłopczyka, oseska, podtrzymując jego senną głowę. Matka chce krzyczeć, nie, nie, nie, ale przystojny mężczyzna śmieje się i podrzyna mu gardło. Ona wrzeszczy, wrzeszczy, a on rzuca czwartego syna i rusza do niej. Chłopiec patrzy.

Ojciec wraca do domu, kiedy słońce już stoi wysoko na niebie. Przychodzi zmęczony i głodny, wie, że musi iść znów do pracy przed zachodem słońca. Odkłada kilof, odkłada dzidę, zdejmuje fartuch, zostawia tylko przepaskę biodrową. Gdzie moje jadło, kobieto?, pyta. Obiad powinien na mnie czekać, śniadanie też. Matka wychodzi ze swojej komnaty. Matka naga. Włosy rozwiane. Powietrze w pokoju jest wilgotne i ojciec mówi, że pachnie nadchodzącym deszczem. Słyszy, że ona podchodzi, znowu chce pytać o jedzenie i o dzieci. Ona tuż za nim. W pokoju mrocznieje i strzela błyskawica i on pyta: burza idzie? Przecież było jasno od słońca. Odwraca się, a to jego żona strzela błyskawicą przez swoje ciało tak jak teraz. Spuszcza wzrok i widzi czwartego syna martwego na podłodze. Odskakuje i podnosi oczy, a ona chwyta go za głowę i łamie mu kark. Gdy w jej wnętrzu błyskawica gaśnie, odzyskuje rozum, rozgląda się po domu i widzi wszystkich nieżywych, czterech synów i męża, zapominając o przystojnym mężczyźnie i chłopcu, bo zniknęli. Jest tylko ona i trupy, i myśli, że to ona ich pozabijała, i nic nie dowodzi inaczej, i błyskawica strzela w jej głowie i robi się od tego szalona. Pojmali ją dopiero, jak zabiła dwóch mężczyzn, a trzeciemu złamała nogi. I zamknęli w lochu za siedem zabójstw. Choć przecie nikt nie wierzy, że mogłaby własnoręcznie złamać kark wielkiemu mężczyźnie, co

w pojedynkę pracował na solniskach. W celi próbuje się zabić za każdym razem, jak sobie przypomni, co się wydarzyło, bo woli myśleć, że sama ich zgładziła, niż że to chłopiec ich zgładził, którego wpuściła do domu. Ale najczęściej nie pamięta i tylko powarkuje jak gepard w pułapce.

– To była długa historia – powiedziała wysoka kobieta. – Kim był ten obcy?

– Kto?

– Ten wysoki biały mężczyzna. Kto to?

– Jego imienia nie pamięta żaden czarownik.

– Jakie czarodziejstwo w nią włożył, że to wszystko się stało?

W kobiecie znów zaczęło jaśnieć światło. Dygotała za każdym razem, gdy tak się działo, jakby miała atak.

– Nikt tego nie wie – odparł nosiciel daktyli.

– Ktoś wie, ale nie ty.

Spojrzała na handlarza.

– Jak wydostałeś ją z więzienia? – spytała.

– Nie było to trudne – odparł. – Od wielu dni czekali, żeby się jej pozbyć. Ona nawet mężczyzn przeraża. Co dzień zaraz po przebudzeniu mówiła, że pan idzie na wschód, zachód albo południe, i biegła w tym kierunku, prosto w mur albo żelazną bramę – dwa razy wybiła sobie ząb. I wtedy przypominała sobie o rodzinie i znowu traciła zmysły. Oddali mi ją za jedną monetę, kiedy powiedziałem, że odsprzedam ją jednej szlachciance. Trzymam ją tutaj, żeby znalazł się dla niej jakikolwiek użytek.

– Użytek? Stoisz w jej gównie i larwach zdechłego psa, którym ona się żywi.

– Niczego nie rozumiesz. Biały człowiek. Nie zabił jej, a to, co zrobił, robi też innym. Niejedna taka kobieta jak ona biega samopas po tych ziemiach i niejeden mężczyzna tako. Nawet trochę dzieci i, jak słyszę, rzeza-

niec. Kobietom odbiera wszystko, aby nic nie miały, ale takie nic za wielkie dla każdej kobiety, by unieść, więc szukają, biegają, patrzą. Spójrz na nią. Nawet teraz chciałaby być z nim, chciałaby być z nim i z nikim innym i nie pragnie niczego innego, da mu się zjeść, nigdy go nie puści. Nigdy nie przestanie za nim podążać. On będzie teraz jej opium. Popatrz na nią.

– Patrzę.

– Jeśli on ruszy na południe, ona pobiegnie do tego okna na południu. Jeśli on odbije na zachód, ona skręci i pobiegnie, aż łańcuch szarpnie ją do tyłu.

– On kto?

– On.

– Tej twojej historii zaraz wyrosną zęby. A chłopiec?

– Co chłopiec?

– Wiesz, o co pytam, Wasza Dostojność.

Handlarz milczał. Wysoka spojrzała na tę w kajdanach, która podniosła głowę znad brudnych ramion. Wyglądało, jakby wysoka się uśmiechała. Wtedy spętana splunęła jej na policzek. Wysoka uderzyła ją w twarz tak błyskawicznie i mocno, że głowa odskoczyła i grzmotnęła o ścianę. Ogniwa łańcucha grzechotały i brzęczały napinane, poluźnione.

– Gdyby ta historia miała skrzydła, dawno już poleciałaby na wschód – powiedziała. – Chcesz podążać szlakiem zaginionego chłopca? To zacznij od starszyzny gwałcącej dzieci w Fasisi.

– Chcę, żebyście podążyli za tym chłopcem, tym, którego ta kobieta widziała w towarzystwie białego mężczyzny. To on.

– Stara historia z tych, co matki straszą nimi dzieci – rzekła wysoka kobieta.

– Powiedz bez fałszu, czemu wątpisz? Nigdy nie widziałaś takiej jak ona?

– Kilka nawet zabiłam.

– Ludzie od Nigiki aż do Purpurowego Miasta mówią, że widzieli mężczyznę białego jak glina i chłopca. Inni też. Jest wiele doniesień o nich wchodzących przez bramy miejskie, ale nikt nigdy nie był świadkiem ich odejścia – ciągnął nosiciel daktyli. – Mamy…

– Nic nie macie. Tylko to od oszalałej kobiety tęskniącej za swoim oseskiem.

Chwyciłem Lamparta za rękę, wciąż włochatą, wciąż chcącą się zmienić, i kiwnąłem głową w stronę niższego piętra. Przekradliśmy się na dół i ukryliśmy w pustym pomieszczeniu, wyglądając z mroku. Podpatrywaliśmy, jak wysoka kobieta schodzi po schodach. W połowie drogi przystanęła i spojrzała ku nam, ale ciemność była tak gęsta, że czuło się ją na skórze.

– Powiadomimy was jutro, co postanowiliśmy – zwróciła się do pozostałych.

Drzwi zamknęły się za nią. Wkrótce potem jej śladem ruszyli handlarz z nosicielem daktyli.

Powinniśmy odejść – powiedziałem.

Lampart odwrócił się, żeby ruszyć na górę.

– Kocie!

Chwyciłem go za rękę.

– Uwolnię tę biedaczkę.

– Tę, w której pod skórą krąży błyskawica? Tę, która je truchło zdechłego psa?

– Ona nie jest zwierzęciem.

– Pierdolić bogów, kocie, chcesz się teraz spierać? Przepędź ten pomysł z głowy. Spytaj handlarza o tę kobietę, gdy się z nim spotkamy. Poza tym jeszcze wczoraj nie przeszkadzały ci łańcuchy na nogach kobiet.

– To co innego. Tamte były niewolnicami. Ta jest więźniem.

– Wszyscy niewolnicy to więźniowie. Idziemy.

– Uwolnię ją, a ty mnie nie powstrzymasz.

– Nie powstrzymuję cię.

– Kto woła? – krzyknęła kobieta.

Usłyszała nas.

– Czy to moi synkowie? Czy to cudowny hałas moich synków? Tak długo was nie ma, a ja ciągle nie starłam prosa na kleik.

Lampart zrobił krok do przodu, lecz ja znów chwyciłem go za rękę. Odepchnął mnie. Kobieta zobaczyła go i odskoczyła do kąta.

– Pokój. Pokój niech będzie z tobą. Pokój – powtarzał Lampart.

Rzuciła się na niego, potem na mnie, znowu na niego, dławiona na końcu łańcucha. Trzymałem się z daleka, nie chcąc, aby pomyślała, że ją osaczyliśmy. Ukryła twarz i znów się rozpłakała.

Lampart odwrócił się i spojrzał na mnie. Głowę miał prawie ukrytą w mroku, ale zobaczyłem jego uniesione błagalnie brwi. Czuł za dużo. Zawsze tak było. Ale dla niego to wszystko było doznaniem. Szybkie bicie serca, pożądliwe wzmożenie, pot spływający po szyi. Pomaszerowaliśmy po kamieniach, pokonując kilka ostatnich kroków.

– Lamparcie, ona nie potrafi się o siebie zatroszczyć. La…

– Chcą moich synków – powiedziała. – Wszyscy zabrali moich synków.

Lampart zszedł z piętra i wrócił z obluzowaną cegłą. Przy ścianie, z dala od kobiety, zaczął walić w koniec łańcucha umocowany w zaprawie. W pierwszej chwili chciała uciekać, ale uspokoił ją: ćśś. Umknęła spojrzeniem, gdy grzmocił w łańcuch. Łańcuch dzwonił i dzwonił, nie chciał pęknąć, za to ściana pękła, kruszyła się i kruszyła, aż wyciągnął trzpień.

Łańcuch upadł na podłogę. W mroku zobaczyłem, że kobieta wstaje, usłyszałem, że szura stopami. Lampart znajdował się tuż przed nią, gdy

przestała dygotać i podniosła wzrok. Odrobina wpadającego światła omiotła jej wilgotne oczy. Lampart dotknął obręczy na jej szyi i wtedy drgnęła, ale wskazał pęknięcie w ścianie i kiwnął głową. Ona nie odkiwnęła, tylko znów się pochyliła. Zobaczyłem oczy Lamparta, chociaż jeszcze chwilę wcześniej w pokoju było za ciemno, żeby je zobaczyć. Światło migoczące w nich pochodziło od kobiety.

Błyskawica wystrzeliła z jej głowy po ramionach. Lampart skoczył, ale chwyciła go za szyję, dźwignęła do góry i cisnęła o ścianę. Oczy miała niebieskie, oczy miała białe, oczy trzaskały piorunem. Zaatakowałem ją, szarżujący bawół. Kopnęła mnie prosto w pierś, runąłem do tyłu, uderzając głową o podłogę. Obok mnie turlał się Lampart. Chwyciła go za zgięcie w łokciu i machnęła nim o ścianę po drugiej stronie pokoju. Była błyskawicą, spalała powietrze. Złapała go za lewą nogę i przyciągnęła do siebie z powrotem, ściskając za kostkę, aż zaskowyczał. Próbował się zmienić, ale nie mógł. Błyskawica przeszywała jej ciało, wystrzeliwała z jej otworów, od czego wyła i gdakała. Kopała go, kopała i kopała, a ja zerwałem się na nogi i wtedy spojrzała na mnie. I szybko zerknęła w bok, jakby ktoś ją zawołał. Potem znowu na mnie i znowu w bok. Lampart, znałem go przecież, wiedziałem, że jest rozwścieczony, runął na nią, uderzając w plecy i przewracając, ale odwróciła go i kopniakiem strąciła z siebie. Skoczyła na nogi, w jej wnętrzu niebieskie światło jak pioruny. Chciała mnie dopaść, ale Lampart chwycił za łańcuch i szarpnął do tyłu tak mocno, że znowu upadła. Przeturlała się i znowu hops na nogi i natarła na niego. Wrzasnęła i uniosła ręce, lecz wtedy strzała przebiła jej ramię. Myślałem, że teraz krzyknie głośniej, ale milczała. Za mną stał chłopiec Lamparta, Fumeli. Ponownie ją trafił, druga strzała prawie w jednej linii z tą w jej ramieniu, i wtedy zawyła. Błyskawica rozpełzła się w niej i cały pokój rozjarzył się niebieskim światłem. Kobieta warknęła na chłopca, ale popatrzył na nią nad drzewcem

dobytej trzeciej strzały. Mógł wycelować w jej serce i trafić. Cofnęła się, jakby wiedziała. Kobieta-błyskawica skoczyła do okna, chybiła, chwyciła się parapetu, wciskając paznokcie w ścianę, podciągnęła się, wybiła pręty w oknie i skoczyła.

Lampart przebiegł obok Fumelego i mnie i pognał na dół.

– On cię uczył, jak…?

– Nie – odparł chłopiec i popędził za nim.

Na zewnątrz Lampart i Fumeli wyprzedzili mnie już o wiele kroków, w głębi wąskiego zaułka bez światła lamp padającego z okien. Gdy ich dogoniłem, zwolnili do tempa marszu.

– Chwyciłeś ją? – spytał Lampart. – Chwyciłeś ją nosem, chwyciłeś?

– Nie tędy – odpowiedziałem i skręciłem w zaułek biegnący na południe.

Uliczka słynęła żebrakami, tak wielu leżało dokoła, że nadepnęliśmy na kilku, którzy krzyknęli i zastękali. Tamta gnała jak opętana, poznałem po jej tropie. Odbiliśmy w prawo, w inny zaułek, podziurawiony wybojami pełnymi cuchnącej wody, ze strażnikiem leżącym na ziemi, co dygotał i toczył pianę z ust. Odgadliśmy, że to jej sprawka, więc żaden z nas tego nie powiedział. Podążaliśmy za jej wonią. Biegła z przodu, wywracając po drodze wozy i obalając muły próbujące spać.

– Tędy – powiedziałem.

Dopadliśmy ją u rozwidlenia, droga po prawej ciągnęła z powrotem w głąb miasta, po lewej prowadziła do bramy północnej. Żaden wartownik u bramy nie dzierżył maczugi ani włóczni, która mogłaby powstrzymać uciekinierkę. Nigdy dotąd nie widziałem duszy biegnącej tak szybko, której nie napędzałyby diabły. Dwaj wartownicy uzbrojeni w tarcze i włócznie zobaczyli ją i zrobili krok do przodu, unieśli groty nad głowę. Zanim któryś zdążył rzucić, skoczyła wysoko, jakby wbiegając po niewidocznych stopniach, i trzasnęła w mur miejski. Wbiła się pazurami w zaprawę, ratując

przed upadkiem, wgramoliła na mur i zeskoczyła po drugiej stronie, zanim straże zdążyły ją dopaść. Na nasz widok trzymali włócznie uniesione do rzutu.

– Dobrzy ludzie, nie jesteśmy wrogami Malakalu – powiedziałem.

– Przyjaciółmi też nie. Kto bowiem niepokoiłby nas blisko południowej pory umarłych? – odparł pierwszy strażnik, większy i grubszy od drugiego, w żelaznej zbroi, co już straciła błysk.

– Też ją widzieliście, nie zaprzeczajcie – powiedział Lampart.

– Nic nie widzieliśmy. Tylko trzech czarnoksiężników uprawiających magię nocą.

– Musicie dać nam przejście – rzekłem.

– Gówno musimy. Odejdźcie, bo wyślemy was tam, gdzie wam się nie spodoba – odezwał się drugi strażnik, niższy i chudszy.

– Nie jesteśmy czarnoksiężnikami – odparłem.

– Cała zwierzyna udała się na spoczynek. Głodujcie zatem. Albo idźcie znaleźć sobie jakąś uciechę, która trzyma mężczyznę na nogach.

– A więc zaprzeczycie temu, coście widzieli?

– Ja nie widziałem nic.

– Nic nie widzieliście. Pierdolić…

– Rozumiemy doskonale – przerwałem Lampartowi. – Nic nie widzieliście.

Zdjąłem z ręki bransoletę i rzuciłem ją do strażnika. Były to trzy węże, każdy pożerający ogon poprzednika, znak Wodza Malakalu i zarazem dar za to, że znalazłem coś, co uznał za utracone, bo nawet bogowie tak mu mówili.

– A ja służę waszemu wodzowi, ale to nic. I mam dwa topory, a on ma łuk i strzały, ale to nic. I to nic przebiegło obok dwóch mężczyzn, jakby byli chłopcami, i przeskoczyło mur miejski, jakby to był kamyk rzeczny.

Otwórzcie zamki i pozwólcie nam przejść, a my dopilnujemy, że to nic, któregoście nie widzieli, nigdy nie powróci.

Był to mur północny. Dalej same skały i około dwustu kroków do urwiska, gdzie była największa stromizna. Stała mniej więcej sto kroków od nas, śmignęła w lewo, potem w prawo, znowu w lewo. Wyglądało, jakby wąchała. Potem opadła na ziemię i zaczęła obwąchiwać kamienie.

– Nuya! – krzyknął Lampart.

Odwróciła się jak ktoś, kto usłyszał hałas, a nie własne imię, i pognała dalej. Gdy biegła, błyskawica znowu wystrzeliła w jej wnętrzu, powodując wrzask. Fumeli w biegu dobył łuk i strzały, ale Lampart warknął na niego. Biegliśmy skrajem urwiska do naroża. Dopadaliśmy ją, bo choć była o wiele szybsza od nas, nie uciekała w linii prostej. Dobiegła do samej krawędzi i bez wahania skoczyła.

8

Chłopiec stał się powietrzem trzy lata wcześniej. W drodze do Zwalonej Wieży zastanawiałem się, jak bardzo człowiek może się odmienić w ciągu trzech lat. Chłopiec lat dziesięciu i sześciu jest tak różny od chłopca lat dziesięciu i trzech, że mogą być całkiem inni. Widziałem to niejeden raz. Matka, która nie przestaje płakać ani wypatrywać, daje mi pieniądz, abym odnalazł uprowadzone dziecię. To nigdy nie kłopot; najłatwiejsza rzecz pod słońcem, odnaleźć uprowadzone dziecię to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Kłopot w tym, że dziecko nigdy nie jest takie, jakie było skradzione. Dla porywacza często ma wielką miłość. Dla matki nie ma nawet ciekawości. Matka odzyskuje dziecko, ale jego łóżko pozostanie puste. Uprowadziciel traci dziecko, ale wciąż żyje w jego tęsknocie. Oto prawdziwe słowo od dziecka utraconego i odnalezionego potem: nikt nie potrafi tego ugasić, miłości mojej do matki, która mnie wybrała, i nic nie przywróci miłości do kobiety, z której pipy wypadłem. Świat jest dziwny i z winy ludzi jeszcze dziwniejszy.

Ani ja, ani Lampart nie mówiliśmy o kobiecie. Tego wieczoru powiedziałem tylko:

– Okaż chłopcu trochę wdzięczności.

– Co?

– Podziękuj. Podziękuj mu za to, że uratował ci życie.

Wróciłem do bramy miejskiej. Wiedziałem, że Lampart tego nie zrobi, więc sam podziękowałem Fumelemu, gdy go mijałem.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – odparł.

A więc tak.

Szliśmy teraz do Zwalonej Wieży. Razem, ale bez słowa. Lampart na przedzie, ja z tyłu, chłopiec między nami, wciąż niosąc jego łuk i strzały. Nie rozmawialiśmy, więc nie osiągnęliśmy zgody, a ja nadal byłem w połowie zdecydowany, żeby odmówić. Bo Lampart prawdę rzekł w tej sprawie, że jedno to być niefortunnym na wojnie albo niskiego pochodzenia czy niewolniczego chowu, a co innego przykuć łańcuchem kobietę jak więźnia, nawet jeśli wyraźnie opętał ją jakiś diabeł błyskawicy. Ale nie mówiliśmy o kobiecie, nie mówiliśmy o niczym. I miałem ochotę uderzyć chłopca w twarz za to, że idzie przede mną.

Zwalona Wieża stała na południe od pierwszego muru. Nikt na tych ulicach czy ścieżkach lub zaułkach nie wyglądał, jakby wiedział, że Król nadchodzi. W ciągu wszystkich lat spędzonych w Malakalu nigdy nie zaszedłem na tę ulicę. Nie miałem powodu iść do starych wież, za wierzchołek, i dalej poza zasięg większości promieni słonecznych. Ani pod górę, bo wspinaczka była z początku tak stroma, że gliniasta ulica zmieniała się w wąską ścieżynkę, potem w schodki. Zejście też było strome, mijaliśmy tam okna domów dawno już opuszczonych. Kolejne dwa po obu stronach zaułka, co wyglądały, jakby skrywały nikczemne czyny, bo były pokryte oznaczeniami i rysunkami wszelkiego ruchania z wszelkim zwierzem. Nawet schodząc, staliśmy tak wysoko, że widzieliśmy całe miasto i równinę za murami. Słyszałem pewnego razu, że pierwsi budowniczowie tego miasta, gdy jeszcze miastem nie było, a oni nie całkiem ludźmi, starali się tylko wznosić wieże wysokie na tyle, by mogli powrócić do królestwa nieba i wszcząć wojnę w krainie bogów.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Lampart.

Zwalona Wieża.

Miano to było mylne. Wieża się nie zwaliła, zwalała tylko od czterystu lat. Starzy ludzie mawiają, że w tamtych czasach zbudowano dwie wieże z dala od reszty Malakalu. Mistrzowie budowniczy popełnili błąd od dnia, gdy zaczęli stawiać wieże przy drodze idącej w dół zamiast ku szczytom górskim. Dwie wieże, jedna gruba, druga cienka, wzniesione, żeby w nich trzymać niewolników w oczekiwaniu na statki ze wschodu, które miały ich zabrać. Cienka wieża była najwyższa we wszystkich krainach, wysoka na tyle, mawiają niektórzy, że widać widnokrąg na południu. Osiem pięter w każdej, ale wyższa sięgała nawet dalej ku niebu, jak latarnia morska dla olbrzymów. Niektórzy powiadają, że mistrz budowniczy miał wizję, inni utrzymują, że był szaleńcem, który ruchał kury, a potem odrąbywał im łby.

Każdy jednak widział to. W dniu, gdy położyli ostatni kamień – po czterech latach konania niewolników od nieszczęścia, żelaza i ognia – wypadł dzień świętowania. Pan twierdzy, bo Malakal był wtedy tylko twierdzą, przybył z żonami. Zjawił się też książę Moki, najstarszy syn króla Kuasz Liongo. Mistrz budowniczy od ruchania kur chciał spryskać podstawę wieży kurzą krwią i przyciągnąć błogosławieństwo bogów, kiedy właśnie, ot tak, wyższa, cieńsza wieża zakołysała się i pękła, sycząc kurzem i się chwiejąc. Kołysała się w przód i w tył, na wschód i na zachód, gibała tak dziko, że dwaj niewolnicy spadli z niedokończonego dachu. Cienka wieża przechyliła się, przekrzywiła, ugięła nawet i osunęła na wieżę grubą jak kochankowie prący do mocnego pocałunku. Pocałunek ten wstrząsnął wszystkim i huknął jak grzmot. Wydawało się, że wieża się zwali, ale nie zwaliła. Dwie wieże sczepione razem w jedną, żadna jednak nie ustąpiła, nie upadła. Po dziesięciu latach, kiedy zobaczono, że ani jedna, ani druga nie odda pola, ludzie zaczęli w nich nawet mieszkać. Była tam wtedy gospoda dla zdrożonych wędrowców, potem cytadela dla handlarzy niewolników i ich towaru, a potem, gdy trzy piętra w cienkiej wieży zwaliły się na

siebie, nie było już nic. Nic z tego nie tłumaczyło, dlaczego handlarz chciał się spotkać właśnie tam. Na trzech najwyższych piętrach wiele schodów odpadło. Chłopiec został na dworze. Coś załomotało kilka pięter niżej, jakby fundamenty miały ustąpić.

– Ta wieża w końcu runie z nami wszystkimi w środku – powiedziałem.

Doszliśmy do piętra, jakiego nigdy nie widziałem, ze wzorem jak na tkaninie kente, tyle że były to czarne i białe kręgi i groty, wirujące, choć przecież wszystko nieruchome. Przed nami otwór drzwiowy bez drzwi.

– Troje oczu, patrz, jak świecą w mroku – powiedział handlarz niewolników. – Lampart i półwilk. To dlatego masz ten nos? Rozkoszujesz się krwią jak kot?

– Nie.

– Chodźcie, pomówimy.

Chciałem coś powiedzieć do Lamparta, ale się odmienił i wbiegł na czworakach. Wewnątrz pochodnie strzelały światłem na biały sufit i ciemnoniebieskie ściany. Wyglądało to jak rzeka nocą. Na podłodze poduszki, lecz nikt na nich nie spoczął. Tylko stara kobieta siedziała w kucki na gołej posadzce, jej brązowa suknia śmierdziała jak cielak, z którego skóry pochodziła. Ogoliła głowę dokoła, u góry zostawiwszy włosy splecione w warkoczyki, długie i białe. Okrągłe srebrne kolczyki wielkie jak płytki wargowe zwieszały się z jej uszu, spoczywając na ramionach. Na szyi kilka naszyjników z czerwonych, żółtych, białych i czarnych paciorków. Poruszała ustami, ale nic nie mówiła i nie patrzyła ani na mnie, ani na kota, który truchtał po pokoju, jakby szukał jedzenia.

– Mój cętkowany zwierzu – odezwał się handlarz. – W komnacie w głębi.

Lampart pobiegł.

Rozpoznałem nosiciela daktyli. Tuż obok swego pana, gotów napychać mu usta. I jeszcze jeden, tak wysoki, że dopóki nie przestąpił na lewą nogę, myślałem, że jest kolumną podtrzymującą sufit, wyrzeźbioną na kształt człowieka. Wyglądał, jakby mógł tupnąć i sprawić, że wieża wreszcie się zwali. Miał ciemną skórę, ale nie tak ciemną jak moja, bardziej jak błoto przed wyschnięciem. Połyskliwą nawet w tym ciemnym świetle. Na jego czole dostrzegałem piękne kropki blizn, jedna ich linia biegła łukiem z nosa na policzki. Żadnej koszuli ani szaty, tylko wiele naszyjników na nagiej piersi. Spódnica na biodrach, wyglądająca na purpurę, przy uszach dwa dzicze kły. Żadnych sandałów, butów ani nagolenic, ale nikt nie zrobiłby niczego podobnego dla człowieka o tak wielkich stopach.

– Nigdy jeszcze nie widziałem żadnego ogo tak daleko na zachodzie – przemówiłem. Kiwnął głową, a więc przynajmniej wiedziałem, kim jest, olbrzymem z górskiej krainy.

Milczał.

– Zwiemy go Sadogo – oznajmił handlarz Amadu.

Ogo nadal nic nie mówił. Bardziej ciekawiły go ćmy frunące do lampy pośrodku pomieszczenia. Podłoga drżała, gdy stawiał kroki.

Na stołku przy zamkniętym oknie siedziała wysoka chuda kobieta z nocy. Jej włosy, ciągle odsłonięte i w nieładzie, jakby żadna matka ani mąż nigdy nie mówili jej, żeby je poskromić. Jej szata, wciąż czarna, lecz z bielą zapętloną na szyi i zbiegającą ku piersiom. Na jej dłoni spoczywała miseczka śliwek. Wyglądała, jakby zbierało się jej na ziewnięcie. Spojrzała na mnie i zwróciła się do handlarza:

– Nie mówiłeś mi, że to człowiek znad rzeki.

– Wychowałem się w mieście Dżuba, a nie nad byle rzeką – powiedziałem.

– Masz obyczaj Ku.

– Jestem z Dżuby.

– Nosisz się jak Ku.

– Tę tkaninę znalazłem tutaj.

– Więc i kradniesz jak Ku. Nawet ich woń nosisz na sobie. Teraz czuję, jakbym lazła przez bagno.

– Tyle o nas wiesz, że może to bagno przelazło przez ciebie.

Handlarz się roześmiał. Kobieta ugryzła śliwkę.

– Jesteś Ku czy próbujesz być? Daj nam jakieś mądre porzekadło ludu znad rzeki, coś, że ten, który idzie tropem słoni, nigdy nie zmoczy się rosą. Żebyśmy mogli powiedzieć, że ten chłopiec znad rzeki nawet sra mądrościami.

– Nasza mądrość to głupota dla głupich.

– W rzeczy samej. Na twoim miejscu nie narzucałabym się z tym tak odważnie. – odparła i ugryzła drugą śliwkę.

– Z mym dowcipem? – spytałem.

– Z twoją wonią.

Wstała i podeszła do mnie.

Była wysoka, wyższa niż większość mężczyzn, wyższa nawet niż przyobleczeni w lwie skóry koczownicy sawann, którzy doskakują do nieba. Jej suknia sięgała podłogi, rozpostarta tak, że wyglądało, jakby przyszybowała. I jeszcze to – była piękna. Ciemna skóra, bez skazy, pachnąca masłem z masłosza. Ciemniejsze wargi, jakby w dzieciństwie tytoniem karmiona, tak głębokie, że czarne, wyrazista twarz jak wyrżnięta z kamienia, ale gładka, jak spod ręki mistrza. I te włosy, dzikie i wschodzące we wszystkich kierunkach, jakby chciały uciec. Masło karite, jak rzekłem, ale coś jeszcze, coś, co znałem z tamtej nocy, coś, co kryło się przede mną. Coś, co znam. Zastanawiałem się, gdzie poszedł Lampart.

Nosiciel daktyli podał handlarzowi kij. Ten uderzył w podłogę i spojrzeliśmy do góry. Ale zaraz, ogo to nie, dla niego żadnej góry już nie starczyło. Wrócił Lampart pachnący koźliną.

Handlarz powiedział:

– Rzeknę wam bez fałszu i rzeknę wam mądrze. Trzy lata będzie, jak porwano dziecko, chłopca. Dopiero zaczynał stawiać kroki, powiedzieć umiał może: nana. Porwano z domu właśnie tutaj nocą. Nikt nie zostawił niczego, nikt nie zgłosił się po okup, ani listem, ani bębnami, ani nawet czarodziejstwem. Może sprzedano go na podziemnym targu wiedźm, bo małe dziecko dla wiedźmy przyniosłoby duży pieniądz. Dziecko mieszkało z ciotką w mieście Kongor. I pewnej nocy zostało uprowadzone, a mężowi ciotki poderżnięto gardło. Rodzina z dziesięć i jednym dzieckiem, wszyscy pomordowani. Możemy ruszyć do tego domu o pierwszym brzasku. Dla tych, co umieją jeździć, będą konie, ale trzeba okrążyć Białe Jezioro i okrążyć Mroczne Ziemie, i przebyć Mitu. A gdy dotrzecie do Kongoru…

– Czym dla ciebie jest ten dom? – spytał Lampart.

Nie zauważyłem, że się odmienił i usiadł na podłodze blisko staruchy, która dotąd nie przemówiła, choć otworzyła oczy, spojrzała w lewo, w prawo, potem znów je zamknęła. Poruszyła uniesionymi rękami, jak starcy ćwiczący pozy nad rzeką.

– To dom, w którym ostatni raz widziano chłopca. Nie zamierzacie rozpocząć wędrówki od pierwszego kroku? – spytał handlarz.

– Pierwszy byłby w domu, z którego wpierw chłopca wypuszczono – odrzekłem.

– Kim są ci, którzy ostatni widzieli chłopca? – wtrącił Lampart. – Prowadzisz interes zniewalania zaginionych chłopców, a nie ich odnajdowania.

Zabawne, z jaką ochotą kwestionował słowa naszego chlebodawcy, gdy napełnił brzuch.

Amadu się zaśmiał. Patrzyłem na niego w nadziei, że moje spojrzenie powie: jaką grę z nami prowadzisz?

– Kim on jest i kim jest dla ciebie? – spytał znowu Lampart.

– Chłopiec? To syn przyjaciela, który nie żyje.

– Chłopiec najprawdopodobniej też. Dlaczego tak ci zależy, aby go odnaleźć?

– Moje powody są moje – odpowiedział handlarz. – Płacę wam, żebyście go odnaleźli, a nie mnie przepytywali.

Lampart wstał. Znałem to jego wejrzenie.

– Kim jest ta ciotka? Dlaczego dziecko było z nią, a nie z matką?

– Zamierzałem wam powiedzieć. Jego matka i ojciec pomarli od rzecznej choroby. Starszyzna orzekła, że ojciec polował w złej rzece, zabrał ryby przeznaczone dla panów wód, więc nimfy bisimbi, co pływały pod powierzchnią i trzymały straż, ściągnęły na niego chorobę. Przelał ją na matkę chłopca. Ojciec był moim dawnym przyjacielem i wspólnikiem w tym interesie. Jego majątek należy do chłopca.

– Niewolnik bogaty jak ty, łowiący własne ryby? – spytałem.

Handlarz zamilkł.

– Panie Amadu, czy ty wiesz, jak powiedzieć dobre kłamstwo? Ja wiem, jak się mówi złe. Gdy ludzie mówią fałszywie, ich słowa są zmącone tam, gdzie powinny być czyste, a czyste, gdzie powinny być zmącone. Coś takiego, co brzmi, jakby mogło być prawdą. Ale to zawsze niewłaściwa rzecz. Wszystko, co przed chwilą mówiłeś, mówiłeś wcześniej inaczej.

– Prawda się nie zmienia – odparł.

– Prawda zmienia się pomiędzy tym, jak jeden człowiek mówi to samo dwa razy. Wierzę, że jest chłopiec. Wierzę, że chłopiec zaginął, a jeśli zaginął wiele lat temu, to nie żyje. Ale cztery dni temu chłopięce dziecię miesz-

kało z gospodynią. Dziś mówisz, że z ciotką. A gdy dotrzemy do Kongoru, okaże się, że to był rzezany małpiszon.

– Tropicielu – odezwał się Lampart.

– Nie.

– Daj mu dokończyć.

– Dobrze, dobrze, świetnie, doskonale – powiedział handlarz i podniósł dłoń.

– Przestań kłamać – rzekł Lampart. – On czuje nosem, jak to robisz.

– Trzy lata będzie, jak uprowadzono dziecko. Chłopiec, dopiero zaczynał stawiać kroki i może potrafił powiedzieć: papa.

– Późno jak na dziecko, nawet chłopca – wtrąciłem.

– Rzeknę wam bez fałszu i rzeknę wam mądrze. Z tego domu tutaj w środku nocy. Nikt niczego nie zostawił, nikt nie przysłał wiadomości o okupie. Może…

Wyciągnąłem dwa topory z worka. Lampartowi oczy bielały, wąsy stawały się dłuższe. Wysoka kobieta wstała i podeszła do handlarza.

– Słyszałeś go? – zwróciłem się do Lamparta.

– Tak, ta sama historia, prawie co do słowa – rzekł. – Prawie. Ale zdarza mu się zapomnieć. Pierdolić bogów, handlarzu, ćwiczyłeś, a jednak ciągle zapominasz. Jesteś najgorszym łgarzem albo echem bardzo kiepskiego. Jeśli to zasadzka, to rozerwę ci gardło, zanim on zdąży ci rozpłatać głowę.

Stanęliśmy bok w bok. Ogo zobaczył mnie i Lamparta po jednej stronie pomieszczenia, handlarza i wysoką kobietę po drugiej, stał nieruchomo, z oczami ukrytymi pod krzakami brwi. Starucha uniosła powieki.

– Jeden pokój za mały na tylu głupców – odezwała się, ale nie ruszyła z maty.

Z pewnością była wiedźmą. Miała postawę i woń wiedźmy – cytronela i ryba, krew z dziewczęcej pipki, brud od niemycia rąk albo nóg.

– Posłańcem jest, oto wszystko, czym on jest – powiedziała.

– Za pierwszym razem słowem tego posłańca była świnia, teraz to owca – odparłem.

– Jak sangoma.

– Co?

– Mówisz zagadkami jak sangoma. Żyłeś z jaką? Kto cię nauczył?

– Nie znam jej imienia i niczego mnie nie nauczyła. Sangoma ze Wzgórz Czarów. Ta, która ratowała mingi.

– No i też ta, która dała ci to oko.

– Moje oczy to nie twoja sprawa. To zmowa przeciw nam?

– Przecież wy to nic. Po co ktoś by się zmawiał przeciw wam? – odrzekła starucha. – Chcecie odnaleźć dziecko czy nie chcecie? Odpowiedzcie wprost na pytanie albo może…

– Albo może co?

– Albo może kobieta jest ciągle częścią mężczyzny. Żaden mężczyzna cię nie uciął. Nic dziwnego, żeś taki płochliwy.

– A powinienem być taki jak ty, chlubo twego rodu?

Uśmiechnęła się. Sprawiało jej to przyjemność. No i pojawiło się znowu, ta woń, tym razem silniejsza, może silniejsza wskutek niezgody panującej w tym pokoju, ale również poza jego obrębem. Nie potrafiłem jej opisać, choć ją znałem. Nie, to woń znała mnie.

– Co wiesz o tych ludziach, którzy zabrali chłopca? – spytałem.

– Czemu myślisz, że to byli ludzie? – odparła wysoka kobieta.

– Jak masz na imię?

– Nsaka Ne Vampi.

– Nsaka – powtórzyłem.

– Nsaka Ne Vampi.

– Jak sobie życzysz.

– Powiem wam szczerze, nic nie wiemy – rzekła. – Noc była, gdy przyszli. Niewielu, czterech, może pięciu, może sześciu, ale byli ludźmi o dziwnym, strasznym wyglądzie. Umiem czytać…

– Ja też umiem czytać.

– Więc udajcie się do wielkiej sali archiwów w Kongorze i poszukajcie na własną rękę. Nikt nie widział ich wejścia. Nikt nie widział ich wyjścia.

– Nikt nie krzyknął? – spytał Lampart. – Nie mieli okien ani drzwi?

– Sąsiedzi nic nie widzieli. Kobiety obciążone obowiązkiem robienia kleiku i podpłomyków czemu miałyby zwracać uwagę na hałasy dochodzące z jej domu?

– Dlaczego akurat ten chłopiec, ze wszystkich chłopców w Kongorze? – zapytałem. – Zaiste, w Kongorze tak niestrudzenie hodują wojowników, że zniknięcie dzieweczki byłoby większą zagadką. Jeden chłopiec w Kongorze jest taki sam jak każdy inny. Dlaczego on?

– Więcej nie rzekniemy, dopóki nie dotrzemy do Kongoru – rzekł Amadu.

– Za mało. Drugie tyle za mało.

– Handlarz powiedział swoje – stwierdziła Nsaka Ne Vampi. – Macie wybór, tak lub nie, więc decydujcie szybko. Wyruszamy rano. Nawet na rączych koniach jazda do Kongoru zabierze dziesięć i dwa dni.

– Idziemy, Tropicielu – rzucił Lampart.

Odwrócił się do odejścia. Patrzyłem, jak ogo na niego patrzy, gdy przechodził obok.

– Czekaj – rzekłem.

– Po co?

– Kończysz robić te znaki?

– Co? Mów z sensem, Tropicielu.

– Nie ty. Ona.

Wskazałem staruchę wciąż przykucniętą na podłodze. Spojrzała na mnie, z pustym obliczem.

– Rysujesz runy, odkąd weszliśmy. Piszesz w powietrzu, żeby nikt nie wiedział. Ale są tutaj. Wszędzie dokoła ciebie.

Starucha się uśmiechnęła.

– Tropicielu – szepnął Lampart. Wiedziałem, jak z nim jest, gdy niczego nie rozumie. Odmieni się, gotów do walki.

– Ta stara to wiedźma – powiedziałem, a wtedy włosy się zjeżyły Lampartowi na grzbiecie.

Dotknąłem go pod karkiem i pozostał na miejscu.

– Piszesz runy, żeby kogoś wpuścić albo nie wpuścić – dodałem.

Zrobiłem krok do przodu i rozejrzałem się dokoła.

– Pokaż się – nalegałem. – Twój smród był w tym pokoju już w chwili, gdy wszedłem.

Ciesz spływająca ze ściany zebrała się w kałużę na podłodze w progu. Ciemna i połyskliwa niczym olej, rozlewała się powoli jak krew. Ale pokój wypełniła woń jakby siarki.

– Patrz – zwróciłem się do Lamparta i wyciągnąłem sztylet zza biodra.

Chwyciłem za ostrze i rzuciłem w plamę, a ona wessała z sykiem broń. W okamgnieniu mój nóż wystrzelił z kałuży. Lampart chwycił go tuż przed moim lewym okiem.

– Dzieło diabelskie – powiedział.

– Tego diabła widziałem już wcześniej – odparłem.

Lampart patrzył na poruszającą się kałużę. Chciałem zobaczyć, jak zareagowali inni. Ogo pochylił się, ale i tak był wyższy od wszystkich. Przygiął się jeszcze niżej. Nigdy nie widział nic takiego. Starucha przestała pisać runy w powietrzu. Spodziewała się tego. Nsaka Ne Vampi wstała szybko, cofnęła się jednak, jeden krok, drugi. Potem zastygła, ale coś znów kazało

jej odsunąć się dalej. Zjawiła się po to, ale może czekała na coś innego. Niektóre bestie potrafią przejść przez drzwi. Niektóre muszą być wyczarowane z ziemi, niektóre przywołane z nieba, jak duchy. Handlarz odwrócił głowę.

A kałuża. Przestała się rozlewać, rozpoczęła odwrót, zamknęła się w sobie i zaczęła unosić, jak ciasto ugniatane przez niewidzialne dłonie. Połyskliwie czarne rosło i skręcało się, ściskało, puchło, ciągle coraz wyższe i szersze. Wiło się, chudnąc pośrodku tak bardzo, że miało pęknąć na dwoje. I ciągle rosło. Małe kawałki odpadały jak krople, potem frunęły z powrotem, dołączając do masy. Lampart powarkiwał, ale się nie ruszył. Handlarz nie patrzył. Czarna masa szeptała coś, czego nie rozumiałem, nie do mnie, lecz w powietrze. U góry kłębowiska na widok przepchnęło się oblicze, ale zaraz z sykiem wchłonęło samo siebie. Potem wylazło pośrodku i znów zniknęło. Dwie odnogi wykiełkowały u góry i zmieniły się w ramiona. Dół rozpękł się, zawirował i ukręciły się z niego dwie nogi ze stopami. Postać kształtowała się sama, rzeźbiła, strugała w formę szerokich bioder, bujnych piersi, nóg biegacza i ramion miotacza, głowy bezwłosej i jaskrawych białych oczu, a gdy się uśmiechnęła, jaskrawych białych zębów. Wydawało się, że syczy. Ruszyła, zostawiając za sobą krople czerni, które za nią podążały. Niektóre odpadały z głowy, ale też za nią szły. Doprawdy, poruszała się jak pod wodą, jakby nasze powietrze było tonią, jakby wszelki ruch był tańcem. Chwyciła opończę leżącą obok handlarza i odziała się. Amadu nawet na nią nie spojrzał.

– Lamparcie, pochodnia – powiedziałem. – Pochodnia, o tam.

Wskazałem ścianę. Czarna kobieta zobaczyła Lamparta i się uśmiechnęła.

– Nie jestem tym, co myślisz – przemówiła. Głos miała czysty, ale przepadł w przestrzeni. Nie napinała się, żeby lepiej było ją słyszeć.

– A ja myślę, że jesteś tym, co myślę – odrzekłem. Odebrałem pochodnię od Lamparta. – I zgaduję, że między tobą a płomieniem jest tyle nienawiści, co było u nich.

– Kto ona, Tropicielu? – spytał Lampart.

– No, kto ja, Wilcze Ślepie? Powiedz mu.

Odwróciła się do mnie, ale mówiła do Lamparta:

– Wilk lęka się, że jak powie o nich, to ich przywoła. No, powiedz, że kłamię, skoro kłamię, Tropicielu.

– Kto ona? – powtórzył Lampart.

– Niczego się nie lękam, omoluzu – rzekłem.

– Ja wstałam z podłogi, oni spadają z sufitu. Ja mówię, oni milczą. A jednak nazywasz mnie omoluzu.

– Każda bestia ma swoją urodziwszą odmianę.

– Jestem bunszi, z Północy. Ludzie na zachodzie zwą mnie popele.

– Zatem z pewnością jesteś z niższych bogów – odparłem. – Jesteś bożkiem. Duchem dżungli. Może nawet chochlikiem.

– Doszły mnie wieści o twoim nosie, ale nic nie wiedziałam o twojej gębie.

– O tym, jak ciągle wkłada do niej stopę? – spytała Nsaka Ne Vampi.

– Wiesz o mnie?

– Wszyscy o tobie wiedzą. Wielki przyjaciel zdradzanych żon i wielki nieprzyjaciel zdradzających mężów. Jakże donośnie musi się chwalić tobą twoja matka – powiedziała bunszi.

– A ty kto, szczyny Boga? Charka Boga, a może jego nasienie?

Wokół mnie gęstniało powietrze. Każde zwierzę wie, że w powietrzu jest woda, nawet jeśli nie ma deszczu. Ale coś krzepło przy moim nosie, z trudem oddychałem. Powietrze tężało, wilgotniało, napierało na moją głowę. Myślałem, że to pomieszczenie, ale to była moja głowa, tworzyła się kula

wody, wciskała się do nosa nawet bez mojego oddychania. Topiąc mnie. Upadłem. Lampart zaszarżował i skoczył na kobietę. Runęła na podłogę jako kałuża i podniosła się po drugiej stronie pomieszczenia, wprost w miażdżący uścisk ręki ogo, dławiącego ją za szyję. Próbowała się wyślizgnąć, ale nie mogła się odmienić. Nie pozwalały jego palce. Kiwnął na mnie głową, trzymając ją jak kukłę, a wtedy woda rozprysła się w powietrzu. Kaszlnąłem. Ogo upuścił kobietę.

– Zostań, jeśli chcesz, Lamparcie – powiedziałem. – Ja idę.

Przemówiła starucha:

– Tropicielu, jestem Sogolon, córka Kiluyi z imperium Nigiki trzeciej siostry, i owszem, prawdę rzekłeś. W tej historii jest więcej. Gotów usłyszeć?

– Tropicielu – odezwał się Lampart.

– Świetnie, jestem gotów – odparłem, trwając na posterunku.

– Przemów zatem, bogini – zwróciła się do bunszi Sogolon.

Bunszi spojrzała na handlarza i powiedziała:

– Zostaw nas.

– Jeśli twoja historia jest taka sama jak jego – odrzekłem – albo jeszcze nudniejsza, to będę tu siedział z nożem i rzezał sprośne sceny w podłodze.

– Co wiecie o swoim Królu? – spytała.

– Że nie jest moim Królem – odrzekł Lampart.

– Ani moim – dorzuciłem. – Ale z każdego zarobionego przeze mnie pieniądza wódz Malakalu chce połowy, żeby mógł dać Królowi ćwierć, a zatem owszem, jest moim Królem.

Bunszi usiadła na krześle handlarza, na modłę mężczyzn, przechylona w bok, z lewą nogą zarzuconą na podłokietnik. Nsaka stała w drzwiach, wyglądając na zewnątrz. Ogo trwał nieruchomo, a starucha Sogolon przestała wypisywać runy w powietrzu. Poczułem się, jakbym się znalazł

pośród dzieci, które czekają, aby dziadek opowiedział im nową historię o starym Nan-si, demonie pająku, który dawniej był człowiekiem. Przypomniało mi się, żeby żadnej historii o bogu, duchu czy nadprzyrodzonej istocie nie brać za całą prawdę. Bo skoro bogowie stworzyli wszystko, to czy prawda nie jest tylko kolejnym dziełem stworzenia?

– Działo się to długo po tym, jak Kuasz Dara, kiedy wciąż był księciem, miał wielu przyjaciół dla uciech, kobieciarstwa, picia i walk, jak każdy chłopak w jego wieku. Szczególnie jeden przyjaciel potrafił go prześcignąć w uciechach, kobieciarstwie, piciu i walce, a mimo tego wszystkiego postępowali ze sobą jak bracia. Bracia nawet wtedy, gdy stary Król zaniemógł i odszedł do przodków.

Basu Fumanguru stał się sławny jako zausznik księcia. W tamtym czasie śmierć przyszła także do rady starszyzny. Kuasz Dara nienawidził rady, odkąd był dzieckiem. Dlaczego zawsze biorą młode dziewczęta, pytał swoją nana. I słyszałem, że ruchają się w dłoń i zabierają nasienie na wyspy rzeczne, żeby je oddać jakiemuś bogu, dodawał. Król, gdy był jeszcze księciem, uczył się w Pałacu Mądrości, rozkoszował wiedzą i nauką, ważeniem i mierzeniem rzeczy, a nie tylko wierzeniem. Tak samo Basu Fumanguru. Kuasz Dara znał Basu jako człowieka podobnego do niego pod wieloma względami i miłował go za to. Mówił: Basu, jesteś jak ja od podeszew do czubka głowy. I kiedy ja wstąpię na tron, chcę, abyś ty zasiadł na siedzisku członka starszyzny. Basu odpowiedział, że nie chce tego siedziska, bo starszyzna obradowała w Malakalu, od pięciu do sześciu godzin jazdy od Fasisi, gdzie się urodził, gdzie mieszkał i gdzie było wszystko, co znał. Ponadto wciąż był młody, a bycie członkiem starszyzny oznaczało wyrzeczenie się wielu rzeczy. Książę został Królem i rzekł: masz za dużo lat na kochanki, mamy za dużo lat na uciechy. Pora odstawić to wszystko i odtąd postępować z pożytkiem dla królestwa. Basu się sprzeciwiał i sprzeciwiał,

aż Król rzucił berło i rzekł: na bogów, jestem Kuasz Dara i oto mój nakaz. Tak więc Basu Fumanguru zajął swoje miejsce pośród starszyzny w Malakalu, aby być uchem Króla.

Lecz potem wydarzył się najdziwniejszy zwrot. Basu zakochał się w swoim siedzisku. Stał się pobożny i bogobojny, wziął sobie żonę, nadobną i czystą. Mieli dużo dzieci. Król usadowił go tam, aby mieć pewność, że mądrość starszyzny zbiegnie się z wolą domu królewskiego. Zamiast tego Basu zażądał, aby wola domu królewskiego zbiegała się z mądrością starszyzny. Wszystko było sporem, sporem, sporem. Basu rzucił wyzwanie Królowi poprzez sprzeciw wysłany bębnami, rzucił wyzwanie pismem i wieloma nakazami, dostarczonymi przez posłańców pieszych i konnych. Rzucał wyzwania wizytami na dworze, a nawet w prywatności królewskich komnat. Kiedy Król powiedział, że ma być tak, bo jestem Król, Basu poszedł ze swoją sprawą na ulice Malakalu, a to się rozszerzyło szybciej niż zaraza na ulicach Dżuby, na ścieżki Luala Luala i wielkie drogi samego Fasisi. Basu mawiał: jesteś król, ale nie jesteś boski, póki nie dołączysz do przodków jak twój ojciec.

Tak oto pewnego dnia Kuasz Dara zażądał podatku od ziarna z ziem starszyzny, czego żaden król wcześniej nie uczynił. Starszyzna odmówiła zapłaty. Król posłał nakaz, aby ich uwięzić, dopóki podatek nie zostanie uiszczony. Ale dwa dni po uwięzieniu starszyzny deszcz lunął na całe Północne Królestwo i nie chciał ustać, aż rzeki wylały i potopiły wielu, nie tylko wśród Ku i Gangatom żyjących nad wielką wodą. W niektórych miejscach woda podniosła się tak wysoko, że poznikały całe miasta i wszędzie pływały spuchnięte trupy. Deszcz ustał dopiero wtedy, gdy Król uwolnił Basu Fumanguru. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Wiedzcie to. We wczesnych latach, kiedy starszyzna ścierała się z Królem, wola ludu wspierała starszyznę, bo Król był pyszny. Nie osłabiało go

to jednak, bo na wojnie podbił wiele narodów. Ale w jego ojczyźnie poddani zaczynali pytać: mamy jednego króla czy dwóch? Rzeknę wam szczerze. Niektórzy bardziej lękali się Fumanguru niż Króla, a strach budził on na wiele sposobów. I prawy w tych sposobach był. Ale wszystko się zmienia. Utuczona starszyzna tuczy się jeszcze bardziej. Tak przywykła do zaprowadzania swojej woli, że gdy ludzie się jej sprzeciwiali albo spóźniali się z opłatą czy nie oddawali należytej daniny, brała sprawiedliwość w swoje ręce zamiast pozostawić tę sprawę urzędnikom Króla. Wyłapywali rabusiów na gościńcach i odrąbywali im ręce. Wieszali każdego, kto wszedł w szkodę i jadł owoce na ich ziemiach. Przestali dążyć ku bogom i zamiast tego zadawali się z wiedźmami, żeby układać zaklęcia i klątwy. Utuczyli się na podatkach, co nigdy nie dotarły do Króla.

Słuchajcie mnie teraz. Niektórzy nienawidzili Króla, ale zaraz wszyscy nienawidzili całej starszyzny prócz Basu. Jeden człowiek mawiał: starszyzna odebrała mi bydło, twierdząc, że to podatek dla Króla, ale poborca przybył siedem dni temu. Starszyzna głosiła: daj nam to, coś zyskał na swoich plonach, a my dopilnujemy, aby bogowie pomnożyli twoje plony przy następnych żniwach. Ale zamiast żniw była rdza, która wybiła zboże. Inny mówił: kiedy przestaną przychodzić po nasze dziewczęta? Biorą sobie coraz młodsze, potem żaden mężczyzna nie chce ich wziąć za żonę. Stanowili prawo w Malakalu i na wszystkich ziemiach poniżej Fasisi, a gdy nie schodzili się na obrady, rozbiegali się po miastach i zatruwali każde swoim zepsuciem. Ale nakaz samego Króla mówił, że starszyzny nie może sądzić nikt oprócz bogów, żaden człowiek.

Basu niczemu z tego nie przyklaskiwał. Nigdy nie należał do starszyzny wodzowskiej – Król nie wypełnił obietnicy – ale szanowano go jako dawnego wojownika i spierał się ze swoimi braćmi, którzy ulegli zepsuciu. Ludzie mówili: skoro ten ze starszyzny zabrał ci plony, idź ze skargą do

Basu. Jeśli wiedźma ukręciła klątwę przeciw tobie, idź do Basu. Idź do Basu, bo to on ma rozsądek. Ludzie tak mawiali. Pewnego razu członek starszyzny ujrzał dzieweczkę w obrębie czwartego muru i postanowił ją posiąść. Miała dziesięć i jeden rok. Powiedział jej ojcu: przyślij ją jako służkę do bogini wód, inaczej ani wiatr, ani słońce nie ochronią twojego sorga od rdzy. Ty, twoja żona i twoi liczni synowie będziecie głodować. Nie czekał na przysłanie dziewczyny, lecz sam przyszedł i ją wziął. Oto co się wydarzyło. Basu gromadził przedmioty na odosobnienie, które miał odbyć w świętym miejscu, ażeby poszukiwać słów bogów, kiedy nagle usłyszał krzyki dziewczynki, bo legł na niej tamten. Wściekłość opanowała mu głowę i Basu nie był już Basu. Chwycił złotą misę do ifa, używaną do wywróżenia woli duchów, i uderzył nią członka starszyzny w głowę. I znowu uderzył, i znowu, aż tamten umarł. Odtąd Basu wpłynął na nowe wody. Nienawidzili go bracia, nienawidził go Król i wszyscy z dworu. Powinien wiedzieć, że jego dni są policzone. Fumanguru umknął z rodziną do Kongoru.

Lecz pewnej nocy nadeszli, Tropicielu. Wiesz, o kim mowa. Była to Noc Czaszek, potężny omen.

– Twoi bracia?

– Nie jesteśmy jednej krwi.

– Ty nie masz krwi.

Odwróciła głowę. Lampart, z oczami szeroko otwartymi, słuchał jak dziecko zostawione w puszczy upiorów. Bunszi ciągnęła:

– Jest wiele sposobów, aby ich przyzwać. Jeśli masz czyjąś krew, wypowiedz klątwę i rzuć tę krew na sufit. Ale najpierw trzeba być pod wpływem zaklęcia czarownicy, inaczej pojawią się i cię zabiją. Albo możesz wezwać wiedźmę, żeby zrobiła to za ciebie. Pojawiają się na suficie, ludzie nazywają ich dachowcami, a czy wezwie ich wiedźma, czy przyciągnie twoja

krew, głód w nich rośnie tak przeogromny, że będą cię tropić jak wygłodniałe psy. Urok nigdy cię nie odstąpi. Nikt przed nimi nie ujdzie, a jeśli nawet ci się to uda, pojawią się, kiedykolwiek znajdziesz się pod dachem, choćby na mgnienie oka. Niejeden mąż, niejedna kobieta, niejeden chłopiec, dziewczyna śpią pod gwiazdami, bo inaczej nigdy nie ustrzegą się omoluzu.

Zachodziłeś w głowę, Tropicielu, jak to jest, że nie ściągnęli tutaj za tobą. Jak dawno spałeś pod dachem?

– Blisko rok będzie.

– Omoluzu nie mogą za tobą ciągnąć z zaświatów, jeśli to właśnie tam cię znalazły. A jak znalazły cię tutaj, nie mogą za tobą iść tam. Ale na twoim miejscu nie rzucałabym krwi.

– Co zrobili omoluzu? – spytał Lampart.

Bunszi wstała. Jej szata wzdęła się, choć nie było wiatru. Na dworze trzask, jakieś krzyki, jakieś wrzaski. Ludzie upojeni napitkiem i rozrywką, ludzie upojeni podnieceniem z powodu nadejścia Króla. Kuasz Dary, tego samego władcy co w jej opowieści.

– Jak mówiłam przedtem. Nadeszli w Nocy Czaszek, siedmiu synów Fumanguru dawno już spało, a czas docierał do bardzo późnej pory, południa umarłych. Wszyscy spali, nawet najmłodszy, też zwany Basu. Spali niewolnicy doglądający ziemi i ogrodu, czuwali jednak kucharze mielący proso, najmłodsza i najstarsza żona Basu i sam on, w swoim przybytku, zaczytany w *Pałacu Mądrości*. Oto co się wydarzyło. Członek starszyzny mający przyjaciół na królewskim dworze wysłał wiedźmę, aby rzuciła czarne zaklęcie na dom, a potem opłacił niewolnicę, aby zebrała menstrualną krew najmłodszej żony. Głód omoluzu jest potworny – to woń krwi ich przywabia, nie smak. Tamta niewolnica znalazła skrwawione podpaski swojej pani, zwinęła je razem i po ciemku, gdy inni niewolnicy spali, rzuciła

zawiniątko w sufit. Wiedźma nie powiedziała, że trzeba uciekać, więc zdrajczyni poszła spać. W mroku rumor na suficie słychać było zapewne jak grzmot z daleka. Grzmot, który nawet ten z lekkim snem prześpi.

Tropiciel może powiedzieć, kim są. Spadają z sufitu tak, jak ja wznoszę się z ziemi. Biegają po suficie jakby przytroczeni do nieba. Gdy skaczą, prawie dotykają podłogi, ale lądują z powrotem na suficie tak mocno, że myślisz, że może to oni są na ziemi, a ty sam w powietrzu. I mają ostrza wykonane z tego, czego nie znajdziesz na tym świecie. Powstali, ukształtowali się i porąbali wszystkich żywych niewolników oprócz jednej niewolnicy. Wybiegła, wrzeszcząc, że mrok nadszedł, aby nas pozabijać. Tropiciel ma słuszność, że jestem jak oni. Ale nie jestem od nich. A jednak wyczułam ich, wyczułam ich nadejście, wiedziałam, że są blisko, nie wiedziałam tylko, na który dom uderzą, póki nie usłyszałam krzyku samego Basu. Omoluzu ścigali niewolnicę, która podbiegła do żony Basu. Żona chwyciła pochodnię, myśląc o wielkich legendach, w których światło pokonuje ciemności, ale je otoczyli i obu odrąbali głowy.

Omoluzu pojawili się w spichlerzu i zabili gotujących niewolników. Pojawili się w komnacie dzieci i poćwiartowali wszystkie, nim się obudziły. Nie okazali litości żadnemu. Kiedy wdrapałam się do domu, było za późno, a i tak zabijanie trwało. Weszłam do sieni gęstej od krwi. Podbiegł do mnie mężczyzna trzymający dzieciątko, to Basu był z małym Basu w ramionach. Wyglądał jak ten, co wie, że śmierć go ściga. Słyszałam śmierć dudniącą na suficie jak grzmot, jakby zaprawa w ścianach pękała. Czarna gonitwa po suficie jak mrok, tropiąca Basu. Mówię: daj mi dziecko, jeśli chcesz, aby żyło. Ja jego ojciec, odpowiada. Mówię: nie potrafię uratować was obydwu, walczyć z nimi, a on rzecze: ty jesteś jak oni. Ale nie mamy tej samej matki ani ojca, odpowiadam. Nie było czasu, aby go przekonać, że jestem dobro lub zło. Zobaczyłam, że mrok za Basu rozpada się w kształty trzech, czte-

rech, potem sześciu omoluzu. Daj mi chłopca, powiedziałam. Długo patrzył na dziecko, potem podał je mnie. Miało tylko rok, poznałam. Oboje trzymaliśmy chłopczyka, on nie umiał go puścić.

Nadchodzą, powiedział. Są tutaj, ja na to. Popatrzył na mnie i rzekł: to sprawka Króla. Kuasz Dary. To sprawka dworu, to sprawka starszyzny, a mój syn świadkiem, że to się stało.

Twój syn nie będzie pamiętał, odrzekłam.

Ale Król będzie, odrzekł Basu.

Pstryknęłam drugim palcem i stał się ostrzem. Wepchnęłam go pod żebro, o tutaj, rozcięłam. Ojciec bał się, ale powiedziałam mu, że niepotrzebnie, że zrobię łono dla chłopczyka. Rozkroiłam sobie łono, jak czasem robią to położne, gdy dziecko nienarodzone, a matka już martwa. Wcisnęłam dzieciątko do środka i skóra go zabliźniła. Ojciec był przerażony, ale na widok mojego dużego brzucha, jakby brzemiennego, trochę się uspokoił. Nie umrze w tobie?, spytał, a ja zaprzeczyłam. Byłaś kiedy matką?, spytał ponownie ten mąż Basu, ale tym razem nie odpowiedziałam. Powiem szczerze, była we mnie ciężkość. Nigdy nie nosiłam dzieciątka. Ale może każda kobieta to matka?

– Nie jesteś kobietą – powiedziałem.

– Zamilcz – rzucił Lampart.

– Sangoma powiedziała, że nosisz usta przy sobie – rzekła.

Nie spytałem, skąd wiedziała.

– Omoluzu mieli ostrza. Ja też miałam.

– Pewnie, że miałaś.

– Dość, Tropicielu – odezwał się znowu Lampart.

– Jeden mnie dopadł, zamachnął się ostrzem, ale ja miałam dwa.

– To scena dla czarowników, wyglądająca na ciężarną kobieta walcząca z upiornymi cieniami za pomocą dwóch ostrzy.

– Doprawdy co za scena – odparł Lampart.

Zaczynałem się nad nim zastanawiać. Pasł się tą historią jak ktoś wygłodniały albo sycący się smakiem, nie potrafiłem powiedzieć.

– Zamachnął się na mnie, a ja dałam nura. Skoczyłam na sufit, to znaczy ich podłogę, i odcięłam mu głowę swoimi dwoma ostrzami. Ale wszystkich nie mogłam pokonać. Basu Fumanguru był odważnym człowiekiem. Dobył nóż, lecz ostrze natarło na niego z tyłu i przebiło mu brzuch. Żądza krwi była nienasycona. Wyczuwali woń rodzinnej krwi na dzieciątku nawet w moim brzuchu. Jeden wziął zamach i zaciął mnie w ramię, ale odwinęłam się i rozkroiłam mu pierś. Pobiegłam i wyskoczyłam przez to samo okno, przez które weszłam.

– W żadnym miejscu nie słyszałem takiej historii. Nie od jastrzębia, nawet nie od nosorożca – powiedział Lampart.

– To bardzo dobra historia – przyznałem. – Były w niej nawet potwory. Nic z niej jednak nie skłania mnie, żeby ci pomóc.

Roześmiała się.

– Gdybym szukała szlachetnych ludzi z sercem, aby pomogli dziecku, nigdy bym cię nie wezwała. Naprawdę nie obchodzi mnie, czego chcesz. To zadanie, za które dostaniesz czterokrotnie wyższą zapłatę niż najwyższa, jakiej kiedykolwiek zażądałeś. W złocie. Co lubisz, czego chcesz, co siedzi w twojej głowie, to wszystko nic dla mnie nie znaczy.

– Ja…

Nie miałem nic do powiedzenia.

– A co było z dzieckiem? – spytał Lampart. – Potem.

– Nie zabrałam go do jego ciotki. Omoluzu wyczuwają krew na krwi i ruszyliby, gdyby ktokolwiek im nakazał, za każdą rodziną. Zabrałam chłopczyka do ślepej kobiety w Mitu, która pozostawała wierna dawnym bogom. Bez oczu nie wiedziałaby, co to za malec, nie próbowałaby się

dowiedzieć. Była przy dziecku, więc mogła wykarmić piersią także chłopczyka, zatrzymała go u siebie na rok.

Sprzedała go na targu niewolników w Purpurowym Mieście, niedaleko jeziora Abbar. Małe dzieciątko daje dobry pieniądz za granicami Kongoru, zwłaszcza chłopczyk. Powiedziała mi o tym, gdy zaczęłam rozkrajać jej gardło tym oto palcem.

– Jakich to mądrych wyborów pośród ludzi dokonujesz.

Wiedziałem, że po drugiej stronie pomieszczenia Nsaka Ne Vampi wywróciła oczami. Nie popatrzyłem, ale wiedziałem.

– Ruszyłam tropem dziecka do kupca handlującego pachnidłami i srebrem, który chciał je wywieźć na wschód. Zabrało mi to cały księżyc i było za późno. Mitrężył z dostawą srebra i kupcy z Mitu wysłali najemników po niego. Wiecie, gdzie go znaleźli? Na granicy Mitu. Znaleźli muchy, ale odoru śmierci nie. Ktoś splądrował karawanę i pozabijał wszystkich. Nie tknięto cywetu ani srebra, ani mirry. Chłopiec przepadł, zabrali go.

– Król zabrał? – spytałem.

– Król kazałby go zabić.

– A więc przepadł. Dlaczego nie pozwolić mu przepaść na zawsze?

– Chciałbyś dziecka chodzącego z zabójcami? – odparła starucha.

– No tak, dziecku w towarzystwie wiedźm działoby się o wiele lepiej. Jaki pożytek ma chłopiec dla zabójców?

– Znaleźli w nim pożytek – stwierdziła bunszi.

Przypomniałem sobie, co nosiciel daktyli powiedział do handlarza w wieży kobiety-błyskawicy. Mówił o małym chłopcu, który zapukał do drzwi i płakał, że ucieka przed potworami, a potem ich wpuścił, gdy tylko rodzina gospodyni udała się na spoczynek. Kiwnąłem głową do Lamparta, mając nadzieję, że wychwycił to, co nie zostało powiedziane.

Nie mogłem się zdecydować, czy usiąść, stać, czy odejść.

– Mały chłopiec wychodzi cało z ataku dachowców tylko po to, żeby go sprzedać w niewolę, po czym zostaje porwany przez kogo? Czarowników? Diabły? Stowarzyszenie duchów miłujących chłopaczków, żeby wcześnie inicjować tego jednego? Co będzie dalej, może Ninki Nanka, smok z bagien, wywącha ich, gdy będą szli przez dżunglę, i wszystkich pożre?

– Nie wierzysz w takie istoty? – spytała bunszi. – Wbrew temu, co widziałeś, słyszałeś i z czym walczyłeś? Wbrew temu zwierzęciu u twojego boku?

– Nie trzeba wierzyć w złe potwory, gdy mężowie obdzierają własne żony ze skóry – odrzekłem.

Odwróciłem się i spojrzałem na Lamparta, który ciągle sycił się tą opowieścią.

– Ale wierzysz, że zręczna mowa to mowa mądra. Dobrze. Nie płacę za twoją wiarę. Płacę za twój nos. Przyprowadź mi chłopca.

– Albo dowód jego śmierci?

– On żyje.

– Znajdziemy go i co? Prosisz, abyśmy wystąpili przeciw woli Króla?

– Płacę wam, byście Króla obnażyli.

– Udowodnili, że to on stoi za zabójstwem.

– W roli odegranej przez Króla jest więcej, niż wam wiadomo. A gdyby było wam wiadomo, nie unieślibyście tego.

– Rzecz jasna.

– Ona ci nie płaci za zadawanie pytań ani za myślenie. Płaci ci za wąchanie – powiedziała Nsaka Ne Vampi.

– Skąd wiesz, że nie zabili dziecka?

– Wiemy – odparła bunszi.

Omal nie odparłem, że też wiem, ale tylko spojrzałem na Lamparta. Zerknął na mnie i skinął głową.

Drzwi otwarły się i zamknęły. Myślałem, że to Fumeli, ale zapach był inny. Nsaka Ne Vampi podeszła, stanęła w progu i wyjrzała.

– Za dwa dni jedziemy do Kongoru – powiedziała. – Idziesz, nie idziesz, dla mnie to bez znaczenia. To ona cię chce.

Wskazała bunszi, ale ja patrzyłem poza jej plecy. Nawet nie dosłyszałem, co dodała, a to z powodu woni wdzierającej się schodami. Woni, którą wyłapałem wcześniej, którą przypisałem bunszi, ale przecież nigdy wcześniej jej nie spotkałem i mówiła prawdę, nie pachniała jak omoluzu. Woń się zbliżała, ktoś ją niósł i czułem, że jej nienawidzę, nienawidzę bardziej niż wszystkiego w ostatnich latach, bardziej niż nienawidziłem ludzi, których znałem i mimo to zabiłem. Ten ktoś szedł po schodach, krok za krokiem, słyszałem stąpanie, a z każdym kolejnym krokiem moja wściekłość buchała nowym płomieniem.

– Spóźniłeś się – powiedziała Nsaka Ne Vampi. – Wszyscy są…

Przeciąłem słowa toporem, który przeleciał tuż obok jej twarzy i wbił się w drzwi.

– Niech cię bogowie osrają! O mało mnie nie trafiłeś, przyjacielu – powiedział, stając w progu.

– Chciałem trafić – odparłem i rzuciłem drugi.

Zrobił unik, ale ostrze otarło się o jego ucho.

– Tropicielu, co do…

Podbiegłem i skoczyłem na niego, upadliśmy na schody, stoczyliśmy się po stopniach. Moje palce na jego szyi, zaciśnięte, aż albo pękł mu kark, albo ustał oddech. Turlając się po schodach, skóra posiniaczona, rozlana krew, jego, moja, schody, poluzowana zaprawa. Ja tracący podparcie, on tracący głos, tocząc się i tocząc, uderzając o podłogę niżej, siła upadku i kopniak w moją pierś. Padłem na plecy, on na mnie. Zepchnąłem go nogą i wyciągnąłem nóż, ale wytrącił mi go z ręki i uderzył pięścią w brzuch,

potem w twarz, potem w policzek, potem w pierś, sparowałem cios, odbiłem rękę i wyrżnąłem go w podbródek i w lewe oko. Lampart zbiegł jako lampart, może się odmienił, nie widziałem, bo trwałem w walce. Tamten natarł, skoczył, kopnął, zrobiłem unik, wymach łokciem, trafiając go prosto w twarz, i padł, głową grzmotnął o posadzkę. Runąłem na niego, uderzyłem w lewy policzek, prawy, lewy, on mnie dwa razy w żebra i stoczyłem się, ale odturlałem poza zasięg jego noża, więc dźgnął podłogę. Kopniak za kopniak i znowu kopniak za kopniak i dźwignąłem się, gdy on się dźwignął, a Lampart był na tyle mądry, żeby mnie nie odciągać i nie powstrzymywać, i zerkając na niego, nie zauważyłem ataku za plecami i zamachu, i ciosu w tył głowy, i zrobiła się mokra, i padłem na kolana, a on zamachnął się znowu, by uderzyć, ale kopnąłem go w stopy i runął. Dopadłem go i uniosłem pięść, by trafić tę ociekającą krwią gębę, wyglądającą jak rozłupany ciemny soczysty owoc, ale wtedy ostrze przycisnęło się do mojego gardła.

– Odetnę ci łeb i nakarmię nim kruki – powiedziała Nsaka Ne Vampi.

– Czułem go od ciebie – wystękałem.

– Zabierz ręce z jego szyi. Już.

– Nie…

Strzała przeszła wprost przez jej włosy. Chłopiec Lamparta stał piętro niżej, już następna strzała na łuku, napiętym mocno, gotowym. Nsaka Ne Vampi podniosła ręce. Dziki powiew niebieskiego wiatru uderzył w posadzkę i w okamgnieniu poniósł nas w przeciwne strony. Lampart i ja grzmotnęliśmy o ścianę, Nsaka Ne Vampi poturlała się dalej.

Nyka zagłuszył to śmiechem, próbując dźwignąć się na nogi. Splunął na wiatr, który zawył głośniej, przyszpilając mnie do ściany. Jej głos, staruchy, górował nad wszystkim. Zaklęcie wypuszczone w przestrzeń. Wiatr ustał

tak nagle, jak nadszedł, a my byliśmy od siebie oddaleni, po dwóch stronach pomieszczenia. Schodami zeszła bunszi, starucha została wyżej.

– I od nich oczekujesz, że znajdą chłopca? – spytała Sogolon.

– Wy dwaj się znacie – stwierdziła bunszi.

– Czarna pani, nie słyszałaś? Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Lepiej niż kochankami, bo przez sześć miesięcy dzieliłem z nim łoże. A jednak nic się nie wydarzyło, co, Tropicielu? Czy mówiłem ci, że byłem zawiedziony?

– Kim jest ten człowiek? – zwrócił się do mnie Lampart.

– Och, on wiele mi o tobie opowiadał, Lamparcie. A o mnie nic ci nie mówił?

– Ten syn trędowatej suki i parszywego szakala to nikt, ale niektórzy nazywają go Nyka – odparłem. – Przysiągłem każdemu pierdolonemu bogowi, który by mnie wysłuchał, że jeśli nadejdzie taki dzień, gdy znowu się spotkamy, to cię zabiję.

– To nie jest ten dzień – rzekła Nsaka Ne Vampi.

Sięgnęła po dwa sztylety.

– Dla twojego dobra mam nadzieję, że każesz mu wyciągnąć w porę, gdy będzie cię ruchał – odpowiedziałem. – Nawet jego nasienie to trucizna.

– To spotkanie nie najlepiej się układa – rzekł Nyka. – Grom chyba pod twoją brwią.

– Tropicielu, może…

– Co może, kocie?

– Czegokolwiek szukasz, dziś nie jest ten dzień – odpowiedział Lampart.

Byłem tak wściekły, że czułem tylko gorąco, a widziałem tylko czerwień.

– Nie zrobiłeś tego nawet dla złota – stwierdziłem. – Nawet dla srebra nie.

– Wciąż jesteś głupcem. Niektóra praca jest zapłatą za samą siebie. Nic znaczy nic i nikt nie kocha nikogo, czy nie uwielbiasz tak mówić? A jednak to ty masz te uczucia i ufasz im nade wszystko, nawet nad własny nos. Głupiec w miłości, głupiec w nienawiści. Ciągle myślisz, że zrobiłem to dla zapłaty?

– Odejdź natychmiast, inaczej przysięgam, że nie dbam o to, kogo zabiję, aby cię dopaść – powiedziałem.

– To ty odejdź – rozkazała starucha. – Lamparcie, ty zostań.

– Ja tam, gdzie on.

– Zatem odejdźcie obaj.

Nsaka Ne Vampi zaprowadziła Nykę na górę, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Odstąp – powiedziała bunszi.

– Nigdy nie przystąpiłem – odparłem.

Głęboko w nocy obudziłem się we wciąż ciemnym pokoju. Myślałem, że wygrzebuję się z niespokojnego snu, ale to ona wkradła się do mego śnienia, żeby mnie obudzić.

– Wiedziałeś, że za mną pójdziesz – rzekła.

Jej masywna postać skapywała z parapetu. Urosła w kopiec, sięgając sufitu, a potem znów ukształtowała się w kobietę. Bunszi stała przy oknie, w obrębie ramy.

– A więc jesteś z bogów – odezwałem się.

– Powiedz, dlaczego życzysz mu śmierci.

– A spełnisz to życzenie?

Patrzyła na mnie.

– Nie życzę mu śmierci – rzekłem.

– Och?

– Życzę mu śmierci z mojej ręki.

– A ja zyskam opowieść.

– Och, zyskasz, a jakże. Świetnie. Właśnie to zdarzyło się między mną a Nyką.

Nyka był jak człowiek powracający z przeżyć, których sam musiałem dopiero doświadczyć. Minęły dwa lata, odkąd ostatni raz widziałem Lamparta, i mieszkałem w Fasisi, parając się każdą robotą, jaka się nadarzyła, odnajdywałem nawet psy dla głupich dzieci, które myślały, że mogą hodować psy, i które wybuchały płaczem, gdy przynosiłem truchło zwierzaka z powrotem do ojca, co go przecież zabił. Tylko dla dachu nad głową kładłem się z kobietami, bo milej było z nimi zostać na noc niż z mężczyznami, zwłaszcza kiedy to ich mężów poszukiwałem.

Pewna szlachcianka, która wyczekiwała dnia, kiedy zostanie wezwana do dworu, a tymczasem ruchała się raz z mężczyzną na każde siedem kobiet wyczutych w oddechu męża, powiedziała to, gdy dopadłem ją z tyłu w łożu małżeńskim i pomyślałem o gładkoskórych chłopcach z doliny Uuomouomouomouo: powiadają, że masz nos. Zarówno mąż, jak i żona skrapiali dywany pachnidłami, żeby ukryć woń innych, których sprowadzali do łoża. Potem popatrzyła na mnie, a ja rzekłem, nie troskaj się, sam sobie dogodzę. Czego chcesz od mojego nosa?, spytałem. Mąż mój ma kilka nałożnic. Nie uskarżam się, bo z niego okropny kochanek sprawiający ból. Ale ostatnio zdziwaczał, a już wcześniej był bardzo dziwny. Czuję, że wziął sobie ósmą nałożnicę, a tą nałożnicą jest albo mężczyzna, albo zwierzę. Dwa razy wrócił do domu z wonią, której nie rozpoznałam. Mocną jak płonący kwiat.

Nie spytałem, gdzie o mnie usłyszała ani jakie są jej życzenia, gdy już odnajdę tamtego, a tylko ile mi zapłaci.

– Tyle srebra, ile waży chłopiec – odparła.

Odpowiedziałem, że to wygląda na dobrą ofertę. Ale co ja mogłem wiedzieć o dobrych albo złych ofertach? Byłem młody. Nigdy nie spotkałem twojego męża, daj mi coś, co należy do niego, dodałem. Chwyciła jakby biały kobierzec i rzekła: nosi to pod swoim odzieniem. Jesteś żoną mężczyzny czy góry?, spytałem. Tkanina była dwa razy szersza niż długość mego ramienia, a mimo to znaczyły ją ślady potu, kupy i szczyn. Nie powiedziałem jej, że na tej tkaninie są dwa różne gówna, jedno od niego, a drugie od dogadzania przez niego obcej dupie. Gdy tylko to powąchałem, wiedziałem, gdzie przebywa. I wiedziałem też, gdzie przebywał, kiedy pachniał jak płonący kwiat.

– Bądź ostrożny – rzekła. – Wielu bierze go za ogo.

Tylko jedno pachnie płonącym kwieciem. Tylko jedno pachnie jak coś soczystego, co się spala.

Opium.

Pochodziło od kupców ze Wschodu. Teraz były sekretne nory w każdym mieście. Nikt, kogo znałem, a kto tego zażył, nie miał jutra. Ani dnia wczorajszego. Tylko teraz, w kryjówce z dymem, co kazało mi się zastanawiać, czy ten człowiek jest handlarzem, czy niewolnikiem opium, a może złodziejem ludzi pod jego wpływem.

Woń męża i opium zawiodła mnie na ulicę artystów i mistrzów czarodziejstwa. Ulice w Fasisi nie miały porządku. Szeroka arteria zbiegała się w wąski zaułek, wlewała w rzekę z linowym mostem, a potem znowu w zaułek. Większość domów miała strzechę i ściany z gliny. Na najwyższym wzgórzu delty urządzono kwatery królewskie za grubymi murami strzeżonymi przez wartowników. Powiadam ci, to zagadka, dlaczego najmniej okazałe ze wszystkich północnych miast obrano na stolicę imperium. Nyka mówił, że to miasto przypominało Królowi o tym, skąd się wzięliśmy i dokąd nigdy nie należy wracać, lecz on jeszcze nie wkracza do tej historii.

Kowale z Fasisi to mistrzowie żelaza, ale nie manier. To właśnie żelazo pozwoliło temu zacofanemu miastu podbić Północ dwieście lat temu.

Zatrzymałem się w gospodzie, której nazwa w mojej mowie znaczyła „Światło z Kobiecych Pośladków”. Okna pozamykali na rygle, ale drzwi zostawili otwarte. Gdziekolwiek w środku była podłoga, tam leżało wielu mężczyzn, na wznak, oczy tutaj, ale daleko stąd, usta ociekające śliną, twarze niewzruszone, gdy resztki żaru wypadały z fajek i wypalały dziury w szatach. W kącie nad wielkim kotłem pachnącym zupą bez pieprzu i przypraw stała kobieta. Po prawdzie to bardziej pachniała wrzątkiem używanym do obdzierania zwierząt ze skóry. Niektórzy mężczyźni pojękiwali, większość jednak zachowywała się cicho, jakby zmorzona snem.

Minąłem jednego palącego tytoń pod pochodnią. Siedział na stołku oparty plecami o ścianę. Wychudzona twarz, dwa ogromne kolczyki, mocny podbródek, choć może to był efekt światła. Czołową część głowy miał ogoloną, a z tyłu wyhodował długie włosy. Peleryna z kozła. Nie spojrzał na mnie. Z innej izby dobiegała muzyka, co było dziwne, bo nikt w tej sali nie zwróciłby na nią uwagi. Stawiałem kroki nad mężczyznami, którzy leżeli nieruchomo, mężczyznami, którzy mnie widzieli, ale oczy mieli tylko dla fajki. Opiumowa woń płonącego kwiecia była tak gęsta, że wstrzymałem oddech. Nigdy nie wiadomo. Na piętrze krzyknął chłopiec i zaklął mężczyzna. Pobiegłem na górę.

Jak na kogoś niebędącego ogo ten tam był ogromnej postury. Stał wyższy nad drzwi, wyższy niż najwyższy rumak kawaleryjski. Nagi gwałcił chłopca. Widziałem tylko nogi tamtego, dyndające bez życia. Ale za to beczał. Dwie ogromne łapy trzymały chłopca za pośladki, żeby członek wcisnął się do środka. Żona nie mówiła, że chce jego śmierci, pomyślałem, ale nie mówiła też, że chce go z powrotem w całości.

Wyjąłem dwa miotane sztylety, takie małe, i cisnąłem nimi w plecy tamtego. Jeden zaciął go w ramię. Mężczyzna wrzasnął, puścił chłopca i się odwrócił. Mały runął na plecy i ani drgnął. Patrzyłem, czekałem za długo. Mąż dopadł mnie, same mięśnie i skóra, bary masywne jak u małpoluda, jednym łapskiem złapał całą moją głowę. Podniósł mnie jak lalkę i rzucił przez pokój. Stęknął jak wtedy, gdy gwałcił. Chłopiec przeturlał się i chwycił się jednego z dywanów. Mężczyzna natarł na mnie jak bawół. Zrobiłem unik. Wpadł wprost na ścianę, roztrzaskując ją, prawie przebijając się na wylot. Chwyciłem topór, żeby mu odrąbać piętę, ale wyciągnął się i kopniakiem odrzucił mnie znowu na drugi koniec pokoju. Uderzenie wytłukło mi dech z piersi i padłem. Chłopiec zgramolił się z podłogi i uciekł, przebiegając mi po nogach. Mężczyzna wyrwał łeb ze ściany. Skóra ciemna, mokra od potu, włochata jak u zwierzaka. Odtrącił ręką rząd dzid opartych o ścianę. Doprawdy, znałem mężczyzn, co byli wielcy, i mężczyzn, co byli szybcy, ale żadnego, który był i taki, i taki. Podciągnąłem się na nogi i chciałem umknąć, ale znowu zacisnął mi palce na gardle. Odciął mi powietrze, lecz to mu nie wystarczyło. Chciał zmiażdżyć mi tchawicę. Nie mogłem dosięgnąć noża ani topora. Młóciłem, waliłem, drapałem go po rękach, ale tylko się śmiał, jakbym był chłopcem, którego gwałcił. Patrzył na mnie, widziałem jego czarne źrenice. Wzrok mi ciemniał, ślina ściekała mu po nadgarstku. Podniósł mnie do góry. Krew zaraz miała mi trysnąć z oczu. Ledwo dojrzałem, że mężczyzna widziany na dole rozbija gliniany dzban na grzbiecie męża. Ten się odwrócił i wtedy tamten chlusnął mu czymś żółtym i zjełczałym w oczy. Nie-ogo puścił mnie i padł na kolana, wrzeszcząc i pocierając źrenice, jakby chciał je wydrapać. Powietrze wdarło się do moich płuc i też cisnęło mnie na kolana. Wybawiciel chwycił mnie za ramię.

– Oślepł? – spytałem.

– Może na następne dwa mrugnięcia powiekami, może na ćwierć księżyca, może na zawsze, ze szczynami nietoperza to nigdy nie wiadomo.

– Szczynami nietoperza? Czyś ty…?

– Ślepy olbrzym jest tak samo groźny, chłopcze.

– Nie jestem chłopcem, jestem mężczyzną.

– Więc umieraj jak mężczyzna – odparł ten człowiek i wybiegł.

Pognałem za nim. Śmiał się przez całą drogę do drzwi.

Powiedział, że na imię ma Nyka. Żadnego miana rodu, żadnego miejsca pochodzenia, żadnej chaty, którą nazwałby domem, ani domu, z którego uciekł. Po prostu Nyka.

Polowaliśmy razem przez rok. Umiałem znaleźć wszystko oprócz roboty. On umiał znaleźć wszystko oprócz ludzi. Powinienem wiedzieć, że miał rację, byłem chłopcem. Kazał mi nosić szaty, czego nie lubiłem, bo utrudniały walkę, ale gdy miałem tylko przepaskę, w niektórych miastach ludzie brali mnie za jego niewolnika. W większości miejsc, do których dotarliśmy, nikt nie słyszał o tym Nyce. Ale dokądkolwiek poszliśmy, gdzie był znany, wtedy chcieli go zabić. W szynku w dolinie Uuomouomo-uomouo zobaczyłem kobietę, która podeszła do niego i spoliczkowała go dwa razy. Zrobiłaby to trzeci raz, ale chwycił ją za rękę. Drugą wyciągnęła nóż i zacięła go w pierś. Później, w nocy, trzymałem akurat dłoń między swoimi udami, gdy usłyszałem, że się ruchają po drugiej stronie pokoju.

Jednego razu szukaliśmy martwej dziewczynki, która nie była martwa. Porywacz trzymał ją w urnie pogrzebowej zakopanej w ziemi za domem, a wyjmował ją wtedy, gdy potrzebował rozrywki. Kneblował jej usta, wiązał ręce i nogi. Jak tam dotarliśmy, właśnie położył swoje dzieci do snu i zostawił żonę, poszedł za dom, żeby zabawić się z dziewczynką. Odsunął odcięte krzaki, odgarnął ziemię i wyjął wydrążony kij wbity w pokrywę urny, żeby dzieweczka mogła oddychać. Lecz tej nocy w urnie zamiast niej

czekał Nyka. Dźgnął tamtego w bok, aż zatoczył się z wrzaskiem. Ja kopnąłem go od tyłu i upadł. Chwyciłem maczugę i zamroczyłem go uderzeniem. Obudził się przywiązany do drzewa w pobliżu miejsca, w którym zakopał dziewczynkę. Była osłabiona, nie mogła stać o własnych siłach. Zakryłem jej usta dłonią, kazałem być cicho i dałem nóż. Podtrzymaliśmy jej rękę, gdy rozkroiła mu brzuch, potem pierś, znowu brzuch i tak raz za razem. Wrzeszczał pod kneblem, aż przestał wrzeszczeć. Chciałem, żeby to dziewczynka miała zadowolenie. Nóż wysunął się jej z dłoni i padła obok trupa, zalana łzami. Odtąd coś się w Nyce zmieniło. Byliśmy łgarzami i złodziejami, ale nie zabójcami.

Mówię ci to wszystko, bo musisz go widzieć, jak ja go wtedy widziałem. Przedtem.

Robota w Fasisi dobiegła końca. Znudziło mi się to miejsce i żony tęskniące za mężami co siedem dni. Siedzieliśmy w tej samej gospodzie, do której chodziliśmy zawsze, żeby podzielić nasz zarobek. I pić wino palmowe i piwo z masuku albo gorzałkę w kolorze bursztynu, od której paliło w piersi i podłoga robiła się śliska. Podeszła gruba gospodyni z marsową bruzdą nad brodawką ponad brwiami.

– Nalej nam ognia z butelki – powiedział Nyka.

Wyciągnęła dwa kubki i napełniła oba do połowy. Nic nie powiedziała nawet wtedy, gdy przed odejściem od kontuaru Nyka klepnął ją w pośladki.

– Dobra fortuna czeka w mieście Malakal albo w dolinie Uuomouomouomouo – powiedziałem.

– Dobra fortuna, tak myślisz? A jeśli ja złakniony przygód?

– A więc Północ?

– Chyba odwiedzę matkę – rzekł.

– Wcześniej mówiłeś, że drugie najwspanialsze, co sobie daliście, to wielka odległość między wami. Mówiłeś też, że nie masz matki.

Roześmiał się.

– To wciąż prawda.

– Które jest prawdą?

– Ile ognia z butelki wypiłeś?

– Który to twój kubek?

– Piłeś z niego? – spytał. – To dobrze. Gdy ostatnim razem mówiliśmy o ojcach, powiedziałeś, że walczyłeś ze swoim. Jednego dnia mój ojciec wraca po dniu wolnym od pracy, tylko knowania i spiski, droga donikąd. Bicie nas było rozrywką. Kiedyś uderzył mojego brata laską od tyłu w głowę i potem mój brat zrobił się prostaczkiem. Matka piekła chleb z sorgo. Ją też bił. Jednego dnia wygrzmocił ją laską i przez dwa księżyce kicała na jednej nodze, a potem kulała. Zatem owszem, powiedzmy, że był to dzień, gdy wrócił po wieczorze picia i bierze laską zamach i wali mnie w głowę od tyłu. Potem kopie mnie i bije leżącego na ziemi, obluzowuje mi ząb, wrzeszczy, żebym wstał, to dostanę więcej. Pewnego dnia porozmawiamy sobie o ojcach, Tropicielu. No więc powiedzmy, że zamachuje się laską nad moją głową, ale jest za wolny, a ja za szybki dla niego, chwytam ją. Wyrywam mu laskę i walę go w głowę. Upada, ot tak zwyczajnie, upada na ziemię. Trzymam laskę i walę go i walę, podnosi dłoń, żeby się zasłonić, i łamię mu wszystkie palce, podnosi ręce, łamię mu ręce, podnosi głowę, rozbijam mu głowę, aż słyszę chrup, chrup, chrup, i walę dalej, i potem słyszę chrzęst, potem ciap, ciap i matka krzyczy. Zabiłeś mi męża, zabiłeś ojca swoich braci. Jak się wyżywimy? Spaliłem go za naszą chatą. Nikt o niego nie pytał, bo nikt go nie lubił i wszyscy radowali się swądem jego płonących zwłok.

– A matka?

– Znam swoją matkę. Jest tam, gdzie ją zostawiłem. Jednak się z nią zobaczę. Wyruszam za dwa dni, Tropicielu. Potem możemy szukać takich

przygód, jakich zapragniesz.

– To ty zawsze szukasz przygód. Spotkamy się w Malakalu.

– Spotkamy się tam, gdzie wyczujesz moją woń. Co za leniwa noc, a wyruchaliśmy już cały kwartał. Napij się jeszcze.

Piłem i piłem, aż okiełznaliśmy ten ogień w piersi, potem wypiliśmy więcej. Powiedział: przyjacielu, porzućmy rozmowę o ojcach. I pocałował mnie w usta. To nic nie znaczyło, Nyka całował wszystkich i każdego, na przywitanie i na odchodnym.

– Odnajdę cię za dziesięć dni – powiedziałem.

– Osiem to lepsza liczba – odrzekł. – Więcej niż siedem dni z matką, to byłbym się musiał powstrzymywać, by jej nie zabić. Napij się jeszcze.

Ciepło, najpierw na czole, spłynęło mi po szyi. Otworzyłem oczy i wtedy mocz trafił mnie w twarz, oślepił. Bezmyślnie potarłem powieki i prawą ręką szarpnąłem się za lewą. Kajdany na prawym przegubie, łańcuch, kajdany na lewym. Przede mną podniosła się łapa i znowu szczyny trysnęły na mnie. Gdzieś w mroku głośny śmiech. Szarpnąłem się, ale łańcuch mnie pohamował. Próbowałem wstać, próbowałem krzyczeć, kobiety w ciemności śmiały się coraz głośniej. Bestia, zwierzę, pies chyba sikał na mnie, jakbym był pniem drzewa. Wpierw myślałem, że Nyka zostawił mnie spitego w zaułku, by mnie kundle obszczały. Albo ktoś, szaleniec, właściciel niewolników – tacy nawiedzali te uliczki – czy mąż, który nie chciał, bym go odnalazł, odnalazł mnie. Mój umysł się znarowił, sądził, że trzech, czterech albo może pięciu wypatrzyło mnie w zaułku i powiedziało: oto ten, który pozbawił nas wygody w życiu. Ale mężczyźni nie śmieją się jak kobiety. Pies dostawił łapę i potruchtał dalej. Podłogą była ziemia i dostrzegłem ściany. Mój umysł znowu bryknął. Chciałem spytać, kim

jesteście, mężowie, których niedługo pozabijam, ale coś kneblowało mi usta.

Wychynęły z mroku, najpierw dwa czerwone ślepia. Potem zęby, długie, białe, gotowe. Gdy spojrzałem do góry, nad sobą zobaczyłem światło przezierające przez gałęzie, które kryły ten dół. Wpadłem do pułapki. Do pułapki od tak dawna zapomnianej, że nawet myśliwy nie będzie wiedział, że tu zemrę. Ale kto zakneblował mi usta? Czy po to, żebym nie krzyczał, gdy kły wbiją się we mnie i będą odrywały kęsy z mego ciała? Zanim zobaczyłem oblicze, widziałem tylko ślepia i kły, ale szczyny zdradziły mi wszystko. Hiena cofnęła się odrobinę w mrok i zaraz natarła na mnie. Inna wyskoczyła z boku i grzmotnęła tamtą w żebra, obie poturlały się w ciemności, charcząc, warcząc, szczekając. A potem przestały i znów zaczęły się śmiać.

– Ludzie na zachodzie nazywają nas bultundżi. Mamy z tobą niedokończone rachunki – powiedziała jedna w mroku.

Odpowiedziałbym, że z cętkowanymi diablicami żadnych rachunków nie mam albo że nic chwalebnego nie płynie z oszukania takich ścierwojadów, ale przecież w moich ustach tkwił knebel. A hieny, z tego, co wiedziałem, nie miały wstrętu do żywego mięsa.

Trzy wyszły z ciemności: dziewczyna, starsza kobieta, może jej matka, i jeszcze starsza, chuda, z prostym grzbietem. Dziewczyna i starsza kobieta nie miały nic na sobie. Pierwsza z piersiami jak duże śliwki, szerokimi biodrami i z nana jako kępką czarnego buszu. U najstarszej prawie cała twarz kośćmi policzkowymi, chude ręce i ciało, wątłe piersi. Ta średnia z włosami w warkoczach, nosiła czerwone boubou tu i tam z fałdami i smugą. Wino, brud, krew czy kał, nie potrafiłem powiedzieć; wyczuwałem wszystko. I jeszcze to. Wpatrywałem się w mrok w poszukiwaniu samca, który mnie oszczał, ale żaden samiec nie przyszedł. Przyszły za to dwie nagie kobiety

i w słabym świetle zobaczyłem to u nich obu. Długie fiuty albo coś, co tak wyglądało, między ich nogami, grube i dyndające szybko.

– Widzicie, patrzy na nas – powiedziała średnia.

– Patrz na rodzaj kobiecy wśród hien, u nas dłuższe i twardsze niż u ciebie – dorzuciła młoda.

– Zjemy go teraz? Chapniemy? Kończyna za kończyną? – dopytywała się stara.

– Narobisz hałasu, człowieku? Żywe czy martwe mięso nie robi nam różnicy – rzekła średnia.

– Dalejże, dalej, bez ceregieli, rozszarpmy ciało, wysączmy krew, zjedzmy mięso, zjedzmy – powiedziała najstarsza.

Młoda na to:

– Ja mówię, by zabić go od razu.

– Nie, nie, jedzmy powoli, zacznijmy od stóp, cenne mięso – odparła stara.

– Od razu.

– Później.

– Od razu!

– Później!

– Cicho! – krzyknęła średnia, machnęła rękami i przyłożyła im obu.

Młodsza odmieniła się pierwsza, w okamgnieniu. Nos, pysk i podbródek wystrzeliły z twarzy, oczy pobielały. Mięśnie na ramionach napięły się i wzdęły, a na rękach nabrzmiały po końce palców, jakby węże pełzły pod skórą. U starej kobiety pierś się rozwarła, jakby nowe mięso próbowało się przedrzeć na wierzch, wszystko pod szorstką skórą. Twarz odmieniła się podobnie. Palce, teraz czarne pazury, czubki jak żelazo. Wszystko to stało się o wiele szybciej, niż to przedstawiam. Starucha warknęła, a młoda zaśmiała się tym he-he-he, które nie było śmiechem. Stara skoczyła na śred-

nią, ale została pacnięta jak mucha. Grzebała w ziemi, gotując się do następnego ataku.

– Ostatnim razem twoje żebra leczyły się pięć księżyców – powiedziała średnia.

– Wyjmij mu knebel, niech nas zabawi – rzekła stara.

Młoda znów zmieniła się w dziewczynę. Podeszła do mnie, cuchnęła doprawdy niemiłosiernie. To, co ostatnio zjadła, zjadła wiele dni wcześniej, a strzępy gniły w jej ciele. Przesunęła dłońmi po mojej potylicy, a ja pomyślałem, żeby uderzyć głową w ścianę, cokolwiek, byleby stawić najlżejszy choćby opór. Roześmiała się i jej smrodliwy dech owionął moje nozdrza. Wyjęła mi knebel i wtedy odkaszlnąłem wymiocinami. Zaśmiały się wszystkie trzy. Przysunęła się, jakby chciała mi zlizać rzygowiny z twarzy albo mnie pocałować.

– Śliczne succątko z tego tu – powiedziała.

– Jeśli idzie o ludzi, ten nie będzie najgorszy z tych, co skończyli w moim żołądku – rzekła starucha. – Długi w nogach, wątły w mięśniach, skąpy w tłuszczu, nie za obfity to posiłek.

– Posól mięso jego własnym mózgiem, dorzuć świńskiego tłuszczu – rzekła młoda.

– Jedno mu przyznam – wtrąciła średnia. – Imponuje mi pod tym względem, co się liczy u mężczyzn. Jak ty dajesz radę biegać z dyndającym tak nisko?

Kaszlałem i kaszlałem, aż w gardle zadrapało.

– Może będzie miał wodę – powiedziała stara.

– Ja mam w sobie trochę mocnej wody – odparła młoda i się zaśmiała. Zadarła lewą nogę i chwyciła się za wiszącego kutasa, potem znowu się zaśmiała, zamiast wyszczać.

Stara też zarechotała.

Średnia zrobiła krok do przodu.

– Jesteśmy bultundżi – powiedziała – i mamy z tobą niedokończone rachunki.

– Niedokończone rachunki dokończę toporem – wycharczałem.

Wszystkie się zaśmiały.

– Odrąb mu, połóż w innym pokoju i bum! Mężczyzna dalej będzie się zachowywał, jakby mu dyndał – powiedziała stara.

– Spróchniała suko, nawet ja tego nie rozumiem – odparła młoda.

Średnia stanęła wprost przede mną.

– Nie pamiętasz nas? – spytała.

– Hiena nigdy nie zapada w pamięć.

– Pozwólcie, to zrobię mu coś pamiętnego – odezwała się młoda.

– Doprawdy kto by pamiętał hieny? Wyglądacie jak psi łeb przepychający się przez dupę kota idącego wstecz.

Stara i średnia się roześmiały, młoda wpadła w szał. Odmieniła się. Wciąż na dwóch nogach, zaatakowała. Średnia bestia kopnęła ją w nogę, obalając na ziemię. Młoda runęła ciężko na brodę, przejechała po ziemi. Przykucnęła, warknęła na tamtą i zaczęła krążyć dokoła niej, jakby szykowała się do walki o świeże mięso. Znowu warknęła, ale średnia, ciągle pod postacią kobiety, burknęła na nią głośniej niż ryk. Może to dół zadygotał, może ta młoda, poczułem jednak, że coś się zmienia. Tamta stęknęła he-he-he pod nosem.

– Jak dawno widziałeś nasze siostry?

Zakaszlałem znowu.

– Trzymam się z dala od zdychających świń i gnijących antylop, więc nie miałbym okazji spotkać waszych sióstr.

Dopiero teraz, gdy stanęła blisko, zauważyłem, że też ma całe białe ślepia. Stara odeszła w mrok, ale jej oczy zajaśniały z ciemności.

– W ogóle jakie siostry? Kim jesteście wy, bestie z fiutami, co się zmieniacie w kobiety?

Zaśmiały się wszystkie.

– Znasz nas, znasz. Jesteśmy bestie, u których kobieta daje zadania, a mężczyzna zadania wykonuje. Skoro mężczyźni urządzili to tak, że największy fiut rządzi niebem i ziemią, czy nie sensowne jest, żeby to kobiety miały największe ptaki? – spytała średnia.

– Ten świat to świat, którym władają mężczyźni.

– I co dobrego z tego waszego władania? – spytała starucha.

– Jest dzika zwierzyna, jest dżungla, są rzeki bez trucizny i żadne dziecko nie głoduje z powodu obżarstwa swojego ojca, bo umieściliśmy mężczyzn na ich miejscu i bogowie tak chcieli – dorzuciła średnia.

– On nie pamięta żadnej – rzekła młoda. – Może trzeba nam zapłakać? Może trzeba sprawić, żeby on zapłakał?

– Powiedziałabym ci, ile księżyców minęło, ale nie lękamy się siwego włosa ani pałąkowatego grzbietu. Pamiętasz Wzgórza Czarów? Chłopiec z dwoma toporami dopadł naszego stada, zabił trzy, okaleczył jedną. Która nie mogła już polować, stała się łowna.

Pozostałe dwie stęknęły.

– Kobiety robią to, co robią. Chronią swoje młode. Karmią, przynoszą…

– Żywią młode wszystkim, czym takie dziecię, jakim byłeś, obżarło się za bardzo, aby samo mogło się wykarmić.

– Taki obyczaj dżungli.

– A gdybyś napotkał mnie z połową twojego szczenięcia w moim pysku, czy też byś powiedział, że taki obyczaj dżungli? Pierdolić bogów, jeśli nie jesteś najbardziej gównianym ze wszystkich stworzeń. Skoro ty w dżungli i z dżungli, to dlaczego czuję na tobie smród miasta? Tarzasz się po ulicach, łasisz się jak parszywa suka do kobiet, których dzieci porywasz nocą.

– Nie masz honoru.

– Suki, wrzuciłyście mnie do dołu pełnego ludzkich gnatów i zapachu dzieci, które mordujecie. Wasze stado zabiło dziesięć i siedem kobiet i dzieci w ciągu dwudziestu nocy w Ladżani, aż w końcu myśliwi was wykończyli. Wszyscy myśleli, że polują na dzikie psy, dopóki nie napatoczyłem się i nie spytałem, dlaczego śmierdzą szczynami hieny. Znam wasze poczynania. Zmieniacie postać, żeby wślizgiwać się między dzieci, czyż nie? A potem je odciągacie, żeby zabić. Nawet najnędzniejszy gatunek odmieńców nie upada tak nisko. Honor? Więcej honoru w robaku.

– Wyzywa nas od psów – powiedziała młoda.

– Podążałyśmy za tobą przez rok – rzekła średnia.

– Dlaczego złapałyście mnie właśnie teraz?

– Mówiłam ci, że czas nic dla nas nie znaczy, tak samo pośpiech. Twojemu przyjacielowi zabrało to rok.

– Oooo! Siostro, spójrz na jego twarz. Zobacz, jak się zapadła, gdy wspomniałaś o przyjacielu. Czy źrenicą umysłu nie dostrzegłeś, że cię zdradził?

– Nyka. Tak ma na imię. Łączyła was silna miłość? Myślałeś, że nigdy cię nie sprzeda za srebro ani złoto, a skoro tak, jak to możliwe, że znamy jego imię?

– To mój przyjaciel.

– Jeszcze nigdy nikogo nie zdradził wróg.

– Nic nie mówi. Teraz nie mówi nic. Patrzcie na twarz. Jeszcze bardziej się zapada. Żadne żądło nie żądli jak żądło zdrady. Patrzcie na twarz – powtarzała młoda.

– Zmienia się w… grymas? Czy to grymas, siostry moje? – spytała starucha.

– Wyjdź z ciemności, to zobaczysz wyraźnie.

– Chłopczyk się chyba rozpłacze.

– Odwagi, chłopczyku. Sprzedał nam ciebie rok temu. W tym czasie może nawet cię polubił.

– Tylko że bardziej lubi złote monety.

– Chcecie, byśmy go zabiły? – spytała średnia, pochylając się nade mną.

Skoczyłem ku niej na tyle, na ile pozwoliły kajdany, ale ani drgnęła.

– Mogę to dla was zrobić – powiedziała. – Ostatnie życzenie.

– Mam życzenie – odparłem.

– Siostry, ten człowiek ma życzenie. Czy jedna z nas, czy wszystkie trzy powinnyśmy je spełnić?

– Wszystkie trzy – odrzekłem.

– Wypowiedz życzenie, wysłuchamy – odezwała się starucha.

Popatrzyłem na hieny. Średnia uśmiechała się, jakby była uzdrowicielką, która przyszła dotknąć mego czoła, stara przyłożyła dłoń do ucha i spojrzała na mnie, młoda splunęła i odwróciła wzrok.

– Chciałbym, żebyście zostały w skórze hien, bo chociaż to wstrętne zwierzę, a wasz oddech zawsze cuchnie gnijącym trupem, to przynajmniej nie musiałem znosić was w szyderczej postaci kobiet. Kobiet, które skłaniają mnie do pytania, jaka kobieta śmierdzi tak, jakby srała ustami.

Stara i młoda zawyły i znów przeszły odmianę, wiedziałem jednak, że średnia nie pozwoli im mnie tknąć. Jeszcze nie.

– Pragnę ujrzeć widok bogów, kiedy zabiję was wszystkie.

Średnia rzuciła się na mnie, jakby do pocałunku. Doprawdy chwyciła moją głowę i rozwarła usta. Siostry, powiedziała, i wtedy tamte dwie podbiegły jako kobiety i chwyciły mnie za ręce. Silne, bardzo silne, obezwładniły mnie, choć starałem się, jak mogłem. Przysunęła się, by pocałować mnie w usta, jednak wargi skierowała do góry, dotknęła nosa, otarła się nimi o policzek i zatrzymała przy lewym oku. Zacisnąłem powiekę, zanim

zdążyła polizać. Podniosła rękę i rozwarła mi oko. Zakryła cały oczodół ustami i polizała gałkę. Wyłem i miotałem się, szarpałem tułowiem, próbowałem wyrwać głowę z uścisku. Zawrzeszczałem, zanim zorientowałem się, co robi. Przestała lizać. Zaczęła ssać. Ułożyła usta dokoła oka i ssała, i ssała, czułem, że jestem wyrywany z własnej głowy, wciągany w jej usta. Wrzeszczałem i wrzeszczałem, na co tamte dwie tylko śmiały się i śmiały. Ssała i ssała, dokoła oka zrobiło się ciemno i gorąco. Oko mnie opuszczało. Opuszczało mnie. Zapomniało, gdzie jego miejsce, parło ku jej ustom. Oko, ssała je, aż wypłynęło spod mojej powieki i wślizgnęło się do jej pyska. Wciągała powoli. Oblizała gałkę raz, drugi, trzeci, a ja chyba powiedziałem: nie. Proszę, nie. A potem odgryzła.

Obudziłem się w nieprzejrzanej ciemności. Hieny uniosły mi ręce, głowa spoczęła na prawej. Nie mogłem dotknąć twarzy, mimo że przecież z pewnością to był tylko sen? Poza tym nie chciałem tego zrobić. Nie mogłem dotknąć lewego oka, więc zamknąłem prawe. Wszystko zrobiło się czarne. Uniosłem powieki i zobaczyłem światło na ziemi. Zamknąłem i znowu czarno. Łzy spłynęły po policzkach, zanim jeszcze zebrało mi się na płacz. Próbowałem podkurczyć nogi i wtedy stanąłem na nim stopą, śliskim i miękkim. Zostawiły, żebym sobie popatrzył. Drwiła ze mnie bogini, która słyszy lament człowieka i ten sam lament mu zwraca.

Obudziłem się, czując sukno na twarzy, zawinięte na oku.

– Teraz też powiesz, że nas pozabijasz, ty nas, bośmy szyderstwo z kobiet? – spytała średnia. – Chcę usłyszeć twoją wściekłość, twoją dziką mowę. Bawi mnie.

Nie miałem nic do powiedzenia. Nie chciałem nic powiedzieć. Nie po to, żeby się jej odgryźć, bo tego też nie chciałem. Niczego nie chciałem. To był pierwszy dzień.

Drugiego starucha obudziła mnie uderzeniem w twarz.

– Spójrz, tak mało cię karmimy, a ciągle potrafisz się obszczać i osrać – powiedziała.

Rzuciła mi kawałek mięsa z sierścią na wierzchu. Ciesz się, że to świeża zdobycz, dodała. Wciąż nie mogłem jeść surowego mięsa. Jedz i myśl o nim, nakazała, a potem zniknęła z powrotem w mroku. Powoli się odmieniała i słychać było jakby chrzęst kości i trzeszczenie stawów. Rzuciła we mnie drugi kawałek. Bok guźcowego łba.

Trzeciego dnia młoda wbiegła, jakby ją ktoś gonił. Z tych trzech najmniej lubiła zmieniać się w kobietę. Podeszła wprost do mnie i polizała mnie po ramieniu, a ja się wzdrygnąłem. Wiedziałem, że to he-he-he to nie śmiech, ale brzmiało, jakby ze mnie drwiła. Wydała odgłos, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, jęk, jakby dziecko kwiliło EEEEEEEEE. Otworzyła usta, stuliła uszy i przekrzywiła łeb. Obnażyła zęby. Z mroku wyłoniła się druga hiena, mniejsza, ale cętki na skórze większe. Tamta znowu EEEEEEEEE, druga się zbliżyła. Obwąchała mi palce u stóp i podyrdała dalej. Młoda zmieniła się w kobietę i zawyła w ciemności. Zaśmiałem się, ale zabrzmiało to jak śmiech chorego. Wyrżnęła mnie błyskawicznie pięścią w lewy policzek, znowu i znowu, aż mi w głowie pociemniało.

Czwartego dnia dwie spierały się w mroku. Postawmy go przed klanem, powiedziała starucha, bo teraz już rozpoznawałem jej głos. Postawmy go przed klanem i niech osądzą. Każda kobieta w klanie zasługuje na kęs mięsa z jego ciała. Nie każda moją siostrą, odparła średnia. Nie każda wychowywała moje młode jak swoje własne, dodała. Zemsta jest prawdziwa nie tylko dla ciebie, na to starucha. Ale będę ją miała, rzekła średnia. Żadna inna kobieta nie tęskniła do tego dnia, żadna inna. Wtedy starucha powiedziała: dlaczego więc nie zabić go, nie zabić go teraz? Powinnaś go postawić przed klanem, tak ci znowu powiem.

Nocą, gdy w dole było całkiem ciemno, wyczułem woń średniej.

– Brak ci oka? – spytała.

Nie odpowiedziałem.

– Brak ci domu?

Nie odpowiedziałem.

– Bo mi brak siostry. Byłyśmy wędrowczynie. Moja siostra była wszystkim, czym jest dom. Jedynym, czym jest dom. Wiedziałeś, że potrafiła się odmieniać, ale postanowiła tego nie robić? Tylko dwa razy to zrobiła, pierwszy, jak byłyśmy jeszcze szczenięta. Obie córkami najwyższego w naszym klanie. Inne kobiety, które były jednej postaci, nienawidziły nas i walczyły z nami bez przerwy, chociaż byłyśmy silniejsze i znałyśmy więcej rzemiosła. Ale moja siostra nie chciała być sprytniejsza ani bystrzejsza, chciała być zwykłym zwierzęciem idącym ze wschodu na zachód. Chciała przepaść w stadzie. Chodziłaby tylko na czworakach, gdyby miała wybór. Czy to nie dziwne, Tropicielu? My, kobiety klanu, rodzimy się po to, aby być wyjątkowymi istotami, a jednak ona chciała tylko być jak inne. Nie stać ani wyżej, ani niżej. Czy w twoim rodzie są tacy, ludzie, którzy starają się ze wszystkich sił, aby być niczym, aby przepaść w grupie swoich pobratymców? Ci jednej krwi nienawidzili nas, nienawidzili jej, a chciała, żeby ją kochali. Nigdy nie pragnęłam ich miłości, ale pamiętam, że pragnęłam pragnąć. Ona chciała, żeby lizali jej skórę, powiedzieli, na którego mężczyznę powinna warczeć, i uznali ją za siostrę. A jednak nie chciała mieć imienia, nie chciała być nawet nazywana siostrą. Ja wołałam na nią tak, że nie reagowała, więc nazywałam ją tym imieniem raz po raz, aż w końcu mówiła, żebym przestała tak na nią wołać, inaczej nigdy nie będziemy znowu siostrami. Nigdy więcej nie stała się kobietą. Zapomniałam już to imię. Umarła tak, jak chciała umrzeć, walcząc w stadzie. Walcząc o stado. Nie walcząc ze mną. Odebrałeś mi ją.

Piątego dnia rzuciły mi surowe mięso. Chwyciłem je oburącz i zjadłem. Potem krzyczałem przez całą noc. Nigdy nie używałem swojego prawdziwego imienia, ale do tego czasu je pamiętałem.

Szóstego dnia obudziły mnie znowu szczynami. Młoda i stara kobieta, obie nagie, sikały na mnie. Myślałem, że robią to, żeby zobaczyć, czy zmuszą mnie do krzyków, wrzasków, przekleństw, bo w nocy słyszałem, jak młoda wzdycha, on już nic nie mówi, to martwi bardziej niż jego ujadanie. Szczały na mnie, ale nie na twarz. Na brzuch i nogi, a ja nie dbałem o to. Nie dbałem nawet o przedwczesną śmierć. Jakakolwiek zabawa szykowała się od tego dnia do następnego i kolejnego po nim, nie dbałem o to. Lecz z mroku wyłonił się samiec sprzed trzech dni. Cofnął się.

– Uwiń się szybko, mały głupcze. Jesteś tylko pierwszy – powiedziała młoda.

– Może trzeba im pomóc – dodała stara i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Młoda zachichotała. Chwyciła mnie za lewą stopę, a stara złapała za prawą, podciągnęły mi nogi do góry i rozwarły mnie szeroko. Jakże słaby byłem. Wrzasnąłem i znowu wrzasnąłem, ale za każdym razem wyły, żeby mnie zagłuszyć. Z mroku wyszła hiena. Samiec. Podszedł do mnie i obwąchał ich szczyny. Wskoczył mi między nogi i próbował się we mnie wcisnąć. Śmiały się, a stara powiedziała: będziesz miękki, a oni szybcy. Samiec się wwiercał, aż jego śmierdzące ciało wlazło we mnie. Chłopiec zgwałcony przez nie-ogo powiedział mi, że najgorsze jest to, że bogowie dają ci nowy wzrok, którym widzisz siebie, i mówisz: oto co się ze mną dzieje. Samiec wciąż napierał, wbijał się, wpychał pomimo moich krzyków, upajając się wszystkim, co wychodziło z moich ust, wdzierając się głębiej. A potem zeskoczył ze mnie. Młoda roześmiała się, stara powiedziała:

będziesz miękki, oni szybcy. Gdy samiec skończył, pojawił się nowy. I kolejny po nim. I jeszcze jeden.

Siódmego dnia zobaczyłem, że ciągle jestem chłopcem. Byli silniejsi mężczyźni, kobiety też. Byli szybsi mężczyźni, kobiety też. Zawsze znalazł się jakiś, jakichś dwóch albo trzech, którzy łapali mnie jak kij i łamali, łapali mnie jak mokre sukno i wyżymali ze mnie wszystko. Taki jest obyczaj świata. Taki był obyczaj świata każdego człowieka. Ja, który myślałem, że mam swoje topory i mam swój spryt, nie wiedziałem, że pewnego dnia zostanę schwytany, obezwładniony, wrzucony do gówna, pokonany i unicestwiony. To ja będę potrzebował ocalenia, i nie jest tak, że ktoś przyjdzie i mnie ocali lub że nikt tego nie zrobi, lecz tylko będę potrzebował ocalenia, a chodzenie po świecie pod postacią i krokiem mężczyzny nic nie znaczyło. Silny kobiecy mocz sprawił, że wszyscy wzięli mnie za samicę. Woń zaczęła słabnąć, gdy ostatni z nich ciągle we mnie był. Skoczył mi do gardła, ale został przepędzony kopniakami.

Ktoś czaił się w dole. Chciał mnie dopaść w mroku. Widziałem siebie, jak widzieli mnie bogowie, skulonego i zlęknionego, ale wciąż niemogącego się powstrzymać. Ktoś wlókł coś po ziemi. Nadal był dzień i z góry wpadało trochę światła. Średnia weszła w to światło, ciągnąc truchło za tylną łapę. W świetle zamigotała mokra skóra. Wciąż w połowie zwierzę, tylna łapa z lewej strony, kobieca stopa z prawej. Brzuch pokryty cętkowanym futrem, martwe przednie kończyny rozłożone na boki, prawa ciągle łapą, lewa pazurami, nie paznokciami. Nos i pysk sterczały z twarzy tej młodej. Średnia, ciągle trzymając za tylną łapę, powlokła ją w mrok.

Dnia ósmego, dziewiątego albo dziesiątego straciłem rachubę dni i sposoby ich liczenia. Hieny wypuściły mnie na otwartej sawannie. Nie pamiętam, jak mnie wypuściły, pamiętam tylko, że byłem wolny. Trawa rosła wysoka, ale już zbrązowiała przed suchą porą. A potem zobaczyłem starą

i średnią, w oddali, wiedziałem jednak, że to one. Usłyszałem pozostałe, najpierw wrzawa w buszu, potem atak. Całego klanu. Rzuciłem się do ucieczki. Z każdym krokiem umysł mówił mi, bym się zatrzymał. To twój koniec. Każdy koniec jest dobry. Nawet ten. Najpierw dusiły ofiarę na śmierć, potem rozrywały ją na strzępy. Z rozkoszą rozszarpywały mięso, gdy zwierzę jeszcze żyło. Nie wiedziałem, które jest prawdą, które fałszem, być może dlatego uciekałem. Ta wrzawa, kiedy były coraz bliżej, a ja płonąłem i krwawiłem po nogach, a nogi zapomniały, jak biec. Trzy ze stada, samce, wyskoczyły z buszu i obaliły mnie na ziemię. Ich powarkiwania w moich uszach, ich ślina paląca mnie w oczy, nogi kąsane głęboko. Doskoczyło o wiele więcej, zasłaniając niebo na ciemno, i wtedy się obudziłem.

Obudziłem się na piasku. Słońce było już w połowie drogi i wszystko bielało. Nie było dołu w ziemi, nie było buszu, nie było kości dokoła, nie było woni hien w pobliżu. Wszędzie piasek. Nie wiedziałem, co robić, więc zacząłem oddalać się od słońca. Jak się tu znalazłem i dlaczego mnie wypuściły? Nigdy się nie dowiedziałem. Myślałem, że znalazłem się we śnie, a może snem było ostatnich kilka dni, aż wreszcie dotknąłem lewego oka i poczułem sukno. Potem przyszło mi do głowy, że w ogóle nie chciały mnie zabić, tylko zostawić mnie ułomnego, bo w śmierci jest godność, a hańba w byciu niewartym nawet zgładzenia. Słońce paliło mi plecy. Było na mnie złe, że odwróciłem się od niego? To niech już mnie zabije. Miałem tego dość, i człowiek, i zwierz nastający na moje życie, wysysający ze mnie wolę przetrwania, ale ostatecznie powstrzymujący się od mordu. Szedłem, aż nie zostało nic, tylko iść. Szedłem dzień i noc. Zimno otuliło piasek i zapadłem w sen. Obudziłem się na wozie pełnym świń i kur. Do Fasisi, powiedział starzec, chłoszcząc dwa osły. Może to był dobry człowiek, a może zamierzał sprzedać mnie w niewolę. Bez względu na przyczynę

jego życzliwości zeskoczyłem z wozu, gdy jechaliśmy po wyboistej, nierównej drodze, i patrzyłem, jak sunie dalej, nieświadomy, że zbiegłem.

Wiedziałem, że Nyki nie ma w Fasisi. Jego woń już opuściła miasto, wiele dni wcześniej, chyba w stronę Malakalu. Pokój mój pozostał taki, jaki był, co mnie zdziwiło. Nyka nie wziął nawet pieniędzy. Zabrałem wszystko, czego potrzebowałem, resztę zostawiłem.

Im bliżej było do Malakalu, tym bardziej się nasilała, ta jego woń, chociaż powtarzałem sobie, że go nie szukam i nie zabiję, gdy już go odnajdę. Zamierzałem szukać jego matki, której podobno nienawidził, ale o której bez przerwy mówił, i ją chciałem zabić, zamienić jej głowę z łbem antylopy, przyszyć na krzyż do ciał. Albo zrobić coś tak złego i mściwego, że przerastało mnie myślenie o tym. Albo zostawić go samego i odejść na lata, by obrósł myślą, że od dawna nie żyję, a potem uderzyć. Lecz gdy szedłem ulicami, którymi on szedł, zatrzymywałem się w miejscach, w których on się zatrzymywał, wiedziałem, że przebywa w Malakalu. Dzień później znałem już ulicę. Zanim słońce zaszło, znałem już dom. Przed zapadnięciem nocy – pokój.

Poczekałem, by nabrać sił. Resztę zapewniła nienawiść. Zapłacił gospodarzowi, żeby kłamał za niego, i nauczył go sporządzania trucizn. Gdy więc wszedłem do kuchni w gospodzie, tamten próbował się zachowywać, jakby się nie wystraszył. Nie spytałem o Nykę. Powiedziałem do gospodarza, że idę na górę go zabić. I ciebie zabiję, nim zdążysz sięgnąć po truciznę do szafki. Roześmiał się i odparł: rób, co chcesz, nie dbam o niego. Ale wyciągnął strzałkę z włosów i rzucił we mnie. Zrobiłem unik; trafiła w ścianę za moimi plecami i zaczęła dymić. Chciał uciec, lecz chwyciłem go za te same kudły i pociągnąłem do tyłu. Oto jak więcej nie sięgniesz, powiedziałem, położyłem jego prawą rękę na kontuarze i ją odrąbałem. Umknął z wrzaskiem. Dopadł do drzwi, nawet je otworzył do połowy, i wtedy mój topór

rozpłatał mu potylicę. Zostawiłem go w progu i ruszyłem na górę. Wszędzie była woń Nyki, ale nie chciał się pokazać. Mógł być złodziejem i kłamcą, i zdrajcą ludzi, ale nie był tchórzem. Woń najsilniejsza była w szafce i nie była to woń martwoty. Otworzyłem drzwiczki i tam wisiał Nyka. Jego skóra. Tylko skóra, a właściwie to, co z niej zostało. Nyka zrzucił skórę. Widziałem mężczyzn, kobiety i zwierzęta o dziwnych przymiotach, ale nigdy takiego, co mógł zrzucać skórę jak wąż. A skoro zrzucił skórę, zostawił swoją woń. Teraz był nowym człowiekiem.

– To skąd wiedziałeś, że to on idzie po schodach? – spytała bunszi.

– Bo zawsze żuł czuwaliczkę. Mówił, że to go trzyma przy życiu. Mogłabyś spytać, czy kiedykolwiek się zastanawiałem, dlaczego hieny puściły mnie wolno. Nie. Bo zastanawiać się znaczy myśleć o nich, a ja o nich nie myślałem, dopóki nie wlazłaś przez moje okno. Nie zauważył nawet mojego oka. Mojego oka nawet nie zauważył.

– Naprzód to hiena, do tyłu to lis. – powiedziała bunszi.

– Hiena lepszym przyjacielem.

– A jednak to on powiedział, że tylko Tropiciel może odnaleźć chłopca. Żeby odnaleźć chłopca, musisz odnaleźć Tropiciela. Nie znieważę cię rzucaniem kolejnych monet u twoich stóp. Musisz jednak odnaleźć chłopca, wysłannicy Króla są już na tropie, bo ktoś mu doniósł, że być może chłopiec żyje. I potrzebują tylko świadectwa śmierci.

– Trzy lata to za późno. On teraz słucha tego, kto go wziął.

– Podaj swoją cenę. Wiem, że nie będzie w pieniądzu.

– Ależ jest w pieniądzu. Cztery razy cztery razy tyle, ile zaofiarowałaś się zapłacić.

– Twój ton każe mi spytać: co jeszcze?

– Jego łeb. Odcięty i z taką siłą nadziany na pal, że czubek wyjdzie przez czerep.

Popatrzyła na mnie w ciemności i skinęła głową.

9

Wszyscy słyszeli o twoim szalonym Królu, inkwizytorze. Lepszy szalony niż słaby, tak twierdzę, i lepszy słaby niż zły. Poza tym czym jest zło, czy to smętna dusza zatruta przez diabły, które odbierają jej wolę, czy człowiek myślący, że ze wszystkich dzieci swojej matki siebie ukochał najbardziej? Pragniesz wiedzieć, jakim cudem mam oba oczy, skoro właśnie powiedziałem, że jedno straciłem? Właśnie doszedłem do wniosku, że zastrzyżesz uszami, gdy do opowieści wkroczy nasz przewspaniały Kuasz Dara.

Znasz bunszi? Ona nigdy nie kłamie, ale jej prawda jest śliska jak jej skóra, przekręca ją, wypacza i kładzie obok ciebie, jak to robi wąż, gdy uzna, że właśnie ciebie chce pożreć. Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że to Król kazał wybić rodzinę członka starszyzny. Chciałem wrócić do swojego pokoju i spytać gospodynię, czy słyszała o Nocy Czaszek i co się stało z Basu Fumanguru, ale winien jej byłem czynsz, a ona, jak już rzekłem, miała różne wyobrażenia, jak mógłbym jej zapłacić poza pieniądzem.

Zarazem to, co mówiła bunszi o Królu, zgadzało się z tą odrobiną, co usłyszałem. Że podniósł podatki, zarówno dla tuziemców, jak i cudzoziemców, na sorgo i proso, na przewóz złota, potroił podatek na kość słoniową, ale też na przywóz jedwabiu, bawełny, szkła i przyrządów do nauki i matematyki. Nawet hodowców koni opodatkował od każdego szóstego zwierzęcia, a siano było drogie. Ale to aieyori, podatek ziemski, sprawiał, że mężczyźni utyskiwali, a kobiety się troskały. Nie dlatego, że był wysoki, bo

zawsze był. Lecz dlatego, że ci północni królowie mają sposób, który się nigdy nie zmienia, to jest że każda decyzja podszeptuje uważnemu obserwatorowi, jaka będzie decyzja następna. Król używa aieyori tylko z jednego powodu – żeby opłacić wojnę. Rzeczy, które zdawały się wodą i oliwą, w istocie były mieszanką tych dwóch. Król żądający podatku wojennego, w istocie podatku, żeby opłacić najemników, i jego główny przeciwnik, może nawet wróg, ten, który potrafił skierować wolę ludu przeciwko niemu, teraz nieżywy. Zabity trzy lata temu i być może wymazany z ludzkich ksiąg. Z całą pewnością żaden griot nie śpiewał o Nocy Czaszek.

Patrzysz na mnie, jakbym znał odpowiedź na pytanie, które szykujesz się zadać. Dlaczego Król nasz pragnąłby wojny, zwłaszcza że to twój własny, ten gównojad z Południa, zaczął ostatnią. Bystrzejszy człowiek musiałby odpowiedzieć na to pytanie. Wysłuchaj mnie teraz.

Tamtego ranka, gdy bunszi odeszła, wyruszyłem samotnie na północny zachód od trzeciego muru. Nie powiedziałem Lampartowi. Gdy się zebrałem, słońce dopiero wstawało i zobaczyłem Fumelego siedzącego w oknie. Nie wiedziałem i nie dbałem o to, czy mnie dostrzegł. Na północnym zachodzie spało wielu członków starszyzny, a ja szukałem tego, którego znałem. Belekuna Wielkiego. Ci członkowie z lubością nazywali siebie tak, jakby nie pojmowali własnego żartu. Był Adagadżi Mądry, którego głupota wydawała się bezdenna, i Amaki Wykrętny, ale kto ma pojęcie, co to znaczy? Belekun Wielki był tak rosły, że pochylał głowę przed przejściem przez każde drzwi, a mówiąc prawdę, drzwi były wysokie. Włosy miał białe i ziarniste, sztywne jak hełm, z małymi kwiatkami, które lubił nosić na czerepie. Przyszedł do mnie trzy lata wcześniej i powiedział: Tropicielu, jest dziewczyna, którą musisz dla mnie odnaleźć. Skradła mnóstwo monet ze skarbca starszyzny, mimo że okazaliśmy jej dobroć, bo przyjęliśmy ją pewnej deszczowej nocy. Wiedziałem, że kłamie, i to nie dlatego, że w Mala-

kalu nie padało prawie od roku. O poczynaniach starszyzny z młodymi dziewczętami słyszałem, zanim powiedziała mi bunszi. Odnalazłem dziewczynę w chacie nad Czerwonym Jeziorem i kazałem jej przenieść się do jednego z miast ziem środkowych niesprzymierzonych z Północą ani Południem, może do Mitu albo Dolingo, gdzie zakon starszyzny nie ma swych oczu na ulicach. Potem wróciłem do Belekuna Wielkiego i powiedziałem mu, że hieny dopadły dziewczynę, a sępy zostawiły tylko ten gnat, kość nogi małpoluda, którą w niego rzuciłem. Odskoczył na bok jak tancerka.

No więc tak. Pamiętałem, gdzie mieszka. Próbował ukryć niezadowolenie, że mnie widzi, ale zobaczyłem odmianę na jego twarzy, szybką jak mrugnięcie powieką, zaraz potem się uśmiechnął.

– Dzień jeszcze nie postanowił, jakim dniem chce być, ale oto zjawia się Tropiciel, który raczył przyjść do mego domu. Tak jest, tak powinno być, tak…

– Zachowaj te słowa powitania dla godniejszego gościa, Belekunie.

– Należy mieć maniery, suczątko. Jeszcze nie zdecydowałem, czy pozwolę ci przestąpić próg.

– Nie szkodzi, nie zamierzam czekać na twoją decyzję – odparłem i go wyminąłem.

– Twój nos doprowadził cię dziś rano do mego domu, proszę, proszę. Jeszcze jedna oznaka, że bardziej jesteś kundlem niż człowiekiem. Nie sadzaj swojego śmierdzącego tropicielstwa na moich zacnych dywanach, nie wcieraj cuchnącej skóry i, a niechbym wydoił boski cycek, co to za zło w twojej źrenicy?

– Za dużo gadasz, Belekunie Wielki.

Belekun Wielki rzeczywiście był ogromny, masywny w pasie, o zwiotczałych udach i bardzo chudych łydkach. Jeszcze to o nim wiedziano: przemoc, choćby najmniejsza o niej wzmianka czy mowa, najlżejszy błysk

urazy, sprawiała, że się rumienił. Nie chciał mi zapłacić, gdy wróciłem bez żywej dziewczyny, ale zmienił zdanie, bo chwyciłem go za te jego małe jąderka pod szatą i przyłożyłem nóż, więc obiecał nawet potrójną stawkę. To czyniło z niego mistrza rozwidlonego języka; wydaje mi się, że myślał, że nie ponosi odpowiedzialności za niecne sprawki, za które płacił ludziom. Król, jak mawiano, nie miał upodobania do bogactw, co starszyzna chętnie sobie wynagradzała. W powitalnym pokoju Belekun trzymał trzy krzesła z oparciami jak u tronów, poduszki wszelkiego wzoru i deseniu i dywany we wszystkich barwach węża tęczowego, do tego były zielone ściany pokryte rysunkami i znakami oraz kolumny sięgające sufitu. Belekun ubierał się na podobieństwo swoich ścian, w wierzchnie połyskliwe ciemnozielone boubou z białym rysunkiem na piersi, który przypominał lwa. Pod spodem nic nie nosił, bo na zadniej stronie jego szaty wyczułem pot z dupy. Na stopach miał sandały z paciorkami. Rzucił się na poduszki i dywany, wzbijając różowy kurz. Wciąż nie zaprosił mnie, abym usiadł. Na tacy przed nim był kozi ser i synsepal, i puchar z mosiądzu.

– Zaiste jesteś teraz ogarem – powiedział. Zachichotał, potem się roześmiał, potem śmiech przeszedł w ostry kaszel. – Czy jadłeś kiedy synsepal przed piciem wina z limony? Dzięki temu wszystko jest takie słodkie, jakby dziewica wytrysnęła ci w usta.

– Opowiedz mi o tym pucharze z mosiądzu. Nie jest aby z Malakalu?

Oblizał wargi. Belekun Wielki był aktorem i ten występ przeznaczył dla mnie.

– Oczywiście, że nie, Tropicielu. Malakal przeszedł od kamienia do żelaza. Nie ma czasu na finezje mosiądzu. Krzesła pochodzą z krainy nad Morzem Piasków. A te kurtyny to wyłącznie kosztowny jedwab kupiony od handlarzy ze Wschodu. Nie zamierzam się przed tobą zwierzać, ale kosztowały mnie aż dwóch pięknych młodych chłopców.

– Twoi chłopcy dowiedzieli się, że są niewolnikami, dopiero gdy ich sprzedałeś.

Zmarszczył brwi. Pewnego razu ktoś przestrzegł mnie przed upodobaniem do brania owoców nisko nad ziemią. Wytarł palce w szatę. Połyskliwa była, ale nie z jedwabiu, bo gdyby była z jedwabiu, pochwaliłby się.

– Szukam wieści o jednym z was. O Basu Fumanguru.

– Wieści o starszyźnie przeznaczone są tylko dla bogów. Co by to było, co miałbyś wiedzieć? Fumanguru jest…

– Fumanguru jest? Podobno był.

– Wieści o starszyźnie tylko dla bogów.

– No więc musisz powiedzieć bogom, że on nie żyje, bo głos bębnów nie sięgnął nieba. Jednak ty, Belekunie…

– Kto pragnie wiedzieć o Fumanguru? Nie ty, pamiętam ciebie tylko jako posłańca.

– Chyba jednak pamiętasz więcej, Belekunie Wielki – odparłem i otarłem ręką o krocze, sięgając po swoją bransoletę.

– Kim jest ten, kto chce wiedzieć o Fumanguru?

– To krewni blisko miasta. Jak widać, ma kilku. Chcę usłyszeć, co się z nim stało.

– Och, rodzina? Chłopstwo?

– Tak, chłopstwo.

Popatrzył na mnie, zbyt wysoko unosząc lewą brew, z kozim serem utkwionym w kąciku ust.

– Gdzie żyje ta rodzina?

– Tam, gdzie powinna. Tam, gdzie zawsze żyła.

– A więc gdzie?

– Przecież wiesz, Belekunie.

– Ziemie uprawne są na zachodzie, nie w Uuomouomouomouo, bo tam za dużo zbójów. Uprawiają na stokach?

– Co dla ciebie, członku starszyzny, znaczy ich żywot?

– Pytam tylko, żebyśmy może wysłali im daninę.

– A więc nie żyje.

– Nigdy nie powiedziałem, że żyje. Powiedziałem, że jest. Wszyscy tylko jesteśmy, w planach bogów, Tropicielu. Śmierć to ani koniec, ani początek, nie jest to nawet pierwsza śmierć. Zapominam, w których bogów wierzysz.

– Nie wierzę w żadnych, radco. Ale wyślę im najlepsze życzenia od ciebie. Tymczasem oni życzą sobie odpowiedzi. Pogrzebany? Spopielony? Gdzie on i jego rodzina?

– Z przodkami. Wszyscy powinniśmy uczestniczyć w ich dobrym losie. Nie tego pragniesz wiedzieć. Ale owszem, nie żyją, wszyscy. Tak, są.

Połknął trochę sera i trochę synsepalu.

– Ten ser i owoc, Tropicielu, to jak ssanie koziego cyca, z którego wychodzą same słodkie przyprawy.

– Wszyscy nieżywi? Jak to się stało i dlaczego ludzie nie wiedzą?

– Zaraza krwi, a ludzie wiedzą. W końcu to Fumanguru rozgniewał bisimbi – musiał, oczywiście, na pewno, tak, zrobił to – i rzuciły na niego klątwę zaraźliwej choroby. Och, znaleźliśmy źródło zarazy, też już martwe, ale nikt nie zbliża się do tego domu z lęku przed duchami choroby – chodzą w powietrzu, wiesz? Tak, chodzą, oczywiście, że chodzą. Jak mogliśmy obwieścić miastu, że ich ukochany członek starszyzny czy kto inny umarł od zarazy krwi? Panika na ulicach! Kobiety przewracające i tratujące własne dzieci, żeby wydostać się z miasta. Nie, nie, nie, to była mądrość bogów. Poza tym zaraza nie dotknęła nikogo innego.

– Więc śmierć, jak się wydaje.

– Tak się wydaje. Ale co to jest? Członkowie starszyzny nie mają powinności mówić o losie innych członków starszyzny. Nawet z rodziną, nawet z Królem. O śmierci mówimy tylko z uprzejmości. Rodzina powinna takiego uważać za umarłego, gdy tylko przystąpi on do chwalebnego bractwa.

– Może tak jest z tobą, Wielki Belekunie, ale on miał żonę i dzieci. Wszyscy przybyli z nim do Kongoru. Uciekli, jak słyszę.

– Żadna historia nie jest aż tak prosta, Tropicielu.

– Owszem, każda jest prosta. Żadna nie oprze się przed tym, bym sprowadził ją do jednego zdania. A nawet jednego słowa.

– Pogubiłem się. O czym teraz mówimy?

– O Basu Fumanguru. Był ulubieńcem Króla.

– Pojęcia o tym nie mam.

– Ale potem go rozgniewał.

– Pojęcia nie mam. Ale to niemądrze rozgniewać Króla.

– A ja myślałem, że tym właśnie zajmuje się starszyzna. Drażnieniem Króla – to znaczy obroną ludu. Na ulicach są znaki, w złocie, strzałki, które wskazują, gdzie Król się zatrzyma. Jedna znajduje się przed twoimi drzwiami.

– Wiatr nawet rzekę potrafi zdmuchnąć z kursu.

– Wiatr gówno niesie z powrotem do miejsca pochodzenia. Ty i Król jesteście teraz przyjaciółmi.

– Wszyscy są przyjaciółmi Króla. Nikt nie jest przyjacielem Króla. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że jesteś przyjacielem bogów.

– Świetnie, więc jesteś z Królem na przyjaznej stopie.

– Dlaczego jakikolwiek człowiek miałby być wrogiem Króla?

– Opowiadałem ci kiedyś o mojej klątwie, Wielki Belekunie?

– Nie ma przyjaźni między tobą i mną. Nigdy nie byliśmy…

– Źródłem jest krew. Tak jak jest w przypadku wielu spraw, a my rozmawiamy o rodzinie.

– Wieczerza mnie wzywa.

– Oczywiście, że wzywa. Oczywiście. Zjedz trochę sera.

– Moje sługi…

– Krew. Moja krew. Nie pytaj, jak by się tam znalazła, ale gdybym chwycił się za rękę – wyciągnąłem sztylet – i przeciął tutaj nadgarstek, nie na tyle, żeby życie ze mnie wyciekło, ale dość, aby napełnić garść i…

Spojrzał na sufit, zanim zdążyłem wskazać ku górze.

– Bardzo wysoko u ciebie zawieszony. Ale to moja klątwa. A więc jeśli rzucę krew w sufit, zrodzi czarne.

– Zrodzi czarne? Co to znaczy?

– Ludzi z najciemniejszej ciemności. No, przynajmniej wyglądają na ludzi. Sufit staje się nieokiełznany i płodzi ich w obfitości. Stoją wtedy na suficie, jakby był podłogą. Znasz to, jak sufit trzeszczy, jakby pękał.

– Sufit…

– Co?

– Nic. Nic nie mówiłem.

Zadławił się jagodą. Łyknął wina z limony i odchrząknął.

– To, ta historia o omoluzu, brzmi jak bajka, którą opowiedziała ci mama. Czasem nocą potwory w twojej głowie wyrywają się przez czaszkę na zewnątrz. Ale nadal siedzą w twojej głowie. Tak.

– A więc nigdy żadnego nie widziałeś?

– Omoluzu nie sposób zobaczyć.

– Dziwne. Dziwne to, Belekunie Wielki. Wszystko to bardzo dziwne.

Podszedłem do niego, nóż włożyłem z powrotem do pochwy. Próbował się przeturlać do krzesła, ale tylko mocniej opadł na łokieć. Skrzywił się, starając się zamienić grymas w uśmiech.

– Spojrzałeś do góry, zanim powiedziałem sufit. I nie powiedziałem omoluzu, to ty powiedziałeś.

– Zajmująca rozmowa zawsze sprawia, że zapominam o głodzie. Właśnie sobie przypomniałem, że jestem głodny.

Wyciągnął grubą rękę do poduszki, na której stał mosiężny dzwonek, i zadryndał trzy razy.

– Bisimbi, mówiłeś?

– Tak, te małe diabelne suki z płynących wód. Może w złą noc poszedł nad rzekę po przepowiednię i rozzłościł jedną taką, dwie albo trzy. Zapewne ruszyły za nim do jego domu. A reszta, jak mówią, jest resztą.

– Bisimbi. Jesteś pewien?

– Tak pewien jak to, że drażnisz mnie jak zadrapanie w samym środku dupy.

– No bo bisimbi to duchy jezior. Nienawidzą rzek, płynąca woda je dezorientuje, unosi za daleko, gdy zasną. A w Malakalu ani Kongorze nie ma jeziora. I jeszcze to. To omoluzu napadli na jego dom. Najmłodszy syn…

– Tak, biedne dziecko. Był w wieku, że mógłby jednym bryknięciem stać się mężczyzną.

– Za mały na bryknięcie, czyż nie?

– Dziecko, co ma dziesięć i pięć lat, jest wystarczająco dorosłe.

– To dziecko ledwie się urodziło.

– Fumanguru nie miał ledwie urodzonego dziecka. Jego najmłodsze miało dziesięć i pięć lat.

– Ile trupów znaleziono?

– Dziesięć i jeden…

– Ile liczyła jego rodzina?

– Znaleźli tyle ciał, ile powinno być w tym domu.

– Skąd ta pewność?

– Bo policzyłem.

– Dziewięć jednej krwi?

– Osiem.

– Oczywiście, osiem. I wszystkie sługi policzone?

– Nie chcielibyśmy nadal płacić za trupa.

Zadryndał głośno dzwonkiem. Pięć razy.

– Wydajesz się poruszony, Belekunie Wielki. Chodź, pomogę ci…

Gdy nachyliłem się, aby chwycić go za ramię, powietrze zafurczało dwukrotnie przy moim karku. Padłem na podłogę i spojrzałem do góry. Trzecia dzida przecięła przestrzeń, szybko jak dwie poprzednie, i trafiła w ścianę tuż obok nich. Belekun próbował umknąć, ślizgając się na nogach. Chwyciłem go za prawą stopę. Kopnął mnie w twarz i zaczął pełznąć po podłodze. Uniosłem się na zgiętych kolanach, gdy pierwszy strażnik wpadł do komnaty. Włosy w trzech warkoczach, czerwone jak jego spódnica, natarł na mnie ze sztyletem. Wyciągnąłem topór, zanim zrobił dwadzieścia kroków, i cisnąłem nim prosto między jego oczy. Dwa rzucone sztylety przefrunęły nad nim i znowu padłem na podłogę, kiedy zaatakował mnie drugi. Belekun próbował doczołgać się do drzwi, ale od przemocy zesztywniały mu nawet palce i ledwie mógł się poruszać, jak ryba wyjęta dawno z wody. Nie spuszczając oczu z niego, pozwoliłem drugiemu strażnikowi dobiec do mnie, a gdy zamachnął się dużą siekierą, odturlałem się w porę i z ostrza wbitego w posadzkę trysnęły małe błyskawice. Znów wziął zamach nad głową i uderzył, o mało nie odrąbując mi stopy. Jak diabeł był ten człowiek. Uniosłem się na łokciach i odskoczyłem w chwili, gdy chciał zadać mi cios w twarz. Znowu się zamachnął, ale wtedy dobyłem już drugiego topora, zanurkowałem pod jego zlatującą ręką i zaciąłem go w lewą goleń. Wrzasnął i siekiera upadła. Runął ciężko. Chwyciłem jego siekierę

i z zamachem rąbnąłem go w skroń. Opadłe powieki powstrzymały krew, zanim zdążyła trysnąć mi w oczy.

Belekun Wielki dźwignął się na nogi. Skądś wziął miecz. Dygotał od samego trzymania broni.

– Okażę ci łaskę, Belekunie, bo okazuję łaskę starszyźnie. Możesz pierwszy zadać cios. Pierwsze pchnięcie. Tnij mnie, rąb, jeśli tak podpowiadają ci bogowie.

Wybełkotał coś. Wyczułem szczyny.

– Wznieś miecz – powiedziałem.

Pot ściekał mu z czoła na brodę. Belekun dźwignął miecz i skierował go na mnie. Ostrze osunęło się w jego rękach, więc najpierw przygwoździłem je stopą, potem podniosłem i skierowałem na siebie.

– Jeszcze raz okażę ci łaskę, Belekunie Wielki. Nadzieję się na niego dla ciebie.

Rzuciłem się na miecz. Belekun wrzasnął. Potem spojrzał na mnie, z mieczem wciąż pode mną, my obaj w zawieszeniu, jakbyśmy byli tylnymi stronami magnesów.

– Miecz nie może cię zabić? – spytał.

– Miecz nie może mnie dotknąć.

Broń wypadła mu z ręki, a ja runąłem. Belekun zgramolił się z podłogi i z wrzaskiem pognał do drzwi.

– Aesi, panie domowników! Aesi, panie domowników!

Wyrwałem dzidę ze ściany, zrobiłem trzy kroki i rzuciłem. Żelazne ostrze przebiło mu szyję, wystrzeliło przez usta i utknęło w drzwiach.

Sześć dni po spotkaniu z Lampartem w gospodzie Kulikulo byliśmy w dolinie Uuomouomouomouo. Ani śladu bunszi, ale był tam nasz handlarz niewolników, usiłował pokazać Fumelemu, jak się jeździ konno.

Chłopiec zbyt kurczowo ściskał wodze, wysyłał wierzchowcowi sprzeczne sygnały, więc oczywiście zwierzę stanęło dęba i go zrzuciło. Trzy inne konie pasły się w pobliżu drzewa, wszystkie ubrane w podścielane siodła z kwiecistego jedwabiu na modłę hodowców z Północy. Dwa, zaprzężone do rydwanu, czerwonego ze złotym przybraniem, stały wyczekująco w oddali, przeganiając muchy ogonami. Nie widziałem rydwanu, odkąd podążałem tropem skradzionego stada koni hen na północy Morza Piasków. Koń znowu zrzucił Fumelego. Roześmiałem się głośno w nadziei, że usłyszy. Lampart zobaczył mnie i się odmienił, podreptał dalej, gdy zamachałem do niego ręką. Myślałem, że nic nie poczuję, kiedy zobaczyłem Nykę wychodzącego z buszu, z Nsaką Ne Vampi za plecami, oboje w długich niebieskich dżellabach, ciemni jak czarna skóra nocą. Włosy splótł ciasno w jeden warkocz, wykrzywiony ku górze jak róg. Ona osłoniła głowę zawojem. Jego dolna warga czerwona i spuchnięta, nad brwią brudny kawałek białego płótna. Handlarz zachował jedną karawanę w odwodzie, najładniejszą, i z niej właśnie wyłoniła się wiedźma Sogolon. Wydawała się rozzłoszczona, że ma słońce wprost w oczy, ale może zawsze nosiła na twarzy podobny wyraz.

– Za dnia wyglądasz młodziej, Wilcze Ślepie – odezwał się Nyka.

Uśmiechnął się i skrzywił, bo dotknął dolnej wargi.

Zmilczałem. Nsaka Ne Vampi spojrzała na mnie. Myślałem, że skinie mi głową, ale tylko patrzyła.

– Gdzie ogo? – zwróciłem się do handlarza.

– Nad rzeką.

– Och. Ogo nie są znane z zamiłowania do kąpieli.

– Kto mówi, że poszedł się kąpać?

Podbiegł do Fumelego, który znowu próbował wskoczyć na konia.

– Przestań, młody głupcze – powiedział. – Jedno końskie kopnięcie, lądujesz na ziemi i na ziemi winieneś pozostać. Mówię ci to bez fałszu.

Przywołał nas machnięciem ręki. Z karawany wyszedł ten, który karmił go daktylami, z workiem zarzuconym na ramię i srebrną tacą z kilkoma skórzanymi sakiewkami. Handlarz chwycił sakiewki po kolei i rzucił je nam. Poczułem kształt srebrnych monet, usłyszałem brzęk.

– To nie jest wasza nagroda. Mój rachmistrz wydzielił to jako wasze wydatki, każdy wedle waszych zdolności, co znaczy, że wszyscy dostajecie tyle samo. W Kongorze nic nie jest tanie, zwłaszcza nowiny.

Nosiciel daktyli otworzył worek, wyciągnął zwoje i podał je nam. Nyka odmówił przyjęcia, podobnie Nsaka Ne Vampi. Zastanawiałem się, czy ona nie wzięła, bo nie wziął on. Tyle nocy temu mówiła wiele, teraz nie mówiła nic. Fumeli wziął jeden zwój dla Lamparta, który wciąż był lampartem, chociaż słuchał z uwagą.

– To plan miasta narysowany najwierniej podług pamięci, bo nie byłem tam od lat. Miejcie się na baczności w Kongorze. Drogi wydają się proste, a zaułki obiecują doprowadzić tam, gdzie niby prowadzą, ale wiją się i bałamucą, skręcają w miejsca, do których nie chcielibyście pójść i z których nie ma powrotu. Słuchajcie mnie dobrze, bo powiem wam bez fałszu. Są dwie drogi do Kongoru. Wiesz, o czym mówię, Tropicielu. Niektórzy inni nie wiedzą. Jeśli ruszycie na zachód i dotrzecie do Białego Jeziora, można je obejść, co wydłuży wędrówkę o dwa dni, albo przebyć, co potrwa dzień, bo jezioro wąskie. To wasz wybór, nie mój. Potem możecie postanowić, żeby objechać Mroczne Ziemie, co wydłuży wędrówkę o trzy dni, albo je przebyć, ale to Mroczne Ziemie.

– Co to są Mroczne Ziemie? – spytał chłopiec Fumeli.

Handlarz uśmiechnął się, ale zaraz stracił uśmiech.

– Nic, co mógłbyś ogarnąć swoim umysłem – odrzekł. – Ktoś z was przebył kiedy Mroczne Ziemie?

Nyka i ja skinęliśmy głowami. Przewędrowaliśmy tę krainę razem wiele lat wcześniej i żaden z nas nie zamierzał o tym rozprawiać. Wiedziałem już, że chcę te ziemie objechać, bez względu na to, co myślą inni. I wtedy głową machnęła także Sogolon.

– I znowuż, to wasz wybór, nie mój. Trzy dni, aby objechać Mroczne Ziemie, jeden dzień, by je przebyć. Tak czy inaczej, doliczyć należy kolejne trzy dni przed dotarciem do Kongoru. Jeśli zdecydujecie się na objazd, podążycie przez bezimienne ziemie, do których żaden władca nie wyciąga ręki. Jeśli przebędziecie, przebędziecie także Mitu, gdzie ludzie odłożyli oręż, aby dociekać wielkich zagadek ziemi i nieba. Męcząca kraina i męczący lud, może się okazać, że są dla was gorsi od wszystkiego, co czeka was na Mrocznych Ziemiach. Dzień drogi, by się dostać na drugą stronę. Ale znowu, wasz wybór. Ten tutaj Bibi wyruszy z wami.

– On? – spytał Nyka. – A co będzie robił? Karmił nas tym, po co możemy sięgnąć własną ręką?

– Jadę dla ochrony – odparł tamten.

Jego głos mnie zaskoczył, był władczy, jak wojownika, a nie kogoś, kto próbuje śpiewać jak griot. Po raz pierwszy tak naprawdę mu się przyjrzałem. Chudy jak Fumeli, ubrany w białą dżellabę za kolano, z pasem na biodrach. U pasa wisiał miecz, którego nie było, gdy widziałem go wcześniej dwa razy. Zobaczył, że się przypatruję, i podszedł.

– Nigdy nie widziałem takuby aż tak daleko od Wschodu – rzekłem.

– Jej właściciel nie powinien był zapuszczać się tak daleko na zachód – odparł z uśmiechem. – Na imię mi Bibi.

– On ci je nadał? – spytałem.

– Tak, jeśli on to mój ojciec.

– Wszystkim niewolnikom, co ich znam, panowie z przymusu nadają nowe imię.

– I gdybym był niewolnikiem, nowe imię bym miał. Widzisz we mnie niewolnika, bo karmię go daktylami? Każe mi stosować podstępy. Ludzie sporo mówią takiemu, który jest jeszcze mniej niż ściana.

Odwróciłem się od niego, ale to oznaczało stanąć twarzą w twarz z Nyką. Oddalił się na kilka kroków, oczekując, że postąpię za nim.

– Tropicielu, zostawiliśmy coś we dwóch na Mrocznych Ziemiach, hę? – spytał.

Patrzyłem na niego.

– Powinien był zostawić kobiecy koniuszek – powiedziała Nsaka Ne Vampi, a ja poczułem wściekłość, że Nyka mówi o mnie. Zdradzając mnie jeszcze bardziej. Odeszli, choć handlarz otworzył usta, żeby nas dalej instruować.

– Oczywiście, jeśli powiedzieć bez fałszu, są pogłoski. Ostatnim miejscem, gdzie widziały go oczy, nie jest nawet Kongor, ale przecież widzieć potrafią nie tylko oczy. Mówiłem wam wcześniej. Możecie iść tropem umarłego, który został znaleziony umarły i szybko pogrzebany, wyssany jak sok z jagody. Mówiło się o chłopcu i czterech innych w Nigiki, pewnego razu dawno temu w Kongorze. Ale odnajdźcie go i sprowadźcie do mnie żywego z Malakalu, gdzie…

– Już nie prosisz o dowód jego śmierci? – spytałem.

– Będę w Zwalonej Wieży – odrzekł. – Tyle mam do powiedzenia. Sogolon, chcę pomówić z tobą na osobności.

Wiedźma, która dotąd nie odezwała się słowem, odeszła z nim w stronę karawany.

– Wiem, że nie potrzebujesz pomocy, by dotrzeć do Kongoru – rzucił Nyka.

Patrzyłem już na zachód, ale odwróciłem się, żeby zobaczyć jego twarz. Zawsze przystojny mężczyzna, nawet teraz, z białymi włosami sterczącymi spod podbródka i ocierającymi się o koniec warkocza. I spuchniętą wargą.

– Oto pytanie, na które tylko ty jesteś w stanie odpowiedzieć. Choć nigdy nie miałeś daru słowa i dlatego mnie potrzebowałeś. Jeśli wybierzesz drogę przez Mroczne Ziemie, ilu z was dotrze na drugą stronę, hmm? Lampart? Szczwany jako kot, ale nazbyt zapalczywy jako człowiek, jego temperament go ogłupia. Jak młody ty, nie? Ta starucha rozmawiająca z panem niewolników? Padnie martwa, nim dotrzecie do jeziora. Więc może ten mały chłopiec o tam, kto go rucha, ty czy kot? Nie potrafi nawet dosiąść wierzchowca, a co dopiero jechać na nim. Zostajesz ty i niewolnik…

– Nie jest niewolnikiem.

– Nie?

– Tak twierdzi.

– Nie słyszałem.

– Nie słuchałeś.

– A więc ten, który nie jest niewolnikiem, i ogo, a wiesz, jak dużo ufności możesz pokładać w ogo.

– Więcej niż w tobie.

– Hmmm. – Zaśmiał się.

Nsaka Ne Vampi trzymała się z tyłu. Zauważyła, że zauważyłem. Zauważyłem też, że Nyka powiedział: wiesz, a nie wiemy.

– Obmyśliłeś inne plany – rzekłem.

– Znasz mnie lepiej, niż sam znam siebie.

– Znać cię to klątwa.

– Żaden człowiek nie poznał mnie lepiej.

– A więc żaden nie znał cię wcale.

– Chcesz to teraz rozstrzygnąć, hm? Co ty na to? W tym miejscu. A może nad jeziorem? A może powinienem oczekiwać, że przyjdziesz pośpiesznie nocą jak kochanek? Czasem żałuję, że mnie nie kochałeś, Tropicielu. Jak mam obdarzyć cię spokojem?

– Niczego od ciebie nie chcę. Nawet spokoju.

Znowu się roześmiał i oddalił. Ale zaraz się zatrzymał, roześmiał jeszcze raz i podszedł do ogromnego brudnego gobelinu, który coś przykrywał. Nsaka Ne Vampi wstąpiła do rydwanu i chwyciła wodze. Nyka ściągnął tkaninę, odsłaniając klatkę, w której siedziała kobieta od błyskawic. Lampart też ją zobaczył. Podreptał wprost do klatki i warknął. Kobieta zaczęła się gramolić w przeciwną stronę, choć nie było dokąd uciec. Teraz wyglądała jak kobieta. Oczy miała wybałuszone, jakby strach dopadł jej twarzy, jak te dzieci, które urodziły się w czasie wojny. Nyka szarpnął za rygiel. Kobieta odsunęła się jeszcze dalej, a klatka poruszyła się razem z nią. Lampart podreptał w bok i położył się na ziemi, lecz nadal ją obserwował. Ona powąchała dokoła, popatrzyła dokoła, a potem wyskoczyła z klatki. Odwinęła się w jedną stronę, w drugą, spojrzała na karawanę, na drzewa, na Lamparta, na kobietę i mężczyznę w tych samych błękitach, a potem szarpnęła głową w kierunku północnym, jakby ktoś ją stamtąd przywołał. I pobiegła, ledwo na dwóch nogach, przesadziła kopiec, skoczyła wysoko jak drzewo i przepadła. Nyka dał susa do rydwanu w momencie, gdy Nsaka Ne Vampi chlasnęła wodzami i konie pogalopowały. Na północ.

– Nad jezioro, nie na zachód? – spytał Bibi, nosiciel daktyli.

Nie odpowiedziałem.

Chłopiec zabrał się do jazdy tak, że spłoszy konia do galopu, zostanie zrzucony i złamie sobie kark. Nie zamierzałem go uczyć. Lampart był bezużyteczny, bo pozostał kotem, nie mówił z nikim i odbiegł jak najdalej, żeby tylko móc nas słyszeć. Uznałem, że Sogolon będzie potrzebowała pomocy,

aby dosiąść konia. Albo doczepi się legowisko lub wózek, żeby powiozło ją i co tam trzymają wiedźmy, może nóżkę noworodka, gówno od dziewicy, skórę całego bawołu przechowywaną w soli, czy co tam potrzebowała, żeby czarować. Ale przypięła sobie torbę z jeleniej skóry do ramienia, uchwyciła się lewą ręką łęku i wybiła się do góry, wprost w siodło. Nawet ogo zwrócił uwagę. On oczywiście zgniótłby pod sobą dziesięć koni, więc biegł. Jak na istotę tak wielkiej wagi i wzrostu nie wydawał prawie żadnych odgłosów i nie wstrząsał ziemią. Zastanawiałem się, czy kupił dar podchodów od sangomy, czarownika, czarownicy albo diabła. Były to silne konie, ale dobre tylko na jeden dzień jazdy naraz, a więc dwa dni nad Białe Jezioro. Przytroczyłem drugiego jucznego konia do mojego wierzchowca. Sogolon wysforowała się do przodu, ogo zaś czekał. Chyba się jej bał. Bibi zeskoczył z konia i przywiązał linę z agawy przy swoim siodle do uzdy jednego z koni niosących juki, po czym kazał Fumelemu go dosiąść.

Wyruszyliśmy. Bunszi nie wędrowała z nami. Sogolon nosiła na szyi flakonik w kolorze skóry bunszi. Zauważyłem to, gdy przejechała obok. Kiedy zbliżyliśmy się na tyle, że nasze konie o mało się nie zetknęły, nachyliła się i rzekła:

– Ten chłopiec. Jaki z niego użytek?

– Spytaj tego, który go używa – odparłem.

Roześmiała się i pogalopowała na sawannę, pozostawiając za sobą wonny trop, którego nie umiałem rozpoznać. Nie śpieszyło mi się do Kongoru, bo zaginiony chłopiec bez wątpienia nie żył, więc nie groziła mu śmierć. Nadto oni wszyscy mnie drażnili – Lampart z tym swoim milczeniem; Fumeli ze swoją kapryśnością, którą najchętniej starłbym mu ze spuchniętych policzków uderzeniem dłoni; no i ten nosiciel daktyli Bibi, który usiłował wyglądać na kogoś więcej niż tego, co wkłada drugiemu jedzenie do ust; oraz Sogolon, która już uznała, że żaden człowiek nie jest

od niej sprytniejszy. Do wyboru miałem rozmyślanie o Belekunie Wielkim, który próbował mnie zabić, gdy zapytałem go o ojca zaginionego chłopca. Wiedział o omoluzu i wiedział, że zabili ojca tego dziecka, choć być może nie miał pojęcia, że trzeba ich przyzywać z uczuciem srogiej urazy. Wezwał kogoś jako pana domowników. Nigdy nie zmądrzeją, ludzie, którzy wierzą w wierzenia. Ledwo wyruszyliśmy, a ja już byłem wśród tych, których chciałbym widzieć jak najrzadziej.

Pozostał ogo. Przekonałem się, że im większe stworzenie, tym mniej słów potrzebuje i zna. Przyhamowałem konia, żeby mnie dogonił. Naprawdę pachniał świeżo, jakby się wcześniej wykąpał w rzece, nawet pod pachami, które u niewłaściwego olbrzyma potrafią wonią zbić krowę z nóg.

– Wydaje mi się, że w dwa dni dotrzemy do Białego Jeziora – powiedziałem.

Szedł dalej.

– Damy radę w dwa dni! – krzyknąłem.

Odwrócił się i stęknął. Oho, zapowiadała się najcudowniejsza wprost wędrówka.

Nie żebym pragnął towarzystwa. A już na pewno nie towarzystwa tych ludzi. Ale większość dni spędzam samemu, a większość nocy z ludźmi, których nie pragnę ujrzeć rano. Przyznaję, przynajmniej wobec własnej najmroczniejszej duszy, że nie ma nic gorszego, niż znaleźć się pośród wielu innych dusz, nawet takich, które znamy, i wciąż być samotnym. Mówiłem o tym wcześniej. O mężczyznach, których poznałem, i kobietach też, w otoczeniu tego, co biorą za miłość, a jednak są oni najsamotniejsi we wszystkich dziesięciu i trzech światach.

– Ogo. Bo jesteś ogo, prawda?

Spowolnił kroku i mój koń postępował teraz obok niego. Znowu stęknął i kiwnął głową.

– Widziałem cię na tyłach po kąpieli, ukląkłeś przed jakimiś skałami. To ołtarz?

– Ołtarz na czyją cześć?

– Bogów, boga.

– Nie znam żadnych bogów.

– To po co wznosić ołtarz?

Spojrzał na mnie tępo, jakby nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Ogo, jesteś tu dla handlarza, półbóstwa czy wiedźmy?

Szedł dalej, ale spojrzał na mnie i odrzekł:

– Handlarza, półbóstwa czy wiedźmy? Które jest które, tak ci odpowiem, które jest które. Masz pewność, że ta czarnoskóra to półbóstwo, a nie bóstwo? Widziałem dużo z jej rodu – jeden był mężczyzną, no, przynajmniej postaci męskiej, ale stworzony przez bogów. Ludzie na Południu mówią, że półbóg to człowiek odmieniony przez bogów, ale nie poprzez śmierć, a to śmierć jest sednem, straszliwym sednem. Nie lubię umarłych, nie lubię południa umarłych, nie lubię pożeraczy umarłych i widziałem ich, starych mężczyzn w czarnych szatach, co omiatają ziemię, i z białym futrem przy szyi, jakby nosili skórę sępa. Ale ona jest dziwnego chowu, jakkolwiek nazywasz stworzenie, co w połowie jest słoniem, w połowie rybą, albo w połowie koniem, w połowie człowiekiem, tam właśnie należy ją umieścić, ale to dla handlarza tu jestem, przyszedł do mnie i powiedział: Sadogo, mam zajęcie dla ciebie, a wiedział, że jestem bez zajęcia, bo jakie jest na Zachodzie zajęcie dla ogo? Tak, byłem bez roboty i byłem w domu, który trzymałem otwarty dzień i noc dla każdego, kto byłby na tyle głupi, aby okradać ogo, czyż nie słyszeli, że jesteśmy straszliwymi bestiami? Ale w moim domu, a raczej chacie, znalazł się handlarz niewolników, który

powiedział: mam dla ciebie zajęcie, wielki olbrzymie, a ja na to, że nie jestem olbrzymem, że olbrzymy są dwakroć mojego wzrostu, między uszami mają samo mięso i gwałcą konie, bo myślą, że każde stworzenie z długim włosem to rodzaj kobiecy, a kopnięcie od konia oznacza, że będzie dużo zabawy z ruchaniem, więc powtórzył, że ma dla mnie zajęcie, że chce, abym odnalazł pewnych ludzi, którzy zło mu wyrządzili, a ja spytałem, co mam z nimi uczynić, gdy już ich znajdę, a on odparł: zabij wszystkich z wyjątkiem jednego, który nie jest mężczyzną, lecz chłopcem, niechaj mu włos z głowy nie spadnie, chyba że przestał być chłopcem. Mówi do mnie: ogo, mógł się zmienić, ale nie w dorosłego człowieka, tylko w coś innego, na co nawet bogowie plują ze wstrętem, a potem powiedział więcej, ale po wstręcie nie zrozumiałem już ani słowa i w końcu spytałem, gdzie jest ten chłopiec, którego mam znaleźć, a on na to, że każe innym mężczyznom dołączyć do mnie, kobietom też, bo to nie takie łatwe, jak się o tym mówi, a ja odrzekłem, że wydaje się dość proste i wrócę, zanim zatęsknię za swoim domem, a moje plony zmarnieją, ale potem pomyślałem o ostatnim człowieku, którego zabiłem, i jak to jego rodzina wkrótce zatęskni za jego okrucieństwem i zacznie go szukać, a gdy przybędą z tłuszczą, z niejednej kobiety uczynię wdowę, z niejednego chłopca sierotę, więc wtedy pomyślałem: niech ta misja potrwa tak długo, jak musi potrwać, bo nie mam do czego wracać, na co on powiedział: a więc to właśnie łączy cię z pozostałymi, że żaden z was nie ma do czego wracać, lecz czy to prawda, tego nie wiem, nie znam nikogo z was, słyszałem jednak o Sogolon Wiedźmie Księżyca, wiesz o niej? Skąd wiedziałeś, że pisała runy? Ma trzysta i dziesięć i pięć lat życia, powiedziała mi to, i inne rzeczy też, bo ludzie zawsze myślą, że ogo mają prosty umysł, więc można im wszystko wyjawić, i tak zrobiła, i oto co powiedziała: nazywają mnie Sogolon i nigdy nie reagowałam na żadne inne imię. Wołali na mnie Sogolon Szpetna, aż w końcu wszy-

scy, co wołali, pomarli od tego samego zadławienia w gardle. Sogolon Wiedźma Księżyca, co robi czary po ciemku, tak mówili inni. Powiedziała, że jest z Zachodu, ale ja pochodzę z Zachodu i dla mnie to ona pachnie jak ci z południowego zachodu, którzy pachną kwaśno, ale dobrze kwaśno, co miesza się ze słodyczą i iskrzy życiem, co ty też wiesz, bo podobno masz nos. Czy ona zawsze pisze runy? Jej ręce nigdy nie zastygają w spokoju. Kobieta stara jak ona zna się na strzeżeniu tajemnic, uznałem więc, że ma inny powód, którego nie wyjawi, bo przecież pieniądz niewiele dla niej znaczy. A potem przemówiła zagadką i strofami, jednak nie było w tym zręczności. Przez cały ten czas nie widziałem w niej gniewu, ale wesołości też nie, ani uprzejmości. Domyśliłem się, że znika i powraca, bo taki jej obyczaj. I to jeszcze wiem. Musisz wybaczyć ogo. Tak niewielu z nim rozmawia, że gdy w końcu rozmawiają, ma za dużo do powiedzenia. I…

I tak ten ogo Sadogo mówił przez całą noc. Przez cały postój i przywiązywanie koni do drzew. Przez stawianie ogniska, gotowanie kleiku i zgubienie gwiazdy, która wskazywała nam zachód, przez próby zaśnięcia, niemożność zaśnięcia, nasłuchiwanie lwów wałęsających się nocą, czekanie, aby ogień się dopalił, i w końcu po zaśnięciu takim snem, w którym on dalej mówił. Nie umiałem powiedzieć, czy obudził mnie jego głos, czy słońce. Fumeli spał. Leżący obok mnie Bibi miał otwarte oczy i zmarszczoną brew. Głos ogo się pogrubił, a cisza pożerała końcówki jego zdań.

– Odtąd będę milczał – oznajmił.

Patrzyłem na niego przez długą chwilę. Bibi się roześmiał i poszedł wysikać się w krzaki. Przeturlałem się do pozycji siedzącej i ziewnąłem.

– Nie, nie, mów dalej, proszę, zacny ogo Sadogo. Chętnie wysłucham twoich słów. Dzięki tobie wędrówka się nie dłuży. Znasz Nykę?

Jego spojrzenie warte było tego pytania.

– Spotkałem go miesiąc wcześniej, niż spotkałem ciebie – odparł.

– I już przekazał ci plotki o innych ludziach.

– Kiedy handlarz do mnie przybył, z nim przyjechali Nyka i Nsaka Ne Vampi.

– To dopiero nowina. Co mówił o mnie?

– Handlarz?

– Nie, Nyka.

– Że Tropicielowi można z ufnością powierzyć własne życie, jeśli on uzna, że mam honor.

– Tak powiedział?

– Czy to fałsz?

– Nie jestem właściwą osobą do odpowiadania na to pytanie.

– Dlaczego nie? Nigdy nie skłamałem, ale widzę, że kłamstwo może mieć sens.

– A zdrada? Czy zdrada ma inny sens poza tym, czym jest?

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Nieważne. Już jest martwa. Ta myśl.

– Ten też był na wozie – powiedział ogo, wskazując wracającego nosiciela daktyli.

Osiodłaliśmy konie i wyruszyliśmy w drogę. Odwróciłem się do Bibiego.

– Powiedz mi. Twój pan kłamał o chłopcu. Prawda jest taka, że nie ma żadnego interesu w tym dziecku. Ale ma duży interes w przypodobaniu się bunszi.

– Martwi go milczenie bogów – odpowiedział Bibi. – Uważa, że ich rozgniewał, kiedy milczenie bogów padło na każdy dom.

– Bardziej powinno go martwić milczenie niewolników spiskujących przeciw niemu – rzekłem.

– Ha, Tropicielu, widziałem twoją minę. Kilka dni temu. Wiele radości on mi przyniósł, ten twój wstręt. Myślę, że jesteś nazbyt surowy dla szlachetnego handlu.

– Co?

– Tropicielu, czy jak cię zwą. Gdyby nie niewolnicy, każdy mężczyzna na Wschodzie byłby dziewicą w dniu ożenku. Jednego kiedyś spotkałem, najprawdziwsze słowo. Myślał, że kobieta rodzi dziecko, wsadzając piersi do ust mężczyzny. Gdyby nie niewolnicy, w zacnym Malakalu zostałoby tylko fałszywe złoto i tania sól. Nie usprawiedliwiam tego. Ale wiem, dlaczego to tu jest.

– A więc pochwalasz postępowanie swojego pana? – spytałem.

– Pochwalam pieniądz, który mi daje, żebym wykarmił swoje dzieci. Z twojego spojrzenia wnoszę, że nie masz żadnych. Ale tak, napycham mu usta, bo każdą inną pracę daje niewolnikom.

– Czy właśnie nim pragniesz być? Kiedy już będziesz mężczyzną.

– W odróżnieniu od suczątka, którym jestem teraz? Oto więcej prawdy. Gdyby mój pan, jak go nazywasz, był głupszy, musiałbym go przystrzygać i podlewać trzy razy na ćwierć księżyca.

Zachichotał.

– Odejdź więc.

– Odejść? Ot tak? Pomów ze mną o tym lamparcie. Co za człowiek odchodzi wedle swego upodobania z tak wielką swobodą?

– Taki, co nie należy do nikogo.

– Albo nikt nie należy do ciebie.

– Nikt nikogo nie kocha – powiedziałem.

– Nienawidzi cię syn kurwy, który cię tego nauczył. A więc, jak by powiedział mój pan, powiedz mi bez fałszu, powiedz mi wprost, powiedz

mi bez zwłoki. To ty jesteś z tym chłopcem za moimi plecami czy ten cętkowany?

– Dlaczego każda poroniona dusza wypytuje mnie o tego poronionego chłopca?

– Bo kot nic nie mówi. Pozostali słudzy króla, uwaga, to niewolnicy, robili zakłady. Kto jest trzonkiem, berłem, a kto bierze w tyłek.

Roześmiałem się.

– I jak stawiałeś? – spytałem.

– Skoro to ciebie obaj nienawidzą, mówi się, że obaj cię ruchają.

Znowu się zaśmiałem.

– A ty jak myślisz?

– Nie chodzisz jak ktoś, kogo często ruchają w tyłek – odparł.

– Może mnie nie znasz.

– Nie powiedziałem, że nie byłeś ruchany w tyłek. Powiedziałem tylko, że nie jesteś ruchany często.

Odwróciłem się i popatrzyłem na niego. On patrzył na mnie. Roześmiałem się pierwszy. Potem już obaj nie mogliśmy przestać. A potem Fumeli powiedział coś o dźganiu konia niedostatecznie mocno i o mało nie pospadaliśmy z siodeł.

Z wyjątkiem Sogolon to Bibi wyglądał na najstarszego z nas. A już na pewno był jedynym, który dotąd wspomniał o dzieciach. W myśli powróciły mingi od Sangomy, które zostawiliśmy do wychowania u Gangatom. Lampart miał mi rzec słowo, co się z nimi odtąd działo, ale tego nie zrobił.

– Skąd się u ciebie wziął ten miecz? – spytałem.

– Ten? – Bibi dobył broń. – Mówiłem ci, od górala ze wschodu, który popełnił błąd, bo udał się na zachód.

– Górale nigdy nie udają się na zachód. Pomówmy bez fałszu, nosicielu daktyli.

Zaśmiał się.

– Ile masz życia w latach? Dwadzieścia i osiem?

– Dwadzieścia i pięć. Wyglądam tak staro?

– Dałbym głowę, że jesteś jeszcze starszy, ale nie chciałem być niegrzeczny wobec nowego przyjaciela. – Uśmiechnął się. – Ja mam dwakroć po dwadzieścia. I jeszcze pięć.

– Pierdolić bogów. Nie znałem nigdy ludzi, którzy żyliby tak długo i nie byli bogaci, wpływowi albo choćby utuczeni. To znaczy jesteś na tyle stary, że widziałeś ostatnią wojnę.

– Na tyle stary, by w niej walczyć.

Zerknął nad moim ramieniem na trawy sawanny, krótsze niż wcześniej, i na niebo, zachmurzone bardziej niż wcześniej, choć czuliśmy na sobie słońce. Było też chłodniej. Dawno wyjechaliśmy już z doliny na ziemie, których żaden człowiek nie chciał zamieszkiwać.

– Nie znam takiego, który widział wojnę i chciałby o niej mówić – rzekł Bibi.

– Byłeś żołnierzem?

Parsknął śmiechem.

– Żołnierze to głupcy, którym za mało się płaci za ich głupotę. Byłem najemnikiem.

– Opowiedz mi o wojnie.

– O całych jej stu latach? O której wojnie mówimy?

– A w której walczyłeś?

– W wojnie Areri Dulla. Kto wie, jak nazywali ją ci ruchacze bawołów z Południa, chociaż słyszałem, że mówią o niej Wojna Północnych Waśni, co jest prześmieszne, biorąc pod uwagę, że najpierw miotali dzidami. Urodziłeś się trzy lata po ostatnim rozejmie. To była wojna, która go spowodowała. Taka osobliwa rodzina. Przy całym tym rozrodzie wsobnym, którego

owocem są szaleni władcy, myślałbyś, że pewnego dnia król powie: znajdźmy trochę świeżej krwi, żeby uratować ród, ale nie. Więc mamy wojnę za wojną. To prawda. Nie potrafię powiedzieć, czy Kuasz Netu był rzadko spotykanym dobrym władcą, czy nowy i szalony król Massykinów był bardziej obłąkany od poprzedniego, ale w wojowaniu okazał się niedościgły. Miał do niej dar, tak samo jak niektórzy mają dar do garncarstwa albo układania wierszy.

Bibi zatrzymał konia, a ja zrobiłem tak samo. Zorientowałem się, że rozzłoszczony Fumeli podniósł wzrok. Powietrze było mokre od deszczu, który nie chciał nadejść.

– Musimy ruszać – powiedział chłopiec.

– Nie gorączkuj się, dziecko. Lampart będzie tak samo sztywny, gdy w końcu usiądziesz na nim – odrzekł Bibi.

To kazało mi się odwrócić. Fumeli miał tak przerażoną minę, jak oczekiwałem. Popatrzyłem z powrotem na Bibiego.

– Mój ojciec nigdy nie mówił o wojnie – powiedziałem. – I nie walczył w żadnej.

– Za stary był?

– Może. Był też moim dziadkiem. Ale mówiłeś o wojnie.

– Co? Ty… A tak, o wojnie. Miałem dziesięć i siedem lat i przebywałem z ojcem i matką u Luala Luala. Szalony król Massykinów najechał Kalindar, półtora księżyca marszu od Malakalu, a jednak zbyt blisko. Za blisko Kuasz Netu. Matka powiedziała: pewnego dnia mężczyźni przyjdą do naszego domu i oznajmią, że wybrali cię na wojnę. Odrzekłem, że jeśli będę walczył na wojnie, to może znów okryję nasz dom chwałą, którą ojciec rozszastał na wino i kobiety. A czym to odzyskasz tę chwałę, nie masz honoru, matka moja na to. Oczywiście miała słuszność. Byłem między zabijaniem, a ludzie mają mniej ciągoty do prywatnych waśni, gdy

wszystkich omota wojna. I tak jak rzekła, wielcy wojownicy przyszli do nas i powiedzieli: ty jesteś młody i silny, a przynajmniej na takiego wyglądasz. Pora odesłać tego chłoptasia króla Omororo z podkulonym ogonem z powrotem na jego jałowe ziemie. A o co powinienem walczyć?, spytałem, a oni byli urażeni. Powinieneś walczyć dla chwalebnego Kuasz Netu i dla państwa. Splunąłem i rozchyliłem szatę, aby pokazać naszyjnik. Jestem z Siedmiu Skrzydeł, powiedziałem. Od wojowników pieniądza.

– Kim są Siedem Skrzydeł?

– To najemnicy uprowadzeni od pijanych ojców z niespłacalnymi długami – odrzekł Bibi. – Biegli w orężu, mistrzowie żelaza. Wędrujemy chyżo i znikamy jak płocha myśl. Nasi panowie poddają nas sprawdzianom ze skorpionami, nie znamy więc strachu.

– Jak?

– Kąsają nas, żeby zobaczyć, kto przeżyje. W boju tworzymy formację byka. My jesteśmy rogami, najsrożsi, atakujemy pierwsi. I kosztujemy drożej, niż większość królów może zapłacić. Lecz nasz Kuasz Netu był całkiem mądry w sztuce wojny. Usłyszałem to od szalonego Króla: jeden władca nie może być w dwóch albo trzech miejscach naraz, bo jest tylko jeden. Siedzi w Fasasi, zaatakujmy więc Mitu. Massykini zaatakowali Mitu i Mitu było ich. Uznał to za zwycięstwo, a nie jest to myśl niemądra, że skoro król nie może być w dwóch miejscach jednocześnie, to da nam zaatakować to, w którym go nie ma. To był jego błąd, Tropicielu. Słuchaj, nie uważaj tego za wyraz słabości. Armie z południa uległy samej wielkości Kuasz Netu, będącemu w wielu miejscach naraz.

– Czary?

– Nie wszystko pochodzi z łona wiedźm, Tropicielu. Ojciec twego Króla wiedział, jak przemieszczać armie szybciej niż jakikolwiek król przed nim i po nim. Takie manewry, które nawet Kongorczykom zabrałyby siedem

dni, jego armie wykonywały w dwa. Mądrze obrał miejsca starcia, a gdy walczyć nie mógł, kupował najlepszych najemników i najokrutniej opodatkowywał swój lud, by móc to zrobić. Najlepszymi byli Siedem Skrzydeł. To też uznaj za prawdę. Szalony Król był płochliwym głupcem, który umykał na widok krwi i nie znał nawet imion własnych generałów – tymczasem Kuasz Netu miał własnych ludzi na terytoriach, silnych ludzi, którzy potrafili władać miastem albo prowincją, gdy on w innej prowadził wojnę. Słyszałeś o wojnie niewiast?

– Nie. Opowiedz.

– Gdy generałowie powiedzieli: Arcyboski, musimy się wycofać z Kalindaru, cztery zbratane z nami miasta są w niebezpieczeństwie, szalony Król się zgodził. Ale potem, tej nocy w obozie, bo zażądał, aby być ze swoimi ludźmi na wojnie, usłyszał ruchające się dwa koty i pomyślał, że to diabeł nocy obwołuje go tchórzem za odwrót. Rozkazał więc, aby znów ruszyli na Kalindar, tylko po to, aby pokonani zostali przez kobiety i dzieci ciskające kamienie i gówno z wież z gliny i zaprawy. Tymczasem Kuasz Netu wziął Uakadiszu. Ostatnia reduta w Malakalu nie była nawet redutą. Były to niedobitki armii uciekającej przed kobietami rzucającymi kamienie. Wojna została już wygrana.

– Hmm. W Malakalu głoszą inaczej.

– Słyszałem pieśni i czytałem liście papieru zawinięte w skórę, jak to Malakal był ostatnią redutą między światłem imperium Kuasz Netu a mrokiem Massykinów. To pieśni głupców. Tylko ci, którzy nie walczyli na tej wojnie, nie wiedzą, że obaj byli mrokiem. Niestety, najemnik bez wojny to człowiek bez pracy.

– Niemało wiesz o wojnie, generałach i dworze królewskim. Jak to się stało, że skończyłeś tutaj, zarabiając na życie faszerowaniem tłustej świni daktylami?

– Praca to praca, Tropicielu.

– A końskie łajno to końskie łajno.

– Prędzej czy później mrok wojny kładzie się cieniem na każdym, kto na niej walczył. Mam niewyszukane potrzeby. Wykarmić swoje dzieci, dopóki nie wydorośleją, to jedno. Poczucie dumy zaś potrzebą nie jest.

– Nie wierzę ci. A po tym, co powiedziałeś, nie wierzę ci jeszcze bardziej. W twoim postępowaniu jest zręczność. Obmyślasz go zabić? Wiem, że to rywal cię najął, byś zbliżył się do niego bardziej niż kochanka.

– Gdybym chciał go zabić, mogłem to zrobić cztery lata temu. Wie, na co mnie stać. Myślę, że raduje go, że ludzie mają mnie za głupie succątko, które lubi bawić się jego ustami. Uważa, że dzięki temu mogę przesiewać jego wrogów i rozprawiać się z nimi.

– Zatem jesteś jego szpiegiem. Masz nas szpiegować?

– Głupcze, do tego on ma Sogolon. Jestem tu z powodu wszelkich niespodzianek, które bogowie mogą wam zgotować.

– Chętnie posłuchałbym więcej o tym, co te wielkie wojny z tobą uczyniły.

– A ja niechętnie bym o tym mówił. Wojna to wojna. Pomyśl o najgorszym, co widziałeś. A teraz pomyśl, że widzisz to co trzy kroki w marszu trwającym ćwierć księżyca.

Znajdowaliśmy się teraz na bujnym stepie, zieleńszym i mokrzejszym od brązowego buszu doliny, i końskie kopyta głębiej zapadały się w ziemię. W oddali, może o pół dnia jazdy, stały drzewa w rozproszeniu. Góry wisiały wszędzie dokoła. Z boku, kierując się na zachód od Malakalu, góry i las wydawały się niebieskie. Wśród trawy i wilgoci wyrastały bambusy olbrzymy, jeden, potem dwa, potem zagajnik, potem cały ich las, który przesłaniał późnopopołudniowe słońce. Inne drzewa sięgały wysoko ku niebu, a paprocie kryły ziemię. Wyczułem nosem świeży potok, zanim go

zobaczyłem i usłyszałem. Z padłych drzew wyrastały paprocie i bulwy. Ruszyliśmy w stronę wydeptanej ścieżki, aż wywąchałem, że Lampart i Sogolon zdążąli tamtędy. Po prawej stronie, za wysokimi liśćmi, po skałach toczył się wodospad.

– Gdzie są? – spytał Fumeli.

– Pierdolić bogów, chłopcze – odparłem. – Twój kot to tylko…

– Nie o niego chodzi, o zwierzęta. Ani śladu łuskowca, mandryla, nawet motylka. Czy twój nos czuje tylko to, co jest, a nie czuje tego, co znikło?

Nie chciałem z nim rozmawiać. Pięścią wbiłbym mu z powrotem do ust każdą bezczelność.

– Będę go odtąd nazywał Czerwony Wilk – rzekł Bibi. – Tak mi powiedział.

– Kto?

– Nyka.

– Kpi z czerwonej ochry, którą wcierałem w skórę, mówił, że tylko kobiety Ku noszą czerwień – wyjaśniłem.

– Chcesz prawdy dla swoich uszu? Nigdy nie widziałem człowieka w takim kolorze – stwierdził Bibi.

Zatrzymał się, marszcząc brew, i spojrzał na mnie, jakby próbował złowić coś, co przegapił, a potem pokręcił głową.

– A wilk? – spytał.

– Nie widziałeś mojego oka?

Znałem to wejrzenie. Mówiło: zatajasz coś, ale nie mam ochoty naciskać.

– Co to za woń na wiedźmie? – spytałem. – Nie mogę skojarzyć.

Wzruszył ramionami.

– Opowiedz mi coś jeszcze, Sadogo – zwróciłem się do ogo.

Oto prawda: ogo umilkł dopiero, gdy dopadł nas wieczór. A potem mówił o dopadającej nas nocy. O Fumelim przypomniałem sobie dopiero wtedy, gdy chłopiec syknął, a uwagę zwróciłem dopiero, gdy syknął po raz trzeci. Doszliśmy do rozstaju, ścieżka biegła w prawo, ścieżka biegła w lewo.

– Idziemy w lewo – powiedziałem.

– Dlaczego? To szlak, który obiera Kuesi?

– To szlak, który ja obieram – odparłem. – Idź własną drogą, jeśli masz życzenie, tylko odwiąż swojego konia od Bibiego.

Usłyszałem tępy stukot kopyt i trzask gałęzi.

Nie czekałem, aż coś odpowie. Szlak był wąski, ale podążaliśmy ścieżką, a słońce zaszło.

– Ani nietoperza, ani sowy, ani świergoczącego zwierzątka – utyskiwał Fumeli.

– Jaka gałąź wlazła ci teraz w dupę?

– Chłopak ma słuszność, Tropicielu – rzekł Bibi. – W tym lesie nie porusza się żadne żywe stworzenie. – Jedna dłoń na uździe, druga zaciśnięta na mieczu.

– Gdzie jest teraz twój wspaniały nos? – spytał Fumeli.

Natychmiast zakonotowałem sobie w głowie jego zuchwalstwo. Ten chłopak zawsze mylił się w swoich sądach. Ale teraz obaj mieli rację. Znałem wiele zwierzęcych woni z górskich stepów, a teraz żadna nie owionęła mi nosa. Zapachy lasu, które wyczuwałem – goryla, zimorodka, skóry żmii – znajdowały się za daleko. Nic żywego, tylko drzewa spiskujące w kręgach i woda rzeczna tocząca się po skałach. Ogo wciąż mówił.

– Sadogo, bądź cicho.

– Hę?

– Ćśś. Życie w buszu.

– Co?

– Nic. W tym rzecz. Życie w buszu znikło.

– Ja pierwszy to zauważyłem – powiedział Fumeli.

Czy wart był tego, bym się odwrócił i pokazał mu swoje niezadowolenie? Nie był.

– Wielu ludzi mówi, że to ty masz nos, nie ja. I co twój drogocenny nos teraz czuje?

Kark taki jak jego, cienki jak u dziewczyny, mogłem złamać bez wysiłku. Albo pozwolić, by ogo pogruchotał go w wielu miejscach. Ale kiedy wziąłem głęboki wdech, doszły mnie wonie. Dwie, które znałem, jedna, której nie czułem od wielu lat.

– Łap za łuk i nałóż strzałę, chłopcze – powiedział Bibi.

– Po co?

– Zrób to – rzucił, próbując szeptać chrapliwie. – I z konia.

Wierzchowce zostawiliśmy nad potokiem. Ogo sięgnął do swojej torby i wyjął dwie błyszczące rękawice, jakie widziałem tylko u królewskich rycerzy. Jego palce były teraz połyskliwymi łuskami, a z kłykci sterczało pięć szpiców. Dobył miecz.

– Czuję ogień na powietrzu, drewno i tłuszcz – powiedziałem.

Bibi zakrył dłonią usta, wskazał na nas, potem na swoje wargi.

Nie mówiłem już nic, po zapachu wiedząc, co zastaniemy. Kwaśny odór owłosienia, słoność ciała. Wkrótce zobaczyliśmy ogień i światło wysączające się z lasu. I oto proszę, nadziana na rożen, piekąca się nad ogniem, a tłuszcz skapywał w płomienie i buchał. Chłopięca noga. Nieco dalej wisiał na drzewie nieborak wpatrzony w swoją nogę, z kikutem obwiązanym sznurem. Odcięli mu prawą nogę u uda, a lewą u kolana. Lewą rękę odrąbali u ramienia. Jego samego powiesili za sznur na drzewie. Powiesili też dziewczynę, która miała wszystkie cztery kończyny. Trzech siedziało

w sporej odległości od ogniska, czwarty w buszu, niedaleko, kucnął do srania.

Natarliśmy, zanim wyraźnie ich zobaczyliśmy, zanim oni zdążyli zobaczyć nas. Dobyłem topory i wycelowałem w głowę pierwszego, ale ostrza się odbiły. Fumeli wypuścił cztery strzały; trzy się odbiły, czwarta trafiła drugiego w policzek. Ciosem pięści ogo wprasował trzeciego w drzewo. A potem wybił dziurę – w klatce piersiowej i pniu. Bibi zamachnął się mieczem i zaciął tamtego w szyję, ale ostrze utkwiło. Stopą strącił go z miecza, potem dźgnął w brzuch. Pierwszy natarł wprost na mnie, z gołymi rękami. Odskoczyłem poza zasięg i wtedy coś go obaliło. Skoczyłem na niego, leżącego na ziemi, i zaciąłem toporem miękkie mięso twarzy. Nos. Rąbałem i rąbałem, aż jego szczątki trysnęły mi w oczy. To, co go przewróciło, warknęło i odmieniło się w człowieka.

– Kuesi! – krzyknął Fumeli i podbiegł do niego, po czym przystanął. Dotknął jego ramienia. Chciałem powiedzieć: idźcie za drzewo się ruchać, jeśli macie ochotę. Nikt z nas nie pamiętał o ostatnim, srającym w krzakach, aż nagle krzyknęła dziewczyna wisząca na drzewie. Tamten nadbiegł, wymachując rękami, szpony błyskały w blasku ognia. Ryczał głośniej od lwa, ale coś przerwało ten odgłos. Nawet on był zdumiony, że własne usta go zawiodły, ale potem zerknął po sobie i zobaczył pierś przeszytą dzidą. Stęknął na ostatku i runął na twarz.

Sogolon dała krok nad martwym ciałem i podeszła do nas. Zapaliłem suchy patyk i zamachałem nim nad bestią najbliżej ognia. Trzask. Ogo złamał kark chłopcu bez kończyn. To lepiej, że skonał szybko, nikt nie mówił inaczej. Gdy tylko opuściliśmy dziewczynę z drzewa, zaczęła krzyczeć, krzyczała i krzyczała, aż wreszcie Sogolon uderzyła ją dwa razy w twarz. Była pokryta białymi smugami, ale żadna nie przypominała znanych mi znaków nadrzecznych plemion.

– Jesteśmy ofiarowaniem – powiedziała. – Nie powinniście przychodzić.

– Czym? – spytał Lampart.

Z radością widziałem go znowu pod ludzką postacią, choć nie rozumiałem dlaczego. Rozmowa z nim wciąż mnie drażniła.

– Jesteśmy zaszczytnym ofiarowaniem dla zogbanu. Zostawiają w spokoju nasze wioski stojące na ich ziemiach i pozwalają nam sadzić uprawy. Zostałam wychowana dla tego…

– Żadna kobieta nie jest wychowana dla użytku mężczyzny – powiedziała Sogolon.

Wyciągnąłem dzidę z piersi ostatniego i przeturlałem go stopą. Rogi duże, zakrzywione i zaostrzone w szpiczasty czubek jak u nosorożca wyrastały z całej jego głowy i szyi, mniejsze z ramion. Wskazywały we wszystkich kierunkach, te rogi, jak loki u żebraka stwardniałe z brudu. Rogi szerokie jak głowa dziecka, długie jak ciosy słoniowe, rogi krótkie i grubawe, rogi jak włos, szare i białe jak jego skóra. Obie brwi zrogowaciały w rogi, a oczy nie miały źrenic. Nos szeroki i płaski, z włosami sterczącymi z nozdrzy jak busz. Grube wargi, szerokie na całą twarz, zęby jak u psa. Blizny na całej klatce piersiowej, może na znak jego wyczynów. Pas podtrzymywał przepaskę biodrową, na której wisiały czaszki dzieci.

– Co za demon? – spytałem.

Bibi ukucnął i odwrócił mu głowę.

– Zogbanu. Trolle z Krwawych Bagien. Wielu takich widziałem podczas wojny. Wasz ostatni król używał ich nawet jako berserków. Każdy gorszy od poprzednika.

– Tu nie bagno.

– Koczują. Dziewczyna też nie jest stąd. Dziewczę, gdzie oni poszli?

– Jestem zaszczytnym ofiarowaniem dla Yeh…

Sogolon uderzyła ją w twarz.

– *Bingoyi yi kase nan* – powiedziała dziewczyna.

– Oni jedzą ludzkie mięso – oznajmiła Sogolon.

Wtedy wszyscy spojrzeliśmy na nogę piekącą się na rożnie. Sadogo strącił rożen kopniakiem.

– Oni wędrują? – spytałem.

– Tak – odrzekł Bibi.

– Ale ona przed chwilą mówiła, że jest ofiarowaniem, aby wspólnie zamieszkiwali te ziemie – przypomniałem.

– Nie nomadzi – wtrącił Lampart. Podszedł wprost do mnie, ale patrzył na Bibiego. – I nie wędrują, lecz polują. Ktoś im doniósł, że przez te lasy będzie się przemieszczać w bród mięsa. My.

Dziewczyna krzyknęła. Nie, to nie był krzyk, bo w głosie nie usłyszałem strachu. To było wołanie.

– Dawajcie konie! – zawołał do nas Lampart. – I zatkajcie jej usta!

W biegu słyszeliśmy rumor rozchodzący się po lesie. Szelesty ze wszystkich stron i kierunków, coraz bliżej. Klepnąłem konia Fumelego, aż wyrwał do przodu. Sogolon pojawiła się na swoim wierzchowcu i pogalopowała. Ruszyłem za nią, dźgając mocno kolanami swojego konia w żebra. Jadący obok mnie Bibi powiedział coś albo się zaśmiał, gdy nagle jeden zogbanu wyskoczył z ciemnego buszu i uderzeniem maczugi strącił go na ziemię. Nie zatrzymałem się, tak samo nie zatrzymał się jego koń. Obejrzałem się tylko i zobaczyłem zogbanu, wielu ich, skaczących chmarą na niego, aż urośli jak góra. Bibi przestał krzyczeć dopiero, jak go uciszyli. Dogoniłem Sogolon, ale oni nas dogonili. Jeden skoczył na mnie, chybił jednak celu, rogami zacinając mojego konia w zad. Wierzchowiec bryknął, o mało mnie nie zrzucając. Dwaj wyszli z lasu i zaczęli chlastać Sogolon pazurami. Strzały wbiły się w plecy pierwszego, jeszcze więcej w pierś i twarz drugiego. Lampart, dosiadając teraz konia razem z Fumelim, krzyknął, byśmy

ruszali za nim. Z tyłu było więcej zogbanu, niż oczy nadążyły zliczyć, sapali i powarkiwali, rogi niektórych zahaczały się nawzajem, aż upadali. Przez gęste zarośla biegli niemal tak szybko jak konie. Jeden wypadł z krzaków, nadziewając się twarzą wprost na mój topór. Żałowałem, że nie mam miecza. Sogolon miała, cięła więc i chlastała w galopie, jakby karczowała dziki las. Koń Bibiego został w tyle, niepopędzany przez jeźdźca. Zogbanu dopadli go, wszyscy jak jedna istota, jak to robią lwy z młodym bawołem. Dźgałem kolanem swojego umęczonego konia, bo wielu wciąż nas ścigało. A potem usłyszałem zip-zip-zip świszczące obok. Miotane sztylety. Bestie miały broń. Jeden trafił Sogolon w lewe ramię. Jęknęła, ale nadal cięła mieczem w prawej ręce. Z przodu zobaczyłem Lamparta, a jeszcze dalej z przodu polanę i połysk wody. Wyjeżdżaliśmy już z zarośli, kiedy zogbanu wskoczył z tyłu na mojego konia i zrzucił mnie na ziemię. Poturlaliśmy się w trawę. Chwycił mnie za szyję i wbił się w gardło. Lubili świeże mięso, wiedziałem więc, że nie chce mnie zabić. Próbował zamroczyć. Jego oddech śmierdział paskudnie i zostawiał białe obłoki. Rogi mniejsze niż u innych, młodzik, który chciał się wykazać. Wygrzebałem sztylety, wbiłem mu jeden w żebra z prawej strony, drugi w żebra z lewej, raz, dwa, trzy, aż zwalił się na mnie i nie mogłem oddychać. Lampart ściągnął go i krzyknął, abym uciekał. Odmienił się i warknął. Nie wiem, czy tym ich przestraszył. Ale gdy w końcu dotarłem do jeziora, wszyscy wsiedli już na szeroką tratwę, w tym dziewczyna i mój koń. Wtoczyłem się na nią w chwili, gdy Lampart śmignął obok. Zogbanu roili się na brzegu, może z dziesięciu i pięciu, może dwudziestu, tak blisko siebie, że wyglądali jak jedna bestia najeżona rogiem i cierniem.

Tratwa ruszyła bez niczyich starań. Z przodu siedziała bunszi, jakby modliła się w swojej zacisznej małej komnacie, nieświadoma, że pierdolony świat stoi w płomieniach.

– Suko nocy, wystawiłaś nas na próbę – odezwałem się.

– Ona tak nie postępuje – zaprzeczyła Sogolon.

– To nie było pytanie!

Zamilkła, siedziała tylko, jakby się modliła, chociaż wiedziałem, że tego nie robi.

– Powinniśmy wrócić po Bibiego.

– On nie żyje – powiedziała bunszi.

– Żyje. Swoje zdobycze zachowują przy życiu, żeby potem jeść świeże mięso.

Wstała i odwróciła się twarzą do mnie.

– Nie mówię ci nic, czego byś nie wiedziała – dodałem. – Troski ci brak.

– To niewolnik. Urodził się po to, aby umrzeć, służąc…

– A ty mogłabyś być siostrą swojej matki. Jego pochodzenie szlachetniejsze od twojego.

– Wypowiadasz się przeciw wod…

Bunszi machnęła ręką i Sogolon natychmiast zamilkła.

– Są rzeczy ważniejsze niż…

– Niż co? Niż niewolnik? Mężczyzna? Kobieta? Wszyscy na tej tratwie myślą: przynajmniej jestem lepszy od tego niewolnika. Będzie u nich konał przez długie dni, wiesz o tym. Pokroją go i przypalą mu wszystkie rany, żeby nie umarł od choroby. Wiesz, jak postępują ludojady. A jednak są ważniejsze sprawy.

– Tropicielu.

– Bibi nie jest niewolnikiem.

Zanurkowałem do wody.

Następnego ranka obudziłem się w niegęstym brązowym krzaku, czując czyjąś rękę na piersi. Dziewczyna z poprzedniej nocy, zmywszy z sie-

bie trochę gliny, chwyciła mnie w garść i obmacywała, jakby ważyła w dłoni żelazo, bo dotąd widziała tylko mosiądz. Odepchnąłem ją. Poczołgała się z powrotem na drugi koniec tratwy, prosto do stóp Sogolon, która stała jak szyper, włócznię trzymając jak laskę. Słońce już wzeszło, miałem nagrzaną skórę. Wtedy skoczyłem.

– Gdzie Bibi?

– Nie pamiętasz? – spytała Sogolon.

Właśnie w tej chwili sobie przypomniałem. Pływanie w wodzie, która wydawała się jak czarny olej, brzeg oddalający się coraz bardziej, napędzająca mnie wściekłość. Zogbanu zniknęli z powrotem w buszu. Straciłem topory, miałem tylko jeden nóż. Skóra zogbanu była jak kora drzewa, lecz żebra wydawały się miękkie, więc jak każde zwierzę można było ich przebić rzuconą włócznią.

Ktoś złapał mnie za rękę starymi palcami. Palcami czarnymi jak noc.

– Bunszi – powiedziałem.

– Twój przyjaciel nie żyje.

– To, że mówisz, że nie żyje, nie znaczy jeszcze, że nie żyje.

– Tropicielu, polowali na jedzenie, a my zabraliśmy im ostatni posiłek. Nie zjedzą chłopca, któremu skręciliśmy kark.

– Nie zrezygnuję.

– Nawet jeśli to oznacza twoją śmierć?

– Co to cię obchodzi?

– Nadal jesteś człowiekiem bardzo użytecznym. Te bestie na pewno cię zabiją, więc jaki będzie pożytek z dwóch trupów?

– Idę.

– Przynajmniej nie daj się zobaczyć.

– Rzucisz zaklęcie wtapiające mnie w teren?

– A czy ja jestem czarownicą?

Rozejrzałem się i pomyślałem, że zniknęła, aż nagle wilgoć przesiąkła między palce u mych stóp. Księżyc przyciągał jezioro do brzegu, byłem tego pewien. A później woda podniosła się do kostek, ale nie powróciła do jeziora. To w ogóle nie była woda jeziora, tylko coś czarnego, chłodnego i mokrego pełzało po moich nogach. Dopadł mnie strach, lecz na mgnienie oka i zaraz pozwoliłem jej mnie okryć. Bunszi naciągnęła swoją skórę na moje łydki, w górę, do kolan i dokoła, zakryła moje uda i brzuch, i wyżej, każdy kawałek mego ciała. Po prawdzie wcale mi się to nie podobało. Była zimna, zimniejsza niż woda, a jednak gdy spojrzałem w dół, zapragnąłem wejść do jeziora, aby zobaczyć, że wyglądam jak ona. Sięgnęła do mojej szyi i chwyciła tak mocno, że ją uderzyłem.

– Przestań, ciągle chcesz mnie zabić – powiedziałem.

Rozluźniła uścisk, zakryła moje usta, twarz i głowę.

– Zogbanu źle widzą w ciemności. Ale one węszą, słyszą i czują ciepło.

Myślałem, że mnie poprowadzi, ale się nie poruszyła. Nie zaszliśmy daleko.

Na niebie szalał już ogień. Jeden z zogbanu złapał Bibiego za głowę i go podciągnął. Trzymał w górze połowę jego ciała. Tułów był już rozpruty, aby wyjąć wnętrzności, żebra rozłożone jak u krowy zarżniętej na ucztę. Nadzianego na rożen lizały języry ognia.

Ocknąłem się ze snu i zwymiotowałem. Wstałem. To nie przez sen zrobiło mi się niedobrze, tylko przez tratwę. A co to była za tratwa? Kopiec zmurszałych kości i trawy, który wyglądał jak mała wyspa, a nie dzieło ludzkich rąk. Lampart siedział po drugiej stronie, z podciągniętymi nogami. Spojrzał na mnie, ja na niego. Żaden z nas nie skinął głową. Fumeli przycupnął obok niego, ale nie popatrzył na mnie. Przeżył tylko jeden z koni jucznych, więc nasze racje żywnościowe zmniejszyły się o połowę. Pomalowana dziewczyna uklękła obok stojącej Sogolon. Tratwa-wyspa uginała

się nieco pod ogo. Co to jest, to, na czym płyniemy?, chciałem zapytać, wiedziałem jednak, że jego odpowiedź zabrałaby nam całą noc. Sogolon, stojąca na czele, jakby widziała krainy, których my nie widzieliśmy, bez wątpienia sterowała tratwą za pomocą czarów. Pomalowana dziewczyna spojrzała na mnie i owinęła się w skórę.

– Czy jesteś takim zwierzem jak on? – zapytała, wskazując na Lamparta.

– Masz na myśli to? – odparłem, wskazując na swoje oko. – To od psa, nie kota. I nie jestem zwierzęciem, jestem człowiekiem, mężczyzną.

– Czym jest mężczyzna, czym kobieta?

– *Bingoyi yi kase nan* – odrzekłem.

– Powiedziała to do mnie trzy razy w nocy, nawet we śnie – wyznała, wskazując na Sogolon.

– Dziewczyna to zwierzę łowne.

– Jestem zaszczycona ofiarowaniem…

– Oczywiście, że jesteś.

Wszyscy byli tak cicho, że słyszałem bulgotanie wody pod tratwą. Ogo odwrócił się i powiedział:

– Czym jest mężczyzna, czym kobieta? Cóż, to proste pytanie z prostą odpowiedzią, z wyjątkiem sytuacji, gdy…

– Nie teraz, Sadogo – przerwałem mu i zwróciłem się do dziewczyny: – Twoje imię? Jak cię nazywają?

– Wywyższeni nazywają mnie Venin. Wszystkich wybranych nazywają Venin. On jest Venin, ona Venin. Wielkie matki i ojcowie wybrali mnie jeszcze przed urodzeniem na ofiarę dla zogbanu. Jestem w modlitwie od urodzenia dotąd, wciąż jestem w modlitwie.

– Dlaczego zabrnęli tak daleko na północ?

– Jestem wybranką na ofiarę dla rogatych bogów. Tak było z moją matką i matką mojej matki.

– Matka ćmy i matka ćmy. Więc co tu robisz? Niech ktoś mi przypomni, dlaczego ją wzięliśmy? – spytałem.

– Może przestań zadawać pytania, skoro znasz odpowiedź – odezwał się Lampart.

– To tyle? Gdzież byłbym, gdyby nie mądry Lampart? Co to za odpowiedź, którą znam?

– Do tej pory ogryzaliby już kości dziewczynki i chłopca. Czekali na nas.

– Twój handlarz niewolników powiedział im, że nadjeżdżamy – zwróciłem się do Lamparta.

– On nie jest mój – odparł.

– Głupcy z was – wtrąciła Sogolon. – Po co wysyłać nas na misję, a potem nam w niej przeszkodzić?

– Rozmyślił się – zasugerowałem.

Zmarszczyła brwi. Nie zamierzałem przyznać, że słusznie mówi. Lampart skinął głową.

– Nic nie dowodzi zdrady ze strony handlarza – powiedziała.

– Oczywiście. Zogbanu po prostu podążali za zmiennym wiatrem. Może to ktoś na tej tratwie. Albo poza nią.

Słońce stało już wysoko, jezioro przybrało kolor mocnego błękitu. Bunszi znajdowała się w wodzie, widziałem ją głęboko w niebieskim odmęcie; jej skóra, w nocy wydająca się czarna, teraz stała się indygo. Rzucała się jak ryba, w górę nad taflę, a potem pod wodę, daleko na zachód, daleko na wschód, i z powrotem, tuż obok tratwy. Przypominała stworzenia wodne, które widziałem w rzekach. Płetwa z tyłu głowy i na karku, ramiona, piersi i brzuch jak u kobiety, ale od bioder w dół długi zamaszysty ogon wielkiej ryby.

– Co ona robi? – spytałem Sogolon, która dotąd nie raczyła na mnie spojrzeć.

Z przodu widać było tylko linię oddzielającą morze od nieba, a jednak utkwiła w tym wzrok.

– Nigdy nie widziałeś ryby?

– Ona nie jest rybą.

– Mówi do Czipfalambuli. Prosi ją o jeszcze jedną łaskę dla wędrowców, abyśmy dotarli na drugą stronę. W końcu nie otrzymaliśmy zgody, aby tutaj być.

– Gdzie tutaj?

– Głupcze – powiedziała i spojrzała w dół.

– Tu? – spytałem i kopnąłem w tratwę.

Złościła mnie ta jej wyprężona postawa, wyglądała jak przywódczyni. Wyminąłem ją, poszedłem na samo czoło i usiadłem. W tym miejscu kopiec opadał do rzeki. Zobaczyłem koniec tratwy pod wodą. To nie była tratwa, lecz pływająca wyspa poruszana wiatrem lub czarami. Z przodu sunęły dwie ryby, długie może na moją wysokość.

Szedłbym o zakład, że to, co zobaczyłem później, było przywidzeniem. W zanurzonej części wyspy, tuż obok miejsca, w którym siedziałem, otwarła się szczelina i połknęła pierwszą rybę. Pod swoją prawą piętą dostrzegłem oczy Czipfalambuli patrzące na mnie. Odskoczyłem. Jej skrzela rozwarły się i zamknęły. Nieco dalej jej ogromne płetwy, każda szersza niż łódź, zagarniały powoli wodę, zanurzona połowa w kolorze porannego błękitu, połowa na wierzchu jak piasek i kurz.

– Popele prosi o pozwolenie Czipfalambulę, poborczynię, by zabrała nas na drugą stronę. Nie udzieliła jeszcze odpowiedzi – oznajmiła Sogolon.

– Już dawno opuściliśmy ląd. Czy to nie jest jej odpowiedź?

Sogolon się zaśmiała. Bunszi wyskoczyła z wody i zanurkowała tuż przed tym stworem.

– Czipfalambula nie zabrała was na głębokie wody, abyście dotarli na drugą stronę. Zabrała was, żeby zjeść.

Sogolon spoważniała. Nikt z nas nie czuł, gdy to coś się poruszało, czuliśmy jednak, kiedy zastygało w bezruchu. Buszi podpłynęła wprost do paszczy i pomyślałem, że zostanie pożarta. Zanurkowała jednak i wynurzyła się u prawej płetwy. Płetwa pacnęła ją jak natrętną muchę. Bunszi pofrunęła w niebo i spadła w oddali do wody. Podpłynęła w mgnieniu oka i wspięła się na grzbiet wielkiej ryby. Wyminęła nas i stanęła u boku Sogolon. Rybisko znów ruszyło.

– Gruba krowa, jędzowata się robi na starość – mruknęła.

Podszedłem do Lamparta. Nadal siedział z Fumelim, obaj z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej.

– Chcę z tobą zamienić słowo – odezwałem się.

Wstał i to samo zrobił Fumeli. Obaj mieli skórzane spódnice, lecz Lampart radził z nią sobie lepiej niż w gospodzie Kulikulo.

– Tylko z tobą – powiedziałem.

Fumeli raczył usiąść dopiero wtedy, gdy Lampart odwrócił się do niego i skinął głową.

– W następnej kolejności zaczniesz nosić sandały?

– W czym rzecz? – spytał Lampart.

– A co, masz coś pilnego do roboty? Kolejne spotkanie na grzbiecie ryby?

– W czym rzecz?

– Poszedłem do jednego ze starszyzny, aby pomówić o Basu Fumanguru. Aby się przekonać, czy te historie są prawdziwe. Powiedział mi, że na dom Fumanguru padła choroba, złapana od rzecznego demona. Ale kiedy wspo-

mniałem o skaleczeniu dłoni i rzuceniu krwi, spojrzał na sufit, zanim skończyłem mówić. On wiedział. I kłamał. Bisimbi nie są rzecznymi demonami. Nie lubują się w rzekach.

– A więc to tam poszedłeś?

– Tak, właśnie tam poszedłem.

– Gdzie jest teraz członek starszyzny?

– Ze swoimi przodkami. Próbował mnie zabić, kiedy powiedziałem mu, że kłamie. A teraz uważaj. Nie sądzę, żeby wiedział o dziecku.

– I co?

– Naczelnik starszyzny i nie wiedział nic o jednym ze swoich? Utrzymywał, że najmłodszy chłopiec miał dziesięć i pięć lat.

– Wciąż mówisz zagadkami – odrzekł Lampart.

– Powiem ci tak. Chłopiec nie był synem Fumanguru bez względu na to, co mówi bunszi, handlarz czy ktokolwiek. Jestem pewien, że tamten ze starszyzny wiedział, że Fumanguru będzie zamordowany, może sam to rozkazał. Naliczył osiem trupów, tyle, ile się spodziewał naliczyć.

– Wie o mordzie, ale nie wie o dziecku?

– Bo dziecko nie było synem Fumanguru. Było podopiecznym, krewniakiem, może nawet gościem tylko. Tamten próbował mnie zabić, bo zrozumiał, że wiem, że on wie o mordzie. Ale nie wiedział, że jest inny chłopiec. Ten, kto stał za tym zabójstwem, nic mu nie wyjawił.

– I chłopiec nie jest synem Fumanguru?

– Dlaczego Fumanguru miałby ukrywać syna w tajemnicy?

– To dlaczego bunszi nazywa go synem?

– Nie wiem.

– Zapomnij o pieniądzach i towarach. W tych stronach ludzie handlują tylko kłamstwami.

Powiedział to, patrząc wprost na mnie.

– Albo mówią ci tylko to, co ich zdaniem powinieneś wiedzieć – odrzekłem.

Przez chwilę rozglądał się wokół, na wszystkich płynących na rybie, dłuższą chwilę poświęcił ogo, który znów zasnął, a potem z powrotem spojrzał na mnie.

– Czy to wszystko?

– A nie wystarczy?

– Skoro tak uważasz.

– Pierdolić bogów, kocie. Coś między nami zjełczało.

– Tak myślisz.

– Wiem. I stało się to błyskiem. Myślę, że powodem jest twój Fumeli. Jeszcze kilka dni temu był dla ciebie igraszką. Teraz między wami przyciąganie, a ja stałem się twoim wrogiem.

– A więc stałeś się moim wrogiem, bo on się do mnie garnie.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale to miałeś na myśli.

– Też nie. Mówisz jak nie ty.

– Mówię jak…

– On.

Roześmiał się i usiadł z powrotem obok Fumelego, podciągając nogi do piersi jak chłopak.

Światło dnia uchodziło. Patrzyłem, jak gaśnie. Venin znajdowała się obok Sogolon, przyglądała się to jej, to rzece, czasami podsuwała wyżej nogi, gdy widziała, że siedzi na żywej skórze, a nie na ziemi. Wszyscy inni spali, wpatrywali się w wodę, obserwowali niebo lub zajmowali się własnymi sprawami.

Wieczorem dotarliśmy do brzegu. Ile czasu zostało słońcu, tego nie wiedziałem. Ogo się obudził. Sogolon pierwsza zeszła z grzbietu ryby, prowa-

dząc konia. Dziewczyna szła tuż za nią, uchwycona mocno jej szaty, bojąc się zostać z dala choćby na wyciągnięcie ręki, może z powodu nadchodzących ciemności. Ogo się zachwiał, wciąż zaspany. Lampart powiedział coś, z czego Fumeli się zaśmiał. Machnął głową w lewo i prawo, następnie potarł czołem chłopca w policzek. Chwycił konia Fumelego za wodze i przeszedł obok mnie. Ruszając za nim, Fumeli spytał:

– Szukasz nosiciela daktyli?

Zacisnąłem pięści i przepuściłem go. Venin szła tuż za Sogolon, podobnie jak bunszi, z której głowy znikały już płetwy.

I oto były, ledwie sto kroków od nas, wznosiły się z mgły tak gęstej, że osiadła na gruncie, z drzewami wysokimi niby góry, długimi gałęziami rozczapierzonymi jak połamane palce. Przyczajone razem, mające wspólne tajemnice. Tak ciemnozielone, że aż niebieskie.

Mroczne Ziemie.

Byłem tu wcześniej.

Staliśmy i patrzyliśmy na las. O Mrocznych Ziemiach matki opowiadały dzieciom: busz duchów i potworów, po równo kłamstwa i prawdy. Od Mitu dzielił nas dzień drogi. Obejście Mrocznych Ziem zajęłoby trzy lub cztery dni i też było niebezpieczne na swój sposób. W lesie żyło coś, czego nigdy nie potrafiłem opisać, nawet tym, którzy zaraz mieli do niego wejść. Dzięcioły. Dzięcioły wystukiwały rytm, powiadamiając ptaki hen daleko o naszym nadejściu. Jedno drzewo przepychało się pośród innych, jakby chciało złapać słońce. Wyglądało jak oblężone. Mniej miało liści, odsłaniało gałęzie rozłożone szeroko jak wachlarz, choć pień był cienki. Już się zaraziłem Mrocznymi Ziemiami.

– Dzięcioł – przemówiła Sogolon. – Drzewo cuchnie, drzewo kracze, drzewo gdacze. Dzięcioł. Drzewo cuchnie, drzewo kracze, drzewo gdacze. Dzięcioł…

Cofnęła się. Głową szarpnęła w lewo, jakby ktoś ją uderzył na odlew, potem w prawo. Usłyszałem cios. Wszyscy usłyszeli. Sogolon upadła i zatrzęsła się, nagle zastygła, znowu zadygotała, jeszcze raz, potem złapała się za brzuch i warknęła coś w mowie, którą słyszałem na Mrocznych Ziemiach. Razem z nią upadła dziewczyna uczepiona jej szaty. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, usta rozwarte do krzyku. Sogolon wstała, ale powietrze znów ją uderzyło. Wyciągnąłem topory, ogo zacisnął pięści, Lampart się odmienił, Fumeli napiął swój łuk. Łuk Lamparta. Wciąż miałem na sobie zaklęcie Sangomy i czułem to tak samo, jak się czuje ostre zimno w powietrzu przed nadejściem burzy. Sogolon zatoczyła się, o mało nie upadła dwa razy. Bunszi skoczyła do niej.

– Opętanie ją dopadło – powiedział Lampart.

– Nie mogę tych związać, zakryć tamtych – szepnęła Sogolon, ale usłyszeliśmy jej słowa.

– Jest stara. Opętanie ją dopadło, zabrało – powiedział Fumeli.

– Jeśli ona opętana, to ty tępy i smarkaty – odparłem.

Bunszi usiłowała ją złapać, ale została odepchnięta. Sogolon upadła na kolana. Chwyciła patyk i zaczęła rysować runy na piasku. Między jakby uderzeniami dłonią i pięścią skrobała w ziemi. Ogo miał dość. Włożył żelazne rękawice i pomaszerował do niej, lecz bunszi go zatrzymała, mówiąc, że jego pięści nie pomogą. Sogolon rysowała, skrobała, dźgała, szorowała ziemię palcami, robiąc runy, upadając, złorzecząc, aż wykonała krąg wokół siebie. Wstała i upuściła kij. Coś poruszyło się w powietrzu i natarło na nią. Nie widzieliśmy, usłyszeliśmy tylko wiatr. I jeszcze to, odgłos uderzenia, jakby worek rzucony o mur, raz, dwa, trzy, potem dziesięć, a potem grad ciosów. Coś waliło o mur zrobiony z powietrza wokół Sogolon. Potem już nic.

– Mroczne Ziemie – powiedziała. – To właśnie Mroczne Ziemie. Wszyscy czują się tutaj silniejsi. Panoszą się, jakby dostali przepustkę z podziemi.

– Kto? – spytałem.

Sogolon zamierzała odpowiedzieć, ale bunszi podniosła rękę.

– Martwe duchy, co nigdy nie lubiły śmierci – odparła. – Duchy, które myślą, że Sogolon może im pomóc. Napierają z żądaniami, wściekają się, gdy odmawia. Umarli powinni pozostać umarli.

– A oni wszyscy zaczaili się w progu Mrocznych Ziem? – spytałem.

– Tutaj czai się mnóstwo – odparła Sogolon.

Niewielu ludzi umiało wytrzymać jej spojrzenie, ale ja nie byłem jak wielu ludzi.

– Kłamiesz – rzekłem.

– Nie żyją, i to nie kłamstwo.

– Stykałem się z tymi, co rozpaczliwie szukali pomocy, z żywymi i umarłymi. Mogą cię chwycić, przytrzymać i zmusić do patrzenia, mogą nawet zaciągnąć cię do miejsca swojej śmierci, ale żaden nie umie obić jak mąż w gniewie.

– Nie żyją, i to nie kłamstwo.

– Ale to wiedźma winna, i to też nie jest kłamstwo.

– Zogbanu na was polują. Jest ich więcej.

– Ale te duchy na brzegu polują na nią.

– Myślisz, że mnie znasz. Nic nie wiesz – powiedziała Sogolon.

– Wiem, że kiedy następnym razem zapomnisz napisać runy na niebie lub w ziemi, zrzucą cię z konia albo zepchną z urwiska. Wiem, że robisz to co noc. Zastanawiam się, kiedy śpisz. *Tana kasa tano dabo*.

Bunszi i Sogolon wbiły we mnie wzrok. Popatrzyłem na innych i powiedziałem:

– Jeśli to ziemia, to są czary.

– Dość – wtrąciła bunszi. – Donikąd nas to nie prowadzi. Musicie dostać się do Mitu, potem do Kongoru.

Sogolon chwyciła za uzdę, dosiadła konia i podciągnęła dziewczynę.

– Objedziemy las – powiedziała.

– To zajmie nam trzy dni, cztery, jeśli wiatr będzie przeciwko nam – zaoponował Lampart.

– A jednak objedziemy.

– Nikt cię nie zatrzymuje – powiedział Fumeli.

Niczego na całym świecie nie pragnąłem bardziej, niż wyrżnąć tego chłopaka. Ale na Mroczne Ziemie też nie chciałem iść.

– Ona ma słuszność – odezwałem się. – Na Mrocznych Ziemiach są takie, co nas znajdą, nawet jeśli my ich nie szukamy. Będą na łowach…

– Przez ten głupi busz będzie krócej niż jeden dzień – powiedział Lampart.

– Tu nigdy nic nie jest krócej niż coś innego. Nigdy tu nie byłeś.

– Znowu to samo, Tropicielu, myślisz, że skoro coś pokonało ciebie, to pokona i mnie.

– Robimy objazd – odparłem i odwróciłem się do swojego konia.

Lampart burknął pod nosem.

– Co?

– Powiedziałem, że niektórym ludziom się zdaje, że stali się moimi panami.

– Dlaczego miałbym chcieć być twoim panem, kocie? Albo ktokolwiek inny?

– Idziemy przez las. To tylko drzewa i krzaki.

– Co to za nagły zły duch w tobie? Mówię, że byłem na Mrocznych Ziemiach. To kraina złych zaklęć. Przestań być sobą. Nie wiesz nawet, czym

jest bycie sobą.

– Bycie sobą to to, co ludzie sobie wmawiają, że tym są. Ja zwykły kot.

Jego czelność nie miała sensu, a przecież widziałem go wcześniej w przypływach największej zuchwałości. Zbyt to było prędkie, jakby właśnie pękł wrzód ukryty przez lata. Wtedy ten wrzód otworzył usta.

– Przez Mroczne Ziemie to jeden dzień – powiedział Fumeli. – Dokoła to trzy dni. Każdy rozumny mężczyzna bez trudu dokonałby wyboru.

– No cóż, mężczyzno i chłopczyku, dokonujcie wyboru – odrzekłem. – My idziemy naokoło.

– Tropicielu, jedyna droga naprzód wiedzie przed siebie.

Chwycił konia i ruszył. Fumeli poszedł za nim.

– Na Mrocznych Ziemiach każdy znajdzie to, czego szuka – powiedziałem. – Chyba że wy jesteście tymi, których oni szukają.

Ale już patrzyli w dal. Wtedy ogo ruszył za nimi.

– Sadogo, dlaczego? – spytałem.

– Może uznał, że ma dość twoich ciężkich strof – odezwał się Fumeli. – „Na Mrocznych Ziemiach każdy znajdzie to, czego szuka”. Gadasz jak ci starcy o białych włosach i pomarszczonej skórze, którym się wydaje, że przemawia przez nich mądrość, gdy przemawia przez nich starość.

Ogo odwrócił się, by odpowiedzieć, ale przerwałem mu, chociaż powinienem był pozwolić, aby tłumaczył się przez kilka dni. Przynajmniej w ten sposób powstrzymałbym go od przyłączenia się do Lamparta.

– Nieważne. Rób to, co musisz – rzekłem.

– Wygląda na to, że chłopak znalazł dla siebie użytek – powiedziała Sogolon i odjechała z dziewczyną.

Dosiadłem konia i ruszyłem za nią. Pomalowana dziewczyna uczepiła się boku Sogolon, prawym policzkiem przytulona do jej pleców. Wieczór już nas dopadał, i to dopadał szybko. Sogolon przystanęła.

– A ci twoi ludzie, czy któryś z nich kiedykolwiek wędrował przez Mroczne Ziemie?

– Lampart powiedział, że to tylko krzaki.

– Żaden nigdy wcześniej, nawet olbrzym?

– Ogo. Ogo nie lubią, jak ich nazywać olbrzymami.

– Ratuje go tylko ten jego mały móżdżek.

– Mów przejrzystym słowem, kobieto.

– Moje słowo przejrzyste jak woda w rzece. Nie dotrą na drugą stronę.

– Dotrą, jeśli nie zboczą ze szlaku.

– Już zapomniałeś. Tego właśnie chce od ciebie las.

– Gdy dotrą na drugą stronę, będą mieli mnóstwo do opowiedzenia.

– Nie dotrą na drugą stronę.

– Co to za las? – odezwała się pomalowana dziewczyna.

– Nie masz imienia?

– Venin, mówiłam ci.

– Wracasz po swoich przyjaciół? – spytała Sogolon.

– To nie są moi przyjaciele.

Spojrzałem na nią, na Venin, na niebo.

– Gdzie bunszi?

Sogolon się roześmiała.

– Ile czasu zajmie ci odnalezienie tego, co zaginął, skoro dopiero teraz zauważyłeś brak tej, co zniknęła?

– Nie śledzę poczynań wiedźm.

– Pojedziesz po nich?

– Nikt nie okazałby mi za to wdzięczności.

– To wdzięczności pragniesz? Niewielka więc twoja cena.

Chwyciła wodze.

– Chcesz ich ocalić, to ocal. A jeśli nie, to nie. Jakie pobratymstwo zrodziło się z tej wyprawy. Bunszi i jej drużyna ludzi, dlatego skończy się fiaskiem, zanim się zaczęło. Nie można bratać się z ludźmi. Żywy człowiek to żywa przeszkoda. Może spotkamy się znowu, w Mitu, jeśli nie w Kongorze.

– Mówisz tak, jakbym po nich wracał.

– Zobaczymy się albo nie. Zaufaj bogom.

Sogolon pogalopowała w dal. Nie podążyłem za nią.

10

Wiedźma miała rację. Zanim dotarłem do ścieżki, skręciłem w busz. Koń stanął. Pogłaskałem go po szyi. Ruszyłem stępem przez las. Myślałem, że będzie chłodna mgła, ale natarła mokra duchota, która wyciskała pot ze skóry. Białe kwiaty otwierały i zamykały swe kielichy. Drzewa sięgały nieba, a z ich pni wyrastały obce rośliny. Niektóre pnącza zwisały luźno, inne kołysały się ku koronom drzew, a tam liście przesłaniały prawie całe niebo, widoczne jego resztki wyglądały jak noc. Poza tym nic się nie kołysało, nie bujało, tylko dźwięki odbijały się od roślinności. Woda skapywała na mnie, zbyt ciepła, żeby to był deszcz. W oddali zaryczały trzy słonie, płosząc mojego konia. Nigdy nie należało ufać zwierzętom na Mrocznych Ziemiach.

W górze dzięcioł stukał powoli, wysyłając wiadomość pod i nad rytmem dzioba. „Ludzie idą przez busz. Ludzie idą przez busz. Ludzie, oni teraz idą przez busz”.

W górze kołysało się dwadzieścia małp bez jednej, cicho, najwyraźniej bez złych zamiarów, zaciekawionych być może. Ruszyły za nami. Słonie znowu ryknęły. Że podążam ścieżką, zauważyłem dopiero wtedy, gdy ujrzałem je przed sobą. Cały hufiec. Ryknęły, machnęły trąbami, wyprężyły się, zatupały, wreszcie zaszarżowały na nas. Stąpanie głośniejsze od grzmotu, ale ziemia nie drżała. Nachyliłem się nad łbem konia i zasłoniłem mu oczy. To go przeraziło, bryknął, lecz słonie byłyby gorsze. Przeszły obok i na przestrzał. Duchy słoni – lub pamięć o słoniach, albo może bóg śniący

o nich. Na Mrocznych Ziemiach nigdy nie wiesz, co ciałem, co duchem. Nad głową zapanowała głęboka noc, jednak światło przenikało przez liście, jakby od małych księżyców. Dalej po lewej stronie, w miejscu, które wyglądało jak polana po wykarczowanym lesie, ale nią nie było, stały małpoludy, trzy lub cztery z przodu, odgarniając duże liście. Na pięć z nich znajdujących się na polanie padło światło. Więcej stało z tyłu, niektóre zeskakiwały z konarów. Jeden otworzył paszczę, obnażając kły do rozrywania mięsa, długie i ostre, dwa u góry i dwa u dołu. Nigdy nie nauczyłem się małpiej mowy, ale wiedziałem, że jeśli się zatrzymamy, zaatakują nas, po czym umkną, znowu zaatakują, bliżej, za każdym razem coraz bliżej, aż w końcu dopadną mnie i konia, zatłuką na śmierć. Nie duchy małpoludów ani sen o małpoludach, lecz prawdziwe, które lubiły żyć pośród umarłych. Otarłem głową o jeden, drugi liść, wtedy się otworzyły, odsłaniając kiście jagód, dorodnych i krwistoczerwonych. Wystarczyło zjeść jedną i spałbym przez ćwierć księżyca. Zjeść trzy i nigdy bym się nie obudził. Zapomniany przez bogów las, w którym nawet żywe istoty igrały ze śmiercią i snem. W górze coraz więcej ptaków krakało, klekotało, rechotało, trajkotało, skrzeczało, krzyczało, naśladowało głosy. Obok nas przebiegły dwie żyrafy małe jak koty domowe, ścigane przez guźca wielkości nosorożca.

Nie powinienem tutaj być. „Nie, nie powinieneś”, powiedział głos w mojej głowie i wokół. Nie popatrzyłem na boki. „Na Mrocznych Ziemiach zawsze znajdziesz to, czego szukasz”. Z przodu wisiały nici cienkiego jedwabiu, setki i dziesiątki setek, sięgały ziemi.

Zbliżywszy się, zobaczyłem, że to nie jedwab. Nade mną, śpiąc łbem do dołu jak nietoperze, wisiały stworzenia, których nigdy nie widziałem, małe jak gomidy i czarne jak one, dyndały do góry nogami, uczepione szponami gałęzi. Jedwab snuł się z ich rozwartych pysków. Ślina. Na tyle gęsta, że musiałem ciąć nożem, by utorować sobie drogę. Daję słowo, były ich całe

roje, zwisały z każdego drzewa. Gdy mijałem jednego kołyszącego się nisko, rozchylił ślepia. Białe, potem żółte, potem czerwone, wreszcie czarne.

Nadeszła pora, żeby zjechać ze szlaku. Mój koń był spragniony. „Odejdź teraz albo zostań”, powiedział głos cicho w mojej głowie. Gdy koń pił, sadzawka stała się przejrzysta jak dzień. Spojrzałem w niebo, lecz wciąż panowała noc. Odciągnąłem konia od wody. Błękit w niej zamknięty nie był odbiciem nieba. To przestwór z innego świata, uznałem, a nie królestwo pod wodą, inaczej bym to wyczuł. Zwierciadło dla snu, miejsce, w którym ja byłem snem. Przykucnąłem i pochyliłem się tak bardzo, że o mało nie wpadłem. Ujrzałem dno we wzorach jak gwiazdy, białe, czarne i błyszczące zielone kamyki, kolumny wystające z głębi tak wysoko, że przebijały taflę. Ogromna sala, sala należąca do człowieka przeogromnych bogactw, bogactw większych niż u wodza lub księcia. Dostrzegłem, co tak lśni jak gwiazdy. Złote wykończenie w spoinach podłogi, złoto wirujące wokół kolumn, złote liście na kotarach kołyszących się na wietrze.

Do sali wszedł mężczyzna, włosy miał krótkie i czerwone jak jagoda. Nosił czarne boubou, którym omiatał podłogę, i pelerynę, którą wzniecał wiatr. Przepadły, zanim zdążyłem wyraźnie zobaczyć, rozpostarte czarne skrzydła, pojawiły się na jego plecach i zniknęły. Podniósł głowę, jakby dostrzegł coś za moimi plecami. I ruszył w moją stronę. Popatrzył wprost na mnie, oko w oko. Jego szaty rozpostarły się szeroko jak skrzydła wcześniej, a spojrzenie przemieniło się w grom. Krzyknął coś, czego nie usłyszałem, chwycił włócznię strażnika i cofnął się, gotów do rzutu. Odskoczyłem od sadzawki i upadłem na wznak.

I wtedy słowa Lamparta przemknęły mi przez głowę: jedyna droga naprzód wiedzie przed siebie. Lecz przecież to nie był głos Lamparta. Skręciłem na wschód. A przynajmniej moje serce podszepnęło, że to wschód, bo

skąd miałem wiedzieć? Na wschodzie się ściemniało, wciąż jednak widziałem. Za moim ostatnim pobytem na Mrocznych Ziemiach ten duch obwieścił swoją obecność otwarcie jak zabójca, który spętanej ofierze mówi, co jej zrobi, gdy to się właśnie dokonuje. Las był zbyt gęsty, gałęzie zwisały za nisko, abym mógł jechać, zeskoczyłem więc z konia i go poprowadziłem. Swąd spalenizny poczułem wcześniej, niż ich usłyszałem. Wiedziałem, że idą moim tropem.

– Ani on, ani ten większy nie pasują, tak ja mówię.

– Kawałek tego większego? Kawałek to przepustka.

– Ten pobiegnie uciec, tamten pobiegnie uciec, wszyscy pobiegną uciec.

– Chyba że każemy im przejść przez martwy potok. Złe powietrze gna nocnym wiatrem. Złe powietrze prosto przez nos.

– He-he-he-he-he. Ale co zrobimy z tym, co zostanie? Jeść się najemy do syta, resztę zostawimy, popsuje się i zgnije, sępy się nażrą, na tłusto, i jak głód przyjdzie, mięsa znowu być nie będzie.

Ci dwaj zapomnieli, że spotkałem ich wcześniej. Ten głośny to był Euele, rudy i włochaty, o czarnych oczkach jak ziarenka, skaczący po żabiemu. Rozsadzała go wściekłość, rozsadzała niegodziwość i mnóstwo knowań, z których coś by wynikło, gdyby nie był głupszy od zamroczonego kozła. Egbere, ten cichy, ledwie potrafił zaskomleć, gdy płakał za wszystkimi biednymi ludźmi, których pożarł, bo tak bardzo tego żałował, mówił o tym każdemu bogu, który chciał słuchać, żałował, póki znów nie poczuł głodu. A wtedy był większą bestią niż jego krewniak. Egbere, niebieski, kiedy padało na niego światło, inaczej czarny. Bezwłosy błyszczał się w tych miejscach, w których krewniak porósł sierścią. Głos obu brzmiał jak głos szakali przy wściekłym ruchaniu. Awanturowali się i sprzeczali tak bardzo, że zanim przypomnieli sobie, żeby mnie zjeść, wydostałem się z ich pułapki, z sieci utkanej z pajęczyny pająka olbrzyma.

Sangoma nie nauczyła mnie zaklęć, ale obserwowałem ją podczas czarowania i opanowałem słowa. Wielką stratą czasu było rzucanie na nich uroku, jednak straciłbym go znacznie więcej, gdybym czekał, aż przygotują swoją zmowę. Wyszeptałem do nieba zaklęcie Sangomy. Dwa małe gomidy wciąż się spierały, nawet w trakcie przeskakiwania z gałęzi na gałąź ponad moją głową. I nagle:

– Gdzie on? Gdzie on gdzie? Gdzie poszedł przepadł?

– Ktoktokto?

– Ononon! Patrz patrz patrz!

– Gdzie poszedł przepadł?

– Tak przecież mówię, głupi ty.

– Poszedł przepadł.

– Gówno śmierdzi, siki cuchną, a głupi to głupi jak ty.

– Przepadł przepadł. Koń jego. Koń jest.

– On będzie ona.

– Kto ona?

– Koń.

– Koń, koń, weźmy go.

Zeskoczyli z drzewa. Żaden nie miał broni, ale obaj otworzyli paszcze szerokie jak rozcięcie od ucha do ucha, pełne kłów, długich, spiczastych, licznych. Egbere rzucił się w kierunku konia, żeby mu wskoczyć na zad, lecz wpadł na moje wierzgające nogi i pięta strzaskała mu nos. Z wrzaskiem runął do tyłu.

– Czego mnie kopiesz, synu kurewskiej półkocicy?

– Ja za tobą, głupi. Jak mnie cię kopnąć w…

Zamachnąłem się toporem prosto w czoło Egbere i zaciąłem głęboko, wyszarpnąłem ostrze i chlasnąłem go w szyję. Uderzyłem jeszcze raz i jesz-

cze, aż łeb odpadł. Euele wrzeszczał i wrzeszczał, że wiatr morduje mu brata, że wiatr morduje mu brata.

– Myślałem, że to twój krewniak – powiedziałem.

– Kto tu, co za demon nieba, co ubił mi brata?

Znam gomidy. Zdenerwowane tracą opanowanie. Ten nigdy nie przestałby płakać.

– Ubiłeś mi brata!

– Zamknij paszczę. Głowa mu odrośnie za siedem dni. Chyba że topór był zakażony, wtedy wyrośnie mu duża bania ropy.

– Pokaż się! Łaknę cię zabić.

– Zabijasz tylko mój czas, trollu.

„Nie masz czasu”, powiedział ktoś w mojej głowie. Tym razem go usłyszałem. To był on, rozmawiał ze mną, taki, jakiego go znałem, okazując serdeczność starego przyjaciela, ale tylko w słowach, bo zrobiło się zimniej niż w dolnych sferach krainy umarłych, do której zabrnąłem dawniej we śnie. Głos wyrwał mnie z zaklęcia, Euele mnie dopadł. Wrzasnął i rozwarł paszczę szeroko, ostre kły mu urosły, był już tylko paszczą i zębiskami jak wielkie ryby, które widziałem w głębinach morskich. I sił mu przybywało, im bardziej się wściekał. Odepchnąłem go ręką od swojej twarzy, ale włosy miał śliskie. Kłapał kłami, kłapał i kłapał, pofrunął wzwyż i zniknął w powietrzu. Mój koń przepłoszył go kopniakiem. Wskoczyłem na grzbiet i odjechałem.

„Po co wróciłeś?”

– Nie wróciłem. Jestem tu przejazdem.

„Przejazdem. Ale podążasz szlakiem”.

– Koń nie może długo jechać po lesie.

„Wiedziałem”.

– Pierdolić bogów, tyle jest warte wszystko, co wiesz.

„Wiedziałem, że wrócisz”.

– Pierdolić bogów.

„Jaką historię ułożyliby o tobie grioci? Nie jesteś żadną opowieścią. Człowiek niepożyteczny dla nikogo. Człowiek, na którym nikt nie polega, któremu nikt nie ufa. Snujesz się jak duchy i demony, lecz nawet ich snucie się ma cel”.

– Czy tylko tym są ludzie? Własnym celem, pożytkiem?

„Nie masz celu. Jesteś człowiekiem, którego nikt nie kocha. Kto za tobą zapłacze, gdy umrzesz? Twój ojciec zapomniał o tobie, zanim się urodziłeś. Wychowano cię w domu, w którym ludzie zamordowali pamięć. Co z ciebie za bohater?”

– Tego pragniesz? Bohatera?

„Mam wieści od twojego ojca i brata”.

Pohamowałem konia.

– Czy znowu czują rozczarowanie? Czy ze wstydem zwieszają głowy w podziemiach? Chyba nigdy się nie zmienią, mój ojciec i mój brat.

„Mam wieści o twojej siostrze”.

– Nie mam siostry.

„Wiele się wydarzyło, odkąd wyprowadziłeś się z domu swojej matki”.

– Nie mam siostry.

„A ona nie ma brata. Ale ma ojca, który jest także jej dziadkiem. I matkę, która jest także siostrą”.

– I twierdzisz, że to ja przynoszę hańbę swojej rodzinie?

„Czego chcesz?”

– Chcę, żebyś mnie zabił albo umilkł.

„Jaki człowiek nie ma przymiotów?”

– Oszałamiające, że jak na ducha tak bardzo zależy ci na tym, co pomyślą zwykli ludzie. Mówisz o celu, jakby bogowie wysrali go z boskiej dupy,

a potem dali człowiekowi, bo mógłby dostrzec różnicę. Miałem cel, nadany mi przez mój ród, ojca i dziada. Miałem cel i powiedziałem im, żeby się z tym celem pierdolili. Używasz tego słowa, jakby było w nim coś szlachetnego, wziętego od najlepszych bogów. Cel to bogowie mówiący to, co mówią królowie ludziom, którymi chcą władać. Złamanego kutasa niewart twój cel. Chcesz wiedzieć, jaki mam cel? Zabić tych, którzy zabili mojego brata i ojca, przez co został tylko dziadek, który ruchał moją matkę. Zabić tych, którzy zabili mojego brata, a zabili go, bo zabił jednego z nich. Który zabił jednego z naszych, bo ten zabił jednego z nich, i tak bez końca, aż bogowie zdążą wymrzeć. Mój cel to pomścić moją przelaną krew, aby pewnego dnia mogli przyjść i szukać pomsty na mnie. A więc nie, nie chcę mieć celu i nie chcę dzieci urodzonych z mojej krwi. Chcesz wiedzieć, czego chcę? Chcę wytracić ten ród. Tę chorobę. Skończyć z tą trucizną. Moje rodowe imię kończy się na mnie.

„Jestem twoim…”

– Jesteś Andżonu i nudzisz mnie.

Coś na kształt krzyku przeszyło busz. Te same liście otarły się o moje ramiona, te same wonie mnie owionęły. Dotarłem na polanę, którą właśnie niedawno opuściłem. W tych stronach drzewa były podstępne.

„Zamykasz umysł, jak naburmuszone dziecko zaciska piąstki”.

Trafiliśmy na inną polanę, gdzie trawa była niska, a powietrze wieczorne. Lub wczesnoporanne. Na Mrocznych Ziemiach zawsze było mroczno, ale nigdy nocnie. Nigdy głęboka noc, nigdy południe umarłych. Na polanie, zbudowana wokół pnia dereniowca, stała chata zlepiona krowim łajnem. Suchym, a jednak roztaczającym świeży smród. Za chatą, na wznak, z szeroko rozłożonymi nogami, leżał ogo.

– Sadogo.

Nie żył.

– Sadogo?

Spał.

– Sadogo.

Stęknął i spał dalej.

– Sadogo.

Znowu stęknął.

– Szalony małpiszon, szalony małpiszon – powiedział.

– Obudź się, Sadogo.

– Nie, nie… spać nie… nie… nie śpię.

Po prawdzie myślałem, że przez sen gada jak obłąkany. Albo może dopadła go najgorsza zmora i nie wiedział, że śpi.

– Szalony małpiszon…

– Co zrobił małpiszon?

– Szalony… szalony… dmuchnął pyłem z kości.

Proch z kości. Tym sposobem Andżonu próbował mnie kiedyś zniewolić, ale miałem na sobie ochronę Sangomy, nawet w tym lesie. Potem uczył się więcej niegodziwości, usiłował odkryć to, czego nie objęło zaklęcie Sangomy. Twierdził, że przemawia do głowy człowieka, nawet do jego ducha, ale był tylko demonem niższej rangi, który gardził swoją postacią i rzucał zaklęcie ogudu na każdego, kogo los skazał na spotkanie z nim. Dmuchał prochem z kości i wtedy ciało zapadało w sen, umysł jednak był przytomny i przerażony.

– Sadogo, dasz radę usiąść?

Spróbował się podnieść, ale zaraz runął. Uniósł tułów i oparł się na łokciach. Znieruchomiał, głowa opadła mu do tyłu jak sennemu dziecku, aż nagle się ocknął.

– Przekręć się i dźwignij – powiedziałem.

Skoro proch z kości aż tak odurzył ogo, pozbawiając go sił, to pozostali dwaj z pewnością spali snem głębszym niż umarli. Sadogo wciąż zbierał się z ziemi.

– Powoli… powoli… wielki olbrzymie.

– Nie jestem olbrzymem. Jestem ogo.

Wiedziałem, że to go rozzłości. Dźwignął się do pozycji siedzącej, lecz głowa wciąż mu się kiwała.

– Nazywają cię olbrzymem. Olbrzymem!

– Nie olbrzymem – próbował krzyknąć, ale bełkot zniekształcił słowa.

– Racja, nie jesteś nikim ważnym, tylko ślinisz się na ziemi.

Wstał i zachwiał się tak gwałtownie, że bezradny uchwycił się drzewa. Gdybyśmy musieli uciekać, zostałby w tym lesie na zawsze. Potrząsnął głową. Wtedy zagrałby pijaka. Gdyby przyszło do walki, runąłby jak kłoda na naszych wrogów, a to też nie byłyby przelewki.

– Szalony małpiszon… pył… w środku… włoż… w środku…

– Tamci są w środku?

– Hę?

– W chacie są?

– Przecież powiedziałem.

– Tylko mi się nie gorączkuj, olbrzymie.

– Tylko nie olbrzymie!

To sprawiło, że wreszcie się wyprostował. I zaraz znowu przygarbił. Podszedłem i złapałem go za ramię. Spojrzał na moją rękę i odwrócił twarz, jakby nic dziwniejszego nigdy nie spoczęło na jego ciele.

– Pył z kości to ulubiona sztuczka Andżonu, ale za pięć obrotów klepsydry będziesz jak nowo narodzony. Najwidoczniej jesteś pod działaniem tej trucizny.

– Pył z kości, szalony małpi…

– Ciągle to powtarzasz, Sadogo. Andżonu to podły, szkaradny duch, ale nie małpa.

Myśl błysnęła mi w głowie. Andżonu lubi dręczyć, ale dręczy krwią, rodziną. Dlaczego miałby rzucić zaklęcie na ogo, Lamparta, nawet na chłopaka? Na Mrocznych Ziemiach są umarli, nienarodzeni, podobni duchom i wypuszczeni z podziemnych światów. Nie widziałem takich wielu, zapomniałem więc, że roi się tutaj także od okrutnych stworzeń urodzonych na opak. Gorszych niż te człekorękoskrzydłe, co śpią i się ślinią.

– Zmieścisz się do środka, ogo?

– Tak. Próbowałem odejść wcześniej, ale upadłem… upadłem… upadłem…

– To nie potrwa długo.

W chacie nie było czuć krowiego łajna, lecz mięso zapeklowane w soli. W chacie roztaczała się jasność, ale znikąd, oświetlała czerwony dywan pośrodku i ścianę z nożami, piłami, kordelasami i grotami strzał. Lampart leżał twarzą na dywanie, plecy w cętkach, spód ramion najeżony sierścią. Próbował się odmienić, ale ogudu trzymało go mocno. Kły mu wyrosły, sterczały z ust. Fumeli leżał na wznak na klepisku. Pochyliłem się nad Lampartem i dotknąłem jego potylicy.

– Kocie, wiem, że mnie słyszysz. Wiem, że chcesz wstać, ale nie możesz.

Widziałem go w myślach, próbującego się poruszyć, próbującego odwrócić głowę, próbującego zamrugać oczami. Ogo, wciąż na miękkich nogach, wszedł przez drzwi i wyrżnął czerepem w sufit.

– Chata z łajna i z drzwiami? – spytał.

– Wiem.

– Patrz, dru…gie.

Kolejne drzwi w jednej linii z pierwszymi, po przeciwległej stronie chaty. Ogo pochylił się za bardzo i potknął. Oparł się o ścianę.

– Kto zamknął te drzwi? Kto wprawił… tak dużo rygli?

Wyglądały na ukradzione z innej chaty. Zamki i rygle ciągnęły się po jednej stronie, od góry do ziemi.

„To jest…”

– To jest co?

– Co… co jest co?

– To nie do ciebie, Sadogo.

– Więc czemu… moja głowa ciągle kołysze się na morzu.

„Znasz te drzwi”.

– Przestań do mnie mówić.

– Nie mówię.

– To nie było do ciebie, Sadogo.

„We wszystkich krainach jest tylko dziesięć i dziewięć takich drzwi i jedne w tym lesie, który nazywasz Mrocznymi Ziemiami”.

– Sadogo, dasz radę nieść Lamparta?

– Czy dam…

– Sadogo!

– Tak, tak, tak, tak, tak.

– Ja poniosę chłopca.

„Dziesięć i dziewięć drzwi, zapewne o nich słyszałeś”.

– Kolejna sztuczka.

– Do kogo mówisz? – spytał Sadogo.

– Do mało ważnego demona, który nie chce być cicho.

– Kiedyś pracowałem dla handlarzy niewolników.

– Nie teraz, Sadogo.

– Nie wiem, czemu głowa ciągle kołysze się na morzu. Niejeden świt nastał, gdy pracowałem dla handlarza niewolników. Pewnego razu w pojedynkę zdławiłem bunt niewolników, tymi rękami, co tu widzisz. Powiedzieli, że mogę zabić pięciu, bo to nie wpłynie na zyski, to zabiłem pięciu. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Wiem, dlaczego ich zabiłem, ale… moja głowa na morzu… nie wiem, dlaczego byłem w służbie u handlarza… Wiesz, że nie ma samic ogo… albo tylko ja nie znalazłem żadnej we wszystkich krainach, do których dotarłem. Wiedz to, Tropicielu… dlaczego chcę ci o tym mówić, dlaczego chcę ci mówić? Nigdy… nigdy… nigdy nie byłem z kobietą, bo z kim może się ogo połączyć, żeby nie zabić… czy taki jej nie zabije…

Zadarł spódnicę. Długiego miał i grubego jak moje przedramię.

– A jakby nie zabił, to umarłaby od rodzenia małego ogo. Nie znam swojej matki, żaden ogo nie zna. Król Południa próbował wyhodować naszą rasę do walki na ostatniej wojnie. Porywał dziewczyny… niektóre bardzo młode… niektóre za małe do rodzenia… niegodziwość, czary, magia południowej pory. Ani jednego ogo nie wyhodował, ale potwory teraz grasują po świecie. Nie jesteśmy rasą… Jesteśmy nieszczęściem.

– Bierz Lamparta, Sadogo – powiedziałem.

Pochylił się, wciąż na chwiejnych nogach, chwycił Lamparta w pasie i zarzucił go sobie na prawe ramię. Fumelego, który był tak lekki, jak myślałem, przewiesiłem sobie przez plecy. Podniosłem jego łuk. Ogo podszedł do drzwi i przystanął.

– Szalony małpiszon…

– Sadogo, nie ma żadnego szalonego małpiszona. Andżonu próbował cię okpić.

Kafin ka ga biri, biri ya ganka.

– Szalony małpiszon…

– Sadogo, zrób…

– Szalony małpiszon… przed chatą.

„Zanim zobaczysz małpę, małpa zobaczy ciebie”.

Znowu ten wrzask. Długie piskliwe EEEEEEEEE pośród liści. Podszedłem do drzwi. Stwór znajdował się może dwieście kroków ode mnie, ale poruszał się bardzo szybko. Szybciej niż galopujący koń, zbliżał się do chaty. Wymachiwał rękami, sadził wielkie susy, kolanami prawie uderzając o podbródek. Raz, dwa razy zatrzymał się i wystawił nos do góry, węsząc pod wiatr, potem spojrzał w naszą stronę i rzucił się ponownie do ataku, zgrzytając zębami i plując. Wywijał i chlastał powietrze grubym ogonem. Skóra jak u człowieka, ale zielona niczym zgnilizna. Biegł z łbem wysuniętym do przodu, ślepia wytrzeszczone, prawe małe, lewe większe i kopcące dymem. Wrzasnął znowu, płosząc duchy ptaków. Chyży. Powiewało na nim podarte sukno.

– Drzwi, Sadogo, drzwi!

Ogo zrzucił Lamparta z ramienia, zatrzasnął drzwi i zasunął trzy rygle w poprzek. Coś uderzyło w drzwi jak piorun. Sadogo podskoczył. EEEEEEEEEEE, znowu zaryczał stwór, aż mogłyby od tego ogłuchnąć wszystkie dusze w tym lesie.

– Psiamać – powiedziałem.

Ściany chaty zrobiono z lepkich liści i suchego gówna. Stwór wybiłby dziurę na wylot, gdyby tylko się zorientował, że może to zrobić. Walił i walił jednak w drzwi i stare drewno zaczęło pękać. Znowu EEEEEEEEEEE i znowu. Sadogo podniósł Lamparta.

– Drzwi – powiedział.

Myślałem, że chodzi mu o te z przodu, ale skinął głową w tył. Stwór wybił dziurę w drewnie i przystawił twarz do otworu. Twarz ukształtowaną jak u człowieka, co się parzył z diabłem. Lewe oko naprawdę dymiło.

Nochal płaski jak u małpy i długie zepsute zęby. Warknął i splunął w dziurę, następnie się odsunął. Słyszałem jego stąpanie, kroki coraz szybsze i głośniejsze, biegł, brał rozpęd, nacierał na drzwi. Zawiasy pękły, lecz wytrzymały. Morda znowu widoczna w dziurze. EEEEEEEEEEE. Odbiegł, aby zaszarżować jeszcze raz.

Sadogo chwytał i wyrywał po kolei wszystkie rygle z tylnych drzwi. Szalony małpiszon natarł w biegu i przebił drewno łbem. Próbował go wyciągnąć, lecz utknął. Spojrzał na nas, ryknął, zawył i warknął i usłyszałem, że chłoszcze ogonem ściany chaty. Odwróciliśmy się do tylnych drzwi i wtedy znów pojawiły się wszystkie rygle, które wyrwał Sadogo.

– Za trzecim razem wyważy – powiedziałem.

– Co to za czary… co za czary? – pytał Sadogo.

Stałem obok niego, przyglądałem się drzwiom. Owszem, czary były w robocie, a mój nos nie przydałby się na nic w odczynieniu ich mocy. Wyszeptałem słowa zaklęcia, którego nigdy wcześniej nie słyszałem, chyba że zawodziła mnie pamięć. Nic. Inaczej niż przed domem w Malakalu. To było coś z mowy Sangomy, nie mojej. Wyszeptałem znowu, tak blisko, że moje usta niemal ucałowały drewno. Płomień zaiskrzył się w prawym górnym rogu i rozlał dokoła framugi. Gdy zniknął ogień, zniknęły też rygle.

Sadogo wyminął mnie i pchnął drzwi na oścież. Wdarło się białe światło. EEEEEEEEEEE, zawył szalony małpiszon. Chciałem zostać i walczyć z nim, ale miałem dwóch śniętych i jednego, który zaraz mógł paść bez zmysłów.

– Tropicielu – powiedział Sadogo.

Wnętrze zalał biały blask. Podniosłem Fumelego. Ogo wziął Lamparta i pierwszy ruszył przez drzwi, ja powlokłem się za nim. Huk za plecami kazał mi się odwrócić i w tej samej chwili ustąpiły pierwsze drzwi. Szalony małpiszon wpadł z wrzaskiem do środka, ale gdy wyszczerbionymi kłami

dosięgnął tylnych drzwi, zatrzasnęły się, a wokół nas zapadły ciemność i cisza.

– Co to za miejsce? – zapytał Sadogo.

– Las. Jesteśmy w le…

Wróciłem do drzwi za plecami. Cóż innego robiłem, jeśli nie popełniałem błędu, mimo to otworzyłem, tylko odrobinę, i zajrzałem do środka. Zakurzona sala o kamiennej posadzce, od podłogi do sufitu piętrzyły się księgi, zwoje, arkusze i pergaminy. Ani śladu wyważonych drzwi. Ani śladu szalonego małpiszona. Na końcu nowego pomieszczenia były kolejne drzwi, które otworzył Sadogo.

Słońce. Rozbiegane dzieci kradły ze straganów, kobiety nawoływały się i targowały. Kupcy łypali w nadziei na dobrą transakcję, handlarze niewolników zachwalali czerwone ciała pośród przysadzistych szerokich domów, domów strzelistych i wąskich, a w oddali wielka wieża, którą znałem.

– Jesteśmy w Mitu? – spytał Sadogo.

– Nie, przyjacielu. W Kongorze.

3

JEDNO DZIECKO PONAD SZEŚĆ

Ngase ana garkusa ura a dan garkusa inshamu ni.




KONGOR
1. DOM UCIECH I ROZRYWEK PANNY UADADA
2. DOM BASU FUMANGURU
3. ZAUŁEK WYTWÓRCÓW PACHNIDEŁ
4. WIEŻA CZARNEGO KROGULCA
5. DOM PANA DOMOSTWA
6. FORTECA WOJSK WODZA KONGORU
7. WIELKA SALA ARCHIWÓW
8. PODUPADŁY STARY DOM
9. KANAŁ NIMBE
TRAKT GRANICZNY
NYEMBE
TAROBE
TRAKT GRANICZNY
TRAKT GRANICZNY
TRAKT GRANICZNY
NIMBE
DOKI PORTOWE
STARE TAROBE (ZALANE)
GALLUNKOBE/
MATYUBE
N

11

Umarłych zostaw umarłym. Tak mu powiedziałem.

– Przed naszym wypadem na Mroczne Ziemie czy potem?

– Przedtem, potem, umarli to umarli. Bogowie kazali mi mi czekać. Spójrz, jesteś żywy i cały. Zawierz bogom.

Sogolon popatrzyła na mnie bez cienia uśmiechu ani szyderstwa na twarzy. Jedynym wyrazem większej obojętności z jej strony byłaby próba dociekań.

– Bogowie musieli ci kazać czekać?

Obudziłem się, gdy słońce wytoczyło się już na środek nieba i wycisnęło cienie na ziemi pod stopami. W pomieszczeniu bzyczały muchy. Zasnąłem i obudziłem się trzy razy, Lampart i Fumeli ani razu, tylko ogo mógł wreszcie zrzucić z siebie ociężałość spowodowaną ogudu. Pokój był zaciemniony i skromny, ze ścianami w zielonobrązowym kolorze świeżego kurzego łajna, z workami ułożonymi w stos aż po sufit. Wysokie posągi stały oparte jeden o drugi, opowiadały sobie sekrety o mnie. Podłoga pachniała zbożem, kurzem, flakonikami pachnideł zagubionymi w mroku i szczurzym gównem. Na dwóch przeciwległych ścianach wisiały tkaniny aż do podłogi, niebieskie ukuru z białymi wzorami przedstawiającymi kochanków i drzewa. Leżałem na podłodze wsparty i przykryty kocami i dywanami w wielu kolorach. Sogolon stała przy oknie, w tej brązowej skórzanej sukni, którą zawsze nosiła. Patrzyła na dwór.

– Zostawiłeś cały swój umysł w lesie.

– Mój umysł jest tutaj.

– Jeszcze go tu nie ma. Trzeci raz mówię, że wędrówka dokoła Mrocznych Ziem zajmuje trzy dni, nam trzeba cztery.

– W lesie minęła tylko jedna noc.

Sogolon miała śmiech jak świst.

– Więc przybyliśmy o trzy dni za późno – powiedziałem.

– Przepadłeś w tym lesie na dwadzieścia i dziewięć dni.

– Co?

– Cały księżyc przyszedł i odszedł, odkąd zagłębiłeś się w busz.

Być może i tym razem, podobnie jak poprzednio dwukrotnie, gdy to powiedziała, oszołomiony znów padłem na dywany. Wszystko, co żyło, miało dwadzieścia i dziewięć dni – pełny księżyc – żeby urosnąć, łącznie z prawdą i fałszem. Ludzie na wędrówce dawno już wrócili. Przez ten czas urodzone zestarzały się, inne pomarły, a martwe rozpadły się w proch. Słyszałem o wielkich bestiach, które zasypiają na zimną porę roku, o ludziach, których dopada choroba i którzy nigdy już się nie podnoszą, ale miałem poczucie, jakby ktoś skradł mi moje dni i tego kogoś, kim byłbym w tym czasie. Skradł moje życie, mój oddech, mój krok, i teraz mi zaświtało, dlaczego nienawidziłem czarodziejstwa i wszelkiej magii.

– Byłem wcześniej na Mrocznych Ziemiach. Wtedy czas nigdy nie stanął.

– A ktoś ten czas liczył dla ciebie?

Wiedziałem, co ma na myśli, co się kryje pod dwuznaczną mową wiedźmy. Tak naprawdę spytała, choć nie na głos, tylko słowem w słowie, czy jest na świecie taki, który troszczyłby się o mnie na tyle, aby policzyć moje utracone dni. Spojrzała mi w oczy, jakby oczekiwała odpowiedzi. Albo przynajmniej połowicznej odpowiedzi, na którą mogłaby zareagować

pełną drwiną. Lecz ja tylko patrzyłem na nią uparcie, aż wreszcie odwróciła wzrok.

– Pełny księżyc przyszedł i odszedł, odkąd ruszyłeś do buszu – powtórzyła, jednak łagodnym tonem, jakby zwracała się do kogoś innego. Wyjrzała przez okno. – Tylko dlatego, że pokładam wiarę w bogów, przez trwanie jednego księżyca przebywam w Kongorze. Gdyby moja wola była nad bogami, całe to miejsce i każdy człowiek w nim spłonęliby do szczętu. W Kongorze nie wolno ufać nikomu.

– Nie wolno ufać nikomu nigdzie – odparłem.

Wzdrygnęła się, kiedy zobaczyła, że usłyszałem jej słowa.

– Jestem wdzięczny, że zaczekałaś w mieście, które ci nie służy – powiedziałem.

– Nie dla ciebie to zrobiłam. Nawet nie dla bogini.

– Czy winienem zapytać dla kogo?

– Za dużo dzieci w Kongorze nie ma zakończenia dla historii swojego życia. To starsze niż dwieście lat, to starsze, niż gdy sama byłam mała. Niech zatem ten będzie jedynym dzieckiem, którego historia ma zakończenie, choćby ponure, niech nie będzie kolejnym, które wypłynie bez głowy, gdy cofną się wody zalewu.

– Straciłaś dziecko? A może byłaś tym dzieckiem?

– Powinnam rozpiąć odległość między sobą a tym miastem. Odejść cztery noce po tym, gdy się nie zjawiłeś. Ostatnim razem, jak wędrowałam tymi drogami, pewien człowiek wysokiego pochodzenia zapłacił pięciu, aby mnie porwali, bo wtedy pokazałby mi, do czego stworzona jest brzydka kobieta. Właśnie tutaj, w Torobe. Nie mógł bić swojej żony, bo była z królewskiej krwi, więc mnie chciał spętać w tym celu.

– Panowie z Kongoru zawsze byli okrutnikami.

– Ośle o tępym dowcipie, ten człowiek nie był moim panem, lecz moim porywaczem. Każdy człowiek pojmuje różnicę.

– Mogłaś uciec do prefekta.

– To człowiek.

– Urzędnik.

– Człowiek.

– Członek starszyzny, przychylne ucho, śledczy, jasnowidz.

– Człowiek. Człowiek. Człowiek.

– Sprawiedliwość mogła dopaść twojego porywacza.

– Sprawiedliwość nastała. Kiedy poznałam zaklęcie, a ciąża pożarła jego żonę od środka. I coś weszło w tego mężczyznę.

– Czary?

– Mój nóż.

– Kiedy ostatnim razem wędrowałaś przez Kongor?

– Dług u Amadu podwoił się z powodu mego powrotu.

– Kiedy ostatnim razem, Sogolon?

– Już ci powiedziałam.

Hałas dobiegł do okna, miał szyk, rytm i krok, szuranie, stukot sandałów i butów, kłus kopyt na ubitej ziemi i ludzie, którzy ochami odpowiadali na achy innych ludzi. Podszedłem do Sogolon i wyjrzałem przez okno.

– Nadciągają ze wszystkich zakątków Północy, a niektórzy znad południowej granicy. Ci z pogranicza noszą czerwone chusty na lewym ramieniu. Widzisz ich?

Ulica ciągnęła się za rogiem, kilka pięter poniżej. Jak większość budowli w Kongorze dom postawiono z błota i kamienia, i zaprawy, by deszcze nie rozmyły murów, choć boczna ściana wyglądała jak oblicze człowieka chorego na ospę. Wysoki na sześć pięter, szeroki na dwanaście okien, niektóre za drewnianymi okiennicami, inne otwarte, jeszcze inne z podestem na

zewnątrz dla roślin, ale nie dla ludzi, choć na niejednym stały i siedziały dzieci. W istocie cały dom wyglądał jak duży plaster miodu. I jak wszystkie budynki w Kongorze wydawał się wykończony ręcznie. Wygładzony dłońmi i palcami, wymierzony wedle starej nauki opartej na zaufaniu do boga umiejętności i tworzenia, aby określić właściwą wagę i właściwą wysokość. Niektóre okna nie ciągnęły się w jednej linii, ale wyżej i niżej jak wzór, inne były dłuższe od pozostałych, pozbawione idealnego kształtu, lecz gładkie i dopracowane dzięki trosce mistrza albo trzaskowi jego bata.

– Ten dom należy do mężczyzny z dzielnicy Nyembe. On jest moim dłużnikiem za wiele spraw i wiele żywotów.

Podążyłem wzrokiem za spojrzeniem Sogolon, gdy popatrzyła z okna w dół. Ulicą krętą jak droga węża nadchodzili ludzie. Grupy po trzech i czterech sunęły równym krokiem, aż wyglądało jak marsz. Nadciągali ze wschodu, mężczyźni na biało-czarnych koniach z czerwonymi wodzami, niezakrytych od łba po ogon jak ogiery z Dżuby. Pod naszym oknem przeszło dwóch mężczyzn ramię w ramię. Ten bliżej ulicy nosił hełm z lwiej grzywy i czarny płaszcz obszyty złotem, z rozcięciami po bokach, a pod spodem białą szatę. Za pasem miał długi miecz. Jego towarzysz trzymał głowę pozbawioną włosów. Na ramiona zarzucił długi czarny szal przykrywający luźną czarną koszulę i białe spodnie oraz lśniącą czerwoną pochwę z bułatem w środku. Wijącą się ulicą nadjechało trzech konno, wszyscy w czarnych zawojach, aby zasłonić oblicza, do tego kolczugi, czarne szaty na nogach w zbroi, lanca w jednej ręce i wodze w drugiej.

– Czyja to armia się zbiera?

– Nie armia. To nie ludzie króla.

– Najemnicy?

– Tak.

– Kto? Mało czasu spędziłem w Kongorze.

– Wojownicy Siedmiu Skrzydeł. Czarny ubiór z wierzchu, biały od spodu, tak jak ich godło, czarny krogulec.

– Czemu się zbierają? Nie ma wojny ani nawet wieści o wojnie.

Odwróciła wzrok.

– Nie ma na Mrocznych Ziemiach – odrzekła.

Wpatrzony w zbierających się najemników odpowiedziałem:

– Przyszliśmy z lasu.

– Las nie prowadzi do miasta. Las nie prowadzi nawet do Mitu.

– Są drzwi i są drzwi, wiedźmo.

– Wyglądają jak drzwi, które znam.

– Mądra kobieto, czyż nie wiesz wszystkiego? Jakie drzwi zamykają się same przed sobą i już ich nie ma?

– Jedne z dziesięciu i dziewięciu. Mówiłeś o tym przez sen. Nie wiedziałam o drzwiach na Mrocznych Ziemiach. Wywęszyłeś?

– A teraz jeszcze na żarty ci się zbiera.

– Skąd wiedziałeś, że na Mrocznych Ziemiach są drzwi?

– Po prostu wiedziałem.

Wyszeptała słowo.

– Co? – spytałem.

– Sangoma. To niechybnie czary sangomy nosisz na sobie, skoro umiesz zobaczyć, mimo że oczy u ciebie ślepe. Nikt nie wie, jak nastaje dziesięć i dziewięć drzwi. Chociaż wiekowi grioci mówią, że każde dziełem bogów. Nawet starszy ze starszyzny spojrzy na ciebie i rzeknie: głupcze, nigdy nic takiego się nie dzieje w żadnych światach nad i pod niebem. Inni ludzie…

– Masz na myśli wiedźmy?

– Inni ludzie powiedzą, że wędrują po drogach bogów, gdy przemierzają ten świat. Przejdź przez jedne drzwi i proszę, jesteś w Malakalu. Przejdź przez inne na Mrocznych Ziemiach i spójrz, znalazłeś się w Kongorze.

Przejdź przez kolejne i trafisz nawet do południowego królestwa jak Omororo lub na morze, a pewnie i do królestwa nie z tego świata. Niektórzy tyle czasu poświęcają, aż osiwieją, żeby znaleźć jedne takie drzwi, a tobie wystarczy powąchać.

– Bibi był z Siedmiu Skrzydeł – powiedziałem.

– Był tylko eskortą. Wyczuwasz grę, w którą nikt nie gra.

– Siedem Skrzydeł służą temu, kto płaci, a nikt nie płaci więcej niż nasz wspaniały Król. Tutaj zbierają się przed tą strażnicą.

– Podążaj tropem małych spraw, Tropicielu. Wielkie sprawy zostaw wielkim światowcom.

– Jeśli tylko dlatego się obudziłem, to wracam spać. Jak się mają Lampart i ogo?

– Obdarzeni pomyślnością przez bogów, powoli dochodzą do siebie. Co to za szalony małpiszon? Zgwałcił ich?

– Zabawne, nie przyszło mi do głowy zapytać. Może zamierzał wyssać im dusze i wylizać uczucia.

– Ba, ba! Twoje cierpkie słowa mnie męczą. Ogo stoi rzecz jasna, bo nigdy nie upada.

– To jest mój ogo. Czy dziewczyna ciągle jedzie z tobą?

– Tak. Dwa dni musiałam jej ręką wybijać z głowy głupią myśl o powrocie do zogbanu.

– Jest kulą u nogi. Zostaw ją w tym mieście.

– Co za dzień, że mężczyzna mówi mi, co mam robić. Nie wspomnisz o dziecku?

– O kim?

– O tym, z powodu którego przybyliśmy do Kongoru.

– O. Jakie usłyszałaś wieści o domu w ciągu tych dwudziestu i dziewięciu straconych dni?

– Nie poszliśmy tam.

To „poszliśmy” zostawiłem sobie na kolejną rozmowę.

– Nie wierzę ci – odpowiedziałem.

– Co za dzień, że obchodzi mnie, w co wierzy mężczyzna.

– Co za dzień, że nadchodzą takie dni. Ale jestem zmęczony, a Mroczne Ziemie odebrały mi waleczność. Poszłaś do tego domu czy nie?

– Przyniosłam pokój dziewczynie, którą potwory najpierw karmią, aby później mieć posiłek z jej ciała. I czekam, aż wrócisz do przydatności. Chłopiec jest tak samo zaginiony, jak był.

– W takim razie powinniśmy iść.

– Wkrótce.

Chciałem wskazać, że nikt z naszej drużyny nie wydaje się chętny, aby wypełnić misję i odnaleźć tego chłopca, a moje „nikt” znaczyło „ona”, lecz podeszła do drzwi i zauważyłem, że drzwi nie ma, była tylko zasłona.

– Kto jest właścicielem tego domu? Czy to zajazd? Gospoda?

– Powtarzam. Człowiek, co ma za dużo pieniędzy i jest mi winien mnóstwo przysług. Wkrótce się z nim spotkamy. Teraz biega jak kurczak bez łba, chce zbudować inny pokój albo podłogę, albo okno, albo klatkę.

Gdy się obejrzała, była już za zasłoną.

– Ten dzień jest miniony. A Kongor nocą to inne miasto. Idź zajrzeć do swojego kota i olbrzyma – nakazała.

Dopiero wtedy moja głowa przypomniała sobie, że Sogolon mówiła, że ma ponad trzysta lat. Nic bardziej nie świadczyło o starości niż stara kobieta sądząca, że jest jeszcze starsza.

Ogo siedział na podłodze, przymierzał swoje żelazne rękawice, tak mocno uderzając lewą dłonią, że mała błyskawica strzeliła w jego palcach. Miał to wypisane na twarzy, otępiałość. Potem, gdy uderzył w rękę, wpadł we wściekłość, aż parsknął przez zęby. I znów oklapł. Kiedy stanąłem przed

nim, siedzącym, wtedy po raz pierwszy nasze spojrzenia spotkały się na tej samej wysokości. Słońce dopiero schodziło z zenitu, ale w jego pokoju pociemniało jak wieczorem. Przechowywano tam różne rzeczy. Poczułem nosem orzeszki kola, piżmo cywetowe i ołów, a dwa, trzy piętra niżej suszoną rybę.

– Sadogo, siedzisz tu jak żołnierz palący się do bitwy.

– Palę się do zabijania – odpowiedział i ponownie uderzył pięścią w dłoń.

– Niedługo może się stać zadość twojemu pragnieniu.

– Kiedy wracamy na Mroczne Ziemie?

– Kiedy? Nigdy, zacny ogo. Nie trzeba było iść za Lampartem.

– Nadal byśmy tam spali, gdyby nie ty.

– Albo bylibyście mięsem dla szalonego małpiszona.

Sadogo ryknął jak lew i uderzył pięścią w podłogę. Pokój zadygotał.

– Wyrwę mu ogon z zafajdanego zadka i zmuszę, by go zeżarł.

Dotknąłem jego ramienia. Wzdrygnął się na chwilę, potem zastygł.

– Oczywiście. Oczywiście, ogo. Stanie się tak, jak mówisz. Ciągle chcesz z nami iść? Do tego domu? Szukać chłopca, gdziekolwiek los nas rzuci?

– Tak, pewno, dlaczego miałbym nie chcieć?

– Bo z Mrocznych Ziem niejeden wychodzi odmieniony.

– Jestem odmieniony. Nie widzisz? Tam na ścianie.

Wskazał żelazne ostrze, długie i grube, zbrązowiałe od rdzy. Rękojeść była szeroka dla dwóch dłoni, proste płaskie ostrze do połowy, a dalej zakrzywione w sierp jak nadgryziony księżyc.

– Znasz to? – spytał Sadogo.

– Nigdy nie widziałem nic podobnego.

– Ngombe ngulu. Najpierw chwytałem zbiegów. Mój pan hodował czerwonych niewolników. Jeden uciekł. Bogowie zażądali ofiary. Uderzył mojego pana. Postawiłem go na pomoście straceń. Z ziemi wystawały trzy łodygi bambusa. Popchnąłem go, zmusiłem, by usiadł, pchnąłem go na łodygi i związałem mu ręce na plecach. Dwie małe łodygi wbiłem tuż przy kolanach i splotłem. Był sztywny, zbierał odwagę, ale odwagi nie miał. Urwałem gałąź z drzewa i odarłem z liści. Napiąłem mocno jak łuk. Gałąź była wściekła, chciała się wyprostować, a nie być przygięta do ziemi, ale zawiązać zawiązałem, sznurem z trawy, potem przymocowałem do głowy niewolnika. Mój ngulu jest ostry, tak ostry, że od samego patrzenia oczy broczą krwią. Klinga łowi promienie słońca i migocze jak błyskawica. Niewolnik zaczął krzyczeć. Potem wzywał przodków. Potem błagał. Wszyscy błagają, wiesz? Wszyscy mówią o tym, jak radują się na myśl o dniu, w którym połączą się z przodkami, ale w nikim radości, kiedy taki dzień nadchodzi, każdy tylko płacze, szczy i sra. Zamachnąłem się mieczem, potem zawołałem, ramię moje spadło i ściąłem głowę tuż przy szyi, a gałąź wyrwała się z pęt i wykatapultowała głowę hen daleko. Mój pan był szczęśliwy. Zabiłem stu i siedemdziesięciu i jednego, w tym kilku wodzów i panów. Pośród tych nieszczęśników były i kobiety.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Nie wiem. Ten las. Coś z tym lasem.

Wtedy zobaczyłem Lamparta. W pokoju, leżał na zwiniętych dywanach, jakby spał po kociemu. Fumelego nie było, przepadł, czy ja wiem? Nie myślałem o nim, o nie, dopiero to sobie uświadomiłem, nawet nie zapytałem Sogolon o niego. Lampart próbował się odwrócić, wykręcił szyję.

– W podłodze są dziury, wypalona glina pusta w środku jak bambus.

– Lamparcie.

– Zabierają twoje szczyny i gówno, kiedy po załatwieniu potrzeby wlewasz do dziury wodę z urny.

– Od innych miast Kongor różni się tym, co robią ze szczynami i gównem. I ze zwłokami…

– Kto nas tu umieścił? – spytał, podciągając się na łokcie niezadowolony, że widzę go w tym stanie.

– O tym pomów z Sogolon. Tutejszy pan najwyraźniej winien jest jej wiele przysług.

– Chcę ruszać.

– Jak sobie życzysz.

– Dzisiejszej nocy.

– Nie możemy.

– Nie mówiłem, że my.

– Ruszać? Nawet nie dasz rady wstać. Odmień się, a ustrzeli cię łucznik ślepy na jedno oko. Odzyskaj siły i idź, dokąd chcesz. Powiem Sogolon…

– Nie mów za mnie, Tropicielu.

– W takim razie niech Fumeli mówi za ciebie. No bo czego on by dla ciebie nie zrobił?

– Jeszcze słowo, a…

– A co, Lamparcie? Jaka trucizna tobą owładnęła? Wszyscy cię widzą i to małe chłopięce suczydło też.

Ostatnie słowa rozgniewały go jeszcze bardziej. Dźwignął się z dywanów, ale zachwiał.

– Co cię tak bawi? Tu nie ma nic śmiesznego.

– Nikt nie kocha nikogo. Pamiętasz? Tej mądrości nauczyłem się od ciebie. Słyszałem o wojownikach, mistykach, eunuchach, książętach, wodzach i ich synach. Wszyscy usychają z daremnej miłości do Lamparta. I kto w końcu strzyże ci jaja? Ten mały wypierdek niewart ratunku, choćby był

ostatnim na łodzi. Słuchajcie uważnie, wszyscy w tym domu. Słuchajcie, jak to suczydło zmieniło wielkiego Lamparta w udomowionego kota.

– A teraz patrz, jak ten udomowiony kot w pojedynkę odnajdzie chłopca.

– Kolejny świetny zamysł. A jak ci się udał ostatni? To ja, człowiek, o którego miłości zapomniałeś, nadciągnąłem w porę, aby cię ocalić. I to małe suczydło razem z tobą. Przez to straciliśmy wszystkie konie. Może uratowałem niewłaściwe zwierzę?

– Chcesz podziękowań?

– Po co, prawda mi wystarczy. Dołącz do Nyki i jego kobiety albo wytyczaj nowe szlaki ze swoim suczydłem.

– Jeszcze raz go tak nazwij… Na bogów…

– Odzyskaj siły i ruszaj. Albo zostań. Twoje niezadowolenie nie jest już dla mnie żadną tajemnicą. Ty zawsze Lampartem. Ale może będziesz się trzymał z dala od lasów, których nie znasz. Bo nie będzie mnie w pobliżu, żeby znowu cię ocalić.

Fumeli stanął w drzwiach. Miał łuk i kołczan. Wyprężył się, próbując nadąć pierś. Uśmiać się czy wyrżnąć go w gębę, nie mogłem się zdecydować. Więc tylko przeszedłem obok na tyle blisko, aby go potrącić w progu. Ogudu ciągle w nim było, nikłe resztki, mimo to potknął się i upadł. Wyryczał imię Kuesi, a Lampart zerwał się do półprzysiadu, ale zaraz zachwiał.

– Załatw go – syknął Fumeli.

– Tak, załatw mnie, Lamparcie.

Zgromiłem chłopaka wzrokiem.

– Albo zaznacza w pokoju swój teren, albo nie może nawet wstać, żeby się wysikać gdzie indziej – powiedziałem.

W sieni podeszła do mnie dziewczyna. Znalazła białą glinę i okryła swoje ciało wzorami pod czerwono-żółtą szatą. Z jej głowy zwisał zawój, małe sznurki z kauri i żelazne obręcze, z dwoma kłami z kości słoniowej

przy skroniach. Coś złego mnie napadło, aby wspomnieć o pożeraczach mężczyzn i kobiet. Ale w strojach, kłach i wonnych zapachach ona tylko szukała siebie. Ta myśl była jak dzikie zwierzę.

Noc w Kongorze. To miasto, z najbardziej hardą miłością do wojny i krwi, w którym ludzie gromadzili się, aby patrzeć, jak człowiek i zwierzę rwą ciało na strzępy, wciąż drżało na widok każdego, kto ciało obnażał. Niektórzy mówią, że to wpływ Wschodu, lecz Kongor leżał daleko na zachodzie i tutejsi w nic nie wierzyli. Z wyjątkiem skromności, nowej mody, która oby nigdy nie dotarła do wewnętrznych królestw, przynajmniej do Ku i Gangatom. Chwyciłem długi pasek materiału ukuru leżący w splotach na podłodze mojego pokoju, owinąłem nim biodra, przeplotłem przez ramię jak kobiecą szarfę i umocowałem pasem. Topory straciłem na Mrocznych Ziemiach, ale wciąż miałem noże, więc przypiąłem po jednym do każdego uda. Nikt nie widział, jak wychodzę, więc nikt nie wiedział, dokąd zmierzam.

Miasto, prawie w całości otoczone wielką rzeką, nie potrzebowało murów, jedynie straży rozlokowanych nad brzegiem. I rybaków, statków z towarami, łodzi z ładunkami, napływającymi z północy i południa do portowych doków. Odjeżdżali czymkolwiek, byle się zabrać. W porze mokrej, w środku roku, deszcze zalewały rzekę tak obficie, że Kongor na cztery księżyce stawał się wyspą. Miasto wznosiło się wyżej niż rzeka, ale niektóre drogi na południu były tak nisko położone, że w porze suchej przebywało się je pieszo, w mokrej zaś łodzią. Jadano tutaj krokodyla, na co Ku zakrzyknęliby ze strachu, a Gangatom splunęli z odrazą.

Po wyjściu schodami na dwór przyjrzałem się domowi. Dzieci nie było, nikt nie stał przy oknie. Na ulicach nie zobaczyłem żadnych z Siedmiu Skrzydeł. Tamten mieszkał w południowej części dzielnicy Nyembe.

Zerwały się wiatry matanti, przetaczały po drogach, pozostawiając w całym mieście kurzawę pyłu.

Naciągnąłem tkaninę z ramienia i zasłoniłem nią głowę jak kapturem.

Kongor dzielił się na ćwierci. Nierówne i rozróżnione przez fach, zasobność, bogactwo. Na północnym zachodzie ciągnęły się puste szerokie ulice arystokratycznej dzielnicy Tarobe. Obok, bo jedna służyła drugiej, była dzielnica Nyembe – siedlisko artystów i rzemieślników, którzy wykonywali rękodzieło dla domów szlacheckich, słowem, wszystko, co piękne. Oraz ślusarzy, kaletników i kowali, którzy wyrabiali to, co przydatne. Na południowym wschodzie leżała dzielnica Gallunkobe/ Matyube, gdzie wolni ludzie i niewolnicy jednako pracowali dla panów. Na południowym zachodzie była dzielnica Nimbe, z ulicami dla administratorów, skrybów oraz stróżów dokumentów i zapisów, z Wielką Salą Archiwów wznoszącą się pośrodku.

Ruszyłem szeroką ulicą. Skład rzeźniczy po lewej próbował usidlić mnie wonią truchła, antylopy, kozy i jagnięcia, ale wszelkie martwe mięso cuchnie tak samo. Na mój widok kobieta weszła do domu i krzyknęła do swojego synka, aby schował się w środku, inaczej wyśle ojca po niego. Chłopiec popatrzył na mnie, gdy go mijałem, potem wbiegł za próg. Zapomniałem, że nawet najuboższy dom w Kongorze ma piętro. Budynki stały ściśnięte jeden przy drugim, a poczucie przestrzeni dawały dopiero dziedzińce za murami. I jeszcze to, że każdy dom miał osobne drzwi wejściowe, wykonane przez tak dobrych rzemieślników, na jakich tylko wystarczyło zawartości sakiewki, z dwiema dużymi kolumnami i przykryciem dla osłony przed słońcem. Te dwie kolumny sięgały nad piętro, aż po sam szczyt, a tuż nad zadaszeniem było małe okienko. Powyżej ze ściany sterczało w rzędzie pięć, dziesięć splecionych pali. Wieżyczki na dachu jak szereg strzał. Do

nocy było daleko, nie nastał nawet późny wieczór, lecz na ulicach nie zobaczyłem prawie nikogo. Za to zewsząd słyszałem muzykę i wrzawę.

– Gdzie poszli ludzie? – spytałem chłopca, który nawet nie zwolnił kroku.

– Do bindżingun.

– O?

– Do przebierańców – wyjaśnił, kręcąc głową niezadowolony, że przyszło mu rozmawiać z durniem.

Tacy młodzi to wszyscy przekleństwo. Nie zapytałem go, gdzie to jest, bo szedł dalej, podskakiwał, potem wyrwał na południe.

To też o Kongorze. Wszystko będzie takie, jakie zostało ostatnim razem.

Świątynia ku czci jednego z najwyższych bogów wciąż tam stała, chociaż teraz było w niej ciemno i pusto, wrota otwarte jakby w nadziei, że ktoś wejdzie. Na dachu ozdoby z brązu – pyton, biały ślimak, dzięcioł – skradzione dawno temu przez rabusiów. Niecałe dziesięć kroków od świątyni znajdowało się inne miejsce.

– Chodź, śliczny chłopcze, do czego ci staje? Skąd mam wiedzieć, co lubisz, skoro ubrałeś się w całun po babci? – powiedziała, gdy za jej plecami mężczyźni zapalili pochodnie na murach.

Wciąż wysoka jak drzwi, wciąż gruba od krokodylego mięsa i nsimy. Wciąż w długiej chuście zawiązanej w talii, ściśniętej tak mocno, że piersi o mało nie wyskoczyły na wierzch, odsłaniającej mięsiste ramiona i plecy. Wciąż z głową łysą i obnażoną, mimo że nie przypadało to do gustu kongorczykom. Wciąż tchnąca drogim kadzidłem, bo „my, dziewczynki, musimy mieć coś poza zasięgiem innych kobiet” – jak powtarzała za każdym razem, gdy mówiłem jej, że pachnie, jakby właśnie wykąpała się w rzece bogini.

– Mogę po prostu powiedzieć, kogo chcę, panno Uadada.

– Och. Nie, chłopcze, chłopcze, chłopcze. Wolę inaczej, wolę, jak ten twój duży Tropiciel wypręży się sztywno do góry i sam wskaże tego, kogo pragnie. Nie wiem, dlaczego ubrałeś się w zasłonę. Odczuwam całą tę urazę, którą ty powinieneś czuć.

Dom Uciech i Rozrywek panny Uadady nie był dla ludzi, którzy nie są sobą. Ułuda dla tych, co palą opium. Pewnego razu pozwoliła zmiennokształtnemu wyruchać jako lew jedną ze swoich dziewcząt, ale w uniesieniu pacnął ją łapą, łamiąc kark. Swoją zasłonę zostawiłem na podłodze i poszedłem na górę z takim, który, jak mówiła panna Uadada, pochodził z krainy wschodniego światła, co oznaczało, że emisariusz zgwałcił pewną dziewczynę i zostawił ją z dzieckiem, a sam wrócił do żony i nałożnic. Dziewczyna powierzyła synka pannie Uadadzie, a ta popatrzyła na jego skórę i odtąd kąpała go każdej ćwierci księżyca w śmietanie i owczym maśle. Zabroniła mu pracować, aby mięśnie pozostały wiotkie, policzki wysoko rzeźbione, figura w biodrach znacznie szersza niż w pasie. Uczyniony przez pannę Uadadę przepyszną istotą znał najlepsze historie o wszystkich najgorszych ludziach, ale wolał, aby każdą opowieść z niego wyruchać i zapłacić mu ponad wynagrodzenie dla panny Uadady – za to, że jest najlepszym łowcą nowin w całym Kongorze.

– Proszę, proszę, Wilcze Ślepie – powiedział. – Od tamtego spotkania z tobą żaden mężczyzna nie zrobił ze mnie kobiety.

Jego pokój pachniał jak ten, z którego dopiero co wyszedłem. Nigdy nie spytałem, czy „on” byłby obrazą, bo zwracałem się do niego tylko Ekoiye, a więc „ty”.

– Nie potrafię powiedzieć, czy mieszkasz z cywetem, czy też masz na całym sobie to piżmo.

Przewrócił oczami i się roześmiał.

– Musimy mieć przyjemne rzeczy, wilkołaku. Poza tym jaki człowiek zechce wejść do pokoju, gdzie czuje zapach tego, który przed chwilą wyszedł?

Znów się zaśmiał. Podobało mi się, że wystarczał sam sobie, aby jego żarty były zabawne. Widziałem to u ludzi, którzy musieli wytrzymywać z innymi ludźmi. W przypadku Ekoiye nie miało znaczenia, czy ktoś jest dobrym czy lichym kochankiem, czy ma zamiłowanie do wielu czy niewielu rozrywek. Dla niego źródłem przyjemności był przede wszystkim on sam. Czy ten drugi współodczuwa, to go nie zajmowało. Swój mały pokój zapełnił posągami z terakoty, było ich nawet więcej, niż zapamiętałem ostatnim razem. A oprócz tego klatka z czarnym gołębiem, którego wziąłem za wronę.

– Każdego mężczyznę zmieniam w tego jednego, zanim stąd wyjdzie – powiedział i wyciągnął grzebień z włosów. Kędziory wiły się jak małe węże.

– W rzeczy samej. Twoje występy zasługują na widownię. Albo przynajmniej na griota.

– Wilkołaku, nie znasz wersów o mnie?

Wskazał na siedzisko z oparciem niczym u tronu. Krzesło porodowe, jak sobie przypomniałem.

– Gdzie jest twój przyjaciel? Jakie imię mu nadali, Nayko?

– Nyka.

– Tęsknię za nim. Był człowiekiem wielkiego światła i animuszu.

– Animuszu?

– Najgłośniej hałasował, coś jakby donośne kocie pomruki albo gruchanie gołębia żółtookiego, kiedy wsadził mi do ust.

Przy tych słowach chwycił mnie za rękę.

– Ty mały łgarzu – odparłem. – Nyka nigdy nie szukał towarzystwa chłopców.

– Zacny wilku, przecież wiesz, że mogę być, kimkolwiek chcesz, nawet dziewczyną, której nigdy nie miałeś… Po odpowiednim winie i przy odpowiednim świetle.

Jego szaty opadły dokoła i wyślizgnął się z fałd na podłodze. Dosiadł mnie okrakiem i skrzywił twarz, gdy się osunął, a ja się zagłębiłem. Zawsze tak to rozgrywał. Gnieździł się na mnie, aż tyłkiem spoczywał na moich udach, a potem, nie schodząc, obracał się do mnie plecami. Pewnego razu powiedziałem mu, że tylko mężczyźni, którzy okłamują żony, muszą się ruchać od tyłu. Ciągle robił to w ten sposób. Zapytał o to, o co pytał zawsze: chcesz, żebym cię wyruchał? A ja odpowiedziałem tak, jak odpowiadałem zawsze: chcę. Gdy potem wychodziłem, swoim zwyczajem panna Uadada upewniała się, że nie zrobił mi krzywdy.

– Pierdolić bogów – wysyczałem i podkurczyłem palce u nóg tak mocno, że zatrzeszczały kości.

Zepchnąłem go z siebie na podłogę i skoczyłem na niego. Potem, gdy już z niego wylazłem, on znów dosiadł mnie okrakiem i powiedział:

– Podążasz teraz za wschodnim światłem?

– Nie.

– Za zjawami piechurów z Zachodu?

– Ekoiye, te twoje pytania.

– Tropicielu, bo wszyscy mężczyźni pod słońcem, mężczyźni, którzy uwielbiają myśleć, że się od siebie różnią, być może po to, by miało sens toczenie wojen, są tacy sami. Myślą, że to, co ich tutaj trapi – wskazał swoją głowę – mogą we mnie wtłoczyć kutasem. To obce myślenie, którego nie spodziewałem się po nikim z tych ziem. Może za dużo wędrujesz. Potem będziesz się modlić tylko do jednego boga.

– Nie mam w głowie niczego, co mógłbym wtłoczyć w ciebie.

– W takim razie czego chce Tropiciel?

– Kto po tym potrzebowałby czegokolwiek? – spytałem i klepnąłem go w tyłek. Ten gest był pusty, obaj to poczuliśmy. Roześmiał się, potem odchylił, aż przylgnął plecami do mojej piersi. Objąłem go ramionami. Ociekałem potem. Ekoiye zawsze był suchy.

– Skłamałem, Tropicielu. Mężczyźni od wschodniego światła nigdy nic z siebie nie wyruchają. Zawsze chcą, żeby ich dźgać w dupę. Więc jeszcze raz: czego chce Tropiciel?

– Szukam dawnych nowin.

– Jak dawnych?

– Sprzed trzech lat i wielu księżyców.

– Trzy lata, trzy księżyce i trzy mrugnięcia powieką to dla mnie po równo.

– Pytam cię o jednego ze starszyzny Kuasz Dary. Jego imię Basu Fumanguru.

Ekoiye odturlał się, wstał i podszedł do krzesła porodowego. Popatrzył na mnie.

– Wszyscy wiedzą o Basu Fumanguru.

– I co wszyscy mówią?

– Nic. Powiedziałem, że wiedzą, a nie, że mówią. Powinni byli spalić ten dom, aby zabić zarazę, ale nikt nie chciał się tam zbliżyć. To jest…

– Myślisz, że do domu wpełzła choroba?

– Albo przekleństwo rzecznego demona.

– Rozumiem. Jak potężny jest ten, co ci płaci, abyś tak mówił?

Zaśmiał się.

– To ty zapłaciłeś pannie Uadadzie za ruchanie.

– Ale oprócz tego płacę ci sporo powyżej twojej ceny właśnie po to, abyś mówił. Widziałeś moją sakiewkę i wiesz, co w niej jest. Teraz mów.

Wtedy znowu popatrzył na mnie. Rozejrzał się, jakby ktoś jeszcze znajdował się w pokoju, następnie owinął się w tkaninę.

– Chodź ze mną.

Odepchnął stos skrzyń i otworzył klapę nie wyższą niż moje udo.

– Nie wrócisz do tego pokoju – powiedział.

Wpełzł pierwszy. Ciemno i gorąco, pyliście od kurzu, potem twardo od drewna i nawet twardziej od błota i gipsu, bez przerwy zbyt czarno, by coś widzieć. Za to dużo było słychać. Z każdego pokoju dobiegały krzyki mężczyzn ruchających na wszelkie sposoby i na każdą modłę, ale dziewczynki i chłopcy jęczeli tak samo, mówili: wyruchaj mnie swoim wielkim, twardym taranem, wyruchaj swoim Ninki Nanka i dalej, i dalej. Wyszkoleni przez pannę Uadada. Dwa razy błysnęła mi myśl, że to pułapka, że Ekoiye wychodzący jako pierwszy będzie sygnałem, aby zabić tego, który wyczołga się w drugiej kolejności. Być może na moją szyję czyhał mężczyzna z mieczem ngulu, mimo to Ekoiye nie okazywał wahania. Pełzaliśmy długo, tak długo, że zacząłem się zastanawiać, kto zbudował ten korytarz i kto zadaje sobie tyle trudu, żeby dotrzeć tędy do łoża Ekoiye. Z przodu w mroku migotały gwiazdy.

– Gdzie nas prowadzisz? – spytałem.

– Do twojego kata – odparł i się zaśmiał.

Doczołgaliśmy się do kondygnacji schodów, które wiodły na dach nieznanego domu. Żadnej woni cywetu, żadnego zapachu panny Uadady, aromatu ani smrodu burdelu.

– Nie, nie ma zapachu panny Uadady – powiedział.

– Słyszysz słowa, których nie wypowiadam?

– Skoro myślisz tak głośno, Tropicielu.

– Czy w ten sposób poznajesz tajemnice mężczyzn?

– To, co słyszę, nie jest tajemnicą. Wszystkie dziewczyny też słyszą.

Wybuchnąłem śmiechem. Kto inny biegle czytałby w myślach mężczyzn?

– Znajdujesz się na dachu handlarza złotem z dzielnicy Nyembe.

– Od strony południowej czuję perfumy panny Uadady.

Ekoiye skinął głową.

– Niektórzy powtarzają, że to był mord, inni powtarzają, że to były potwory.

– Kto? O kim teraz mówisz?

– Mówię o tym, co się stało z twoim przyjacielem Basu Fumanguru. Widziałeś mężczyzn gromadzących się w naszym mieście?

– Siedem Skrzydeł.

– Tak, takie ich miano. Mężowie w czerni. Kobieta, co mieszka obok Fumanguru, mówiła, że widziała wielu przyobleczonych na czarno w jego domu. Zobaczyła ich przez okno.

– Siedem Skrzydeł to najemnicy, nie skrytobójcy. Niepodobne do nich, aby zabić tylko jednego i jego rodzinę. Nawet na wojnie.

– To nie ja nazwałem ich Siedmioma Skrzydłami, lecz ona. Może to były demony.

– Omoluzu.

– Kto?

– Omoluzu.

– Nie znam takiego.

Podszedł do krawędzi dachu, a ja ruszyłem za nim. Byliśmy dwa piętra w górze. Na ulicy tarzał się mężczyzna, z jego skóry buchała woń wina palmowego. Poza nim było pusto.

– Taka chmara ludzi, co pragnęli śmierci tego człowieka. Niektórzy mówią Siedem Skrzydeł, inni mówią demony, inni, że wojsko wodza.

– Bo łączy ich miłość do czerni?

– To ty szukasz odpowiedzi, wilku. Wiadomo tyle. Ktoś wszedł do domu Basu Fumanguru i wszystkich wybił. Nikt nie widział zwłok i nie było obrzędów pogrzebowych. Wyobraź sobie, że członek starszyzny Kongoru umiera bez hołdu, bez pochówku, bez pochodu wielkich panów prowadzonego przez człowieka z królewskiej krwi. Nikt nawet nie uznał go za zmarłego. A jednocześnie dokoła domu w jedną noc wyrosły głogi.

– Co mówi starszyzna?

– Nikt z nich do mnie nie przychodzi. Czy wiesz, że zabito go w Noc Czaszek?

– Nie wierzę ci.

– Nie wierzysz, że to była Noc Czaszek?

– Nie wierzę, że od tamtej pory nie odwiedził cię żaden z tych gadatliwych dzieciojebców.

– Myślę, że Siedem Skrzydeł zbierają się dla króla.

– Myślę, że umykasz od pytania.

– Ale nie tak, jak ci się wydaje.

– Wygląda na to, że w dzisiejszych czasach plebs zna się na poczynaniach królów.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiem jedno. Ludzie chodzą do tego domu, w tym jeden czy dwóch ze starszyzny. A może jeden lub dwóch z Siedmiu Skrzydeł. Jeden nie stąd, zwą go Belekun Wielki, bo tak żartują tutejsi ludzie. To on nie potrafił trzymać swoich dziur zamkniętych, a najgorzej szło mu z ustami. Przybył tutaj z innym ze starszyzny.

– Jakim cudem pamiętasz to po trzech latach?

– To było w zeszłym roku. Obaj na zmianę ruchali głuchą dziewczynę, panna Uadada też słyszała. Mówili, że muszą to znaleźć. Muszą to znaleźć teraz, inaczej ich przeznaczeniem miecz kata.

– Co znaleźć?

– Basu Fumanguru napisał długie pismo urzędowe przeciw królowi, tak powiedzieli.

– Gdzie jest to pismo?

– Ludzie ciągle włamują się do jego domu, ale niczego nie mogą znaleźć, więc być może nie tam?

– Myślisz, że król kazał go zgładzić z powodu pisma?

– Nic nie myślę. Król przybywa. Jego kanclerz jest w mieście.

– Jego kanclerz odwiedza przybytek panny Uadady?

– Nie, głupi Tropicielu. Jednak go widziałem. Podobny do króla, ale nie król, czarniejszy od ciebie, a włosy czerwone jak świeża rana.

– Może przyjdzie zakosztować twoich słynnych usług.

– Nazbyt na to pobożny. Chodząca świętość. Jak tylko go zobaczyłem, zapomniałem, kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy, i było tak, jakbym zawsze go widział. Czy mówię jak głupiec?

Czarny mężczyzna o czerwonych włosach. „Czarny mężczyzna o czerwonych włosach”.

– Tropicielu, wyglądasz na nieobecnego.

– Jestem tutaj.

– Jak mówię, nikt nie pamięta czasów, kiedy nie był kanclerzem, ale nikt nie może sobie przypomnieć, kiedy nim został ani kim był wcześniej.

– Nie był kanclerzem wczoraj, ale był kanclerzem zawsze. Czy zabili wszystkich w domu Fumanguru?

– Może powinieneś zapytać prefekta.

– Może zapytam.

Odwrócił się, aby spojrzeć na ulicę, i owinął głowę tkaniną.

– Jeszcze jedno. Podejdź bliżej, jednooki wilku.

Wskazał w głąb ulicy. Zbliżyłem się i w tej samej chwili ubranie z niego spadło. Wygiął plecy, ciałem dawał mi znak, że mogę znowu go wziąć, w tym miejscu. Odwróciłem się do niego twarzą, a on uśmiechnął się, nagle cały czarny. Dmuchnął mi wszystko prosto w twarz, czarny pył. Starty antymon, duży obłok w moich oczach, nosie, ustach. Kajal zmieszany z jadem żmii, poczułem to. Przyjrzał mi się uważnie, bez najmniejszej wrogości, tylko z wielkim zainteresowaniem, jakby uprzedzono go, co się potem stanie. Uderzyłem Ekoiye pięścią w guz szyjny, złapałem za gardło i ścisnąłem.

– Na pewno dali ci odtrutkę – powiedziałem – inaczej już byś nie żył.

Charczał i jęczał. Dławiłem, aż oczy wyszły mu na wierzch.

– Kto cię nasłał? Kto dał kajal?

Pchnąłem go mocno. Krzycząc, spadł z krawędzi dachu, ale złapałem go w ostatniej chwili za kostkę. Wymachiwał rękoma i wrzeszczał, omal mi się nie wyślizgnął.

– Na bogów, Tropicielu! Na bogów! Litości!

– Litościwie cię puścić?

Poluźniłem uchwyt i Ekoiye zsunął się niżej. Zawył.

– Kto wiedział, że przyjdę do ciebie?

– Nikt!

Znowu rozwarłem lekko palce na jego stopie.

– Nie wiem! To zaklęcie, przysięgam. Nic innego nie mogło być!

– Kto ci zapłacił, żeby mnie zabić?

– Nie miałem cię zabić, przysięgam.

– W tym pyle jest jad. Takie łebskie chłopię jak ty na pewno słyszało o zaklęciach, więc wiedz jedno. Nic zrodzone z metalu nie może mi zaszko-

dzić.

– Chodziło o każdego, kto spyta. Nie powiedział, żeby cię zabić.

– Kto nie powiedział?

– Nie wiem! Mężczyzna w zasłonach, więcej zasłon niż u mniszki z Kongoru. Przybył za księżyca Obora Dikka, w gwieździe Basa. Przysięgam. Powiedział, bym dmuchnął pyłem w twarz każdemu, kto będzie pytał o Basu Fumanguru.

– A dlaczego ktoś miałby cię pytać o Basu Fumanguru?

– Nikt nie pytał, dopiero ty.

– Opowiedz mi więcej o tym człowieku. Jakiego koloru były jego szaty?

– Cza-czarne. Nie, niebieskie. Granatowe, palce sine. Pod paznokciami granatowe, jakby farbował wspaniałe tkaniny.

– Na pewno nie był w czerni?

– W błękitach. Na bogów przysięgam, w błękitach.

– I co miało się stać dalej, Ekoiye?

– Powiedzieli, że przyjdą ludzie.

– Wcześniej mówiłeś o jednym.

– Tak, on powiedział!

– A jak miałeś mu dać znać?

– Wrócić do siebie i wypuścić gołębia z okna.

– W tej historii co mgnienie oka przybywa nóg i skrzydeł. Co jeszcze?

– Nic. Czy jestem szpiegiem? Posłuchaj, przysięgam na…

– Na bogów, wiem. Ale ja nie wierzę w bogów, Ekoiye.

– Nie miałem cię zabić.

– Posłuchaj. Rzecz nie w tym, że kłamiesz, lecz że nie znasz prawdy. Rzygnąłeś z gęby wystarczająco dużą ilością jadu, by zabić dziewięć bawołów.

– Litości – zakwilił.

Od potu zrobił się śliski w mojej dłoni.

– Wiecznie suchy Ekoiye bucha potem.

– Zmiłowania!

– Jestem pogubiony, chłopcze. Pozwól, że powtórzę wszystko tak, aby ułożyło się w sens dla mnie, a może i dla ciebie. Choć Basu Fumanguru nie żyje od trzech lat, to ukrywający twarz mężczyzna w niebieskich szatach przyszedł do ciebie nie dalej jak księżyc temu i powiedział, że gdyby ktokolwiek wspomniał o Basu Fumanguru, na przykład człowiek, którego nie miałeś powodu znać, to powinieneś wziąć tę odtrutkę i dmuchnąć mu w twarz kajalem nasączonym jadem żmii, i w ten sposób go zabić, a potem wysłać tamtemu wiadomość, żeby zabrał zwłoki. Albo nie zabić, tylko uśpić, i wtedy wynieślibyście go, jak to robią za opłatą handlarze sprzedający śmiecie. Czy to wszystko?

Kiwał głową raz po raz.

– Jedno z dwóch, Ekoiye. Albo nie miałeś mnie zabić, tylko zostawić obezwładnionego, żeby sami wycisnęli ze mnie nowiny. Albo miałeś mnie zabić, ale wcześniej zadać głębsze pytania.

– Nie wiem. Nie wiem. Ja nie…

– Nie wiesz. Nic nie wiesz. Nie wiesz nawet, czy odtrutka, poskramiacz jadu, naprawdę poskramia jad. A myślałem, że jesteś mądrym chłopcem uwięzionym w niemądrym świecie. Żadna odtrutka nie poskramia trucizny, Ekoiye, tylko opóźnia jej działanie. Najdłużej możesz żyć osiem, dziesięć lat, ślicznotko. Nikt ci nie powiedział? Może nie masz w sobie za dużo jadu i pożyjesz dziesięć i cztery lata. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego przyszli do ciebie.

Teraz się zaśmiał. Głośno i długo.

– Bo prędzej czy później każdy puka do drzwi szafarza rozkoszy, Tropicielu. Nie potraficie się powstrzymać. Mężowie, wodzowie, panowie,

poborcy podatków, nawet ty. Jak sfora wygłodniałych psów. Prędzej czy później wszyscy powrócicie do tego, kim jesteście. Tak jak ty, gdy popchnąłeś mnie, kurwiszona, i wyruchałeś ostro, bo psem byłeś już wcześniej, jeszcze przed sprawieniem sobie tego ślepia. Wiesz, czego pragnę, chłopojebco? Chciałbym mieć tyle jadu, by zabić cały świat.

Kiedy go puściłem, krzyczał przez całą drogę w dół. Nie zginął – upadek nie był z wysoka. Ale zapewne złamał sobie coś, może nogę, może ramię, może kark. Wróciłem tą samą trasą, którą przyszliśmy, przeczołgałem się wśród odgłosów mężczyzn ruchających do ostatniej monety na mokrych dywanikach i zaryglowałem za sobą klapę. Wyciągnąłem gołębia, którego Ekoiye trzymał w bambusowej klatce przy małym oknie, ścisnąłem go delikatnie. Zdjąłem wiadomość z lewej nóżki. I wypuściłem go na dwór.

Wiadomość. Glify, jakie widziałem dawniej, ale nie mogłem sobie przypomnieć ich sensu. Przesunąłem krzesło porodowe w najciemniejszy kąt pokoju i czekałem. Najpewniej oknem, wydawało się wystarczająco duże, jeśli drzwiami, oznaczałoby to, że inni wiedzą o tej zmowie, w tym panna Uadada. Rozmyślałem gorączkowo. Nic nie mogło wydarzyć się pod dachem panny Uadady bez jej wiedzy. Ale to też prawda o kongorczykach. Gdybym dziś wieczorem zabił Ekoiye, jutro znów powitałaby mnie słowami: „zdejmij te szaty, abym mogła cię ujrzeć, wielki sztywny książę”, a potem posłała do najświeższego nabytku wśród swoich dziwek.

Choć nastała głęboka noc, żar wciąż pełzał dokoła, przez co lepiłem się plecami do oparcia. Odkleiłem się od drewna i prawie to przegapiłem, tupot stóp po ścianie. Wspinaczka bez sznura, chyba człowiek zaklęty, bo gdzie dotknęła stopa, tam robiła się podłoga. Najpierw ręce na parapecie, kłykcie popielate. Na rękach podciągnęły się łokcie, na łokciach podciągnęła się głowa. Czarny zawój na czole i wokół ust. Oczy, czerwone oczy miłośnika opium, omiotły spojrzeniem pokój, spotkały się z moimi, ale mnie nie

dostrzegły. Szaty u szyi w kolorze niebieskim, skórzana szarfa na lewym ramieniu. Jedną nogą w środku, a u dołu szarfy dwie pochwy na dwa miecze i dyndający sztylet. Zaczekałem, aż cały znalazł się w środku i zaszeleścił połami niebieskich szat po podłodze.

– Witaj.

Podskoczył. Chwycił za miecz. Mój pierwszy sztylet zaciął go w szyję, drugi trafił pod brodę, zabijając głowę, zanim nogi się dowiedziały, że przyszła śmierć. Runął u mych stóp, grzmocąc czołem w podłogę. Rozebrałem go, mając wrażenie, że odpakowuję. Blizny na klatce piersiowej, ptak, błyskawica, owad o wielu nogach, glify wyglądające trochę jak z wiadomości gołębia. Brak ostatnich stawów w obu palcach wskazujących. Nie był z Siedmiu Skrzydeł. I miał brutalną sękatą bliznę eunucha. Wiedziałem, że muszę się śpieszyć, bo ten, kto go tu przysłał, albo czekał na jego powrót, albo ruszył jego śladem. Nie pachniał niczym prócz potu konia, którego dosiadł, by odbyć podróż i skończyć na podłodze w przybytku panny Uadady. Obróciłem go na brzuch i prześledziłem glify na plecach, aby je zapamiętać. Dwie myśli się objawiły, jedna prysła, druga nadeszła. Ta, co nadeszła: nie było krwi, choć tam, gdzie nóż go ciął, krew zwykle tryska jak gorące źródło. Ta, co prysła: ten człowiek nie miał zapachu. Jedyną wonią bijącą od niego była woń konia i białej gliny ze ściany, po której się wdrapał.

Znów go przekręciłem. Dwa glify na piersi odpowiadały wiadomości gołębia. Półksiężyc z wężem w splotach, szkielet liścia i gwiazda. A potem w jego piersi zadudniło, ale nie było to rzężenie w przystępie śmierci. Coś uderzało o wszystkie kości żeber, nadymając tułów i serce, rozwierając oczy. Potem usta, ale nie tak, jakby sam je otworzył, tylko jakby ktoś rozdziawiał mu szczęki, szerzej i szerzej, aż kąciki warg zaczęły pękać. Dudnienie wstrząsnęło nim aż po nogi, którymi teraz młócił w podłogę. Odsko-

czyłem i wstałem. Fale przemykały po udach aż do brzucha, przetaczały się pod skórą na klatce piersiowej, umykały przez usta czarną chmurą, co śmierdziała truchłem zdechłym znacznie dłużej niż ten tutaj. Kotłowało się jak demon z pyłu, coraz bardziej rozłożyste i rozłożyste, aż tak, że wywróciło niektóre posągi Ekoiye. Wir zamknął się mocno w sobie i odwrócił do okna. W kłębiącym się obłoku kurzu przyjęły postać i zaraz w proch się rozpadły kości dwóch czarnych skrzydeł. To niechybnie był omam w półmroku lub znak wiedźmy. Wirująca chmura uleciała przez okno. Skóra mężczyzny na podłodze zszarzała, usychając jak pień drzewa. Pochyliłem się. Wciąż brak woni. Dotknąłem palcem jego klatki piersiowej i wtedy się zapadła, potem brzuch, nogi i głowa rozsypały się w pył.

Oto prawda. W żadnym ze wszystkich światów nigdy nie widziałem takiego czarodziejstwa ani tajemnego rzemiosła. Ten, który wysłał zabójcę, z pewnością miał zaraz przyjść. Człowieka, ducha, istoty czy boga stojącego za tymi popisami nie zatrzymałyby dwa sztylety ani dwa topory.

Do moich myśli wpełzło wtedy imię, Basu Fumanguru. Nie tylko go zabili, ale jeszcze ci, którzy tego dokonali, chcieli, aby pozostał martwy. Miałem pytania, a odpowiedzi mogła udzielić bunszi. Zostawiła dziecko u wroga Króla, ale przecież wielu ludzi rzucało wyzwanie Królowi w wielkich salach, w powiadomieniach i pismach, a nie byli za to zabijani. Jeśli dziecko skazano na śmierć, dlaczego nie zgładzono go od razu? Nie słyszałem o niczym, co nie zdarzyło się wcześniej, a zdarzyło potem i pchnęłoby kogoś do pozbycia się Fumanguru – na pewno nie pchnęłoby Króla. Jako człowiek ten Fumanguru nie był niczym więcej niż otarciem po wewnętrznej stronie uda. A potem objawiła się myśl, która od początku miała ze mną pozostać, o czym wiedziałem. Bunszi mówiła, że omoluzu przyszli zabić Fumanguru, a zgodnie z jego ostatnim życzeniem ona ocaliła dziecko. Ale to nie było jego dziecko. Ktoś kazał Ekoiye wysłać wiadomość, gdy tylko

zjawi się człowiek wypytujący o Fumanguru. Ten ktoś wiedział, że pewnego dnia taki człowiek przybędzie i zapyta. Ktoś od początku się tego spodziewał, spodziewał się mnie, kogoś takiego jak ja. Oni nie nastawali na Fumanguru.

Nastawali na dziecko.

12

Za oknem trzepotał sztandar czarnego krogulca. Mój powrót do Kongoru nie zaniepokoił nikogo, moja pobudka przed wschodem słońca nie wzbudziła niczyjego zdziwienia, wyszedłem na dwór. Sztandar łopotał dwieście, może trzysta kroków dalej, u szczytu wieży pośrodku dzielnicy Nyembe, powiewał gwałtownie, jakby wiatr wściekle nim szarpał. Czarny krogulec. Siedem Skrzydeł. Słońce kryło się za chmurami brzemiennymi deszczem. Zbliżała się pora mokra. Tak oto wyszedłem.

Na dziedzińcu, obskubując kilka krzaków wyrastających z ziemi, stał bawół. Samiec, brązowoczarny, dłuższy niż półtora mnie, gdybym się prężnie wyciągnął, rogi splecione w koronę, opadające ku dołowi, aby zaraz zakręcić w górę jak wspaniała fryzura. Widziałem, jak taki potrafi zabić trzech myśliwych i rozszarpać lwa na pół. Dlatego gdy ruszyłem do bramy, zostawiłem temu tutaj sporo miejsca dokoła. Podniósł łeb i zaszedł mi drogę. Znów sobie przypomniałem, że potrzebuję nowych toporów, choć ani topór, ani nóż nie poradziłyby bawołowi. Nie wyczułem uryny, a więc nie wszedłem na jego teren. Nie prychnął, nie rył kopytami, tylko mierzył mnie od stóp do głów, w dół, potem w górę, potem w dół, w górę, złoszcząc mnie coraz bardziej. Bawoły nie umieją się śmiać, ale przysiągłbym na bogów, że właśnie się ubawił. I potrząsnął łbem. To było więcej niż skinienie, zabujał nim mocno z lewa na prawo, z prawa na lewo i znowu z lewa na prawo. Zrobiłem kilka kroków w bok i ruszyłem, ale znowu zatarasował mi drogę. Przesunąłem się w drugą stronę, on też. Jeszcze raz zmierzył

mnie wzrokiem, a ja znowu przysiągłbym na bogów, demony, istoty rzeczne, że się roześmiał. Zbliżył się i zaraz cofnął o krok. Gdyby jednak chciał mnie zabić, już bym się przechadzał ze swoimi przodkami. Podszedł, zahaczył rogiem o zasłonę, w którą się przyodziałem, i zdarł ją ze mnie, aż mną zakręciło i upadłem. Przekląłem bawołu, ale nie chwyciłem tkaniny. Poza tym była wczesna pora – kto by mnie zobaczył? A gdyby nawet, utrzymywałbym, że ograbili mnie rabusie, gdy kąpałem się w rzece. Dziesięć kroków po wyjściu za bramę obejrzałem się do tyłu. Bawół podążał moim śladem.

Oto prawda: okazał się najwspanialszym towarzyszem. W Kongorze nawet stare kobiety spały do późna, więc jedynymi istotami na ulicy byli ci, którzy nigdy nie zasypiają. Pijani miłośnicy wina palmowego i głupcy napojeni piwem z masuku, upadający zawsze o jeden raz więcej, niż są zdolni powstać. Oczy uciekały mi w bok, gdy mijaliśmy któregoś, patrzyłem na nich patrzących na prawie nagiego mężczyznę idącego z bawołem, ale nie tak, jak ludzie chodzą z psami, lecz jak chodzą z innymi ludźmi. Jeden leżący na wznak odwrócił się, ujrzał nas, zerwał się na nogi i wbiegł wprost na mur.

Rzeka zalała brzegi kilka dni przed naszym przybyciem, więc Kongor był teraz wyspą przez cztery księżyce. Poznaczyłem pierś i nogi gliną rzeczną, a bawół kiwał łbem, pasąc się na leżąco w trawie. Pomalowałem sobie twarz dokoła lewego oka, pod włosami i na policzku.

– Skąd jesteś, zacny bawole?

Odwrócił łeb w kierunku zachodnim i wskazał kilka razy rogami.

– Z zachodu? Znad rzeki Buki?

Pokręcił łbem.

– Zza rzeki? Z sawanny? Czy jest tam dobra woda do picia?

Pokręcił łbem.

– Dlatego wędrujesz? Czy jest inny powód?

Kiwnął łbem potakująco.

– Wezwała cię ta pierdolona wiedźma?

Pokręcił łbem.

– Czy wezwała cię Sogolon?

Kiwnął.

– Kiedy byliśmy martwi…

Podniósł wzrok i prychnął.

– Martwi to znaczy nie martwi, to znaczy: gdy Sogolon miała przekonanie, że nie żyjemy. Z pewnością znalazła innych. Czy należysz do tych jej innych?

Kiwnął łbem.

– I już masz wyrobione zdanie w sprawie mojego odzienia. Muszę przyznać, że szczególny z ciebie bawół.

Zagłębił się w busz, odganiając ogonem muchy. W odległości pięćdziesięciu kroków usłyszałem ciężkie stąpanie człowieka po trawie. Usiadłem na brzegu, z nogami w wodzie. Zbliżał się; wyjąłem sztylet, ale się nie obejrzałem. Na prawym ramieniu poczułem dotknięcie zimnego ostrza z żelaza.

– Paskudny chłopcze, jak ci się udawają takie rzeczy? – spytał.

– Udawają mi się świetnie – odparłem, naśladując jego mowę.

– Zgubiłeś się? Tak mi wyglądasz.

– Tak ci wyglądam?

– Mój wspólniku, łazisz tutaj bez odzienia na ramionach, jakbyś oszalał, był miłośnikiem chłopców albo ojcojebcą czy kimś.

– Obmywam stopy w rzece.

– A więc szukasz dzielnicy kochanków.

– Obmywam stopy w rzece.

– Bo jak to będzie dzielnica kochanków, to gdzie teraz? Trzymaj uzdę. Tutaj nie mamy takiej dzielnicy.

– Ech? Na pewno mówisz prawdę? Bo jak ostatnim razem byłem w dzielnicy kochanków, moje oczy podejrzały twojego ojca i dziadka.

Uderzył mnie z boku maczugą w głowę.

– Wstań – rozkazał.

Przynajmniej nie zamierzał mnie zgładzić w walce. Na plecach miał przypięte dwie siekiery.

Niższy ode mnie prawie o głowę, w białym od dołu i czarnym od góry stroju Siedmiu Skrzydeł. Moją pierwszą myślą było zlekceważyć jego gniew i spytać, dlaczego gromadzi się Siedem Skrzydeł, bo tego nie wiedziała nawet mądra Sogolon. Ale wtedy zwrócił się do mnie głosem grubszym niż dotąd:

– A co co się zrobi z takim jaka ty?

– Co?

– Do kogo mam wysłać twoją głowę, chłopcojebco?

– Mylisz się.

– Jak to mylisz?

– Że jebię chłopców. Najczęściej to chłopcy jebią mnie. Słuchaj, był jeden taki, najlepszy od wielu księżyców, taki ciasny, wierz mi, że musiałem najpierw wbić mu kolbę kukurydzy, żeby poluźnić dziurę. Potem zjadłem tę kukurydzę.

– Ja ci najpierw odrąbię bolo, potem łeb, resztę ciebie wrzucę do rzeki. Jak ci się to podoba? I jak twoje szczątki spłyną rzeką, ludzie będą mówić luku laka pon szoga chłopcojebcy ściekają z nurtem, nie pijcie tej wody, bo też będziecie jebać chłopców.

– Tymi siekierami odrąbiesz? Szukałem pierwszorzędnego żelaza jak to. Kute przez kowala z Uakadiszu. A może ukradłeś żonie rzeźnika?

– Rzuć nóż.

Spojrzałem na tego mężczyznę nie wyższego nad chłopca, co brał tłuszcz za mięśnie i zakłócał mi spokojny poranek swoim zafajdanym zuchwalstwem. Wypuściłem sztylet z ręki i drugi przypięty do nogi.

– Chciałbym powitać i pożegnać słońce bez zabijania człowieka – powiedziałem. – Jest taki lud nad Morzem Piasków, co obchodzi święto każdego roku, zostawia się pustą przestrzeń dla ducha, dla człowieka, co dawniej żył.

Roześmiał się, wskazując mnie maczugą trzymaną w lewej ręce, a prawą dobył siekierę. Potem rzucił maczugę i wyciągnął drugą siekierę.

– Może powinienem cię zabić za hardy jęzor, a nie zboczone obyczaje.

Zaczął wymachiwać siekierami przede mną, wywijając nimi i kręcąc, lecz ani drgnąłem. Najemnik zrobił krok do przodu i w tej samej chwili kołtun czegoś trafił go z tyłu w kark.

– Ciotko oślico!

Obrócił się na pięcie, gdy bawół znów prychnął. Oberwał sokiem z nozdrzy w twarz. Podskoczył, znalazłszy się oko w oko z bawołem. Zanim zdążył zamachnąć się siekierą, bawół nadział go na rogi i rzucił w trawę. Jedna siekiera upadła w polu, druga nadleciała wprost na mnie, ale się odbiła. Przekląłem bawołu. Wojownik usiadł dopiero po długiej chwili, potrząsnął głową, dźwignął się na nogi. Odtoczył się na bok, a bawół znów natarł.

– Nie śpieszyło ci się – powiedziałem. – Chleb zdążyłbym upiec.

Podreptał na stronę, wymijając mnie, chłoszcząc ogonem po drodze. Roześmiałem się i podniosłem swoje nowe siekiery.

Gdy wróciłem, dom już zbudził się do życia. Bawół zgarbił się nad trawą, osunął łeb ku ziemi. Powiedziałem mu, że jest leniwy jak stara baba, wtedy zamachnął się na mnie ogonem. W kącie blisko głównego wejścia siedzieli Sogolon i mężczyzna, którego wziąłem za pana tego domostwa.

Biła od niego woń bisabolu, kosztownego pachnidła z krain powyżej Morza Piasków. Miał biały zawój na głowie i pod podbródkiem, na tyle cienki, że widziałem skórę. Do tego białą szatę we wzór prosa, a na niej płaszcz w kolorze ciemnej kawy.

– Gdzie dziewczyna? – spytałem.

– Na ulicy, rozsierdza jakąś kobietę, bo wciąż fascynuje ją odzienie – odparła Sogolon. – Zaprawdę, stary przyjacielu, nic podobnego nigdy nie widziała.

Mężczyzna skinął głową i dopiero wtedy zorientowałem się, że słowa nie były skierowane do mnie. Pyknął fajeczkę i podał ją Sogolon. Dym z jej ust wziąłbym za chmurę, tak był gęsty. Wyskrobała w ziemi patykiem sześć runów i właśnie pisała siódmy.

– A jak Tropiciel radzi sobie w Kongorze? – spytał mężczyzna, choć wciąż na mnie nie spojrzał.

Uznałem, że zwraca się do Sogolon w ten obcesowy sposób, w jaki wpływowi bogacze rozprawiają o człowieku w jego obecności. Za wczesna pora dnia, aby ludzie nadwerężali moją cierpliwość, upomniałem siebie w duchu.

– On nie z tych, co by zakryli swojego pytona kongorskim zwyczajem – odrzekła Sogolon.

– W rzeczy samej. Siedem dni temu wychłostali kobietę… Nie, osiem to było. Przyłapano ją, gdy bez wierzchniego odzienia wychodziła z domu mężczyzny niebędącego jej mężem.

– A co uczynili z nim? – spytałem.

– Co?

– Z mężczyzną co uczynili? Czy jego też wychłostali?

Tamten popatrzył na mnie, jakbym właśnie przemówił w jednym z nadrzecznych dialektów, których sam nie znałem.

– Kiedy idziemy do tego domu? – zwróciłem się do Sogolon.

– A nie poszedłeś w nocy?

– Do domu Fumanguru nie.

Odwróciła się ode mnie, ale nie dałem tym dwojgu zbyć się tak łatwo.

– Sogolon, ten wspaniały pokój zawarto na grzbiecie krokodyla – powiedział mężczyzna. – To nie tylko Kongor, nie tylko Siedem Skrzydeł. Ludzie, którzy nie walczyli, odkąd narodził się książę, dostają teraz wieści, że muszą sięgnąć po zbroję i oręż, więc się gromadzą. Siedem Skrzydeł zbierają się także w Mitu, również wojownicy pod innymi mianami. Malakal, z którego właśnie odjechałaś, i dolina Uuomouomouomouo też lśnią od żelaza i złota na zbrojach, włóczniach i mieczach.

– A emisariusze krążą po miastach – odrzekła Sogolon. – Spoceni nie z gorąca, lecz ze zgryzoty.

– To wiem. Pięć dni temu czterech ludzi z Ueme Uitu przybyło na rozmowy, bo wszyscy zjeżdżają do Kongoru, aby rozsądzić spory. Odtąd nikt ich nie widział.

– O co spór?

– O co spór? To do ciebie niepodobne, byś była ślepa na manewry ludzi.

Roześmiała się.

– Oto prawda. Lata przedtem, zanim matka tego chudzielca rozwarła swoją kehkeh, aby wyszczać go na świat, tuż przed tym, gdy potwierdzono pokój na papierze i żelazie, Południe wycofało się na południe.

– Tak, tak, tak. Wycofali się na południe, ale nie na głębokie południe – odparła Sogolon.

– Stary Kuasz Netu oddał im kość. Uakadiszu, gdy już je podbił.

– Byłam wtedy w Kalindarze i Uakadiszu.

– Lecz tym z Uakadiszu to porozumienie nigdy nie przypadło do smaku, wcale a wcale. Mówili, że Kuasz Netu ich zdradził, że sprzedał ich w nie-

wolę Królowi Południa. Biadolą o tym od lat, a nowy Król…

– Kuasz Dara sprawia wrażenie, jakby słyszał – odpowiedziała Sogolon.

– I cały ten ruch w kierunku północnym, od czego wrze na Południu. Wiedz o tym, wieść głosi, że głowę szalonego Króla znowu nawiedziły demony.

Ta rozmowa gniewała mnie coraz bardziej. Oboje mówili to, o czym drugie wiedziało. Nawet się nie sprzeczali, nie rozumowali, nie waśnili ze sobą, nie powtarzali słów, tylko dopowiadali nawzajem swoje myśli, jakby mnie w ogóle nie było.

– Niebo i ziemia dość już usłyszały – powiedziała Sogolon.

– Rozprawiasz o królach i wojnach, i pogłoskach wojennych, jakby ktokolwiek się o to troszczył – wtrąciłem. – A jesteś tylko wiedźmą, która ma odnaleźć chłopca. Tak jak wszyscy oprócz niego. – Wskazałem pana domostwa. – Czy on wie, dlaczego znaleźliśmy się pod jego dachem? Widzisz, też potrafię mówić ponad głową innego, jakby go przy tym nie było.

– Chwaliłeś się, że masz nos, nie usta – odrzekł pan domostwa.

– Marnujemy czas rozprawianiem o polityce – powiedziałem i wyminąłem ich w drodze do środka.

– Nikt do ciebie nie mówi – odparła Sogolon, lecz nawet się nie odwróciłem.

Wyżej o jedno piętro podszedł do mnie Lampart. Nie potrafiłem nic wyczytać z jego twarzy, lecz od dawna się na to zapowiadało. Niechbyśmy już to rozstrzygnęli, słowem, pięścią, nożami, pazurami, a ten, który by się ostał, dopadłby chłopca, on by go wyruchał, a ja obił dupokijem i wysłał z powrotem tej, co go wysrała na świat. Tak, policzmy się. Lampart nadbiegł, omal nie wywracając po drodze dwóch z tuzina posągów i rzeźbień w sieni. Objął mnie.

– Zacny Tropicielu, czuję, jakbym nie widział cię od wielu dni.

– Bo dni to były. Nie mogłeś się wyrwać ze snu.

– Słowa zgodne z prawdą. Mam wrażenie, jakbym przespał lata. I budzę się w takich posępnych pokojach. No dobrze, jakie rozrywki oferuje nam miasto?

– Kongor? W tak pobożnym mieście nawet kochanki szukają zamążpójścia.

– Już mi się tutaj podoba. Ale czy nie jesteśmy tu z innego powodu? Tropimy chłopca, czyż nie?

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam i nie pamiętam.

– Mroczne Ziemie pamiętasz?

– Przebyliśmy Mroczne Ziemie?

– Nie wahałeś się przemawiać ostrym słowem.

– Ostrym słowem? Do kogo? Do Fumelego? Wiesz, że lubi, gdy się wadzimy. Nie jesteś głodny? Na dworze widziałem bawołu, pomyślałem, żeby go zabić, a przynajmniej odgryźć mu ogon, ale wygląda na rozgarniętego zwierzaka.

– To bardzo dziwne, Lamparcie.

– Opowiesz mi przy stole. Co się wydarzyło w ciągu tych paru dni, odkąd opuściliśmy dolinę?

Wyjaśniłem mu, że w drodze jesteśmy od księżyca. Odparł, że to obłęd, i nie chciał więcej słuchać.

– Huczy mi dziura w brzuchu. Burczy z niej nieprzyzwoicie.

Stół znajdował się w wielkiej sali, a na jej ścianach wisiały rzędem platery ukazujące różne widoki. Dotarłem do dziesiątego, gdy zauważyłem, że te dzieła wielkich mistrzów w brązie przedstawiają sceny ruchania.

– Dziwne – powtórzyłem.

– Wiem. Szukam takiego, na którym kutas wchodzi w jamę ust albo buu, ale nie mogę znaleźć. Ale podobno to miasto bez szoga. Jak możli…

– Nie. Dziwne jest to, że niczego nie pamiętasz. Ogo pamięta wszystko.

Lampart, będąc przecież lampartem, nie zwrócił uwagi na krzesła i wskoczył cicho na stół. Chwycił ptasią nogę ze srebrnej tacy, przysiadł na piętach i ugryzł. Widziałem, że mu nie posmakowało. Lamparty zeżrą wszystko, ale nie trysnęła krew, gorąca i pożywna, nie zalała mu warg, nie bluznęła do ust, gdy zacisnął zęby, a wtedy zawsze grymasił.

– To ty jesteś dziwny, Tropicielu, z tymi swoimi zagadkami i niedomówieniami. Siadaj, zjedz kleik, a ja spałaszuję… co to jest, struś? Nigdy nie jadłem strusia, nie dałem rady upolować. Powiedziałeś, że ogo pamięta?

– Tak.

– A co pamięta? Że był w zaklętym lesie? Bo to pamiętam.

– Co jeszcze?

– Ołowiany sen. Wędrowanie bez ruchu. Długotrwały krzyk. A co pamięta ogo?

– Najwyraźniej wszystko. Objawiło mu się całe jego życie. Pamiętasz, jak wyruszaliśmy? Miałeś ze mną zatarg.

– Pewnie go załagodziłeś, bo nic takiego nie pamiętam.

– Nie myślałbyś tak, gdybyś wtedy słyszał sam siebie.

– Mieszasz mi w głowie, Tropicielu. Siedzę i jem z tobą, łączy nas miłość, której dotąd nie musieliśmy w ogóle wyrażać. Przestań więc żyć utarczką tak drobną, że nawet jej nie pamiętam mimo twoich podpowiedzi. Kiedy idziemy do domu tego dziecka? Może powinniśmy zaraz?

– Wczoraj byłeś…

– Kuesi! – krzyknął chłopiec Lamparta i upuścił niesiony koszyk.

Być może powodowany złością zapomniałem jego imienia. Podszedł do stołu, nie zaszczycając mnie spojrzeniem ani skinieniem głowy.

– Nie czujesz się na tyle dobrze, żeby jeść takie dziwne pokarmy – zwrócił się do Lamparta.

– Tu jest mięso, a tu jest kość. Nic w tym dziwnego.

– Wracaj do swojego pokoju.

– Dobrze się czuję.

– Nieprawda.

– Głuchy jesteś? – wtrąciłem się. – Mówi, że dobrze się czuje.

Fumeli próbował zgromić mnie wzrokiem i z tą samą miną przekomarzać się dalej z Lampartem, lecz skończyło się na tym, że przekomarzał się ze mną, a wzrokiem gromił Lamparta. Ten chłopak budził mój śmiech nawet wtedy, gdy nie było w nim nic zabawnego. Wymaszerował, zgarniając koszyk po drodze. Jedna mała paczuszka wypadła na podłogę. Peklowana wieprzowina, od razu poczułem woń. Prowiant. Lampart usiadł na stole i skrzyżował nogi.

– Niedługo się z nim pożegnam.

– Powinieneś był to zrobić wiele księżyców temu – mruknąłem.

– Co?

– Nic. Lamparcie, są sprawy, o których muszę ci powiedzieć. Ale nie tutaj. Nie ufam tym murom. Dzieją się tu dziwne rzeczy.

– Czwarty raz to mówisz. Dlaczego według ciebie wszystko jest dziwne, mój przyjacielu?

– Kobieta czarnej kałuży.

– Mnie niepokoją te posągi. Czuję, jakby rzesza ludzi miała patrzeć, gdy rucham się w nocy.

Chwycił jedną z rzeźb za szyję i wyszczerzył zęby w tym szerokim uśmiechu, który widziałem ostatni raz nie wiadomo kiedy.

– A ten najbardziej – powiedział.

– Bierz swój drób.

Obwiązaliśmy się tkaninami w pasie i poszliśmy na południe do Gallunkobe/Matyube. Do dzielnicy ludzi wolnych i niewolników, przy tym najuboższej poza sprośnymi przybytkami, które ciągnęły się na boki, a nie w górę, dla klientów z zasobną sakiewką, lecz nie dość dobrym pochodzeniem. Większość domostw ograniczała się do jednego pokoju albo sali, ściśnięta tak mocno, że dzieliły ten sam dach. Nawet szczur nie przecisnąłby się między murami. Wieże i szczyty Nyembe nadawały tej dzielnicy wygląd fortecy lub zamku, lecz tutaj żadne baszty się nie piętrzyły. Wolni ludzie i niewolnicy nie mieli potrzeby strzec się kogokolwiek, każdy inny zaś musiał strzec się ich. I choć większość szła tam spać na noc, za dnia była to najbardziej wyludniona dzielnica, bo pracowano w pozostałych trzech.

– Kiedy bunszi opowiedziała ci tę historię?

– Kiedy? Zacny kocie, przecież byłeś przy tym.

– Byłem? Nie pamiętam… A tak, pamiętam… wspomnienia wracają i pierzchają.

– Zatem pamięć musiała słyszeć, co wyprawiasz w łożu.

Zachichotał.

– Tropicielu, pamiętam, jakby ktoś mi o tym powiedział, a nie jakbym przy tym był. Nie ma zapachu. Dziwne.

– Tak, dziwne. Bez względu na to, co Fumeli daje ci do palenia, odstaw to.

Byłem jak zawsze szczęśliwy, że mogę rozmawiać z Lampartem, i nie chciałem przywoływać goryczy ostatnich dni – całego księżyca, gdy trząsł się za każdym razem, gdy mówiłem o tym chłopaku. Wydaje mi się, że zrozumiałem przyczynę. Dla wszystkich zwierząt czas jest płaski; mierzą go tym, kiedy jeść, kiedy spać, kiedy się rozmnażać. Dla Lamparta przegapiony czas był jak duża dziura wybita w desce.

– Handlarz niewolników mówił, że chłopiec to syn jego wspólnika, teraz sierota. Nieznani ludzie uprowadzili chłopca od gospodyni i wymordowali wszystkich w domu. Potem powiedział, że ten dom należał do jego ciotki, a nie do gospodyni. Potem widzieliśmy jego i Nsakę Ne Vampi próbujących dowiedzieć się więcej od kobiety-błyskawicy, którą uwolniliśmy, ale która skoczyła z urwiska i wylądowała w klatce Nyki.

– Mówisz to, co wiem. Wiem wszystko oprócz o tej kobiecie-błyskawicy w klatce. I pamiętam, jak myślałem, że handlarz kłamie, ale w jakiej sprawie konkretnie, to nie wiem.

– Lamparcie, to było wtedy, gdy bunszi spłynęła po ścianie i powiedziała, że chłopiec to nie ten chłopiec, lecz inny, który był synem Basu Fumanguru, członka starszyzny, a w Nocy Czaszek omoluzu zaatakowali dom i zabili wszystkich oprócz chłopca, który był wtedy dzieciątkiem i którego bunszi ukryła w swoim łonie, aby go uratować. Potem zabrała go do ślepej kobiety w Mitu, której ufała, a która sprzedała chłopca na targu niewolników, i stamtąd wziął go kupiec, prawdopodobnie dla swojej jałowej żony, lecz zostali napadnięci przez ludzi złego usposobienia. Myśliwy przygarnął chłopca i odtąd nikt nie może go znaleźć.

– Zwolnij, dobry przyjacielu. Nic z tego nie pamiętam.

– To nie wszystko, Lamparcie, bo odnalazłem innego członka starszyzny, który zwał się Belekun Wielki i który stwierdził, że ta rodzina padła od rzecznej zarazy, a to nieprawda, a że było ich ośmiu, to zaś prawda, w tym sześciu synów i wśród nich żadnego noworodka.

– Co ty wygadujesz, Tropicielu?

– Nie pamiętasz, jak mówiłem ci o tym nad jeziorem?

Pokręcił głową.

– Belekun zawsze łgał i musiałem go zabić, zwłaszcza że próbował zabić mnie. Nie miał jednak powodu kłamać w tej sprawie, więc jest jasne, że

skłamała bunszi. Owszem, omoluzu wybili rodzinę Basu Fumanguru, i owszem, wielu o tym wie, nie wyłączając jej, ale chłopiec, którego poszukujemy, nie był jego synem, bo on nie miał wtedy nowo narodzonych dzieci.

Lampart wciąż wydawał się odurzony. Nagle uniósł brew, jakby objawiła mu się prawda.

– Lecz słuchaj – ciągnąłem – trochę się rozejrzałem i trochę powęszyłem i okazuje się, że jeszcze ktoś inny w tym mieście rozpytuje o Fumanguru, to znaczy kazał sobie donieść, gdyby ktokolwiek pytał, co oznacza, że zamknięta sprawa nieżyjącego członka starszyzny nie jest zamknięta, bo jedno pozostaje otwarte, los zaginionego chłopca, który nie jest jego synem, i choć być może nie jest, to jednak stanowi przyczynę, dlaczego inni go poszukują i dlaczego my to robimy, a biorąc pod uwagę, że Fumanguru rozgniewał Króla, ale przecież nie był jego wrogiem, to ten, kto wysłał dachowców do jego domu, nie chciał zabić rodziny, lecz chciał dostać chłopca, którego Fumanguru z pewnością ochraniał. Oni też wiedzą, że dziecko żyje.

Powiedziałem to wszystko Lampartowi i tak po prawdzie to bardziej byłem zdezorientowany własnym mówieniem niż on swoim słuchaniem. Dopiero jak powtórzył to, co rzekłem, zrozumiałem. Wciąż brodziliśmy po kostki w wodzie, gdy mruknął:

– Wiesz, że ten bawół stoi za nami, kiedy rozmawiamy?

– Wiem.

– Możemy mu ufać?

– Wygląda na godne zaufania bydlątko.

– Jeśli kłamie, obalę go paszczą i zrobię z niego wieczerzę.

Bawół prychnął i prawym kopytem zaczął grzebać w wodzie.

– Dowcipkuje – uspokoiłem go.

– Trochę – przyznał Lampart. – Z nami do domu tamtego człowieka. Od szat swędzą mnie jaja.

Sadogo siedział na podłodze w swoim pokoju i walił prawą pięścią w lewą dłoń, krzesząc iskry. Podszedłem i stanąłem w progu. Zobaczył mnie.

– Był tam. Chwyciłem go za kark i ścisnąłem, aż głowa mu odpadła. I jej, jej też. Zamachnąłem się tą oto ręką, tą, co ją podniosłem, i uderzyłem tak mocno w twarz, że głowa odleciała. Wkrótce panowie gromadzili siedziska, ludzie płacili mi kauri, zbożem i krowami, aby oglądać, jak gołymi rękami wykonuję wyrok na kobietach, dzieciach i mężczyznach. Niedługo potem ustawili siedziska w kręgu i brali należność, i zawierali zakłady. Ale nie o to, kto będzie górą nade mną, bo żaden człowiek nie może być górą nad ogo. Tylko o to, kto wytrwa najdłużej. Jeśli idzie o dzieci, to ich karki łamałem szybko, żeby nie było cierpienia. Na to tamci się oburzali, no bo kto miałby to oglądać, przecież muszą mieć, nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że muszą mieć widowisko? Przekląć bogów i wyruchać ich wszystkich w uszy i dupę, a widowisko musi być, tak ci powiadam.

Co dalej, wiedziałem aż za dobrze. Zostawiłem ogo. Wiedziałem, że będzie rozpamiętywał przez całą noc bez względu na to, jak zamartwiał się takim gadaniem. Część mnie chciała nadstawić ucha, bo w tym, co mówił, była głębia, w tych czynach, które popełnił i które pogrzebał, gdziekolwiek ogo grzebią swoich umarłych. Lampart już się trzymał za krocze, gdy wchodził do pokoju z Fumelim. Sogolon przepadła, tak samo dziewczyna i pan domostwa. Chciałem iść do siedziby Fumanguru, ale nie sam.

Nie pozostało nic innego, jak czekać na Lamparta. U dołu schodów noc się zakradała, ale ja tego nie widziałem. W blasku słońca Kongor udawał miasto ludzi prawych, lecz pod osłoną ciemności zmieniał się w to, w co

zmieniają się wszystkie miasta prawych. Tu i tam ogień rozjaśniał skrawki nieba, to od bindżingun w oddali. Chwilami dudnienie bębnów wpadało na dachy, na drogę, wstrząsało oknami, a lutnie, flety i rogi pełzły poniżej. Przez cały dzień nie widziałem ani jednego przebierańca. Wyślizgnąłem się z pokoju na parapet. Usiadłem i popatrzyłem na okna, rozmigotanych światłem ledwie kilka, zaciemnionych bez liku. Obok przeszedł Fumeli ubrany w kobierzec, niósł lampę. Niedługo potem wrócił, znów mnie minął, tym razem z bukłakiem wina. Ruszyłem za nim, może z dziesięć i dwa kroki w tyle. Drzwi zostawił otwarte.

– Bierz swój łuk, a przynajmniej dobry miecz – powiedziałem. – Nie, lepiej sztylety, idziemy ze sztyletami.

Lampart wylegiwał się na wznak w łożu. Chwycił bukłak od Fumelego, który nie chciał na mnie spojrzeć.

– Teraz pijesz wino palmowe?

– Będę pił krew, jeśli taka mnie najdzie ochota – odparł.

– Lamparcie, czasu to my akurat nie mamy do tracenia. Kuesi.

– Fumeli, powiedz mi jedno. Czy to zły wiatr wieje pod oknem, czy to ty przemawiasz do mnie tonem, który mnie złości?

Chłopak zaśmiał się cicho.

– Lamparcie, o co chodzi?

– W rzeczy samej, o co chodzi? O co chodzi? O co chodzi, Tropicielu? O? Co? Chodzi?

– Chodzi o dom tego chłopca. O dom, do którego idziemy. O dom, w którym możemy się dowiedzieć, gdzie się podział.

– Wiemy, gdzie się podział. Nyka i ta jego dziwka już go odnaleźli.

– Skąd wiesz? Bębny jakieś ci doniosły? Czy ta mała kurwa szepnął ci to do ucha przed zachodem słońca?

Warknięcie, ale Fumelego, nie Lamparta.

– Ja się wybieram tylko w jedno miejsce, Tropicielu. Do krainy snów.

– I to w snach chcesz go odnaleźć? A może zamierzasz wysłać w zamian tę swoją dziewicę?

– Wynoś się – powiedział Fumeli.

– Nie, nie, nie. Ty ze mną nie rozmawiasz. A ja rozmawiam wyłącznie z nim.

– Jeśli ten nim to ja, to twierdzę, że nie mówisz ani z nim, ani ze mną – odparł Lampart.

– Kocie, czyś ty oszalał, czy prowadzisz jakąś grę? Czy w tym pokoju jest aż dwoje dzieci?

– Nie jestem dzie…

– Zamknij się, chłopcze, bo na bogów cię…

Lampart skoczył na nogi.

– Bo na bogów ty co?

– Co to za nawrót szaleństwa? Najpierw jesteś gorący, potem zimny, raz jednym, potem drugim. Czy ta mała dziwka cię zaczarował? Nie dbam o to. Teraz idziemy, posprzeczać możemy się później.

– Idziemy jutro.

Lampart podszedł do okna. Fumeli usiadł w łóżku, zerkając na mnie ukradkiem.

– Ach – westchnąłem. – Więc znowu stoimy na tym samym grząskim gruncie.

– Ale śmiesznie mówisz – stwierdził chłopak.

W wyobraźni chwyciłem go za gardło.

– Tak, na grząskim gruncie, jak powiedziałeś – przyznał Lampart. – Jutro pójdziemy w swoją stronę, aby odnaleźć dziecko. Albo nie. Tak czy owak, odchodzimy stąd.

– Mówiłem ci o dziecku. Dlaczego musimy odnaleźć…

– Mówiłeś mi wiele rzeczy, Tropicielu. Ale mały z tego pożytek. A teraz, proszę cię, wracaj tam, skąd przyszedłeś.

– Nie. Muszę wiedzieć, co to za obłęd.

– Obłędem to, że myślisz, że wciąż będę twoim towarzyszem. Nie mogę nawet znieść picia razem z tobą. Twoja zazdrość śmierdzi, wiesz o tym? Śmierdzi tak samo mocno jak twoja nienawiść.

– Nienawiść?

– Dawniej mąciła mi w głowie.

– To teraz masz zmąconą.

– Ale potem uświadomiłem sobie, że od czubka łba do pięt przepełnia cię niezadowolenie. Nic na to nie poradzisz. Czasem nawet potrafisz to zwalczyć. Na tyle, aby móc sprowadzić mnie na manowce.

– Pierdolić bogów, kocie, działamy razem.

– Ty z nikim nie działasz. Miałeś zamiar…

– Co zrobić? Zabrać pieniądz?

– Ty to powiedziałeś, nie ja. Słyszałeś, Fumeli, co powiedział?

– Tak.

– Zamknij tę swoją obsraną mordę, malcze.

– Zostaw nas – rzekł Lampart.

– Coś ty mu zrobił? – spytałem chłopaka. – Coś mu podał?

– Co mi zrobił? Poza tym, że otworzył mi oczy? Nie wydaje mi się, żeby Fumeli dopraszał się zasługi. Nie jest taki jak ty, Tropicielu.

– Nawet nie mówisz jak…

– Jak ja?

– Nie. Nawet nie mówisz jak mężczyzna. Jesteś chłopczykiem, któremu ojciec zabrał zabawki.

– W tym pokoju nie ma zwierciadła.

– Co?

– Odejdź, Tropicielu.

Skoczyłem na Fumelego. Spadłem na łóżko i chwyciłem go za szyję. Młócił bezradnie rękami, bo mała dziwka w nim żyjąca nie była w stanie zrobić nic więcej. Zacisnąłem palce.

– Wiem, że zasięgałeś rady wiedźm – syknąłem.

Strąciła mnie z łóżka ciemna włochata kotłowanina i uderzyłem mocno głową w podłogę. Lampart, cały czarny i zjednoczony z ciemnością, zadrasnął mi łapą twarz. Chwyciłem go za skórę przy szyi. Turlaliśmy się i turlaliśmy. Spróbowałem uderzyć go pięścią, ale chybiłem. Zrobił unik przy mojej głowie i ścisnął mnie łapami za szyję. Straciłem oddech. Natężył się i odchylił łeb, aby złamać mi kark.

– Kuesi!

Puścił mnie. Charknąłem i wykaszlałem ślinę.

Warknął, potem ryknął, prawie tak głośno jak lew. Był to ryk, który kazał mi się wynosić. Wynosić i nie wracać.

Ruszyłem do drzwi, wycierając mokrą szyję. Mokrą od śliny i odrobiny krwi.

– Jutro ma was tu nie być – powiedziałem. – Żadnego.

– Ty nam nie rozkazujesz – odparł Fumeli.

Lampart wciąż krążył przy oknie, wciąż jako lampart.

– Jutro ma was nie być – powtórzyłem.

Poszedłem do pokoju ogo.

Bindżingun. Oto czego nauczyłem się od kongorczyków i oto dlaczego nienawidzą nagości. Chodzić odzianym wyłącznie we własną skórę to mieć umysł dziecka, umysł szaleńca, nawet umysł człowieka bez roli w społeczności, o statusie niższym niż lichwiarze i sprzedawcy błyskotek, bo nawet tacy jak oni są użyteczni. Bindżingun to sposób ludzi Północy,

aby wyznaczyć miejsce umarłym pośród żywych. Bindżingun to maskarada, bębniarze i tancerze, śpiewacy wielkiego oriki. Pod spodem noszą aso oke, a to biała tkanina w paski indygo i wygląda jak to, w co odziewamy umarłych. Twarze i ręce osłaniają siatką, bo teraz są uczestnikami maskarady, a nie ludźmi o imionach. Gdy bindżingun kłębią się i wywołują wir, opętują ich przodkowie. I wtedy skaczą wysoko jak dachy.

Ten, który szykuje kostiumy, to ameua, arbiter piękna, bo jeśli ktoś zna kongorczyków, to wie, że na wszystko spoglądają poprzez pryzmat tego, co piękne. Nie brzydkie, bo to nie ma wartości, zwłaszcza brzydota charakteru. Ale i nie nazbyt piękne, bo wtedy to szkielet w przebraniu. Stroje bindżingun tworzy się z najlepszej tkaniny, czerwonej i różowej, złotej, niebieskiej i srebrnej, wszystko obszyte kauri i monetami, bo w pięknie kryje się moc. We wzorach, splotach, cekinach, chwostach i amuletach z lekami. Bindżingun w tańcu, Bindżingun w marszu, stworzeni po to, aby przemienić się w przodków. Wszystkiego tego dowiedziałem się w trakcie swoich wędrówek. W Dżubie też jest maskarada, ale to nie bindżingun.

Opowiedziałem o tym mojemu ogo, gdy ruszyliśmy za pochodem w drodze do domu Fumanguru, aby istota tak wysoka jak on nie wyglądała dziwnie w blasku pochodni. Lecz i tak dziwnie wyglądał. Pięciu bębniarzy na czele nadawało ton – trzej uderzali w ganga, czwarty grzmocił w bata o dwustronnej membranie, a piąty w cztery małe bata związane razem, aby dawały wysoki ton jak wołanie wrony. Śladem bębniarzy podążali bindżingun, wśród nich Król Przodek, w królewskich szatach i zasłonie z kauri, oraz Oszust, którego szaty na lewej stronie okazywały się innymi szatami i jeszcze innymi, gdy bindżingun wirowali i tupali do rytmu bębnów, bum-bum-bakalak-bakalaka-bakalakalakalaka-bum-bum-bum. Dziesięciu i pięciu z tego klanu szurało stopami w lewo, potem tupało w prawo i podskakiwało. Powiedziałem to wszystko ogo, żeby nie zaczął znowu gadać o tym,

kogo ukatrupił gołymi rękami i jak to nie ma na tym świecie ani w zaświatach niczego, co przypominałoby chrupnięcie zgruchotanej czaszki. W mroku twarz Sadogo zniknęła mi z oczu, bo sięgał głową wyżej niż pochodnie, wymachiwał też rękami w powietrzu razem z bindżingun, maszerował, gdy maszerowali, a kiedy zastygali, zastygał.

Oto prawda. Nie wiedziałem, który dom należał do Fumanguru, a tylko to, że stoi w dzielnicy Tarobe, na północ od granicy z Nimbe, i że skrywać go będą bujnie wyrosłe krzaki głogu. Powiedziałem:

– Zacny ogo, popatrzmy. Chodźmy od ulicy do ulicy i zatrzymajmy się przed domem, w którym nie ma światła i który kryje się pośród gałęzi, co kłują i tną.

W pobliżu czwartego domu Sadogo chwycił pochodnię ze ściany. U wrót dziewiątego poczułem to, smród spalonej siarki, woń wciąż świeża po tylu latach. Większość budynków przy tej ulicy stała ścieśniona, jeden obok drugiego, lecz ten wzniesiono osobno, a teraz był wyspą głogu. Większy od pozostałych, przynajmniej tak wyglądał w ciemności, krzaki wyrosły na boki i w górę, sięgały drzwi wejściowych.

Obeszliśmy dom od tyłu. Ogo wciąż milczał. Nosił rękawice, bo nie posłuchał, gdy powiedziałem, że nie ma z nich pożytku przeciw umarłym. Zobacz, nie ochroniły cię przed ogudu, pomyślałem, ale nie rzekłem tego na głos. Odrywał gałęzie, aż w końcu bezpiecznie było się wspiąć. Przeskoczyliśmy przez mur na tyłach i spadliśmy na gruby kobierzec z trawy. Dzikiej trawy, która pleniła się swobodnie, niekiedy sięgając do pasa. Omoluzu bez wątpienia tu zawitali. Były tylko rośliny, które rosły na umarłych.

Stanęliśmy na dziedzińcu, tuż obok spichlerza, w którym proso i sorgo skwaśniały, przemoknięte od wielu deszczów, oblepione szczurzym gównem i żywe od gniazd szczurów. Domostwo, zlepek budynków, pięć szpiców jak u gwiazdy, nie przypominało takiego, jakiego można się spodzie-

wać w Kongorze. Fumanguru nie był kongorczykiem. Sadogo wbił pochodnię w ziemię i rozświetlił cały dziedziniec.

– Zepsute mięso, świeże gówno, zdechły pies? – spytał. – Nie potrafię powiedzieć.

– Chyba wszystko naraz – odrzekłem.

Wskazałem pierwsze zabudowanie po prawej stronie. Sadogo skinął głową i ruszył za mną. Najbliższy budynek zdradził mi, jak znajdę następne. Wszystko tak, jak zostawili omoluzu. Stołki połamane, słoje rozbite, tkaniny zerwane, dywany i odzienie podarte i porozrzucane dokoła. Chwyciłem koc. Ukryci w woni brudu i deszczu dwaj chłopcy, najmłodsi być może, lecz trop sięgał tylko do ściany i się urywał. Wszyscy umarli pachną tak samo, lecz czasem ich żywa woń może doprowadzić do miejsca, w którym postradali życie.

– Sadogo, jak kongorczycy grzebią swoich zmarłych?

– Nie w ziemi. W urnach, za dużych do tego pokoju.

– Jeśli mają możliwość. Bliskich Fumanguru mogli gdzieś porzucić, zatrważając bogów. Może spalili?

– Kongorczycy tak nie robią – odrzekł ogo. – Wierzą, że spalenie zwłok uwalnia w powietrzu to, co zabiło.

– Skąd wiesz?

– Zgładziłem kilku. Oto jak było. Właśnie…

– Nie teraz, Sadogo.

Weszliśmy do sąsiedniego pomieszczenia, które sądząc po łożu z kosztownego drewna, było sypialnią Fumanguru. Na ścianie natłok scen – głównie łowieckich – wyrzeźbionych w drewnie. Na podłodze strzaskane posągi oraz księgi, a także luźne arkusze, najpewniej powyrywane z ksiąg. Omoluzu by się tym nie zainteresowali, ale czwarta i piąta osoba, które weszły do tej komnaty, owszem, nie wyłączając Sogolon, której woń wyczułem,

gdy tylko zagłębiliśmy się w pokoje pana domu. Nie powiedziałem jednak o tym ogo. Zastanawiałem się, czy ona – w odróżnieniu od innych, którzy tu zawitali – znalazła to, czego szukała.

– Wieść głosi, że Basu Fumanguru napisał wiele pism przeciw Królowi. Ogółem dwadzieścia lub trzydzieści paragrafów, niektóre opatrzone świadectwami królewskich wykroczeń uzyskanymi od skrzywdzonych poddanych, szlachciców i książąt. Był taki człowiek, z którym mówiłem. Stwierdził, że szukano tych pism i dlatego Fumanguru został zabity. Ale wszystko, co się o nim wywiedziałem, podpowiada mi, że nie był głupcem. I z całą pewnością nie chciał, aby jego słowa zginęły wraz z nim.

– Pism tu nie ma?

– Nie. Mało tego, zacny ogo, uważam, że szukano czegoś innego. Pamiętasz o chłopcu? Bunszi mówiła, że go uratowała.

Na podłodze błysnął miecz. Teraz nienawidziłem mieczy. Nieporęczne, nazbyt duża siła przeciw wiatrowi, kiedy powinny z nim współdziałać, ale i tak podniosłem. Tkwił do połowy w pochwie. Uznałem, że muszę przyjść za dnia, bo teraz miałem tylko swój nos, by się rozeznać. Mężczyzna jakiś wypełniał cały ten pokój, być może Fumanguru, i kobieta też, ale ich wonie pozostawały w tych ścianach, co znaczyło, że jedno i drugie nie żyje. Na dworze ruszyłem do pokoju w zabudowaniu dla sług i najmłodszych dzieci. Zorientowałem się, że ten, kto pogrzebał rodzinę, nie widział albo nie dbał o to, że służka leży pod połamanym drewnem i podartymi dywanami. Tam na podłodze zostały z niej tylko kości, wciąż razem, ale mięso całe odpadło. Wszedłem do środka, ogo za mną. Szorował głową po suficie. Uśmiechnąłem się, potknąłem o wywróconą urnę, runąłem jak kłoda. Pierdolić bogów, powiedziałem, choć sterta tkanin złagodziła upadek. Szaty. Nawet po ciemku wyczułem ich wykwintność. Złote obszycie, ale tkanina cienka, a więc żony. W tym miejscu służka zapewne trzymała odzienie swej pani

wyczyszczone po praniu. W wiotkich szatach kryła się woń, której nie mogło wygnać żadne pranie. Olibanum. Powiodło mnie z pokoju z powrotem do sypialni i dalej na środek dziedzińca i znów do wielkiej komnaty obok spichlerza.

– Są tam, Sadogo.

– W ziemi?

– Nie. W urnach.

W pomieszczeniu tym, bez okien, było najciemniej, ale dzięki bogom za siłę ogo. Zdjął wieko największej urny, którą wziąłem za trumnę Basu, lecz olibanum w środku świadczyło, że to jego żony.

– Sadogo, pochodnia.

Wstał i przyniósł światło. I była tam, w urnie, zwłoki skręcone nienaturalnie, plecy zetknięte z podeszwami stóp. Czaszka leżała w gnieździe włosów, kości sterczały z tkaniny.

– Złamali jej stos pacierzowy? – spytał ogo.

– Nie, przecięli ją na pół.

Druga urna, mniejsza, ale większa od pozostałych, mieściła Fumanguru. Wszystkie kości zebrane, lecz połamane na kawałki. Ciemnoniebieskie szaty jak u króla. Ten, kto go pochował, niczego nie ukradł, bo gdyby było inaczej, z pewnością zabrałby tak wytworne odzienie, ściągnął nawet z umarłego. Kości twarzy były zmiażdżone, a tak działo się zawsze, gdy omoluzu zrywali oblicze z człowieka, aby je potem nosić. W kolejnej dużej urnie znajdowało się dwoje dzieci, w mniejszej jedno. Kości dzieciątka w małej prawie już rozsypane w proch z wyjątkiem ramion i żeber. Podobnie jak w pozostałych pachniało dawno nadeszłą śmiercią i ulatującymi aromatami. Nie było niczego, co służy do zmumifikowania lub zachowania zwłok, a to oznaczało, że rozniosła się historia o zarazie. Skinąłem głową do ogo, aby zakrył urnę, gdy nagle moje oko przykuła drobna rzecz.

– Sadogo, jeszcze raz światło.

Podniosłem wzrok akurat w chwili, gdy ocierał łzę z policzka. Myślał o pomordowanych dzieciach, ale nie o tym konkretnym.

– Co trzyma? – spytałem.

– Pergamin? Kawałek gliny?

Chwyciłem. Tkanina, prosta jak aso oke, ale nie aso oke. Pociągnąłem, lecz martwy chłopczyk nie chciał puścić. Skonał z nim, jako z ostatnim wyrazem swego sprzeciwu. Biedne, dzielne dziecko. Znienawidziłem tę myśl, zanim się zagnieździła. Kolejne szarpnięcie i odeszło. Kawałek wyrwany z większej niebieskiej tkaniny. Chłopiec był owinięty w biel. Przysunąłem nos do strzępu materiału i do jednego roku pełnego, nocy, grzmotu, deszczu, setek dni marszu, kilkudziesięciu dni wzgórz, dolin, piasku, mórz, domów, miast, równin. Zapach był tak silny, że stał się westchnieniem, słuchem i dotykiem. Mogłem wyciągnąć rękę i dosięgnąć chłopca, uchwycić go umysłem i przyciągnąć z bardzo daleka. Zbyt daleka, moja głowa pędziła, skakała, tonęła w morzu, potem frunęła wyżej, wyżej i wyżej, wyczuwając powietrze wolne od dymu. Woń mnie popychała, przyciągała, wlokła przez dżungle, tunele, między ptaki, rozszarpaną tkankę, mięsożerne owady, gówno, szczyny i krew. Krew wtargnęła we mnie. Tyle krwi, że oczy mi zaszły czerwienią, potem poczerniały.

Przepadłeś, aż myślałem, że już nie wrócisz – powiedział Sadogo.

Przekręciłem się na bok i wstałem.

– Na długo?

– Nie długo, ale głęboko jak we śnie. Oczy dostałeś mlecznobiałe. Wydawało mi się, że masz demony w głowie, ale nie było piany na ustach.

– Tak się dzieje tylko wtedy, kiedy się nie spodziewam. Wyczuję czyjąś woń i zaraz życie tego człowieka zwala się na mnie. To szaleństwo, mimo

że nauczyłem się nad tym panować. Ogo, jest coś.

– Jeszcze jedne zwłoki?

– Nie, chłopiec.

Zajrzał do urny.

– Nie, nie – powiedziałem pośpiesznie. – Chłopiec, którego szukamy. On żyje. I wiem, gdzie jest.

13

Zaprawdę głupotą było powiedzieć, że wywąchałem chłopca. Wywąchałem, że znajduje się bardzo daleko. Ogo, słysząc ode mnie nowinę, chwycił pochodnię i pognał w lewo, potem w prawo i zniknął w kwaterach dzieci, skąd wyciągnął tyle dywanów, że buchnął tuman kurzu, który objawił się mimo mroku.

– Chłopiec jest prawie trzy księżyce drogi stąd – powiedziałem.

– Co to znaczy?

Wciąż podnosił dywany i wymachiwał pochodnią.

– Znaczy tak daleko, jak Wschód jest od Zachodu.

Cisnął dywany, a podmuch powietrza zgasił światło.

– Cała ta wędrówka miała przynajmniej jakiś sens – odparł.

– Ciekawe, jaki miała sens dla Sogolon – mruknąłem.

– Co?

Zapomniałem, że ogo mają czuły słuch. Wiedźma była tutaj wcześniej, wcale nie tak dawno temu, może nawet zeszłej nocy. Z powrotem do komnaty Fumanguru. Tam, pośród strąconych ksiąg i podartych arkuszy, jej wonią tchnęło najsilniej. Zagłębiłem się na jeden krok i zastygłem. Zapach dopadł mnie natychmiast, i to z każdej strony. Masłosz zmieszany z węglem drzewnym, używany do smarowania twarzy i skóry, aby wtopić się w mrok.

– Wychodzimy, Sadogo.

Odwrócił się i ruszył na tylną ścianę.

– Nie, nie, drzwiami. Są otwarte.

Przedarliśmy się przez krzaki i natknęliśmy na oddział uzbrojonych mężczyzn. Sadogo cofnął się zaskoczony, ja nie. Pobarwili skórę, aby stopić się z czernią nocy. Usłyszałem chrzęst i zgrzyt żelaznych kłykci napinanych przez ogo. Dziesięciu i pięciu ich było, rozstawionych w półkolu, na głowach turbany w błękicie jeziora, na twarzach zasłony w błękicie jeziora zakrywające wszystko oprócz oczu i nosa. Pierś i plecy przecinała tak samo niebieska szarfa, pod nią czarna koszula i niżej rajtuzy. Z włócznią, łukiem, włócznią, łukiem, włócznią, łukiem i tak dalej aż po ostatniego, noszącego miecz u lewego boku, w pochwie jak mój. Ściskałem rękojeść swojego miecza, ale go nie dobyłem. Sadogo zrobił krok do przodu i ciosem usunął jednego ze swojej drogi, w powietrzu rozdzielając łucznika i łuk. Tamci w okamgnieniu skierowali się na niego, napinając cięciwy, gotowi ciskać włóczniami. Mężczyzna z mieczem był ubrany inaczej. Na prawym i pod lewym ramieniem nosił czerwoną pelerynę, trzepoczącą na wietrze, chłoszczącą ziemię. Rozpięta koszula odsłaniała tułów, umocowana na biodrach skórzanym pasem podtrzymującym miecz. Wstrzymał atak dłonią, lecz przez cały czas patrzył na mnie. Sadogo przyjął postawę, naszykowany do walki.

– Wyglądacie, jakbyście się nie bali, że was zabijemy – powiedział dowódca.

– Nie swojej śmierci się lękam – odrzekłem.

Patrzył na nas.

– Jestem Mossi, trzeci prefekt wodza wojsk Kongoru.

– Niczego stąd nie zabraliśmy.

– Ten miecz nie może być twoją własnością. Tym bardziej że widziałem go trzy dni temu.

– Czekaliście na każdego czy na nas?

– Pytania pozostaw mnie, skup się na odpowiedziach.

Podszedł bliżej, aż stanął tuż przede mną. Był rosły, lecz ode mnie niższy, jego oczy prawie na tej samej wysokości co moje, twarz ukryta pod czarnym barwnikiem. Hełm z tykwy z żelaznym szwem biegnącym pośrodku, choć słońce zaszło i panował chłód. Cienki srebrny naszyjnik zagubiony w kędzierzawym owłosieniu na piersi. Głowa o ostrym kształcie jak grot, nos jastrzębi, grube wargi wygięte ku górze, gdy się uśmiechał, i oczy tak czyste, że widziałem źrenice w ciemności. Kolczyki w obu uszach.

– Powiedz mi, gdy zobaczysz coś, co cię ucieszy.

– Ten miecz nie jest z Kongoru – rzekłem.

– Nie. Należał do handlarza niewolników z krainy wschodniego światła. Przydybałem go na porywaniu wolnych kobiet, aby je sprzedać jako niewolnice. Nie chciał się z nim rozstać, wypuścić z ręki, tak więc…

– Jesteś już drugim złodziejem mieczy, którego spotkałem.

– Bogowie się radują, kiedy okradziony zostaje złodziej. Twoje imię?

– Tropiciel.

– A więc nie byłeś ulubieńcem swojej matki.

Stał na tyle blisko, że czułem jego oddech.

– W twoim oku mieszka diabeł – powiedział.

Sięgnął ręką do mojej twarzy. Wzdrygnąłem się.

– A może to on ci przywalił którejś nocy? – spytał, wskazując na Sadogo.

– Nie diabeł mieszka, lecz wilk – odrzekłem.

– A więc gdy obnaży się księżyc, wyjesz do niego?

Milczałem, obserwując jego ludzi. Znów wskazał na Sadogo, który napinał mięśnie ramion, gotów uderzyć.

– Ten tu to ogo?

– Spróbuj go zabić, to się przekonasz.

– Tak czy owak, ta rozmowa potoczy się dalej w fortecy.

Pokazał ręką na wschód.

– Czy w tej, z której nigdy nie wychodzi żaden więzień? A jeśli odmówimy?

– Wówczas ta wymiana zdań między nami, łatwa dotąd i uprzejma, stanie się kłopotliwa.

– Zabijemy co najmniej siedmiu twoich ludzi.

– A moi ludzie są szczodrzy w częstowaniu innych swoimi włóczniami. Mogę sobie pozwolić na stratę siedmiu z nich. A czy wy możecie sobie pozwolić na stratę jednego? To nie jest areszt. Wolę rozmawiać tam, gdzie ulica nie słyszy. Czy się rozumiemy?

Forteca znajdowała się w Nimbe, niedaleko wschodniego brzegu rzeki, z widokiem na doki portowe. Zeszliśmy po schodach do sali zbudowanej z kamienia i zaprawy. Dwa krzesła i stół. Na stole świece, co mnie zaskoczyło – świece wszędzie kosztowały niemało. Przesiedziałem wystarczająco długą chwilę, aby skurcz ściął moją lewą nogę. Wstałem akurat w chwili, gdy wszedł prefekt. Obmył wcześniej twarz. Czarne włosy, które, gdy długie, byłyby luźne i kręcone, teraz nosił krótkie jak końska sierść. Włosy, jakich nie widziałem, odkąd zgubiłem drogę w Morzu Piasków. Skóra jasna niczym wysuszona glina. Tak wyglądali ci, którzy podążali za wschodnim światłem, albo ci, którzy kupowali niewolników, złoto, cywet, przeważnie jednak niewolników. Teraz obraz jego oczu nabrał sensu, a usta wydawały się jeszcze grubsze, lecz wciąż cieńsze niż u wszystkich w tej krainie. Już sobie wyobrażałem, jak kobiety Ku i Gangatom przeraziłyby się widokiem takiego mężczyzny. Spętano by go i pieczono, póki skóra nie nabrałaby odpowiednio ciemnej barwy. Nogi jak u Lamparta, masywne od mięśni, jakby walczył na wojnie. Zbrązowiałe od kongorskiego słońca. Zorientowałem się w chwili, gdy zakasał koszulę, odsłaniając części dotąd

zakryte, o jasnej karnacji, oraz czarną przepaskę biodrową. Wyciągnął tkaninę zza pasa i wtedy opadła poniżej kolan.

– Czekasz, aby dżin cię posadził? – spytał.

Usadowił się na stole.

– Od gołębia wiesz, że nadeszliśmy?

– Nie.

– Od…

– Ja tutaj zadaję pytania.

– A zatem będę oskarżony o rabunek.

– Ta twoja gęba, jak rozwolnione kiszki. Mogę ją zatkać.

Patrzyłem na niego śmiało w milczeniu. Uśmiechnął się.

– Świetna odpowiedź – stwierdził.

– Nic nie mówię.

– Mimo to jak dotąd najlepsza. Ale nie, nie będzie sprawy o rabunek, bo złodziejem byłbyś beznadziejnym. Mord jednak pozostaje niewyjaśniony.

– Kongorskie żarty. Najgorsze w całym imperium.

– Nie pochodzę z Kongoru, więc to raczej ty jesteś pośmiewiskiem.

– Nie można zabić trupa.

– Twój przyjaciel ogo już przyznał się do zabicia dwudziestu ludzi dokładnie w takiej samej liczbie krain i nie widać, że na tym poprzestanie.

Westchnąłem głośno.

– Wykonywał egzekucje – rzekłem. – Nie wie, o czym mówi.

– Z pewnością sporo wie o zabijaniu.

Prefekt wyglądał na starszego niż wcześniej po ciemku. A może na większego. Naprawdę chciałem zobaczyć jego miecz.

– Dlaczego przyszliście dziś w nocy do domu Fumanguru? – spytał.

– Być może jestem nieostrożny.

– Ludzie z krwią na rękach zmywają ją tam, gdzie ją przelali.

– To największe głupstwo, jakie kiedykolwiek słyszałem.

– To wy postąpiliście głupio. Dołączyliście do maskarady, a potem przeleźliście przez krzaki głogu, sądząc, że nikt tego nie zauważy.

– Odnajduję zaginionych ludzi.

– Odnaleźliśmy ich wszystkich.

– Oprócz jednego.

– Fumanguru miał jedną żonę i sześciu synów. Wszystkich wyliczono. Sam ich porachowałem. Potem posłaliśmy po jednego ze starszyzny, który odtąd przeniósł się do Malakalu. Na imię miał Belekun. Potwierdził, że wszyscy ośmioro to rodzina.

– Jak szybko po tym się przeniósł?

– Po jednym, dwóch księżycach.

– Czy znalazł pismo?

– Pismo?

– Tego właśnie szukał.

– Skąd wiesz, że Belekun czegoś szukał?

– Prefekcie, nie tylko ty masz przyjaciół wśród wpływowych tłuściochów.

– Swędzi cię, Tropicielu?

– Że co?

– Czy cię swędzi? Już siedem razy podrapałeś się w pierś. Domyślam się, że pochodzisz z tych nadrzecznych ludów, co obywają się bez odzienia. Luala Luala czy Gangatom?

– Ku.

– To jeszcze gorzej. A jednak mówisz o piśmie, jakbyś wiedział, co to jest. Być może sam go poszukujesz.

Przesiadł się ze stołu na krzesło, popatrzył na mnie i wybuchnął śmiechem. Nie przypominałem sobie nikogo – żadnego mężczyzny, kobiety,

zwierzęcia ani ducha – kto by mnie tak złościł. Nawet chłopczyk Lamparta przegrywał.

– Basu Fumanguru. Ilu wrogów miał w mieście?

– Zapominasz, że to ja zadaję pytania.

– Ale niezbyt mądre. Wydaje mi się, że powinniśmy przeskoczyć do tej chwili, kiedy torturujesz mnie, aby uzyskać odpowiedzi, które chcesz usłyszeć.

– Siadaj. No już.

– Mógłbym…

– Mógłbyś, gdybyś miał te swoje zabawki, które bierzesz za oręż. Nie poproszę kolejny raz.

Usiadłem z powrotem.

Okrążył mnie pięć razy, po czym zatrzymał się i znów zajął miejsce, przysuwając się do mnie na krześle.

– Nie mówmy o tym mordzie. Czy wiesz choćby to, do której części miasta się zapuściliście? Zatrzymano by was za rzucanie dziwnych spojrzeń. Więc co was zagnało do tego domu? Zabójstwo sprzed trzech lat? A może wiedziałeś, że tam wciąż coś jest, nietknięte, niezniszczone? Powiem ci wszystko, co wiem o Basu Fumanguru. Był uwielbiany przez lud. Każdy mężczyzna słyszał o jego starciach z Królem. Każda kobieta słyszała o jego starciach z resztą starszyzny. Zabili go z innego powodu.

– Zabili? – spytałem.

– To, jak okaleczono zwłoki, nie mogło być dziełem jednego człowieka, jeśli w ogóle człowieka, a nie opętanego zwierzęcia.

Patrzył na mnie tak długo i spokojnie, że otworzyłem usta, lecz nie po to, aby przemówić, lecz po to, aby takie odniósł wrażenie.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział.

Wyszedł z sali. Usłyszałem muchy. Zastanawiałem się, jak przesłuchują ogo, a może dali mu spokój, aby snuł opowieść o tym, ilu ludzi zabił w ile lat. A co ze mną? Czy to wszystko było dziełem ogudu, czy też las odcisnął coś we mnie, czekającego, aby uderzyć? Coś innego niż wspomnienie o własnej samotności? I jeszcze to. Co za dziwne myśli, aby nachodzić moją głowę w tym miejscu akurat wtedy, gdy prefekt próbował usidlić mnie jakimś oskarżeniem, które sfingował.

Wrócił do sali i rzucił coś do mnie tak błyskawicznie, że złapałem, nie wiedząc, co łapię. Czarne i wypchane miękkimi piórami, owinięte w tę samą tkaninę aso oke, którą wcisnąłem pod zasłonę będącą moim odzieniem. Teraz się objawiło i byłem gotów, gotów na wszystko, co nadeszło razem ze znaną mi wonią.

– Lalka – powiedział.

– Wiem, co to jest.

– Znaleźliśmy ją trzy lata temu obok zwłok najmłodszego syna.

– Chłopcy potrafią się bawić lalkami.

– Żadne dziecko w Kongorze nie dostałoby takiej zabawki. Kongorczycy uważają, że byłoby to przyuczanie dzieci do czczenia bałwanów, a to straszliwy grzech.

– A jednak w każdym domu stoją posągi.

– To po prostu posągi. Ta lalka nie należała do żadnego z domowników.

– Fumanguru nie był kongorczykiem.

– Członek starszyzny szanowałby tutejsze obyczaje.

– To może lalka należała do zabójcy.

– Zabójca miał roczek?

– Co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że w domu było jeszcze jedno dziecko. Może ten, kto zabił całą rodzinę, przybył właśnie po to dziecko. Albo po coś innego,

o wiele bardziej niesamowitego.

– To już brzmi wystarczająco niesamowicie – odpowiedziałem. – A dziecko? Uboższy krewniak?

– Rozmawialiśmy z całą rodziną.

– Tak samo Belekun Wielki. Może razem zadawaliście pytania?

– Chcesz powiedzieć, że starszyzna prowadzi własne dochodzenie?

– Chcę powiedzieć, że ty i ja nie jesteśmy jedynymi, którzy węszyli wokół domu umarłego Fumanguru. Wydaje mi się jednak, że tamci nie znaleźli tego, czego szukali. A w ogóle, prefekcie, odnoszę wrażenie, jakby to już nie było przesłuchanie.

– Tropicielu, nasza rozmowa przestała być przesłuchaniem, gdy weszliśmy do tej sali. I powiedziałem ci, że na imię mam Mossi. Zechciałbyś mi zdradzić, jak pojawiłeś się w tym mieście? Nie ma zapisu twojego przybycia, a Kongor to przede wszystkim miasto archiwów.

– Przeszedłem przez drzwi.

Popatrzył na mnie, a potem wybuchnął śmiechem.

– Zapamiętam, aby cię o to spytać, gdy następnym razem cię zobaczę.

– A zobaczysz?

– Czymże czas, jeśli nie małym chłopcem, panie Tropicielu. Możesz odejść, jesteś wolny.

Ruszyłem do drzwi.

– Ogo także – dodał. – Skończyły nam się słowa na opisanie jego zabójstw.

Uśmiechnął się. Podwinął koszulę nad uda – tak było lepiej do biegu lub do bitwy.

– Mam pytanie – powiedziałem. – Dla…

– Tylko jedno?

Wolałbym, aby nie pokazywał mi tak ochoczo, że ma bystry umysł. Niewielu rzeczy nienawidziłem bardziej niż dowcipnych ripost przerywających mi myśl w pół słowa. I znowu to coś w nim. Nie było obraźliwe, lecz denerwujące, jak skaleczona pięta.

– Dlaczego gromadzą się Siedem Skrzydeł? Tutaj. Teraz.

– Bo nie mogą być widziani w Fasisi – odparł.

– Co?

– Bo w Fasisi wzbudziliby podejrzenia.

– To żadna odpowiedź.

– Nie taka, jakiej chcesz, więc oto druga. Czekają na królewskie rozkazy.

– Po co?

– Czy w stronach, z których przybywasz, ludzie nie mają wieści?

– Nie o tym, o czym zaraz mi powiesz.

– Wydajesz się pewien, że ci powiem. Nie ma żadnych wieści. Ale pogłoski o wojnie, owszem, są, i to od kilku księżyców. Nie, nie o wojnie, o okupacji. Nie słyszałeś, Tropicielu? Szalony Król na Południu znowu oszalał. Po dziesięciu i pięciu latach rozsądku jego głowę na powrót opanowały demony. Zeszłego księżyca wysłał cztery tysiące wojska na granicę z Kalindarem i Uakadiszu. Król Południa mobilizuje armię, Król Północy mobilizuje najemników. Jak mawiamy w Kongorze, nie widzimy postaci, ale wyczuwamy smród. Niestety, wojna czy nie wojna, ludzie wciąż kradną. Ludzie wciąż kłamią. Dlatego moja praca nigdy nie ma końca. Idź po swojego ogo. Do następnego spotkania. Wtedy będziesz mógł mi opowiedzieć historię swojego przyćmionego oka.

Zostawiłem tego człowieka, aby złościł kogoś innego.

Nie chciałem mierzyć się z Lampartem. Podobnie nie chciałem widzieć Sogolon przed rozwikłaniem tajemnicy, którą utkała. Popatrzyłem na ogo

i pomyślałem o chwili, być może rychłej, kiedy będę potrzebował kogoś, aby wysłuchał, jak wydzieram mrok z własnego serca. Ponadto żaden z nas dwóch nie znał drogi powrotnej, a w mieście stało zbyt dużo domów, które pachniały tak samo. Usta ogo wciąż drżały od zabójstw, które nie mogły doczekać się wyznania, od słów dążących do głosu, od klątwy, którą należało zetrzeć z jego skóry. Przy naszej trasie było wiele drzew i tylko dwa budynki, w jednym migotało słabe światło. Z przodu zobaczyłem skałę. Usiadłem na niej, gdy podeszliśmy.

– Ogo, opowiedz mi o swoim mordowaniu – rzekłem.

Mówił, krzyczał, szeptał, wył, wrzeszczał, śmiał się i płakał przez całą noc. Nazajutrz rano, kiedy słońce oświetliło nam drogę powrotną do domu, zobaczyłem, że Lampart i Fumeli przepadli.

14

Ogo opowiedział mi o wszystkich swoich zabójstwach, stu i siedemdziesięciu i jednym.

Wiedz, że żadna matka nie przetrwa rodzenia ogo. Griot snuje historie o szalonej miłości, o kobietach dziko zakochanych w olbrzymach, ale takie legendy opowiadamy sobie rozgrzani piwem z masuku. Narodziny ogo nadchodzą jak grad. Nikt nie wie, kiedy i jak to nastąpi, nie ma sztuki przepowiadania ani wiedzy, która mogłaby to przewidzieć. Z reguły ogo są zabijani w tej jednej chwili, kiedy można ich zabić, a więc zaraz po narodzinach, bo nawet taki osesek potrafi wyrwać pierś kobiecie, która karmi go matczynym mlekiem, zmiażdżyć palce, jeśli je zamknie w uścisku. Niektórzy wychowują ogo w tajemnicy, tuczą ich bawolim mlekiem i przygotowują do prac polowych w zamian za dziesięć pługów. Lecz w wieku dziesięciu i pięciu lat w głowie coś się wywraca i ogo staje się taką potwornością, do jakiej bogowie go przeznaczyli.

Nie zawsze.

Gdy więc Sadogo wyszedł z matki, zabijając ją tym samym, ojciec go przeklął i stwierdził, że jest niechybnie owocem cudzołóstwa. Skazał zwłoki swojej żony na wygnanie na kopcu usypanym poza wioską, wystawił je na pastwę sępów i kruków, a syna zgładziłby albo zostawił bezbronnego w pustym pniu drzewa ako, gdyby po okolicy nie rozniosła się pogłoska, że wśród wieśniaków narodził się ogo. Dwa dni później przybył mężczyzna, kiedy chata wciąż śmierdziała połogiem, gównem i krwią. Kupił

dziecko za siedem odłamków złota oraz dziesięć i pięć kóz. Dał małemu ogo imię, żeby dzięki temu postrzegano go jako człowieka, a nie bestię, lecz Sadogo zapomniał swego imienia. Kiedy miał dziesięć i dwa lata, upolował lwa, któremu zasmakowało ludzkie mięso. Ubił go jednym ciosem pięścią w łeb, a było to, zanim kowal wyfasonował mu rękawice z żelaza.

Gdy Sadogo pokonał drugiego lwa, który był zmiennokształtny, tamten mężczyzna powiedział:

– Zabijaka z ciebie, zabijać więc będziesz. Niepodobna powstrzymać tego, do czego stworzyli cię bogowie, niepodobna przerobić tego, jakim bogowie cię zrobili. Musisz machać toporem, musisz napinać łuk i decydować, kogo zabijesz.

W tamtych latach mężczyzna chciał zabić niejednego, a Sadogo był coraz mocarniejszy i przerażający, zapuścił włosy – bo kto miał mu powiedzieć, że powinien je ścinać? – i przestał się myć – bo kto miał mu powiedzieć, że myć się powinien? A tamten, który go wykarmił, dał mu skóry do okrycia się i nauczył sztuki zabijania, wskazał człowieka pracującego na jego polach i rzekł: spójrz na niego. Miał wszelkie widoki, aby być silny, a jednak wybrał słabość. W ten sposób hańbi bogów. Przyszłość jego ziemi i krów zależy ode mnie, więc poślij go do jego przodków. Tak właśnie wychowywał ogo. Poza dobrem i złem, poza sprawiedliwością i niesprawiedliwością dla ogo jedynym pragnieniem było pragnienie jego pana. I sam siebie tak wychowywał, myślał tylko o tym, czego tamten chciał, do czego dążył i kto stał mu na drodze, każdy w końcu kuląc się, piekląc, kwiląc, lamentując, błagając o śmierć.

Sadogo zabijał wszystkich wskazanych przez jego pana. Krewnych, przyjaciół przedzierzgniętych we wrogów, rywali, tych, którzy nie chcieli sprzedać ziemi, bo pan postrzegał siebie jako wodza. Zabijał, zabijał i zabijał, a tego dnia, gdy wszedł do chaty jednego, co prosem handlował,

zamiast przekazywać je w daninę, i połamał karki całej rodzinie, w tym trojgu dzieci, zobaczył swoje odbicie w żelaznej tarczy wiszącej na ścianie, a w jego rękach jak połamana lalka zwisała ostatnia dziewczynka. Tak wysoki, że głowa znajdowała się nad tarczą, widoczne tylko monstrualne ramiona i dziecko. Nie był człowiekiem, lecz bestią odzianą w skóry zdarte z bestii i robił to, czego nawet bestie nie robią. Nieczłowiekiem, który słyszał griotów mówiących strofy żonie jego pana i który pragnąłby sam umieć recytować. Nieczłowiekiem, który pozwoliłby bez szwanku motylowi i ćmie osiąść na jego włosach, zostawić jedno i drugie w spokoju, czasem po to, aby tam umarły, tkwiąc w kędziorach jak jasnożółte klejnoty. Stał niżej od ćmy, zabijał dzieciątka.

Kiedy wrócił do domu pana swego, żona tegoż podeszła i powiedziała: bije mnie każdej nocy. Jeśli go zgładzisz, będziesz mógł wziąć trochę jego monet i siedem kóz. A ogo odrzekł: ten człowiek to pan mój. Ona wtedy: nie ma pana, nie ma niewolnika, liczy się to, czego chcesz, czego pragniesz i co stoi ci na przeszkodzie. A gdy się zawahał, powiedziała jeszcze: spójrz, nadobna wciąż jestem, lecz nie legła z nim, bo to byłoby szaleństwo, bo nie tylko wielki już był, ale jeszcze miał werwę młodzieńca, dziesięciu młodzieńców, olbrzym pod każdym względem, wzięła go jednak do ręki, aż zawył i trysnął deszczem męskiego mleka, trafiając ją w twarz i posyłając cztery kroki wstecz. Jeszcze tej nocy wszedł do komnaty, gdy pan dosiadł swej żony, chwycił go od tyłu za głowę, wyrwał jej kawał, a ona wrzasnęła: morderca! Gwałciciel kobiet! Ratunku! Ogo umknął oknem, bo jego pan miał wiele straży.

Druga opowieść.

Latom lat przybywało, latom przyszło konać, a ogo służył za kata u króla Ueme Uitu w najbogatszym z południowych królestw, po prawdzie u jednego z wodzów podległych Królowi Całego Południa, który jeszcze wtedy

nie oszalał. Nazywano go Katem. Nadszedł czas, gdy Królowi sprzykrzyła się żona numer dziesięć i cztery i rozpowiadał mnogość kłamstw o jej udach rozstępujących się jak rzeka w dwóch kierunkach dla wielu chętnych, i jeszcze że legła z niejednym panem, niejednym wodzem, sługą niejednym, może nawet żebrakiem, widziano ją nawet siedzącą na roztrzepotanym języku eunucha. Tak historia dobiegła końca. Gdy liczni poświadczyli przeciwko niej, w tym dwie służki noszące wodę, które stwierdziły, że widziały pewnej nocy, jak brała w każdą dziurę, tej nocy, której nie pamiętały, sąd złożony z członków starszyzny i mistyków, co wszyscy bez wyjątku dostali nowe konie, źrebięta i rydwany zapewnione przez Króla, skazał ją na śmierć. Szybką śmierć, od miecza Sadogo Kata, bo bogom miła litość.

Król, który był ledwie wodzem, powiedział: zabierz ją na plac miejski, aby wszyscy mieli nauczkę z jej śmierci, aby wiedzieli, że kobiecie nigdy nie wolno okpić mężczyzny. Królowa, nim usiadła na krześle straceń, dotknęła Sadogo w łokieć, najlżej, jak muśnięcie tłustej śmietany na ustach, i powiedziała: nie ma we mnie złości na ciebie. Moja szyja jest piękna, nieskazitelna, nietknięta. Zdjęła złoty naszyjnik i owinęła nim rękojeść jego maczety, maczety wykonanej dla ogo, szerszej w najszerszym miejscu niż pierś siłacza. Z łaski bogów niechże stanie się to szybko, powiedziała.

Z ziemi wystawały trzy łodygi bambusa. Strażnicy obalili ją na piach, zmusili, aby usiadła, i przywiązali do łodyg. Podniosła dumnie głowę, ale po jej policzkach spłynęły łzy. Sadogo wziął gałąź odartą z liści i odgiął ją, aż napięła się jak łuk. Gałąź była wściekła, chciała się wyprostować, a nie być przygięta do ziemi, ale zawiązać – zawiązał, sznurem z trawy, potem przymocował do głowy Królowej. Wzdrygnęła się, próbowała oprzeć mocnemu przyciąganiu gałęzi. Gałąź zacisnęła się na szyi, kobieta krzyknęła z bólu, a on mógł tylko patrzeć na nią w nadziei, że jego twarz mówi, że upora się z tym szybko. Jego ngulu był ostry, tak ostry, że od samego

patrzenia oczy broczyły krwią. Klinga złowiła promienie słońca i zamigotała jak błyskawica. Kobieta lamentowała. Kobieta zawodziła. Kobieta krzyczała. Wzywała przodków. Błagała. Wszyscy błagają, wiesz? Wszyscy mówią o tym, jak radują się na myśl o dniu, w którym połączą się z przodkami, ale w nikim radości, kiedy taki dzień nadchodzi, każdy tylko płacze, szczy i sra.

Zamachnął się mieczem, zawołał, zamachnął i uciął tuż przy szyi, ale głowa nie odpadła. Miasto i ludzie oglądali egzekucję, żeby zobaczyć szybkie cięcie, które wzbudza śmiech. Lecz ostrze ugrzęzło w połowie szyi, oczy wyszły na wierzch, krew trysnęła z ust i skazana jęknęła coś jak: ochchchchchchchchach, a ludzie zaczęli wrzeszczeć, uciekać wzrokiem na boki, ludzie czuli odrazę do ludzi patrzących na egzekucję i strażnik wrzasnął: kończ z tym! Zanim jednak ogo powtórnie wzniósł maczetę, zniecierpliwiona gałąź odbiła, odrywając do końca głowę z karku i wysyłając ją w dal.

Oto słowa prawdy. Każda droga, którą obiera ogo, wiedzie do Kalindaru. Kalindar, który leży między Jeziorem Czerwonym a morzem i do którego prawa roszczą sobie zarówno Król Północy, jak i Król Południa, jest ledwie połową terytorium. Reszta tych ziem kryje się po zapomnianych ostępach poza murami cytadeli, a w tych ostępach ludzie zawierają zakłady w sztuce czarodziejstwa i krwawych rozrywkach. Nadchodzi pora, kiedy ogo myśli: jeśli trudzę się wyłącznie zabijaniem, to wyłącznie zabijaniem winienem się trudzić. I usłyszy wieści niesione ciepłym wiatrem i tajemnym rytmem bębnów, dowie się, gdzie jest uciecha dla tych, którzy chcą się zabawić i oglądać bój na podziemnych arenach, gdzie mury zbryzgane są krwią, a wnętrzności zamiatane i rzucane psom. Nazywają to rozrywką.

Niedługo potem Sadogo znalazł się w tym mieście. Dwaj strażnicy siedzący przed bramą Kalindaru zobaczyli go i powiedzieli: przejdź sto ludz-

kich kroków, skręć w lewo i idź dalej tyle, żeby minąć ślepca na czerwonym stołku, a potem kieruj się na południe, aż dojdziesz do dziury w ziemi, skąd w głąb poprowadzą schody.

Wyglądasz gotowy na śmierć, powiedział Mistrz Uciech, gdy zobaczył Sadogo. Zabrał go na ogromny podziemny dziedziniec i wskazał celę.

– Odtąd będziesz walczył przez dwa wieczory. I spał tam. Nie będziesz jednak spał dobrze i tym lepiej, bo obudzisz się w złym usposobieniu.

Sadogo nie miał jednak złego usposobienia, przygniatała go melancholia. W trakcie szkolenia Mistrz Uciech kazał go wybatożyć kijami, lecz wszystkie kije się połamały, a wszyscy mężczyźni padli z wyczerpania, zanim Sadogo raczył podnieść się z podłogi.

Co się tyczy ogo, wiedz to. Większość nigdy nie czuje radości ani melancholii. Ogo nie mają zrozumienia ani temperamentu dla nastrojów, które w okamgnieniu wahają się od zimna do gorąca. Dwaj ogo powiedzą: jeśli go zabijesz, zabijesz mi brata, a mimo to roztrzaskają temu bratu czaszkę aż po kikut szyi. Nikt nie szkoli ogo. Nikt nie musi. Człowiek tylko może go rozwścieczyć albo wygłodzić. Sadogo nie ma przyjaciół poza ogo i nikt nie ma przyjaciela w nim, i jeden będzie wyższy od drzew i zbudowany mocniej niż słonie, a drugi będzie niski, ale za to szeroki i masywny jak skała, jeden ma mięśnie na plecach i ramionach piętrzące się nad głową i ludzie mówią, że to małpiszon, inny będzie się malował na niebiesko, trzeci jadł surowe mięso.

I mistrz mówi: spójrz, nie nakładam na ciebie kajdan. Nie jestem panem ludzi. Przychodzisz, kiedy przychodzisz, odchodzisz, kiedy odchodzisz, a z tego, co na ciebie postawię, dostaniesz połowę, a z tego, co postawię przeciw tobie, dostaniesz jedną trzecią, a jeśli zwyciężysz, ci, co przychodzą oglądać, obsypią cię kauri i monetami, z których zatrzymam piątą część. *Ko kare da ranar sa*. Czego pragniesz za pieniądze, mój smętny ogo?

– Mieć ich dość, aby pożeglować na dau, które mnie utrzyma.

– Pożeglować dokąd?

– Bez znaczenia. Żegluję od, nie do.

Nocą w dniu pierwszej ucieczki siedmiu ogo i Sadogo pomaszerowali na plac boju. Była to zwykła dziura w ziemi, pozostałość po studni, która sięgała w głąb być może dwieście ramion, a nawet więcej. Pod ziemią z nierównych ścian sterczały dokoła występy na różnej wysokości i tam właśnie zgromadzili się ludzie, szlachta i wodzowie, w towarzystwie kilku kobiet. Zawierali zakłady na każdą walkę, ogółem cztery walki co noc. Na dnie studni z wody wystawał suchy kopiec.

Mistrz wystawił Sadogo w drugiej potyczce i powiedział: ten tutaj to nowy, świeży, zwiemy go Smutnogęby. Sadogo nadszedł ubrany w czerwoną makaui na biodrach i stanął przed mistrzem. Niechaj bogowie grzmotów i strawy dodadzą mu sił, bo spójrzcie, oto nadchodzi drugi, powiedział mistrz i skoczył do wody, po czym dźwignął się na występ skalny. Ludzie krzyczeli, wiwatowali, złorzeczyli. Opuszczono kobietę w wiadrze, aby zebrała zakłady. Mistrz powiedział: oho, a teraz nadchodzi, Łamignat, a ci na niższych występach wdrapali się wyżej.

Łamignat był najpaskudniejszy, bo jadł surowe mięso z upolowanego zwierzęcia. Z paszczy wyrastały mu ciosy. Ktoś pomalował jego olbrzymie ciało czerwoną ochrą. Zawierajcie zakłady, zachęcał mistrz, zawierajcie, dostojni panowie. Nie zdążył dokończyć, bo Łamignat wyrżnął Sadogo pięścią i strącił go do wody. Podciągnijcie wiadro!, krzyknęła dziewczyna, bo czerwony ogo zerkał na nią, gdy tylko wszedł do kręgu. Łamignat stanął przed tłumem i ryknął. Sadogo wygramolił się z wody i go obalił. Chwycił kamień, aby roztrzaskać mu czaszkę, ale miał mokre palce i Łamignat się wywikłał, przeturlał i uderzył go w szczękę. Sadogo splunął krwią. Czerwony ogo chwycił swoją maczugę najeżoną szpicami i wziął zamach przy

stopach przeciwnika. Sadogo zrobił unik i dał susa na niższy występ. Łamignat znowu zamierzył się maczugą, lecz Sadogo uskoczył i kopnął go w jądra. Czerwony ogo opadł na kolana i nadział się lewym okiem na swoją maczugę. Sadogo przysunął maczugę do jego łba i grzmocił, grzmocił, grzmocił. Potem podniósł bezgłowe ciało i rzucił je na ludzi siedzących na najniższym występie.

Sześciu przeciw niemu stanęło i sześciu zatłukł maczugą.

I tak jego sława rozniosła się po Kalindarze i coraz więcej ludzi przychodziło patrzeć i stawiać zakłady. Jako że studnia była mała i nie mogła pomieścić wszystkich, położono dodatkowe belki na samej górze, aby więcej widzów mogło sycić oczy, a mistrz brał po trzykroć, czterykroć, pięciokroć tyle, a potem za każdy bój osobno, nawet jeśli zapłacono wcześniej, aby zobaczyć i obstawić walkę smętnego ogo.

– Patrzcie na niego, patrzcie, jak oblicze nigdy mu się nie zmienia – mówili.

Stanął przeciw nim wszystkim, zabił ich wszystkich i niedługo na okolicznych ziemiach zabrakło innych ogo. Dziewczyna w wiadrze, która zbierała zakłady, była niewolnicą o wejrzeniu nie mniej smutnym niż jego. Przynosiła żywność, choć nieraz ogo próbowali ją zgwałcić. Jeden chwycił ją pewnej nocy i powiedział: patrz, jak się pręży, po czym pchnął ją na ziemię, a gdy przygniótł sobą, Sadogo chwycił go za kostkę, wyciągnął z celi, zamachnął się nim jak maczugą i walił nim w ziemię, walił i walił, aż ten nie wydawał już żadnych odgłosów. Przez całą tę chwilę dziewczyna nic nie mówiła, mistrz za to rzekł: klątwa bogów spada na ciebie, smutny, przecież ten olbrzym był wart więcej niż ta głupia dziewucha.

Sadogo odwrócił się do niego.

– Nie nazywaj nas olbrzymami – powiedział.

Dziewczyna przychodziła i siadała przed jego celą. Śpiewała pieśni, ale nie jemu. Ta ostatnia jest z ziem na północy, dalej na wschodzie, rzekła.

– Powinniśmy tam wyruszyć – dodała.

Żaden człowiek nie jest przypisany do mnie ani ja do żadnego człowieka – odparł mistrz, gdy Sadogo powiedział mu o swoim zamiarze odejścia. – Dzięki zabijaniu się wzbogaciłeś. Ale dokąd pójdziesz? Czy gdziekolwiek jest dom dla ogo? A gdyby był, to czy nie sądzisz, zacny ogo, że ktoś stąd już dawno by się tam wybrał?

Wieczorem dziewczyna przyszła i powiedziała: do syta już się naśpiewałam tych pieśni. Daj mi nowe słowa. Przysunął się do kraty, która nie była zamknięta, i rzekł:

Głos obdarz słowem
Mięsem te strofy
Węgle z popiołem
Migoczą płomieniem
Aż lśni.

Patrzyła na niego zza prętów.

– Przekazuję ci słowa prawdy. Ogo, masz straszny głos i to są okropne strofy. Grioci otrzymują swoje talenty od bogów. – Potem się roześmiała. – Daj mi to słowo. Jak cię wołają?

– Nijak.

– A jak ojciec cię zwał?

– Klątwa demonów, które wyruchały mi żonę i ją zabiły.

Znowu się zachichotała.

– Śmieję się, ale to mnie bardzo smuci – powiedziała. – Przychodzę, bo jesteś inny niż reszta.

– Gorszy – odparł. – Trzy razy tylu zabiłem w porównaniu z najlepszym bojownikiem.

– Tak, ale tylko ty nie patrzysz na mnie, jakbym była następna w kolejności.

Podszedł wprost do kraty i pchnął ją, uchylił odrobinę. Dziewczyna poruszyła się lekko, próbowała nie okazać, że podskoczyła.

– Prawda, zabiję bez wahania wszystko. Rozpłataj mi skórę, odnajdź me serce, a będzie białe. Białe jak nicość.

Popatrzyła na niego. Stał prawie trzy razy wyższy od niej.

– Gdybyś był prawdziwie istotą bez serca, nie wiedziałbyś o tym. Na imię mi Lala.

Kiedy powiedział mistrzowi, że pragnie odejść, nie wyjawił, że rusza na północ, potem na wschód, bo ten, kto śpiewa strofy, które wyrecytowała dziewczyna, nie dba o to, że góruje nad najroślejszymi z ludzi. Nie poprosił o zgodę na wykupienie Lali, ale zamierzał wziąć ją ze sobą. Mistrz jednak wiedział, że nowe myśli ogo są sprawką zbieraczki zakładów. Z całą pewnością nie byli kochankami, bo nawet największa kobieta nie przyjmie w sobie ogo, a ona była mała jak dziecko i krucha jak suchy patyk. Ogo podążał coraz bliżej za jej głową i mówił jej słowami.

Nazajutrz rano Sadogo obudził się i ujrzał niebieskiego ogo na środku dziedzińca, wychodzącego z jej zmiażdżonego, rozszarpanego, zmasakrowanego ciała w pełnym księżycu jej własnej krwi. Sadogo nie podbiegł do niej, nie zapłakał, nie wyszedł z celi, nie rozmówił się z mistrzem.

– Na samym końcu postawię ciebie przeciwko niemu, abyś mógł ją pomścić – powiedział mistrz.

Późniejszą porą do celi przyszła inna niewolniczka i rzekła:

– Popatrz na mnie, teraz ja jestem zbieraczką zakładów. Teraz mnie będą opuszczać w wiadrze.

– Powiedz starcom, że stawianie przeciw mnie będzie głupotą.

– Już postawili.

– Co?

– Zawarli już zakłady. Większość postawiła na ciebie, niektórzy przeciw.

– Co to znaczy?

– Rozeszła się wieść, że z ciebie przebiegły ogo.

– Szkoda ci na mnie słów jasnych i prawdomównych?

– Mistrz Uciech wysyła zakłady, za pośrednictwem niewolnika, posłańca, gołębia, siedem dni wcześniej, głosząc, że staniesz przeciw niebieskiemu w boju na śmierć i życie.

Przed walką ze studni dobiegł wielki zmasowany hałas, odbił się od ziemi i skał. Szlachcice w strojach szlachty i wyszywanych złotem pantoflach, a jako że była to szczególna noc szczególnej rozrywki, przyprowadzili ze sobą kilka szlachcianek o głowach owiniętych jak wysokie kwiaty wskazujące niebo. Byli niecierpliwi, chociaż po wielu walkach zostawały połamane kończyny, roztrzaskane głowy i szyje wyrwane jak z kurczaka. Niektórzy mężczyźni zaczęli złorzeczyć, niektóre kobiety też. Przyprowadźcie Smutnogębego, skandowali. Smutnego ogo, smutnego ogo, smutnego ogo, powtarzali, krzyczeli. Smutnego.

Ogo.

Niebieski przeciwnik zsunął czarny kaptur i zeskoczył z dużego występu na kopiec. Nadął pierś. Kobiety syczały, wzywały Sadogo. Wbiję mu gałąź iroko w dupę, aż wyjdzie gębą, i wtedy upiekę go na rożnie, powiedział niebieski ogo.

Sadogo nadszedł od zachodniej strony, tunelem, którego dotąd nie używał żaden człowiek. Kłykcie owinął sztabami żelaza. Mistrz ruszył za nim i zawołał:

– Piorun trzaska, grzmot grzmi, nawet bogowie zerkają w tej chwili na nas ukradkiem. Zważcie, zacni panowie. Zważcie, zacne żony i dziewice. Tego dnia nikt rychło nie zapomni. Kto nie zawarł zakładu, najwyższa pora! Kto zawarł, niechaj zawrze powtórnie.

Nowa niewolniczka zjechała w wiadrze, a mężczyźni rzucali do niej sakiewki, monety i kauri. Niektóre trafiały w wiadro, inne w twarz.

Sadogo zobaczył niewolniczkę, opuszczoną do najniższego występu, a potem podciąganą od jednego do drugiego, rozbujaną, aby zewsząd zbierać zakłady. I wtedy właśnie objawiły mu się strofy śpiewane przez tamtą w mowie, której nie rozumiał. W języku, który mógł znaczyć: popatrzcie na nas, to o melancholii, a melancholia, bez względu na mowę, zawsze ma to samo słowo. Niebieski ogo sieknął go pięścią w policzek i myśl natychmiast wypadła z głowy. Sadogo runął na wznak do wody, która wdarła mu się do nosa, aż się zadławił.

Niebieski pomachał do tłumu, który w połowie wiwatował, w połowie syczał, wyraźnie, gdy uszy Sadogo wysunęły się nad wodę, bełkotliwie, gdy zanurzyły się z powrotem. Niebieski ogo kroczył po kopcu, wypychał krocze, ruchał powietrze. Spojrzał z góry na Sadogo i roześmiał się tak niepohamowanie, że zakasłał. Sadogo pomyślał, żeby leżeć, że może woda zacznie wzbierać jak przypływ, wchłonie go. Niebieski cofnął się i opuścił głowę jak byk. Przebiegł trzy kroki i skoczył wysoko. W powietrzu splótł ręce, aby grzmotnąć nimi Sadogo w głowę. Sadogo wbił lewy łokieć w muł i impetem całego ciała sieknął prawą pięścią jak sierpem, aż kłykcie wbiły się w pierś tamtego i wyszły plecami. Niebieskiemu ogo ślepia wylazły na wierzch. Tłum ucichł. Niebieski ogo padł, przetoczył się, podciągając Sadogo do góry. Sadogo ryknął pośród murów studni, szarpnął ręką i wyrwał serce. Niebieski popatrzył szybko na niego, bluznął krwią, zastygł

martwy. Sadogo wstał, rzucił serce na środkowy występ, a wszyscy tam siedzący zerwali się w popłochu.

Nadbiegł Mistrz Uciech i zwrócił się do tłumu:

– Bracia moi, czy kiedykolwiek był mistrz tak melancholijnie usposobiony? Kiedy ktoś go zwycięży? Kiedy ktoś go powstrzyma? I kto tego dokona? I czyja śmierć, czyja śmierć, pytam was, bracia, wydobędzie uśmiech na jego twa…

Widzowie siedzący tuż przed nim zdążyli to zobaczyć. Żelazne kłykcie przebiły na wylot pierś mistrza. Jego oczy zaszły bielą. Dłoń ogo cofnęła się szybko, wyszarpując kręgosłup. Mistrz osunął się jak tkanina. Niewolniczka patrzyła z wiadra. W całej studni ucichło, wreszcie wrzasnęła jedna z kobiet. Sadogo doskoczył do pierwszego występu skalnego, wybił ciosem drewniane stemple pod spodem i ludzie z wrzaskiem zaczęli spadać wprost na jego młócące pięści. Jeden, drugi, trzeci. Czwarta kobieta próbowała uciec przez wodę, ale chwycił ją za nogę, wziął zamach i rzucił ją na kolejny występ pełen ludzi, obalając wszystkich. Mężczyźni i kobiety krzykiem wzywali bogów i gramolili się po drabinach. Ci wdrapywali się po tamtych wdrapujących się po szczeblach. Sadogo wyrwał kolejną podporę i runęły dwa wyższe występy skalne, za sprawą jednego ciosu, jednego uderzenia, jednego grzmotnięcia zwłoki sypały się na zwłoki. Trafiony pięścią mężczyzna runął i muł wchłonął go bez śladu. Innego Sadogo wdeptał w wodę, aż zrobiła się czerwona. Dalej wyrywał drabinę po drabinie, występ za występem. Wskoczył na jeden z niewielu wciąż nietkniętych, gniotąc, tłamsząc, strącając ludzi, skakał z krawędzi na krawędź i dalej, aż znalazł się tak wysoko, że aby zabić, wystarczyło zepchnąć w dół. Dotarł na wierzch studni i dogonił dwóch umykających, złapał ich za głowy i roztrzaskał jedną o drugą. Chłopiec się wygramolił i wbiegł wprost na niego. Chłopiec, któremu daleko jeszcze było do męskości, odziany bogato jak

jego ojciec, chłopiec, który spojrzał na niego więcej z ciekawością niż lękiem. Sadogo dotknął jego twarzy obydwiema dłońmi, delikatnie, łagodnie jak jedwab, a potem chwycił go i strącił do studni. I zawył jak bestia. Niewolniczka wciąż kołysała się w wiadrze na sznurze. Milczała.

Sadogo susami pokonał drogę do domostwa pana domostwa. Wpadł do swojego pokoju i w mgnieniu oka zachrapał. Bawół na dziedzińcu skubał trawę, która niechybnie miała paskudny smak, ale najwyraźniej jemu to nie zawadzało. Podniósł łeb, zobaczył mnie odzianego w zasłonę i prychnął. Zasyczałem i pociągnąłem za połę, udając, że nie mogę się tego pozbyć. I znowu wydał z siebie coś, co zabrzmiało jak śmiech, ale przecież żadna rogacizna nie potrafi się śmiać, chociaż kto wie, jaki bóg działał za jego pośrednictwem?

– Zacny bawole, czy ktoś zawitał do tego domu? Ktokolwiek ubrany w czerń lub błękit?

Pokręcił łbem.

– A w kolorze krwi?

Prychnął. Wiedziałem, że nie widzi czerwonej barwy, lecz było w nim coś, co skłaniało mnie do przekomarzań.

– Niestety, wydaje mi się, że nas podpatrują.

Obrócił się, potem znowu spojrzał na mnie i stęknął.

– Jeśli pokaże się człowiek w czerni i błękicie albo w czarnej pelerynie, narób hałasu. I postąp z nim, jak ci się żywnie podoba.

Pokiwał łbem mocno w górę i w dół, a potem zabulgotało mu w gardle.

– Bawole, zanim słońce odejdzie, powinniśmy wrócić nad rzekę dla lepszego schronienia.

Zabulgotało, ogon zamachał.

W pokoju Lamparta pozostał tylko ślad. Gdybym chciał, wniknąłbym powonieniem głęboko w dywany, pod smród gówna i spermy, i potu, jego i chłopaka, i dowiedziałbym się, dokąd poszli i dokąd pójdą. Ale słowa prawdy: nie troszczyłem się o to. W pokoju ostał się tylko ślad po tym, co wyczyniali, a nie po tym, co do nich należało. I jeszcze inne słowa prawdy. Było we mnie jednak na tyle troski, bym wiedział, że wyruszyli na południowy zachód.

– Odeszli przed rozbłyskiem dnia – powiedział za moimi plecami pan domostwa.

Miał na sobie biały kaftan, który nie krył tego, że pod spodem nie było nic. Stary szoga? Nie miałem ochoty zadać tego pytania.

Ruszył za mną, gdy szedłem do pokoju Sogolon. Nie próbował mnie powstrzymać.

– Jak masz na imię, panie?

– Co? – odparł. – Na imię? Sogolon mówiła, że nie będzie imion… Kafuta, Kafuta moje imię.

– Panie Kafuto, wielkie podziękowania dla ciebie za dach nad głową i wikt.

– Nie jestem panem – odpowiedział, patrząc ponad moim ramieniem.

– Jesteś panem tego wspaniałego domostwa.

Uśmiech na jego twarzy szybko zgasł. Powiedziałbym: zaprowadź mnie do jej pokoju, to wciąż twój dom, gdybym myślał, że pragnie, abym tam wszedł. Nie bał się jej; wydawali się oboje jak brat i siostra albo para wtajemniczona w te same stare sekrety.

– Wejdę – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, za mnie, na mnie, zaciskając usta, aby udać obojętność. Podszedłem do drzwi.

– Nie idziesz? – spytałem, kiedy skręciłem za róg i go nie zobaczyłem.

Sogolon nie zaryglowała drzwi. Nie żeby drzwi miały rygiel, ale o drzwiach do jej kwatery tak właśnie myślałem. Może każdy człowiek wierzy, że starej kobiecie pozostają tylko tajemnice. Wtedy już drugi raz pomyślałem o tajemnicach, kiedy pomyślałem o niej.

W pokoju najpierw dopadły mnie wonie. Niektóre, znajome, zabrały mnie daleko stąd, innych nigdy dotąd nie wąchałem. Pośrodku pomieszczenia leżał czarno-czerwony dywan o półkolistych wzorach tkanin ze wschodnich królestw i drewniany zagłówek. Ale na ścianach, namalowane, nabazgrane, wydrapane i wypisane, zobaczyłem runy. Niektóre małe jak opuszek palca. Inne wyższe niż sama Sogolon. To z nich biły wonie, naniesionych węglem, barwnikami do drewna, gównem, krwią. Zobaczyłem dywan i zagłówek, przestałem zwracać uwagę na podłogę. Ona też była pokryta runami, najświeższe z krwi. Cała kwatera tak gęsta od znaków, że z wahaniem spojrzałem na sufit, bo wiedziałem, co zobaczę. Runy, tak, ale też ciągi kół, każde większe od poprzedniego. Po prawdzie gdybym miał trzecie oko, zobaczyłbym runy wypisane w powietrzu.

Jeden zapach, świeższy od pozostałych, przemieszczał się na wietrze, nasilał.

– Wystraszyłaś pana domostwa – powiedziałem.

– Dla mnie to żaden pan – odparła bunszi, spływając z sufitu na podłogę.

Stałem znieruchomiały i sztywny; mowy nie ma, pomyślałem, aby czarna masa zsuwająca się po ścianie miała mnie strwożyć.

– Chyba nie chcę wiedzieć, kto dla ciebie jest panem. Może sama jesteś panem, którego już nikt nie poważa.

– A w postępowaniu z olbrzymem jesteś taki delikatny – powiedziała.

– Mów o nim ogo, nie olbrzym.

– Co za szlachetny czyn, wysłuchać takiego, gdy zrzuca z sumienia cały świat zbrodni.

– Szpiegujesz nas, nadrzeczna wiedźmo?

– Dla ciebie każda kobieta wiedźmą, Wilcze Ślepie?

– No i co z tego?

– O kobietach wiesz tylko to, że twoja matka podrygiwała na kutasie twojego dziadka, ale winisz za to całą płeć. Dzień, w którym umarł twój ojciec, był pierwszym dniem wolności dla twojej matki, a potem zniewolił ją twój dziadek. A tyś tylko oglądał cierpienie kobiety i winił ją za jej los.

Podszedłem do drzwi. Nie chciałem więcej tego słuchać.

– To runy opiekuńcze – powiedziałem.

– Skąd wiesz? Od sangomy, rzecz jasna.

– Pokrywała nimi całe pnie, strugała, odciskała żelazem, niektóre zostawiała wiszące w powietrzu i na chmurach, i na ziemi. Ale ona była sangomą. Żyć jak ona, to wiedzieć, że siły zła budzą się za dnia i w nocy, żeby przyjść po ciebie. Albo skrzywdzone duchy.

– Kogo skrzywdziła sangoma?

– Na myśli miałem Sogolon, nie sangomę.

– Ale historię usnułeś z jej historii.

Podszedłem do okna i obmacałem znaki dokoła.

– To nie runy – rzekłem.

– To glify – odparła bunszi.

Wiedziałem, że to są glify. Jak piętna na zamachowcu, który wszedł oknem Ekoiye. Jak wiadomość, którą owinięto gołębią nóżkę. Ale chyba niedokładnie te same znaki; pewności nie miałem.

– Widziałeś takie wcześniej?

– Nie. Ona pisze runy, żeby powstrzymać duchy od przybycia. A do czego potrzebne jej glify?

– Zadajesz za dużo pytań.

– Ale nie potrzebuję odpowiedzi. I wyruszam jeszcze dziś, przed odejściem słońca.

– W tym dniu? Czy muszę ci mówić, że to nazbyt rychło?

– Rychło? Minął księżyc i kilka dni. I księżyc zmarnowany w lesie, w który nikt nie powinien był się zagłębiać. Ja i ogo wyruszamy dzisiejszego wieczoru. Z każdym, kto ma ochotę. Może z bawołem.

– Nie, Wilcze Ślepie. Tutaj należy dowiedzieć się więcej. Więcej niż…

– Niż co? Jestem tu po to, żeby odnaleźć dziecko, odebrać swoje złoto i ruszyć na poszukiwanie kolejnego zaginionego męża, który nie zaginął.

– Nie masz nawet pojęcia, że nie masz pojęcia o pewnych sprawach.

– Mam pojęcie, gdzie podziało się dziecko.

– I trzymasz to w tajemnicy?

– Wyjawię ci, kto według mnie powinien to wiedzieć. Może wysłałaś nas na misję w nadziei, że nam się nie powiedzie. Dobrze… kimkolwiek jesteś, bo zaiste pojęcia nie mam… jak teraz wygląda twoja drużyna? Nyka i jego kobieta…

– Ona ma imię.

– Pierdolić bogów, jeśli chciałoby mi się je zapamiętać. Poza tym wyruszyli pierwsi, zanim myśmy nawet opuścili dolinę. Lampart przepadł, podobnie Fumeli, nie żeby z tego chłopaka był jakikolwiek pożytek, a twoja Sogolon zniknęła gdzie bądź. Oto prawda, od początku nie widziałem powodu, aby cały oddział szukał jednego dziecka. Nikt z nas nie widział. Ani Nyka, ani kot, ani twoja wiedźma.

– Myśl jak mężczyzna, a nie jak dziecko. Tropicielu, to nie jest zadanie dla jednego czy dwóch.

– A jednak zostało ci tylko dwóch. Jeśli Sogolon wróci i okaże chęć, będzie nas troje.

– Jeden, trzech czy czterech może się okazać zero. Tropicielu, gdybym potrzebowała kogoś tylko do odnalezienia dziecka, mogłam nająć dwustu tropicieli z psami. Dwa pytania, możesz sobie wybrać, na które odpowiesz najpierw. Myślisz, że porywacz odda ci dziecko, bo po prostu powiesz: oto jestem, przekaż mi je?

– Oni…

– Czy Tropiciel aż takim głupcem, że myśli, że jestem jedyną, która poszukuje dziecka?

– A kto jeszcze go szuka?

– Ten, kto nawiedza cię w snach. Skóra jak smoła, włosy czerwone, a gdy go widzisz, słyszysz trzepot czarnych skrzydeł.

– Nie znam takiego.

– Ale on zna ciebie. Nazywają go Aesi. Podlega Królowi Północy.

– Dlaczego miałby nawiedzać mnie w snach?

– To twoje sny, nie moje. Masz coś, na czym mu zależy. On też może wiedzieć, że wytropiłeś dziecko.

– Opowiedz mi o nim więcej.

– Nekromanta. Czarownik. Doradca Króla. Ze starej linii mnichów, którzy zgromadzili wiedzę tajemną, przyzywali diabły i zostali usunięci z zakonu. Król zasięga jego zdania w każdej sprawie, nawet w którą stronę powinien splunąć. Wiesz, dlaczego Kuasz Darę nazywają Królem Pająkiem? Bo we wszystkim porusza się na czterech rękach i czterech nogach, tylko że po dwie z każdego zbioru należą do Aesi.

– Dlaczego chce mieć chłopca?

– Mówiliśmy już o tym. Chłopiec jest dowodem popełnionych zabójstw.

– Zwłoki nie są wystarczającym dowodem? Czy może tamci myślą, że żona sama przecięła się na pół? Kim jest ten chłopiec?

– Chłopiec jest ostatnim synem ostatniego uczciwego człowieka w dziesięciu i trzech królestwach. Ocalę go, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w tym świecie lub następnym.

– Trzeci raz nie zapytam.

– Jak śmiesz w ogóle pytać mnie o cokolwiek! Kim jesteś, aby żądać wyjaśnień? Panem nade mną, tak teraz chcesz?

Wybałuszyła oczy, a z tyłu jej głowy wyrosła płetwa.

– Nie, chcę tylko wytchnienia – odrzekłem. – Jestem tym zmęczony. – Odwróciłem się i wyszedłem. – Wyruszam za dwa dni.

– Nie dziś?

– Nie dziś. Wygląda na to, że muszę dowiedzieć się więcej.

– Gdzie jest dziecko? – spytała. – Ile księżyców drogi stąd?

– Nie waż się już nigdy wspominać mojej matki – powiedziałem.

Tej nocy znów znalazłem się w dżungli z krainy snów. Była to nowa mara, w której zastanawiałem się, dlaczego się w niej znalazłem i dlaczego to opowieść o drzewach, krzakach i zawziętych kroplach deszczu. Poruszałem się, choć nie szedłem, i wiedziałem, że coś się odsłoni na polanie albo w zwierciadle kałuży, albo w samotnym krzyku samotnego ptaka widmo. Odsłoni się coś, co już wiem. Sangoma powiedziała mi kiedyś, że wyśniona dżungla to miejsce, w którym znajdujemy to, co jest przed nami ukryte na jawie. A tym ukrytym może być żądza. Wiedza o tym kryje się w liściach i ziemi, we mgle, upale gęstym jak duch, a jest to dżungla, bo dżungla to jedyne miejsce, gdzie wszystko może czekać pod osłoną dużego liścia. To dżungla cię odnajduje, ty nie możesz jej odnaleźć i właśnie dlatego wszyscy w dżungli próbują się dowiedzieć, dlaczego tam są. Lecz poszukiwanie sensu doprowadzi cię do obłędu, to też powiedziała mi sangoma.

Nie pytałem więc o sens, kiedy Dymka pierwsza przybiegła do mnie, potem przebiegła przeze mnie. Nie zlekceważyła, po prostu aż tak nawykła

do mojej obecności. W tej dżungli był mężczyzna, u którego widziałem włosy na rękach i nogach. Dotknął mego ramienia i piersi, i brzucha, pochylił głowę, byśmy się zetknęli czołami, potem chwycił dwie włócznie i się oddalił. A Żyrafik stał na szeroko rozstawionych nogach, chłopiec bez nóg zwinął się w kulę i potoczył między nimi, połać piasku w środku gąszczu zamrugała, potem się uśmiechnęła, Albinosek wyłonił się z ziemi, jakby był z niej stworzony, a nie się w niej chował. Wreszcie chwycił włócznię i poszedł odnaleźć człowieka, dla którego nie miałem imienia, choć wciąż czułem ciepło w sercu na myśl, że znam jego imię. Przestałem iść, choć wciąż szedłem, a Dymka usiadła mi na głowie i poprosiła: opowiedz mi historię z mrówką, gepardem i czarodziejskim ptakiem, a ja usłyszałem każde jej słowo.

15

Duch wie, jak straszyć. Gdy słońce wspina się do zenitu, kobiety zgarniają swoje dzieci i uciekają do domu, zamykają okna, zaciągają zasłony, bo w Kongorze to pora południowa jest godziną czarodziejstwa, godziną bestii, kiedy to skwar rozszczepia ziemię, aby wypuściła siedem tysięcy diabłów. Ja diabłów się nie lękam. Ruszyłem na południe, potem skręciłem na zachód przy granicznym trakcie do dzielnicy Nimbe. Wreszcie skierowałem się na południe krętą uliczką, dalej na zachód w głąb zaułka, znowu na południe, aż dotarłem do Wielkiej Sali Archiwów.

Kongor służył za ośrodek gromadzenia zapisów dla całego Królestwa Północy i większości wolnych krain, a Sala Archiwów była otwarta dla każdego, kto wyłuszczył swój cel. Teraz jednak nikt nie przybywał do tych ogromnych komnat, na pięciu wysokich kondygnacjach, pełnych zwojów ułożonych na półkach, jedne na drugich, strzelistych jak każdy pałac w Kongorze. Sala Archiwów przypominała pałac z chmur na niebie – ludzie byli zadowoleni, że istnieje, i wcale nie musieli tam bywać, czytać księgi czy papiery ani nawet przechodzić w pobliżu. W drodze do tego miejsca miałem nadzieję, że napotkam demona lub czyjegoś ducha i zaspokoję głód moich dwóch nowych siekier. Całym sercem łaknąłem walki.

Nie było jednak nikogo oprócz starca z garbem na plecach.

– Szukam zapisów wielkiej starszyzny – powiedziałem. – Oraz rejestrów podatkowych.

Nawet nie podniósł głowy znad dużych map, nad którymi się pochylał.

– Młodzi mężczyźni, żar w gębie i żar w jądrach. Dlatego ten wielki Król, który jest wielki tylko echem swojego głosu, co oznacza, że wielki nie jest wcale, podbija krainę i mówi: ona teraz będzie moja, poprawcie mapy, a ty i twoi ludzie z papirusami i atramentem ze starej mapy sporządźcie nową i zapomnijcie o istnieniu całych krain, jakby bogowie podziemnych światów wyrwali dziurę w ziemi i wessali terytoria. Spójrz, głupcze! Spójrz!

Mistrz bibliotekarzy dmuchnął pyłem prosto w moją twarz.

– Tak po prawdzie nie wiem, na co patrzę.

Zmarszczył czoło. Nie potrafiłem orzec, czy włosy ma białe od upływu lat, czy od kurzu.

– Patrz pośrodku. Czy nie widzisz? Jesteś ślepy?

– Nie, skoro cię widzę.

– Nie bądź nadto czelny w tej Wielkiej Sali. Hańba dla tej, która cię wydała na świat.

Starałem się nie uśmiechnąć. Na stole paliło się pięć grubych świec, jedna wysoka, ponad jego głową, inna tak skurczona do ogarka, że stałaby się przyczyną pożaru, gdyby ją zostawić bez nadzoru. Za plecami tego człowieka stosy i stosy papierów, papirusów, zwojów i ksiąg oprawionych w skórę, ułożonych jedne na drugich, sięgających sufitu. Korciło mnie, aby spytać, co robi, kiedy potrzebuje czegoś ze środka piramidy. Między stosami leżały wiązki zwojów i luźne arkusze, które pospadały na płask. Nad głową bibliotekarza kurz osadzał się jak chmura i dokoła wałęsały się koty utuczone na szczurach.

– Powiadomcie bogów, nie dość, że ślepy, to i głuchy – powiedział mistrz bibliotekarzy. – Mitu! Ten mistrz map, bo nie wątpię, że za takiego się uważa, zapomniał o Mitu, mieście w samym centrum świata.

Znów spojrzałem na mapę.

– To w języku, którego nie potrafię czytać.

– Niektóre z tych pergaminów są starsze niż dzieci bogów. Słowo to boże dążenie, tak mówią. Słowo jest niewidzialne dla wszystkich prócz bogów. Tak więc gdy mężczyzna albo kobieta piszą słowa, mają śmiałość patrzeć na to, co boskie. Och, co za moc.

– Poszukuję rejestrów podatkowych i domowych wielkiej starszyzny. Gdzie są…

Popatrzył na mnie jak ojciec pogodzony z zawodem, jaki sprawił mu syn.

– Jakiej starszyzny?

– Fumanguru.

– Och. To teraz wielkim go zwą?

– A kto mówi, że jest inaczej, starcze?

– Nie ja. Z obojętnością odnoszę się do starszyzny i ich domniemanej mądrości. Mądrość jest tutaj.

Wskazał za siebie bez patrzenia.

– To brzmi jak herezja.

– To jest herezja, młody głupcze. Lecz kto ją usłyszy? Jesteś pierwszym interesantem od siedmiu księżyców.

Ten stary pierdziel stawał się powoli moim ulubieńcem ze wszystkich w całym Kongorze, którzy nie byli bawołem. Może dlatego, że należał do niewielu tych, co nie wskazywali mojego oka i nie pytali: jak to? Oprawiona w skórę księga na postumencie, wielka jak pół człowieka, otwarła się i buchnęła światłami i dźwiękiem bębnów. Nie teraz, krzyknął mistrz bibliotekarzy, więc zamknęła się z trzaskiem.

– Rejestry starszyzny są tam. Idź w lewo, na południe obok walca ze zwojami, aż do końca. Fumanguru ma białego ptaka starszyzny i zielone

godło swego nazwiska.

W korytarzu cuchnęło kurzem, butwiejącym papierem i kotami. Odnalazłem rejestry podatkowe Fumanguru. Usiadłem na stosie ksiąg i postawiłem świecę na podłodze w sali.

W podatkach płacił dużo, a po sprawdzeniu rejestrów innych, w tym Belekuna Wielkiego, zorientowałem się, że płacił więcej, niż musiał. Życzenie, aby po śmierci jego ziemie przekazano jego dzieciom, spisano na luźnych arkuszach papirusu. Było wiele małych ksiąg oprawionych w gładką skórę i włochaty bukat. Jego dzienniki, jego rejestry albo jego kroniki, może jedno, drugie i trzecie. Werset głosił, że hodowanie krów w krainie much tse-tse nie ma sensu. Inny mówił: co powinniśmy zrobić z naszym wspaniałym Królem? I to:

Lękam się, że nie będzie mnie tutaj dla moich dzieci, że nie będzie mnie tutaj już niebawem. Moja głowa zamieszkuje dom bogini Olambuli, która otacza opieką wszystkich ludzi szlachetnego usposobienia. Ale czy jestem szlachetny?

Nagle zapragnąłem spoliczkować umarłego. Starzec popadł w milczenie. Za to Fumanguru:

Dzień Abdula Dura

Tak oto Ebekua ze starszyzny wziął mnie na stronę i powiedział: Fumanguru, mam wieści z krain nieba i komnat podziemnych, wieści, które wprawiły mnie w drżenie. Bogowie i podobnież duchy karmienia i obfitości zawarli pokój z diabłami i we wszystkich niebach nastała jedność. Odparłem, że nie wierzę, bo to wymagałoby od bogów tego, do czego nie są zdolni. Albowiem spójrz, bogowie nie mogą położyć

kresu samym sobie, nawet potężny Sagon, kiedy próbował odebrać sobie życie, tylko je przeobraził. Dla bogów nie ma nic do odkrycia, nie ma nic nowego. Bogom brak daru zaskakiwania samych siebie, jakiego my, którzy pełzamy w pyle, mamy ponad miarę. Kim są nasze dzieci, jeśli nie tymi, którzy bez ustanku nas zaskakują i zawodzą? Ebekua rzekł do mnie: Basu, nie wiem, jak to weszło do twojej głowy, lecz pożegnaj się z tym na zawsze i nigdy więcej nie mówmy o tych sprawach.

Mniejsza księga, oprawiona w skórę aligatora, zaczynała się tymi słowami:

Dzień Basa Dura

Och, czy powinienem znać wolę Kuasz Dary? Czy tak właśnie myśli? Czyż nie pamięta, że nawet w dzieciństwie byłem panem siebie?

Pięć stron dalej:

Księżyc Bufa

Potem nic aż do dołu stronicy, gdzie słowa niemal spadały z krawędzi:

Opodatkować starszyznę? Podatek od ziarna? Od czegoś tak nieodzownego jak powietrze?

Księżyc Obora Gudda

Dzień od Maganatti Dżarra do Maganatti Britti

Dziś nas uwolnił. Deszcze nie chcą ustać. Sprawka bogów.

Rzuciłem tę księgę i wziąłem inną, obłożoną włochatym biało-czarnym bukatem, a nie połyskliwą skórą. Karty były związane jasnoczerwoną nicią, co oznaczało, że księga jest najnowsza, choć leżała w środku sterty. Z pewnością to on włożył ją między pozostałe. Pogmatwał porządek, aby nikt nie mógł z łatwością złożyć historii jego życia, tego byłem pewien. Obok przemknął kot. Trzepot nad głową, podniosłem wzrok. Dwa gołębie wyfrunęły przez okno wysoko w górze.

W jakim czasie żyjemy, jeśli nie w roku szalonych władców?

Księżyc Sadassaa

Dzień Bita Kara

Są tacy, dla których straciłem całą swoją miłość, i są słowa, które napiszę w przesłaniu nigdy niewysłanym lub w mowie nigdy nieprzeczytanej.

Dzień Lumasa

Czym jest miłość do dziecka, jeśli nie manią? Patrzę na cudotwórstwo mojego najmłodszego chłopca i płaczę, patrzę na mięśnie i moc mojego najstarszego i uśmiecham się z dumą, bo powinniśmy się wystrzegać jedynie bogów. I dla nich, i tych czterech pomiędzy nimi mam miłość, która mnie przeraża. Patrzę na nich i wiem, wiem, wiem to, zabiłbym tego, który przyszedłby, aby skrzywdzić moich synów. Zabiłbym takiego bez litości i bez jednej myśli. Wyszukałbym u takiego serce i wyrwał je ze środka, i wepchnął mu do ust, nawet jeśli nim byłaby ich własna matka.

Sześciu synów.

Sześciu synów.

Księżyc Guraandhala

Dzień Garda Duma

Tego wieczoru Belekun zostawił mnie samego. A potem to usłyszałem, stęknięcie, gburowata odpowiedź, krzyk przerwany ciosem, jeszcze jedna gburowata odpowiedź. Za moimi drzwiami, czworo drzwi dalej. Otworzyłem na oścież i stał tam Amaki Wykrętny. Plecy miał mokre od potu. Powiedziałbym też, że to bóg żelaza, ale po prawdzie to moja własna wściekłość opętała mi głowę. Jego misa do ifa stała przed nim na podłodze. Walnąłem go nią w głowę. Raz i drugi. Runął na dziewczynę, całkiem ją sobą zakrywając.

Niebawem przyjdą po mnie. Afuom i Duku powiedzieli mi: nie frasuj się, młody bracie, podjęliśmy zabiegi. Przyjdziemy po twoją żonę i synów i ludzie pomyślą, że zniknęli jak ulotne wspomnienie.

Ukrywał się w Kongorze.

Sześciu synów.

Między tą księgą a następną leżał kawałek papirusu. Zorientowałem się, że dawniej miał silny zapach, jak wiadomość posłana kochance. Ten sam charakter pisma, ale znaki mniej szorstkie i pośpieszne niż w dzienniku. Fumanguru napisał:

Człowiek będzie znosił niedolę, aby dotrzeć do dna prawdy, ale nie zniesie nudy.

Basu Fumanguru należał do tych, którzy dotarli na północ od Morza Piasków. Taki miałem domysł z powodu ich zamiłowania do zagadek, gier, dwuznaczności, czasem na granicy niegodziwego miasta, gdzie, jeśli nie

utrafiłbyś z odpowiedzią, zabiliby cię na miejscu. Dla kogo to było? Dla niego samego czy tego, kto by przeczytał? Fumanguru wiedział, że pewnego dnia ktoś to zrobi. Wiedział, że potężne siły przybędą po niego, więc zawczasu usunął to wszystko z domu. Z Sali Archiwów nikt niczego nie zabrał, nawet Król. Wiedział, że ktoś przyjdzie na poszukiwania, być może na poszukiwania pism, których nie można znaleźć, które być może nawet nie istnieją. Cała ta gadanina o pismach przeciw Królowi, jakby nikt nigdy nie występował ze sprzeciwem w kontrze do Króla. A jednak pod tymi dziennikami nie było pism urzędowych, jedynie kartki i kartki zapełnione zestawieniami podatkowymi, ile krów Fumanguru pozyskał w poprzednim roku. Zestawienia plonu zbóż w Malakalu. I ziemie jego ojca, i wiano, które pomógł wystawić dla córki krewniaka.

Aż wreszcie natknąłem się na arkusz starego papirusu, pełen linii, kratek i mian. Świeca paliła się jaśniej, co oznaczało, że na dworze się ściemniało. Od stróża nie napływały żadne odgłosy, aż pomyślałem, że się oddalił.

Świeca dopalała się powoli. U góry stronicy widniał zamaszysty podpis *Kuasz Moki*. Ojciec pradziadka Króla. Moki miał czterech synów i dwie córki. Najstarszym był Kuasz Liongo, wysławiany Król, a pod jego imieniem czterech synów i pięć córek. Pod imieniem Liongo jego trzeci syn Kuasz Aduuare, który został władcą, a pod jego imieniem Kuasz Netu. Pod Netu dwóch synów i jedna córka. Najstarszym synem Kuasz Dara, nasz obecny Król. Chyba nie znałem nawet imienia jego siostry, dopóki nie zobaczyłem go wypisanego na tej stronicy. Lissisolo. Poświęciła życie usługiwaniu bogini, ale której, tego nie wiedziałem, tyle tylko, że służka bogini traci swoje dotychczasowe imię i zyskuje nowe. Moja gospodyni powiedziała pewnego razu, że królewna nie jest mniszką, lecz obłąkańcem. Bo jej mała głowa nie potrafiła uradzić straszliwemu postępkowi. Co to był za straszliwy postępek, gospodyni nie wiedziała. Ale był straszliwy. Wysłali ją,

aby żyła w górskiej fortecy bez wejścia ni wyjścia, więc kobiety jej usługujące także zostały umieszczone w zamknięciu na zawsze. Odsunąłem na bok mapę rodu, wciąż pochłonięty zagadkami Fumanguru.

Pod mapą przedstawiającą królów były słowa naniesione jego charakterem pisma. Więcej zestawień, rejestrów, potem zestawienia i dopisy spod cudzej ręki, lista dostaw pożywienia dla starszyzny, lista wizyt, i kolejne dzienniki, niektóre sięgające datą poza te, które leżały na wierzchu. A nawet dwie małe księgi z poradami miłosnymi, które wyglądały jakby napisane w czasach, gdy Fumanguru i Król poszukiwali wszystkiego, tylko nie miłości. I księgi od słów wolne, i karty niosące zapach, i rysunki statków i budowli, i wież wyższych niż Malakal, i księga relacjonująca zakazany wypad do Mueru, którą otwarłem, ale ujrzałem tylko glify, lecz nie takie, jakie widziałem wcześniej.

I jeszcze to: księga za księgą, stronica za stronicą mądrości i pouczeń starszyzny. Porzekadła, które Fumanguru zasłyszał lub sam ukuł, nie wiedziałem. I zapisy ze zgromadzeń starszyzny, niektóre poczynione przez kogoś innego. Przeklinałem go w głos i długo, aż mądrość we mnie zaświtała.

Cierpiałem za sprawą nudy.

Napisał, że będę cierpiał, więc tak się stało. I wtedy objawiła mi się cała błyskotliwość jego poczynań, jakby nagły wiatr nawiał mi kwiecie w twarz. Przecierp nudę, aby dotrzeć do prawdy. Nie, przecierp nudę, aby dotrzeć do dna prawdy. Do prawdy na samym dnie.

Chwyciłem dwie sterty ksiąg i papierów, wysokich do mego podbródka, i odsunąłem wszystko na bok, jedną stawiając na podłodze. Oho, oprawa z czerwonej skóry i umocowana węzłem, to rozpaliło moją ciekawość. Stronice były puste. Znów zakląłem i cisnąłem wszystko prawie przez całą salę, aż pofrunął ostatni arkusz. *Tam, gdzie wlatują ptaki,* głosiły słowa. Podnio-

słem wzrok, na okno. Oczywiście. Tam, przy parapecie, dwie obluzowane deski. Wdrapałem się i przesunąłem obie w bok. Pod drewnem sakiewka z czerwonej skóry, w środku wszystkie potrzebne karty, duże, luzem. Zdmuchnąłem kurz z pierwszej, na której napisano:

Będąc pismem w obecności Króla
sporządzonym przez jego najpokorniejszego sługę Basu Fumanguru.

Popatrzyłem na to, z powodu czego niektórzy ludzie postradali życie. Na to, z powodu czego inni ludzie zmawiali się i spiskowali. Na te niepowiązane brudne, cuchnące arkusze, które dotąd zmieniły bieg życia niejednego człowieka. Niektóre były żądaniem kary grzywny i położenia kresu torturom za niewielkie przewinienia. Jeden domagał się przekazania majątku zmarłego jego pierwszej żonie. Inny stwierdzał:

Że wszyscy wolni ludzie tych krain, którzy zostali jako tacy urodzeni, i ci, którzy otrzymali wolność, nigdy nie powinni być brani w niewolę ani ich życie nie powinno być stawiane na szali na wojnie bez stosownej zapłaty wymierzonej wedle ich wartości. Ta wolność winna być także nadana ich dzieciom i dzieciom ich dzieci.

Nie wiedziałem, czy Król zgładziłby go za takie słowa, ale znałem wielu, którzy by to zrobili. I jeszcze to:

Każdy człowiek, który uważa, że ma sprawę sporną z królem, powinien być chroniony przez prawo i nie powinna jego ani jego ród spotkać żadna krzywda. A gdyby sprawa przeciw królowi została odda-

lona, nie powinna spotkać człowieka żadna krzywda. Takoż gdyby sprawę rozstrzygnięto na jego korzyść, nie powinna ani jego, ani jego ród spotkać żadna krzywda.

Zaiste, Fumanguru był albo najmądrzejszym, albo najgłupszym z marzycieli. Niektóre zapisy oddalone ledwie o jedno słowo od zdrady. Najśmielsze i najgłupsze czekało na mnie na końcu:

Aby dom królewski powrócił do sposobów nakazanych przez bogów, a nie podążał drogą, która deprawuje postępowanie królów od sześciu pokoleń. Oto czego się domagamy: aby król przestrzegał naturalnego porządku ustanowionego przez bogów w niebie i bogów pod ziemią. Aby powrócił do czystości rodu zawartej w słowach dawno pomarłych griotów i zapomnianej mowy. Dopóki królowie Północy nie powrócą na drogę czystości, będą występować przeciw wszystkiemu, co słuszne i dobre, a wtedy nic nie powinno powstrzymać domu królewskiego przed upadkiem lub podbojem.

Oskarżył królewski ród o zepsucie. I nawoływał do powrotu do prawdziwej linii królów, odejścia od przewin z ostatnich sześciu pokoleń, inaczej bogowie dopilnowaliby, aby dom Akumów runął. Fumanguru wystawił swój własny wyrok śmierci, napisał słowa, które przesądzały o egzekucji, zanim jeszcze dotarły do króla, choć trzymał je w tajemnicy. Kto miał to znaleźć?

Przejrzałem wszystkie jego dzienniki, przeczytałem większość, także ten, który sporządził blisko swojej śmierci. Oto co wiem: ostatni zapis pochodził z dnia, w którym Fumanguru został zgładzony, a jednak księgę tę przechowywano tutaj, w Sali Archiwów. Przecież tylko on mógł dołożyć ją do własnych zbiorów; nikomu innemu nie było wolno. Kim jestem, żeby

w rozumowaniu dążyć do bezrozumnego? Nie było pożegnania, nie było ostatnich wskazówek ani nawet kropli goryczy odczuwanej wtedy, gdy wiemy, że śmierć nadchodzi, choć nie pogodziliśmy się z losem.

Coś było na opak. Żadnej wzmianki o chłopcu. Ani słowa. Przecież ten chłopiec musiał pozostawić coś po sobie – zapach czegoś większego, głębszego, ważniejszego, tak wyraźnego jak to, co poczułem od lalki – jeśli to przez niego omoluzu dopadli i zamordowali Basu Fumanguru i jego rodzinę. Ale tutaj nie było nic z obecności chłopca, nic z jego rodu, nic z jego roli. Fumanguru trzymał go w tajemnicy nawet przed własnymi zapiskami. W ten sposób trzymał go w tajemnicy nawet przed samym sobą. Pośród woni bijących z papierów poczułem kwaśność. Coś rozlało się i wyschło, a pochodziło od zwierzęcia, nie z ziemi ani palmy, ani pnączy. Mleko. Zniknęło z oczu, lecz wciąż tu było. Przypomniałem sobie karmiącą matkę, która w najbardziej osobliwy sposób wysłała mi wiadomość, abym ratował ją przed jej mężem i ciemiężycielem.

Sięgnąłem po świecę.

– Mniejsze świece powodowały większy pożar.

Podskoczyłem i chwyciłem siekierę, ale zdążył mi przystawić miecz do szyi. Owszem, wyczułem mirrę, pomyślałem jednak, że to z tej starej flaszy, którą mistrz bibliotekarzy skrywał za plecami.

Prefekt.

– Śledziłeś mnie czy kazałeś śledzić?

– Pytasz o to, czy będziesz musiał zabić jednego czy dwóch? – odparł.

– Nigdy nie…

– Wciąż nosisz zasłonę? Po dwóch dniach?

– Na bogów, jeśli jeszcze ktoś powie, że noszę zasłonę…

– To wzór na kotarach bogaczy. Nie jesteś z nadrzecznego ludu? Dlaczego po prostu nie nosisz ochry i masła?

– Bo wy, kongorczycy, macie dziwne wyobrażenie o okrywaniu się i nieokrywaniu.

– Nie jestem kongorczykiem.

– Ale twój miecz dotyka mojej szyi. Odpowiedz na pytanie.

– Sam za tobą poszedłem. Ale ogarnęło mnie znużenie, gdy zobaczyłem, że olbrzym będzie ci się wypłakiwał na ramieniu przez całą noc. Jego historie były zajmujące, jego płacz nie do zniesienia. Na Wschodzie inaczej przeżywamy żałobę.

– Nie jesteś ze Wschodu.

– A ty nie jesteś wśród Ku. No dobrze, dlaczego chciałeś spalić ten list?

– Odsuń ostrze od mojej szyi.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo skrywam ostrze między palcami stóp. Zabijesz mnie i być może padnę i skonam tutaj przed tobą. Albo kopnę i zrobię z ciebie eunucha.

– Odłóż to.

– Myślisz, że przebyłem taką drogę, aby to spalić? – spytałem.

– Nic nie myślę.

– To nic nowego jak na prefekta.

Docisnął mocniej ostrze do mojej szyi.

– Papier. Zostaw.

Odłożyłem arkusz i podniosłem wzrok.

– Popatrz na mnie – powiedziałem. – Potrzymam ten papier nad płomieniem, bo podejrzewam, że coś mi odsłoni. Nie znam cię i nie wiem, jak wielkim głupcem jesteś, ale prościej nie potrafię tego wyrazić.

Cofnął rękę z mieczem.

– Jak mam być tego pewien? – spytał.

– Będziesz mi musiał zaufać.

– Zaufać ci? Ja nawet ciebie nie lubię.

Mierzyliśmy się wzrokiem bardzo długo. Chwyciłem arkusz, najkwaśniejszy z całego zbioru.

– Ty i ta twoja zasłona zamiast odzienia.

– Nie przestaniesz, póki nie zrzucę swojego stroju?

Czekałem na ostrą ripostę, ale nie nadeszła. Sam chętnie bym po nią poszedł, usiłując odgadnąć, dlaczego nie nadeszła, lub przyłapać go, zanim ukryłby to w swojej twarzy, ale tego nie zrobiłem.

– Co ty…

– Bądź cicho, proszę. A przynajmniej uważaj na stróża.

Zamilkł i pokręcił głową. Fumanguru pisał swoje księgi czerwonym atramentem, soczystej barwy, jasnego odcienia. Przysunąłem świecę i podniosłem arkusz wprost nad płomień.

– Mossi.

– Co?

– Moje imię. Imię, które zapomniałeś. Mossi.

Opuściłem lekko arkusz, aby pod papierem było widać płomyk i abym poczuł ciepło na palcach. Wyłoniły się kształty. Glify, litery sunące z lewej do prawej strony albo z prawej do lewej. Glify napisane mlekiem, a więc dotąd ukryte. Mój nos doprowadził mnie do czterech kolejnych kart pachnących mlekiem. Przesunąłem wszystkie nad płomieniem, aż ukazały się glify, linijka po linijce, rząd za rzędem. Uśmiechnąłem się i spojrzałem na prefekta.

– Co to? – spytał.

– Podobno pochodzisz ze Wschodu?

– Nie, skóra mi pobielała, gdy kolor cały się zmył. – Patrzyłem na niego tępo, aż wreszcie powiedział coś jeszcze: – Najpierw z Północy, potem ze Wschodu.

Podałem mu pierwszy arkusz.

– To glify z wybrzeża. Okrutne znaki, tak ludzie to nazywają. Potrafisz przeczytać?

– Nie – odrzekłem.

– Ja umiem trochę.

– Co… one…

– Nie jestem znawcą starożytnych znaków. Myślisz, że to dzieło Fumanguru?

– Tak i…

– A w jakim celu tak pisał? – zapytał prefekt.

– Po to, aby gdy niewłaściwy człowiek przyjdzie nad rzekę, nie mógł się napić.

– Bardzo zasmuca mnie to, że cię rozumiem.

– Glify uznaje się za język bogów.

– Jeżeli bogowie są za starzy i za głupi, aby znać słowa i liczby współczesnych ludzi.

– Mówisz, jakbyś przestał wierzyć w bogów.

– Wasi po prostu mnie bawią.

Czułem niepokój, gdy patrzyłem na niego patrzącego na mnie.

– Moje wierzenie jest niczym – odparł Mossi. – On wierzył, że bogowie do niego przemawiają. Co przyciąga cię do Fumanguru?

Pomyślałem wtedy przez mgnienie oka, co muszę teraz ułożyć i ile trzeba będzie wznieść na tym fundamencie. Na tę myśl poczułem się zmęczony. Wmawiałem sobie, że jestem zmęczony przekonaniem o istnieniu tajemnicy, której należy strzec przed nieznanym wrogiem, lecz w istocie byłem zmęczony tym, że nie ma nikogo, komu mógłbym o tym powiedzieć. Oto słowa prawdy: w tamtej chwili powiedziałbym każdemu. Prawda to prawda, nie mam jej na własność. Nie powinno stanowić dla mnie różnicy,

kto ją usłyszy, bo ten, kto prawdę pozna, prawdy nie zmieni. Pożałowałem, że nie ma ze mną Lamparta.

– Mógłbym cię spytać o to samo – odparłem. – Jego rodzina pomarła od zarazy.

– Żadna zaraza nie przekroi kobiety na dwoje. Prefekt prefektów uznał sprawę za zamkniętą i tak zarekomendował wodzom, którzy tak zarekomendowali Królowi.

– I mimo to jesteś tutaj, stoisz przede mną, bo nie przyjąłeś tego wyjaśnienia.

Oparł miecz o stertę ksiąg i usiadł na posadzce. Poły koszuli zsunęły się z kolan; nie nosił podubrania. Jestem z Ku, nic dla mnie nie znaczy widok mężczyzny w mężczyźnie, powiedziałem sobie w duchu trzy razy. Nie patrząc na mnie, podciągnął połę między uda. Zgarbił się nad arkuszami i zaczął czytać.

– Spójrz – rzekł.

Nachyliłem się.

– Albo jego umysł lekko oszalał, albo jego zamiarem było zamącić ci w głowie. Popatrz na to, sęp, kurczak i stopa skierowana na zachód. To pisanie na północną modłę. Niektóre dają jeden dźwięk, jak sępi odgłos, który brzmi mmmm. Inne tworzą całe słowo albo niosą ze sobą wyobrażenie. A teraz spójrz tutaj, czwarty werset. Widzisz, jak się różni? To jest wybrzeże. Idź na wybrzeże Królestwa Południa albo nawet do tego miejsca, nie pamiętam miana. Na tę wyspę na wschodzie, jak ona się…?

– Lisz.

– Takie pismo znajdziesz na Lisz. Każdy znak to dźwięk, wszystkie dźwięki dają…

– Wiem, czym jest słowo, prefekcie. Co on mówi?

– Cierpliwości, Tropicielu. *Bo…bogowie nieba. Nie przemawiają już do duchów ziemi. Głos królów staje się nowym głosem bogów. Przerwij milczenie bogów. Wskaż kata bogów, bo on wskazuje pogromcę królów*. Czy to brzmi mądrze w twoich uszach? Bo w moich głupio. *Czarnoskrzydłego kata bogów*.

– Czarnoskrzydłego? – spytałem.

– Tak napisane. Nic z tego nie płynie jak fala. Chyba takie nadał temu znaczenie. Król jest królem za sprawą królowej, nie króla. Ale chłopiec…

– Czekaj. Zostań, nie ruszaj się.

Podniósł wzrok i skinął głową. Z jego ud, jaśniejszych niż reszta ciała, kiełkowały zbyt proste włoski. Poszedłem do stołu, ale mistrza bibliotekarzy nie było. Domyśliłem się, że ukrywa za plecami rejestry i księgi królów i poddanych. Wdrapałem się na dwa szczeble drabiny i zacząłem rozglądać dokoła, aż wypatrzyłem złoty znak łba nosorożca. Przewertowałem od końca, a kurz buchnął mi w nos, wywołując kaszel. Kilka stronic dalej był dom Kuasz Liongo, niemal taki sam jak to, co Fumanguru wyskrobał na papierze. Na poprzedniej karcie zobaczyłem Liongo, jego braci i siostry, i Króla przed nim, Kuasz Mokiego, który został władcą w wieku dwudziestu lat i rządził, aż miał lat czterdzieści i pięć.

– Jakieś nowiny o czarnych skrzydłach?

Poczułem, że podskoczyłem. Wiedziałem, że to zobaczył.

– Żadnych – odrzekłem.

Chwyciłem stos papierów i położyłem go na stole. Świece rzucały blask jak wątłe słońce.

– To dom Akumów – powiedziałem. – Władcy przez ponad pięć setek lat, aż po czasy Kuasz Dary. Jego ojcem Netu, tutaj. Nad nim, o tutaj, jest Aduuare Król Gepard, który był trzeci w linii, kiedy umarł następca tronu, a jego braci wygnano. A dalej nad nim jest Liongo Wielki, który panował

blisko siedemdziesiąt lat. Kto nie słyszał o wielkim królu Liongo. A na tym arkuszu znowu Liongo, nad nim zaś Moki, jego ojciec, Król Chłopiec.

– Obróć stronę.

– Obróciłem. Wcześniej nic nie ma.

– Nie prze…

– Spójrz – powiedziałem, wskazując pustą kartę. – Nic.

– Ale Moki nie jest pierwszym królem z domu Akumów, który tworzy linię istniejącą około dwustu i pięćdziesięciu lat.

– Dwustu i siedemdziesięciu.

– Wertuj – polecił Mossi.

– Mapa rodu. Fasisi Kuasz Dara. Akum. Siedziba jego władzy, jego wychwalane imię, imię królewskie, jego rodzina.

Trzy arkusze wcześniej inna mapa rodu, naniesiona ciemnoniebieskim atramentem. U góry stronicy Akum. U dołu Kuasz Kagar, ojciec Mokiego. Lecz nad nim dostrzegłem osobliwość, a wyżej osobliwość jeszcze osobliwszą.

– Czy to nowa linia? – spytał prefekt. – To znaczy stara.

– Dom Akumów do czasów ojca Mokiego. Co zauważyłeś?

– Nad Kagarem jest linia wskazująca Tiefulu? To imię kobiety. Jego matki.

– Obok niej.

– Kuasz Kong.

– A teraz spójrz nad Konga.

– Druga kobieta, druga siostra. Tropicielu, żaden król nie jest synem króla.

– Aż do Mokiego.

– W wielu królestwach podąża się linią żony albo siostry.

– Nie w Królestwie Północy. Począwszy od Mokiego, każdy król to najstarszy syn króla, a nie syn jego siostry. Bierz to.

Wróciłem do glifów. Podążał za moim wzrokiem, patrzył na mapy, nie na mnie.

– Co mówiłeś o królach i bogach? – spytałem.

– Nie mówiłem nic o królach i…

– We wszystkich swoich poczynaniach jesteś taki męczący?

Rzucił arkusze do moich stóp i chwycił pisma urzędowe.

– Król jest królem za sprawą królowej, nie króla – powiedział.

– Daj mi to. Przyjrzyj się pismu.

Nachylił się nade mną. Nie była to właściwa pora, żeby myśleć o mirze. Czytał:

– *Aby dom królewski powrócił do sposobów nakazanych przez bogów, a nie podążał drogą, która deprawuje postępowanie królów od sześciu pokoleń. Oto czego się domagamy: aby król przestrzegał naturalnego porządku ustanowionego przez bogów w niebie i bogów pod ziemią. Aby powrócił do czystości rodu zawartej w słowach dawno pomarłych griotów i zapomnianej mowy*. To właśnie napisał.

– A więc północna linia władców przeszła od syna siostry króla do syna króla, a stało się to przed sześcioma pokoleniami – powiedziałem. – To są dzieje do poznania dla każdego, kto trudziłby się szukać. Nie ma więc powodu, aby zabijać członka starszyzny. A te pisma, owszem, wzywają do powrotu do dawnego porządku, co jeden mógłby uznać za obłęd, inny za zdradę, ale większość w ogóle nie cofnęłaby się aż tak daleko w przeszłość, żeby to sprawdzić.

– A jaki byłby skutek, gdyby jednak się cofnęli?

– Oburzenie być może.

Roześmiał się. Co za złość we mnie.

– Jakie czasy, takie czasy, a ludzie to ludzie – powiedział Mossi. – Tak dawno temu? Ludzie machnęliby na to ręką jak na śmierdzący koc.

– Czegoś tu brakuje albo…

– Czego mi nie mówisz? – spytał. Zmrużył groźnie oczy.

– Widziałeś to samo, co ja widziałem. Przekazałem ci wszystko, co wiem.

– To w takim razie co myślisz?

– Nie mam powinności mówić ci, co myślę.

– Mimo to powiedz.

Pochylił się obok mnie i arkuszy. Te jego oczy. Wytrzeszczone i bystre w półmroku.

– Myślę, że to się łączy z tym dzieckiem. Z domu Fumanguru.

– Z tym, które według ciebie zabrali zabójcy?

– Nie, to nie oni uprowadzili dziecko. Zanim spytasz, skąd wiem, wiedz, że po prostu wiem. Ktoś, kogo znam, twierdzi, że uratował dziecko tamtej nocy. Ten, kto wysłał zabójców do domu Fumanguru, na pewno wie, że dziecko zostało ocalone.

– Pragną wymazać je ze świata, do czysta, zatrzeć jego ślady.

– Tak właśnie myślałem. Lecz za dużo się wydarzyło. Nie było powodu, żeby zabić Fumanguru, chyba że od początku nastawano na to dziecko. To tłumaczyłoby, dlaczego tak wielu ludzi wciąż zajmuje się dawnym mordem. Dwa dni temu zapytałem jednego, który powinien był coś wiedzieć, czy słyszał cokolwiek o człowieku zwanym Fumanguru. Powiedział mi, że dwaj ze starszyzny ruchający głuchą dziewczynę mówili, że muszą odnaleźć pisma, inaczej oznaczać to będzie czyjąś śmierć. Może ich własną. Jednym z nich był Belekun Wielki. Zapewne wiesz, że go zabiłem.

– Och.

– Bo najpierw on próbował zabić mnie. W Malakalu. Nasłał na mnie także swoich ludzi.

– Głupszy od niego jeszcze się nie narodził. Mów dalej, Tropicielu.

– Drugim był kurwa zwany Ekoiye. Powiedział, abyśmy pomówili w innym miejscu, więc tunelem dotarliśmy na dach. Najpierw wyjawił mi, że wielu ludzi wciąż chodzi do domu Fumanguru. W tym niektórzy z was.

– Oczywiście.

– I inni w twoim stroju.

– Ja poszedłem tam tylko dwa razy. Sam.

– Byli jeszcze inni.

– Nie bez mego rozkazu.

– Powiedział…

– Przedkładasz słowo nierządnicy nad słowo urzędnika sprawiedliwości?

– Jesteś urzędnikiem porządku, nie sprawiedliwości – odrzekłem.

– Opowiadaj dalej.

– Nic dziwnego, że mylisz jedno z drugim.

– Kazałem ci opowiadać.

– Rzekł, że wszyscy, którzy idą do domu Fumanguru, poszukują czegoś, choć nie wiedział, co to jest. Potem próbował mnie obezwładnić kajalem zmieszanym z jadem żmii.

– I mimo to żyjesz? Jedno tchnienie czegoś takiego zabiłoby konia. Albo przemieniło cię w upiora.

– Wiem. Zrzuciłem go z dachu.

– Na bogów, Tropicielu. On też nie żyje?

– Żyje. Ale masz słuszność. Próbował zrobić ze mnie upiora, zaciągnąć z powrotem do swojego pokoju. Potem chciał wypuścić gołębia, aby powiadomić kogoś, że mnie zniewolił. Gołębia sam wypuściłem. Uwierz mi, pre-

fekcie, niedługo czekałem, aby w pokoju zjawił się człowiek z orężem, lecz podejrzewam, że przybył, aby mnie wziąć, a nie zabić.

– Wziąć? Gdzie? Do kogo?

– Zabiłem go, zanim się dowiedziałem. Był ubrany jak prefekt.

– Tropicielu, zostawiasz za sobą szlak trupów. Niebawem w całym mieście będzie śmierdzieć za twoją przyczyną.

– Powiedziałem, że był ubrany jak…

– Słyszałem, co powiedziałeś.

– Poza tym nie zostały po nim zwłoki. Później opowiem ci o tym więcej. Teraz to. Gdy umarł, zobaczyłem, że opuszcza go coś, co przypomina czarne skrzydła.

– Oczywiście. Co to byłaby za historia bez pięknych czarnych skrzydeł? Co to wszystko ma wspólnego z chłopcem?

– Poszukuję go. Dlatego tu jestem. Pewien handlarz niewolników najął mnie i innych, obcych w tym mieście, abyśmy odnaleźli dziecko. Z początku razem, lecz większość rozeszła się, obierając swoją drogę. Oprócz tego inni też poszukują chłopca. Nie, ci nie są najęci przez handlarza. Nie potrafię powiedzieć, czy podążają naszym śladem, czy wyprzedzają nas o krok. Już wcześniej próbowali nas zabić.

– No cóż, jeśli idzie o zabijanie, ty też nie przeżywasz zbędnych wahań.

– Przysłano nas tutaj z konkretnego powodu. Abyśmy zobaczyli, skąd uprowadzono dziecko, owszem, ale bardziej po to, abyśmy zobaczyli, dokąd odeszli.

– Och, wciąż sporo zatajasz przede mną. Na przykład kim są ci oni? Czy byli jedni, którzy przyszli go zabić, i inni, którzy przyszli go ocalić? A jeśli zabrali go ci, którzy przybyli go ocalić, to czemu zajmujesz się tą sprawą? Czy chłopiec nie jest bezpieczniejszy z nimi, niźli byłby z tobą?

– Ci, którzy go ocalili, utracili go.

– Oczywiście. Może ci sami sprzedali go wiedźmom.

– Nie, ale zaufali niewłaściwym ludziom. I jeszcze to. Chyba wiem, kim on jest, ten chł…

– To wciąż nie układa się w żaden sens. Mam inny pomysł.

– Masz inny pomysł.

– Mam.

– Świat czeka niecierpliwie.

– Twój zaufany Fumanguru parał się nielegalną sztuką lub rzemiosłem. Nieważne, skutkiem jednego i drugiego jest to, że niewinni zostają sprzedani, zgwałceni, zabici. Wykopał dla siebie dół tak głęboki i szeroki, że w końcu do niego wpadł. To był czysty mord, mord bezwarunkowy, zginęli wszyscy prócz chłopca. Dopóki chłopiec żyje, rachunki nie są wyrównane. Oto ludzie nastający na twojego chłopca.

– Znakomite dowodzenie. Tyle że większość nie wie o istnieniu chłopca. Ty też nie wiedziałeś, zanim nie usłyszałeś tego ode mnie.

– No więc co innego?

– Chronił chłopca. Ukrywał go. W tamtych dniach chłopiec był małym dzieckiem. Powinieneś wiedzieć, że wiem, kim jest. Nie mam dowodu, ale gdy będę miał, chłopiec okaże się tym, za kogo go poczytuję. A na razie co to?

Podałem mu wstążkę papieru odebraną gołębiowi. Przysunął ją do samego nosa, potem odjął od twarzy.

– To ten sam styl co glify na piśmie urzędowym. Mówi: wieści o chłopcu, przybywaj.

– Prefekt, który próbował mnie zabić, miał to wykłute na piersi.

– To?

– Nie to samo, rzecz jasna. Ale znaki o tym wyglądzie.

– Czy może…

– Nie, nie pamiętam. Ale Fumanguru posługuje się tą mową.

– To dopiero zagadka, Tropicielu. Im więcej mi mówisz, tym mniej wiem.

– Czy to wszystko? Fumanguru nic więcej nie napisał?

Mossi znów przejrzał arkusze. Dwa z nich pachniały skwaśniałym mlekiem. Gdy ja czytałem, on przesuwał palcem po znakach.

– To wskazania – powiedział. – Zabierz go do Mitu, pod przewodnictwo jednookiego, przemierz Mueru i niechże pochłonie twoje tropy. Tak tu napisano.

– Z Mueru nie powraca żaden człowiek.

– To prawda? Czy tak mówią stare baby? Koniec tego tekstu jest dla mnie nieczytelny.

– Dlaczego miałby go tam wysłać? Przecież on też wyrośnie na człowieka.

– Kto wyrośnie? – spytał Mossi.

– Mówiłem do siebie.

– Żadna matka nie nauczyła cię, że to niegrzecznie? Orzekłeś, że wiesz, kim on jest, ten chłopiec. Kim więc?

Spojrzałem na niego.

– W takim razie powiedz mi, kto i dlaczego go ściga.

– To byłoby jak powiedzieć ci, kim jest.

– Tropicielu, w ten sposób nie potrafię ci pomóc.

– A kto cię prosił o pomoc?

– Bogowie, rzecz jasna, nieuchronnie się uśmiechają na myśl o tym, jak daleko zabrnąłeś na własną rękę.

– Posłuchaj – odrzekłem. – Troje było, co najęli mnie, abym odszukał to dziecko. Handlarz niewolników, duch znad rzeki i wiedźma. Między sobą opowiedzieli mi już pięć historii o tym, kim jest chłopiec.

– Pięć kłamstw, aby go odnaleźć czy ocalić?

– Jedno i drugie. Żadne.

– Chcą, byś go ocalił, ale nie chcą, abyś wiedział, kogo ocalisz. Jesteś taki, aby go zdradzić?

– Zastanawiałem się, co prefekt myśli o ludziach na najem.

– Nie, zastanawiałeś się, co myślą o tobie.

Ruszył dokoła stert, zniknął za ich ścianą. Usłyszałem lekkie szuranie jednej stopy, dobrze maskowane utykanie.

– To jest Sala Archiwów, czyż nie? – spytał.

– To twoje miasto.

– Kto spisuje żywoty królów?

Odwróciłem się i wskazałem przestrzeń za stołem. Stróż nie zamierzał wrócić tego dnia, to pewne. Ta księga też była z arkuszy, zszytych niestarannie i nierówno, oprawionych w skórzany rękaw, zakurzony bardziej niż inne. Opowieść o Kuasz Darze, aż do tego dnia. Jego imię w jednej linii z imionami dwóch braci i siostry. Jeden z braci wziął za żonę córkę królowej Dolingo, aby zawrzeć sojusz. Jeden pojął za żonę wdowę po pewnym wodzu z małymi ziemiami, ale wielkim bogactwem na sawannach. Imię najstarszej siostry wymieniono wcześniej pośród kobiet, a tutaj napisano jedynie, że poświęciła życie na służenie Uapie, bogini ziemi, płodności i kobiet, gdy już jej mąż, książę z Dżuby, padł z własnej ręki, zabierając ze sobą także ich dzieci. W opowieści nie wyjawiono, dokąd się udała, słowem nie wspomniano o fortecy w górach.

– A co z innymi królami? – spytał Mossi. – Z królami z czasów sprzed obecnych?

– Grioci. Nawet gdy mamy słowo pisane, oznaką prawdziwego króla byłoby powierzenie swojej historii upamiętnieniu, recytowaniu jej jako strof albo wtedy, gdy ludzie zbierają się po to, aby wychwalać sławnych

mężów. Oto mój domysł. Pisane dzieje królów zaczęły się dopiero w czasach Kuasz Netu. Reszta należy do głosu griotów. No i jest kłopot. Ci, którzy śpiewają o wyczynach króla, są na królewskim garnuszku.

– Och.

– Są inni. Grioci, których zapisów o królach Król nie zna. Ludzie, którzy pisali tajne strofy, ludzie z pieśniami, które oddałyby ich w ręce kata, pieśniami zakazanymi.

– W takim razie komu śpiewali te strofy?

– Sobie. Niektórzy uważają, że prawda musi być na służbie wyłącznie prawdy.

– Niestety, a więc już martwi.

– W większości. Lecz jest dwóch, może trzech, których pieśni sięgają tysiąca lat wstecz.

– Czy twierdzą, że ich życie też sięga tak daleko?

– Dlaczego utykasz?

– Co?

– Nic.

– Och, chłopcze o tak nieobliczalnym losie. Wiesz, Tropicielu, daleko zabrnąłeś w tej sprawie i ani razu nie wspomniałeś o tym choćby mimochodem.

– O czym?

– Mówisz wykrętnie, kto wciąż jest twoim Królem. A ja, jako prefekt, jestem jego sługą.

Wiele czasu upłynęło, odkąd zerknąłem na jego miecz. Najpierw zajmij czymś wroga, takie byłoby postępowanie tego urzędnika. Lecz odwrócił się plecami i stał zapatrzony na stertę papierów.

– Fumanguru wydał to, jakkolwiek to nazywasz, przeciw Królowi, a skoro został zabity, uznajesz go za niewinnego. Obejmij oczami świat, tak

jak robimy to my, prefekci. Zaraz spytasz, co mam na myśli. Na myśli mam to. Częściej niż rzadziej, gdy podły postępek przybywa w czyjeś progi, gospodarz sam go ściągnął.

– A więc każda śmierć spotyka ofiarę, która na nią zasłużyła. Jesteś w rzeczy samej prefektem.

– Pewnego dnia będzie z ciebie świetna żona.

Nawet nie raczyłem go zgromić wzrokiem.

– Czyń więc, jak czynią twoi przełożeni, i ogłoś tę sprawę zamkniętą. Posłuchaj. Jako że to jest otwarta przestrzeń i każdy może tu wejść, a ja nie jestem powiązany z żadnym przestępstwem, bądź dobrym członkiem wojska wodza Kongoru i uwolnij mnie od siebie.

– Zaraz, po…

– Czy zakończyliśmy nasze sprawy, prefekcie? Jest takie dziecko, w którego istnienie nie wierzysz, i pismo urzędowe, które według ciebie nic nie znaczy, na temat króla, któremu służysz i którego uważasz za niewinnego i niepowiązanego z serią wydarzeń, co nie miały miejsca, a jeśli nawet miały, nic nie znaczyły. A wszystko to wokół człowieka, którego całą rodzinę wymordowano, bo wziął do domu węża uważanego za miłe zwierzątko i został ukąszony. Czy to mniej więcej wszystko, prefekcie? Dziwię się, że wciąż tu jesteś. Niechże rozdzieli nas przestrzeń. Nuże.

– Nie będziesz mną rozporządzał.

– Och, pierdolić bogów! Zostań więc, ja odejdę.

– Zapominasz, kto ma władzę w tym pomieszczeniu. Gdzie one są, te twoje czarno-niebieskie jawidła?

Wysunął miecz przed siebie i natarł wprost na mnie. Dźwięk zuppp! wdarł się między nas i odskoczyliśmy, a włócznia utknęła w posadzce. Czarna z niebieskimi znakami.

– Jeden z twoich – powiedziałem.

– Zamknij się!

Nad nami rozbłysło szybkie światło i dopiero gdy strzała wbiła się w stertę ksiąg, zobaczyliśmy, że światłem jest płomień. Cień w oknie wypuścił zapaloną strzałę w naszą stronę. Płomień wstał z podłogi i zamigotał szlakiem ognia. Skręcił w lewo, potem w prawo, po czym odszedł jak jaszczur na widok zbyt wielu rzeczy do pożarcia. Przeskoczył na stertę ksiąg i z każdej buchnął ogień, jednej, drugiej, potem trzeciej, wzwyż, wzwyż. Trzy nowe strzały wleciały przez okno. Ogień mnie powstrzymał, zbałamucił, abym przystanął i się zastanawiał, czemu cała ściana huczy płomieniami. Ręka chwyciła mnie, wyrwała z zauroczenia.

– Tędy, Tropicielu!

Dym kąsał w oczy i zmuszał do kaszlu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy zaklęcie sangomy chroni przed ogniem. Mossi ciągnął mnie dalej, złorzecząc, że poruszam się tak wolno. Przeskoczyliśmy przez łuk płomieni, który zaraz potem runął i rozżarzony papier trafił mnie w piętę. Mossi przesadził stos ksiąg, zanurkował w ścianę dymu, zniknął. Zerknąłem przez ramię, niemal zwolniłem kroku, myśląc o szybkości ognia, potem pokonałem dym. I omal nie runąłem na Mossiego.

– Trzymaj się blisko posadzki. Mniej duszno. I gorzej nas będą widzieć, gdy wyjdziemy.

– Będą?

– A myślisz, że jest tylko jeden?

W tej części biblioteki był sam dym, ale ogień strawił większość zbiorów i był nienasycony bardziej niż dotąd. Przeskakiwał ze sterty na stertę, pożerał papirus i skórę. Runęła wieża i przez ścianę dymu wystrzeliły płomienie, prosto w nas. Umykaliśmy. Nie pamiętałem, gdzie szukać drzwi. Mossi chwycił mnie za szatę i znów pociągnął. Pobiegliśmy w prawo, między dwiema ścianami ksiąg, potem w lewo, potem w prawo, potem wyda-

wało się, że na północ, ale pewności nie miałem. Mossi wciąż ściskał moją szatę. Żar był tak blisko, że zapaliły się włosy na mojej skórze. Dotarliśmy do drzwi. Mossi pchnął je na oścież i odskoczył w tył, nim cztery strzały wbiły się w próg.

– Jak daleko umiesz tym rzucać? – spytał.

Chwyciłem siekierę.

– Wystarczająco.

– To dobrze. Sądząc po tym, jak strzały są pochylone, tamci czają się na dachu po prawej stronie.

Wbiegł z powrotem w kłęby dymu i wyłonił się zaraz z dwiema płonącymi księgami. Kiwnął głową w kierunku okna, potem wskazał na drzwi. Nie daj im sposobności sięgnąć po nowe strzały. Rzucił księgi przez okno i cztery strzały przecięły wiatr, dwie trafiły w okno. Pobiegłem, padłem, wyturlałem się przez próg, zerwałem z ziemi, z siekierą w ręku, i rzuciłem. W locie do łuczników siekiera zatoczyła łuk, rozpłatała jednemu gardło, drugiemu utkwiła w skroni. Skoczyłem w mrok, z dala od toru kolejnych dwóch strzał. Nadlatywało więcej, niektóre z płomieniem, inne z trucizną, jak deszcz, aż w końcu ustały.

Archiwum płonęło, każda ściana, każda komnata, a na ulicy zaczął gromadzić się tłum. U góry nie było więcej łuczników. Wyślizgnąłem się z tłumu i pognałem na tył budynku. A tam, na dachu, Mossi akurat otarł miecz o spódnicę martwego człowieka i schował broń do pochwy. Jak mnie minął, tego nie wiedziałem. Na dachu leżało czterech, nie dwóch.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie…

– Ci pobici to prefekci.

Podszedł do krawędzi i popatrzył na pożogę.

– Dwaj martwi.

– A nie wszyscy?

– Tak, wszyscy, ale dwaj nie żyli, zanim ich zabiliśmy. Ten gruby to Biza, wysoki to Thuoko. Obaj zaginęli przed dziesięcioma i trzema księżycami, nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Oni…

Usłyszałem ich w mroku, wiedziałem, co się dzieje. Rozwierały się usta umarłych. Dudnienie i rzężenie od stóp do głów, jakby śmierć nadchodziła w porywach. Nawet w ciemności fale przetaczały się po udach, do brzucha, do piersi i potem wyrywały się przez usta obłokiem atramentowym jak noc, obłokiem ledwo widocznym, który kłębił się i przepadł w powietrzu. Zbyt wiele cienia dokoła, aby zobaczyć, ale wiedziałem, że na wirze tej chmury i kurzu wyrosły skrzydła, bo obaj usłyszeliśmy trzepot. Staliśmy tam, patrząc na siebie, żaden nie chcąc przemówić pierwszy o tym, co właśnie ujrzeliśmy.

– Jeśli ich dotkniesz, rozpadną się w proch – powiedziałem.

– Lepiej nie dotykać – odezwał się męski głos i odskoczyłem.

Mossi się uśmiechnął.

– Mazambezi, czy to płomienie cię przyzwały, czy przegapiłeś moją woń?

– W istocie, gdy człowiek żyje w gównie, przywyka do jego aromatu.

Dwaj kolejni prefekci wdrapali się na dach, żaden nie odezwał się słowem do Mossiego. Obaj popatrzyli na pożar, zasłaniając usta przed dymem nawiewanym w naszą stronę.

– Co robić, gdy widzimy, że płoną nasze dzieje? – spytał Mazambezi.

– Twoje słowa już wyrażają tę stratę – odparł Mossi. – Zapełnimy nową salę.

– Wiecie, jak to się zaczęło?

– A ty nie wiesz? Kilku waszych lu…

– Kilku przebranych za wojsko wodza – znów odrzekł Mossi, wchodząc mi w słowo. – Widziałem na własne oczy, płonące strzały w wielkiej sali.

Może to uzurpatorzy. Ranią tam, gdzie rani najbardziej.

– To także wymaga upamiętnienia. A gdzie ich zmagazynujemy? – spytał Mazambezi ze śmiechem.

– Musisz się im najpierw przyjrzeć, ich zwłoki są odmienione przez czarnoksięstwo – powiedział Mossi i znów popatrzył na trupy.

Błysnęło, łowiąc blask ognia, i odskoczyłem.

– Mossi!

Uchylił się, gdy miecz Mazambeziego przeciął powietrze tuż nad jego głową. Zachwiał się od gwałtownego uniku. Jeden z tamtych napiął łuk i wycelował we mnie. Rzuciłem się obok martwego, który oberwał moją siekierą w czaszkę. Wyrwałem ostrze w chwili, gdy wypuszczona strzała je zastąpiła. Zerwałem się na nogi i zamachnąłem siekierą, która zawirowała, rozmazała się w locie i trafiła go w pierś. Mazambezi i drugi prefekt walczyli z Mossim na miecze. Pierwszy zaatakował, wysuwając broń do przodu jak włócznię. Mossi uskoczył i kopnął go w pierś kolanami. Mazambezi odwzajemnił się ciosem łokcia w bok. Mossi padł, lądując poza zasięgiem drugiego prefekta, którego chybione pchnięcie skrzesało iskry na ziemi. Prefekt ponownie wzniósł miecz, ale Mossi zamachnął się od dołu i odrąbał mu stopę. Tamten runął z wrzaskiem. Mossi skoczył na nogi i przebił mu pierś mieczem. Zastygł zdyszany i wtedy Mazambezi zaciął go w plecy. Wpadłem między nich i sieknąłem siekierą. Jego ostrze starło się z moim, a siła mego obaliła go na ziemię. Podniósł się wstrząśnięty, odurzony. Mossi wskoczył między nas dwóch.

– Wystarczy tego szaleństwa, Mazambezi. Nazywałeś siebie niesprzedajnym.

– Ty możesz obwołać się przystojnym, a i tak nie dojdę, co kobiety w tobie widzą.

Mossi nie opuścił miecza, podobnie Mazambezi. Krążyli, jakby znów mieli się zetrzeć. Wtargnąłem między nich.

– Tropicielu, on cię…

Mazambezi ciął mieczem o włos od mojej twarzy. Chwyciłem ostrze. To nim wstrząsnęło. Szarpnął orężem, aby odciąć mi palce, ale nie utoczył z nich ani kropli krwi. Stał osłupiały. Wtedy dwa miecze przebiły mu plecy i wyszły na wierzch brzuchem. Mossi wyszarpnął ostrza i prefekt padł.

– Spytałbym jak, ale czy…

– Sangoma – odparłem. – Zaklęcie. Inaczej zabiłby mnie nawet drewnianym mieczem.

Skinął głową. Nie przyjął mojej odpowiedzi, nie zamierzał jednak domagać się innej.

– Przyjdzie ich więcej – przestrzegłem.

– Mazambezi był inny od pozostałych. Mówił.

– On tylko niektórych potrafi opętać. Innych przekupuje.

Odwrócił się, żeby popatrzeć na tłum oświetlony blaskiem ognia. Zaklął i przebiegł obok mnie. Ruszyłem za nim schodami na tyłach, przeskakując po trzy stopnie jak on. Wpadł w motłoch. Pognałem jego śladem, lecz tłum zafalował do przodu i cofnął się jak odpływ. Ktoś krzyknął, że Kongor jest zgubiony, bo jaka przyszłość nas czeka, skoro nie mamy przeszłości? Tłum mnie zdezorientował, ogłuszył, oślepił, aż nagle dotarło do mnie, że czuję zapach mistrza bibliotekarzy. Mossi klepał go w plecy, klepał i klepał, aż w końcu chwyciłem go za rękę. Mistrz skulił się na ziemi.

– Mossi.

– Ten syn kurwy nie chce mówić.

– Mossi.

– Unicestwili moje księgi, unicestwili moje księgi – powtarzał mistrz bibliotekarzy.

– Przemówię za ciebie. Przyszedł w twoje progi człowiek, który kazał ci wysłać znak, jeśli zjawiłby się ktokolwiek proszący o rejestry Fumanguru. Ja przychodzę, pytam, gdzie są rejestry Fumanguru, a ty wysyłasz wiadomość przez gołębia.

Kiwnął głową potakująco.

– Kto to był?! – krzyknął Mossi.

– Jeden z was – odpowiedziałem.

– W dupę wetknij sobie swoje kłamstwa, Tropicielu.

– Jedyne, co tutaj kłamie, to twoje oczy.

– Czemu unicestwili moje księgi? Czemu unicestwili moje księgi? – lamentował mistrz bibliotekarzy.

– Przekonamy się, co wie i czego nie wie.

Podszedłem wprost do Mossiego.

– Wysłuchaj mnie. On jest taki sam jak Ekoiye. Powiedziano mu tylko tyle, ile można było mu powiedzieć w zaufaniu. Czyli nic. Przyszedł do niego posłaniec, a nie człowiek, który wysłał przesłanie. Może wojsko wodza, może nie. Ktoś jest o jeden krok przed nami, czekając na nasze przybycie, i zarazem o jeden krok z tyłu, czekając, abyśmy działali, to wtedy ruszy naszym śladem. Gdzieś w trakcie ostatniej godziny byliśmy podpatrywani i ten ktoś usłyszał dość.

– Tropicielu.

– Słuchaj, co mówię.

– Tropicielu.

– Co?

– Stróż.

Zakląłem. Mistrz bibliotekarzy zniknął.

– Dziad nie mógł ujść daleko – powiedział Mossi w chwili, gdy wrzasnęło kilka kobiet i krzyknął mężczyzna: nie, starcze, nie!

– Nie zamierzał – odparłem.

Wtedy właśnie zapadł się dach biblioteki i przydusił trochę płomieni, mimo to na całym placu było gorąco i jasno.

– Oddalmy się od tego miejsca, natychmiast – powiedziałem.

Mossi skinął głową. Skręciliśmy w pusty zaułek, w którym były kałuże pomimo tego, że deszcze dawno minęły, i psy rozszarpywały to, co ludzie wyrzucali z domów. Zadygotałem na widok kundla wyglądającego prawie jak hiena. Sogolon nie było w zasięgu wzroku, dziewczyny tak samo. Z woni Sogolon znałem tylko palczatkę i rybę, a to mogło należeć do każdej ze stu kobiet tutaj. Nigdy nie wyczułem jej skóry na dziewczynie, a ogo nie za bardzo pachniał. Nie przyszło mi do głowy, aby zapamiętać woń pana domostwa i bawołu.

– Powinniśmy ruszać na wschód – powiedziałem.

– To jest wschód.

– Prowadź zatem.

Skręcił w najbliższy zaułek, też opustoszały.

– Nam, kongorczykom, chyba brak rozrywek, skoro mały pożar potrafi nas przyciągnąć.

– W tym pożarze nie było nic małego – odparłem.

Odwrócił się do mnie.

– Pomyślą, że to robota cudzoziemców.

– Tyle że byli to członkowie twojej służby.

Poklepał mnie po piersi.

– Musisz puścić tę myśl samopas.

– A ty dostrzec, że twoi ludzie chodzą samopas.

– To nie byli moi ludzie.

– Przecież rozpoznałeś dwóch.

– Nie słyszysz, co mówię?

– Och, słyszę doskonale.

– Daruj sobie to spojrzenie.

– Przecież nie widzisz mojego spojrzenia.

– Ale wiem, że je masz.

– A jakie to konkretnie będzie spojrzenie, trzeci prefekcie wojska wodza Kongoru?

– Właśnie takie. To, które mówi patrzącemu, że jest głupcem, że brak mu bystrości, że nie widzi, co się dzieje.

– Posłuchaj, możemy iść, możemy się przerzucać słowami, ale nie możemy robić jednego i drugiego.

– Ponieważ przewyższasz mnie zdolnością widzenia, obejrzyj się i powiedz, czy to wróg, czy przyjaciel.

Tamten szedł powolnym krokiem jakby we własnej sprawie. Zatrzymaliśmy się. On też stanął, być może ze dwieście kroków za nami, nie w zaułku, lecz w miejscu przecięcia z ulicą biegnącą na północ. To chyba nie pierwszy raz, kiedy zauważam, że jest ciemno, pomyślałem. Mossi był obok mnie, oddychał szybko.

Włosy krótkie i czerwone. Biżuteria połyskiwała na obu uszach. Tego samego człowieka widziałem w kałuży na Mrocznych Ziemiach. Tego, którego bunszi zwała Aesi. W czarnej pelerynie, która łopotała rozpostarta jak skrzydła, budząc wiatr i wzbijając kurz. Mossi dobył miecz, ja nie sięgnąłem po noże. Kurz dokoła tamtego nie chciał opaść, wzbijał się i osiadał, wirował i przeobrażał w jaszczuropodobne bestie wysokie jak mury, potem rozpadł się znów w pył i zaraz uformował w cztery postacie wielkie jak ogo, które zaraz osunęły się w prochu na ziemię, powstały znów i zatrzepotały jak skrzydła. Prefekt chwycił mnie za ramię.

– Tropicielu!

Rzucił się do ucieczki, ja za nim. Dobiegł do wylotu zaułka i skoczył w prawo. Doprawdy umiał biec szybciej niż Lampart. Zerknąłem raz przez ramię i zobaczyłem, że Aesi wciąż stoi w miejscu, wokół niego skłębiony wiatr i kurz. Wpadliśmy na ulicę, gdzie było trochę ludzi. Wszyscy szli w tę samą stronę, tak samo powoli, jakby wracali od pożaru. Aesi wypatrzyłby nas, poruszających się szybciej od innych. Mossi zwolnił, jakby usłyszał moje myśli. Ale tamci – kobiety, kilkoro dzieci, w większości mężczyźni – szli zbyt wolno, za pewnik biorąc to, że wrócą do tego samego łóżka, z którego się zerwali. Wyprzedzaliśmy ich, zerkając od czasu do czasu przez ramię. Aesi nie podążał naszym tropem. Kobieta w białej szacie ciągnęła synka za sobą. Chłopiec się ociągał, próbował wyrwać z uścisku. Podniósł wzrok i popatrzył na mnie. Myślałem, że matka go zgarnie, lecz ona też przystanęła. Tak samo jak chłopiec wbiła we mnie wzrok, puste spojrzenie umarłego. Mossi owinął się na pięcie i też to zobaczył. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, wszyscy na tej ulicy patrzyli na nas. Zastygli, jakby wystrugani z drewna. Żadna kończyna się nie poruszyła, nawet najmniejszy palec. Tylko szyje skręcali, żeby obrócić głowy i patrzeć na nas. Szliśmy dalej powoli, oni stali w bezruchu, ścigając nas wzrokiem.

– Tropicielu – mruknął Mossi pod nosem, aż ledwo usłyszałem.

Wodzili za nami oczami. Starzec, który zdążał w przeciwną stronę, teraz ze stopami wrytymi w ziemię, wykręcił szyję tak bardzo, aż się przestraszyłem, że pęknie mu stos pacierzowy. Mossi wciąż ściskał miecz.

– On ich opętał – powiedziałem.

– Dlaczego nas nie?

– Nie w…

Matka puściła rękę dziecka i zaszarżowała na mnie z wrzaskiem. Usunąłem się z drogi i wystawiłem nogę, aby się potknęła. Jej syn wskoczył mi na plecy, kąsając zębami, ale Mossi strącił go ze mnie. Chłopiec syknął i jego

syk obudził ludzi. Rzucili się w pogoń za nami. Biegliśmy, wyrżnąłem starca łokciem w twarz, powalając go na ziemię. Mossi obalił drugiego uderzeniem miecza na płask.

– Nie zabijaj ich! – krzyknąłem.

– Wiem.

Usłyszałem szum. Mężczyzna uderzył mnie kamieniem w plecy. Mossi obalił go ciosem pięści. Kopniakiem powaliłem dwóch, trzeciemu wskoczyłem na ramiona i przesadziłem susem ich wszystkich. Mossi uderzeniami otwartej dłoni przepłoszył dwoje nacierających dzieci i ich matki. Dwaj młodzi chłopcy opadli mnie i zwaliliśmy się we trzech w błoto. Mossi chwycił jednego za kołnierz, ściągnął go ze mnie i cisnął nim o mur. Boże, wybacz mi lub wymierz karę, powiedziałem i zamroczyłem drugiego ciosem pięści. Nadbiegali kolejni. Niektórzy mężczyźni mieli miecze, włócznie i sztylety, ale żaden ich nie użył. Wszyscy próbowali nas obezwładnić, wcisnąć w błoto. Pokonaliśmy dopiero połowę drogi. Teraz z końca ulicy dobiegły huk i krzyki kobiet, mężczyźni wzlatywali w górę, na lewo, prawo, lewo, znowu prawo i znowu. Wielu rzuciło się do ucieczki. Niejeden biegł wprost na bawołu, który szarżował przez tłum, roztrącając ich na boki uderzeniami łba i rogów. Za nim, każda na swoim koniu, Sogolon i dziewczyna. Bawół utorował nam drogę i prychnął na mój widok.

– Opęta każdego, kto idzie tą ulicą – powiedziała Sogolon, podjeżdżając blisko.

– Wiem.

– Co to za ludzie? – spytał Mossi, ale zaraz odskoczył, bo bawół fuknął na niego.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia, ruszajmy. Oni zaraz się podniosą.

Spojrzał za siebie. Niektórzy już się budzili. Dwaj odwrócili się i patrzyli na nas.

– Nie potrzebuję ratunku przed nimi.

– Nie, ale oni niebawem będą potrzebowali ratunku przed tobą z tym mieczem – odpowiedziała Sogolon i wskazała konia dziewczyny. Sama zeskoczyła na ziemię.

Wielu mężczyzn i wiele kobiet podniosło się z ziemi, dzieci były gotowe.

– Sogolon, ruszamy – rzekłem, dosiadając jej konia i chwytając za wodze.

Ludzie gromadzili się w wielkiej sile, zbici w jeden cień w mroku. Sogolon nachyliła się i zaczęła pisać runy w ziemi. Pierdolić bogów, pomyślałem, nie mamy na to czasu. Lecz tylko spojrzałem na Mossiego, trzymającego się dziewczyny, która milczała, z miną posępną, z miną spokojną, udając jedno i drugie. Tłum natarł masą. Sogolon wydrapała kolejny run, nie podnosząc nawet wzroku. Tłum był już niedaleko, może osiemdziesiąt kroków od nas. Podniosła się wreszcie, spojrzała na nas, tamci tak blisko, że widzieliśmy ich zagubione oczy i twarze pozbawione uczuć, choć rozwrzeszczane. Tupnęła w ziemię i wtedy buchnął wiatr, obalając i zdmuchując ludzi. Mężczyzn przewracał, kobiety w szatach porywał w powietrze, dzieci zwiewał w dal. Burza przetoczyła się po zaułku aż do jego końca.

Sogolon dosiadła konia i pogalopowaliśmy przez dzielnicę, jadąc, jakby wielu nas goniło, choć nikt tego nie robił. Ściskała wodze, ja ściskałem ją w talii. Wiedziałem, gdzie się znajdujemy, kiedy dotarliśmy do granicznego traktu. Dom stał na północnym wschodzie, lecz my gdzie indziej zmierzaliśmy. Trzymaliśmy się dalej traktu pomiędzy Nyembe a Gallunkobe/ Matyube, aż wreszcie przywiódł nas do wezbranej rzeki. Sogolon nie przystawała.

– Chcesz nas utopić, wiedźmo?

Roześmiała się.

– Tutaj właśnie woda jest najpłytsza – odrzekła.

Bawół biegł u jej boku, Mossi z dziewczyną za nami.

– Nie zostawimy Sadogo – powiedziałem.

– Czeka na nas.

Nie zapytałem, gdzie ogo czeka. Za rzeką wkroczyliśmy na teren, którym wedle mego rozeznania było Mitu. Mitu to żyzna sawanna, gromady rolników, panowie ziemscy, hodowcy bydła, a nie miasto. Sogolon doprowadziła nas do ścieżki rozjaśnionej poświatą księżyca. Podążaliśmy pod koronami drzew, bawół na czele, prefekt w milczeniu. Zaskakiwał mnie.

Przy pierwszej ścieżce w poprzek kazała nam zsiąść z koni. Sadogo wyłonił się zza pobliskiego drzewa, niższego niż on sam, i stanął.

– Noc dla ciebie łaskawa? – spytałem.

Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Nawet on wiedział, że jeśli zacznie mówić, nie przestanie przed nadejściem świtu. Zerknął na dziewczynę i zmarszczył czoło, widząc zsiadającego prefekta.

– Na imię ma Mossi – powiedziałem. – Rano ci opowiem. Czy rozpalimy ognisko?

– A kto mówi, że tu zostajemy? – odparła Sogolon. – Na krzyżówce?

– Myślałem, że wy, wiedźmy, macie szczególne upodobanie do krzyżówek.

– Za mną – powiedziała.

Staliśmy dokładnie pośrodku dwóch zbiegających się dróg. Zerknąłem na Sadogo, pomagającego zsiąść dziewczynie z konia, upewniającego się, żeby stanęła między nim a prefektem.

– Wiem, że nie muszę ci mówić o dziesięciu i dziewięciu drzwiach – powiedziała Sogolon.

– W ten sposób dotarliśmy do Kongoru.

– Jedne są tutaj.

– Starucho, tak właśnie myślą wszystkie staruchy o wszystkich miejscach, gdzie krzyżują się drogi. Jeśli nie drzwi, to jakiś inny rodzaj nocnego czarodziejstwa.

– Czy dla twojego głupiego łba to wygląda jak noc?

– Boisz się go. Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek widział u ciebie strach. Pozwól mi zajrzeć w twoją twarz. Oto prawda, Sogolon. Nie potrafię powiedzieć, czy jesteś w podłym nastroju, czy zawsze tak wyglądasz. Wiem, kim on jest. Chłopiec.

– *Adże o ma pa ita yi onyin auhe*.

– Kura nawet nie wie, kiedy ją ugotują, więc może powinna posłuchać się jajka – odparłem i mrugnąłem okiem do Sogolon.

Łypnęła na mnie spode łba.

– No więc kim jest? – spytała.

– Kimś, kogo ten Aesi usiłuje znaleźć wszelkimi możliwymi sposobami, zanim my to zrobimy. Może aby go zabić, może aby go skraść, w każdym razie pragnie odnaleźć tak samo usilnie jak ty. I wszystko wskazuje na Króla.

– Uwierzyłbyś, gdybym ja ci to powiedziała?

– Nie.

– Król chce wymazać Noc Czaszek, a to dziecko…

– To dziecko jest tym, kogo on poszukiwał od samego początku. Może Aesi szuka w jego imieniu, może czerwonowłosy diabeł działa na własną rękę. Czytałem pisma urzędowe Fumanguru.

– Nie ma żadnych pism.

– Nie za stara jesteś na gierki?

– Nikt ich nie znalazł.

– A jednak je przeczytałem. Bardziej zdradzieckie słowa można znaleźć w zabawach małych dziewczynek.

– Dość, to niewłaściwe miejsce.

– Ale właściwa pora. Tyle w tobie czarodziejstwa, a nigdy nie przeczytałaś słów na słowach.

– Wyrażaj się jasno, głupcze.

– Napisał znaki na słowach. Mlekiem. Kazał zabrać dziecko do Mueru. Gapisz się na mnie. Milczysz. Przemierz Mueru i niech pochłonie twoje tropy, tak napisał.

– Tak, tak, żaden człowiek nigdy nie sporządził mapy Mueru, żaden bóg takoż. Dziecko byłoby tam bezpieczne.

– Tak samo możesz powiedzieć, że byłoby bezpieczne w piekle.

– Tu są drzwi, Tropicielu.

– Już to omówiliśmy. Otwórz więc.

– Nie mogę, nigdy nie mogłam. Tylko ci od sangomy znają słowa, które otworzą drzwi. Dwa razy już ich użyłeś, nie łżyj.

– Pierwsze były drzwiami skrywanymi po prostu przez wiedźmy. Całkiem inne od drzwi do Kongoru. Kim jest chłopiec?

– Mówiłeś, że wiesz. Nie wiesz. Ale odcisnąłeś na sobie domysły. Otwórz te drzwi, a ja powiem ci, co przeczytałeś w bibliotece. Otwórz.

Odsunąłem się od Sogolon i spojrzałem na nich wszystkich wpatrzonych we mnie. Złożyłem dłonie pod ustami, jakbym chwytał wodę do picia, po czym wyszeptałem słowa, których nauczyła mnie sangoma. Dmuchnąłem, na wpół spodziewając się, że obojętna noc wystawi mnie na pośmiewisko jak głupca, na wpół oczekując, że przede mną rozświetli się ogień w kształcie stojącego prostokąta. Iskra rozbłysła wysoko jak wierzchołek drzewa, iskra, jakby starły się dwa miecze. U góry płomień rozwidlił się w dwóch

kierunkach, zakręcając jak koło, aż oba końce uderzyły w ścieżkę. Wtedy płomień zgasł.

– No i masz, wiedźmo, płomyk się dopalił, a drzwi nie ma. Bo stoimy na krzyżówce, gdzie żadnych drzwi nie ma i nigdy nie było. Wiem, że pochodzisz z plebsu, ale choćby zaledwie kilka dni temu z pewnością widziałaś to, co nazywamy drzwiami.

– Kiedy on się zamknie? – zwrócił się Mossi do dziewczyny.

Parsknęła śmiechem. Rozwścieczyło mnie to. Nie spodziewałem się po nim aż tyle. Rozgniewany i pozbawiony sposobu, aby to okazać, ruszyłem przed siebie. Dziesięć i pięć kroków dalej zobaczyłem, że droga nie jest już ubitą ziemią, lecz kamieniem. Ciemność się rozjaśniła, jak srebro w księżycowej poświacie, a powietrze było chłodne i rozrzedzone. Drzewa wyższe i bardziej rozproszone niż w Mitu, a w oddali nad chmurami czarne góry. Pozostali podążyli moim śladem. Nie dostrzegałem twarzy Mossiego, wiedziałem jednak, że jest przejęty.

– Nawet sangomin, gdy nie kwili jak nienakarmiona suka, może dokonać rzeczy niezwykłych – powiedziała Sogolon, wsiadłszy na konia i przejechawszy obok. – Albo tego.

Minął mnie bawół, potem dziewczyna. Mossi patrzył na mnie uparcie, ale poza oczami nie mogłem nic dostrzec z jego twarzy. Podbiegłem i dogoniłem Sogolon. Czekała, abym usiadł za jej plecami. Im dalej podążaliśmy, tym zimniej się robiło, na tyle, że spróbowałem bardziej rozciągnąć zasłonę, aby okryć więcej swojego ciała.

– Nie zaśnij dzisiaj – szepnęła.

– Ale sen już się o mnie upomina.

– Aesi wskoczy do twojego snu, bo cię szuka.

– I wtedy nigdy się nie obudzę?

– Obudzisz, ale on zobaczy poranek twoimi oczami.

– Nie rozpoznaję tego powietrza – powiedziałem.
– To Dolingo, cztery dni jazdy od cytadeli.
Podążaliśmy dalej pod górę.
– Ostatnie drzwi zawiodły mnie do miasta.
– Drzwi nie są po to, aby być ci posłuszne.
– Wiem, kim jest chłopiec – szepnąłem.
– Myślisz, że wiesz. Kim więc jest?

16

Niech dziewczyna przesiądzie się z tobą, inaczej zostaniemy tutaj – powiedziała Sogolon.

– No proszę, myślałem, że smakuje ci, że młody mężczyzna dosiadł się do twojego tyłka.

– Do takich tyłków się teraz garniesz? Co nam sprzedajesz, Wilcze Ślepie?

Tak mnie rozwścieczyła, że natychmiast zeskoczyłem na ziemię.

– Ej, ty – zwróciłem się do dziewczyny. – Wiedźma chce jechać z tobą.

Zsunęła się z konia.

– Wolisz dosiadać czy być dosiadany? – spytał Mossi.

– Oprócz nieba wszystko dziś na mnie sra.

Podał mi rękę, żeby podciągnąć mnie do góry. Próbowałem uczepić się końskiego zadka, żeby obyć się bez pomocy, ale palce mi się ześlizgiwały. Mossi sięgnął do tyłu, chwycił mnie za prawy przegub i położył sobie moją dłoń na biodrze. Potem wyciągnął drugie ramię i zrobił to samo z moją lewą dłonią.

– Czy używanie mirry należy do bycia prefektem?

– Używanie mirry należy do wszystkiego, Tropicielu.

– Elegancki urzędnik z ciebie. Dobrą monetą muszą płacić w Kongorze.

– Spójrzcie, o bogowie, ten, co odziewa się w zasłonę, uskarża się na moją elegancję.

Droga pachniała mokradłami. Konie stawiały czasem kroki, jakby grzęzły. Ogarniało mnie zmęczenie, czułem wszystkie skaleczenia i otarcia wyniesione z Kongoru, to na przedramieniu wydawało się najgłębsze. Otworzyłem oczy i zobaczyłem dwa palce Mossiego na swoim czole, odpychające mnie do tyłu. Zdołałem tylko pomyśleć: pierdolić bogów, wszystko mi jedno, czy ośliniłem mu ramię.

– Nie wolno spać, tak mówiła. A dlaczego nie wolno?

– Stara wiedźma i jej opowieści starej wiedźmy – odparłem. – Boi się, że Aesi wskoczy mi do snu.

– Czy to kolejna sprawa, o której powinienem wiedzieć?

– Tylko jeśli w to wierzysz. Ona myśli, że Aesi nawiedzi mnie we śnie i skradnie mi umysł.

– Ty nie wierzysz?

– Wydaje mi się, że jeśli Aesi chce posiąść twój umysł, to dlatego, że część ciebie zapragnęła go oddać.

– Wy wszyscy macie o sobie nawzajem wysokie mniemanie – powiedział.

– Och, jesteśmy dla siebie jak wąż dla jastrzębia. Lepiej zobacz, do czego doprowadziła cię miłość do prefektów.

Po tym milczał. Miałem wrażenie, że te słowa go zabolały, i to mnie zmartwiło. Martwiło mnie wszystko, co mówił mój ojciec, ale nie aż tak bardzo, abym siedział i to roztrząsał. To znaczy mój dziadek.

Zatrzymaliśmy się, gdy tylko grunt wydał się mniej podmokły. Polana otoczona cienkimi drzewami sawanny. Sogolon wzięła długą gałąź i wydrapała runy w kręgu dokoła nas, następnie poleciła mi i prefektowi zebrać opał na ognisko. Z dala, w gęstwinie drzew, zobaczyłem, że rozmawia z Sadogo i wskazuje palcem niebo. Mossi oderwał dwa konary od pnia. Odwrócił się, zobaczył mnie i podszedł, aż stanęliśmy nos w nos.

– Ta starucha to twoja matka?

– Pierdolić bogów, prefekcie. Czy nie jest jasne, że nią gardzę?

– Dlatego właśnie pytam.

Dorzuciłem swoje gałęzie do jego sterty i odmaszerowałem. Sogolon wciąż pisała runy, gdy za nią stanąłem. Czy one są tylko dla ciebie?, pomyślałem, ale zachowałem milczenie. Sadogo chwycił pniak, wyrwał go z ziemi i położył na boku, aby dziewczyna mogła usiąść. Mossi próbował przypodobać się bawołowi, lecz odskoczył ofuknięty.

– Sogolon, musimy się rozmówić – zacząłem. – Od którego kłamstwa chcesz zacząć, wiedźmo? Że chłopiec był krwią z krwi Fumanguru? Czy że na Fumanguru nastawali omoluzu?

Odrzuciła kij, pochyliła się nad kręgiem i wydała z siebie cichy szept.

– Sogolon, musimy się rozmówić.

– Ten dzień się nie zbliża, Tropicielu.

– Jaki dzień?

– Dzień, w którym będziesz panem nade mną.

– Sogolon, ty…

Podmuch trafił mnie w pierś, obrócił mną w powietrzu i cisnął przez polanę, zanim zdążyłem zobaczyć, że otworzyła usta. Ogo podbiegł i postawił mnie na nogi. Próbował mnie otrzepać z kurzu, ale każde muśnięcie jego rąk odczuwałem jak cios. Powiedziałem mu, że już jestem czysty, i usiadłem przy ogniu rozpalonym przez Mossiego. Dziewczyna przypatrywała mi się przez chwilę, dopiero potem rozpuściła język:

– Zeźlij jeszcze raz, a zniszczy ciebie.

– To jak wtedy odnajdzie chłopca?

– To Sogolon, pani dziesięciu i dziewięciu drzwi. Widziałeś.

– A jednak potrzebowała mnie, żeby przez nie przejść na drugą stronę.

– Wcale cię nie potrzebuje, wiem.

– To dlaczego ciągle tu jestem? Co ty wiesz? Jeszcze parę dni temu byłaś zadowolonym kawałkiem mięsa dla zogbanu.

Noc pozostała chłodna. Pień wyrwany przez Sadogo był na tyle wąski, że mogłem oprzeć na nim głowę. Ogień płonął ku niebu i ogrzewał ziemię, a jednak wydawało się, że przygasa, aż w końcu pociemniało, chociaż nadal słyszeliśmy trzaski i syk.

Uderzenie dłonią zapiekło mnie w policzek i rozwarło zszokowane oczy. Chwyciłem siekierę, żeby się zamachnąć, ale nad sobą zobaczyłem dziewczynę.

– Nie sen przed cytadelą Dolingo. Ona mówi.

Zacząłem boksować bawołu po uszach, aż w końcu chlasnął mnie ogonem. Zadałem ogo wszystkie pytania, jakie tylko przyszły mi do głowy i jakie mogły nastroić go do zwierzeń aż do rana, ale odegnał mnie pacnięciem ręki. Potem ziewnął i zasnął. Wtedy dziewczyna wpełzła na niego i ułożyła się do odpoczynku na jego piersi. Gdyby we śnie przekręcił się na bok, nic by z niej nie zostało, ale zachowywała się tak, jakby nie pierwszy raz to robiła. Sogolon skuliła się jak noworodek w kręgu swoich runów i zachrapała.

– Pójdź ze mną, słyszę rzekę – powiedział Mossi.

– A jeśli nie mam ochoty…

– Czy w każdej sprawie musisz być zrzędliwym mężem? Chodź ze mną albo siedź na miejscu, ja w każdym razie idę.

Dopędziłem go w zagajniku cienkich drzew o gałęziach kłujących jak ciernie. Szedł przede mną, przestępując zbutwiałe pnie, torując sobie drogę przez konary i zarośla.

– I potrafisz wyczuć chłopca? – spytał, jakby to był dalszy ciąg prowadzonej rozmowy.

– Pod pewnym względem. Mówią, że mam nos.

– Kto mówi?

– Dobre pytanie. Jeśli złapię woń mężczyzny, kobiety albo dziecka, mój nos prowadzi mnie tam, gdzie ten ktoś odszedł, bez względu na to, jak daleko. I jest tak, póki nie umrze.

– Nawet do innych krain?

– Czasami.

– Nie wierzę ci.

– A w twoich stronach nie ma fantastycznych zwierzów?

– Uważasz się więc za zwierza?

– A ty na każde pytanie odpowiadasz pytaniem?

– Na moje życie, mówisz, jakbyś zawsze mnie znał. – Mossi wyszczerzył zęby w uśmiechu. Potknął się i chwyciłem go za ramię, aby nie upadł. Kiwnął głową w podzięce i szedł dalej. – Gdzie teraz jest?

– Na południu. Być może w Dolingo.

– Jesteśmy w Dolingo.

– Może w cytadeli, nie wiem. Czasem jego woń jest tak wyraźna, że wydaje się, jakby był blisko jak ty teraz, a kilka dni później znika jak sen, z którego się zbudziłem. Nie zmienia się ze słabej w silną i z silnej w słabą, tylko jest przez kilka dni, potem całkiem znika.

– W rzeczy samej, fantastyczny z ciebie zwierz.

– Jestem człowiekiem.

– Widzę, Tropicielu. – Zatrzymał się i przyłożył dłoń do mojej piersi. – Żmija.

– Czy o tobie ludzie mówią, że masz ucho?

– Mało zabawne.

Noc skryła mój uśmiech i ucieszyłem się z tego. Poszedłem tam, gdzie wskazał palcem. Nie usłyszałem rzeki, nie poczułem też żadnych rzecznych zapachów.

– Kim są ci omoluzu, co dybali na Fumanguru?

– A uwierzysz, gdy ci powiem?

– Pół dnia temu siedziałem w swoich komnatach, popijając herbatę z piwem w środku. Teraz jestem w Dolingo. Dziesięciodniowa jazda zabrała mniej niż jedną noc. Widziałem, jak jeden człowiek opętał wielu i jak coś podobnego pyłowi ulatuje z umarłych.

– Wy, kongorczycy, nie wierzycie w czary ani duchy.

– Nie jestem kongorczykiem, ale słusznie rzekłeś. Nie wierzę. Niektórzy ludzie wierzą, że bogini przemawia do liści, żeby rosły, i szepcze zaklęcie, aby nakłonić kwiat do otwarcia kielicha. Inni wierzą, że wystarczy dać mu słońce i wodę, aby się rozwinął. Są tylko dwie rzeczy, Tropicielu, taka, którą ludzie mądrości potrafią wytłumaczyć, i taka, którą naprawdę wytłumaczą. Oczywiście nie przyznasz mi racji.

– Jesteś jak wy wszyscy, ludzie uczeni. Dla was cały świat sprowadza się do dwóch rzeczy. Albo, albo, jeśli, to, noc i dzień, zło i dobro. Wszyscy tak mocno wierzycie w dwa, że zastanawiam się, czy potraficie zliczyć do trzech.

– Ostre słowa. Ale ty też nie wierzysz.

– Może po prostu nie mam zamiłowania do stron.

– Może nie masz zamiłowania do angażowania się.

– Czy nadal rozmawiamy o omoluzu?

Zanadto się śmieje, pomyślałem. Śmiał się prawie ze wszystkiego. Wyszliśmy z gęstwiny. Wyciągnął rękę, żeby powstrzymać mnie od zrobienia kolejnego kroku. Urwisko, choć ściana nie była wysoka. Na tej części nieba gęstniały chmury. Przyszli mi na myśl bogowie nieba przemierzający dziewięć światów, wywołujący grzmot, nie pamiętałem jednak, kiedy ostatni raz słyszałem grzmot w przestworzach.

– Oto twoja rzeka – powiedział Mossi.

Patrzyliśmy na wodę w dole, nieruchomą i głęboką, choć było słychać, że nieco dalej obija się o skały.

– Omoluzu to dachowce. Przyzywane przez wiedźmy albo kogoś w zmowie z wiedźmą. Lecz nie wystarczy ich przywołać, trzeba rzucić w sufit krwią kobiety lub mężczyzny. Świeżą lub zakrzepłą. To ich budzi, budzi ich głód krwi, będą wtedy zabijać i pić z każdego. Dużo wiedźm pomarło, bo myślały, że omoluzu szukają tylko tego, którego krew została przelana. Ale łaknienie omoluzu jest potworne, to woń krwi ich przyciąga, nie smak. Przyzwane biegają po suficie tak, jak my biegamy po drodze, i zabijają wszystko, co nie jest omoluzu. Walczyłem z nimi.

– Co? Gdzie?

– W jeszcze jednym miejscu, które według was, mędrców, nie istnieje. Gdy posmakują twojej krwi, nie przestaną cię tropić, póki nie znajdziesz się w zaświatach. I odwrotnie. Nie możesz żyć pod dachem ani w szopie ani nawet przejść pod mostem. Są czarni jak noc i gęści jak smoła, a gdy pojawiają się na suficie, brzmi to jak grzmot i morze. Jedno o nich. Nie łakną krwi, jeśli twoje czarodziejstwo jest wystarczająco silne, ale musiałbyś być wiedźmą wśród wiedźm, największym nekromantą, a przynajmniej jednym z omoluzu. I jeszcze jedno. Nigdy nie dotykają podłogi, nawet jak skaczą; sufit przyciąga ich z powrotem tak niezawodnie, jak ziemia przyciąga nas.

– I ci omoluzu zabili Fumanguru ze starszyzny, jego żonę i wszystkich ich synów? – spytał Mossi. – Nawet sługi?

– Kto inny rozpłatałby kobietę na dwoje jednym cięciem?

– Chodź, Tropicielu, obaj wydajemy się ludźmi raczej nauki niż wiary. Odpocznij zatem, jeśli nie wierzysz Sogolon.

– Obaj widzieliśmy Aesiego i to, do czego jest zdolny.

– Zły wiatr zmieszany z kurzem.

Ziewnąłem.

– Wiara czy niewiara, Tropicielu, przegrywasz walkę z nocą.

Mossi szarpnął za swoje dwa pasy i pochwa opadła na ziemię. Potem pochylił się, rozpiął sandały, odwinął niebieskie szarfy na koszuli, zaraz chwycił ją u karku, ściągnął całą przez głowę i rzucił wszystko na bok, jakby nie miał zamiaru nigdy więcej włożyć. Stanął przede mną, pierś dwoma walcami, brzuch falami mięśni, poniżej łatka, która przyciągała cień, zanim ktokolwiek zerknąłby niżej. I nagle pognał z powrotem, aby wziąć rozbieg. Zanim zdążyłem powiedzieć, że to szaleństwo, przemknął obok mnie i skoczył, krzyczał przez całą drogę na dół, aż wreszcie plusk zagłuszył na moment jego wołanie.

– Pierdolić twoich bogów, Tropicielu, ale zimna! Czego wciąż tam stoisz?

– Bo mnie księżyc nie doprowadza do wariactwa.

– Księżyc, nasza drogocenna siostra, myśli, że to ty jesteś szalony. Niebo z rozpostartymi skrzydłami, a ty nie chcesz frunąć. Rzeka, jej nogi szeroko rozłożone, a ty nie chcesz zanurkować.

Widziałem, jak pluska się i kąpie w srebrnej wodzie. Czasem przypominał cień, lecz gdy się unosił na powierzchni, był jasny jak księżyc. Jak dwa księżyce, gdy robił przewrotkę grzbietem.

– Tropicielu, nie zostawiaj mnie w tej rzece. Patrz, atakują mnie demony głębin. Umrę tutaj z choroby. Albo wiedźma wodna utopi mnie, abym był jej poślubiony. Tropicielu, nie przestanę cię wołać, póki mnie nie usłuchasz. Tropicielu, nie chcesz uniknąć snu? Tropicielu, Tropicielu!

Zapragnąłem skoczyć, żeby spaść wprost na jego głowę. Sen przymilał się do mnie jak kochanka.

– Nawet nie myśl o wskoczeniu do rzeki w tej głupiej zasłonce, którą masz na sobie. Zachowujesz się, jakby odzienie było drugą naturą Ku, a przecież wszyscy wiemy, jak jest!

Od dwóch dni próbujesz zdjąć ze mnie szaty, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Mój plusk był tak donośny, że wydał mi się cudzy, potem wpadłem pod powierzchnię. Poczułem tak ostre, silne zimno, że łyknąłem wody i wynurzyłem się, kaszląc. Prefekt śmiał się, aż jego też dopadł kaszel.

– Przynajmniej umiesz pływać. Z ludźmi z Północy nigdy nie wiadomo.

– Myślisz, że nie umiemy pływać?

– Myślę, że czujecie tak wielki strach przed duchami wód, że nie zbliżacie się do rzeki.

Przekręcił się i zanurkował, bryzgając na mnie wodą spod stóp.

Usiadłem na brzegu, a on wciąż pływał, nurkował, pluskał się, śmiał i namawiał mnie krzykiem do powrotu. Mój strój leżał na urwisku, musiałem go odzyskać, ale nie dlatego, że było zimno. Mossi wyszedł z wody, strząsając z ciała połyskliwą wilgoć, i usiadł obok mnie.

– Dziesięć lat przeżyłem w tym miejscu, znaczy w Kongorze – powiedział.

Patrzyłem na rzekę.

– Dziesięć lat żyłem w tym mieście, dziesięć lat pośród jego mieszkańców. To dziwne, Tropicielu, tak żyć w tym samym miejscu przez dziesięć lat, z ludźmi, którzy są bez porównania najbardziej otwarci i zarazem najmniej przyjaźni, jakich kiedykolwiek spotkałem i spotkam. Sąsiad nie uśmiechał się, gdy mówiłem: dzień dobry, niech cię ominie nieszczęście. Za to odpowiadał: moja matka nie żyje, jakże jej nienawidziłem za życia, i tak samo będę jej nienawidził po śmierci. Owszem, położył owoce na moim progu, gdy miał ich za wiele, lecz nie zapukał do drzwi, abym go powitał i złożył wyrazy podziękowania, a cóż dopiero zaprosił do środka. Szorstka miłość.

– Może nie był przyjacielem prefektów.

Nawet bez patrzenia wiedziałem, że zmarszczył czoło.

– No i co z tym robiłeś?

– Myślałem, że chcesz zapytać, jak się czuję, skoro zabiłem ludzi drogich memu sercu. Pod pewnym względem byli drodzy memu sercu. Tak po prawdzie mam poczucie winy, bo nie mam poczucia winy. Pytam sam siebie, jak żałować, że zabiłem ludzi, którzy swą miłość do mnie zawsze trzymali na wodzy. To cię nudzi. To nudzi i mnie. Nadal masz ochotę na sen?

– Mów do mnie dłużej w ten sposób, a niechybnie nabiorę.

Skinął głową.

– Możemy rozmawiać całą noc albo mógłbym wskazać mocarnych łowców i dzikie bestie na niebie. Ty mógłbyś powiedzieć: pierdolić wiedźmę i jej stare gusła, jestem człowiekiem nauki i matematyki.

– Drwina niewiele kosztuje.

– Strach kosztuje niewiele, odwaga jest droga.

– A więc teraz jestem tchórzem, bo nie śpię? Co ty powiesz?

– Dziwna to noc. Czy już blisko południa umarłych?

– Chyba nadeszło i minęło.

– Och.

Siedział przez chwilę bez słowa.

– Wy, ludzie od wschodniego światła, czcicie tylko jednego boga – odezwałem się.

– Co znaczy „wschodnie światło”? Światło, które pada na to miejsce, pada i na tamto. Jest tylko jeden bóg. Mściwy w usposobieniu, miłosierny też.

– Skąd wiesz, że wzięliście właściwego boga? – spytałem.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Skoro może być tylko jeden, jak dokonać trafnego wyboru?

Roześmiał się.

– Wybrać sobie pana to jak wybrać wiatr. To on wybrał, aby nas stworzyć.

– Wszyscy bogowie stwarzają. Nie ma potrzeby za to ich czcić. Moja matka i ojciec stworzyli mnie. Nie jestem im za to winien czci.

– I sam się wychowałeś?

– Tak.

– Naprawdę?

– Tak.

– Trudno dziecku dorastać bez rodziców, obojętnie – Wschód czy Zachód.

– Oni żyją.

– Och.

– A skąd wiesz, że twój bóg jest choćby dobry?

– Bo jest – odparł Mossi. – Mówi, że jest.

– A więc jedyny dowód to jego własne słowo. Aha, czy ci mówiłem? Jestem matką dwudziestu i dziewięciu dzieci. I mam sześćdziesiąt lat.

– W twoich słowach brak sensu.

– W moich słowach jest aż zanadto dużo sensu. Skoro mówi: jestem dobry, nie ma na to żadnego dowodu oprócz tego, że tak rzekł.

– Może jednak powinieneś pospać.

– Śpij, jeśli masz ochotę – odparłem.

– Abyś mógł na mnie patrzeć zmorzonego snem?

Pokręciłem głową.

– Skoro jesteśmy w Dolingo, to znajdujemy się dziesięć dni jazdy od Kongoru.

– Nie mam tam do czego wracać, w Kongorze.

– Żadnej żony, dzieci, sióstr, braci, z którymi przywędrowałeś? Żadnego domu z dwoma drzewami i własnym małym spichlerzem pełnym prosa

i sorga, do których mógłbyś powrócić?

– Nie, nie, nie, nie, nie i nie. Niewiele zostawiłem, aby dotrzeć tutaj. Do czego miałbym wracać? Do pokoju, który posiadam w dzierżawie? Do miasta, w którym ludzie tak bardzo ciągnęli mnie za włosy, że musiałem je ściąć? Do braci z wojska wodza, których zabiłem? Do braci, którzy teraz chcą zabić mnie?

– W Dolingo też nie ma nic, do czego można by dążyć.

– Jest przygoda. Jest chłopiec, którego poszukujesz. Jest użytek, który mogę zrobić z mojego biegłego fechtunku. No i są twoje plecy, które najwyraźniej wymagają pilnowania, bo nikt inny się tym nie zajmuje.

Śmiałem się niedługo.

– Kiedy byłem młody, matka mówiła, że zasypiamy, bo nieśmiała panna księżyc nie lubi, gdy ją podpatrywać, jak się rozbiera – powiedziałem.

– Nie zamykaj oczu.

– Nie są zamknięte. Twoje są, właśnie teraz.

– Ale ja nigdy nie śpię.

– Nigdy?

– Trochę, czasem nigdy. Noc przychodzi i odchodzi jak mgnienie, być może zasypiam na dwa obroty klepsydrą. Jako że rankiem nigdy nie czuję zmęczenia, uznaję, że wyspałem się wedle potrzeby.

– Co widzisz w nocy?

– Gwiazdy. W moich stronach noc jest wtedy, gdy ludzie czynią zło wrogom, których za dnia nazywają przyjaciółmi. Kiedy sihr i dżiny wchodzą do gry, a ludzie zmawiają się i knują. Dzieci wyrastają w bojaźni przed tym, bo myślą, że będą potwory. Snują całe historie o nocy i mroku, nawet o czerni, która tutaj nie jest kolorem. Tutaj nie. Zło nie waha się uderzyć południową porą. Lecz dzięki temu pozostawia noc o pięknym wyglądzie i chłodnym dotyku.

– To było prawie jak wiersz.

– Jestem poetą wśród prefektów.

Pomyślałem, aby powiedzieć coś o wietrze marszczącym wodę.

– A chłopiec jak ma na imię? – szepnął Mossi.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, że ktokolwiek zadał sobie trud, aby nadać mu imię. To po prostu chłopiec. Cenny dla wielu.

– I mimo to nikt nie dał mu imienia? Nawet matka? Kto teraz go trzyma?

Opowiedziałem mu historię aż do handlarza pachnidłami i srebrem. Uniósł się na łokciach.

– Nie omoluzu?

– Nie – odparłem. – To nie śladem krwi chłopca szli. Było inaczej. Z kupca, jego dwóch żon i trzech synów wyssano życie. Tak jak z Fumanguru. Widziałeś trupy. Kimkolwiek są, w gorszym stanie zostawiają cię żywego niż umarłego. Nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem kobiety przypominającej upiora, z błyskawicą krążącą w jej ciele jak krew. Przybyłem do Kongoru, żeby podjąć trop chłopca.

– Teraz pojmuję, dlaczego jestem ci potrzebny.

Wiedziałem, że się uśmiechnął półgębkiem, choć tego nie zobaczyłem.

– Masz tylko nos – powiedział. – Ja zaś mam całą głowę. Chcesz odnaleźć to dziecko. Ja je odnajdę w ćwierć księżyca, zanim zrobi to ten czarnoskrzydły.

– W siedem nocy? Mówisz jak człowiek, którego dawniej znałem. Czy dbasz o to, co zrobimy, gdy już odszukamy chłopca?

– Dla mnie pogoń, Tropicielu. Pochwycenie zostawiam innym.

Mossi wyciągnął się na trawie, a ja spojrzałem na swoje stopy. Potem na księżyc. Potem popatrzyłem na chmury, u góry białe i połyskliwe, srebrne pośrodku, o czarnym podbrzuszu, jakby brzemienne deszczem. Próbowałem zrozumieć, dlaczego nigdy nie myślę o tym chłopcu, o tym, jak być

może wygląda, jak mówi, choć przecież to z jego powodu wszyscy tutaj byliśmy. Owszem, myślałem o nim, gdy tropiłem to, co się wydarzyło, ale bardziej byłem pochłonięty Fumanguru i kłamstwami Belekuna Wielkiego, i grą prowadzoną przez Sogolon i bunszi; bardziej pochłonięty tymi, którzy też poszukiwali chłopca, niż nim samym. Pomyślałem o pokoju pełnym kobiet gotowych walczyć o nudnego kochanka. Nawet Aesi podążający za dzieckiem krzesał we mnie coś gorętszego niż ono. Choć miałem pewność, że to sam Król chce jego śmierci. Król Północy, Król Pająk z czterema rękami i czterema nogami. Mój Król. Mossi wydał z siebie odgłos, coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, i zerknąłem na niego. Twarz skierował ku mnie, ale oczy miał zamknięte, a po jego policzkach i ustach pląsała poświata księżyca.

Jeszcze przed pierwszym brzaskiem coś napłynęło z wiatrem, woń zwierząt w oddali, i wtedy pomyślałem o Lamparcie. Gniew we mnie zawrzał, ale zaraz odstąpił, pozostawiając tylko smutek i wiele słów, które bym wypowiedział. Jego śmiech odbijałby się po całym urwisku. Nie chciałem za nim tęsknić. Lata całe przeżyłem, nie widząc go, nim w końcu spotkaliśmy się powtórnie w gospodzie, a jednak do tamtej pory czułem, że jest jedyną duszą, która, gdybym potrzebował, pojawiłaby się przy mnie bez wezwania. Przebrzydły Fumeli rozpychał się w moich myślach, aż miałem ochotę splunąć. A jednak zastanawiałem się, gdzie teraz jest. Jego zapach nie był mi nieznany; mogłem wykorzystać pamięć o nim, aby go wytropić węchem, ale tego nie zrobiłem.

Wyruszyliśmy przed świtem. Bawół tak długo zarzucał łbem na grzbiet, że w końcu go dosiadłem, wyciągnąłem się i od razu zasnąłem. Obudziło mnie tarcie policzkiem o szorstkie owłosienie na piersi ogo.

– Zmęczył się dźwiganiem ciebie – powiedział Sadogo, obejmując potężną dłonią moje plecy, lewą wkładając pod kolana.

Z przodu Sogolon jechała z dziewczyną, a Mossi jechał sam. Słońce, prawie zapadłe, pozostawiło niebo pobarwione na żółto, pomarańczowo i szaro, a chmur nie było. Po obu stronach w oddali góry, ale między nimi ziemia była płaska i porośnięta trawą. Nie chciałem być tulony jak dziecko, lecz tak samo nie chciałem jechać z Mossim na jednym grzbiecie, a na piechotę spowalniałbym naszą wędrówkę. Ziewnąłem nieszczerze i zamknąłem oczy. Nagle wtargnął mi do nosa i aż podskoczyłem. Chłopiec. Omal nie wyślizgnąłem się z uścisku ogo, pochwycił mnie jednak i postawił na ziemi. Na południu, ale na północ, tak samo niechybnie jak to, że my byliśmy na północy, a kierowaliśmy się na południe.

– Chłopiec? – spytał Mossi.

Nie zauważyłem, że zsiadł z konia i wszyscy się zatrzymali.

– Na południu. Nie potrafię powiedzieć, jak daleko. Może dzień, może dwa dni. Sogolon, on idzie na północ.

– A my zdążamy na południe. Spotkamy się więc w Dolingo.

– Wydajesz się bardzo pewna swego – stwierdził Mossi.

– Teraz pewna. Dziesięć dni wstecz nie byłam, ale potem poszłam i zrobiłam swoje, tak jak Tropiciel zrobił swoje.

– Oto uczciwa transakcja – wtrąciłem się. – Ty mi powiesz, skąd wiesz to, co wiesz, a ja powiem ci, skąd ja wiem to, co wiem.

– Tak, chłopiec był wyraźny, potem zatarty. Wyraźny przez jeden dzień, zatarty tak samo. Ale nigdy nie znika, prawda? Nie jak chłopiec, który oddalił się za bardzo i jego zapach przepadł, jakby zanurzył się w rzece, aby zmylić dzikie psy. To nie zagadka, Tropicielu, przecież wiesz dlaczego.

– Nie.

– Przed nami dom z człowiekiem, który winien mi jest wiele przysług. Zatrzymamy się tam. I… dom z człowiekiem…

Wiatr strącił ją z konia, rzucił wysoko w powietrze i powalił na wznak. Dech buchnął z jej ust. Dziewczyna zeskoczyła z wierzchowca, podbiegła do Sogolon. Niczego nie było widać, ale usłyszałem cios, mokra skóra o mokrą skórę, nic, tylko twarz dziewczyny wykrzywiona w lewo, potem w prawo. Sogolon uniosła rękę, żeby osłonić głowę, jakby ktoś natarł z siekierą. Mossi zeskoczył z konia i podbiegł, ale wiatr obalił go na plecy. Sogolon tkwiła na klęczkach, ściskając się za brzuch, naraz wrzasnęła, potem zawyła, wreszcie powiedziała coś w mowie, której nie znałem. Wszystko to widziałem wcześniej, tuż przed zapuszczeniem się na Mroczne Ziemie. Dźwignęła się, ale powietrze znów ją powaliło jednym ciosem. Wyciągnąłem siekiery, choć wiedziałem, że to na nic. Mossi znów nadbiegł i znów padł. Na kosmykach wiatru nadleciały głosy, nagły krzyk, dalej śmiech. Cokolwiek to było, naruszyło zaklęcie sangomy, bo poczułem coś na sobie i w środku, próbujące uwolnić się ode mnie. Sogolon ponownie krzyknęła coś w swojej mowie, wiatr chwycił ją za szyję i wcisnął w ziemię. Dziewczyna szukała patyka w pobliżu, znalazła kamień i zaczęła pisać runy w trawie. Dźgała, skrobała, ryła, omiatała palcami, runa za runą, aż zrobiła krąg dokoła Sogolon. Powietrze wyło i wyło, wreszcie stało się tylko wiatrem, potem już nic.

Sogolon dźwignęła się ciągle pozbawiona tchu. Mossi podbiegł, aby jej pomóc, lecz między nich wskoczyła dziewczyna i odtrąciła jego rękę.

– Jej dotykać nie wolno mężczyźnie – powiedziała.

Był to pierwszy raz, kiedy usłyszałem taką nowinę. Pozwoliła jednak ogo posadzić Sogolon na koniu.

– Te same duchy, co blisko Mrocznych Ziem?! – krzyknąłem.

– Człowiek o czarnych skrzydłach – odparła Sogolon. – Ten…

Też usłyszałem, wzdłuż ścieżki, po jej obu stronach, trzaski, jakby ziemia pękała. Bawół przystanął i zarzucił łbem. Dziewczyna, stojąc obok Sogolon, chwyciła jej kij i rozłożyła go, odsłaniając ostrze dzidy. Ziemia wciąż trzeszczała, dziewczyna podparła Sogolon, aby pomóc jej dosiąść wierzchowca. Bawół ruszył truchtem, Sadogo chciał mnie zgarnąć i posadzić sobie na ramieniu. Z ziemi napłynęły gorąco i siarka, aż zakasłaliśmy. Do tego trajkotanie starych bab, coraz głośniejsze i głośniejsze, wreszcie przeszło w szum.

– Trzeba uciekać – powiedział Mossi.

– Mądra rada – odparłem i obaj podbiegliśmy do konia.

Sadogo włożył rękawice. Trzaski i trajkotanie narastało, aż w końcu na środku ścieżki wyrosło coś wyjącego. Kolumna, wieża, która się wyginała, rozszczepiała, pękała na kawałki. Trzy inne wytrysnęły z ziemi po prawej stronie, jak obeliski. Sogolon była nazbyt słaba, aby zapanować nad koniem, więc dziewczyna ścisnęła mu boki kolanami. Zwierzę chciało pogalopować, ale płynna, pękająca kolumna rozkładała się, przeobrażała i nagle zobaczyliśmy kobietę, większą od konia, poniżej pasa ciemną i pokrytą łuskami, wciąż wznoszącą się z ziemi, jakby resztą jej ciała był wąż. Urosła wysoko na dwa drzewa, płosząc wierzchowca Sogolon, który stanął dęba i zrzucił obie jeźdźczynie. Skóra jej wyglądała jak księżyc, ale był to biały pył unoszący się w powietrzu jak chmury. Po obu stronach ścieżki powstały cztery kolejne, o cienkich żebrach wypychających skórę, dorodnych piersiach, ciemnookich twarzach i dzikich kędziorach, co wiły się wysoko jak płomienie. Istoty po prawej okryte kurzem, istoty po lewej okryte krwią. I jeszcze łopot, choć żadna nie miała skrzydeł. Jedna dopadła i powaliła Mossiego. Podniosła rękę i wyrosły pazury. Rozszarpałaby go na strzępy, zanimby się odturlał. Skoczyłem, zasłoniłem go swoim ciałem

i zamachnąłem się siekierą na rękę, odrąbując ją w nadgarstku. Zjawa wrzasnęła i się cofnęła.

– Wiedźmy mauana – powiedziała Sogolon. – Wiedźmy… on nimi kieruje.

Jedna chwyciła konia Mossiego. Sadogo podbiegł i grzmotnął ją pięścią, lecz nie puściła zwierzęcia, które było za wielkie, aby je pożarła, ale dostatecznie małe, aby je wciągnąć razem ze sobą do dziury w ziemi. Sadogo wziął rozbieg i wskoczył jej na ramię, obejmując nogami za szyję. Rzucała się, miotała, próbując go strącić, ale grzmocił ją w czoło, aż usłyszałem trzask, i wtedy puściła konia. Wiedźma chwyciła Sadogo i cisnęła nim w dal. Poturlał się po ziemi, aż wreszcie znieruchomiał, już na nogach. Teraz była w nim wściekłość. Wiedźma z krwi chwyciła bawołu za rogi, żeby go odciągnąć, ale tego byka nic nie dało rady poruszyć. Przeciwnie, cofnął się, ciągnąc ją uczepioną za sobą. Wskoczyłem mu na grzbiet i ciąłem siekierą, ale uchyliła się prawie skulona. Sadogo wskoczył na plecy jednej z kurzu, on cały mniej więcej tak duży jak jej postać widoczna nad ziemią. Odwinęła się, chlastała, próbowała uderzyć, ale przywarł do jej pleców. Wyskoczyła w górę i otrząsnęła się gwałtownie cała jak mokry pies, ale Sadogo mężnie się trzymał. Zarzucił jej ręce na szyję i dławił, aż zaczęła się dusić. Nie mogła go uchwycić, uniosła się więc i padła, dygotała, aż nogi mu się zsunęły, i wtedy zacięła go pazurami w prawe udo. Mimo to nie puścił. Ściskał ją za gardło, aż całkiem padła. Pojawiły się dwie kolejne, natarły na Sogolon i dziewczynę. Gdy rzuciłem się na pomoc, przeskakując nad Mossim i wzywając bawołu do boju, dziewczyna uniosła dzidę i przebiła nią grzmocącą rękę wiedźmy. Wiedźma wrzasnęła, a ja wskoczyłem bawołowi na rogi, aby wybił mnie w powietrze do walki. Dobytymi siekierami wykonałem zamach oburącz wprost na szyję i odrąbałem łeb. Zwisł, zadyndał na skórze. Druga wiedźma się wycofała. Mossi

spojrzał na mnie. Za jego plecami skradała się inna. Rzuciłem mu siekierę, chwycił ją w locie i odwinął się całym ciałem, rąbiąc z impetem, tnąc ją prosto w gardło. Go w gardło. Bo toto miało długą brodę. Ostatnie dwie, jedna z kurzu, druga z krwi, wzniosły się tak wysoko w powietrze, aż wydawało się, że oderwą się od ziemi i odlecą. Lecz obie zaatakowały w dół. Nadbiegłem i wtedy odskoczyły i zanurkowały w ziemię, jak ptaki nurkują w morze.

– Nigdy nie wiem, czy wiedza to wiedźma, czy może wiedźma to wiedza – powiedziałem.

Sogolon, wciąż na ziemi, odrzekła:

– Ty nie wiedźma, ciebie nie zaatakowały.

– Co? Walczyłem z nimi wszystkimi, kobieto.

– Tylko mi nie mów, że nie widziałeś, jak się przed tobą cofały.

– To dlatego, że wciąż okrywa mnie zaklęcie sangomy.

– One z ciała i krwi, nie z żelaza i czarów.

– Może boją się Ku zrodzonego z kobiety – powiedziałem.

– Spałeś tej nocy?

– A jak myślisz, wiedźmo?

– Nie kłopocz się tym, co myślę. Spałeś?

– Już ci odpowiedziałem. Jak myślisz?

Dziewczyna chwyciła dzidę i uniosła ją nad ramieniem.

– Czuwałeś ty przez noc?

Spojrzałem wprost na nią.

– Dziecino, co ty wyczyniasz? Sogolon dała ci dwie lekcje i myślisz, że możesz we mnie rzucać patykiem? Zobaczmy, czy twoja dzida zdoła przebić mi skórę, zanim moja siekiera rozpłata ci głowę.

– Czuwał całą noc, Sogolon – zapewnił Mossi. – Byłem przy nim.

– Ty nie musisz za mnie ręczyć.

– A ty nie musisz bez przerwy zadzierać z ludźmi u swego boku – odciął się.

Wyminął mnie, kręcąc głową. Dziewczyna pomogła Sogolon dosiąść konia. Sadogo wrócił z rękami wyciągniętymi przed siebie, jakby coś zgubił.

– Twój koń – odezwał się. – Złamał dwie nogi. Nic nie da się zrobić, tylko…

– Jeśli nie spałeś i Aesi nie zakradł się do twojego snu, to zna inny sposób, aby podążać moim śladem – rzekła Sogolon.

– Powiedziałbym, że nie spałem, chyba że masz na myśli moje senne marzenia o znalezieniu się między księciem z Omororo a jego przystojniejszym krewniakiem.

– A gdzie w tym prefekt?

– Ja? – spytał Mossi.

– Sogolon, on najpierw ciebie zaatakował. – wskazałem.

– A ciebie w ogóle.

– Może moje runy mają większą moc niż twoje.

– To ty potrafisz wytropić chłopca. Może cię potrzebować.

Podążaliśmy przez gęsty las, aż dojrzeliśmy gwiazdy tańczące nad otwartą sawanną, gdzie w niedalekiej odległości stał dom człowieka, który winien był przysługi Sogolon. Mossi szedł obok mnie i często się krzywił. Miał posiniaczone kolana, tak samo jak ja łokieć.

– Nie wiem, skąd miałbyś wiedzieć – odezwał się.

– Wiedzieć co?

– Dlaczego trop chłopca robi się wyraźny, potem zwietrzały w mgnieniu oka, potem znowu wyraźny.

Za mną szedł bawół, za nim Sadogo.

– Używają dziesięciu i dziewięciu drzwi – odrzekłem.

17

Podzielić domostwo pana domostwa w Kongorze na sześć. Wyjdzie z tego siedziba, która jest pomieszczeniem z drzwiami w łuk, o ścianach z gliny i zaprawy. I kolejne pomieszczenie nad nim, dalej następne, jeszcze jedno i jeszcze jedno, potem wyższe i najwyższe, z dachem, który się wygina jak księżyc, co się przepołowił. To był właśnie dom tego człowieka, dom, który wyglądał, jakby kolumnę odcięto i wysłano do budowy górskiej drogi w Dolingo. Gospodarz czekał przed wejściem, żując czuwaliczkę, wcale się nie zdziwił, gdy nadciągnęliśmy. Minęły trzy dni, odkąd opuściliśmy Kongor. Przy zsiadaniu Sogolon o mało nie spadła z konia. Mężczyzna wskazał ręką za próg. Dziewczyna pomogła Sogolon wejść. Potem usiadł na stopniach i żuł.

– W niebo patrzcie. Widzicie? Widzicie to?

Mossi i ja podnieśliśmy oczy, obaj tak samo zdezorientowani.

– Nie widzicie, że boski krokodyl pożera księżyc?

Mossi wziął mnie za ramię.

– Znasz jakiegoś o niepomieszanych zmysłach?

Nie odrzekłem. Nie odpowiedziałby, gdybym spytał, zastanawiałem się jednak, czy jestem jedynym, który zauważył, że człowiek ten wygląda tak samo jak pan domostwa w Kongorze. Lampart by zauważył. Wskazałby.

– Masz brata na północ stąd? – zwróciłem się do gospodarza.

– Brata? Ha, moja matka, ona powie ci, że jeden syn to o wiele za wiele. Ona ciągle żyje, ta moja matka, ciągle poddaje mnie sprawdzianowi, czy

umrę pierwszy. Ale on ją tłucze, nie tak? Tłucze mocno całą. Mocniej niż mocniejszy jej duch krwi.

– Duch krwi?

– Tłucze ją, to znaczy jest blisko, to znaczy zaraz za wami. Wiesz, o kim mówię?

– Kim są duchy krwi?

– Na tym świecie ani żadnym innym nigdy nie wypowiem jego imienia. To ten o czarnych skrzydłach.

Rankiem dziewczyna wypisała białą gliną runy na drzwiach Sogolon.

– Nauczyła cię tego, kiedy was nie było? – spytałem, lecz nie odrzekła.

Pragnąłem niemądrej wyjaśnić, że jej pogarda dla mnie idzie na marne, ale milczałem. Zobaczyła, że podchodzę, i zatarasowała sobą drzwi. Zacisnęła mocno usta, zmrużyła wpatrzone we mnie oczy, wyglądała jak siostrzyczka, której kazano pilnować młodszego rodzeństwa.

– Dziecko udające kobietę, ani siła, ani czary nie powstrzymają mnie przed wejściem do tego pokoju.

Chwyciła nóż, ale wytrąciłem go jej z ręki. Sięgnęła po drugi. Spojrzałem na nią i rzekłem:

– Tylko spróbuj mnie skaleczyć.

Długo patrzyła mi w oczy. Widziałem, że wargi jej drżą, że marszczy brew. Nagle zaatakowała, lecz nóż minął moją pierś. Natarła ponownie, nóż odbił się w jej stronę. Dźgała i dźgała, w pierś, w szyję, ale ostrze nie chciało mnie nawet drasnąć. Wycelowała więc w oko, nóż przeszył powietrze nad moją głową. Chwyciłem go. Próbowała uderzyć mnie kolanem w jądra. Złapałem ją za nogę i pchnąłem przez próg. Zatoczyła się do tyłu i o mało nie upadła.

– Wy dwoje macie zbytek czasu – powiedziała Sogolon u okna.

Wszedłem do środka i zobaczyłem gołębia wyfruwającego z jej dłoni. Sięgnęła do klatki i wyciągnęła drugiego. Na nóżce ptaka zawiązano coś czerwonego.

– Wiadomość dla królowej Dolingo, żeby nas oczekiwano. Nie traktują życzliwie tych, którzy przybywają niezapowiedziani.

– Dwa potrzebne do tego?

– Jastrzębie na niebie.

– Jak ty dzisiejszego dnia?

– Ja dzisiejszego dnia dobrze. Dziękuję za troskę.

– Gdybyś była sangomą, a nie wiedźmą, nie musiałabyś rysować run wszędzie tam, dokąd pójdziesz, i cierpieć napaści, kiedy zapomnisz to zrobić. Ach, te wszystkie sprawy, o których winnaś naraz pamiętać.

– Taki umysł całego kobiecego stanu. Zapominam, jak wielkim przyszło mu być, całemu Dolingo. Stąd widać tylko przełęcz w górach. Kolejny dzień zajmie nam dotarcie między drzewa…

– Pierdolić Dolingo po tysiąckroć. Winniśmy się rozmówić, kobieto.

– O czym ty teraz do mnie?

– O niejednym, ale najpierw pomówmy, jak zaczęła się sprawa z chłopcem. Jeśli Aesi chce go dopaść, a za Aesim stoi Król, to znaczy, że Król też chce go dopaść.

– Dlatego właśnie zwą go Król Pająk. Powiedziałam ci z górą księżyc temu.

– Niczego mi nie powiedziałaś. Bunszi powiedziała. O chłopcu wszystko było w pismach urzędowych.

– O chłopcu nic nie ma w żadnych pismach urzędowych.

– W takim razie, wiedźmo, co znalazłem w bibliotece tuż przed tym, gdy ją spalono?

– Ty i urodziwy prefekt?

– Skoro uważasz, że jest urodziwy.

– A jednak udało się wam uciec. Albo trudno cię zgładzić, albo on nie trudzi się zbytnio, żeby to zrobić.

Popatrzyła na mnie, po czym wróciła do okna.

– To tylko między nami – powiedziałem.

– Za późno – wtrącił Mossi i wszedł do środka.

Mossi. Sogolon stała odwrócona do nas plecami, ale dostrzegłem, że ściąga ramiona. Zdobyła się na uśmiech.

– Nie wiem, jak ludzie nazywają cię inaczej niż prefekt.

– Kiedy uważają za przyjaciela, wtedy nazywają Mossi.

– Prefekcie, to nie jest kolej na twój ruch. Najlepiej będzie, jak wyjdziesz i wrócisz do…

– Już mówiłem, za późno.

– Niech mi jeszcze jeden przerwie, zanim dokończę swoje słowa. To nie jest misja odnalezienia pijanego ojca albo zagubionego dziecka i odesłania ich do rodziny. Prefekcie, wracaj do domu.

– Za waszą sprawą słońce zaszło na mój świat. Jaki dom dla prefekta? Wojsko wodza pomyśli, że wszyscy, co padli na tamtym dachu, padli od mojego miecza. Nie znasz ich tak, jak znam ja. Już spalili mój dom.

– Nikt cię nie prosił, abyś się narażał.

Mossi wszedł głębiej i usiadł na podłodze, rozkładając szeroko nogi, przesuwając miecz między uda. Strupy na obu kolanach.

– A jednak wiele teraz na moich barkach, prosiliście o to czy nie prosiliście. Wśród was jest dobrze władający mieczem? Robiłem to, za co mi płacono. To wasza wina, że utraciłem powołanie. Ale nie noszę w sobie złości. Ponadto rzekłbym, że mężczyzna nigdy nie powinien odwracać się plecami od wielkich czynów i wielkiej przygody. Wreszcie, ja wam bardziej

potrzebny niż wy mnie. Nie jestem tak wyniosły jak ogo ani tak prosty jak dziewczyna. Nigdy nie wiadomo, stara kobieto. Jeśli twoja misja mnie zachwyci, może zrobię swoje bez zapłaty.

Z sakwy wyjął zwój złożonych arkuszy papirusowych. Co to jest, najpierw powiedział mi nos, dopiero potem oczy.

– Zabrałeś pisma? – spytałem.

– Coś w nich doniosłego. A może rzecz w kwaśnym mleku?

Mossi się uśmiechnął, lecz Sogolon i ja zachowaliśmy powagę.

– Wy, ludzie poniżej pustyni, nie znacie radości. No więc kim jest ten chłopiec, którego poszukujecie? Kto ma go w tej chwili? I jak go odnaleźć?

Otworzył arkusze, Sogolon się odwróciła. Podeszła, nie na tyle jednak blisko, aby wyglądało, że próbuje czytać.

– Jakby nadpalone – powiedziała.

– Ale składają się i rozkładają jak nietknięte dokumenty – odparł Mossi.

– To nie ślady ognia, tylko glify – rzekłem. – Styl północny w pierwszych dwóch wersetach, poniżej nadmorski. Spisane owczym mlekiem. Sogolon, przecież ty to wszystko wiesz.

– Nie. Nie wiedziałam.

– Cała twoja kwatera w Kongorze była zapisana glifami tego pochodzenia.

Zgromiła mnie wzrokiem, lecz zaraz złagodniała na twarzy.

– Ja ich nie pisałam. To bunszi trzeba pytać.

– Kogo? – zdziwił się Mossi.

– Później – rzuciłem, a on skinął głową.

– Nie czytam znaków z Północy ani z wybrzeża – powiedziała Sogolon.

– Pierdolić bogów dziękczynnie, skoro jest coś, czego nie umiesz. – Podbródkiem wskazałem Mossiego. – On umie.

W pokoju stało łóżko, choć byłem pewien, że Sogolon nie śpi na łóżkach. Dziewczyna podeszła, poszeptały razem, wróciła do drzwi.

– Prefekt trzyma w dłoniach tylko jedno pismo. Fumanguru sporządził pięć, a któreś z nich trafiło tam, gdzie się zatrzymałam. Mówił, że monarchia powinna kroczyć do przodu, powracając do przeszłości, więc chciałam poznać więcej. Czytałeś całość?

– Nie.

– Nie musisz. Nuda, gdy przestaje pisać o Królu. A potem okazuje się kolejnym mężczyzną, który mówi kobiecie, co ma robić. Właśnie z powodu tego, co opowiadał o Królu, odnalazłam go pewnego wieczoru.

– Dlaczego zajmowało cię to, co dzieje się między Królem a członkiem starszyzny? – spytałem.

– Nie chodziło o mnie. Jak myślisz, Tropicielu, dlaczego żaden człowiek nie może mnie tknąć?

– Bo…

– Daruj sobie popisy języka. Nie poszłam do niego ze względu na siebie, tylko ze względu na kogoś innego.

– Bunszi.

Sogolon się roześmiała.

– Odnalazłam Fumanguru, bo służę siostrze Króla. Z tego, co pisał, wydawało się, że jest jedynym, który rozumie. Takim, który potrafi spojrzeć dalej swojego tłustego brzuszyska i zobaczyć, co złego dzieje się w imperium, dlaczego Królestwo Północy nawiedzają plagi zła i niedoli, i niezadowolenia od tak dawna, jak dawno dziecko pojęło, czym królestwo. Czy twoje oczy ujrzały tę część, w której Fumanguru opowiada o historii królów? O linii władców? Oto co wiem. Prawo sukcesji tronu zmieniło się, kiedy Królem został Moki. On nie powinien być Królem. Przed nim Kró-

lem był najstarszy syn najstarszej siostry Króla. Tak było zapisane przez setki lat. Aż mamy Kuasz Mokiego.

– Jak został Królem? – spytał Mossi.

– Zamordował siostrę i wszystkich pod jej dachem – odpowiedziałem.

– A gdy nadeszła odpowiednia pora, Moki wysłał swoją najstarszą córkę do starożytnego zgromadzenia, w którym żadna kobieta nie może zostać matką – tłumaczyła Sogolon. – W ten sposób Królem został jego najstarszy syn Liongo. I tak to idzie, rok po roku, stulecie po stuleciu, że gdy w końcu docieramy do Kuasz Aduuare, wszyscy zdążyli już zapomnieć, jak został Królem i kto Królem zostać może, i nawet odlegli grioci zaczynają śpiewać, że taka reguła powinna zawsze obowiązywać. Odtąd ziemia przeklęta.

– Ale we wszystkich pieśniach grioci sławią zwycięskie wojny i podbój nowych ziem. Kiedy padła klątwa?

– Patrz poza mur pałacowy. Zapisy ukazują wszystkie dzieci, które żyją. Myślisz, że ukażą wszystkie dzieci, które martwe? Zbyt wielu martwych synów oznacza słabość krwi królewskiej. Czy zapisy opowiedziały ci o trzech żonach, które miał Kuasz Netu, zanim znalazł tę, która dała mu księcia? Kuasz Dara stracił swojego pierwszego brata skutkiem zarazy. I miał trzy nierozumne siostry, bo jego ojciec płodził sobie nałożnice. I jednego wuja szalonego jak Król Południa, i śmierć dopadła prawie każdą żonę, która nie dała mu syna. W jakiej księdze wszystko to napisane? Zgnilizna ciągnie się przez całą rodzinę. Oto prawdziwe pytanie i odpowiedź prawdziwa. Kiedy ostatni raz widziałeś deszcz w Fasisi?

– A jednak drzewa rosną.

– To nie klęska jest problemem, lecz zwycięstwo.

Na te słowa nawet Mossi nachylił się bliżej. Sogolon wreszcie się odwróciła i usiadła na parapecie. Spodziewałem się mgliście, że bunszi zaraz spłynie po ścianie.

– Owszem, wielcy królowie Północy toczą wojny i mają ogromne zdobycze, ale zawsze pragną więcej. Wolne ziemie, krainy w zamęcie. Miasta i osady, co nie opowiadają się po żadnej stronie. Nie potrafią się powstrzymać, mężczyzna wychowany przez mężczyznę, nie przez kobietę. Kobieta inna jest niż mężczyzna, nie zna obżarstwa. Każde królestwo się poszerza, każdy nowy król gorszy. Królowie Południa coraz bardziej i bardziej szaleni, bo kazirodczą się między sobą. Królowie Północy cierpią na inny obłęd. Zło ich przekleństwem, bo ich cała linia pochodzi z największego zła, bo jakie inne zło zabija własną krew?

– Bardziej interesują mnie pytania, na które odpowiedzią jest chłopiec – wtrąciłem.

– Mówiłeś, że wiesz o nim – odparła Sogolon. – Powiedz, co wiesz.

– Czytaj – zwróciłem się do Mossiego, który patrzył na nas, to na jedno, to na drugie, jakby jeszcze nie postanowił, komu uwierzyć i za kim podążyć. Potarł swoją młodą brodę, dłuższą i bardziej rudą, niż pamiętałem, i spojrzał na papiery trzymane w ręku.

– *Bogowie nieba,* nie *panowie nieba. Nie przemawiają już do duchów ziemi. Głos królów staje się nowym głosem bogów. Przerwij milczenie bogów. Wskaż kata bogów, bo on wskazuje pogromcę królów. Czarnoskrzydłego pogromcę krolów*. Resztę też?

– Proszę.

– *Zabierz go do Mitu, pod przewodnictwo jednookiego, przemierz Mueru i pochłonie twoje tropy. Nie spocznij, póki nie dotrzesz do Go*.

Sogolon pokręciła głową. Nigdy przedtem tego nie czytała ani nie słyszała i wiedziała, że o tym wiem.

– A więc Fumanguru mówi, żeby zabrać chłopca do jednookiego w Mitu, przebyć Mueru i dalej ruszyć do Go, miasta, które istnieje tylko

w snach. A Aesi jest katem bogów? Może w Basu wybrałam niewłaściwego człowieka.

– Śmiesz to teraz mówić? – odparłem. – To twój wybór doprowadził do jego śmierci.

– Pilnuj jęzora – wtrąciła dziewczyna.

– Czy przyłożyłam Fumanguru nóż do szyi i powiedziałam: zrób to? Nie.

– *Wskaż kata bogów, bo on wskazuje pogromcę królów* – przywołałem zapisane słowa.

– I?

– Sogolon, struganie przygłupiej pozostaw dziewczynie. Kat bogów to Aesi. Pogromcą królów jest chłopiec.

Roześmiała się, najpierw cicho jak chichot, potem donośnie jak skowyt.

– To proroctwa, tak? O dziecku…

– Co za proroctwo składa nadzieję na barki dziecka? Który prorok taki głupi? Te suki, wiedźmy od Ku? Na barki istoty, co nie przeżyje lat dziesięciu? Twój urodziwy prefekt przybywa z krainy, gdzie ludzie nigdy nie przestają mówić o czarodziejskich dzieciach. Dzieci przeznaczenia, ludzie pokładają w takich całą swoją nadzieję. Cała nadzieja w stworzeniu, które wtyka palec do nosa i zjada, co wydłubie.

– A jednak w tym proroctwie więcej sensu niż w bredniach, które ty i ryba rozpowiadacie – odparłem. – Poszedłem z tobą tą drogą, bo myślałem, że dokądś prowadzi. Ten chłopiec to taki sam dowód, że Król zabił Fumanguru, jak strup na dupie osła. Ciągle trzymasz ją przy piersi. Prawdę. Wiem, co położyłaś mi na ścieżce, bym tego nie znalazł. Sogolon, wiem też o tym, że byłaś w domu Fumanguru i rzuciłaś urok, aby to ukryć. Że szukałaś sposobów, aby sama odnaleźć chłopca i nie potrzebować mnie dłużej. Miałaś pełny księżyc, żeby tego dokonać, a jednak tu jesteśmy. Masz rację,

bunszi nie jest twoim panem. Lecz nie nawykła do okłamywania ludzi. Omal nie oszalała, gdy przyłapałem ją na rozdwojonym języku. A ta dziewczyna to co? Znikasz z nią w tajemnych drzwiach, każesz jej bawić się nożem i dzidą i co, ona już ma się za wojownika? Czy będzie następna, która umrze, a ty będziesz patrzeć? To też widzę, wiedźmo jedna, i winić za to również możesz sangomę. Ona martwa większą ma moc niż żywa.

– Samą prawdę mówię.

– Albo kłamiesz, albo ciebie okłamano. Mój nos wywąchał cię na każdym kroku tej drogi, Sogolon. Tamtego wieczoru, gdy bunszi powiedziała mi, że Fumanguru miał spór ze starszyzną, poszedłem spotkać się z jednym z nich. Zabiłem go, bo próbował zabić mnie. On też chciał usłyszeć o urzędowych pismach. Wiedział nawet o omoluzu. Twoja ryba powiedziała mi, że chłopiec był synem Fumanguru, ale Fumanguru miał sześciu synów i chłopiec nie był żadnym z nich. Dzień przed spotkaniem z tobą Lampart i ja poszliśmy za handlarzem niewolników do wieży w Malakalu, a tam trzymał kobietę o ciele chorym na błyskawicę. Bibi też tam był i Nsaka Ne Vampi. Albo więc rzucałaś orzechy jak trop, aby ptak za nimi podążał, albo twoje opanowane oblicze jest maską i nad niczym nie panujesz.

– Uważaj na swoje słowa. Myślisz, że naprawdę potrzebuję człowieka? Że ciebie potrzebuję, tak myślisz? Znam dziesięć i dziewięć drzwi.

– Ale i tak nie potrafisz odnaleźć chłopca.

Mossi podszedł i stanął za mną. Sogolon popatrzyła, nachmurzyła się na moment, potem uśmiechnęła.

– Gdy zobaczyłaś chłopca Lamparta, spytałaś mnie, jaki z niego pożytek. Kobieta taka jak ty zatrzymuje ziarno i pali plewy.

– Daj mi więc mięso, nie tłuszcz.

– Jestem ci potrzebny. Inaczej pozbyłabyś się mnie dawno temu. Nie dość, że jestem ci potrzebny, to jeszcze czekałaś na mnie przez cały księ-

życ. Bo ja potrafię odnaleźć chłopca. Twoje drzwi tylko to przyśpieszają.

– On jest z tobą?

– Mossi sam sobie panem. Przebyliśmy długą drogę, Sogolon. Dłuższą, niż kiedykolwiek bym pokonał wiedziony półprawdą i kłamstwem, a jednak coś w tej opowieści… nie, nie w tym rzecz. Rzecz w tym, jaki ty i ryba nadałyście kształt tej opowieści, próbując za wszelką cenę decydować o tym, jak będziemy patrzeć, to jedyny powód, dlaczego wyruszyłem. Teraz będzie jedynym, dlaczego odejdę.

Odwróciłem się, aby wyjść. Mossi zawahał się przez chwilę, zerknął na Sogolon i postąpił za mną.

– Masz to przed nosem. Czytaj. Wszystko tam jest. A ty czekasz, abym ci to złożyła w całość, jakby twoim imieniem było Dziecko, nie Tropiciel.

– Bądź mi więc matką.

– Urodziwy prefekcie, przeczytaj te słowa jeszcze raz.

Mossi znów wydobył papirusy z sakwy.

– *Panowie nieba. Nie przemawiają już…*

– Pomiń to.

– Jak sobie życzysz. *Wskaż kata bogów, bo on wskazuje pogromcę królów*.

– Wystarczy.

Sogolon patrzyła na mnie, jakby wszystko było całkiem jasne. Nieomal kiwnąłem głową, sądząc, że głupiec ze mnie, skoro nadal nie widzę. Na tym bym poprzestał.

– Twój chłopaczek jest skrytobójcą z proroctwa, który zabije Króla – rzekł Mossi, zanim zdążyłem sam to powiedzieć. – Mamy odnaleźć dziecko, którego przeznaczeniem jest popełnić najgorszą zbrodnię, jaką można popełnić? Już rozmowa o tym to zdrada.

Wciąż był człowiekiem piastującym swój urząd, nawet teraz.

– Nie, jeśli to prawda, zabrałoby to przynajmniej dziesięć lat. Zła niewolnica i okropna pani domu? Jak myślisz, dlaczego napisane, żeby zabrać go do Mueru, skąd żaden człowiek nie powrócił żywy? I do Go, którego żaden człowiek nie widział? Pogromca królów znaczy pogromca zdeprawowanej linii, odtrąconej przez bogów, bo jeśli inaczej, to dlaczego Król Pająk związałby się tak blisko z katem bogów? Chłopiec ten nie ma zabijać żadnych królów. On sam Królem.

Mossi i ja milczeliśmy, on bardziej oszołomiony ode mnie. Rzekłem:

– Sogolon, powierzyłaś to książątko kobiecie, która je sprzedała, jak tylko nadarzyła się sposobność.

Odwróciła się do okna.

– Ludzie nade wszystko są zakłamani. Co na to poradzić?

– Daj nam słowo w sprawie chłopca. Będziemy cię za nie trzymać.

Oto co Sogolon opowiedziała nam na kwaterze. Dziewczyna stała przy drzwiach, jakby na straży. Potem w pokoju pojawił się stary mężczyzna, chociaż ani ja, ani Mossi nie pamiętaliśmy, że przeszedł obok dziewczyny. Sogolon opowiedziała tę oto historię.

Kiedy bębniarz chce za pomocą kpegisu wysłać wieści złe lub dobre, napina skórę mocno na skorupę bębna, aby ton był wysoki, lub słabo, aby był niski. W naciągu, w tonacji, w takcie kryje się wiadomość, którą usłyszysz tylko ty, jeśli przeznaczona jest dla ciebie. Gdy więc Basu Fumanguru napisał pisma urzędowe i postanowił, że pierwsze wyśle na targ, drugie do pałacu mądrości, trzecie do sali wielkiej starszyzny, czwarte do Króla, a piąte sporządził, żeby wysłać do kogo? Nikt nie wie. I nikt nie dostał wysłanych pism i nikt nie wie, co mówią. Nawet ci, do których napisał, jak stwierdził. Wiemy tylko, że my, siostry, które służymy siostrze Króla, miałyśmy wyruszyć do zachodniej sali, aby dokonać libacji dla bogów ziemi,

bo na ziemi żyjemy, a bogowie nieba głusi są na nas. I dochodził wtedy do nas głos bębnów.

Mantha. Góra siedem dni drogi na zachód od Fasisi i na północ od Dżuby. Hen daleko, dla oka wojowników i wędrowców i lądowych piratów Mantha będzie górą i to wszystko, czym jest. Urwisko i skała, i busz, i kamień, i ziemia, i wszystko bez porządku. Trzeba dotrzeć za górę, a żeby dotrzeć za górę, wymaga to kolejnego dnia, wspinaczki przez pół dnia drugiego, aby ujrzeć osiem po sto i osiem schodów wyciętych w skale, jakby bogowie stworzyli to dla swoich stóp. W czasach starszych od dzisiejszych Mantha była fortecą, z której wojsko widziało pochód wroga, a wróg nie poznał, że jest widziany. Takim sposobem nikt nie podbije ziem z zaskoczenia, nikt nawet nie najedzie. Przez ponad dziewięć po sto lat Mantha z warowni wypatrującej wroga stała się kryjówką dla wroga. Kuasz Likud, ze starego domu Nehu, zanim nastał dom tego Króla, wysyłał do Manthy starą żonę, jak tylko wziął sobie nową, albo jeśli nie wydała na świat chłopca, albo jeśli dziecię brzydkie. Tuż przed nastaniem dynastii Akumów ukoronowany już Król zaganiał wszystkich braci i męskich krewniaków do królewskiego więzienia, w którym wszyscy marli albo zostawali nowym Królem, jeśli Król umarł wcześniej. Potem nastała dynastia Akumów i królowie, którzy robili, jak przedtem robili ich ojcowie. I tak Kuasz Dara nie inny od Kuasz Netu. A Netu nie inny od swego pradziada, który królewskim dekretem nakazał, że pierworodna siostra winna wstąpić do bożego zgromadzenia, w służbie bogini bezpieczeństwa i obfitości. I tak było na powrót, że królowie podążali za obyczajem Kuasz Mokiego i pogwałcali prawdziwą linię królów, i dawali koronę synom.

I stało się tak, że siostra Króla, nim Królem został i nim osiągnęła dziesięć i siedem lat, miała się poświęcić świętemu zgromadzeniu, ale nie chciała iść. Niechże szpetna kobieta, której nie pragnie żaden mężczyzna,

będzie siostrą w świętym zgromadzeniu, odrzekła. Dlaczego miałabym odepchnąć od siebie smakowite mięsiwo i zupy, i chleb, aby jeść proso i pić wodę w towarzystwie zajadłych pomarszczonych psów i do końca życia chodzić w bieli? Zaprawdę, żaden mężczyzna jej nie odpowiedział, a wśród nich jej ojciec. Księżniczka zapomniała, że jest księżniczką, i zaczęła się nosić jak książę. Jak następca tronu. Jeździła konno, uderzała i parowała mieczem, napinała łuk, grała na lutni, bawiła ojca i przerażała matkę, bo już dorosła, aby zobaczyć, jak żyje kobieta o niezależnej woli. Nawet księżniczka. Ojcze, poślij mnie do wojowniczek w Uakadiszu lub oddaj mnie jako zakładniczkę na dwór na Wschodzie i będę twoim szpiegiem, tak mówiła. Ja cię wyślę, ale do księcia, który twoją hardą głowę poskromi razami, on na to do niej. Ona mówi: Królu, jesteś gotów na wojnę, która wybuchnie, kiedy zabiję tego księcia? On: nie mam życzenia wysłać cię do Uakadiszu ani ziem wschodnich, a ona mówi: wiem, dobry Ojcze, ale dlaczego to miałoby cię powstrzymać? Bystra w myśli, a ludzie na Północy uważają to za dar dany tylko mężczyznom, więc Król mówi córce niejeden raz: jesteś dla mnie o wiele bardziej synem niż ten syn.

Oto słowa prawdy. Zanim ten został Kuasz Darą, był niestały i mściwy i nosił w sobie dużą złość o małe sprawy. Nie był jednak głupcem. Lissisolo powiedziała: Ojcze, rozważ zwrot Uakadiszu Królowi Południa. Po tym, jak starszyzna ogłosiła na otwartej naradzie, że mądrość nakazuje, aby po wojnie Król zatrzymał wszystkie zdobycze i nie oddał żadnej wrogowi, bo byłby wzięty za słabego władcę. Dla nas to bez wartości, powiedziała. Stamtąd nie ma ani dobrego owocu, ani czystego złota, ani silnego niewolnika, prawie wszystko bagnem. Ponadto rozsiano tam tak wiele nasion buntu, że wróg straci te ziemie, jeśli nawet nie kiwniemy palcem. Król pokiwał głową na tak wielką mądrość i powiedział: jakże bardzo synem mi jesteś, bardziej niż ten syn. Tymczasem Kuasz Dara przez całe dnie odtrącał

pięćdziesiąt kobiet, które okazywały chęć, aby móc zgwałcić i zabić tę jedną, która odmówiła. Lub wychłostać każdego przyjaciela i księcia, którzy pokonali go w wyścigach konnych, a wierzchowca kazać ugotować. Lub spytać swego ojca na dworze królewskim: bogowie tak szepczą mi do ucha, ale powiedz prawdę, Ojcze, czy umrzesz niebawem? Wypowiadał takie słowa, bo wielu mówiło mu, że jest najurodziwszym i najmądrzejszym z ludzi.

Wtedy Król zmienił zasadę. Cóż to było! Nie mógł znieść widoku królestwa bez swej córki, powiedział więc: ty, moja ukochana córko Lissisolo, nie będziesz musiała nigdy wstąpić do świętego zgromadzenia sióstr. Ale musisz znaleźć męża. Pana, księcia, lecz nie wodza. Znalazła więc księcia, jednego z całego mnóstwa w Kalindarze, księcia bez księstwa. Nasienie w nim było silne i urodziła czworo dzieci w siedem lat, i nadal zasiadała u boku Króla, tymczasem Kuasz Dara ruszał w ślad za wojownikami trzy dni po bitwie, aby syczeć, że z winy powolnych koni znów ominęła go walka.

Przyśpieszmy opowieść. Król nieżyw, udławiony kurzą kością, tak powiadają. Kuasz Dara zdjął koronę z ojcowskiej głowy, na miejscu w obozie wojennym, i rzekł: ja jestem Królem. Ujrzyjcie swego Króla, czcijcie mnie. A gdy królewski generał powiedział: tobie okazuje się cześć dopiero na łożu śmierci, gdy stajesz się bogiem, Najznamienitszym, Kuasz Dara jak nie wrzaśnie na niego, lecz powstrzymał się od działania w obecności innych generałów. Ten generał martwy w ciągu jednego księżyca. Trucizna. Nie minął rok, a ludzie w imperium zaczęli myśleć, czy to Król Południa szalony, czy może nowy Król Północy? Jeszcze jej wtedy nie służyłam, nie wiem więc, jak to się zaczęło, najpierw pogłoski, potem oskarżenie. Szeptana obmowa krąży uporczywie po krainie i w końcu Król, podczas zgromadzenia dworu, podniósł się z tronu, odwrócił i wskazał wprost na swoją

siostrę ze słowami: najdroższa Lissisolo, w dniu mej pierwszej rocznicy twój spisek został wykryty. Sądziłaś, że uda ci się działać za plecami Króla i boga? Lissisolo zawsze śmiała się z brata dla zabawy i teraz też, gdy to mówił, bo na wszystkich bogów, czy mogło to być coś innego niż żart?

A gdy podszedł do niej i powiedział: boski Król uszy ma wszędzie, siostro, odrzekła: o którym królu rzeczesz, Lissisolo nie wie, bo boskim Królem jest nasz ojciec, który teraz przebywa z przodkami. Śmiała się z niego i dodała: wciąż jesteś małym chłopcem w królewskim łożu, skoro mówisz, co jest moje, to jest moje, a co jest twoje, to jest moje. Nawet panowie i wodzowie, którzy nienawidzili Kuasz Dary, wiedzieli, że takie słowa są obrazą. Król to tron, a tron to Król. Drwina z jednego drwiną z drugiego. Uderzył ją w twarz, a ona zatoczyła się na podwyższeniu tronowym i omal nie upadła.

– Oto twoja księżna oblubienica, kogo obchodzi, z którego terytorium – zwrócił się Kuasz Dara do księcia z Kalindaru. Ten zrobił krok do przodu, pomyślał, co oznaczałby drugi krok, i zaraz się cofnął.

– Myślisz, że nie wiem, że byłaś faworytą Ojca? Myślisz, że nie wiem, że odciąłby mi kutasa i przyprawił go tobie za sprawą czarów, aby zrobić cię tym, kim chciał, abym ja był? Najdroższa siostro, myślisz, że nie wiem, że jak wiedźma rzuciłaś urok na tego największego i najpotężniejszego z królów i przekonałaś go, aby nie wysyłał cię do zgromadzenia i w ten sposób pogwałcił świętą tradycję bogów, którym wszyscy służymy, także ty? Skoro nawet ja, twój Król, twój Kuasz Dara, muszę ugiąć się przed wolą bogów, dlaczego ty byś się ugiąć nie miała?

Tak zwrócił się do swojej siostry.

– Służę temu, który zasługuje na to, by mu służyć – odpowiedziała.

– Słyszeliście, znakomici ludzie dworu, słyszeliście? Wygląda na to, że wszyscy królowie i bogowie są niegodni służby księżniczki Lissisolo.

Patrzyła na brata. Nigdy nie był mądry, ten chłopiec, ale ktoś udzielił mu mądrych rad.

– Jedynie bogowie potrafią wejrzeć w moje serce.

– A więc zgoda jest między nami. Bo ja z pewnością potrafię. Dość słów, teraz jedzmy. Podajcie słodkie wina i przyprawione mięsa, miód i mleko z odrobiną krowiej krwi jak u ludów nadrzecznych, i piwo.

Ludzie opowiadają, że tak właśnie było, ci, co żyją na wygnaniu na Południu. Że na wielki stół przed tronem sługi i służące przynieśli mięso wszelkiego gatunku i warzywa, i owoce najrozmaitsze, i napitki, w złotym i srebrnym kielichu i w skórze. Na królewskim stole i każdym innym w tej sali było mnóstwo jedzenia i picia i wesołości wokół. Ani jeden kielich nie mógł być nienapełniony miodowym winem lub piwem, inaczej niewolnika czekały baty na grzbiet. Na stołach baranina, zarówno surowa, jak i gotowana, wołowina tak samo, kura i sęp, i nadziewana synogarlica. Chleb, masło i miód. Powietrze przyprawione wonią czosnku, cebuli, gorczycy i pieprzu.

Król zszedł z tronu i spoczął na przodzie królewskiego stołu pośród starszych wojowników i doradców, szlachciców i szlachcianek. Lissisolo, ona już miała zająć miejsce po jego prawicy, trzy krzesła dalej, gdzie zawsze siadała, gdy nagle powiedział:

– Siostro, pójdź na koniec stołu, bośmy jedno ciało. Bo kogo innego chciałbym ujrzeć, gdy podniosę oczy znad mięsa?

Wszyscy przy wszystkich stołach czekali, aż Król da znak ręką, po czym zabrali się do jedzenia. Chwytali mięso i owoce, chwytali chleb drożdżowy i chleb przaśny, wołali o wino miodowe, o piwo z korzenia daro, a grioci grali na korach i bębnach i śpiewali o tym, że wielki Kuasz Dara jest nawet większy po roku panowania. Król chwycił nogę kurczaka, ale nie jadł, patrzył tylko na siostrę. Potem klasnął w dłonie i dwóch, szerokich

w ramionach i udach, obeszło stół, niosąc kosz okryty płótnem. Król zwrócił się do najbliżej siedzących szeptem, jakby raczył żartem przeznaczonym zaledwie dla kilku par uszu.

– Posłuchajcie mnie. Nabyłem szczególne przysmaki, oba ze szlachetnych domów na Południu.

Potem podniesionym głosem obwieścił:

– To dla ciebie, siostro. Aby nie było między nami zwady i byśmy oboje byli równi sobie.

Tamci zdjęli płótno, odwrócili kosz i wypadły dwie zakrwawione głowy, które wytoczyły się na stół. Goście odskoczyli, wiele kobiet zaczęło krzyczeć. Lissisolo zerwała się z miejsca, lecz nie aż tak, jak Król miał nadzieję, potem usiadła, patrząc na dwóch panów z Południa, jednego ze starszyzny, drugiego wodza i doradcę Króla. Dwie głowy turlały się po stole przed księżniczką. Kobiety wciąż zawodziły, dwóch wielmożów wstało.

– Siadajcie, piękni panowie i panie, siadajcie!

W całej sali zaległa cisza. Kuasz Dara podniósł się i podszedł do siostry. Chwycił jedną głowę za włosy i przysunął ją do jej twarzy. Oczy były otwarte, brązowa skóra zniebieściała, włosy gęste i krzaczaste, broda łaciata, jakby wyskubana.

– Oto ten, kochanek chłopców. Był kochankiem chłopców. Musiał być, skoro myślał, że moja siostra, księżniczka, może być królem. Jakich czarów użyli przeciwko niemu, aby wciągnąć go w sprzysiężenie i zmowę! Pamiętasz, siostro? Przyjmij mądre słowa od swojego mądrego Króla. Kiedy wciągasz mężczyznę w zmowę, musisz wciągnąć i jego żonę, inaczej ona pomyśli, że knowanie przeciwko niej. Jeśli kolejnym razem zapadniesz na chorobę spiskowania, staraj się nie zarazić nią nikogo innego, siostro. Zagraj w bao.

Rzucił głowę na stół i Lissisolo odskoczyła.

– Uwolnijcie mnie od niej – powiedział Kuasz Dara.

I to też jest prawdą. Król wciąż lękał się zgładzić siostrę, bo jeśli w rzekach jego ciała płynęła boska krew, to w jej także. I kto by zabił tę, co z bogów zrodzona?

Zamknąć ją więc kazał w lochu ze szczurami wielkimi jak kocury. Lissisolo nie krzyczała, nie płakała. Trzymano ją tam dzień po dniu i karmiono ochłapami z królewskiego stołu, więc choć dostawała tylko kości i męty, wiedziała, skąd się wzięły. Strażnicy zabawiali się z nią, lecz jej nie dotykali. Pewnego dnia przynieśli jej miskę wody i oznajmili, że została przyprawiona najpyszniej, a gdy ją postawili, zobaczyła szczura pływającego w środku. Odwróciła się do nich i powiedziała: w mojej misce też woda przyprawiona najpyszniej, i trysnęła w nich moczem. Strażnicy skoczyli do krat, a wtedy ona rzekła:

– Do dzieła, bądźcie tymi, którzy mają śmiałość dotknąć boskiego ciała.

Lissisolo nie wiedziała, lecz minęło już dziesięć i cztery dni w lochu. Brat przyszedł ją zobaczyć, ubrany w czerwone szaty i biały turban, na który włożył koronę. Cela była bez krzesła i strażnik się zawahał, gdy Kuasz Dara wskazał na niego, aby opadł na czworakach, jak osioł, aby można było usiąść na jego grzbiecie.

– Tęsknię za tobą, siostro – rzekł Król.

– Ja też za sobą tęsknię – odparła.

Zawsze lotnego umysłu, lecz nie dość, aby wiedzieć, kiedy zdmuchnąć płomień z knota i nie świecić zanadto swym blaskiem dokoła mężczyzny, nawet jeśli tym mężczyzną jej brat.

Zwrócił się do niej:

– Różnice między nami są i być będą, siostro moja. Taka jest po prostu droga krwi, ale kiedy nadejdą kłopoty, kiedy nadejdzie nieszczęście, kiedy

nadchodzą złe wieści, niechybnie winienem stanąć przy swojej krwi. Nawet jeśli mnie zdradziła, mój smutek jej smutkiem.

– Nie masz żadnego dowodu, że cię zdradziłam.

– Bogowie stróżami prawdy, a Król pierwszym bogiem.

– O ile bogowie życzą sobie jego towarzystwa, gdy umrze.

– Zaraz, bogów przecież wiąże ich własne prawo.

– Kto jest twoim nowym tchórzem, co ukrywa się w cieniu?

Wyszedł z ciemności wprost w światło pochodni. Skóra czarna jak atrament, źrenica tak biała, że pałała jasnością, włosy czerwone jak kwiat ognistej kuli. Znała jego imię, zanim sam je wypowiedział.

– Jesteś Aesi – rzekła. Każda kobieta, każdy mężczyzna, każde dziecko tej krainy, wszyscy tego doświadczyli, kiedy go widzieli, i tym razem też było tak, jakby Aesi zawsze stał za Królem, ale nikt nie pamiętał, jak zajął to miejsce. Niczym powietrze i bogowie, nie było początku ani końca, tylko Aesi.

– Przynosimy ci wieści, siostro. Nie są dobre.

Król kołysał się na plecach żołnierza. Aesi zbliżył się do kraty.

– Twój mąż i twoje dzieci padli od wietrznej choroby, bo nastała taka pora, a udali się tam, gdzie panowała zła aura. Jutro zostaną pochowani w ceremonii godnej książąt, rzecz jasna. Lecz nie w pobliżu królewskich zagród, bo być może nadal przenoszą chorobę. Będziesz…

– Myślisz, że siedzisz jak Król, a jesteś tylko plamą na oślim zadzie, której ogon nie może strzepnąć. Po coś tu przyszedł? Po mój krzyk? Po błaganie o litość dla moich dzieci? Chcesz, bym upadła na podłogę, bobyś mógł się wtedy śmiać? Chodź do kraty, przyłóż uszy, abym mogła krzyczeć.

– Zostawię cię w żałobie, siostro. Potem wrócę.

– Po co? Czego chcesz? Twoja żona słyszy, jak wołasz moje imię, kiedy ją ruchasz. A może wyręczasz się tym tutaj?

Król podskoczył i rzucił pałką w celę. Potem odwrócił się, aby wyjść. Wtedy Aesi popatrzył na Lissisolo i rzekł:

– Jutro masz wyruszyć i dołączyć do świętego zgromadzenia sióstr w zgodzie z tym, jaki los wyznaczyli ci bogowie. Całe królestwo będzie się smucić dla ciebie i życzyć ci nieprzemijającego spokoju.

– Przyjdź wcześniej, to ci dam spokój, który zostawię w tym wiadrze.

– Zostawiamy cię w żałobie, siostro.

– W żałobie? Nigdy nie będę w żałobie. Żałobę odrzucam. Zastępuję ją gniewem. Moja wściekłość do ciebie kroczy wyżej i dalej niż jakakolwiek żałoba.

– Ciebie też zabiję, siostro.

– Też? Doprawdy jesteś imbecyl, król imbecylów. Słońce nawet nie zdążyło zajść nad ich mogiłami, a ty już przyznałeś się do mordu. Grioci opowiadali potajemnie, że wyślizgnąłeś się z naszej Matki i upadłeś na głowę. Mylili się. Matka upuściła cię celowo. Idź, wynoś się, tchórzu, powinni byli przyjść i cię wyrzezać, tak jak to robią z dziewczętami w rzecznej dolinie. Zważ, bracie. Odtąd będę przeklinać ciebie i twoje potomstwo każdego dnia.

Klątwa krwi przerazi nawet Kuasz Darę, wyszedł więc bez zwlekania. Aesi został, aby patrzeć.

– Wciąż możesz być żoną mężczyzny – powiedział.

– Wciąż możesz być kimś więcej niż pojemnikiem na królewskie gówno – odparła.

Gdy tylko strażnik zamknął drzwi, padła na podłogę i lamentowała tak mocno, że zachorowała. Rankiem, gdy wysłano ją do fortecy w Mancie, aby dołączyła do zgromadzenia, gniew i smutek minęły.

Przyśpieszmy opowieść. Bogini wody patrzyła na wszystko i wszystko wiedziała. Jestem kapłanką służącą w świątyni w Uakadiszu i szłam wtedy

po schodach nad rzekę, i hop, nagle wyskoczyła bunszi. Ale we mnie nie było strachu, choć zobaczyłam, że ma rybi ogon czarny jak smoła. Wysłała mnie do Manthy z niczym, tylko w moim skórzanym odzieniu, jednym sandale i ze znakiem domu w Uakadiszu. Księżniczka Lissisolo trzymała się swojej celi i grała na korze o zachodzie słońca, z nikim nie mówiła. W świętym zgromadzeniu sióstr żadna nie ma władzy, pozycji ani rangi, więc królewska krew w jej żyłach nic nie znaczyła. Lecz siostry wszystko widzą, widzą, że trzeba jej samotności. Szeptano, że nocą wędruje po okolicy w poświacie księżyca i szepcze do bogini sprawiedliwości i dziewczyneczek z jej orszaku, jak bardzo jej nienawidzi.

Po roku, gdy poszłam do świętej sali, aby dokonać libacji, wskazała mnie i rzekła:

– Co z ciebie za pożytek?

– Mam wprowadzić cię do twojej królewskiej roli, księżniczko.

– W mojej roli nie ma nic królewskiego i nie jestem księżniczką.

Umieściła mnie u swojego boku po upływie dwóch księżyców. Kobiety równe sobie, ale świadome, że ona jest z królów. Dwa księżyce później mówię jej, że bogini wody przeznaczyła dla niej większą rolę. Trzy księżyce dalej wreszcie mi uwierzyła, gdy przywołałam rosę, aby uniosła mnie z ziemi nad jej głową. Nie, uwierzyła nie mnie, lecz w to, że w jej żywocie jest coś więcej, niż być bezdzietną wdową odprawiającą modły dla bogini, której nienawidzi. Nie, to nie wiara, bo powiedziała, że wiara wygubi ludzi dokoła niej. Rzekłam: nie, moja pani, tylko wiara w miłość ma taki skutek. Przyjmij ją, odwzajemnij, hołub, lecz nie wierz, aby miłość mogła dokonać czegoś innego prócz miłowania. Zanim rok się skończył, pojawiła się bunszi w ostatnią ciepłą noc, kiedy to prawie wszystkie kobiety, sto i dwadzieścia i dziewięć, poszły się kąpać w wodospadzie z nimfami, a pojawiła się, by powiedzieć jej prawdę o jej rodzie i dlaczego to właśnie ona będzie tą,

która go odbuduje. Poślemy mężczyznę, wszystko zostało przygotowane, rzekła bunszi.

– Spójrz na mój żywot. Wszędzie dokoła mnie jama nakazana, wykopana i strzeżona przez mężczyzn. Czy teraz od stanu kobiecego muszę słyszeć to samo? Nic nie wiesz o żeńskim zgromadzeniu, jesteś bladym echem męskich głosów. Prawdziwy Król będzie bękartem? Czy ta wodna diabliczka też upadła na głowę przy narodzinach?

– Nie, Najznamienitsza. Znalazłyśmy księcia w…

– Kalindarze. Jeszcze jeden. Jakby byli wszędzie, jak wszy, ci pozbawieni królestwa książęta Kalindaru.

– Małżeństwo z księciem nada prawowitość twojemu dziecku. A gdy powróci linia autentycznych królów, będzie ono miało pierwszeństwo przed wszystkimi panami.

– Pierdolić wszystkich panów. Wszyscy ci królowie tak samo jak inni pochodzą z łona kobiety. Co powstrzyma to dziecko płci męskiej od postępowania tak, jak postępowali inni mężczyźni? Zabić wszystkich mężczyzn!

– Więc panuj nad nimi, księżniczko. Panuj nad nimi za jego pośrednictwem. I opuść to miejsce.

– A jeśli spodobał mi się pobyt tutaj? W Fasisi nawet wiatry zmawiają się przeciw takim jak my.

– Pani, zostań więc, jeśli życzeniem twoim zostać. Lecz dopóki brat twój Królem, zaraza nad i pod ziemią będzie nawiedzać nawet ten zakątek.

– Jak dotąd żadna zaraza nie nawiedziła. Kiedy ten pomór nadejdzie? Dlaczego nie teraz?

– Bo może bogowie dają ci czas, abyś mu zapobiegła, Wasza Wielmożność.

– Nazbyt gładkie twoje słowa. Nie ufam im. Przynajmniej pokaż mi tego mężczyznę.

– Przybędzie do ciebie przebrany za eunucha. Jeśli ci się przypodoba, wtedy znajdziemy członka starszyzny, który zatroszczy się o naszą sprawę.

– Starszyzny? A więc skazane jesteśmy na zdradę – odparła Lissisolo.

– Nie, moja pani – zaprzeczyłam.

Sprowadziłam księcia z Kalindaru. Od ponad stu lat nijaki mężczyzna nie postawił stopy w Mancie, w przeciwieństwie do wielu eunuchów. Żadna kobieta nie poprosi rzezańca, aby zakasał szaty, bo blizny ukazują straszliwe dzieło noża. Lecz przy wielkim wejściu stoi wysoka strażniczka, córka z linii najroślejszych kobiet w Fasisi, która dla sprawdzenia chwyta za krocze i ściska. Przedtem powiedziałam księciu: oto jak masz postąpić, zapomnij o katuszach i nie zdradź się skrępowaniem, bo cię zabiją u bramy niewzruszone, że zabiły księcia. Złap jądra, obmacaj oba, a potem wypchnij z worka we włosy. Weź kongkong i wciśnij go mocno między nogi, aż prawie sięgnie tylnej dziury. Strażniczka wymaca skórę wiszącą po obu stronach kongkonga i weźmie cię za kobietę. Na twoją twarz nawet nie spojrzy. Książę przedarł się do komnaty Lissisolo, dopiero potem zdjął zasłonę i szatę. Wysoki, ciemny, o gęstych włosach, brązowych oczach, grubych czarnawych wargach, nad brwią wzór blizn i na ramionach też, i wiele młodszy w latach. Wiedział tylko, że to następczyni tronu i sam doczeka tytułów.

– Nada się – rzekła Lissisolo.

Nie musiałam iść na poszukiwania członka starszyzny. Siedem księżyców i to on odnalazł mnie. Fumanguru skończył pisma urzędowe, następnie wysłał wieść bębnem kpegisu, którą mogły usłyszeć tylko pobożne kobiety, bo instrument ten gra bogobojnie, głosząc, że ma słowa dla księżniczki i wieści, które mogą być dobre lub mogą być złe, ale z całą pewnością są mądre. Siedem dni jechałam konno, aby go spotkać i powiedzieć, że jego życzenie, jego przepowiednia są prawdą, lecz jej syn nie może się urodzić

bękartem. Wracamy konno kolejnych siedem dni, ja, członek starszyzny Basu Fumanguru i książę z Kalindaru. Niektóre siostry wiedzą, inne nie. Niektóre wiedzą, że będą się dziać rzeczy wielkiej wagi. Inne myślą, że nowi zjechali i pogwałcili świętą błonę dziewiczą Manthy, choć przecież całymi latami forteca była schronieniem dla mężczyzn. Jedne poprosiłam, aby nie rozpowiadały o tym, co się dzieje, inne uciszyłam groźbą. Lecz gdy tylko chłopiec się narodził, wiedziałam, że nie jest bezpieczny. Że jedynym dla niego miejscem jest Mueru. Powiedziałam to księżniczce, lecz nie chciała znów stracić dziecka. To zatrzymując je tutaj, niechybnie je stracisz, odrzekłam, bo któraś z sióstr nas zdradzi. I okazało się prawdą. Siostra ta wymknęła się nocą, ale nie po to, aby wędrować pieszo dziesięć i pięć dni, lecz aby posłać gołębia. Wypuściła go, zanim ją dopadłam, zmusiłam jednak do wyznania, że pofrunął do jednego wielmoży w Fasisi. Potem poderżnęłam jej gardło. Wróciłam i rzekłam do księżniczki: czas wyruszać bez zwłoki. Wieści już fruną na królewski dwór. Tamtej nocy zabrałyśmy go do Fumanguru, wiedząc, że zajmie to siedem dni, a księżniczkę powierzyłyśmy opiece zakonu mędrczyń wiernemu królowej Dolingo. Chłopiec został u Fumanguru trzy miesiące i żył tam jak jego własny. Wiesz, jak potoczyła się reszta.

Siedzieliśmy rankiem w pokoju, czując spokój. Mossi za moimi plecami oddech miał coraz powolniejszy. Zastanawiałem się, gdzie podziewa się ogo i ile dnia już ubyło. Sogolon patrzyła przez okno tak długo, że podszedłem i stanąłem obok niej, aby zobaczyć, co widzi. Dlatego właśnie chłopiec w jednej chwili przemykał mi przez nos, w drugiej niknął. I dlatego czasem był ćwierć księżyca, czasem pięć księżyców drogi ode mnie.

– Wiem, że używają dziesięciu i dziewięciu drzwi – powiedziałem.

– Wiem, że wiesz – odrzekła.

– Kto używa? – spytał Mossi.

– Znam imię tylko jednego z nich i tylko z powodu tych, których zostawił za sobą, w większości kobiety. Ludzie ze Wzgórz Czarów mówią o nim Ipundulu.

– Ptak-błyskawica – szepnął starzec.

Był to chrapliwy szept, przekleństwo rzucone pod nosem. Sogolon skinęła głową do niego i odwróciła się z powrotem do okna. Wyjrzałem, lecz zobaczyłem jedynie przemijającą południową porę. Już chciałem spytać: wiedźmo, czego tak wypatrujesz, gdy nagle starzec znów się odezwał:

– Ptak-błyskawica, ptak-błyskawica. Strzeż się, kobieto, ptaka-błyskawicy.

Sogolon odwróciła się z powrotem do niego i odrzekła:

– Zaraz uraczysz nas pieśnią, bracie.

Zmarszczył brew.

– Mówię o ptaku-błyskawicy. Słowa to tylko słowa.

– To opowieść, którą powinni usłyszeć.

– Ipundulu to…

– Sposobem twoich przodków – przerwała. – Sposobem, jakiego cię nauczono.

– Kobieto, pieśniarze już nie śpiewają pieśni.

– Kłamstwa mówisz. Grioci z Południa wciąż to robią. Niewielu i potajemnie, ale wciąż. Powiedziałam im o tobie. O tym, że powierzasz pamięci to, co świat kazał ci puścić w niepamięć.

– Świat zna imię jego ojca.

– Niejeden śpiewa.

– Wielu nie śpiewa w ogóle.

– Usłyszmy strofy.

– Ty teraz panią nade mną? Wydajesz mi rozkazy?

– Nie, przyjacielu, wyrażam życzenie. Grioci z Południa…

– Nie ma griotów z Południa.

– Grioci z Południa wypowiadają się przeciwko Królowi.

– Grioci z Południa wypowiadają prawdę.

– Starcze, dopiero rzekłeś, że nie ma griotów z Południa – rzekła Sogolon.

Podszedł do sterty szat i odsunął ją na bok. Pod spodem leżała kora.

– Twój Król, sześciu nas odnalazł. Twój Król, zabił wszystkich i żadnego nie zabił prędko. Pamiętasz Babutę, Sogolon? Przyszedł do nas, wśród nas Ikede, którego znasz, i rzekł: dość ukrywania się po jaskiniach bez przyczyny, śpiewajmy prawdziwą historię o królach! Nie posiadamy prawdy. Prawda to prawda i nic na to nie poradzisz, choćbyś ją ukrywał, zabił, nawet głosił. Była prawdą, nim otworzyłeś usta i rzekłeś, że jest prawdą. Prawda to prawda nawet wtedy, gdy ci, co rządzą, wysyłają griotów trucizny, aby szerzyli fałsz, aż zakiełkuje w sercu każdego człowieka. Babuta mówił, że zna jednego na królewskim dworze, co służy Królowi, ale wierny jest prawdzie. Ten powiedział, że Król pozyskał wiedzę o nas, odkąd przepełzło beznożne po ziemi i pofrunęły gołębie po niebie. Zgromadź więc swoich griotów i niech karawana dowiezie ich do Kongoru, bo żyć mogą tam bezpiecznie pośród rejestrów w domu ksiąg. Czasy głosu przeminęły, żyjemy w czasach znaków pisanych. Słowo w kamieniu, słowo na pergaminie, słowo na płótnie, słowo, co większe jest nawet niźli glif, bo słowo wywołuje brzmienie w ustach. A po przybyciu do Kongoru niechaj ludzie pisma utrwalają słowa płynące z ust i dzięki temu wciąż można będzie zgładzić griota, ale nigdy nie będzie można zgładzić słowa. I Babuta rzekł, po powrocie do czerwonych pieczar cuchnących siarką: to będzie dla nas dobre, bracia moi. Wydaje się, że powinniśmy zawierzyć słowu tego człowieka. Lecz Babuta był z czasów, kiedy słowo huczało jak wodospad

w zamkniętym pomieszczeniu i nawet wionęło prawdą. A człowiek ten powiedział: kiedy gołąb sfrunie u wejścia do jaskini, wieczorem dwa dni od dziś, weźcie list z jego prawej nogi i podążajcie za wskazaniami glifów, bo dowiecie się z nich, dokąd iść. Znacie poczynania gołębi? Lecą w jednym kierunku, tylko tam, gdzie jest dom. Chyba że są związane czarami i myślą, że domem jest inne gdzieś miejsce. Babuta rzekł do tego człowieka, wysłuchaj mnie, żaden stąd nie chciał dotąd czytać, a tamten odparł: zrozumiesz, gdy zobaczysz glify, bo glify przemawiają jak świat. Babuta zbliżył się do pozostałych i zbliżył się do mnie i powiedział, że to dobre, że winniśmy przestać wieść żywot psów. Więc zamiast tego udamy się do Sali Archiwów i żyć będziemy jak szczury, odrzekłem. Na królewskim dworze nie ma ani jednego, któremu choćby półgłówek powinien zaufać. On do mnie: idź wyssać cyca hieny, boś mnie nazwał głupcem, więc odszedłem z jaskini, bo wiedziałem, że jest naznaczona, wyruszyłem na wędrówkę. Babuta i pięciu innych czekali u jaskini dzień i noc. I stało się tak, że trzy noce później gołąb sfrunął u wejścia. Bęben żaden nie bił. Bęben żaden nie mówił, gdzie odszedł Babuta i tych pięciu. Nikt ich nigdy później nie widział. Nie ma więc griotów z Południa. Będę tylko ja.

– To długa opowieść – powiedziała Sogolon. – Skoro nie strofy, to nie strofy. Powiedz im o ptaku-błyskawicy. I kto z nim wędruje.

– Widziałaś, jak postępują.

– Ty też.

– Jedno z was niechże przestanie patrzeć w gówno i opowie nam tę historię – odezwał się Mossi.

Byłby to pierwszy raz, kiedy by mnie nie rozzłościł, gdyby się nie uśmiechnął przy tych słowach.

Stary mężczyzna usiadł na łożu, na którym nigdy nie spała Sogolon, i rzekł:

– Niegodziwe słowo napłynęło z Zachodu, dziesięć i cztery noce przed tym czasem. Wieś nad samym Czerwonym Jeziorem. Kobieta rzekła do sąsiadki: będzie ćwierć księżyca, odkąd nie widziano nikogo z tego domu, trzy chaty w lewo. Ale to cisi ludzie, trzymają się z boku, odpowiedziała inna. Lecz przecież nawet duch wiatru nie taki cichy, dodała trzecia, idą więc do chaty, aby zobaczyć. W całej chacie śmiercią śmierdzi, ohyda bije od martwych zwierząt, krów i kóz zarżniętych nie na jadło, lecz dla krwi i uciechy. Rybak, jego pierwsza żona, jego druga żona, trzej synowie martwi, ale nie śmierdzący. Jak opisać widok, co jest dziwny nawet dla bogów? Byli zgromadzeni niczym obrzędowe fetysze, ułożeni w stos jak do spalenia. Skórę mieli jak korę na drzewie. Krew, ciało, temperamenty, rzeki życia, wszystko zostało z nich wyssane. Pierwsza i druga żona, obie miały rozprutą klatkę piersiową i wydarte serce. Ale najpierw poprzegryzał im gardła i zgwałcił, zostawiając swoje zgniłe nasienie, aby rosło w martwych łonach. Imię jego już tutaj padło.

– Ipundulu. Kto jego wiedźmą? – spytała Sogolon. – Panoszy się swobodnie, jakby nie miał nad sobą władzy?

– Nie ma. Wiedźma, która nim rządziła, umarła, zanim własność nad nim przekazała swojej córce, więc Ipundulu odmienił się na powrót w ptaka-błyskawicę i chwycił córkę w szpony, i poleciał z nią wysoko, wysoko, wysoko, potem puścił. Uderzyła w ziemię i roztrzaskała się w sok. Stąd wiadomo, że jego nasienie było w dwóch żonach rybaka. Bo małe krople błyskawicy wypadły z ich kehkeh, choć ciało już się rozpadało. Ipundulu, on jest najprzystojniejszym z mężczyzn, skóra u niego biała jak glina, bielsza od tego, ale tak samo jest urodziwy.

Starzec wskazał Mossiego.

– *Ayet bu adżidżiyat kanon* – odrzekł Mossi, zaskakując nas wszystkich.

– Tak, prefekcie, jest białym ptakiem. Ale niedobrym ptakiem. Zło w nim takie, jak ludzie myślą. Większe. Ipundulu, bo przystojny i w szacie jak jego skóra, myśli, że kobieta przyjdzie do niego dobrowolnie, ale zaraża jej umysł, jak tylko wejdzie przez próg. I rozsuwa szatę, co wcale nie jest szatą, bo to skrzydła, i nie nosi odzienia, i gwałci, jedną, dwie, większość zabija, niektórym daje żyć, ale one wtedy nie żyją, żyją martwe, a w ich ciele krąży błyskawica tam, gdzie dawniej płynęła krew. Są pogłoski, że mężczyzn też odmienia. I uważać trzeba, jeśli podejdziesz do ptaka-błyskawicy, a on wie, bo zmieni się w coś wielkiego i wściekłego, a jak zatrzepocze skrzydłami, wypuszcza grzmot, od którego ziemia drży i uszy głuchną, domy się wywracają, i błyskawicę jeszcze, która ścina ci krew w żyłach i spala cię na czarny wiór.

Tak się wydarzyło w jednym domu w Nigiki. Noc była gorąca. Widzicie kobietę i mężczyznę w pokoju i chmarę much nad matą do spania. On przystojny, długa szyja, czarne włosy, oczy bystre, wargi pełne. Za wysoki do tego pokoju. Uśmiecha się na widok muszego roju. Kiwa głową do kobiety, a ona, naga, zakrwawione ramię, podchodzi. Oczy przepadły w czaszce, usta drżą lekko. Cała okryta wilgocią. Idzie do niego, ręce ma sztywne po bokach, przestępuje nad swoim odzieniem i sorgiem wysypanym z misy, co strzaskana. Zbliża się, w jej ustach wciąż krew.

On jedną ręką chwyta ją za gardło, drugą obmacuje brzuch w poszukiwaniu dzieciątka. Z ust wyrastają psie kły aż poniżej podbródka. Palce grzebią jej między nogami, lecz ona nieruchoma. Ipundulu wskazuje dłonią jej pierś, a ze środkowego palca wyskakuje szpon. Wbija się głęboko w jej tułów i krew tryska z rozcięcia w głębi serca. Muchy kotłują się i bzyczą, tuczą się krwią. Odlatują na mgnienie oka i na macie jest chłopiec, pokryty dziurami po ospie jak pchłami. W dziurach robactwo się lęgnie, mnóstwo, dziesiątki, setki, wyłażą ze skóry chłopca, rozpościerają skrzydła, odlatują.

Oczy nieszczęsny ma szeroko otwarte, krew skapuje na matę oblazłą przez muchy. Kąsają, gnieżdżą się, ssą. Usta rozdziawia, wydaje jęk. Chłopiec gniazdem os.

– Adze? – spytała Sogolon. – Działają pospołu?

– Nie tylko oni sami. Inni też. Ipundulu i Adze, oni we dwóch wysysają życie z ciała, ale nie do sucha, w skorupę. Tak czyni troll trawiasty, eloko. Ten poluje zawsze sam ze swoim rodzajem, ale odkąd Król spalił jego las, aby zasadzić tytoń i proso, dołączy się do każdego. Kobieta-błyskawica, to o niej będzie historia. Tak się dzieje, kiedy Ipundulu wyssie całą krew, ale przestanie, nim wchłonie krew życiodajną, i wtedy zapłodni ją błyskawicą i pozostawi szaloną. Griot z Południa wyciągnął to wszystko z jej ust, ale nie ułożył z tego strof. Będzie tych trzech i jeszcze dwóch, i jeden kolejny. Tak wam mówię. Działają wspólnie. Ale to Ipundulu ich prowadzi. No i jeszcze chłopiec.

– Co z chłopcem? – spytała Sogolon.

– Przecież znasz jego historię.

– Używają chłopca, aby dostać się do domu kobiety.

– Przymuszają go.

– Bez różnicy – odparł starzec. – I to. Jeszcze jeden podąża za nimi, trzy, cztery dni później, bo wtedy rozkładające się ciało i śmierdzące temperamenty to dla niego miły zapach. Rozpruwa zwłoki szponami i pije soki gnilne, potem pożera mięso do syta. Dawniej miał brata, ale ktoś go zabił na Wzgórzach Czarów.

Popatrzyłem na nich tak wprost, jak tylko można.

– Sogolon, oni wykorzystują chłopca – powiedział starzec.

– Powtarzam, nikt nie pyta…

– Zmieniają chłopca.

– Popatrz.

– Odmieniają go w…

Podmuch, gęsty jak burza, buchnął z podłogi i rzucił nami wszystkimi o ścianę. Wściekły wiatr zasyczał i wyfrunął oknem.

– Nikt nie odmienia chłopca w nic. Znajdziemy go i…

– I co? – spytałem. – Co ten człowiek chce powiedzieć, co wywołuje w tobie takie niezadowolenie?

– Nie słyszysz, Tropicielu? – wtrącił Mossi. – Jak dawno temu zaginął?

– Trzy lata.

– On mówi, że chłopiec teraz jednym z nich. Jeśli nawet nie pije krwi, to znajduje się w mocy nekromancji.

– Nie prowokuj jej – rzekł starzec. – Następnym razem zdmuchnie dach.

Ta mała stara kobieta?, spytał mnie spojrzeniem Mossi. Kiwnąłem głową.

– Tropiciel ma słuszność – powiedziała Sogolon. – Używają dziesięciu i dziewięciu drzwi.

– A przez ile drzwi ty przeszłaś? – Mossi nie dawał za wygraną.

– Przez jedne. Dla takiej jak ja nie jest dobrze przechodzić przez takie drzwi. Swoje powołanie biorę od zielonego świata, a ta wędrówka zaburza zielony świat.

– Bardzo wiele słów, aby powiedzieć po prostu, że bramy niedobre dla wiedźm – wtrąciłem. – Potrzebujesz mnie i mojego rzemiosła od sangomy, aby otwarły się dla ciebie. Mimo to przejście przez każde drzwi pozbawia cię mocy.

– Co za człowiek, zna mnie lepiej niż ja siebie. Napisz więc dla mnie moją pieśń, Tropicielu.

– Ironia zawsze coś skrywa – dorzucił Mossi.

– Jakże szybko Lampart znalazł zastępcę.

– Zawrzyj gębę, Sogolon.

– Ha, dopiero teraz rozpuszczę swój swobodny język jak rzekę.

– Tracimy czas, kobieto – rzekł griot, więc wreszcie ucichła.

Podszedł do komody i wyjął ogromny pergamin.

Mossi:

– Starcze, czy to jest to, co myślę? Głoszono, że to niezbadane ziemie.

– O czym wy dwaj mówicie? – spytałem.

Gospodarz rozpostarł zwój. Duży rysunek, w brązowym, niebieskim i kolorze kości. Widziałem podobne: były trzy takie w pałacu mądrości, nie wiedziałem jednak, czym są ani jaki ich użytek.

– Mapa? Czy to mapa naszych ziem? – wypytywał Mossi. – Kto sporządził coś takiego? Co za mistrzowskie rzemiosło, co za szczegółowość, nawet na wschodnich morzach. Czy to pochodzi od kupca ze Wschodu?

– Mężczyźni i kobiety na tych ziemiach też doskonalili rzemiosło, cudzoziemcze – odparła Sogolon.

– Naturalnie.

– Wydaje ci się, że biegamy z lwem, sramy z zebrą, więc nie umiemy narysować krainy ani namalować bawołu?

– Nie to miałem na myśli – fuknął Mossi.

Sogolon puściła to mimo uszu. Mapa wywołała na jego twarzy uśmiech jak u dziecka, które skradło orzech kola. Starzec zataszczył ją na środek pomieszczenia i na rogach postawił dwa garnki i dwa kamienie. Wciągnął mnie błękit. Jasny jak niebo i kłęby granatu jak istne morze. Morze, ale nie jak morze, bardziej jak morze ze snu. Na wodzie kiwały się, jakby wyskakując na ląd, stwory wielkie i małe, ogromne rybiska i potwór o ośmiu ogonach pożerający dau.

– Czekałem, aby ci to pokazać, Morze Piasków sprzed czasów piasku – zwrócił się starzec do Sogolon.

Które to są wody?, spytałem siebie w myśli.

– Mapa to po prostu rysunek tych ziem, tego, co zobaczył człowiek, abyśmy my też mogli zobaczyć – powiedział Mossi. – I naradzić się, dokąd ruszymy.

– Dzięki bogom za tego, który mówi nam to, co już wiemy – rzekła Sogolon.

Zamilkł.

– Te zaznaczasz na czerwono? – spytała. – W oparciu o jaką mądrość?

– W oparciu o matematykę i czarną wiedzę. Nikt nie przewędruje czterech księżyców za jednym obrotem klepsydry, chyba że przemieszcza się jak bogowie albo używa dziesięciu i dziewięciu drzwi.

– A to właśnie one – powiedziałem.

– Wszystkie.

Sogolon uklękła, Mossi się pochylił. Starzec był ożywiony, kobieta cicha, marszczyła brew.

– Kiedy ostatni raz o nich słyszałeś? – spytała w końcu.

– O Wzgórzach Czarów? Dwadzieścia i cztery dni temu.

– Narysowałeś strzałkę od Wzgórz do… gdzie to kieruje? Na Lisz? – dopytywał się Mossi.

– Nie, to idzie od Wzgórz Czarów do Nigiki.

– A ta tutaj biegnie od Dolingo do Mitu, niedaleko jednak Kongoru – powiedziałem.

– Tak.

– Ale przecież my przybyliśmy z Mitu do Dolingo, a przedtem z Mrocznych Ziem do Kongoru.

– Tak.

– Nie rozumiem. Podobno używają dziesięciu i dziewięciu drzwi.

– Rzecz jasna. Gdy już przejdziesz przez drzwi, możesz podążać tylko w jednym kierunku, póki nie przejdziesz przez wszystkie. Nie możesz wró-

cić, póki się nie uporasz.

– A co się dzieje, jak jednak spróbujesz? – spytałem.

– Tyś pocałował drzwi i płomień spalił wierzch, więc powinieneś wiedzieć. Drzwi trawią cię w płomieniach i spalają, a to coś, co przeraziłoby Ipundulu. Sogolon, używają ich teraz niechybnie już dwa lata. Dlatego tak trudno ich znaleźć, nie sposób wytropić. Idą szlakiem drzwi, dopełniają wędrówki, potem wracają. Dlatego każdą linię po obu stronach kończę strzałką. W ten sposób zabijają nocą, zabijają jeden dom, może dwa, może cztery, tyle mordu, ile dadzą rady w siedem, osiem dni, po czym znikają, zanim zostawią prawdziwy ślad.

Podszedłem, wskazałem palcem i rzekłem:

– Gdybym podążał z Mrocznych Ziem do Kongoru, potem tutaj, niedaleko od Mitu do Dolingo, to musiałbym jechać przez Uakadiszu, aby dotrzeć do następnych drzwi, w Nigiki. Skoro zaś oni podążają wstecz, to już przeszli przez drzwi w Nigiki. Teraz posuwają się przez Uakadiszu, aby dotrzeć do…

– Dolingo – dopowiedział Mossi.

Wcisnął palec w mapę, wbił prosto w gwiazdę między górami tuż pod środkiem.

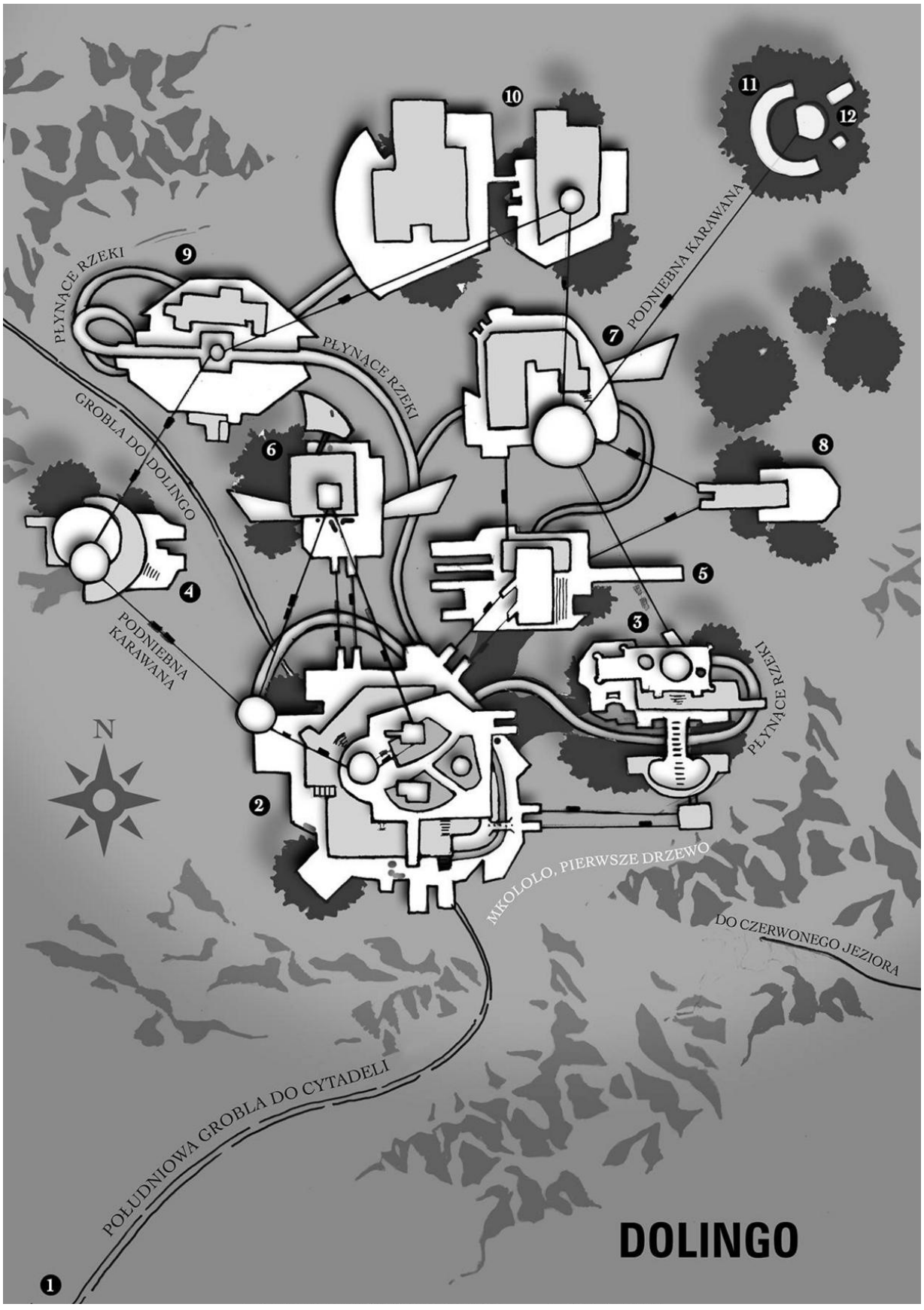
– Dolingo.

4

BIAŁA NAUKA, CZARNA MATEMATYKA

Se peto nduabue pat urfo.




DOLINGO
N
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
POŁUDNIOWA GROBLA DO CYTADELI
MKOLOLO, PIERWSZE DRZEWO
DO CZERWONEGO JEZIORA
PŁYNĄCE RZEKI
PODNIEBNA KARAWANA
GROBLA DO DOLINGO
PODNIEBNA KARAWANA
PŁYNĄCE RZEKI
PŁYNĄCE RZEKI

18

Tkwimy w wielkiej tykwie świata i Bóg Matka trzyma wszystko w swoich dłoniach, aby to, co jest na dnie kuli, nigdy nie upadło. Zarazem na papierze świat jest płaski, z krainami naniesionymi jak plamy krwi przesączającej się przez płótno, o nierównych kształtach, które czasem wyglądają jak czaszki poronionych.

Śledziłem palcem wędrówkę rzek na mapie, aż zaprowadziły mnie do Ku, a to nic we mnie nie obudziło. Pomyślałem, że dawniej niczego bardziej nie pragnąłem, niż być Ku, ale teraz nawet nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego tak było. Palec powiódł mnie przez rzekę do Gangatom, a gdy tylko dotknąłem znaku ich chat, usłyszałem chichot swojej pamięci. Nie, to nie pamięć chichotała, lecz pustka, gdy nie potrafię odróżnić zapamiętanego od wyśnionego. Śmiech nie miał brzmienia, za to był niebieski i dymny.

Dzień odchodził i zamierzaliśmy wyruszyć z nastaniem nocy. Podszedłem do drugiego okna. Na dworze prefekt wbiegł na kopiec, czerniejąc na tle zachodzącego słońca. Zdjął długą dżellabę, której nigdy dotąd na nim nie widziałem, i w przepasce biodrowej stanął na skale. Pochylił się i wziął dwa miecze. Ścisnął rękojeści w dłoniach, spojrzał na jeden, potem na drugi, obrócił oba w palcach, aż uchwycił je mocno. Uniósł lewe ramię, trzymając oręż w pozycji parowania, przyklęknął na jedno kolano i zaciął prawym mieczem tak błyskawicznie, jakby szermował światłem. Wymach poderwał go w górę, ciało zawirowało, przewierciło powietrze i opadło na

lewe kolano. Skoczył znowu na nogi i zaatakował prawą ręką, lewą blokując na krzyż, prawa raziła z lewej, lewa blokowała z prawej, po czym wbił oba ostrza w ziemię, wykonał przewrót i wylądował w przysiadzie jak kot. Następnie wszedł na skałę. Zastygł i spojrzał w moją stronę. Widziałem jego zdyszaną pierś. Nie mógł mnie dostrzec.

Starzec znów zaszurał stopami. Wyjął korę, większą, niż spodziewałem się zobaczyć. Podstawą była duża krągła połowa tykwy. Usadowił ją między udami. Wielki gryf, długi jak dorastający chłopiec, struny po lewej, struny po prawej. Chwycił za bulukalo, dwa rogi, i spoczął przy oknie. Z kieszeni wyjął coś, co przypominało duży srebrny jęzor obszyty kolczykami.

– Znamienici muzycy ze środkowych krain przytwierdzają nyenyemo do mostka, żeby muzyka przeskakiwała nad domami i przenikała ściany, lecz komu pod otwartym niebem potrzebne przeskakiwać dachy i przebijać mury?

Rzucił nyenyemo przed siebie.

Dziesięć i jedna struna dla lewej ręki, dziesięć strun dla prawej, szarpał wszystkie i nucił głębokim głosem do podłogi. Od lat nie byłem blisko muzyki takiej jak ta. Niczym harfa, wznosząca wiele dźwięków jednocześnie, ale nie harfa. Niczym lutnia, ale nie o ostrej melodii jak lutnia i nie taka cicha.

Na dworze Sogolon i dziewczyna, pierwsza na koniu, druga na bawole, ruszyły na zachód. Kroki wstrząsające sufitem nad nami oznaczały, że ogo kręci się dokoła. Czułem podłogę drżącą pod nim, aż wreszcie usłyszałem trzask drzwi. Może dachu. Wróciłem do map. Palcami prawej ręki starzec uplótł rytm, palcami lewej melodię. Odchrząknął. Z ust popłynął głos wyższy niż w trakcie naszej rozmowy. Wysoki jak krzyk w trwodze, nawet jeszcze wyższy, czubek języka cmokał w nasadę zębów, aby dołożyć rytm.

Ja ten, który przemawia,
Ja griot z Południa.
Dziś nas garść z dawnej rzeszy.
Ukryty w mroku wychodzę,
Z głuszy wychodzę
Z groty wychodzę i widzę.

Chciałem znaleźć
Ukochaną,
Pragnąłem mieć
Ukochaną,
Straciłem.
Drugą
Pragnąłem mieć.

Dla każdego męża czas przyjdzie owdowieć,
Dla niewiasty też.
W nim w środku
Czerń jak on,
Czerń, co wysysa przez dziurę świata.

Największą dziurą świata
Dziura samotności,
Człowiek traci, oddaje duszę.

Bo chciał znaleźć
Ukochaną,

Pragnął mieć
Ukochaną
Utracił.
Drugą
Pragnął mieć.

Ten, co je jak żarłok,
Wygląda jak człowiek głodny.
Czy odróżnisz który to który,
Obżartuchu za dnia
Wygłodniały nocą
Popatrz na siebie, własny głupcze.

Chcesz znaleźć
Ukochaną,
Pragniesz mieć
Ukochaną
Straciłeś.
Drugą
Straciłeś
Ukochaną
Straciłeś
Ukochaną
Straciłeś
Drugą
Straciłeś.

Odtąd szarpał struny, pozwalając korze samej przemawiać, a ja wyszedłem, nim dośpiewał więcej. W istocie wybiegłem na dwór, bo byłem mężczyzną i struny i strofy nie powinny mieć do mnie aż takiego dostępu. Na dwór, gdzie nic nie mogło wyssać całego powietrza. I gdzie mogłem powiedzieć sobie, że to od wiatru mam mokre oczy, prawda, że od wiatru. Ku skale, na której stał prefekt, powiewy chyże dokoła niego, chłoszczące mu głowę. Kora nadal grała, dźwięki dosiadały powietrza, rozsnuwając smutek po szlaku, którym nadciągnęliśmy. Nienawidziłem tego miejsca, nienawidziłem tej muzyki, nienawidziłem tego wiatru, nienawidziłem myśli o mingi, bo czymże były dla mnie te dzieci i jaki był ze mnie dla tychże dzieci pożytek? Lecz nie w tym kryła się istota rzeczy, nie w tym wcale, bo nigdy nie myślałem o dzieciach, a one nigdy nie myślały o mnie, lecz dlaczego miałyby o mnie zapomnieć i dlaczego dbałem o to, że zapomniały? Bo jaka korzyść byłaby z tego, aby pamiętały, i dlaczego pamiętałem ja i dlaczego pamiętałem akurat w tej chwili? Próbowałem położyć temu kres. Czułem, że to nadchodzi, i powiedziałem: o nie, nie będę myślał o swoim bracie, który nie żyje, i o ojcu, który nie żyje, i o ojcu, który był dziadkiem, i dlaczego ktoś miałby pragnąć kogoś? Lepiej nie mieć nic, niczego nie potrzebować. Pierdolić bogów wszystkiego. I chciałem, aby dzień odszedł i noc nadciągnęła, i nadszedł dzień nowy, odcięty od tego, co dotąd, jak plama gówna na bawełnie, co zeszła w praniu. Mossi wciąż tam stał. Wciąż nie patrzył na mnie.

Sadogo, idziesz na spoczynek? Słońce nie zakończyło jeszcze dnia.

Uśmiechnął się. Urządził sobie miejsce na dachu, z dywanikami, szmatami i płótnem, z poduszkami za podgłówek.

– W ostatnich dniach dopadają mnie same koszmary – powiedział. – Lepiej położyć mi się tutaj, by nie wybić dziury pięścią w ścianie i nie zbu-

rzyć domu.

Kiwnąłem głową.

– W tych stronach noce robią się zimne – przestrzegłem.

– Starzec znalazł dla mnie kobierce i szmaty, a w ogóle niewiele chłodu czuję. Co myślisz o Venin?

– Venin?

– O dziewczynie. Co jedzie z Sogolon.

– Wiem, kto to. Myślę, że odnaleźliśmy chłopca.

– Co? Gdzie jest? Twój nos…

– Nie mój nos. Jeszcze nie. Między nim a nami wielka odległość. W tej chwili jest za daleko, abym wyczuł. Być może są w Nigiki, w drodze do Uakadiszu.

– Jedno i drugie pół księżyca drogi stąd. A jazda między nimi zabierze długie dni. Może nie jestem taki mądry jak Sogolon, ale nawet ja to wiem.

– Któż by podawał w wątpliwość twój umysł, ogo?

– Venin nazwała mnie prostakiem.

– Ta dziewczyneczka, która największą dumę w życiu czuła, jak była mięsem dla zogbanu?

– Jest inna. Inna niż ledwie trzy dni temu. Wcześniej w ogóle nie mówiła, teraz chrząka jak szakal i zawsze jest cierpka. I nie słucha Sogolon. Zauważyłeś?

– Nie. A ty nie jesteś prostakiem.

Podszedłem do niego i przykucnąłem obok.

– Biegłość w nim wielka – powiedział ogo.

– W kim?

– W prefekcie. Widziałem go przy praktyce. Jest mistrzem swej sztuki.

– Mistrzem więzienia ludzi i nękania żebraków, to owszem.

– Nie lubisz go.

– Lubię, nie lubię, nie mam uczuć dla niego.

– Och.

– Sadogo, chcę, abyś wiedział, co było mówione. Chłopiec, on jest z ludźmi nie stąd. Ani z żadnego innego miejsca, gdzie mieszkają zacni ludzie.

Spojrzał na mnie, brwi miał uniesione, oczy jednak pozbawione wyrazu.

– Z ludźmi, którzy nie są ludźmi, ale nie są też demonami, choć być może to potwory. Jeden z nich to ptak-błyskawica.

– Ipundulu.

– Znasz go?

– On nie jest prawdziwy on.

– Skąd wiesz?

– Przed wieloma laty ten Ipundulu próbował wykroić mi serce z piersi. Służyłem jednej kobiecie w Kongorze. Siedem nocy poświęcił, przez siedem nocy ją uwodził.

– A więc mieszkałeś w Kongorze. Nie mówiłeś.

– Była to służba przez dziesięć i cztery dni. Ale mówmy o Ipundulu. W tamtych czasach wielką przyjemność sprawiało mu powolne branie. A brał ją co noc, lecz jednej nocy usłyszałem tylko jego odgłosy. Gdy wszedłem, już ją zabił i pożerał jej serce. Wtedy rzekł: z ciebie będzie dużo większy posiłek, podfrunął i natarł na mnie. Wyciągnął pazur i zaciął mnie przez skórę. Ale moja skóra gruba, Tropicielu, szpon ugrzązł. Chwyciłem go za szyję. Ściskałem, ściskałem, aż zaczęła pękać. Zaprawdę, wyrwałbym mu łeb, ale jego wiedźma czyhała u okna. Rzuciła urok i oślepiła mnie na dziesięć i sześć mrugnięć powieką. I pomogła mu zbiec. Zobaczyłem go hen na niebie, skrzydła białe, głowa zwieszona na utrąconej szyi, ale dał radę dźwigać wiedźmę.

– Nie jest już związany z tą wiedźmą, z żadną wiedźmą nie jest. Nie zostawiła następczyni, więc on teraz panem siebie.

– To niedobrze, Tropicielu. Potrafił wyrwać dziecku gardło z szyi, i to wtedy, gdy miał wiedźmę nad sobą. Co zrobi teraz?

– Chłopiec wciąż żyje.

– Nawet ja nie aż taki prostak.

– Skoro wykorzystuje chłopca, to chłopiec żyje. Widziałeś tamte z błyskawicą w żyłach. Nie potrafią tego ukryć. I postradały zmysły.

– Prawdę mówisz.

– Wiedz więcej. Wędruje z innymi, czterema albo pięcioma. Słyszeliśmy doniesienia. Wszyscy wysysają krew, wygląda na to, że kierują się do domów z licznym potomstwem. Chłopiec puka pierwszy, mówi, że uciekł przed potworami, więc drzwi dla niego stoją otworem. Potem, głęboką nocą, wpuszcza tamtych, żeby się najedli wszystkimi domownikami.

– Lecz chłopiec nie jest jednym z nich?

– Nie, ale skoro znasz Ipundulu, to wiesz, że najpewniej go zaczarował.

– My w tych stronach wiemy o nim zaczarowującym dziewczęta, ale nigdy żadnego chłopca. Łeb sam mu rozwalę, zanim zdąży machnąć skrzydłami. Te skrzydła sprowadzają grzmot, wiesz?

– Jak to?

– Łopocze skrzydłami i wtedy nastaje burza z gromem i błyskawicą, mocniejsza i wścieklejsza niż wiatr, co Sogolon wzbudza swoimi czarami.

– To przytniemy mu tych skrzydeł. O innych opowiem ci później.

– A o skrzydłach, o człowieku z czarnymi skrzydłami?

– Aesim? On też szuka dziecka i nie spocznie, póki go nie odnajdzie. Nie wie jednak, gdzie jesteśmy ani kto ma chłopca, ani o dziesięciu i dziewięciu drzwiach, inaczej by z nich skorzystał. To proste. Uratujemy dziecko i oddamy je matce, która mieszka w górskiej fortecy.

– Dlaczego?

– Jest siostrą Króla.

– Mąci mi w głowie to wszystko i tyle.

– Postaram się, żeby było proste.

– Proste jak ja?

– Nie, nie. Nie, Sadogo. Nie jesteś prostak. Posłuchaj, rzecz nie w prostactwie. Są takie sprawy, o których mi powiedziano i dla których nie mam słów, żeby z kolei powiedzieć tobie, to wszystko. Wiedz jednak, że to dziecko częścią większej gry. Naprawdę większej gry, a gdy je odnajdziemy i uchronimy od niebezpieczeństw, odbije się to echem po wszystkich królestwach. Musimy odnaleźć chłopca, zanim tamci go zabiją. I musimy go odnaleźć przed Aesim, bo on też go zabije.

– Mówiłeś, że to głupota wierzyć w zaczarowanych chłopców, tak zapamiętałem.

– I nadal mam to za głupotę.

Wstał i popatrzył ponad murem. Prefekt zniknął.

– Sadogo, lubię proste rzeczy. Lubię wiedzieć, że to właśnie zjem, tyle zarobię, tam pójdę, a tego wyrucham. I właśnie tak postanawiam nadal poruszać się po świecie. Ale ten chłopiec. To nawet nie dlatego, że troszczę się o niego, lecz raczej o to, że tak głęboko w tym tkwimy.

– I tylko to cię napędza?

– Powinno coś więcej?

– Nie wiem. Ale strudzony już jestem wzywaniem mych rąk do walki, kiedy nie wiem, o co walczę. Ogo to nie słoń. Ani nosorożec.

– I co mam ci odrzec? Jest w tym dla nas pieniądz. I jest coś jeszcze, tak podejrzewam. To dziecko, ten chłopiec, wiąże się z tym, co słuszne na tym świecie. Nie dbam o chłopca ani o ten świat, jednak się w nim poruszam.

– O nic na tym świecie się nie troszczysz?

– Nie, o nic. Nie, tak. Nie wiem. Moje serce przyśpiesza, drga, igra ze mną. Powiedzieć ci coś, drogi ogo?

Skinął głową.

– Nie jestem ojcem, a mam dzieci. Nie mam tych dzieci ze sobą, a jednak wciąż są przy mnie. Znam te dzieci mniej, niż znam ciebie, ale ukazują mi się we snach i tęsknię za nimi. Jest wśród nich jedno, to dziewczynka, wiem, że mnie nienawidzi, i nie daje mi to spokoju, bo patrzę jej oczami, i wiem, że ma słuszność.

– Dzieci?

– Żyją u Gangatom, to nadrzeczne plemię wojujące z moim.

– Masz tę dziewczynkę i innych?

– Tak, innych też, jedno dziecko wysokie jak żyrafa.

– Zostawiłeś ich u Gangatom, choć jesteś Ku i oni walczą z Ku? Twoi cię zabiją.

– Jest tak, jak mówisz, tak.

– Dzięki tobie zaczynam myśleć, że bycie prostakiem nie takie złe.

Roześmiałem się.

– Być może masz rację, drogi ogo.

– Mówiłeś, że chłopiec jest w Nigiki albo w Uakadiszu.

– Używają tych samych drzwi, których użyliśmy do ucieczki z Mrocznych Ziem, lecz robią to w odwrotnym kierunku. Mieliśmy wieści o napadzie na domostwo u podnóża Wzgórz Czarów, przełamano nawet święte zaklęcia. Dwadzieścia i cztery dni temu, prawie księżyc. Pozostają siedem, osiem dni w jednym miejscu, zabijają i żywią się, co znaczy, że użyli drzwi do Nigiki. W Nigiki zabijają i idą do Uakadiszu.

– Są prawie na miejscu.

– Już są na miejscu. Pięć dni zajmuje dotrzeć piechotą do Uakadiszu, może sześć, a oni idą pieszo. Domysł mam taki, że żadne zwierzę nie

wytrzyma ich ohydy, więc wędrują bez koni. Jeśli są w Uakadiszu, to pozostaną tam jeszcze tylko dwa dni, może trzy. Potem pójdą do kolejnych drzwi, tych, przez które przeszliśmy w drodze do Dolingo.

– Nie natkniemy się na nich?

– Podążą przez cytadelę. Będą chcieli się najeść, a kto oprze się tak szlachetnej potrawie jak Dolingończycy? Poza tym, Sadogo, mała z nas liczba. Możemy potrzebować pomocy.

– A więc ich odetniemy?

– A więc ich odetniemy.

Klasnął w dłonie, co odbiło się echem po niebie. Potem rozpostarł ramiona, a ja podszedłem, jakbym chciał się z nim uściskać. Wzdrygnął się odrobinę, nie wiedząc, co zamierzam. Objąłem go rękami, głowę wciskając pod pachę, i wziąłem długi, głęboki wdech.

– Co ty robisz?

– Próbuję cię zapamiętać – odrzekłem.

Zaraz potem spytał, czy w moich oczach dziewczyna jest ładna.

– Venin, mówiłem ci, jak ma na imię – dodał.

– Jest tak ładna, jak ładne bywają dziewczyny, tak mi się wydaje, ale wargi ma za cienkie, tak samo włosy i jest niewiele ciemniejsza od prefekta, którego skóra ohydna. Ty masz ją za ładną?

– Czuję się jak połowa ogo. Moja matka umarła, kiedy mnie rodziła, i dobrze, bo inaczej przeklęłaby mnie i moje narodziny. Ale pod wieloma względami nie czuję się ogo.

– Masz rację i mówisz prawdę, drogi ogo. I tak, dziewczyna ładna.

Resztę swoich słów pozostawiłem dla siebie, bo mogłyby zabrzmieć jak okrutny żart. Pokiwał głową i zacisnął usta, ukontentowany moją odpowiedzią, po czym ułożył się na dywanach.

Na dole minąłem kwaterę prefekta.

– Dość wczesna jeszcze pora, ale dobrej nocy, Tropicielu – powiedział Mossi, gdy przechodziłem obok.

– Dobrej.

Nic więcej nie wyszło z moich ust.

Dopiero wtedy zauważyłem, że starzec przestał grać i znajduje się w tym samym pokoju, wpatrzony w mrok, być może. Zszedłem na sam dół i zaczekałem na Sogolon.

Twój starzec zaśpiewał.

Pierwsza weszła dziewczyna, zdyszana, bez tchu. Sogolon chwyciła ją za rękę, ale została odepchnięta i przygwożdżona do ściany. Zerwałem się na nogi, dziewczyna jednak odstąpiła, warknęła i ruszyła na schody. Sogolon zamknęła drzwi.

– Venin.

Dziewczyna odpowiedziała przekleństwem w tym języku, którym nie władałem. Sogolon też w tym samym. Znałem ten jej ton: ja jestem tutaj, aby mówić, ty jesteś tutaj, aby słuchać. Wyobraziłem sobie, że dziewczyna życzy jej tysiąc gwałtów kutasem pokrytym wrzodami albo czegoś równie wrednego. Klęła w drodze przez dwa piętra i zatrzasnęła drzwi na górze.

– Nikt w tym domu nie wie, do czego służy noc – stwierdziła Sogolon.

– Do ruchania? Czy uprawiania czarów? Bo sen jest dla starych bogów i dla podążających ich śladem, Sogolon. Twój starzec śpiewał.

– Kłamstwo.

– W okłamywaniu ciebie nie ma żadnego zysku, wiedźmo.

– Ale może jest wielki wyczyn. Byłeś w pokoju, kiedy akurat dziś wyjątkowo odmówił śpiewu. Pieśni zostały w jego ustach, żadna nie wyszła na świat, odkąd Kuasz Netu Królem.

– Wiem, co słyszałem.

– Nie śpiewa od trzydziestu lat, może dłużej, ale zaśpiewał przed tobą?

– W istocie odwrócił się plecami.

– Niemy griot nie otwiera ust ot tak, bez przyczyny.

– Może przeczekiwał w ten sposób, póki nie odjedziesz.

– Twoje żądło już nie takie ostre jak księżyc temu. Może ktoś dał mu coś nowego, o czym można śpiewać.

– O mnie nie śpiewał.

– Skąd wiesz?

– Bo ja jestem niczym. Nie mam racji?

– Pomówię z nim, gdy się obudzi.

– Może o sobie śpiewał? Zapytaj go.

– Na to nie odpowie.

– Nie pytałaś.

– Griot nigdy nie objaśnia pieśni, tylko ją powtarza, może z nowym dodatkiem. Inaczej dawałby nam wyjaśnienie, a nie pieśń. Nie było nic o Królu?

– Nie.

– O chłopcu?

– Nie.

– To o czym miałby śpiewać?

– Może o tym, o czym wszyscy śpiewają. O miłości.

Uśmiała się.

– Może niektórzy na tym świecie wciąż jej potrzebują.

– A ty? – spytała Sogolon.

– Nikt nie kocha nikogo.

– Król poprzedni przed obecnym, Kuasz Netu, nigdy nie był prędki do nauki. Bo po co miałby być? Tego właśnie większość ludzi nie wie o królach i królowych. Nawet wiele stuleci wstecz nauka była po coś. Ja nauczy-

łam się czarnej magii, aby działać na rzecz tego i przeciwko tamtemu. Czerpiesz z pałacu mądrości, aby zasiąść w lepszym miejscu niż własny ojciec. Uczysz się władać orężem, ażeby się bronić. Poznajesz mapy, aby być mistrzem wędrówki. We wszystkim nauka ma cię przenieść stąd, gdzie jesteś, tam, gdzie chcesz być. Ale każdy król już tam jest. Dlatego właśnie król i królowa mogą być największymi nieukami w królestwie. Umysł tego Króla jest pusty jak niebo, póki ktoś nie powie mu, że niektórzy grioci śpiewają pieśni starsze niż czasy, kiedy był chłopcem. Czy to dla ciebie do pomyślenia? Nie wierzy, że ktokolwiek mógłby powierzyć pamięci coś, co stało się przed jego urodzeniem, bo tak właśnie królowie wychowują swoich synów.

I tak Król nie wiedział, że są grioci, co śpiewają pieśni o Królu sprzed jego panowania. Kim oni. Co robią. Wszystko z niegodziwych postępków Kuasz Mokiego. Król nawet nie słyszał ani jednej pieśni. Ten u jego boku rzecze: Wasza Najwznioślejsza Wysokość, jest pieśń, która może powstać przeciw tobie. Potem wyłapują i zabijają prawie wszystkich pieśniarzy ze strofami sprzed czasów Kuasz Mokiego. A temu, którego nie mogli znaleźć, by zabić, zabili żonę, syna i córkę. Zabili ich i spalili im dom i nakazali wszem, żeby zapomnieć pieśni śpiewane w ten sposób. Zabili wszystkich w rodzinie tego tutaj, wszystkich. Mogli zatkać mu usta bez zabijania dziewięciu dusz. Ale taki obyczaj królów Północy. Powiem mu, gdy się obudzi, że wiem.

Szloch zbudził mnie przed słońcem. Wpierw pomyślałem, że to wiatr lub coś wystającego ze snu, ale zaraz go zobaczyłem, naprzeciw posłania, na którym spałem, ogo przykucniętego w kącie przy oknie od południa. Płakał.

– Sadogo, co się…

– Jakby mu się zdawało, że skoro może po nim chodzić, to może go dosiąść. Tak wyglądało. Mógł dosiąść? Dlaczego nie dosiadł?

– Dosiąść czego, drogi ogo? I kto?

– Griot. Dlaczego nie dosiadł?

– Czego nie dosiadł?

– Wiatru.

Podbiegłem do okna od północy, wyjrzałem na mgnienie oka, potem podbiegłem do okna od południa, przy którym ukucnął Sadogo. Zobaczyłem Sogolon i pognałem na dół. Tego ranka ubrała się na biało, nie w skórzaną szatę, w której zawsze chodziła. Griot leżał u jej stóp, kończyny miał powykręcane jak spalony pająk, połamane w wielu miejscach, nieżywy. Stała zwrócona do mnie plecami, jej ubranie łopotało.

– Wszyscy ciągle śpią? – spytała.

– Poza ogo.

– Powiedział, że przeszedł obok niego i dalej za dach, jakby wstępował na drogę.

– Może wstąpił na drogę prowadzącą do bogów.

– Według ciebie to pora na drwinę?

– Nie.

– Co ci śpiewał? W tym dniu, co odszedł, co ci śpiewał?

– Chcesz prawdy? Śpiewał o miłości. O niczym innym. O poszukiwaniu miłości. O traceniu miłości. O miłości takiej, o jakiej rozprawiają poeci z krain, z których pochodzi Mossi. O miłości utraconej. Tylko o tym śpiewał, o miłości, którą utracił.

Sogolon podniosła wzrok, ponad dom, na niebo.

– Duch jego wciąż idzie na wietrze.

– Rzecz jasna.

– Nie dbam o to, czy przytakujesz, masz słuchać…

– Przytakuję ci, kobieto.

– Nic dobrego, gdyby pozostali się dowiedzieli. Nawet bawół, niech sobie gdzie indziej skubie trawę.

– Chcesz zaciągnąć starca w głęboki busz? Chcesz nim wykarmić hieny i kruki?

– A potem żuki i całe robactwo. To bez znaczenia. On już z przodkami. Zaufaj bogom.

Ogo wyszedł z domu i dołączył do nas, oczy miał nadal czerwone. Biedny ogo, rzecz nie w tym, że był delikatny. Wstrząsnęło nim jednak to, że ktoś inny sam sobie zgotował taki koniec.

– Zabieramy go w zarośla, Sadogo.

Wciąż znajdowaliśmy się na sawannie. Niewiele drzew, żółta trawa sięgająca mojego nosa. Sadogo podniósł starca, przytulił go jak niemowlę, mimo że głowa była zbrukana krwią. Poszliśmy we dwóch w wyższą trawę.

– Śmierć pozostaje panią nad nami, czyż nie? Ciągle sama wybiera, kiedy nas zabierze. Czasem nawet wtedy, nim nasi przodkowie przygotują miejsce. Może był człowiekiem zbuntowanym przeciw ostatecznemu królowi, ogo. Może po prostu powiedział: pierdolić bogów, ja sam wybiorę, kiedy połączyć się z przodkami.

– Może.

– Pragnąłbym znać lepsze słowa, słowa, które on wyśpiewał. Zapewne uznał, że wypełnił cel, który miał. Potem nie było już nic…

– Ty masz wiarę w cel? – spytał Sadogo.

– Mam wiarę w ludzi, jak mówią, że mają wiarę w cel.

– Dla ogo nie ma pożytku z bogów nieba ani z miejsca dla umarłych. Jak pada martwy, jest mięsem dla kruków.

– Lubię sposób myślenia ogo. I jeżeli…

Przefrunął obok mojej twarzy tak szybko, że wziąłem go za przywidzenie. Drugi obok głowy. Trzeci wprost na mnie, jakby celował w oczy, ale osłoniłem się i szponami zadrapał mi dłoń. Inny wymierzył w ramię ogo, lecz pacnięty błyskawicznie i mocno rozpadł się w chmurę krwi. Ptaki. Dwa zaatakowały jego twarz, więc upuścił griota. Jednego trzepnął, drugiego chwycił i zgniótł w garści. Inny zadrasnął mnie w kark. Złapałem go z tyłu za głową i chciałem mu złamać szyję, ale był twardy, machał skrzydłami, drapał i dziobał moje palce. Puściłem, odfrunął, zawrócił i natarł. Sadogo zasłonił mnie i trzasnął go ręką. Dopiero na ziemi zobaczyłem, co to, dzioborożce, biały łeb z czarnym pasem piór u góry, długi szary ogon i ogromny czerwony dziób wygięty ku dołowi, większy od głowy, bo czerwień oznaczała samca. Inny sfrunął na griota i zatrzepotał skrzydłami. Ogo ruszył, żeby go chwycić. Wtedy spojrzałem do góry.

– Sadogo, patrz.

Nad naszymi głowami kotłowała się czarna chmura skrzeczących dzioborożców. Trzy zanurkowały ku nam, zaraz cztery, więcej i jeszcze więcej.

– W nogi!

Ogo stał. Grzmocił pięściami, klepał i miażdżył w palcach, wyrywał skrzydła, lecz wciąż nadlatywały. Dwa dopadające mojej głowy zderzyły się w locie i zaczęły walkę w moich włosach. Biegłem, osłaniając ręką twarz, one drapały mi palce. Ogo, znużony walką, gnał już tak jak ja. W pobliżu domu przestały nas ścigać. Sogolon wyszła na dwór, odwróciliśmy się i patrzyliśmy, jak chmara ptaków – setek, jeśli nie więcej – wczepia się pazurami w griota, podnosi go powoli z ziemi, nisko, i odlatuje. Milczeliśmy.

Zebraliśmy dobytek, a Sogolon powiedziała pozostałym, że starzec poszedł w ostępy, aby mówić z duchami, co w gruncie rzeczy nie było łgarstwem, i jeszcze dodała, że powinniśmy zabrać tyle, ile zdołamy unieść. Po

co nam tak wiele, odparłem, skoro jesteśmy niespełna dzień drogi od cytadeli w Dolingo? Zmarszczyła brew i nakazała dziewczynie wziąć więcej prowiantu. Dziewczyna syknęła: jak chcesz mieć więcej jeść, idź sama i weź. Zastanawiałem się, czy Mossi myśli tak jak ja, ale uznałem, że to nieodpowiednia pora, by pytać. Chwycił kawał płótna i owinął nim moją zranioną szyję. Sogolon wzięła jednego konia, dziewczyna wdrapała się po plecach Sadogo i przycupnęła mu na prawym ramieniu. Mossi dosiadł bawołu, obaj odwrócili się i popatrzyli na mnie, bo ruszyłem na piechotę.

– Tropicielu, nie bądź niemądry, spowolnisz wędrówkę – powiedział Mossi.

Wystawił rękę i wciągnął mnie na grzbiet.

Dzień dogasł, potem sczerniał, a od cytadeli w Dolingo byliśmy daleko jak zawsze. Zmorzył mnie sen, zasnąłem na ramieniu Mossiego, odskoczyłem przestraszony i znów zasnąłem, tym razem nie przejmując się, po czym obudziłem się tylko po to, aby zobaczyć, że wciąż nie dotarliśmy do celu. Dolingo zapewne było jedną z tych krain, które wydają się małe, ale ich przebycie zabiera dwa żywoty. Gdy obudziłem się za pierwszym razem, byłem twardy. Po prawdzie właśnie dlatego odskoczyłem. To chyba za sprawą snu, który prysł, gdy się ocknąłem. Jak to ze snami. Tak, jak to zawsze ze snami. Odsunąłem się najdalej od Mossiego, bo w istocie czułem jego zapach. Owszem, czułem zapach wszystkich, ale nie wszyscy oddychali wolniej niż wszyscy inni. Skląłem się za to, że zasnąłem na ramieniu Mossiego. Miałem nadzieję, że go nie ośliniłem ani nie zarzygałem, wytrysnąłem jednak, gdy stwardniałem, wytrysnąłem na siebie, nie na niego. Miałem też nadzieję, że nie byłem twardy, gdy spałem, tylko się taki zrobiłem przy przebudzeniu, i próbowałem myśleć o dzioborożcach i nocnym niebie, i brudnej wodzie, o czymkolwiek.

– Zacny bawole, jeśli się zmęczysz pod nami, możemy iść o własnych siłach – powiedział Mossi.

Bawół stęknął, co Mossi odebrał jako zostańcie na grzbiecie, choć ja chciałem zsiąść. Tym razem pragnąłem mieć grubsze, ciężkie odzienie. Nie żeby szaty mogły ukryć człowiecze pożądanie. Lecz przecież to nie było pożądanie, tylko ciało uczepiło się snu, który dawno uleciał z głowy. Podążaliśmy lekko pod górę, w objęcia chłodniejszego powietrza, mijając małe wzgórza i wielkie skały.

– Sogolon, mówiłaś, że jesteśmy w Dolingo – przemówiłem. – To gdzie jest to Dolingo?

– Niemądry, głupi durniu tropiący ślady. Myślisz, że pokonujemy góry? Patrz.

Dolingo. Niewiele się wydarzyło, odkąd opuściliśmy dom starego griota, ale gdy busz gęstniał od drzew, pomyślałem, że okrążamy wielkie skały, aby uniknąć wspinaczki. Spadłbym z bawołu, gdyby Mossi nie chwycił mnie za rękę.

Dolingo. To nie były wielkie skały, choć szerokie jak całe góry – tysiąc, sześć tysięcy, może nawet dziesięć tysięcy kroków dokoła – lecz pnie drzew z małymi gałęziami wyrastającymi nisko. Drzew wysokich jak sam świat. Wpierw, patrząc do góry, zobaczyłem tylko światła i liny, coś sięgającego wyżej chmur. Dotarliśmy do polany rozległej jak pole bitewne, wystarczająco dużej, abym dostrzegł dwa drzewa. Pierwsze rozpościerało się aż po kraniec polany, drugie było mniejsze. Oba wznosiły się na wskroś chmur i wyżej. Mossi chwycił mnie za kolano, byłem tego pewien bez myślenia. Pierwsze miało budowlę, może z drewna albo zaprawy, albo jednego i drugiego, owiniętą wokół swej podstawy, wznoszącą się na pięć poziomów, a każdy wysoki na osiemdziesiąt, może sto kroków. W niektórych oknach światło migotało, w innych płonęło śmiałym blaskiem. Pień wznosił się

czarno, ciągnął jeszcze dalej, wyżej kolejnych chmur i rozwidlał jak droga. Na lewo coś jak potężna forteca, ogromne pionowe mury z wysokimi oknami i drzwiami, dodatkowy poziom u góry, nad nim jeszcze jeden, i tak dalej aż przez sześć kondygnacji, z pokładem na piątym poziomie i zawieszonym pomostem, podtrzymywanym czterema linami grubymi jak końska szyja. U samego szczytu zespół obronny ze wspaniałymi wieżami i wielką salą pod splotem dachów. Na prawo gałąź ciągnęła się nieobudowana wysoko jak twierdza, z jednym tylko pałacem u góry, lecz i on miał wiele poziomów, pomostów i pokładów, i dachy ze złota. Chmury się przesuwały, księżyc świecił jasno i teraz zauważyłem, że rozwidlenie ma trzy szyje, nie dwie. Trzecia gałąź, gruba jak pozostałe dwie, ubrana w domy zbudowane i domy w trakcie wznoszenia. I jeszcze pokład rozpościerający się dalej niż inne, tak daleko, że wyglądało, jakby miał odpaść. Z pokładu tego zwisało kilka pomostów, opuszczanych i podciąganych na linach. Jakiej liczby niewolników potrzebowano, aby nimi poruszać? I jaka teraźniejszość to była i jaka przyszłość miała być, skoro ludzie budowali wzwyż, nie wszerz? Jedno na drugim, nie obok. Gdzie były gospodarstwa, gdzie bydło, a bez nich co jedli ci ludzie? Dalej w zielonej przestrzeni rosło kolejnych siedem strzelistych drzew górujących nad okolicą, w tym jedno z grubymi połyskliwymi płytami, które wyglądały jak skrzydła, i wieżą w kształcie żagla na dau. Inne z pniem wskazującym odrobinę na zachód, ale konstrukcją przesuniętą lekko na wschód, jakby budowle ześlizgiwały się z podstawy. Od gałęzi do gałęzi, od budynku do budynku, liny i krążki, pomosty i zawieszone wozy poruszające się z boku na bok, w górę i w dół.

– Co to za miejsce? – spytał Mossi.

– Dolingo.

– Nigdy dotąd nie widziałem takiej wspaniałości. Czy tutaj żyją bogowie? Czy to siedziba bogów?

– Nie, ludzi.

– Nie wiem, czy chcę poznać takich ludzi – odrzekł Mossi.

– Kobietom może przypaść do gustu twoja wonna mirra.

Metal zachrzęścił, tryby zaskoczyły. Żelazo uderzyło w żelazo i osunął się pomost. Sznury dokoła napięły się, krążki zaczęły obracać. Pomost schodzący z góry przesłonił sylwetkę księżyca i okrył nas cieniem. Był długi i szeroki jak statek, a gdy osiadł, zadrżała ziemia.

Mossi wciąż trzymał mnie za kolano. Sogolon i dziewczyna pogalopowały do przodu, oczekując, że podążymy ich śladem. Pomost już się unosił i bawół wykonał skok, poślizgnąwszy się lekko. Mossi puścił moje kolano. Zeskoczył i zachwiał się trochę na podnoszonym pomoście. Hen wysoko na wieży ktoś obrócił ogromne szkło lub srebrne koło, może tarczę, która złowiła blask księżyca i oświetliła nasz pomost. Słyszeliśmy pracę trybów, zębów, kół. Wznosiliśmy się wyżej, przysuwaliśmy bliżej, na murach widziałem wzory, romby i romby, u góry, u dołu, w poprzek, okręgi o tym samym wzornictwie i starożytne glify, i smugi, i dzikie kreski, które wyglądały, jakby się poruszały, jakby mistrz rysunku malował w zmowie z wiatrem. Sunęliśmy wzwyż, ponad drzewo, ponad każdy most i drogę, ku trzem konarom. Z boku prawego ktoś namalował czarną kobiecą głowę, tak strzelistą, że wznosiła się powyżej czterech poziomów, a zawój na czole ciągnął się jeszcze wyżej.

– To Mkololo, pierwsze drzewo i siedziba Królowej – obwieścił Sadogo.

Księżyc przysunął się do nas tak blisko, jakby chciał podsłuchiwać. Weszliśmy na szeroki kamienny most, który garbił się nad rzeką i spotykał z drogą bez zakrętów. Chciałem zapytać, jakie rzemiosło potrafi nakazać rzece płynąć tak wysoko, ale oto przed nami ukazał się pałac, jakby właśnie wyrósł z ziemi, jakbyśmy byli myszami podziwiającymi drzewa. Księżyc pobielił wszystkie mury. Na najniższym poziomie wysoki mur i most nad

wodospadem. Na następnym to, co widziałem tylko w krainach Morza Piasków. Akwedukt. Powyżej pierwsza kondygnacja z rzędem rozświetlonych okien i dwiema wieżycami. Nad tym więcej komnat i pokojów, sal, wież i rozpiętych dachów, niektóre jak kopuła kalabasy albo wyostrzone jak grot strzały. Po prawej wznosiła się platforma z ludźmi rzucającymi z góry cienie na nas, gdy podeszliśmy do wrót wysokich na trzech chłopa. Na straży stało dwóch wartowników w zielonych pancerzach, w zbrojnych obojczykach sięgających pod sam nos, z długimi włóczniami w garści. Złapali za uchwyty i pociągnęli wrota na oścież. Przeszliśmy obok nich. Dłonie trzymałem na swoich siekierach, a Mossi położył rękę na mieczu.

– Nie ubliżcie gościnności Królowej – przestrzegła Sogolon.

Dwadzieścia kroków dalej płynęła fosa, pod mostem nie szerszym niż trzech ludzi bok w bok, prowadzącym na drugą stronę. Sogolon ruszyła pierwsza, za nią ogo, Venin, bawół, Mossi i ja. Patrzyłem, jak Mossi rozgląda się dokoła, podskakuje w reakcji na najmniejszy plusk, stęka na widok ptaka nad głową, na chrzęst trybów przy platformach. Przyglądałem mu się baczniej niż w trakcie wędrówki, ponadto Sogolon najwyraźniej wiedziała. Z wody buchało ciepło, pływały w niej ryby i rybostwory. Przeszliśmy mostem i ruszyliśmy na schody, popatrując na mężczyzn, kobiety, zwierzęta stojące na dwóch łapach i istoty, których nigdy dotąd nie widziałem, na ludzi ubranych w metalowe płytki i kolczugi, szaty, peleryny i zawoje z długimi piórami. Mieli skórę najciemniejszą, jaką widziały moje oczy. Na każdym stopniu stało dwóch strażników. Na ostatnim wejście wznosiło się wyżej, niż potrafiłbym zmierzyć.

Oto słowa prawdy. Bywałem w najprześwietniejszych dominiach we wszystkich krainach i pod morzami, ale jak wstąpić do takiego dworu? Mossi stał w bezruchu, zastygły ze zdumienia, podobnie w bezruchu stałem ja. Pomieszczenia ciągnęły się tak wysoko, że oczekiwałem równie rosłych

ludzi. W wielkiej sali zobaczyliśmy straż w pozycji gotowości, wyprężeni pod ścianami, dwudziestu i dodatkowych dziesięciu, i jeszcze inni, sześciu, twarzą zwróceni do nas. Każdy miał dwa miecze i włócznię, ukazywał oblicze ciemne, granatowoczarne. Tak samo dłonie. Ludzie krążący po wielkiej sali, nawet ci okryci barwnym odzieniem, mieli taką samą najciemniejszą skórę, jaką widziałem od czasów Lamparta, gdy poruszał się jako kot. Na naszym podeście stali strażnicy, dwóch ich. Pragnąłem zobaczyć, jakiej roboty są ich miecze. W tej sali złoto widziałem na każdej kolumnie, w zdobieniu każdej zbroi, choć przecież kruszec ten niezdatnym metalem dla oręża. Podłoga była osunięta niżej niż nasz podest, za to posadzka pod tronem wznosiła się najwyżej, piramida, cała będąca siedziskiem władzy, z progiem czy stopniem poprowadzonym dokoła, na którym siedziało kilka kobiet, a nad nimi stał tron, z którego władała prawdziwa Królowa.

Jej skóra, jak u mężczyzn, czernią pochodzącą z najgłębszego granatu. Jej korona jak złoty ptak, co sfrunął na głowę i otulił skrzydłami oblicze. Złoto zdobiło także jej oczy i migotało z małych plamek na obu wargach. Z szyi zwisała swobodnie kamizela z pasków złota, a gdy Królowa się wyprostowała, wyjrzały spod nich sutki.

– Słuchajcie mnie teraz – przemówiła. Głos miała niższy od pomrukiwania mnichów. – Doszły mnie pogłoski. Pogłoski o ludziach barwy piasku, o niektórych nawet barwy mleka, lecz ja Królową i wierzę tylko w to, czego sobie życzę. Nie uwierzyłam więc, że tacy istnieją. Lecz spójrzcie na tego przed nami.

Mowa Dolingo brzmiała jak Malakalu. Ostre zgłoski wypowiadane szybko, długie dźwięki umyślnie przeciągane. Mossi zmarszczył brew.

Trącił mnie łokciem.

– Co powiedziała?

– Nie władasz dolingo?

– Oczywiście, że władam. Gruby eunuch nauczył mnie tej mowy, gdy miałem cztery lata. Pewnie, że nie. Co powiedziała?

– Mówi o ludziach, jakich nigdy nie widziała. O tobie. Jestem prawie pewien.

– Czy powinnam go nazwać piaskoludem? – spytała Królowa. – Tak, nazwę go piaskoludem, bo mnie to bawi… Rzekłam, że to mnie bawi.

Cała sala ryknęła śmiechem, klaskano, gwizdano, wzywano bogów. Królowa machnęła ręką i umilkli w błysk. Przyzwała Mossiego skinieniem dłoni, lecz nie zrozumiał.

– Tropicielu, oni się śmieją? Dlaczego się śmieją?

– Bo uznała, że jesteś z piasku. Mówi o tobie piaskolud.

– I to jest takie zabawne?

– On głuchy? – spytała Królowa. – Przywołałam go.

– Mossi, ona mówi o tobie.

– Przecież nic nie rzekła.

– Jest Królową. Skoro mówi, że rzekła, to rzekła.

– Nic nie rzekła.

– Pierdolić bogów, nuże, idź!

– Nie.

Dwie włócznie dźgnęły go w plecy. Strażnicy postąpili do przodu, gdyby więc Mossi nie ruszył, groty przebiłyby mu skórę. Zeszli po stopniach z naszego podestu, przecięli szeroką posadzkę wśród mężczyzn, kobiet i zwierząt i zatrzymali się u stóp podium tronowego. Królowa kiwnęła palcem, aby Mossi się zbliżył, i wtedy usunęli się na boki dwaj strażnicy zagradzający drogę.

– Kanclerzu, widziałeś więcej krain, niż opisują grube księgi. Powiedz mi, spotkałeś kiedykolwiek człowieka jak ten?

W obrębie posadzki wystąpił do przodu wysoki szczupły mężczyzna o długich wiotkich włosach, aby pomówić z Królową. Najpierw złożył pokłon.

– Najznamienitsza Pani, wielokrotnie, i rzecz w tym, że…

– Dlaczego nigdy nie kupiłeś żadnego dla mnie?

– Wybacz, moja Władczyni.

– Bywają jeszcze jaśniejsi od tego?

– Tak, o Najświetniejsza.

– Jakież to przerażające i jakież rozkoszne. – Potem do Mossiego: – Jakie twoje imię?

Patrzył na nią tępo, jakby zaiste był głuchy. Sogolon wyjaśniła, że Mossi nie zna tutejszej mowy.

Wystąpił strażnik, by podać kanclerzowi miecz Mossiego. Kanclerz przyjrzał się głowni, sprawdził rękojeść i rzekł w kongori:

– Jak wszedłeś w posiadanie takiej broni?

– Pochodzi z osobliwej krainy – odrzekł Mossi.

– Której?

– Ojczystej.

– I nie jest nią Kongor? – Kanclerz, zwrócony twarzą do Królowej, wciąż przemawiał do Mossiego: – Przecież ktoś chyba dał ci imię? Jakie? Imię, jakie dano ci imię?

– Mossi.

– Hę?

– Mossi.

– Hę?

Kanclerz skinął głową i włócznia dźgnęła Mossiego w bok.

– Mossi, Najznamienitsza Królowo.

Kanclerz przetłumaczył i dopytywał dalej:

– Mossi? Po prostu Mossi? Tacy jak ty spadają z nieba i podnoszą imię z ziemi? Skąd pochodzisz, mistrzu Mossi? Z jakiego domu?

– Jestem Mossi z domu Azara, z krain wschodniego światła.

Kanclerz powtórzył to w mowie dolingo, a Królowa zarżała śmiechem.

– Dlaczego człowiek na wschód od morza miałby mieszkać w tamtych stronach? I co to za choroba, co wypaliła całą barwę z twojej skóry? Mów szybko, bo nikt na tym dworze nie lubi, by rozzłościć Królową… Rzekłam, nikt na tym dworze nie lubi, by rozzłościć Królową.

Sala wybuchła wrzawą, nie, nie, krzyczano, wzywano bogów.

– A jednak włosy ma czarne jak węgiel. Zakasz rękaw… Tak, tak, ale jak to możliwe? Ramię u ciebie jaśniejsze niż dłoń? Widzę przecież, czy przyszyto ci ręce? Oby mądra rada zaczęła mądrze radzić.

Patrzyłem na to wszystko, zastanawiając się, czy tylko na Południu żyją szaleni władcy. Sogolon trzymała się z tyłu, choć spodziewałem się, że przemówi. Próbowałem wyczytać coś z jej twarzy, ale miała inną twarz niż moja. Jeśli człowiek wzbudzał we mnie wstręt, wiedział o tym od razu, gdy witałem go z nowym dniem. Królowa prowadziła grę, lecz czym była gra dla niej? Ogo stał nieruchomo, tylko kłykcie mu strzelały od mocnego uścisku. Dotknąłem jego ramienia. Mossi nie był wcale lepszy ode mnie w ukrywaniu uczuć na twarzy. Stał i patrzył na wszystko, nie rozumiał nic.

Zobaczył moją minę i twarz wykrzywiło mu zmartwienie. Co? – spytał ruchem warg, ale nie wiedziałem, jak mu wyjaśnić.

– Chcę widzieć więcej – powiedziała Królowa. – Zdejmij.

– Zdejmij szaty – zwrócił się kanclerz do Mossiego.

– Co? Nie.

– Nie? – powtórzyła Królowa. Zrozumiała to słowo, choć padło w kongori. – Czy królowa ma czekać na zgodę mężczyzny?

Skinęła głową i dwaj strażnicy chwycili Mossiego. Pierwszego grzmotnął pięścią w policzek, lecz drugi przystawił mu nóż do gardła. Mossi odwrócił się w moją stronę. Spokój, spokój, prefekcie, powiedziałem wargami. Ten sam nóż strażnik wcisnął między tkaninę a ramiona, szarpnął i przeciął. Drugi strażnik pociągnął za pas i wszystko opadło.

– Żadnych westchnień? – spytała Królowa. – Nie słyszę westchnień.

Sala zawrzała, wzdychano, kaszlano, gwizdano, wzywano bogów.

Mossi, myśląc: muszę przez to przejść, wyprostował się, podniósł głowę i stał. Kobiety, mężczyźni, eunuchowie, siedzący u stóp Królowej, wszyscy tłoczyli się, by popatrzeć. Na czym polegała odsłonięta sensacyjna tajemnica, tego nie wiedziałem.

– Dziwne, jakże dziwne. Kanclerzu, dlaczego to ma ciemniejsze niż resztę? Podnieś mu, chcę ujrzeć woreczek.

Kanclerz sięgnął do jąder, ale Mossi odskoczył. W trakcie tego wszystkiego Sogolon nie rzekła ani słowa.

– Tak samo ciemny? Tak, to dziwne, kanclerzu.

– Dziwne, Najświetniejsza.

– Czy jesteś człowiekiem zrobionym z innych ludzi? Ręce ciemniejsze od ramion, szyja ciemniejsza od piersi, pośladki jaśniejsze od nóg, a twój, twój… – I do kanclerza: – Jak nazywają to twoje kurtyzany?

Nazywają prawdą, roześmiałem się w myśli.

– Nie przebywam w towarzystwie kurtyzan, o Najświetniejsza.

– Oczywiście, że przebywasz. Chodzą na czworakach i nie potrafią mówić, ale są twoje. Dość tych słów. Dowiem się, dlaczego jest ciemniejszy niż reszta jego ciała. Czy tacy właśnie są mężczyźni w innych krainach? Czy to bym zobaczyła na własne oczy, gdybym wyszła za jednego z książąt Kalindaru? Mężu ze Wschodu, powiedz mi, dlaczego taki jest kolor tego stojącego z Sogolon?

Kanclerz odrzekł tylko, że to osobliwe, tak jasnoskóry człowiek z tak ciemnymi jądrami.

Mossi zobaczył, że maskuję śmiech, i zmarszczył czoło.

– Bogowie zabawili się mną, moja Królowo – powiedział.

Kanclerz przetłumaczył to dla Królowej, prawie słowo do słowa.

– Jakim mężczyzną się bawili, kiedy wzięli od niego części i dali temu tutaj? Chcę wiedzieć. Będę wiedzieć. Natychmiast.

Mossi znów był zmieszany, ale patrzył śmiało na ludzi patrzących na niego. Milczał.

Sogolon odchrząknęła.

– Najprześwietniejsza Królowo, racz pamiętać, dlaczego przybyliśmy do Dolingo.

– Nie mam zwyczaju zapominać. Zwłaszcza że to była przysługa. Zwłaszcza że o nią błagałaś, Sogolon.

Mossi spojrzał na obie kobiety z zaskoczeniem, które ja ukryłem.

– Popatrz na swoje osłupiałe usta. Dlaczego ja, najmądrzejsza z najmądrzejszych królowych, miałabym nie mówić tym dzikim narzeczem Północy, zwłaszcza że bez ustanku muszę mieć do czynienia z dzikusami? Dziecko nauczyłoby się go w jeden dzień… Dlaczego mój dwór nie wydaje ochów i achów?

Kanclerz przetłumaczył zebranym i natychmiast zawrzało, wydawano ochy i achy, wzywano bogów.

Machnęła ręką i strażnicy znów dźgnęli Mossiego włóczniami. Zgarnął swoje odzienie i wrócił do naszej gromady. Patrzyłem na niego przez cały czas, lecz wzrok miał utkwiony przed sobą.

– Przyszłaś do mnie ze swoją sprawą, bo masz nas dwie za siostry. Lecz ja jestem Królową, a ty znaczysz mniej niż ćma dla płomienia.

– Tak jest, Najprześwietniejsza – odparła Sogolon i skłoniła głowę.

– Zgodziłam się pomóc ci, bo Lissisolo i ja powinnyśmy być razem królowymi. I dlatego jeszcze, że wasz Król nawet demony potrafi zawstydzić. Jakże on pragnie, aby Dolingo było wydane na podbój. Wiem, co myśli nocą. Że pewnego dnia zapomni o bezstronności Dolingo i weźmie cytadelę dla siebie. Pewnego dnia spróbuje. Lecz nie dziś i nie wtedy, gdy ja króluję. Jestem również wielce znudzona. Twój pozszywany człowiek najbliższy temu, co warte mego spojrzenia od wielu księżyców. Przynajmniej od czasu, kiedy kazałam przepołowić jednego z książąt z Mitu, aby zobaczyć, czy w środku jest tak samo pusty, jak puste są jego słowa. Ty, ten ze znakami, widziałeś nasze podniebne karawany?

Skierowała się do mnie.

– Tylko w drodze do ciebie, Najznamienitsza Pani – powiedziałem.

– Wielu wciąż docieka, jakie rzemiosło, jakie zaklęcie utrzymuje karawany na niebie. Ani zaklęcie, ani rzemiosło, tylko żelazo i sznur. Nie mam czarowników na służbie, mam mistrzów stali i mistrzów szkła, i mistrzów drewna. Bo w naszym pałacu mądrości mieszkają ludzie, którzy naprawdę są mądrzy. Nienawidzę tych, którzy przyjmują rzeczy takimi, jakie są, nigdy nie zadają pytań, nie dokonują napraw, nie ulepszą niczego ani siebie. Powiedz, czy cię przerażam?

– Nie, moja Pani.

– To przerażę. Straż, zabierzcie tych dwóch do Mungungi. Ogo i dziewczyna mogą iść do swoich komnat. Zostawcie nas, dwie kobiety, abyśmy mogły omówić trudne sprawy. Bawołu nakarmcie kolokazją. Pewnie minęły całe księżyce, odkąd ktoś ostatni raz dał mu pożywienie jego godne. Odejdźcie teraz wszyscy. Z wyjątkiem tej kobiety, która ma się za moją siostrę.

Powinieneś mnie nauczyć takich słów, prefekcie – powiedziałem ze śmiechem.

Mossi klął i klął w swojej rodzimej mowie, maszerując w tę i we w tę po karawanie, tupiąc tak mocno, że kołysała się trochę. Swoim zachowaniem odciągnął mnie od myśli, że wisimy na olbrzymiej wysokości, że obok ogromnych drzew przesuwają nas tryby. Im więcej klął, tym mniej wyobrażałem sobie pękającą linę i nas dwóch spadających ku śmierci. Im więcej klął, tym mniej wyobrażałem sobie, że Królowa wysłała nas hen w przestworza i hen od ziemi po to, aby nas zgładzić.

– Jeszcze odrobinę wzwyż i pocałujemy księżyc – powiedziałem.

– Pierdolić księżyc i wszystkich jego czcicieli – odparł Mossi.

Wciąż maszerował. W tę i z powrotem, do okna, od okna, a chodząc za nim, przynajmniej obejrzałem karawanę. Na tej wysokości księżyc świecił tak jasno, że zieleń była zielona, błękit niebieski, skóra Mossiego prawie biała, bo rozcięte szaty zawiązał na biodrach, pierś pozostawiając odsłoniętą. Co za karawana to była – w pierwszej chwili sądziłem, że odwrócono wóz, aby koła znajdowały się u góry, połączone naprężonymi odcinkami sznura. Lecz patrząc, jak karawana nadyma się niby brzuszysko wielkiej ryby, uznałem ją za statek żeglujący po niebie. Był dziób i rufa jak u statku, najgrubszy pokład pośrodku jak u statku, lecz z oknami domowymi wszędzie dokoła i dachem z pni dopasowanych razem smołą. Podłoga, płaska i gładka, mokra od rosy, prawie śliska. I jeszcze to, że na tej wysokości dęło zimne powietrze, a ten, kto ostatni podróżował tą machiną, wykrwawił się wielce. Mossi chodził i złorzeczył, a gdy mnie mijał, chwyciłem go za ramię. Próbował iść dalej, próbował się wyrwać, próbował mnie odepchnąć, trzymałem jednak mocno, aż przestał sapać i kląć.

– Co?

– Stój.

– To nie ciebie upokorzyła.

– Przecież ledwie parę nocy temu byłeś bez odzienia. Wtedy się nie wściekałeś.

– Wiedziałem, gdzie jestem i z kim jestem. To, że żyję z wami wszystkimi, nie oznacza jeszcze, że przestałem być człowiekiem Wschodu.

– Z wami wszystkimi?

Westchnął i odsunął się na bok, aby wyjrzeć przez okno. Była tam chmura tak srebrna i rozrzedzona, że rozpadłaby się w nic, i druga karawana, mijająca naszą w oddali, rozświetlona blaskiem ognia.

– Jak myślisz, kim oni są? W jakich sprawach ktoś wędrowałby nocą? Dokąd zmierzają?

– Wciąż patrzysz jak prefekt?

Uśmiechnął się.

– Straże nie poszły za nami.

– Taka królowa nie postrzega mężczyzn jako wielkiego zagrożenia. Inaczej odcięliby nas, nim dotarlibyśmy na drugą stronę. I runęlibyśmy ku śmierci.

– Tropicielu, ani jedno, ani drugie nie wywoła uśmiechu na mojej twarzy. Może myślą, że skoro jesteśmy tutaj sami, we dwóch, zaczniemy mówić. Może odkryli czarodziejski sposób podsłuchiwania.

– Dolingończycy zaawansowani jak na nasze czasy, ale nie aż tak.

– Może powinniśmy udawać, że ruchamy się jak wygłodniałe rekiny, aby mieli czego słuchać. Odszpuntuj mnie, odszpuntuj bez zwłoki tym swoim taranem! Moja dziura otchłanią dla ciebie!

– Skąd wiesz, jak ruchają się rekiny?

– Tylko bóg wie, on jeden. To pierwsze zwierzę, jakie przyszło mi na myśl. Na boga, Tropicielu, czy ty się nigdy nie uśmiechasz?

– A co tu takiego, żeby się uśmiechnąć?

– Na początek finezyjność mego towarzystwa. Potem wspaniałość tego miejsca. Powiadam ci, bogowie przychodzą tutaj, aby legnąć dla wytchnienia.

– Myślałem, że czcisz tylko jednego boga.

– To nie znaczy, że nie dostrzegam innych. Z czego słyną te ziemie?

– Ze złota i srebra, i obsydianu uwielbianych w dalekich krainach. Wydaje mi się, że cytadela wznosi się tak wysoko, bo zniszczyli grunty.

– Myślisz, że te wielkie drzewa są żywe?

– Myślę, że wszystko tutaj jest żywe, dzięki temu, co trzyma przy życiu.

– Co to znaczy?

– Gdzie są niewolnicy? I jak wyglądają?

– Mądre pytanie.

Odgłosy wyprzedziły karawanę, przesuwającą się tym razem tak blisko nas, że wyczuliśmy woń duchów i dymu, tak blisko, że bębny zadudniły nam w uszach i piersi, podczas gdy inni grali na korze i lutni, jakby chcieli wyszarpać struny. Karawana minęła nas i zawiśliśmy dziób w dziób. Dudnienie powodowały nie tylko bębny, lecz także stopy mężczyzn i kobiet podskakujących i tupiących jak Ku albo Gangatom w tańcu godowym. Mężczyzna o połyskliwej twarzy pomalowanej na czerwono przysunął sobie pochodnię do ust i dmuchnął ogniem jak smok, ogniem, który zapłonął między nami. Odskoczyłem, ale Mossi stał w miejscu. Karawana nie spowolniła, sunęła dalej, aż dudnienie stało się niczym rytm zachowany w pamięci. Zmierzaliśmy do konara z dala od pałacu. Trzeciego z trzech.

– Czyjaś krew na pokładzie – powiedziałem. – Młoda krew.

– Wydaje się, że tutejsi poczynają sobie dość swobodnie. Może zabili dziecko dla zabawy.

– Co znaczy swobodnie? Słyszałem to wcześniej z ust takich ludzi jak ty.

– Ludzi jak ja?

– Ludzi z jednym smutnym bogiem. Zachowujesz się jak stara kobieta, która zapomniała, że była młoda. Jak ten twój jedyny bóg, który rozkosz uważa za marność.

– Możemy pomówić o czymś innym? Już prawie dotarliśmy na drugą stronę. Tropicielu, jaki jest nasz zamysł?

– Nie uznam jej za władczynię nad nami.

– Gdybym chciał się od niej o tym dowiedzieć, tobym ją spytał. Powiedz mi jedno. Czy jest zamysł?

– Ja o żadnym nie wiem.

– To obłęd. A więc zamysł, tak ja widzę, to czekać, póki nie wywąchasz tego bajecznego chłopca gdzieś blisko i nie pojawią się ci krwiopijcy czy czymkolwiek są, a wtedy co zrobimy? Będziemy walczyć? Pochwycimy dziecko? Zawirujemy jak tancerze? Po prostu czekamy? Nie możemy być przebieglejsi?

– Pytasz o to, czego nie wiem.

– Jak mamy ocalić to dziecko od zła, które go strzeże? A jeśli ocalimy, to co potem?

– Może powinniśmy mieć jakiś zamysł? – spytałem.

– Może powinieneś odejść i przed Sogolon udowadniać ciętość swego języka.

– Powiedzieć ci prawdę?

– Tak bym wolał, jeśli umiesz to sobie wyobrazić.

– Nigdy nie było żadnego zamysłu oprócz tego, że będziemy walczyć z tymi, którzy trzymają chłopca, bo chcemy go odzyskać. Zabijać, jeśli zajdzie potrzeba. Lecz nie ma żadnej sztuczki, strategii, podstępu, zamysłu, tak jak sam powiedziałeś. Jednak to niepełna prawda. Myślę, że zamysł jest.

– Jaki?

– Nie wiem. Sogolon wie.

– To do czego nas potrzebuje? Zwłaszcza że postępuje, jakby nie wiedziała.

Rozejrzałem się. Podglądano nas, podsłuchiwano lub śledzono ruch naszych warg.

– Przejdźmy w mrok – powiedziałem. W ślad za mną Mossi przesunął się do cienia. – Myślę, że Sogolon ma zamysł – powtórzyłem. – Ja go nie znam, ogo też nie ani nikt inny, kto dotąd z nami wędrował. Ale na tym też polega jej zamysł.

– Jak to rozumieć?

– Dla nas nie ma zamysłu, bo nas nie będzie. Zostaniemy wysłani do walki przeciw krwiopijcom, może padniemy z ich ręki, a Sogolon i dziewczyna ocalą chłopca.

– Czy nie jest to pakt, którym ty też się związałeś?

– Owszem, lecz coś się zmieniło u Sogolon, kiedy dowiedziała się, że zdążamy do Dolingo. Nie wiem, co to jest, ale wiem, że mi się nie podoba.

– Nie ufasz jej – rzekł Mossi.

– Wysłała dwa gołębie, kiedy odchodziliśmy z domu starca. Gołębie do Królowej.

– A mnie ufasz?

– Ja…

– Sercem szukasz odpowiedzi. To dobrze.

Uśmiechnął się, ja zaś próbowałem zachować powagę, ale powagę serdeczną.

– Dlaczego nie przyłożymy jej ostrza do szyi i nie zażądamy odpowiedzi? – spytał.

– Tak skłania się kobietę do posłuszeństwa na Wschodzie? Sogolon nie da się nastraszyć. Widziałeś przecież, może cię zdmuchnąć chuchem wiatru.

– Widziałem też, że ktoś na nią poluje – powiedział Mossi.

– Ktoś poluje na nas wszystkich.

– Ale jej łowca poluje tylko na nią. I poluje bez ustanku.

– Myślałem, że wierzysz tylko w jednego boga i jednego diabła.

– A ja myślę, że powtarzasz to aż do poirytowania. Tropicielu, widziałem wiele. Jej wrogowie wzrośli w siłę. Może wszyscy w słusznej sprawie. Jesteśmy u celu.

Karawana zahaczyła o coś i zadrżała. Prefektem rzuciło wprost na mnie i złapałem go, gdy uderzył głową w moją pierś. Uchwycił się moich ramion i podciągnął. Chciałem powiedzieć coś o mirze. Lub o jego oddechu na mojej twarzy. Stanął wyprostowany, ale karawana znów się zakołysała, więc przytrzymał się mego ramienia.

Pięciu strażników powitało nas u podestu, mówiąc: wylądowaliście w Mungundze, na drugim drzewie. Poprowadzili nas stromym kamiennym mostem z wartowniami po obu stronach drogi, najpierw do mojej komnaty, w której zostałem, potem, jak sądziłem, Mossiego zabrali dalej. Wyglądała, jakby wisiała na tym wielkim drzewie, zawieszona na linach. Nie wiedziałem, dokąd zabrali prefekta. Znalazłem się znowu w pokoju z posłaniem, do czego zaczynałem powoli przywykać, choć dlaczego ktoś chciałby spać na miękkim, tego nie mogłem pojąć. Im bardziej posłanie odczuwamy jak chmury, tym mniejsza nasza czujność, gdy ze snu wyrwą nas tarapaty. Lecz co za wspaniała myśl, spać w łóżku. Była woda do obmycia się i dzban mleka, by ugasić pragnienie. Podszedłem do drzwi i wtedy otworzyły się bez mego dotknięcia. Zatrzymałem się na to i rozejrzałem dokoła, dwa razy.

Balkon na dworze był wątłym podestem, szerokim może na dwa kroki i swobodnym, ze sznurem na wysokości piersi, aby uniemożliwić pijanemu upadek i dołączenie do przodków. Za tym drzewem stały dwa inne, a za nimi kilka kolejnych. Moja głowa poszukiwała słowa większego niż

„ogromny”, odpowiedniego dla miast rozległych jak Dżuba lub Fasisi, lecz ze wszystkim poukładanym jedno na drugim, sięgającym nieba, zamiast obok i wszerz. Czy te drzewa wciąż rosły? W wielu oknach migotał blask ognia. Z niektórych płynęła muzyka i osobne dźwięki frunęły na wietrze: posiłek, mężczyzna i kobieta w sprzeczce, ruchanie, płacz, głosy w głosach tworzące hałas, nikt nie spał.

I jeszcze to, zamknięta wieża bez okien, do której wchodziły i z której wychodziły wszystkie liny poruszające karawanami. Królowa mówiła prawdę, kiedy rzekła, że Dolingo nie jest poruszane czarami. Lecz czymś poruszane było. Noc odchodziła, opuszczała nas, opuszczała ludzi, którzy nie spali, opuszczała mnie, zastanawiającego się, o czym Sogolon rozprawia z Królową i gdzie się teraz znajduje. Być może dlatego poczułem to na sobie później, niżbym poczuł. Mirrę. Potarłem klatkę piersiową, przyłożyłem dłonie do nosa, wchłonąłem zapach jak trunek.

We śnie leśne małpy bujały się na pnączach, a drzewa wyrosły tak wysoko, że nie mogłem dojrzeć nieba. Był dzień i była noc, tak jak zawsze na Mrocznych Ziemiach. Słyszałem dźwięki, śmiech, który chwilami brzmiał jak łzy. Miałem nadzieję, liczyłem na to, że zobaczę prefekta, ale za prawą rękę pociągnęła mnie małpa chodząca na dwóch nogach, zaraz potem puściła i odskoczyła, i ruszyłem za nią i znalazłem się na drodze, szedłem, potem biegłem, znów szedłem i było bardzo zimno. Bałem się, że usłyszę czarne skrzydła, ale nie usłyszałem. I wtedy na zachodzie buchnął ogień i obok mnie przebiegły słonie i lwy, i wiele zwierząt, i zwierzęta o zapomnianych nazwach. Kwiczał guziec z ogonem w płomieniach. Jest chłopiec, jest chłopiec, jest chłopiec.

Obudziła mnie woń.

– Witaj w Dolingo prześwietnym, w Dolingo niepokonanym. W Dolingo, dla którego na ziemię schodzą bogowie nieba, bo w niebie nie

ma nic podobnego do Dolingo.

Stał nade mną, niski, gruby, granatowy za dnia, jak Dolingończycy byli w nocy, i niewiele brakło, bym mu powiedział, że gdybym spał, jak śpię na ogół, z toporem pod poduszką, byłby już człowiekiem bez głowy. Ale tylko potarłem oczy i usiadłem. Nachylił się tak blisko, że prawie zderzyliśmy się czołami.

– Najpierw mycie, tak? Potem jedzenie ryżu, tak? Nie? Ale najpierw mycie, tak? Nie?

Miał metalowy hełm, któremu brakowało ochrony na nos wojownika, lecz który był wykończony złotem. Wyglądał jak ktoś, kto zaraz mi o tym doniesie.

– Wspaniały hełm – powiedziałem.

– Przypadł ci do gustu? Tak? Nie? Złoto wydobyte z południowych kopalni dotarło na moją głowę. To, co widzisz, to nie brąz, lecz złoto i żelazo.

– Walczyłeś na wojnach?

– Na wojnach? Nikt nie toczy wojen z Dolingo, ale owszem, winieneś wiedzieć, że zaiste jestem bardzo odważnym człowiekiem.

– Widzę po tym, co nosisz.

W rzeczy samej, miał na sobie gruby kaftan na podpince używany przez wojowników, ale brzuch mu sterczał jak ciężarnej kobiecie. Dwie sprawy. „Mycie” oznaczało, że wezwał sługi do pokoju. Para drzwi obok otworzyła się bez użycia ręki i posługacz przyciągnął balię z drewna i smoły pełną wody przyprawionej korzennie. Dopiero wtedy dojrzałem, że tam są drzwi. Dwaj szorowali mnie kamieniami, plecy, twarz, wypucowali mi nawet jądra, z tą samą obcesowością, z jaką umyli mi podeszwy stóp. „Jedzenie” oznaczało płaską deskę, która wysunęła się ze ściany, gdzie wcześniej nie było żadnego otworu, a tamten wskazał mi gotowy już stołek, po czym

nakarmił mnie za pomocą narzędzi uwielbianych przez płochliwych ludzi z Uakadiszu, noży i łyżek, przez co poczułem się dziecięciem. Spytałem, czy jest niewolnikiem, i wtedy się roześmiał. Deska wsunęła się sama w ścianę.

– W naszej promiennej Królowej znajduje się cała mądrość i odpowiedzi na wszystkie pytania – powiedział.

Oddalili się, a ja wyszedłem, pokonałem dziesięć kroków na zimnie, wróciłem i włożyłem szaty pozostawione dla mnie. Jeśli już, to nieczęste chwile w odzieniu sprawiały, że nienawidziłem go jeszcze bardziej. Za drzwiami usłyszałem szamotaninę, przemykanie stóp, posapywanie. Wmaszerować czy się wślizgnąć, nie wiedziałem, a gdy w końcu postanowiłem otworzyć i zajrzeć, okazało się, że w środku jest pusto. Szpiedzy, przeczuwałem. Czego mogą szukać, tego nie potrafiłem odgadnąć. Naprzeciwko, przy balkonie, drzwi otworzyły się, zanim tam dotarłem. Cofnąłem się kilka kroków i wtedy się zamknęły. Postąpiłem do przodu i wtedy się otworzyły.

Znów wyszedłem i dotarłem do ścieżki biegnącej skrajem tej kondygnacji. Ziemia i kamień jakby wyciosany ze skał. Oto co się wydarzyło. Szedłem, aż natknąłem się na przerwę w obrzeżu, a do niej doczepiona była wisząca platforma z desek, w czterech rogach utrzymywana na linach. Bez ani jednego mojego słowa i nikogo wokół osunęła się stromo na niższą kondygnację. Zszedłem z platformy i ruszyłem nową ścieżką, a właściwie drogą szeroką na dwóch ludzi. Naprzeciwko zobaczyłem pałac i pierwsze drzewo. Na najniższym poziomie tego drzewa ujrzałem mały dom o trzech ciemnych oknach, z niebieskim dachem, jakby odsunięty od wszystkiego innego. Bo żadne schody ani droga do niego nie prowadziły. Stał w ogromnym cieniu rzucanym przez podest wartowni, rampę szeroką jak pole bitewne, po której maszerowały straże. Powierzchnie wydawały się połączone, a najniższa miała most zwodzony i mur w kolorze czerwonym jak

ziemia sawanny. Wyższa kondygnacja niczym mur oporowy poprowadzony półkolem. Trzecia, wysoka z masywnymi łukami u podstawy, z rozproszonymi dzikimi drzewami, a dalej jeszcze jedna kondygnacja z najwyższymi murami, wyższymi siedem, może osiem razy niż drzwi i okna. Ta pyszniła się dachami ze złota, a i tego nie było dość, bo nad nią wznosiły się dwie kolejne kondygnacje. Po prawej stronie, na poziomie moich oczu, przytwierdzone do drzewa stopnie prowadzące do wielkiej sali. Na schodach mężczyźni, po dwóch, pięciu i więcej, ubrani w niebieskie, szare i czarne płaszcze, zamiatali podłogi, siedzieli, stali i mieli miny, jakby rozprawiali o doniosłych sprawach.

– Myślałem, że jaja mi się wykrwawią, jak się do nich dobrały te pierdolone eunuchy – powiedział Mossi, gdy go zobaczyłem.

Umieszczono go właśnie na tej kondygnacji.

I wtedy myśl: dlaczego tak nas rozdzielili?

– Panowie – ciągnął Mossi – bo tak się do nich zwróciłem, to nie ja was rzezałem, nie mścijcie się więc na moim rycerzyku. Aha, to cię bawi? Bawią cię opowieści o moim cierpieniu?

Nawet nie zauważyłem, że zarechotałem. Ukazał zęby w szerokim uśmiechu. A potem twarz mu spoważniała.

– Przejdźmy się – powiedział. – Muszę z tobą pomówić.

Zastanawiałem się, jak funkcjonują drogi w mieście, które rozrasta się w górę zamiast na boki. Gdzie spadał wodospad?

– Jakże mi ciebie żal, Tropicielu. W tłumie zgubiłbym cię z oczu.

– Co?

Wskazał odzienie, które włożyłem, takie samo jak jego, jak wielu mijanych po drodze mężczyzn i chłopców, długa suknia i płaszcz spięty jedynie u szyi. Lecz tylko w trzech kolorach, które widziałem wcześniej: błękit, czerń i szarość. Niektórzy mężczyźni, każdy starszy bez wyjątku, nosili

czerwone lub zielone peleryny na bezwłosych głowach i czerwone i zielone szarfy u bioder. Te nieliczne kobiety, które zobaczyliśmy, jechały na wozach i w otwartych karawanach, jedne w białych okryciach z rękawami szerokimi jak skrzydła, u góry otwartych ku jędrnym piersiom, i zawojach w kilku barwach, zaplecionych u góry w szpic jak strzeliste wieżyce.

– Nigdy nie widziałem cię w takim stroju – powiedział Mossi.

Minął nas wóz ciągnięty przez dwa osły, ze starcem i podrostkiem na furze. Dotarli do krawędzi w zasięgu oka i przepadli. W pierwszej chwili pomyślałem, że mężczyzna powiózł ich na śmierć.

– Droga wije się kręto dokoła drzewa – wyjaśnił Mossi. – Lecz w pewnym momencie, jeśli chcą wydostać się z cytadeli, muszą być opuszczeni na takim pomoście, na jakim nas podniesiono.

– Wystarczyła jedna noc, abyś został przewodnikiem w Dolingo.

– W jedną noc możesz się wiele dowiedzieć, jeśli zaniechasz snu. Jak to na przykład. Dolingończycy budują wysoko z powodu starożytnej przepowiedni głoszącej, że pewnego dnia powróci wielki potop, a niejeden w to wierzy. Nieznajomy starzec mi to powiedział, choć być może stracił rozum od chodzenia po drogach i niewyspania. Wielki potop, który pochłonął wszystkie ziemie, nawet Wzgórza Czarów i nienazwane góry za Kongorem. Wielki potop, który wygubił wielkie zwierzęta grasujące po lądzie. Wiedz, że byłem w wielu krainach i jedno, co im wszystkim wydaje się wspólne, to właśnie ten wielki potop, który minął i który pewnego dnia znów nastanie.

– Zdaje się, że tym, co łączy najprzeróżniejsze krainy, są bogowie tak małostkowi i zazdrośni, że prędzej zgładzą wszystkie światy, niż zgodzą się na jeden, co obracałby się bez nich. Podobno mieliśmy pomówić.

– Tak.

Wziął mnie pod ramię i przyśpieszył kroku.

– Myślę, że powinniśmy przyjąć, że jesteśmy podpatrywani, jeśli nie śledzeni wprost – powiedział.

Przeszliśmy przez most i pod szeroką wieżą o wielkiej niebieskiej bramie, wyższej niż dziesięciu mężczyzn jeden na drugim. Podążyliśmy dalej, Mossi wciąż ściskając moją rękę.

– Nie ma dzieci – zauważyłem.

– Co?

– Nie widziałem dzieci. Żadnego zeszłej nocy, ale myślałem, że noc, to właśnie dlatego. Teraz dzień już długi i nadal nie widziałem żadnego dziecka.

– I na co się uskarżasz?

– A ty widziałeś? Choćby jedno?

– Nie, ale muszę ci powiedzieć o czymś innym.

– Tak samo niewolników. Dolingo nie jest Dolingo za sprawą czarów. Gdzie więc są niewolnicy?

– Tropicielu.

– Najpierw myślałem, że niewolnikami są słudzy, którzy mnie obmyli, ale oni wydają się raczej mistrzami swojego rzemiosła, nawet jeśli tym rzemiosłem jest tylko szorowanie pleców i pucowanie jąder.

– Tropicielu, mnie…

– Coś jest nie…

– Pierdolić bogów, Tropicielu!

– Co?

– Noc minęła. Byłem w komnatach Królowej. Gdy strażnicy zabrali cię do twojej kwatery, mnie zabrali do mojej tylko po to, aby mnie umyć i zaprowadzić z powrotem.

– Dlaczego kazała cię przyzwać?

– Dolingończycy to bardzo bezpośredni lud. A ona jest bezpośrednią królową. Nie zadawaj pytań, na które znasz odpowiedzi.

– Nie znam.

– Do jej komnat zabrali mnie tą samą karawaną, którą przyjechaliśmy tutaj. Tym razem było ze mną czterech strażników. Chwyciłbym za miecz, ale przypomniałem sobie, że odebrano nam broń. Królowa życzyła sobie ponownego spotkania ze mną. Wydaje mi się, że ją zaciekawiłem. Wciąż myślała, że moja skóra to dzieło czarów, tak jak włosy i wargi, które wyglądają jak otwarta rana, tak powiedziała. Kazała mi legnąć obok niej.

– Nie pytałem o to.

– Ale powinieneś wiedzieć.

– Dlaczego?

– Nie wiem! Nie wiem, dlaczego czuję, że powinieneś wiedzieć, bo przecież dla ciebie to nic nie znaczy. Przekląć to. I była zimna, Tropicielu. Na myśli nie mam tego, że była oziębła, że nie okazała uczuć ani nawet przeżywania rozkoszy, lecz że była zimna w dotyku, jej skóra zimniejsza niż wiatr północny.

– Co kazała ci robić?

– Pytasz mnie o to?

– A spodziewasz się, że o co cię spytam, prefekcie? Jak się czułeś? Jest wiele kobiet, którym mogę zadać to pytanie.

– Ja nie jestem kobietą.

– Oczywiście, że nie. Kobieta winna patrzeć na to jako na naturalny bieg spraw. Mężczyzna zaś, on pada na kolana i krzyczy: co za potworność, co za upodlenie.

– Intryguje mnie to, dlaczego nie masz przyjaciół – zakończył Mossi.

Oddalił się. Musiałem dawać susy, aby go dogonić.

– Prosiłeś mnie o uszy, a dostałeś pięść.

Zrobił jeszcze kilka kroków, po czym zatrzymał się i odwrócił.

– Przyjmuję te twoje przeprosiny, bo lepszych spodziewać się nie mogę – odparł.

– Opowiedz mi wszystko – poprosiłem.

Mungunga się budziło. Mężczyźni odziani jak członkowie starszyzny, w drodze tam, dokąd chodzi starszyzna. Dzbany niesione bez pomocy rąk w oknach rzucających ostatnie skrawki nocy do rynsztoków poprowadzonych w pniu drzewa. Mijający nas pieszo mężczyźni w szatach i czapeczkach, z księgami i zwojami, mężczyźni w spodniach i płaszczach, mijający nas na wozach ciągniętych przez osły i muły bez ogłowia. Kobiety pchające wózki przepełnione owocami, świecidełkami i jedwabiem. Ludzie uwieszeni murów oporowych, z barwnikami, kijami i szczotkami przy tworzeniu malowidła na prawym konarze przedstawiającego Królową. Wszędzie i nigdzie słodki odór kurzego tłuszczu trzaskającego nad ogniem i chleba dochodzącego w piecach. I jeszcze to, wszechobecny hałas stał się nową ciszą: obracające się tryby, trzeszczące liny, dudnienie i huk ogromnych kół w ruchu, choć w zasięgu oka nic, czemu można by przypisać te odgłosy.

– Nie pozwolili mi się nawet umyć, powiedzieli, że Królowa ma nos wyczulony na brud i kicha w reakcji na choćby najmniejsze jego przeczucie. Odrzekłem, że wobec tego jak wielu w tych stronach macie nos ślepy na odór pod własnymi pachami. Potem wtarli we mnie zapach, który miał być dla Królowej największą rozkoszą, ale mnie aż skręcało, bo cuchnęło jak łajnem rzuconym u korzeni rosnącego zboża. We włosach, w nosie, nie czujesz tego ode mnie?

– Nie.

– Zatem poranni posługacze zmyli to razem z całą moją skórą i większością włosów. Tropicielu, Sogolon tam była.

– Sogolon? Przyglądała się?

– Wszyscy się przyglądali. Żadna królowa nie rucha się sama, żaden król takoż. Jej służki, jej czarownicy, dwaj, którzy wyglądali na doradców, jeden od leków. Sogolon i wszyscy strażnicy przyboczni Królowej.

– W tej krainie coś złego. Czy ty… Jak człowiek może…

– Tak, tak, przekląć to. Wydaje mi się, że stara wiedźma obiecała Królowej coś ode mnie, a mnie nie spytała o zgodę.

– Co kazano ci zrobić?

– Co?

– Tutaj nie ma żadnych dzieci, a Królowa nakazała ci legnąć z nią już pierwszej nocy naszego pobytu. Czy ty…

– Tak, jeśli chcesz wiedzieć. Zostawiłem w niej swoje nasienie. Zachowujesz się, jakby pożądanie znaczyło cokolwiek. A nie oznacza nawet zgody.

– Nie pytam cię o to.

– Twoje oczy pytały. I wydały osąd.

– Moje oczy o to nie dbają.

– Świetnie, zatem i ja nie dbam. Później jej czarownicy i nocne służebnice obwieścili, że tak się stało, że moje nasienie w niej. Jeden z czarowników się upewnił.

– Dlaczego jakaś królowa zaciąga do łoża cudzoziemca, którego ledwie poznała, żeby zostawił nasienie w jej łonie? I dlaczego jest to sprawą dla całego dworu? Powiadam ci, Mossi, coś nikczemnego kryje się w tych stronach.

– A Królowa była zimna jak szczyt górski. Nic nie mówiła i uprzedzili mnie, abym nie patrzył wprost na nią. Wydawało się, że w ogóle nie oddycha. Wszyscy patrzyli, jakbym miał załatać dziurę w podłodze.

– Kto cię uprzedził?

– Strażnicy, którzy mnie obmyli.

– Wyglądali jak ona? Skórę mieli taką czarną, że aż granatowa?

– A czy nie ma każdy, kogo tu widzimy?

– Nie widzieliśmy niewolników ani dzieci.

– Już to mówiłeś. Tropicielu, ona ma klatkę. Klatkę z dwoma gołębiami. Dziwne zwierzę do hodowli.

– Nikt nie trzyma tego odrażającego zwierzęcia, żeby je hodować. Aesi używa gołębi. Tak samo Sogolon. Gdy ją spytałem, powiedziała, że wysyła wieści do Królowej Dolingo.

– Dwa razy kazali mi wytrysnąć w niej.

– Co Sogolon mówiła do ciebie?

– Nic.

– Powinniśmy odnaleźć pozostałych.

Chwyciłem go za rękę, pociągnąłem w niszę drzwi i przytrzymałem.

– Tropicielu, na wszystkie ruchania świata, co ty…

– Idą za nami, dwóch.

– Och, ci dwaj sto kroków z tyłu? Jeden w niebieskiej pelerynie i białej szacie, drugi w rozpiętej kamizeli i białych spodniach jak jeździec? Udający, że nie są w porozumieniu, ale wyraźnie razem? Wydaje mi się, Tropicielu, że oni śledzą tylko mnie.

– Moglibyśmy podprowadzić ich do tamtego podestu i strącić w dół.

– Czy zawsze tak szybko obmyślasz zabawę?

Odepchnąłem go. Poszliśmy dalej, pokonując tyle stopni, że nie nadążyłem porachować, zauważyłem jednak, że ścieżka wiedzie dokoła pnia pokrytego małymi dachami, wieżami i wielkimi salami, wiedzie dwa razy. I prawie przy każdym zakręcie widać było w oddali nowe drzewo. I na każdym zakręcie gniew mnie brał na Mossiego i nie potrafiłem sobie wyjaśnić, dlaczego tak jest.

– Miasto bez dzieci, za to z królową, która jest spragniona żądła, choćby twojego. Kryje się w tym chyba jakiś zaszczyt czy nie?

– Żadnego w tak niskich obyczajach.

– A jednak zrzuciłeś odzienie i stanąłeś na wysokości zadania.

– Co ci dopieka? – spytał Mossi.

Spojrzałem na niego.

– Czuję się zagubiony i nie wiem, co robić – odparłem.

– Jak możesz być zagubiony? Podążam za tobą, więc też byłbym zagubiony.

Tamci dwaj przestali na nas czekać, jęli się zbliżać.

– Może nie szukasz powodu, aby walczyć lub odnaleźć chłopca, lecz po prostu szukasz powodu – powiedział Mossi.

– Pierdolić bogów, jeśli wiem, co to znaczy.

– Życie upłynęło mi na ściganiu ludzi. A ludzie uciekają od czegoś albo do czegoś. Ty zaś wydajesz się człowiekiem bez więzi. Tobie na tym nie zależy, bo dlaczego miałoby zależeć? A zależy na czymkolwiek? Kimkolwiek?

W tej chwili pragnąłem tylko wbić mu resztę słów z powrotem do gęby.

Popatrzył na mnie ostrym okiem, czekając na odpowiedź.

– Jak postąpimy z tymi dwoma? – spytał. – Nie mamy broni, ale mamy pięści. I nogi.

– Czy oni…

– Nie odwracaj się, już są.

Dwaj mężczyźni wyglądali jak mnisi, wysocy i bardzo chudzi, jeden o długich włosach i wypielęgnowanej twarzy rzezańca. Drugi, nie tak wysoki, ale tak samo chudy, spojrzał na nas ledwie na mgnienie, potem przed siebie. Mossi chwycił za miecz, ale miecza nie było. Minęli nas. Obaj pachnęli silnie przyprawami.

W drodze powrotnej nawet myśl o bogach w harmonii nie powstrzymała mnie od złorzeczeń.

– Nie mogę uwierzyć, że ją wyruchałeś.

Obrócił się do mnie.

– Co?

Przystanąłem i spojrzałem do tyłu. Wyminął nas wóz, nic więcej. Na ulicy było pusto, ale dobiegały wołania i krzyki kupców i handlarzy na bazarach w zaułkach.

– Słyszałeś, co powiedziałem. Dzięki bogom jestem tylko pospolitym chłopcem z dżungli. A ciebie ona uważa za księcia ze Wschodu.

– Wydaje ci się, że tak właśnie jest, żeś za pospolity, aby cię wykorzystać i zabić – odrzekł Mossi.

– Jeśli pocznie, będziesz mógł podziękować bogom za to, że zostałeś ojcem wylęgu. Jak szczur.

– Posłuchaj, buszojebco, nie osądzaj mnie za to, co sam też byś uczynił. Myślisz, że stanąłem przed wyborem? Myślisz, że tego chciałem? A jak ty byś postąpił, obraził Królową jeszcze tej samej nocy, kiedy udzieliła ci gościny? Co by się wtedy z nami stało?

– To całkiem nowe wody dla mnie. Nigdy dotąd żaden człowiek nie wyruchał drugiego, abym ja jako trzeci odniósł z tego pożytek. Jeśli pocznie, przyjdą po ciebie.

– Jeśli pocznie, przyjdą po wszystkich – odparł Mossi.

– Nie, po ciebie.

– Zatem niech przyjdą. Przekonają się, że w Dolingo jest jeden mężczyzna, który nie tchórzy.

– Chętnie przyłożyłbym ci teraz z całej siły.

– Tobie, ogarze na dwóch nogach, wydaje się, że możesz uderzyć wojownika? Chciałbym, abyś spróbował.

Podszedłem do niego blisko, ręce zaciskając w pięści, ale w tej samej chwili z zaułka wyłoniło się kilku w szatach ludzi uczonych. Wyminęli nas. Trzej odwrócili głowy, idąc z pozostałymi, lecz tyłem, aby na nas popatrzeć. Zabrałem się i wróciłem do swojego pokoju. Nie chciałem ani nie oczekiwałem, aby Mossi ruszył za mną, ale tak właśnie zrobił, a gdy tylko przestąpił próg, pchnąłem go mocno na ścianę. Próbował mnie odtrącić, lecz nie mógł, więc uderzył mnie kolanem w żebra, aż się przemieściły, jakby złamał jedno. Ból poraził mi tułów i sięgnął ramienia. Wtedy Mossi odepchnął mnie z siłą. Zatoczyłem się, potknąłem, upadłem.

– Pierdolić bogów – mruknął i westchnął.

Wysunął rękę, aby mnie podciągnąć na nogi, ale to ja pociągnąłem go z nóg i walnąłem w brzuch. Runął z wrzaskiem. Skoczyłem na niego, próbując okładać, ale chwycił mnie za przeguby. Szarpnąłem i przeturlaliśmy się, wyrżnęliśmy w ścianę, potoczyliśmy do drzwi tarasowych, które się otwarły. Omal nie spadliśmy. Znów znalazłem się na Mossim i chwyciłem go za szyję. Podciągnął nogi, skrzyżował je na moim ramieniu, ściągnął mnie z siebie i skoczył, gdy walnąłem w podłogę. Uderzył pięścią, ale zrobiłem unik i grzmotnął w deski. Wrzasnął. Znów na niego natarłem, założyłem mu hak na szyję, rzucił się do tyłu i runął na podłogę, ze mną pod spodem, i wtedy powietrze uszło ze mnie przez usta i nos. Ciało nie mogło się ruszyć, oczy nie widziały. Wcisnął się pode mnie, dławiąc jedną ręką i unieruchamiając mi nogi swoimi nogami. Wziąłem zamach wolnym ramieniem, ale go sparował.

– Przestań – powiedział.

– Idź wyruchać kolcowój.

– Przestań.

– Zabiję…

– Przestań, bo zacznę łamać palce. Przestaniesz, Tropicielu? Tropicielu.

– Tak, pierdolony synu kurwy.

– Przeproś za obrazę mojej matki.

– Twoją matkę i twojego ojca…

Resztę słów wywrzeszczałem. Odgiął mi środkowy palec tak mocno, że poczułem pękanie skóry.

– Przepraszam. Złaź ze mnie.

– Leżę pod tobą – odrzekł.

– Puszczaj.

– Na bogów, Tropicielu, wypłucz tę wściekłość z siebie. Mamy większe bitwy do stoczenia od tej. Uspokoisz się? Proszę.

– Tak. Tak, tak.

– Daj mi słowo.

– Masz moje pierdolone słowo!

Puścił. Pragnąłem odwrócić się i wyrżnąć go pięścią lub spoliczkować, gdybym nie mógł wyrżnąć, lub kopnąć, gdybym nie mógł spoliczkować, lub zaprawić z byka, gdybym nie mógł kopnąć, lub ugryźć, gdyby złapał mnie za głowę. Lecz wstałem tylko, trzymając się kurczowo za palec.

– Złamany. Złamałeś go.

Siedział na podłodze, nie zamierzał wstać.

– Twój palec nie jest bardziej złamany niż żebro – odpowiedział. – Ale palce są złośliwe. Jeśli zwichnięty, pozostanie taki przez rok.

– Nie zapomnę ci tego.

– Zapomnisz. Rozpętałeś tę walkę, bo inny okpił cię na długo przed tym, zanim mnie poznałeś. Albo dlatego, że wyruchałem kobietę.

– Jestem największym głupcem. Patrzcie wszyscy, głupiec z nosem. Zwyczajny ogar ze mnie, jak powiedziałeś.

– Tropicielu, wypowiedziałem ostre słowa. W środku walki.

– Jestem ogarem z nadrzecznych stron, gdzie chaty stawia się z gówna, więc dla was wszystkich jestem po prostu zwierzęciem. I wszyscy mają po dwa zamysły, może trzy albo cztery, więc wygrywają, a inni ponoszą porażkę. Jaki jest twój drugi zamysł, prefekcie?

– Mój drugi zamysł? Mój pierwszy zakładał odnaleźć tego, kto zabił członka starszyzny i jego rodzinę, aż w końcu natknąłem się na ludzi, którzy nie chcieli zostawić w spokoju zwłok tamtych nieszczęśników. Drugi zakładał nie podążać za podejrzanym do biblioteki, którą spalono. Drugi zakładał nie zabijać własnych prefektów. Mój drugi zamysł zakładał nie umykać z bandą skurwieli, którzy nie potrafią razem nawet pokonać drogi, a wszystko dlatego, że moi bracia zabiliby mnie na miejscu. Mój drugi zamysł, możesz wierzyć lub nie, zakładał nie utknąć wśród takiej żałosnej zbieraniny cudaków tylko dlatego, że nie mam dokąd pójść.

Wstał.

– Pierdolić ciebie i twoje użalanie się nad sobą.

– Mój drugi zamysł to ocalić tego chłopca.

– Nie masz w tym żadnej korzyści.

– Mylisz się. Jedna noc. Jednej nocy było trzeba, abym stracił wszystko. W takim razie może to wszystko było nic, skoro utracone tak szybko? Teraz tylko ten chłopiec może sprawić, że moje życie będzie wyglądać tak, aby to, co zdarzyło się kilka dni temu, miało jakikolwiek sens. Skoro pisane mi utracić wszystko, to pierdolić bogów i diabły, jeśli moje życie nie zyska jakiegoś sensu. Ten chłopiec to jedyne, co mi pozostało.

– Sogolon chce go ocalić sama. Może z dziewczyną i bawołem, aby chronili ich w drodze powrotnej do Manthy.

– Pierdolić po tysiąckroć, czego chce Sogolon. Nadal potrzebuje ciebie, żeby odnaleźć chłopca. To proste, Tropicielu. Nie przekazuj jej żadnych wieści.

– Nie…

Spojrzał na mnie i przyłożył palec do ust. I kiwnął głową przez ramię. Podszedł po cichu, aż ustami znalazł się przy moim uchu, i szepnął:

– Twój nos czuje?

– Czuje wszystko i nic. Drewno, skórę, smród spod pachy, wonie ciała. Bo?

– Wyszorowano nas obu do czysta.

– Czujesz zapach, którego nie znasz?

Zamieniłem się z nim miejscami i cofnąłem się powoli na drugi koniec pokoju. Uderzyłem łydką o stołek i przesunąłem go na bok. Podążając za mną nieśpiesznie, Mossi podniósł stołek za nogę. Zatrzymałem się przed ścianą, tą samą, z której wcześniej wyłonił się stół, i się odwróciłem. Kleik, olej drzewny, sznury z suchej trawy i pot, i znowu smród niemytego ciała. Za ścianą? W ścianie? Wskazałem deski, a twarz Mossiego zadała mi to samo pytanie. Pacnąłem drewno i coś przemknęło jak szczur.

– Chyba szczury – szepnął.

Przesunąłem palcami po wierzchu i zatrzymałem się przy szczelinie szerokiej może na trzy palce. Zacisnąłem dłoń i szarpnąłem. Szarpnąłem drugi raz i drewno odpadło od ściany. Zacisnąłem rękę w środku i wyrwałem deskę.

– Mossi, na bogów.

Zajrzał i stracił dech. Patrzyliśmy. Potem chwyciliśmy za deski i oddarliśmy wszystkie, dechy wysokie jak my, a to, co nie chciało się ruszyć, usunęliśmy kopniakami. Mossi niemal w panice dopadał belek, jakby uciekał drogocenny czas. Szarpaliśmy, wyrywaliśmy, kopaliśmy, aż zrobiliśmy w ścianie dziurę wielkości bawołu.

Chłopiec nie stał ani nie leżał, spoczywał oparty na posłaniu z suchych liści. Oczy miał szeroko otwarte, jakby widział coś przerażającego. Był

przestraszony, ale nie mógł mówić, chciał umknąć, ale nie dał rady. Krzyczeć też nie mógł z powodu czegoś jak wnętrzności zwierzęce, co wepchnięto mu do ust i gardła. Ruszać się nie mógł z powodu sznurów. Wszystkie kończyny – nogi ze stopami, ręce z dłońmi, szyja, palce – były przywiązane do naciągniętych lin. Oczy, wybałuszone i wilgotne, wyglądały na ślepe, czarne kręgi zszarzałe jak krnąbrne niebo. Wyglądał na ślepca, ale widział nas, bo tak był strwożony naszym nadejściem, że szarpał się i wrzeszczał, i chciał osłonić twarz przed ciosem. Od tego wszystkiego pokój dostał obłędu, stolik wsuwał się i wysuwał, rozkołysane drzwi otwierały się i zamykały, liny balkonu poluźniały i zaciskały, wiadro na gówno się opróżniło. Był przywiązany sznurem w pasie, aby nie mógł się ruszać, ale w jednej z desek wywiercono otwór na oko, więc tak, widział nas.

– Nie skrzywdzimy cię – powiedział Mossi.

Wyciągnął rękę, aby dotknąć jego twarzy. Chłopiec walił głową w posłanie, odwracając się przed spodziewanym uderzeniem. Z oczu popłynęły łzy. Wrzasnął pod wnętrznościami w gardle, bo Mossi dotknął jego policzka.

– Nie zna naszej mowy – rzekłem.

– Popatrz na nas, żaden z nas nie jest granatowy, nie jest granatowy – powtórzył Mossi i znów długo, powoli pogłaskał policzek.

Chłopiec wciąż się miotał i szarpał, a stoły, okna i drzwi wciąż się otwierały i zamykały, wysuwały i zatrzaskiwały. Mossi głaskał i głaskał, aż chłopiec uspokoił się i zastygł.

– Chyba czarami przywiązali te sznury – powiedziałem, bo nie mogłem rozsupłać węzłów.

Mossi wetknął palec w otworek w prawym sandale i wyciągnął mały nóż.

– Gdy wejdziesz w gówno, strażnicy tracą ochotę do sprawdzania twoich butów – wyjaśnił.

Odcięliśmy wszystkie sznury, ale chłopiec nadal przywierał do suchej trawy, nagi i zlany potem, a oczy miał tak szeroko otwarte, jakby nigdy nie czuł nic poza przerażeniem. Mossi chwycił za rurkę wetkniętą w usta, spojrzał z ogromnym smutkiem na chłopca i rzekł:

– Tak mi przykro, tak mi przykro.

Wyciągnął ją, nie gwałtownie, ale szybko, przestał ciągnąć dopiero, gdy wszystko wyszło na wierzch. Chłopiec zwymiotował. Sznury przecięte, okna i wszystkie drzwi wreszcie zawarte. Popatrzył na nas, ciało miał obtarte od więzów, usta mu drżały, jakby chciał przemówić. Nie powiedziałem Mossiemu, że być może wycięli mu język. Mossi, prefekt w jednym z najbardziej awanturniczych miast Północy, widział wszystko, ale nie takie okrucieństwo.

– W każdym domu, w każdym pokoju, w tych karawanach, wszędzie tak jest.

– Wiem, wiem – odrzekł.

– Wszędzie, dokąd dotrę, aby ocalić porwanego chłopca, natykam się na coś gorszego niż to, od czego próbuję go ocalić.

– Tropicielu.

– Nie. Te potwory go nie zabiją. Żadna szkoda mu się nie stała. Żadna. Wyczuwam go, żyje, nie idzie od niego woń śmierci ani rozkładu. Spójrz na tego chłopca, którego trzymasz w rękach, nie może nawet stać o własnych siłach. Ile księżyców był trzymany za tą ścianą? Od urodzenia? Popatrz na ten koszmar, jakim jest to miejsce. Czy tamci krwiopijcy mogą być gorsi?

– Tropicielu.

– Mogą? Ty i ja jesteśmy tacy sami, Mossi. Gdy ludzie nas wzywają, wiemy, że zaraz zetkniemy się ze złem. Z kłamstwem, oszustwem, biciem, okaleczaniem, mordem. Mam silny żołądek. Lecz ciągle uważamy, że potwory mają szpony i łuski na skórze.

Chłopiec spojrzał na Mossiego, rozcierającego mu ramiona. Przestał dygotać, popatrzył za drzwi balkonowe, jakby na dworze było coś, czego nigdy nie widział. Mossi posadził go na stołku i odwrócił się do mnie.

– Myślisz, co możesz zrobić – powiedział.

– Skoro ty nic nie mówisz.

– Nigdy bym ci nie mówił, co masz myśleć. Tylko… Posłuchaj, Tropicielu. Przyszliśmy tutaj po chłopca. Jest nas dwóch przeciw całej krainie i nawet ci, którzy z nami przybyli, mogą się zwrócić przeciwko nam.

– Każdy, kogo dotąd spotkałem, mówi mi: Tropicielu, nie masz po co żyć ani za co umrzeć. Jesteś takim człowiekiem, że gdybyś zniknął dzisiejszej nocy, niczyje życie nie stałoby się przez to gorsze. Może właśnie za to warto umrzeć. Powiedz to.

– Co powiedzieć?

– Powiedz, że sprawa jest większa niż ja, niż my, że to nie nasza walka, że to droga głupców, a nie mądrych, że to bez różnicy… A co zamierzasz powiedzieć?

– Których parszywych synów kurew zabijemy najpierw?

Wybałuszyłem oczy.

– Rozważ, Tropicielu. Zamysł polega na tym, abyśmy nigdy stąd nie odeszli. Zostańmy więc. Ci tchórze od tak dawna żyją bez wrogów, że miecze prawdopodobnie biorą za błyskotki.

– Mają setki setek zbrojnych. I jeszcze setki więcej.

– Nie dbajmy o setki zbrojnych. Tylko o tych kilku na dworze. A zacznijmy od wstrętnej Królowej. Dostrójmy się teraz, zagrajmy głupców. Wkrótce wezwą nas przed tron, dziś wieczorem. Teraz powinniśmy nakarmić tego…

– Mossi!

Stołek stał pusty. Drzwi na taras kiwały się w tę i we w tę. Chłopca nie było w pokoju. Mossi wybiegł na balkon tak szybko, że musiałem chwycić go za szatę, aby nie spadł. Krzyczał, choć żaden głos nie wychodził z jego ust. Wciągnąłem go z powrotem, ale wciąż rwał się do przodu. Objąłem go mocno, mocniej i mocniej. W końcu przestał walczyć i się rozłączyliśmy.

Czekaliśmy zmierzchu, aby wyruszyć na poszukiwanie ogo. Głupiec, który mnie wcześniej nakarmił, przyszedł i oznajmił, że dwór spożywa wieczerzę, choć bez Królowej. Powinienem iść do doków i zaczekać na karawanę, kiedy zabrzmi bęben. Nie, tak? Mossi z nożem skrył się za drzwiami. Ktoś przecież widział, że chłopiec skoczył w objęcia śmierci, nawet jeśli przez całą drogę na dół biedne dziecko nie wydało z siebie głosu. A może w Dolingo niewolnik ginący w upadku był rzeczą powszednią. O tym właśnie myślałem, gdy tamten próbował wsadzić głowę w drzwi mej kwatery, aż w końcu rzekłem: Panie, jeśli wejdziesz, ciebie też wyrucham, a wtedy jego granatowa skóra zzieleniała. Powiedział, że wróci na prześwietne śniadanie jutro rano, nie? Tak.

Wyczułem Sadogo w MLumie, a więc na trzecim drzewie, bardziej przypominającym słup z olbrzymimi skrzydłami do chwytania światła słonecznego. Mossi lękał się, że strażnicy będą mieć nas na oku, ale pycha Dolingo była tak wielka, że w dwóch przyszłych rozpłodnikach nikt nie widział zagrożenia. Powiedziałem, jakże osobliwy musi wydawać im się nasz oręż, nie tylko nasz, ale wszelki. Przypominali rośliny bez ciernia, które nigdy nie zaznały zwierzęcia, co by je zjadło. Gdy na spojrzenia mężczyzn i kobiet Mossi chwytał za nóż ukryty pod płaszczem, dotykałem go w ramię i szeptałem: ilu ludzi widzieli o takiej skórze jak twoja? Kiwał głową, zachowując spokój.

W MLumie karawana zatrzymała się na piątej kondygnacji. Sadogo kwaterował na ósmej.

– Nie wiem, czemu jest taka cierpka – powiedział. – Cierpka była, zanim jeszcze przybyliśmy do tego miasta.

– Kto, Venin? – spytałem.

– Przestań nazywać mnie tym wstrętnym imieniem, tak do mnie rzekła. Ale przecież to jej imię, jak więc mam ją zwać? Byłeś przy tym, gdy powiedziała: moje imię Venin, prawda?

– Dla mnie zawsze była cierpka, więc…

– Cierpka nie była nigdy. Czy ja taki byłem, kiedy pozwoliłem jej usiąść na mym ramieniu?

– Sadogo, są pilniejsze sprawy, o których winniśmy pomówić.

– Venin, dlaczego umieścili nas z dala od innych? Tylko tyle powiedziałem, a ona do mnie, że to nie jest jej imię, i wrzeszczy, bym zabrał te swoje łapska i mordę potwora i bym nigdy nie podchodził, bo jestem grozę budzącym wojownikiem, który chce spalić świat. A potem nazwała mnie szoga. Stała się inna.

– Sadogo, może widziała wszystko inaczej niż ty – powiedział Mossi. – Kto się wyznaje na kobietach?

– Nie, jest inna i…

– Nie mów Sogolon. Jej wychudła dłoń tkwi w zbyt wielu misach, abyśmy mogli wszystkie zliczyć. Jest zmowa, Sadogo. I być może dziewczyna sprzysięgła się z Sogolon.

– Splunęła, gdy wypowiedziałem jej imię.

– Kto wie, dlaczego kobiety się awanturują? Ogo, mamy ważniejsze sprawy.

– Te niezliczone sznury, co pojawiają się znikąd i wszystko ciągną. Parszywe czary.

– Niewolnicy, ogo – rzekł Mossi.

– Nie rozumiem.

– Zostawmy rozstrzygnięcie tego na inny dzień, Sadogo – powiedziałem. – Wiedźma ma swoje zamysły.

– Nie chce odzyskać chłopca?

– Chce, to nadal jej dążenie. Ale my już się w tym nie mieścimy. Zamierza sama wziąć chłopca, gdy go odnajdę, i działa z pomocą Królowej. Podejrzewam, że Sogolon i Królowa dobiły targu. Być może, gdy Sogolon uratuje chłopca, Królowa da jej glejt na wędrówkę do Mueru.

– Ale to my tak chcemy. Po co więc podstęp?

– Nie wiem.

– Venin, ona mnie wypchnęła jedną ręką za drzwi. Tak wielki wstręt do mnie czuje.

– Wypchnęła cię? – spytałem. – Jedną ręką?

– Właśnie mówię.

– Widziałem, jak rozwścieczona kobieta wywróciła wóz pełen żelaza i przypraw – wtrącił Mossi. – Być może to był mój wóz, a być może to ja ją rozwścieczyłem.

– Sadogo – odezwałem się głośno, aby uciszyć Mossiego. – Musimy mieć się na baczności, musimy odzyskać broń, musimy wydostać się z tej cytadeli. Co czujesz w sprawie chłopca? Jego też powinniśmy ocalić?

Spojrzał na nas obu, potem poza drzwi, marszcząc brew.

– Powinniśmy ocalić chłopca – odparł. – Nie ma w nim winy.

– A więc oto co zrobimy – rzekł Mossi. – Zaczekamy, aż przybędą do Dolingo. Sami się z nimi rozprawimy, nie mówiąc nic wiedźmie.

– Potrzebujemy broni – powtórzyłem.

– Wiem, gdzie ją trzymają – powiedział Sadogo. – Żaden człowiek nie mógł udźwignąć moich rękawic, więc zaniosłem je do nadzorcy mieczów.

– Gdzie to?

– Na tym drzewie, na najniższym poziomie.

– A Sogolon gdzie? – spytał Mossi.

– Tam – odparł ogo i wskazał za nami.

Na pałac.

– Dobrze. Ruszamy, gdy nadejdą krwiopijcy. Do tej pory…

– Tropicielu, co to? – spytał Mossi.

– Co co?

– Ty masz nos czy nie masz? Słodki zapach w powietrzu?

Poczułem, gdy wypowiedział te słowa. Woń stawała się coraz słodsza i silniejsza. W czerwonym pokoju żaden z nas nie dostrzegł pomarańczowej mgły wstającej z podłogi. Mossi padł pierwszy. Zachwiałem się, osunąłem na kolana, zobaczyłem, że Sadogo dobiega do drzwi, z gniewu grzmoci pięścią w ścianę, ląduje na pośladkach, potem wali się na plecy jak długi, aż pomieszczenie się zatrzęsło i wszystko zasnuła biel.

19

Wiedziałem, że ubyło siedem dni, odkąd wyruszyliśmy z Kongoru. Czterdzieści i trzy od rozpoczęcia wędrówki. Upłynął już cały jeden księżyc z dużym naddatkiem. Wiedziałem, bo rachowanie w głowie utrzymywało moje stopy na ziemi. Zdawałem sobie też sprawę, że znajdujemy się w pniu jednego z drzew. Na mojej szyi wielka obręcz przymocowana do długiego ciężkiego łańcucha. Ręce skute na plecach. Odzienie odebrane. Musiałem się odwrócić, aby dojrzeć kulę, do której przytwierdzono łańcuch. Jedno i drugie z kamienia. Ktoś im doniósł o mnie i metalach. Sogolon.

– Teraz mów, gdzie jest chłopiec.

Kanclerz. Królowa zapewne przebywała na piętrze, czekała na wieści. Nie, nie Królowa.

– Jeśli Sogolon chce poznać nowiny o dziecku, każ wiedźmie przyjść, żeby sama usłyszała.

– Chłopcze, chłopcze, chłopcze, dobrze byłoby, abyś mi powiedział o tym, co mówi twój nos. Bo gdy ja wyjdę, przyjdą inni, z narzędziami.

Kiedy ostatnim razem znajdowałem się w ciemnej zamkniętej przestrzeni, dopadły mnie zmiennokształtne kobiety. Skrzywiłem się na to wspomnienie, a głupiec wziął to za objaw strachu przed torturami, którymi mi zagroził.

– Wyczuwasz chłopca?

– Będę rozmawiał z wiedźmą.

– Nie, nie, tak się nie stanie. Czy…

– Wyczuwam kozę, kozią wątrobę.

– Ależ biegły jesteś, człowieku z Ku. Śniadaniem w istocie była wątroba i sorgo z mych własnych pól, i kawa od kupców z Północy, wyborna, o tak.

– Ale kozia wątroba, którą czuję, jest surowa, i dlaczego smród bije z twego krocza, kanclerzu? Twoja Królowa wie, że uprawiasz białą naukę?

– Nasza prześwietna Królowa zezwala na uprawianie wszelkiego rzemiosła.

– Pod warunkiem że nie odbywa się to na dworze prześwietnej Królowej. Widzisz, będziesz mnie teraz musiał wziąć na męki, a przynajmniej zabić. Bo wiesz, że to prawda i że nic nie powstrzyma mnie od powtarzania tego każdemu, kto gotów będzie słuchać.

– Chyba że wytnę ci język.

– Jak waszym niewolnikom? Czy twoja Królowa nie chce mieć nas, wędrowców, w całości i zdrowiu?

– W całości i zdrowiu nasza Królowa potrzebuje tylko jednej części waszego ciała.

Ścisnąłem mocno uda bez jednej myśli, a on wybuchnął głośnym śmiechem.

– Chłopiec gdzie?

– Chłopiec nigdzie. Nadal wędruje z Uakadiszu, czy to nie trwa wiele dni? Możesz go tam spotkać.

– Jesteście tutaj, bo chcecie go spotkać w Dolingo.

– Nie ma go w Dolingo. Gdzie wiedźma? Czy tego słucha? Ma na usługach twoje ucho czy jesteś tylko tłustym echem ważniejszych głosów?

Zasyczał.

– Widzisz, owszem, mawiają, że mam nos, ale nikt ci nie powiedział, że mam też usta.

– Jeśli wyjdę, to wrócę z…

– Z narzędziami. Za pierwszym razem te słowa bardziej mnie przeraziły.

Wstałem. Kanclerz odskoczył lekko, choć byłem skuty kajdanami i nie miałem dokąd pójść.

– Nie będę mówił ani z tobą, ani z twoją Królową. Tylko z wiedźmą.

– Mam upoważnienie…

– Tylko z wiedźmą. Albo bierz się do tortur.

Zadarł agbadę nad stopy i zostawił mnie samego.

Wyczułem jej woń, mimo to jej nadejście mnie zaskoczyło. Drzwi naprzeciw mojej celi otwarły się i weszła do środka. Eskortowana przez dwóch strażników kilka kroków w tyle. Ten, który miał klucze, otworzył wrota i oddał do jej dyspozycji dużą przestrzeń. Jeden i drugi próbowali nie okazać strachu przed Wiedźmą Księżyca. Usiadła w mroku.

– Wiem, że się nad tym zastanawiasz – przemówiła. – Zastanawiasz się, dlaczego w Dolingo nie widać dzieci.

– Nie. Zastanawiam się, dlaczego cię nie zabiłem, gdy miałem sposobność.

– Niektóre miasta wypasają bydło, inne sieją pszenicę. W Dolingo hoduje się ludzi, i to nienaturalnym sposobem. Nie musisz znać wyjaśnienia, poza tym opowieść o tym trwałaby lata. Wystarczy, byś wiedział, że księżyc po księżycu, rok po roku, ciąg lat po ciągu lat nasienie i łono Dolingo okazują się bezużyteczne. A to, co nie jest jałowe, wydaje potwory nieopisanej szpetoty. Złe nasienie wchodzi do złego łona, raz po raz w tych samych rodach, i Dolingończycy przechodzą od dzieci najmądrzejszych do najgłupszych. Pięćdziesiąt lat zabrało, aby w końcu jeden rzekł do drugiego: spójrzmy na siebie, potrzeba nam nowego nasienia i nowego łona.

– Obiecaj mi, że będą potwory w tej nudnej opowieści.

– Większe niźli czary. Jeśli ona pocznie, chwytają go, zabierają do pnia. Jest jak beczka, którą wysączają do ostatniej kropli. Wysączają, póki nie zemrze. Ale tak się robi tylko dla tych z królewskiego rodu. Dla ludu mężczyzn chwytają, wysączają i zabijają. Nawet twojego ogo, którego nasienie jest do niczego, bo tutejszy uczony i czarownik potrafią je zasiać i sprawić, by wzrosło.

– Zatem cytadela powinna być pełna dzieci. Są ukryte?

– Potem biorą dziecko, nim się narodzi, i przechowują je w wielkim łonie, karmią i hodują, aż będzie duże jak ty. Dopiero wtedy się rodzi. Zdrowe i żyć będzie długo.

– Człowiek moich lat mówi babababa i sra pod siebie kilka razy na dzień. Oto wielkie Dolingo.

– Minęły dwa dni. Gdzie chłopiec?

– Nie ma dzieci, nie ma niewolników, wędrowców też nie ma. Wiedziałaś. Wiedziałaś od chwili, gdy mapa ukazała, że kolejne drzwi prowadzą do Dolingo.

– Nikt nie ma zapewnionej bezpiecznej wędrówki do Dolingo – odparła Sogolon. – Widzisz, że głowy mają nabite tylko myśleniem. Trzeba wielu próśb, dokumentów, traktatu, aby choćby przejść główną ulicą. Przyjrzyj się wspaniałości cytadeli. Myślisz, że zbudowaliby ją, pozwalając ludziom na przejazd i wykradanie ich tajemnic? Nie, głupcze. Wszystkich, którzy wejdą na ich ulice, wykorzystają do hodowli, i zabijają każdego, kogo wykorzystać nie dadzą rady.

– Wysłałaś gołębie, aby ją uprzedzić, że nadchodzimy. Z darami.

– Dlaczego tak długo mitrężą w Uakadiszu?

– Tymi darami ja, prefekt i ogo.

– Dlaczego nie przybywają? – spytała Sogolon.

– Może kobiety w Uakadiszu mają więcej mięsa i krwi. Nie jesteś kobietą z Południa?

– Aesi wędruje już w karawanie do Dolingo.

– Ktoś cię zdradził? Co na to powiesz, Sogolon?

– Tylko żarty ci w głowie.

– A tobie tylko zdrada.

– Były dwa Dolingo. Tak jak był Malakal przed Malakalem. Stare Dolingo nie miało królowej ani króla, miało za to wielką radę, złożoną z samych mężczyzn. Dlaczego los całego królestwa składać w ręku jednego człowieka, tak podobno ludzie im powiedzieli, lecz to kłamstwo, bo nigdy nie pytali ludzi o nic. Tamci odrzekli: czemu przyszłość naszą składać w rękach jednego? Gdy władzę wkładasz w ręce człowieka, to prędzej czy później zaciśnie je w pięści. Zapomnijcie o królach i królowych, powołajcie radę najmędrszych. Wkrótce potem najmędrsi słuchali tylko najmędrszych i stali się głupcami. Niebawem każda decyzja, począwszy od tego, gdzie gromadzić gówno i z kim toczyć wojnę, zabiera im tak dużo czasu, że gówno spływa ulicami i omal nie przegrywają wojny z czterema siostrami Południa. Dziesięciu i dwóch ich, w tej radzie, a gdy osiągają zgodę, żaden nie widzi niczego przez swoją pychę. Gdy nie ma wśród nich zgody, spierają się i spierają, a ludzie głodują i umierają, oni zaś wciąż pyszni w przekonaniu, że to dowód mądrości. Lud Dolingo dostrzega prawdę. Bestia o dziesięciu i dwóch głowach wcale nie mądrzejsza dziesięć i dwa razy. To potwór, co zakrzyczy sam siebie. Lud Dolingo zabija więc dziesięciu i jednego, a ostatniego obiera królem.

– Wciąż lękają się wielkiej powodzi, co nigdy nie występuje z brzegów – odparłem.

– Teraz są przedmiotem zazdrości dziewięciu światów. Każdy król pragnie się z nimi sprzymierzyć, każdy król pragnie ich podbić. A pierwszy

mądry dekret Króla? Dolingo nie będą toczyć wojny ani mieć wrogów, nieważne, kto by to był. Będą handlować i z zacnymi, i z nikczemnikami.

– Opowieść ani dobra, ani krótka.

– Mówiłam Amadu, że żadnego z was nie potrzebuje. Wystarczyło byle pięciu, sześciu wojowników i ogar. Owszem, ty jesteś mi potrzebny, ale nawet tyś głupcem. Każdy jeden z was głupcem. Tak długo warczycie i złorzeczycie jak głodna hiena, że żaden nie ma czasu znaleźć własnego gówna, a co dopiero zaginionego chłopca. Chcesz wiedzieć, czym Kongor dla mnie? Kongor jest tam, gdzie mężczyzna uczy mnie o swym prawdziwym pożytku. I nawet to ostatnie, do czego się nadaje, to świecznik nadaje się do tego lepiej.

– A jednak pomagasz odnaleźć chłopca, z którego będzie mężczyzna – powiedziałem.

– Ale wiesz, co zrobię? Wiesz, co zrobię? Dokonam największej pomsty. Pogrzebię was wszystkich. Każdego. Byłam u każdego łoża śmierci. Przy każdym nieszczęściu. Każdej pladze złych duchów. Każdym przystępie zguby. I się śmieję. A jeśli nóż wszedł do połowy, wpycham go głębiej. Wędruję w powietrzu i zatruwam twój umysł. I wciąż jestem żywa. Pogrzebię ciebie, twego syna i syna jego syna. I żyć będę. Ja… ja…

Urwała i rozejrzała się dokoła, jakby dopiero teraz zobaczyła celę.

– Może wróć stamtąd, gdzie teraz jesteś – rzekłem.

– Co za dzień…

– Że mężczyzna mówi ci, co masz robić. Nie masz w swoim łbie na tyle dużo duchów, żeby zrobić to sama?

– Rozprawiamy o tobie. A ty rozprawiasz o wszystkich, tylko nie o mnie. Spójrz, co nawyczynialiście. Drużyna rozpadła się, zanim na dobre zawiązała się w dolinie. Trójka wyrusza na Mroczne Ziemie, jeden musi iść ich

śladem, bo wyście mężczyźni, a mężczyzna nigdy nie słucha. To nas opóźniło o cały księżyc.

– Dlatego nas sprzedałaś.

– Dlatego usunęłam was z drogi.

– Mimo to popatrz na mnie i popatrz na siebie. Jedno z nas ma nos, a drugie go potrzebuje – powiedziałem.

– Jedno z nas w łańcuchach, drugie bez.

– Nigdy nie umiesz poprosić o przysługę.

– Królowa potraktuje ciebie, prefekta i ogo lepiej niż nałożników.

– Czy da każdemu po pałacu, w którym nigdy nie złoży wizyty?

– Przez nieskończone lata mężczyźni mówią mi, że byłoby to życie nad wszelkie życie. A teraz nadchodzi Królowa Dolingo ze słowami, że nie wymaga się nic więcej, jakkolwiek długo przyjdzie wam żyć. A z męskich przechwałek wynikałoby, że to największy dar.

– Byłby o wiele większy, gdyby mężczyzna miał wybór.

– Ty teraz jak kobieta we wszystkim. Jak się czujesz?

– Każ griotom zaśpiewać pieśń o twoim zwycięstwie nad mężczyzną.

– Mężczyzną? Przecież ty tylko nos.

– Nos, z którego usług wciąż potrzebujesz skorzystać.

– Owszem, nos, z którego może być jeszcze pożytek. Reszta ciebie tylko przeszkadza. A gdy odzyskam chłopca, to wiedz, że dopomogłeś przywrócić naturalny porządek spraw na Północy. Niech ta myśl cię pociesza, gdy będziesz przywykał do reszty dni swego życia tutaj.

– Tutaj, gdzie wszystko wbrew naturze. Niech diabeł pierdoli Północ.

– Chłopcze, dobrze mi się przyjrzyj, bo nigdy wcześniej mnie nie widziałeś. Nigdyś nie był w Kongorze? Nie widział gromadzących się Siedmiu Skrzydeł? Co myślisz, jest w sercu tego Króla? Król Południa za bardzo myli swój tron z wychodkiem, żeby wszcząć wojnę, więc dlaczego się

gromadzą? I nie tylko najemnicy są w Kongorze. Piechotę przyzwano księżyc temu z granicy Malakalu i Uakadiszu. Jeźdźcy z Fasisi zwołani do obozu. Król Południa jeden szaleniec. Król Północy drugi, wiele gorszy. Najpierw pogwałci traktat i ruszy na Uakadiszu, zważ na moje słowa. I tego nie będzie mu dość, bo nigdy nie jest dość w tym zatrutym rodzie. Potem wyruszy podbijać wszystko, co tylko zdoła dojrzeć na mapie. Dolingo.

– Niech spali Dolingo do szczętu.

Zrobiła krok do przodu, wciąż jednak poza zasięgiem mnie spętanego kajdanami.

– Ha, i myślisz, że poprzestanie na Dolingo i wolnych krainach? Jak ci się wydaje, co zrobi z Ku, Gangatom i Luala Luala? Większe królestwo potrzebować będzie więcej niewolników. Jak myślisz, skąd ich weźmie? Nie będzie dbał o to, czy mają nogi jak żyrafa, czy nóg nie mają wcale.

– Z gównem zbratana wiedźmo.

– Z gównem zbratana wiedźma, która wie, że jedyną przyszłością dla twoich dzieci jest powrót Fasisi jako prawdziwej Północy. On już bierze mężczyzn i każdego zdrowego chłopca z Luala Luala. Świat wiruje od dawna i wszystko straciło równowagę. A pomarszczona wiedźma, na którą patrzysz? Weźmie wszystko i każdego, zwłaszcza chłopca mniejszego niż maźnięcie gówna na ścianie więziennej celi, by osadzić z powrotem na tronie prawdziwą linię siostrzaną. Odtworzyć prawdziwą Północ. Przyszłość Północy w źrenicy tego chłopca. I może wtedy powrócą bogowie. Przyszłość większa jest niż ja, większa niż ty, większa nawet niż Fasisi. Nie spodziewam się, że to pojmiesz, wciąż śpisz, a taki jak ty z tego snu nigdy się nie zbudzi.

– Więc w snach szukaj mojej pomocy, suko.

– Królowa lubi mieć nowego nasieniodawcę w całości, taka jest prawda. Już go wybrała i nie ty nim zostałeś. Śliczny prefekt niezgorzej ją wyruchał,

byłam przy tym, widziałam. Tak dobrze, że nawet się nie połapała, że on lubi mężczyzn. Będzie mu się tutaj pysznie żyło, póki nasienie nie dojrzeje albo się nie zepsuje, albo on się zestarzeje, albo ona się znudzi, a wtedy wyśle go do komnaty ognia, żeby inny z niego zrobiono użytek. Ale ty? Nie dbają o to, którą część twojego ciała zmiażdżą, zetrą, odetną, byle nie tę. Wysłuchaj mnie, głupcze. Ty nigdy nie miałeś w tym wielkiego interesu, wiesz to. Nic nie traciłeś, a zdobyć mogłeś ledwie trochę pieniądza. Mniej, niż rzucam żebrakom na ulicy. Ale teraz masz dużo do stracenia. Widzisz tych ludzi, całe życie trzymają niewolników w jarzmie. Myślisz, że nie wiedzą, co mają z tobą zrobić?

– Jedna sprawa, Wiedźmo Księżyca. Tak cię nazywają, prawda?

– Mężczyźni zawsze dają kobiecie imię, chociaż już jedno ma.

– Używasz słów jak kobieta, jakbyś mówiła za kogoś. Jakbyś przychodziła ze zgromadzenia sióstr. A ile sióstr zdradziłaś?

– Przyszłość Fasisi większa niż wszystkie twoje słowa.

– Ale pozostaje jedna sprawa.

– Co to za sprawa?

– Gdy w końcu umrę, z rąk Dolingończyków, ile runów będziesz musiała napisać każdej nocy, żeby powstrzymać mnie od nadejścia?

Odsunęła się, wchodząc w mrok, zanim zdążyłem dojrzeć jej twarz. Ręce opuściła do boków.

– Jesteś w Meleleku. Rób, jak ci mówią, a długo żyć będziesz.

– Znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zrobię tak, jak mi mówią. Zabiję dziesięciu strażników, inaczej oni będą musieli zabić mnie. A potem zostaniemy we dwoje, ty i ja, spleceni w wiecznym tańcu w twojej głowie.

Podeszła do wrót zmęczona patrzeniem na mnie.

– Przyszłość Fasisi większa od wszystkich twoich słów.

– Drugi raz to mówisz. Zaprawdę, Sogolon, powinnaś zabrać tę swoją pomarszczoną…

Wyszła ze smugi cienia, lecz nie znalazła się na tyle blisko, abym mógł ją dopaść. Spojrzała dokoła, potem na mnie i się uśmiechnęła.

– Chłopiec – rzekła – jest tutaj.

– Życzeń nie ziszcza ich wypowiedzenie.

– Jest w twoim nosie. Głową szarpiesz w prawo tak mocno, że zaraz skręcisz sobie kark. A więc jest na Wschodzie. Powiedz mi gdzie, powiedz mi teraz, a nigdy więcej nie zaznasz bólu.

– Jestem zjednany z bólem.

– Powiedz mi, gdzie jest, a zaraz znajdziesz się w swojej komnacie, a jedzenia dostaniesz, ile dusza zapragnie. Dolingo to niedobre miejsce dla ciebie i mężczyzn twojego pokroju, lecz kto wie, może znajdą dla ciebie jakiegoś chłopaczka. Albo eunucha.

– Zabiję cię. Myślisz, że muszę przysięgać na bogów? Pierdolić czarownice, pierdolić czarowników. Przysięgam na siebie samego. Odnajdę cię i zabiję, w tym życiu lub przyszłym.

– W takim razie umrę. Ale żyję już trzysta, dziesięć i pięć lat, nawet śmierć nie daje rady mnie zgładzić. Mam nadzieję, że zrozumiesz to, zanim skonasz. Prawdziwa Północ nade wszystko. Nade wszystko i wszystkich – dodała.

Uniosła rękę i wiatr zagrzechotał wrotami od przodu. Wbiegli dwaj strażnicy i stanęli obok kraty. Za nimi weszła dziewczyna Venin. Popatrzyła wprost na mnie.

– Twój Król, jak już siostrę swoją wygnał do Manthy i nakazał jej żyć tam do śmierci, co drugi księżyc wysyłał zabójcę, aby ją zgładził. Pozwoliliśmy bunszi, aby ostatniemu weszła przez usta i ugotowała go od środka. Czterech sama zabiłam. Jeden o mało gardła mi nie poderżnął, drugi na

swoją zgubę pomyślał, że wpierw mnie zgwałci. Wyruchałam go sztyletem i wycięłam w nim pipę aż po szyję. A kiedy Król nie wysyła skrytobójców, to wysyła truciznę. Owoce, od których padają karmione nimi krowy. Ryż, od którego kozie język się spopiela. Wino, które zabija służącą, co sprawdzała, czy aby nie nazbyt się ociepliło.

Wskazała strażników i rzekła:

– Ty w Meleleku. Albo przed wschodem słońca wyznasz miejsce pobytu chłopca, albo z twego ciała inny będzie zrobiony użytek.

Wyszła, dziewczyna jednak została. Chciałem spytać, czy przybyła, aby to oglądać. Popatrzyła na mnie nie z pogardą – wiem, bo widziałem wiele pogardliwych spojrzeń – lecz zaciekawieniem. Mierzyliśmy się wzrokiem i nie odwróciłem oczu, nawet gdy strażnicy otworzyli wrota.

– Musisz być dla nich czysty – powiedział jeden.

Wiadro zobaczyłem dopiero wtedy, gdy woda chlusnęła na moją twarz. Obaj strażnicy wybuchnęli śmiechem, ale dziewczyna stała nieruchomo.

– Już czysty – obwieścił drugi.

Venin odwróciła się do wyjścia.

– Idziesz? Wielka zabawa się zaraz rozpocznie, czy nie tak, ludzie? Ludzie, ona wychodzi, wychodzi. Zostawia nas samych. Co będziemy robić?

Jeden ze strażników zbliżył się i zaszedł mnie od tyłu. Nie zamierzałem spojrzeć przez ramię.

– Szlachetni panowie, jesteśmy w Meleleku? – spytałem. – Co to jest Melelek?

Kopnął mnie w zgięcie kolana. Padłem na klęczki i zawyłem. Uderzył mnie nogą w plecy, przewracając na podłogę, po czym mnie obrócił. Drugi nadbiegł, żeby mnie chwycić za nogi, nadbiegł za szybko. Zrobiłem wymach i trafiłem go stopami w jądra. Padł skulony, a pierwszy, przy mej

szyi, odskoczył, bo pewnie nigdy nie widział, aby ktoś stawił opór. Zawahał się, szarpnął jeszcze raz, wybałuszając oczy, i zamachnął się kijem.

Nie wiem, jak długo trwało, zanim przejrzałem. Wrota się otwarły i zobaczyłem dwóch, obu w czarnych szatach i kapturach zakrywających twarze. Jeden niósł sakwę, trzymaną w dłoniach zwiewnych jak miał. Gdy przybyli, strażnicy cofnęli się aż pod ścianę i zaraz oddalili, ledwo powstrzymując się od biegu. Tamci dwaj zbliżyli się i pochylili nade mną.

Biali uczeni.

Mawiano czasem, że zyskali to miano, bo zajmowali się czarami i rzemiosłem, i miksturami, i mieszaniem oparów od tak dawna, że wypalili czerń ze swojej skóry. Ja zawsze myślałem, że wzięło się ze sporządzania paskudztw z niczego, a nic jest przecież białe. Ludzie patrzą na nich i błędnie biorą ich za albinosów, a albinosów biorą za nich. Lecz skóra albinosa jest przecież pragnieniem bogów. W białych uczonych wszystko zaś bezbożne. Obaj odsłonili głowy i wysypały się kosmyki skręcone jak wężowisko. Kosmyki białe jak ich skóra, źrenice czarne, brody też kędzierzawe od loków. Wysoko osadzone kości policzkowe, cienkie różowe wargi. Ten po prawej był jednooki. Chwycił mnie za policzki i rozwarł mi usta. Każde słowo, które usiłowałem wypowiedzieć, wychodziło mi z głowy jako fala, która grzęzła w gardle. Jednooki wbił mi palce po kolei w oba nozdrza, a potem pokazał dłoń drugiemu i ten skinął głową. Drugi potarł mi uszy ręką, skórę miał szorstką jak u zwierzęcia. Popatrzyli na siebie i znowu pokiwali głowami.

– Został mi jeden otwór niesprawdzony – odezwałem się. – Sprawdzicie?

Jednooki przysunął sakwę.

– Ból, który poczujesz, nie będzie mały – ostrzegł.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zakneblował mi usta okrągłym kamieniem. Chciałem rzec: jacy z was głupcy, ale nie byli pierwszymi głupcami, których zastałem w Dolingo. Bo jak miałem wyznać cokolwiek z zatkanymi ustami? Woń chłopca znowu dosięgnęła mojego nosa, tak silna, jakby znajdował się w pobliżu tej celi, tyle że się oddalał. Jednooki uczony szarpnął za węzeł na szyi i zdjął kaptur.

Zły ibedżi. Słyszałem o jednym znalezionym u podnóża Wzgórz Czarów, którego spaliła sangoma, choć był już martwy. Lecz nawet w śmierci wstrząsnął kobietą nieznającą wstrząsu, bo był to jedyny mingi, którego nie wahała się zabić na sam widok. Zły ibedżi ma się nigdy nie narodzić, ale nie jest nienarodzonym douada, który grasuje po świecie duchów, podrygując w powietrzu jak kijanka i pod postacią noworodka wślizgując się czasem do tego świata. Zły ibedżi to bliźniak, którego ścisnęło, zmiażdżyło matczyne łono, próbowało roztopić, ale roztopić nie zdołało. Zły ibedżi karmi się zgorzkniałością jak ten diabeł wyhodowany przez samą materię ciała, który tryska z piersi kobiety, zabijając ją przez zatrucie krwi i kości. Zły ibedżi wie, że nigdy nie będzie wybrańcem, więc atakuje drugiego bliźniaka w łonie. Czasem umiera przy narodzinach, jeśli umysł nie zdążył urosnąć. A jeśli umysł urósł, to zły ibedżi wie tylko jedno: jak przetrwać. Zagrzebie się w skórze bliźnięcia, uczepi jej tak mocno, że matka uznaje go za ciałko dzieciątka, nieukształtowane, szpetne jak poparzenie, wcale niełądne, więc czasem porzuca obu na otwartym terenie, by pomarli. Pomarszczone i spuchnięte ciało, skóra i włosy, pojedyncze oko wielkie i usta, co się ślinią bez przerwy, z tą ręką szponiastą, z drugą przyłożoną do brzucha, jakby była przyszyta, z bezużytecznymi nogami, co trzepoczą jak płetwy, cieniutkim członkiem, ale sztywnym jak paluch, i dziurą, co tryska gównem jak lawą. Nienawidzi swojego bliźniaka, bo bliźniakiem nigdy nie będzie, ale potrzebuje go, bo nie może się żywić jedzeniem ani pić wody, nie ma

przecież gardła, a zęby wyrastają zewsząd, nawet nad ślepiem. Pasożyt. Tłusty i guzowaty, jak kiszki krowy razem splątane, zostawia szlak śluzu, gdziekolwiek popełznie.

Zły ibedżi rozczapierzył łapsko na szyi i piersi jednookiego. Odhaczył po kolei paluchy i z każdej ranki wytoczyła się odrobina krwi. Druga łapa odczepiła się od bioder tamtego, zostawiając pręgę. Miotałem się i wrzeszczałem pod kneblem, kopałem w łańcuchach, ale jedyną nieskrępowaną częścią mojego ciała był nos, którym prychałem. Zły ibedżi wystawił głowę z ramienia bliźniaka i rozwarło się ślepie. Głowa, guz na guzie guzem porośnięty, czyraki i ogromne opuchlizny na prawym pożyłkowanym policzku z czymś małym rozkiwanym jak palec. Usta, w kącikach zaciśnięte, rozdziawiły się i całe ciało szarpnęło się i zapadło w sobie niczym ugniecione ciasto z mąki. Z ust dobył się bulgot jak od dzieciątka. Zły ibedżi odczepił się od ramienia uczonego i wślizgnął na mój brzuch i pierś. Śmierdział zgnilizną spod pachy i gównem chorego człowieka. Drugi uczony chwycił mnie za głowę i przytrzymał. Miotałem się i miotałem, wijąc, próbując skręcać szyję, kopać, wrzeszczeć, ale mogłem tylko mrugać oczami i dyszeć. Zły ibedżi pełzał po mojej piersi, puchnąc jak kula i wyciskając z siebie oddech jak rozdymka. Wyciągnął dwa kościste paluchy, które popełzły po moich ustach i zatrzymały się na nosie. Ślepie zamrugało smutno i nagle wbił oba paluchy w moje nozdrza, a ja wrzeszczałem i wrzeszczałem i łzy zalały mi wzrok. Paluchy, szpony, skrobały moje ciało od środka, wciskając się głębiej, przez mięso, kość, więcej mięsa, coraz głębiej i w oczach poczułem ogień. Paluchy brnęły dalej, wpychały się w czoło, wwiercały, rozsadzały mi skronie, umysł przepadł, wrócił, przepadł. Czoło płonęło. Słyszałem robotę jego paluchów, szarpiących, pomykających we mnie jak myszy. Ogień rozniósł się od głowy do pleców, nóg,

do stóp aż po końce palców, a ja miotałem się jak człowiek, którego głowę nawiedziły demony.

Sogolon weszła przez drzwi i zbliżyła się do mojej celi, a wtedy strażnicy otworzyli wrota i ona postąpiła głębiej, pochyliła się, żeby spojrzeć, wyprostowała, cofnęła, skinęła głową i ruszyła tyłem przez wrota, po schodach, a strażnik też pomaszerował tyłem i zatrzasnął kratę, Sogolon zniknęła w drzwiach, które się za nią zamknęły. Potem znów się wślizgnęła, wyślizgnęła i u wrót stanęła Venin i popatrzyła na mnie i cofnęła się, a ja wyłem i związany chłopiec odbił się w swym upadku od ziemi z powrotem na balkon i usiadł na krześle i spojrzał w bok, a my skrępowaliśmy go od nowa i wepchnęliśmy w suche deski i ściana się zabliźniła, wsysając wszystkie połamane kawałki, a Mossi i ja toczyliśmy się w drugą stronę po podłodze, zrobiłem zamach, chwycił moją rękę i rozwarł nogi zaciśnięte na moich i przestał mnie dławić jedną ręką, potem rzucił mnie pod siebie, dusząc, blokując nogami, i wrzasnął, i oderwał pięść od ściany, a ja zrobiłem unik przed ciosem, wstałem, odsunąłem się ze wzniesioną do uderzenia ręką i upadłem na podłogę, a on cofnął wysuniętą dłoń, a w domu mój dziadek rucha moją matkę na niebieskim suknie, które kupiła, aby zrobić żałobne odzienie, i szczytowanie wciska mu się z powrotem do ust i rucha ruchami do góry, nie do dołu, i wyciąga i poklepuje swój twardy członek, aż wiotczeje i niknie w gąszczu siwych włosów, a matka przestaje odwracać wzrok i patrzy na niego i duchy są w drzewie, co nie jest nasze, duchem mój ojciec, gniewa się na mnie, a dziadek i każde żywe stworzenie, wszystko słychać, jakby wsysało powietrze, oddech w odwrotnym porządku, a światło wskakuje z powrotem z zewnątrz do środka i biegnie wstecz obok mnie, a Lampart i ten chłopiec, którego imienia nigdy nie pamiętam, Lampart atakuje w lesie jakiegoś niedorostka, co nosi na sobie biały pył, znam go, ale nie pamiętam imienia, Lampart naciera na mnie i już

przechodzimy przez drzwi ognia do Kongoru i przez drugie do Dolingo, a starzec zbiera swoje ciało i soki i odskakuje od ziemi, ale nie widzę, dokąd zmierza, a na podwórzu u Basu Fumanguru jest noc, zwłoki w urnach, jego żona już tylko odzieniem i kośćmi, przepołowiona, a w innej urnie chłopczyk uczepiony płótna od laleczki i laleczka przysuwa się do mojego nosa, woń chłopca bucha mi prosto w twarz, stopy śmierdzą bagiennym mchem i gównem i woń się oddala, i już jej nie ma, i pojawia się na wschód od Wzgórz Czarów, i idzie po górach, i schodzi w doliny i ku wzgórzu na zachód, i znika, i pojawia się w portach Lisz, i woń chłopca przebywa morze, a ja próbuję zachować ten trop w swojej głowie, bo wiem, że zły ibedżi go szuka, i przywołuję matkę, i przywołuję rzeczne boginie, które zabijają choróbskami, i dwóch nomadów, którzy rzucili mi naraz wyzwanie w namiocie, i jeden usiadł na mnie, drugi rozłożył się na ziemi i wyruchałem go największym palcem u stopy, ale zły ibedżi wypala to bólem, czoło mi płonie, wyję pod kneblem, mrugam powiekami i nos mam przy chłopcu, a chłopiec przekracza zatokę z Lisz do Omororo i idą tak dni całe, ćwierci księżyca i księżyce pełne po krainach mi nieznanych i Wzgórzach Czarów do Luala Luala, i woń znów znika i się pojawia na południu poza zasięgiem mapy, woń chłopca idzie lub jedzie, sam już nie wiem, znika i pojawia się w Nigiki, idzie, biegnie, jedzie, zatrzymuje się w mieście i czuję, jak zmierza w linii prostej, potem skręca, zawraca, krąży w jednym rogu, zostaje na długo, może do zmierzchu, a rankiem rusza dalej, na południe, do jaskiń czy gdzieś, a potem jest noc i woń zagłębia się w miasto i przystaje na zachodzie, ociąga się tam do nocy i znów odchodzi rankiem, minęło kilka dni i woń chłopca wyrusza na zachód, ciągnie w tym kierunku, zmierza do Uakadiszu, odchodzi z Uakadiszu do Dolingo i pomyślę o ojcu, nie, o dziadku, o Lamparcie też, i o barwie złotej i czarnej, o rzekach i morzach, i jeziorach, i kolejnych rzekach, i siwej dziewczynce, i Żyrafiku,

zostańcie ze mną, zostańcie w mojej głowie, rośnijcie, musicie urosnąć, na pewno urośliście, czy to wy biegniecie nad rzekę powiedzcie coś powiedzcie że mnie nienawidzicie bo nigdy nie wróciłem ale przecież mnie nie pamiętacie więc jak możecie nienawidzić nienawidzicie powietrza nienawidzicie wspomnienia którego nie możecie przyporządkować jak nie można przyporządkować zapachu choć go znamy bo zabiera nas do miejsca w którym byliśmy kimś innym nie zostawiaj dzieci ale zły ibedżi wypala to z mojej głowy w której kipi i pamięć odchodzi na dobre czuję to wiem ibedżi chce podążać śladem chłopca ja nie chcę szpony wbija mi głębiej nie czuję rozorania ale słyszę palą mnie stopy gniją zaraz odpadną chce odnaleźć chłopca jest ze mną na szlaku ja tylko czuję nosem on widzi i teraz i ja widzę, droga z ludźmi w szatach i rozmawiają bo w Dolingo się tylko rozmawia i idziemy mostem bo woń coraz silniejsza i skręca w prawo i teraz zły ibedżi ją widzi i ja widzę a to mały zaułek taki jak z bazarem taki jak z gospodą ale ten po prostu na tyłach domu i woń idzie do karawany i ja też jestem w karawanie i docieram z nią do siódmego drzewa które zwą Melelek w dół pięć poziomów prawie do podstawy pnia ale nie pnia i wszystko jest zaułkiem i tunelem i nikt nie widzi za dużo słońca i woń chłopca podąża tą szeroką drogą i skręca i skręca i podąża przez most i w prawo i znowu w prawo i potem w lewo i prosto i w dół gdzieś się ociąga i zły ibedżi przywraca mi wzrok i widzę chłopca i głowa mi płonie i biała dłoń dotyka ramienia chłopca i wskazuje palcem z długim paznokciem i chłopiec podchodzi do drzwi w domu i puka mocno płacze mówi coś ale nie słyszę i wyczuwam go jakby tu był krzyczy boi się starucha otwiera lecz on nie wbiega cofa się jakby też się jej bał ona chce się pochylić ale on jej dotyka i zerka przez ramię jakby ktoś za nim szedł i wymija ją biegiem a ona ciaśniej owija szatę na ramieniu rozgląda się i zamyka drzwi i umysł mój znika. A gdy otwieram oczy, one są wciąż zamknięte. Otwierają się i zamy-

kają bez mojej woli. Zły ibedżi złazi ze mnie jak krab i wdrapuje się na ramię jednookiego. Dwaj uczeni pochylają się i patrzą na mnie, jednooki, marszcząc brew, ten drugi – unosząc. I już są przy kracie. I znów nade mną. I zaraz wychodzą drzwiami. Powiedzą Sogolon. Ona poszuka, odnajdzie chłopca. Wciąż go widzę i ten dom, do którego wbiegł, bo wciąż jest we mnie to, czym zaraził mnie zły ibedżi. Wargi mam mokre od krwi skapującej z nosa. Królowa ją zdradzi. Głowa zbyt ciężka, aby poprowadzić dalej tę myśl, w skroniach wciąż płonął ogień i pomyślałem, że to nie krew płynie mi z nosa, lecz zawartość mojej głowy stopiona w sok. Łokcie ustąpiły i runąłem na plecy, ale gdy uderzyłem głową w posadzkę, poczułem to jako wodę i utonąłem.

Tonąłem i tonąłem, a ogień stygnął w głowie, ludzie wchodzili i wychodzili, szeptali do mnie i krzyczeli, jakby wszyscy byli przodkami przybyłymi, żeby zgromadzić się na konarach wielkiego drzewa na podwórzu. Coś zahuczało i zahuczało znowu, i wrzasnęło we mnie wspomnienie albo wizja, krzyknęło i załoskotało w mojej czaszce. Hurgot obudził mnie i zobaczyłem, że wcale nie śpię. Coś walnęło w drzwi i upadło na ziemię. Potem uderzyło jak grzmotnięcie i w drzwiach odcisnął się ślad kłykci, jakby ktoś pięścią uderzył w ciasto. Drugie uderzenie i drzwi pofrunęły, uderzając w kratę. Podskoczyłem i upadłem. Wmaszerował Sadogo, w rękawicach, trzymając za gardło jednego ze strażników. Cisnął nim na bok. Za nim weszli Venin i Mossi z błyszczącymi przedmiotami, które raniły moje oczy. Wszystko, co mówili, obijało mi się w głowie i odpływało, zanim zdążyłem zrozumieć. Ogo chwycił za rygiel mojej celi i wyrwał go. Venin weszła z maczugą na pół jej ciała i w świecie mojego szaleństwa chwyciła ją jak gałązkę i zamachnęła się na celę obok mojej i roztrzaskała rygiel. Było tak ciemno, że nie wiedziałem, że innych więź-

niów trzymają w tym miejscu, ale dlaczego mieliby nie trzymać? Od rozwidlonego myślenia łupało mnie w czaszce i pochyliłem się w objęcia rąk. Mossi, to chyba on, spytał: możesz iść? Pokręciłem głową, nie mogłem przestać, aż chwycił mnie za czoło i uspokoił.

– Niewolnicy się zbuntowali – powiedział. – W MLumie, to tam, gdzie byliśmy, w Mupongoro i innych.

– Jak długo tu jestem? Nie mogę…

– Trzy noce.

Wbiegli dwaj strażnicy z mieczami. Jeden zamachnął się gwałtownie na Venin, ale zrobiła unik, owinęła się na nodze i uderzyła maczugą, zmiatając mu twarz z głowy. Moje oszołomienie prysło w gwałtownym wzlocie na rękach Sadogo, który zgarnął mnie i przerzucił sobie przez lewe ramię. Wszystko działo się powoli. Wpadło trzech kolejnych strażników, może czterech albo pięciu, lecz tym razem natarli na więźniów, kobiety i mężczyzn spoza Dolingo, bo skóra inna niż granat, ciała nieszczupłe i pomarszczone. Chwycili za broń, rozmaitą broń i pręty, które powyrywał Sadogo, porozrzucane na podłodze. Moja głowa podskakiwała na ramieniu Sadogo, przez co świat wirował jeszcze bardziej. Potem olbrzym się odwrócił i zobaczyłem więźniów tratujących strażników jak fala morski brzeg. Wołali, skrzykiwali się, przebiegli obok nas w celi i przecisnęli się przez wąskie drzwi jak piasek w klepsydrze.

– Chłopiec… – wystękałem. – Wiem, gdzie jest. Wiem, gdzie…

Dokąd szliśmy, poznałem dopiero u celu. Potem słońce dotknęło moich pleców i stanęliśmy. Leciałem w powietrzu, potem leżałem na trawie, bawół dotykał pyskiem mojego czoła. Mossi przykucnął obok.

– Chłopiec. Wiem, gdzie jest.

– Musimy o nim zapomnieć, Tropicielu. Dolingo krwawi. Niewolnicy przecięli więzy i zaatakowali strażników na trzecim i czwartym drzewie.

Bunt się rozszerza.

– Chłopiec jest na piątym drzewie – powiedziałem.

– To Mualiganza – rzekł Sadogo.

– Chłopiec nic dla nas nie znaczy – odparł Mossi.

– Chłopiec znaczy wszystko.

Hałas przetaczał się przez moją głowę. Łoskot i huk, trzaski, wrzaski, krzyki.

– Mówisz tak po tym, co Sogolon ci zrobiła? Co zrobiła nam.

– Mossi, czy chłopiec jest niewinny, czy nie?

Odwrócił spojrzenie.

– Słuchaj, Mossi, zabiłbym ją za to, co zrobiła, ale to nie… nie umniejsza, dlaczego to zrobiła.

– Pierdolone brednie o boskich dzieciach. Kto powstanie, kto będzie władał. Pochodzę z krainy cuchnącej przepowiedniami o dziecięcych zbawcach, ale nigdy nic z nich nie wyszło prócz wojny. Nie jesteśmy rycerze. Nie jesteśmy książęta. Jesteśmy myśliwi, zabójcy i najemnicy. Dlaczego ma nas obchodzić los królów? Niech się zajmują sami sobą.

– Bo gdy królowie upadają, przygniatają nas sobą.

Mossi chwycił mnie za podbródek. Odtrąciłem jego dłoń.

– Co teraz zamieszkało w twojej głowie? Zrobiłeś się jak ona? – spytał, wskazując Venin.

– Jak on.

– Jak sobie życzysz. Tropiciel pomaga wiedźmie…

– Nie pomagamy jej – zaprzeczyłem. – Doprawdy, jak zobaczę jednego z nich dopadającego ją, żeby zabić, będę się tylko przyglądał. A potem zabiję jego. I… i… i gdybym nawet nie dbał o prawowitych królów i królowe ani o to, co nikczemne na Północy, a co sprawiedliwe, to i tak zaprowadzę syna z powrotem do matki.

Słońce ze mnie drwiło. Dym wzniósł się z wieży na drugim drzewie i bębny wybiły ostrzeżenie. Wszystkie karawany utknęły w drodze, bo niewolnicy przestali poruszać mechanizmami. Niektóre kołysały się w górze, pełne wrzeszczących ludzi. Sadogo był czujny na każdy dźwięk. Skoczył w lewo, w prawo, znowu w lewo, zaciskając pięści tak mocno, że kłykcie trzeszczały. Huk obudził bawołu, który prychnął, poganiając nas do marszu. Gdy usiadłem, odtrącając pomoc Mossiego, podeszła do mnie Venin, wciąż z maczugą trzymaną jak zabawka.

– Pójdę. Mam niedokończone sprawy z Sogolon.

– Venin – odezwał się Mossi.

– Kto to? – spytała.

– Co? To ty, jak to kto. Przecież tak na ciebie wołamy, odkąd cię poznałem. Kim więc jesteś, jeśli nie nią?

– To nie Venin – powiedziałem.

On i ona w jednym ciele spojrzeli na mnie.

– Długo się zastanawiasz – rzekli.

– Tak, nie mam pewności. Jesteś jednym z duchów, które Sogolon krępuje pisanymi runami, ale się wyrwałeś.

– Moje imię Dżakuu, biały strażnik króla Batuty, który zasiada w Omororo.

– Batuty? – odparł Mossi. – On umarł ponad sto lat temu. Jesteś… Nieważne. Zostaw starą kobietę krwiopijcom. To dla niej dobre towarzystwo.

– Czy wszystkie duchy chcą tego, co ty chcesz? – spytałem.

– Zemsty na Wiedźmie Księżyca? Tak, niektóre pragną nawet więcej. Nie wszyscy padliśmy z jej ręki, ale winna jest śmierci nas wszystkich. Wypędziła mnie z mego ciała, żeby udobruchać rozgniewanego ducha, a teraz myśli, że i mnie udobruchała.

Wciąż przemawiał głosem Venin, jednak widziałem wcześniej takie opętanie. Głos pozostaje, lecz jego wysokość, ton, używane słowa są tak inne, że brzmi inaczej. Głos Venin ochrypł. Wydobywał się jak dudnienie, jak mowa mężczyzny posuniętego w latach.

– Gdzie jest Venin?

– Venin. Ona dziewczyna. Nie ma. Nigdy już nie wróci do tego ciała. Uznajcie ją za umarłą. Nie umarła, ale tak wystarczy sądzić. Teraz robi to, co ja robiłem, grasuje po zaświatach, póki nie przypomni sobie, jak się tam dostała. A wtedy zacznie szukać Sogolon, jak my wszyscy.

– Ona ledwo potrafiła dosiąść konia, a teraz on wywija maczugą. A ty? – zwrócił się do mnie Mossi. – O mało się nie przewrócisz.

Z końca drogi, zza zakrętu, dobiegło wycie. Szlachcice i szlachcianki Dolingo szli szybkim krokiem, uznawszy, że czas położyć temu kres. Spoglądając za siebie, przyśpieszając kroku, ci z przodu nie widzieli tamtych na tyłach, potem rzucili się biegiem i nagle parł rozpędzony tłum, może dwudziestu, może więcej ludzi, spychając niektórych z drogi, innych przewracając, tratując kilku, kiedy nadciągali. Za nimi przetoczyło się dudnienie. Mossi, Sadogo i Venin zajęli stanowiska dokoła mnie, wszyscy przyszykowaliśmy oręż. Rozwrzeszczana szlachta obiegła nas jak rozwidlona rzeka. W pogoni za nimi, z kijami, pałkami i maczugami, z mieczami nawet i włóczniami biegli niewolnicy rozkołysani jak zombi, doganiali tamtych. W sile osiemdziesięciu lub więcej ścigali szlachtę. Jedna z dam padła, gdy rzucona włócznia przebiła jej plecy i wyszła brzuchem. Buntownicy trzymali się od nas z dala, przebiegali z zapasem, prócz jednego, który zanadto się zbliżył i rozpadł na dwoje trafiony kopniakiem przez Sadogo, i jeszcze innego, który wbiegł na miecz Mossiego, i dwóch, którym głowy z szyi strąciła maczuga Venin. Pozostali wyminęli nas i opadli szlachtę. Mięso

ludzkie fruwało. Z Sadogo na czele pobiegliśmy tam, skąd oni nadeszli, a jego jeden okrzyk wojenny utorował nam drogę.

Karawany zastygły, więżąc wielu ludzi, lecz my zjechaliśmy na podestach, bo ich niewolnicy nie zarazili się jeszcze powiewem wolności. Gdy wysiedliśmy na ziemi, wśród nas ja, wciąż na chwiejnych nogach, wciąż podtrzymywany ręką przez Mossiego, Mungungę rozsadziły płomienie i wybuch. Ogień wgryzł się w liny, pobiegł dalej do jednej z karawan i pożarł ją. Ludzie wewnątrz zaczęli skakać, niektórzy już płonąc. U podstawy Mungungi drzwi wysokie na trzech chłopa i szerokie na dziesięć kroków wypadły z zawiasów i runęły, wzbijając kurz. Wybiegli stamtąd nadzy niewolnicy, ale zaraz zwolnili zaskoczeni, niektórzy z kijami, prętami i żelazem, każdy kuternoga, podnosząc ręce, aby osłonić oczy przed światłem, przecięte sznury na szyjach i kończynach. Nieśli wszystko, co dało się zabrać. Nie mogłem odróżnić kobiet od mężczyzn. Strażnicy i panowie, nienawykli do oporu, zapomnieli, jak się walczy. Niewolnicy przebiegli między nami i dokoła, rzesza ich, niektórzy ciągnęli za sobą zwłoki swoich panów, inni nieśli odrąbane ręce, stopy i głowy.

Niewolnicy wciąż przemykali obok, gdy z nieba zaczęły zlatywać eleganckie postacie. Z tarasów sypały się przecięte sznury, niewolnicy spychali panów z krawędzi. Ciała szlachciców spadały na ciała niewolników. Jedni i drudzy zabici. Coraz ich więcej i więcej.

W Mualiganzie podestem dostaliśmy się na ósmą kondygnację. Wszędzie dokoła panował spokój, jakby bunt tutaj nie sięgnął. Jechałem na bawole, raczej leżałem na nim uczepiony rogów, by nie spaść.

– To tutaj – rzekłem.

– Skąd twoja pewność? – spytał Mossi.

– Bo prowadzi nas mój nos.

Nie powiedziałem oczy i wtedy zły ibedżi wepchnął szpony w moje dziurki od nosa. Dojrzałem domostwo, w którym mieszkała stara kobieta, zużyte szare ściany odsłaniające pomarańczowy spód, małe okna tuż pod dachem. Ruszyli za mną leżącym na bawole, a szlachcice i niewolnicy schodzili nam z drogi. Skręciliśmy w lewo i przebyliśmy most w kierunku suchego traktu. Chłopiec był w moim nosie. Ale też woń żywego trupa, którą znałem na tyle dobrze, że podskoczyłem z przerażenia i tak przemożnego wstrętu, aż myślałem, że zwymiotuję. Nie mogłem jednak jej nazwać. Czasem woń nie otwiera pamięci, każe się tylko pamiętać.

Przebiegła obok nas mała gromada niewolników i więźniów, ciągnąc za sobą trupy szlachciców, nagie, granatowe, martwe. Stanęli przed domem, którego wcześniej nie widziałem, ale który rozpoznałem od razu. Wejście w domostwie starej kobiety było otwarte, drzwi wisiały wyrwane. W progu leżało dwóch zabitych strażników, o szyjach skręconych pod kątem, pod jakim szyja się nie skręca. Zaraz w głębi schody, które mijały jedno piętro w drodze do drugiego, a stamtąd dobiegały krzyki, trzaski, zgrzyt żelaza o żelazo, żelaza o zaprawę, żelaza o kość. Dobiegłem do progu i osunąłem się w ręce Mossiego. On nie spytał o zgodę, a ja się nie sprzeciwiłem, gdy zaniósł mnie na stronę, w pobliże okna, i posadził na podłodze.

Potem Mossi, Sadogo i Venin-Dżakuu pobiegli schodami na piętro, bo dwaj kolejni spadli na dół, martwi, nim połamali sobie kości. Męskie głosy wykrzykiwały rozkazy, podniosłem oczy i wtedy dojrzałem, jak szeroka jest podłoga. Zamigotała pochodnia nad moją głową. Grzmotnęło tam i wszystko się zatrzęsło. Znowu grzmotnęło, jakby burza była ledwie jedno tchnienie stąd. Sufit się rozpękł, pył posypał w dół. Siedziałem na podłodze w kuchni. Przygotowane już jedzenie leżało na klepisku, w garnku tężał

tłuszcz, olej palmowy w dzbanach przy ścianie. Dźwignąłem się i sięgnąłem po pochodnię. Podłoga była usłana martwymi strażnikami, wielu z nich same łupiny, wysączone wszystkie soki, skóra chropowata jak kora drzewa. Nad pomieszczeniem wisiał balkon, a na nim dyndały trupy. Kapała krew. Chłopiec z rękoma u boków wyfrunął z balkonu i dosiadł powietrza. Zawisł, oczy otwarte, ale niewidome, wokół kłębiące się muchy, obcy ruch. Przesunąłem pochodnię po jego twarzy, rękach, brzuchu, nogach, skóra rozpęknięta szeroko w wielu miejscach jak strąki. Wyglądało jak gniazdo os, czerwone robaki utuczone krwią wpełzały i wypełzały ze środka. Muchy wylatywały z ust i uszu, tłuste larwy pleniły się pod skórą i spadały na podłogę, wystawiały skrzydła i frunęły z powrotem do trupa. Wkrótce był to tylko rój much w kształcie chłopca. Zbił się w kulę i wtedy zwłoki spadły na podłogę jak bryła ciasta. Muchy, stłoczone w coraz ciaśniejszą chmarę, zniżyły lot, aż zawisły nad klepiskiem, sześć kroków ode mnie. Robaki, larwy, kokony gnieździły się i wcierały w siebie nawzajem, przybierając razem postać z dwiema kończynami, potem trzema, czterema, i w końcu wyrosła głowa.

Adze, o ślepiach rozbłysłych jak ogień i czarnej skórze, co nikła w ciemnym pomieszczeniu, garbus z długimi rękami i szponami u palców, którymi skrobał klepisko. Zadudnił kopytami i podszedł do mnie, a ja odskoczyłem i zamachnąłem się pochodnią, na co zaświstał śmiechem. On nacierał, ja się cofałem, wywracając nogą dzban. Olej rozlał się po podłodze, a wtedy Adze wrzasnął, szarpnął się, bryknął do tyłu. Rozpadł się w chmarę robactwa i pofrunął na górę. Usłyszałem wycie ogo, coś trzasnęło, rozłupując drewno. Mossi wyskoczył na balkon, wymachując jednym mieczem, odwinął się i odrąbał głowę strażnikowi zarażonemu błyskawicą. Rzucił się z powrotem do środka i dołączył do walki.

Trzymając pochodnię, chwyciłem drugi dzban z olejem i ruszyłem na piętro. Pięć schodków nad moją głową zadudniło, podłoga się przesunęła, a ja przywarłem do ściany. Minąłem człowieka z dziurą w piersi na wylot. Na górze odstawiłem dzban, potrząsnąłem głową, żeby ją rozjaśnić, i spojrzałem wprost w żółte ślepia w długiej chudej twarzy, czerwona skóra w białe paski na czole. Uszy spiczaste, na rękach i ramionach włosy zielone jak trawa, białe smugi aż do klatki piersiowej. Przerastał mnie o połowę człowieka. Uśmiechnął się, odsłaniając podszlifowane na ostro zęby jak u wielkiej ryby. W prawej garści trzymał kość udową spiłowaną w kształt noża. Zarechotał raz, drugi, trzeci, po czym rzucił się na mnie, ale błysnęło dwa razy i brzuch mu trysnął czarną krwią. To Mossi skoczył, z szeroko rozsuniętymi mieczami. Śmignął rękami przed sobą, lewe ostrze przecięło demonowi plecy, prawe chlasnęło pół szyi. Poczwara runęła i stoczyła się po schodach.

– Eloko, eloko, ciągle tak mówił – powiedział Mossi. – To chyba jego imię. Było. Trzymaj się z boku, Tropicielu.

– Nadchodzą.

Wbiegł w bój. Zobaczyłem, że w tym domostwie urządzono szkołę. Dlatego wybrali to miejsce, dlatego chłopcu łatwo byłoby oszukać każdego, kto zapukałby do drzwi. Ale nie zobaczyłem śladu dzieci. Po drugiej stronie pomieszczenia, przy oknie, Venin-Dżakuu uśmiechnęli się tylko, gdy zaatakowały ich dwa eloko, jeden z podłogi, drugi z sufitu. Poczwara zabujała się na wiszącej roślinie, aby zeskoczyć z góry, ale natarli na niego trzonem maczugi, wbijając mu go w pierś. Ciął nożem z kości, Venin-Dżakuu zrobili unik i grzmotnęli go w nos. Drugi pchnął nożem z tyłu i zranił ich w udo. Krzyknęli i padli, ale w płynnym uniku i znad podłogi wykonali niski wymach, trafiając maczugą tamtego w głowę. Trzeci eloko zakradł się za ich plecami. Krzyknąłem, ale tylko jedno słowo: Dżakuu! Zamierzyli się

w lewo, a przecież nadchodził z prawej, był od nich o jedno tchnienie. Nagle zatrzymali mocny wymach, szarpnęli w dół, aż siła rozpędu odbiła broń do góry i w prawo, prosto między nogi eloko. Wrzasnął i runął na klęczki. Venin-Dżakuu trzasnęli go maczugą w głowę, jeden, dwa, trzy razy, aż głowy nie było. Znów rozległ się grzmot i z sufitu posypała się zaprawa.

– Noga – odezwałem się, wskazując broczącą krew.

– Kogo zamierzasz tym zabić?

Spojrzałem na swoją pochodnię i dzban z olejem. Venin-Dżakuu rzucili się biegiem, ja za nimi, już silniejszy, z umysłem mniej zmąconym, choć krok wciąż miałem chwiejny. Pod belką u sufitu Adze zakołysał się jako garbus, ale zanurkował w pogoni za Sadogo już jako rój. Zaatakował jego lewą rękę i ramię. Ogo odegnał wiele, wiele zgniótł, lecz Adze było zbyt wiele. Niektóre wżarły się w ramię i blisko łokcia, Sadogo zawył. Rzuciłem dzbanem. Roztrzaskał się na piersi ogo, bryzgając olejem dokoła. Olbrzym spojrzał na mnie wściekły.

– Wetrzyj w rękę… olej… wetrzyj…

Muchy wrzynały się w skórę. Sadogo zgarnął dłonią olej ściekający po brzuchu i pomazał pierś, ramię, szyję. Robaki puchły błyskawicznie, wypełzały z dużych otworów jak rany, wszystkie spadały na podłogę. Reszta roju latała w obłędzie, ścierając się, zbijając w jeden ciasny kształt, który osuwał się i osuwał, aż do desek, zmienił z powrotem w Adze z jedną stopą i połową głowy, w której robaki i larwy gnieździły się jak poczwarki. Szybciej niż okamgnienie Venin-Dżakuu roztrzaskali resztę łba w kałużę czerwonej miazgi na podłodze.

– Gdzie Sogolon? Gdzie chłopiec?

Zdrową ręką Sadogo wskazał inne pomieszczenie. Venin-Dżakuu rzucili się w tamtą stronę, okładając maczugą strażników, w których ciałach krą-

żyły błyskawice. Dopadli drzwi i wtedy nadziali się na grzmot, który odrzucił ich do tyłu, a mnie o mało nie pozbawił równowagi. Za moimi plecami Mossi wygrzebał się ze stosu zerwanych półek i glinianych garnków.

Zwrócony tyłem, stopy trzymał nad podłogą: Ipundulu. Białe kosmyki we włosach, długie pióra sterczące jak ostrza od potylicy w dół pleców. Białe skrzydła szerokie jak cały pokój, czarne lotki u ich końców. Samo ciało też białe, ale bez piór, chude, lecz umięśnione. Łapy czarnego ptaka wiszące nad klepiskiem. Ipundulu. Podniósł prawą rękę, szpony zaciśnięte na szyi Sogolon. Nie mogłem dojrzeć, czy wiedźma żyje, tylko że krew skapuje spod niej na podłogę. Trzaskająca błyskawica skakała po całym jego ciele. Ipundulu wyciągnął nóż ze swojego ramienia i rzucił nim w Mossiego, który uskoczył, podniósł miecze i spojrzał na niego. Sogolon, ze zbielałymi ustami, uchyliła jedno oko i popatrzyła na mnie. Za moimi plecami Venin-Dżakuu toczyli się po podłodze, usiłując wstać. Błyskawica przeskoczyła z ciała Ipundulu na twarz Sogolon, a wiedźma jęknęła przez zaciśnięte zęby. Mossi wahał się, jak uderzyć. Może ktoś mi podpowiedział, może sam odgadłem, nie wiem, rzuciłem pochodnię wprost w ptaka-błyskawicę. Trafiła go w środek grzbietu i cała postać buchnęła płomieniami. Wypuścił Sogolon i zaskrzeczał jak kruk, turlał się i podrygiwał, próbował odfrunąć, ale ogień trawił pióra i skórę za szybko, łapczywie. Ipundulu wbiegł na ścianę, lecz nie zatrzymał się, biegł dalej, młócił i wrzeszczał, kulą ognistą już teraz, płomieniami pochłaniającymi pióra, pochłaniającymi skórę, pochłaniającymi tłuszcz. W pomieszczeniu cuchnęło dymem i zwęglonym mięsem.

Runął na klepisko. Mossi podbiegł do Sogolon.

Ptak-błyskawica nie skonał. Słyszałem świst jego oddechu, ciało odzyskało postać człowieczą, skóra sczerniona tam, gdzie się spaliła, czerwona tam, gdzie mięso wyjrzało spod spodu.

– Ona dycha – powiedział Mossi.

Pomaszerował do Ipundulu, dygoczącego i świszczącego na podłodze.

– Toto też żyje – dodał i przystawił ptakowi ostrze pod brodę.

Coś kazało mi spojrzeć na strącone półki – talerze, garnki, miski z suszoną rybą – i pod krzesło. A spód krzesła popatrzył na mnie. Oczy szerokie i jasne w półmroku, wpatrzone we mnie wpatrzonego w niego. Jest, powiedział głos w moim wnętrzu. Jest chłopiec. Włosy bujne, zmierzwione, bo jakie miałyby być włosy chłopca pozbawionego matki, która by je pielęgnowała i strzygła? Podskoczył przerażony, a ja pomyślałem w pierwszej chwili, że zareagował na tych, którzy go pojmali, bo które dziecko nie boi się potworów? Lecz z pewnością zawitał do dziesiątków domów i widział dziesiątki zabójstw, więc ukatrupienie i pożarcie kobiety, ukatrupienie i pożarcie dziecka było igraszką. Jeśli przez całe życie przebywamy z potworami, to co wtedy jest potworne? Patrzył na mnie, ja patrzyłem na niego.

– Mossi.

– Może powinniście byli ominąć Dolingo – zwrócił się Mossi do Ipundulu.

– Mossi.

– Tropicielu.

– Chłopiec.

Odwrócił się, by spojrzeć. Ipundulu usiłował dźwignąć się na łokcie, ale Mossi docisnął mu miecz do szyi.

– Jak ma na imię? – spytał.

– Nie ma imienia.

– To jak mamy go zwać? Chłopiec?

Za moimi plecami pojawili się Venin-Dżakuu i Sadogo. Sogolon wciąż leżała na podłodze.

– Jeśli ona się zaraz nie ocknie, wszystkie jej duchy zobaczą, że jest słaba – powiedziałem.

– Co z tym zrobimy? – spytał Mossi.

– Zabijemy go – odparła zza moich pleców Venin. – Zabijemy go, weźmiemy wiedźmę, weźmiemy chło…

Wtargnął przez okno, odłupując po drodze kawał ściany, który rozpadł się na kamienie, trafiając Sadogo w głowę i szyję. Za moimi plecami długie czarne skrzydła grzmotnęły Venin-Dżakuu, wciskając ich w mur.

Woń, znałem ją dobrze. Odwróciłem się, ale jego skrzydło obaliło mnie na ziemię, odwinęło się i trafiło prosto w twarz. Wkroczył do środka i wtedy Mossi natarł z mieczami. Jedno ostrze cięło w skrzydło i utknęło. Drugie wytrącił Mossiemu z ręki i sam zaatakował.

Uniósł się na trzepoczących skrzydłach, zrobił wymach stopami i trafił Mossiego w pierś. Mossi wbił się w ścianę, on wbił się w Mossiego. Wraził szpony w jego głowę, haratając od czoła w dół, przecinając brew i dalej.

– Sasabonsam! – krzyknąłem.

Cuchnął jak jego brat.

Odtrącił Mossiego i odwrócił się do mnie.

Głową wciąż ruszałem wolniej niż nogami. Natarł na mnie w tej samej chwili, gdy Sogolon ocknęła się i wzbiła wiatr, który go przewrócił, a mnie rozpłaszczył na podłodze. Stawiał opór wiatrowi, Sogolon traciła siły. Powstał z trudem i zbliżył się na tyle, że zaciął szponami jej uniesione ręce. Też się dźwignąłem, ale zaraz osunąłem na kolano. Mossi leżał na podłodze. Nie wiedziałem, gdzie są Venin-Dżakuu. Zanim Sadogo się podniósł i przypomniał sobie swój gniew na tyle, aby wmaszerować do środka, Sasabonsam chwycił żelaznym szponem Ipundulu za nogę zręcznie jak w wężowe sploty, drugim łapskiem zgarnął chłopca, który wypełzł spod krzesła, i wbiegł w okno, wybijając ramę, szkło i kawałki muru. Jeden ze

strażników, z błyskawicą krążącą w ciele, popędził za swoim nowym panem i spadł w miejscu, gdzie Sasabonsam pofrunął. Powlokłem się za Sadogo i zobaczyłem stwora na niebie, z rozpostartymi skrzydłami nietoperza. Obniżył gwałtownie lot pod ciężarem Ipundulu, ale zaraz zatrzepotał mocniej i głośniej i wzbił się wysoko.

Tak oto Sadogo, Venin-Dżakuu, Mossi i ja staliśmy w pokoju, dokoła Sogolon. Próbowała wstać, spozierając na nas wszystkich. Na zewnątrz wywrócone wozy, zmasakrowane zwłoki, połamane kije i maczugi tarasowały ulicę za ulicą. Niebo zasnuł dym z dwóch drzew ogarniętych buntem. Trochę dalej, lecz nie daleko, dudniła walka. Jaka walka? Przecież strażnicy w Dolingo nie byli stworzeni do boju, a cóż dopiero do wojny. Na drzewie Królowej pałac wciąż stał w spokoju. Wydawało się, że wszystkie liny po obu stronach są odcięte. Zobaczyłem Królową okiem wyobraźni, skuloną na tronie jak dziecko, nakazującą dworowi uwierzyć w jej słowa, że bunt zostanie opanowany, zdławiony w okamgnieniu, a oni wyją, wrzeszczą, wzywają bogów.

Podeszliśmy do Sogolon. Nie wiedząc, co robić, przesunęła się do przodu, do tyłu, potem odskoczyła najdalej od nas. Podniosła lewą rękę, ale zastygła, bo od tego ruchu krew popłynęła z piersi. Wciąż spoglądała na nas, w jednym mgnieniu oczy wybałuszone, w drugim zamglone, prawie senne, zaraz potem przytomne od wstrząsu. Odwróciła się do Mossiego.

– Jako oblubieńca, tak cię chciała traktować – przemówiła. – Wystarczyło zapełniać jej łono, a nie dbałaby o nic.

– Dopóki by się nie znużyła i nie odesłała go do pnia – odparłem.

– Ślicznych traktuje lepiej niż królowie traktują swoje nałożnice. Oto prawda.

– To nie jest prawda, którą mi powiedziałaś. Nie w słowach, nie w znaczeniu, nawet nie w rymach.

Zbliżyliśmy się. Sadogo zacisnął lewą pięść, prawą rękę miał zakrwawioną i oklapłą. Venin-Dżakuu owinęli ranę na nodze i chwycili sztylet. Mossi, z połową twarzy oblepioną krwią, wysunął oba miecze. Sogolon odwróciła się do mnie, jedynego bez broni.

– Mogę wydać z siebie wicher, który jednym dmuchnięciem wywiałby wszystkich przez okno.

– Wtedy zabrakłoby ci siły, żeby zatamować uchodzącą z ciebie krew, a tamci by cię dopadli – odrzekłem. – Tak jak ten siedzący w Venin.

Cofnęła się do ściany.

– Wy wszyscy głupcy. Żaden z was nie jest gotów. Myśleliście, że w waszych rękach pozostawię los Północy? Ani biegłości, ani mózgu, ani zamysłu, wy wszyscy tutaj dla pieniądza, żaden nie troszczy się o przyszłość krainy, na którą sra. Co za błogość, co za szczęście być takim ciemnym głupcem.

– Nikomu z nas nie brakuje biegłości, Sogolon – odpowiedział Mossi. – Ani mózgu. Po prostu miałaś inne zamiary.

– Mówiłam, mówiłam wam wszystkim, nie idźcie przez Mroczne Ziemie. Przez próg wchodźcie wpierw głową, nie kroczem. Albo cofnijcie się o krok i dajcie się poprowadzić. Myślicie, że powierzyłabym chłopca takim jak wy?

– A gdzie jest teraz twój chłopiec, Sogolon? Czy tak mocno tulisz go do łona, że go nie dostrzegamy? – odparował Mossi.

– Ani biegłości, ani mózgu, ani zamysłu, a jednak gdyby nie my, postradałabyś życie – dorzuciłem.

– Bogini potoków i potopów, wysłuchaj swojej córki. Bogini potoków i potopów.

– Sogolon – powiedziałem.

– Bogini potoków i potopów.

– Wciąż wzywasz tę oślizłą sukę? – spytali Venin-Dżakuu.

– Bunszi. Wołasz swoją boginię?

– Nie mów o bunszi – odparła Sogolon.

– Ciągle ci się zdaje, że możesz wydawać rozkazy – rzekli Venin-Dżakuu. – Ona się nie zmieni nawet za sto lat, ta Wiedźma Księżyca. Powiadam wam. Kobiety w Mancie ciągle uznają cię za prorokinię czy w końcu dostrzegły w tobie złodziejkę?

– Musimy ratować chłopca – zwróciła się do mnie Sogolon. – Ty wiesz, dokąd zmierzają.

Venin-Dżakuu, opatrunek na nodze prawie cały czerwony, zaczęli krążyć powoli dokoła jak lew. Z tymi oto słowami:

– Co ta Wiedźma Księżyca wam o sobie mówiła? Bo o Sogolon historie opowiada tylko Sogolon. Powiedziała wam, że pochodzi od wojowników Uatangi na południe od Mitu? Czy że była kapłanką rzeczną w Uakadiszu? Że jako służka wody była stróżką i doradczynią siostry Króla, co kroczyła po wielu głowach do swojej komnaty? Spójrzcie na nią, znów w służbie. Chce uratować syna królewskiej siostry. Powie wam, że nikt jej nie prosił? Wyruszyła na misję, aby odnaleźć chłopca, aby już nigdy nie była pośmiewiskiem Manthy. Co za żart. Wiedźma Księżyca z setką runów, ale tylko jednym zaklęciem, wreszcie może pokazać swoje umiejętności. Może później wam powie. Posłuchajcie, ja powiem wam teraz. Wiedźma Księżyca zaiste ma trzysta, dziesięć i pięć lat, oto prawda. Poznałem ją, gdy miała dwieście. Mówiła wam, jak udało jej się przeżyć tak długo? Nie? No tak, tę wiedzę trzyma blisko swych wyschniętych cycków. Dwieście lat temu byłem rycerzem i miałem tylko jeden otwór, nie dwa. Wiecie, kto jest ja? Ja ten, co ją strącił z konia, jak zapomniała napisać runy na tyle silne, żeby mnie skrępować.

Sogolon wciąż patrzyła na mnie.

– A tę jej małą boginię, ją poznaliście? Nie ześlizgnęła się aby ostatnio po ścianie? Jeśli ona boginią, to ja boskim wężosłoniem. Ta mała rzeczna liengu, twierdząca, że walczy z omoluzu, choć można ją zabić wodą morską. Jej bogini to gnom.

– Żaden z was nie zasługuje, by żyć, ani jeden – odparła Sogolon, nadal wpatrzona we mnie.

– To sprawa między nami a bogami, złodziejko ciał – odparli Venin-Dżakuu.

– Zawsze byłeś niewdzięcznym, śmierdzącym psim łajnem, Dżakuu. Zabójca i gwałciciel kobiet. Jak myślisz, dlaczego dałam ci to ciało? Pewnego dnia wszystko, co robisz, przydarzy się i tobie.

– Ciało miało właścicielkę – powiedziałem.

– Każdego dnia przed przyjściem słońca ona biegnie w las, aby zogbanu mogli ją pożreć – odparła Sogolon. – Gdziekolwiek bym ją zabrała i jakkolwiek bym ją szkoliła. Ten użytek z ciała lepszy niż każdy, jaki zrobiłaby ona.

– Chciałaś po prostu, bym przestał strącać cię z konia – rzekli Venin-Dżakuu. – Tak jak ty wytrącasz ludzi z ich ciał od dawnego, dawnego czasu.

– Jak? – wtrącił Mossi.

– Mnie nie pytaj, pytaj ją.

– Czas idzie i biegnie, a oni wciąż mają chłopca. Tropicielu, ty wiesz, dokąd uciekają.

Sogolon potoczyła spojrzeniem dokoła, zwracając się do wszystkich, nie przekonując nikogo.

– Nie próbowała nas zabić – odezwał się Sadogo.

– Mów za siebie – odrzekli Venin-Dżakuu.

– Zgodziliśmy się ratować chłopca – powiedział Mossi i podszedł do mnie.

– Nie znasz jej – nie dawali za wygraną Venin-Dżakuu. – Ja ją znam dwieście lat i najbardziej ze wszystkiego to ona knuje, jak kogoś wykorzystać. Nigdy nie spyta, jaki twój pożytek. Ja się na nic z żadnym z was nie godziłem.

– Może i nie, ale musimy ocalić chłopca i może potrzebna nam będzie ta podstępna wiedźma.

– Martwa na nic wam się nie przyda.

– Tak samo martwa dziewczyna, która próbowała przejść przez trzech nas, aby ją zabić.

Venin-Dżakuu patrzyli od twarzy do twarzy. Wsunęli stopę pod miecz padłego strażnika i podrzucili broń do ręki. Złapali i uśmiechnęli się zadowoleni z uchwytu.

– Jestem mężczyzna! – krzyknął. – Moje imię…

– Dżakuu – dopowiedziałem. – Znam twoje imię. Wiem, że z pewnością jesteś budzącym grozę wojownikiem, z którego ręki padło wielu. Pomóż nam ocalić dziecko, a będzie dla ciebie pieniądz.

– Od pieniądza wyrośnie mi kutas?

– Kutas, co za przeceniana część ciała – wtrącił Mossi.

Nie wiedziałem, czy próbuje wywołać uśmiechy w całym pokoju. Pierś Sogolon tuż pod szyją była czerwona. Ipundulu usiłował rozkroić jej tułów i wyrwać serce, ale prędzej padłaby na naszych oczach, niż wyznała to komukolwiek.

– Zatroszcz się o swoje serce – powiedziałem.

– Moje serce czyste – odrzekła.

– Ale zaraz wypadnie ci z piersi.

– Nigdy nieranione głęboko.

– Przez nic na całym świecie – dorzucił Mossi.

U drzewa bawół czekał z dwoma końmi. Wszystko, o co pragnąłem spytać ustami, spytałem oczyma, bo kiwnął łbem, prychnął i wskazał konie. Dżakuu dosiadł pierwszego.

– Sogolon z tobą – powiedziałem.

– Ja jeżdżę sam – odparł i odgalopował.

Mossi podszedł z tyłu.

– Jak daleko pojedzie? – spytał.

– Zanim się zorientuje, że nie zna drogi? Niedaleko.

– Sogolon.

– Może jechać na grzbiecie bawołu.

– Jak sobie życzysz – odparł Mossi.

Chwyciłem kraj jego szaty i otarłem mu twarz. Krew przestała płynąć.

– Ledwie zadrapanie – powiedział.

– Zadrapanie po potworze z żelaznymi szponami.

– Jakoś go nazwałeś.

– Daj mi to. – Wziąłem jeden z mieczy.

Wyciąłem otwór w brzegu szaty i oddarłem z niej długi pas, którym opatrzyłem mu głowę, mocując węzeł z tyłu.

– Tak, Sasabonsam.

– Nie jest to żadne z imion, które pamiętam z domu starca.

– Nie. Ten Sasabonsam grasował ze swoim bratem. Zabijali ludzi z wierzchołków drzew. Brat mięsożercą, on krwiopijcą.

– Na świecie nie brak drzew. Dlaczego przystał do tej gromady?

– Zabiłem jego brata – odparłem.

Dwie myśli. Sasabonsam oberwał mieczem w skrzydło. Niósł i chłopca, i Ipundulu. Ci dwaj razem cięższy jak on sam.

Tu, na ziemi, dwa płonące drzewa wydawały się odległe o setki setek kroków, bo tak właśnie było. Już wyruszaliśmy, gdy oddział straży Królowej, dwudziestu bez jednego, może więcej, wszyscy pieszo, kazał nam się zatrzymać.

– Jej Promienna Prześwietność nie dała nikomu zgody, by ją opuścić.

– Jej prześwietna promienność ma większe zmartwienia niż to, kto opuszcza jej promienną dupę – odparł Mossi i ruszył między nich na drugą stronę.

Odskoczyli na boki, gdy tylko bawół skrobnął ziemię przednim kopytem.

– Żal odjeżdżać – powiedział Mossi. – Ten bunt to radość dla moich oczu.

– Do chwili, gdy niewolnicy poczują, że wolą znane kajdany niż nieznaną swobodę – odrzekłem.

– Przypomnij mi innym razem, abym podjął dalej tę naszą sprzeczkę.

Wędrowaliśmy przez całą noc. Minęliśmy miejsce, w którym mieszkał starzec, ale z jego domu została tylko woń. Nic się nie zachowało, nawet gruz popękanej gliny i strzaskanych cegieł. Zaprawdę, napełniło mnie to niepokojem, że nie było starca ani domu, ledwie sen o jednym i drugim. Tylko ja to dostrzegłem, milczałem więc i przejechaliśmy obok niczego jak we mgle. Dżakuu usiłował podążać naszym śladem, wysforowując się naprzód, trzy razy więc musiał przyhamować. Droga nie zachowała się nawet w mojej pamięci, inaczej niż Mossiego, który parł przez całą noc. Trzymałem się jego boku. Sogolon usiłowała siedzieć prosto na bawole, pędzącym prawie tak szybko jak konie, lecz dwukrotnie o mało nie spadła. Przemierzyliśmy teren wiedźm mauana, ale tylko jedna wychynęła z ziemi, żeby nam się przyjrzeć, i zaraz zanurkowała, jakby to była woda.

Zanim słońce przegoniło noc, mój nos stracił chłopca. Drgnąłem. Sasabonsam doleciał do drzwi i przeszedł na drugą stronę. Wiedziałem to. Mossi mruknął coś o moim czole walącym go w kark, więc się odsunąłem. Gdy dotarliśmy do miękkiej drogi, przyhamował konia do kłusu. Drzwi zatrzeszczały, wzburzyły powietrze dokoła i zasyczały. Wyraźnie malały. W żółtym świetle dnia zobaczyłem szlak do Kongoru.

– Kiedy nadejdą…

– Sogolon, drzwi się same nie otwierają – przerwałem. – Oni już tu byli, przeszli. Spóźniliśmy się.

Sturlała się z bawołu i spadła na ziemię. Chciała krzyknąć, ale wyszedł z tego tylko charkot.

– To twoja wina – powiedziała, wskazując na mnie. – Nigdy się nie nadawałeś, nie byłeś gotów. Daremność w obliczu tamtych. Żaden z was nie dba. Żaden nie widzi, jaka to szkoda dla całego świata. Pierwszy raz od dwóch lat i daliście im uciec.

– Jak to daliśmy, starucho?! – krzyknął Mossi. – Boś nas sprzedała w niewolę? To twoja sprawka. Mogliśmy rozprawić się z całym Dolingo i uratować chłopca. Ale straciliśmy czas na ratowanie ciebie. Glejt zdobędziesz, pocałuj mnie w dupę. Los całej misji związałaś z Królową, dla której ważniejsze było parzyć się ze mną, niż wysłuchać ciebie. To wszystko twoja wina.

Drzwi się kurczyły, dość jeszcze duże dla człowieka, ale nie dla ogo ani bawołu.

– Długie dni zajmie, by dotrzeć do Kongoru – powiedziała.

– No to wystrugaj sobie kij i leź – warknął Mossi. – Bo my dalej nie idziemy.

– Handlarz niewolników podwoi wam stawkę, obiecuję.

– Handlarz czy siostra Króla? A może rzeczna liengu, z której robisz boginię? – spytałem.

– Chodzi tylko o chłopca. Tacyście głupcy, że nie widzicie? Tylko chłopiec się liczy.

– A ja mam uczucie, stara wiedźmo, że chodzi tylko o ciebie – odrzekł Mossi. – Powtarzasz, że jesteśmy bezużyteczni, gdy właśnie cały czas użytek z nas robisz. A dziewczyna? Biedna Venin, odebrałaś jej jej własne ciało, bo Dżakuu, czy jak on ma na imię, nagle okazał się bardziej użyteczny. Cała ta klęska spada na twoje barki.

Dżakuu zeskoczył z konia i podszedł do drzwi. Chyba nie widział wcześniej takich.

– Co tam za tą dziurą?

– Droga do Mitu – odparł Sadogo.

– Ruszę nią.

– Być może jednak nie wszystko z tobą dobrze – zwróciłem się do Sogolon. – Dżakuu nigdy nie widział dziesięciu i dziewięciu drzwi. A Venin tak.

– Jak to? – spytał.

– Tropiciel ma na myśli, że chociaż dusza u ciebie nowa, twoje ciało może spłonąć – wyjaśnił Mossi.

– Ruszę – powtórzył Dżakuu.

Sogolon uparcie patrzyła na drzwi. Podeszła do nich chwiejnym krokiem. Wiedziałem, o czym pomyślała. Że dożyła trzystu, dziesięciu i pięciu lat, być może przetrwała gorsze przygody, ponadto kto ma czas wysłuchiwać opowieści starej kobiety, których prawdziwości nikt nie może udowodnić?

– Wszyscy zachowujecie się, jakby bogowie się do was uśmiechali, ale nic tu po mnie – powiedział Dżakuu. – Może ruszę na Północ i każę tym zboczeńcom Kampara zrobić mi drewnianego kutasa.

– Niech nie odstępuje cię dobra fortuna – rzekł Mossi.

Dżakuu skinął głową. Ruszył do drzwi. Sogolon zeszła mu z drogi.

Mossi chwycił mnie za ramię.

– Gdzie teraz? – spytał.

Nie wiedziałem, co odrzec ani jak odrzec, że gdziekolwiek, i mam nadzieję, że w jego towarzystwie.

– Nie ma dla mnie wartości w tym chłopcu, ale pójdę tam, gdzie ty – powiedział.

– Nawet jeśli to będzie Kongor?

– Mam słabość do rozrywek.

– Ludzie nastający na twoje życie to rozrywka?

– Śmiałem się z gorszych tarapatów.

Odwróciłem się do Sadogo.

– Wielki ogo, dokąd ty teraz?

– Kto dba o przeklętego olbrzyma? – odezwała się Sogolon. – Wszyscy skamlecie jak suka, bo przechytrzyła was stara kobieta. Nie to wam doskwiera? Jak czegoś nie powąchacie, nie weźmiecie w łapska, nie wypijecie albo nie wyruchacie, to się dla was nie liczy. Nic większego nad was samych.

– Sogolon, opłakujesz śmierć zasad, których nigdy nie przyswoiłaś – odrzekłem.

– Zwracam się do was wszystkich. Każdy pieniądz, jakiego zechcecie. Srebro waszej wagi. Gdy chłopiec zasiądzie na tronie Fasisi, złoty pył będziecie dawać swoim sługom. Mówicie, że zrobilibyście to dla chłopca, nie dla mnie. Dla chłopca, by zobaczył swoją matkę. Lubicie widzieć, jak kobieta klęka? Chcecie moje piersi widzieć w pyle drogi?

– Nie hańb się, kobieto.

– Ja poza godnością i hańbą. Słowa to, tylko słowa. Chłopiec wszystkim. Przyszłość królestwa to ten chłopiec, on…

Drzwi zmniejszyły się do połowy mojego ciała i zawisły nad ziemią. Dżakuu pchnął je ręką, która natychmiast zajęła się ogniem, chwycił Sogolon za kark u odzienia i wciągnął ją do środka. Jej stopy buchnęły płomieniem, zanim zdążył przewlec ją całą, choć stało się to szybko, szybciej niż mrugnięcie przez boga powieką. Mossi i ja rzuciliśmy się do drzwi, ale otwór był teraz mniejszy od ludzkiej głowy. Sogolon wrzeszczała stąd dotamtąd, wrzeszczała i wrzeszczała, bo działo się z nią to, co tylko mogliśmy sobie wyobrazić, gdy drzwi ścieśniły się w nic.

20

Silny wiatr dął w żagle, pchając dau. Nie widziałem dotąd, by płynął tak szybko poza porą burzy, rzekł szyper, ale twierdził, że to nie za sprawą bogini rzeki ani bogini wiatru. Nie miał rozeznania, za sprawą jakiej bogini, choć odpowiedź objawiłaby się wyraźnie każdemu, kto zszedłby pod pokład. Na statek do Kongoru zaokrętowaliśmy się dzień wcześniej i oto dlaczego było to rozsądne posunięcie. Nie mogliśmy wędrować przez Dolingo, bo nie mieliśmy wieści, czy bunt się rozszerzył, czy też ludzie Królowej go stłumili. Góry Dolingo wznosiły się wyżej niż Malakalu, więc ich przebycie zabrałoby pięć dni, kolejne cztery na podróż przez Mitu i dopiero wtedy dotarlibyśmy do Kongoru. Statkiem po rzece zabierało to trzy i pół dnia. Kiedy ostatnio płynąłem, dau miał dziesięć i szesnaście kroków długości, był szeroki na niespełna siedem kroków i niósł pięciu wędrowców. Ten statek sięgał połowy rozpiętości pola sorgo i szerszy był niż dwadzieścia kroków, miał dwa żagle, jeden szeroki jak statek i tak samo wysoki, drugi połowy tej wielkości, oba wycięte jak płetwa rekina. Trzy poziomy pod pokładem, wszystkie puste, przesądzały o szybkości statku, ale zarazem narażały go na wywrotkę. Statek handlarzy niewolników.

– Widziałeś coś takiego? – spytał Mossi, gdy wskazałem zacumowany na wodzie.

Pół dnia marszu zabrało nam dotarcie do polany i rzeki, która płynęła z południa Dolingo, przemykała z lewej strony, wiła się dokoła Mitu i roz-

widlała, by opasać Kongor. Na przeciwległym brzegu ogromne drzewa i gęsta mgła skrywały Mueru.

– Tak, widziałem podobne – odrzekłem.

Wszyscy byliśmy strudzeni, nawet bawół i ogo. Obolali. Pierwszego wieczoru Sadogo miał tak sztywne palce, że rozlał trzy kubki piwa, usiłując się napić. Nie pamiętam, co trafiło mnie w plecy, że aż tak piekło, a gdy zanurzyłem się w rzece, każda rana, skaleczenie, siniec wyły o wytchnienie od bólu. Mossi też był poturbowany i próbował ukryć utykanie, ale krzywił się, gdy stawał na lewej nodze. Poprzedniego dnia rana na jego czole znów się otwarła i krew polała się po twarzy. Z jego szaty odciąłem kolejny kawałek, ugniotłem dzikie rośliny na papkę i wtarłem w rozcięcie. Chwycił mnie za dłoń i zaklął z powodu pieczenia, ale zaraz poluźnił palce i opuścił ręce przy moich biodrach. Obwiązałem mu czoło.

– Teraz wiesz, dlaczego cumuje tutaj, na skraju Dolingo.

– Mossi, Dolingo kupuje niewolników, nie sprzedaje.

– To znaczy, że statek jest pusty? Nie powinien być. Po tym, co się stało w cytadeli.

Odwróciłem się do niego, zerkając jednak na bawołu, który prychnął na widok rzeki.

– Patrz, jak się unosi na wodzie. Pusty.

– Nie ufam handlarzom niewolników. W ciągu jednej nocy z pasażerów możemy się stać towarem.

– A jak handlarz miałby tego dokonać z takimi jak my? Potrzebujemy dostać się do Kongoru, a ten statek płynie albo tam, albo do Mitu, co i tak będzie bliżej niż stąd.

Zatrzymałem szypra i grubego handlarza o łysej głowie pomalowanej na niebiesko. Spytałem, czy przyjmie towarzyszy podróży. Stali na bakburcie, patrząc na nas z pokładu, obszarpanych, posiniaczonych, pokrytych

kurzem, ale uzbrojonych w oręż, który odebraliśmy Dolingończykom. Mossi miał słuszność, szyper przyjrzał się nam z uwagą, tak samo cała załoga w sile trzydziestu. Sadogo nie zdjął rękawic i jedno jego spojrzenie wystarczyło, aby ten człowiek zrezygnował z brania opłaty. Ale to krówsko zaprowadźcie do obory, do reszty głupich zwierząt, powiedział i ogo chwycił bawołu za rogi, żeby go powstrzymać od zaszarżowania. W końcu bawół zajął pustą przegrodę obok dwóch świń, które powinny być bardziej utuczone.

Na drugim poziomie jaśniały okienka i tam właśnie zakwaterował się ogo, po czym zmarszczył czoło, gdy zobaczył, że zamierzamy do niego dołączyć. Ma koszmary i nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział, wyjaśniłem, kiedy Mossi się na to poskarżył. Szyper powiedział mi, że sprzedał swój towar chudemu szlachcicowi o granatowej skórze, który wciąż wskazywał podbródkiem, ledwie dwa dni wcześniej, nim bóg chaosu rozpanoszył się w Dolingo.

Statek zmierzał do Kongoru. Żaden z załogi nie spał na dole. Jeden, którego twarzy nie dojrzałem, powiedział coś o duchach niewolników, rozwścieczonych własną śmiercią na statku, bo pozostawali przykuci do niego kajdanami i nie mogli odejść w zaświaty. Duchy, mistrzowie złoczynienia i tęsknoty, przez wszystkie dni i noce myślą o tych, którzy je skrzywdzili, a myśli swoje ostrzą w nóż. Zatem z nami nie miałyby zwady, uznałem. A jeśliby chciałyby uszu dla opowieści o swej niedoli, to gorsze rzeczy słyszałem od umarłych.

Schodkami zszedłem na pierwszy podpokład, a stopnie były tak strome, że gdy dotarłem na dół, górne znikły mi z oczu w półmroku. Niewiele widziałem w tej ciemności, nos jednak zaprowadził mnie tam, gdzie leżał Mossi, bo mirra na jego skórze przepadła dla powonienia wszystkich, tylko nie dla mojego. Ze strzępów starego żagla uklepał sobie poduszkę i przysu-

nął ją do samej przegrody, aby słyszeć rzekę. Położyłem się spać obok niego, tyle że spać nie mogłem. Odwróciłem się na bok, twarzą do Mossiego, patrzyłem na niego tak długo, że aż podskoczyłem, gdy dojrzałem, że na mnie spogląda, oko w oko. Wyciągnął rękę i dotknął mego policzka, zanim zdążyłem się odsunąć. Wydawało się, że powieki ma nieruchome, oczy zbyt jasne w tak gęstym mroku, prawie srebrzyste. Dłoń pozostała przy mojej twarzy. Potarł mój policzek i przesunął palce do czoła, podążył za jedną brwią, drugą, wrócił do policzka, jakby ślepa starucha rozpoznawała moje rysy. Potem przyłożył kciuk do moich ust, do podbródka i palcami pomuskał szyję. Leżąc tam, zapomniałem już, w którym momencie zamknąłem oczy. Po chwili poczułem go na wargach. Takiego pocałunku nie ma u Ku, pośród Gangatom też nie. Nikt w Kongorze ani Malakalu nie znałby takiej igraszki językiem. Zapragnąłem więcej. Wtedy wepchnął mi język do ust i otworzyłem oczy. Ponowił, a ja odpowiedziałem tym samym. Gdy chwycił mnie dłonią, byłem już twardy. Znów podskoczyłem i musnąłem dłonią jego czoło. Skrzywił się, potem uśmiechnął szeroko. Nocne cienie ukazywały jego sylwetkę w mroku, szarosrebrną. Usiadł i ściągnął szatę przez głowę. Patrzyłem tylko na niego, na pierś upstrzoną fioletowymi sińcami. Pragnąłem go dotknąć, bałem się jednak, że znów się skrzywi. Usiadł okrakiem na mych biodrach i chwycił mnie za ramiona, na co syknąłem. Ból. Powiedział, że jesteśmy starymi poranionymi biedakami, którzy nie mają pożytku z… Reszty nie usłyszałem, bo pochylił się i possał mój prawy sutek. Jęknąłem, i to jakże głośno. Czekałem, żeby któryś z żeglarzy zaklął albo szepnął, że coś się dzieje między tamtymi dwoma. Kolana Mossiego na moich poobijanych żebrach utrudniały oddech. Pogłaskałem go po piersi, wciągnął gwałtownie powietrze w usta i wypuścił zaraz jako stęknięcie. Przeląkłem się, że sprawiłem mu ból, ale tylko chwycił moją rękę i odsunął ją na podłogę. Dmuchnął mi w pępek i ruszył niżej, między uda.

Dał popis drogocennego sztukmistrzostwa. Najcichszym szeptem błagałem go, aby przestał. Wspiął się na mnie. Deski podłogi, zbite luźniej, niżby należało, skrzypiały przy każdym ruchu. Wypuściłem z siebie wszystko przez zaciśnięte zęby i chwyciłem Mossiego za tyłek. Teraz ja przygniatałem jego. Złapał mnie za siniak na lewym pośladku i krzyknąłem. Zaśmiał się, wciągając mnie głębiej w siebie. Zwarci ustami nie umieliśmy zachować ciszy, zwarci ustami myśleliśmy: pierdolić bogów, niech rozbrzmiewają dźwięki.

Gdy obudziłem się rankiem, nade mną stał chłopiec. Nie byłem zaskoczony w żadnej mierze, bo spodziewałem się go, nawet więcej takich jak on. Uniósł brwi zaciekawiony i podrapał się w szyję pod zapiętą obręczą. Mossi stęknął, napędzając mu stracha. Chłopiec przepadł na tle burty.

– Ratowałeś dawniej dzieci – odezwał się Mossi.

– Nie widziałem, że nie śpisz.

– Jesteś inny, kiedy sądzisz, że nikt cię nie widzi. Zawsze myślałem, że to, co czyni z człowieka mężczyznę, to że zajmuje tyle przestrzeni. Siedzę tutaj, mój miecz leży tam, mój bukłak tam, szata tutaj, zydel tam, nogi szeroko rozkraczone, no bo tak lubię. A ty, ty się ścieśniasz. Zastanawiam się, czy z powodu oka.

– Którego?

– Głupiec.

Usiadł naprzeciw mnie i oparł się o deski. Pogłaskałem go po owłosionych nogach.

– O tym mówię – ciągnął Mossi. – Mój ojciec ma dwoje różnych oczu. Najpierw były stalowe, ale potem wróg z dzieciństwa obtłukł mu jedno na brązowo.

– Co twój ojciec mu zrobił?

– Teraz zwie go Sułtanem, Wielką Eminencją.

Roześmiałem się.

– Te dzieci mają dla ciebie dużą wagę. Rozmyślałem o takich sprawach, o dzieciach, ale… hmm. Po co dumać o locie, skoro nigdy nie będziemy ptakiem? My na Wschodzie mamy dziwne namiętności. Mój ojciec, aha, mój ojciec jest tylko moim ojcem, tak jak był ojciec przed nim. Rzecz nie w tym… bo nie byłem pierwszy… nawet nie pierwszy noszący jego imię… ponadto moja żona została wybrana ze szlacheckiego domu, zanim się urodziłem, tak to było, bo taki jest bieg spraw. Rzecz nie w tym, co zrobiłem, lecz w tym, że Prorok pozwolił ludziom nas zdemaskować, a ten był ubogi, więc… ja… Odesłali mnie i powiedzieli, abym nigdy więcej nie przyżeglował do ich stron, bo będzie to oznaczać śmierć.

– Żona. I dziecko?

– Czworo. Mój ojciec wziął wszystkie i dał mojej siostrze na wychowanie. Lepiej trzymać mój brud z dala od ich pamięci.

Pierdolić bogów, pomyślałem. Pierdolić.

– Potem zboczyłem z kursu. Może to była sprawka bogów. Są dzieci, o których myślisz.

– A ty nie myślisz?

– Każdej nocy.

– Zapewne dlatego rozwiązłe żony odprawiają nas, gdy tylko wytryśniemy. Smutna rozmowa o dzieciach.

Uśmiechnął się.

– Słyszałeś o mingi? – zapytałem.

– Nie.

– W niektórych nadrzecznych plemionach i nawet zakątkach takich wielkich miast jak Kongor zabija się dzieci, które są niepełnej wartości. Dzieci urodzone słabowite, bez kończyn, albo z górnymi zębami wystającymi

przed dolne, obdarzone umiejętnościami lub o dziwnym kształcie ciała. Ocaliliśmy piątkę takich o dziwnej postaci, powracają do mnie w snach…

– Ocaliliśmy? Kto?

– Nieważne w tej chwili. Ta piątka powraca do mnie w snach. Próbowałem się z nimi spotkać, ale mieszkają u plemienia, które jest wrogiem mojego.

– Jak to?

– Oddałem dzieci wrogom mego ludu.

– Tropicielu, wszystko, co mówisz, kończy się inaczej, niż się spodziewam.

– Bo mój lud próbował mnie zabić za ocalenie mingi.

– Och. Ty i ten lud, u was żadna rzeka nie płynie prostym szlakiem. Zabierz nas na poszukiwania chłopca. Nie ma prostej linii między nami a chłopcem, są tylko dopływy i dopływy tworzące kolejne dopływy i czasem, zaprzecz, jeśli kłamię, tak się w nich gubisz, że chłopiec ci znika, a wraz z nim przyczyna jego poszukiwań. Znika jak ten chłopiec, który przepadł na tle desek.

– Widziałeś go?

– Prawda nie zależy przecież od mej wiary w prawdę.

– Prawda jest taka, że czasem zapominam, za kim gonimy. O pieniądzu nawet nie myślę.

– Co więc cię zmusza? Bo chyba nie zwrócenie dziecka matce? Mówiłeś tak ledwie parę dni temu.

Podpełzł do mnie i pęki światła osmużyły mu ciało. Oparł głowę na moich kolanach.

– Naprawdę o to pytasz?

– Naprawdę o to pytam.

– Dlaczego?

– Wiesz przecież.

Spojrzałem na niego.

– Im dalej zabrnę…

– Tak?

– Tym bardziej czuję, że nie mam do czego wracać.

– Dopadło cię to po ilu księżycach?

– Prefekcie, taka nowina zawsze nadchodzi o jednej porze. Za późno.

– Opowiedz mi o swoim oku.

– To ślepie wilka.

– Szakale nazywasz wilkami? Może przegrałeś zakład z szakalem. Chyba się ze mną nie przekomarzasz? Które pytanie pragniesz usłyszeć najpierw? Jak czy dlaczego?

– Zmiennokształtna hiena wyssała mi oko z czaszki, potem odgryzła.

– A więc najpierw powinienem był spytać dlaczego. A po ostatniej nocy…

– Co po ostatniej nocy?

– Ty… Nic.

– Wczorajsza noc nie była pod zastaw czegoś innego – powiedziałem.

– Nie, nie była.

– Możemy pomówić o czymś innym?

– Teraz nie mówimy o niczym. Tylko o twoim oku.

– Stado wyrwało mi oko.

– Stado hien, rzekłeś.

– Prawda nie zależy od twojej wiary w nią, prefekcie. Przez kilka księżyców wędrowałem po tych ostępach między Morzem Piasków a Dżubą. Nie pamiętam, jak długo, ale pamiętam, że pragnąłem umrzeć. Lecz dopiero gdy zabiję człowieka, który był winien.

Oto krótka opowieść o wilczym ślepiu. Gdy człowiek ten wydał mnie stadu hien, nie mogłem go odnaleźć. Potem włóczyłem się i włóczyłem, napełniony, przepełniony nienawiścią, nie mając niczego, na co mógłbym tę gorycz wylać. Wróciłem nad Morze Piasków, do krainy chrząszczy wielkich jak ptaki i skorpionów, które żądlą śmiertelnie. Usiadłem w dole pośród piasku, a sępy sfrunęły w krąg. I wtedy zjawiła się sangoma, we wzdętej czerwonej sukni, choć nie wiał wiatr, w aureoli pszczół. Najpierw usłyszałem owady, dopiero potem ją zobaczyłem, a gdy zobaczyłem, rzekłem: to zapewne sen z gorączki, obłęd od słońca, bo przecież dawno nie żyła.

– Spodziewam się, że chłopiec z nosem nie ma nosa, ale nie myślałam, że chłopiec z ustami nie będzie miał ust – powiedziała.

Truchtał u jej boku.

– Przyprowadziłaś szakala? – spytałem.

– Nie uwłaczaj wilkowi.

Chwyciła mnie za twarz, zdecydowanie, ale bez przemocy, i wymówiła słowa, których nie zrozumiałem. Zgarnęła dłonią garść piasku, splunęła w nią i ugniotła, aż ziarenka zlepiły się razem. Potem oderwała mi łatę i podskoczyłem. Zamknij zdrowe oko, nakazała. Napchała piasku do mojego pustego oczodołu i wtedy zbliżył się wilk. On warknął, ona stęknęła, zaraz stęknęła jeszcze więcej. Usłyszałem coś jak dźgnięcie i wilcze powarkiwanie. Potem już nic. Sangoma rzekła: policz do dziesięciu i jednego, dopiero potem otwórz oczy. Zacząłem liczyć, lecz mi przerwała.

– Wróci po nie, jak będziesz blisko kresu. Uważaj zatem na niego.

Tak oto użyczyła mi wilczego ślepia. Myślałem, że będę widział daleko i szeroko, że będę widział ludzi w ciemności. I widzę. Ale barwy uciekają, gdy zamknę drugie oko. Pewnego dnia wilk powróci i upomni się o swoją źrenicę. Nie mogłem nawet się roześmiać.

– Ja bym mógł – rzekł Mossi.

– Obyś był wyruchany po tysiąckroć.

– I jeszcze więcej, zanim zacumują. Może nawet to ty zostaniesz kochankiem.

Najpewniej stroił sobie żarty, ale mnie rozgniewał. Rozgniewał mnie, zwłaszcza jeśli stroił sobie żarty.

– Opowiedz mi więcej o wiedźmach – poprosił Mossi. – Dlaczego tak ich nienawidzisz.

– Kto mówi, że nienawidzę wiedźm?

– Twoje własne usta.

– Choroba mnie dopadła wiele lat temu w Purpurowym Mieście. Choroba bliska śmierci, klątwa, którą rzucił na mnie kapłan fetyszowy opłacony przez męża pewnej kobiety. Odnalazła mnie wiedźma i obiecała uzdrawiające czary, jeśli zrobię coś dla niej.

– Ale przecież nienawidzisz wiedźm.

– Milcz. Powiedziała, że nie jest wiedźmą, tylko kobietą, która ma dziecko bez mężczyzny, a miasto okrutnie osądzało takie przypadki. Zabrali jej dziecko, tak mi rzekła, i oddali bogatej, ale niepłodnej kobiecie. Sprawisz, że wydobrzeję?, spytałem. Ona, że da mi wolność od niedostatku, co nie zabrzmiało jak jedno i to samo. Lecz poszedłem za wskazaniem swojego nosa i odnalazłem dziecko, nocą odebrałem je tamtej kobiecie, nie zakłócając niczyjego spokoju. Dalej nie wiem, co się stało, tylko tyle, że nazajutrz obudziłem się zdrów, z kałużą czarnych wymiocin na podłodze.

– W takim razie dlaczego…

– Milcz. To naprawdę było jej dziecko. Ale biła od niej dziwna woń. Wytropiłem ją dwa dni później w Fasisi. Oczekiwała kogoś innego. Człowieka, co miał kupić dwie dziecięce dłonie i wątrobę wyłożone na stole.

Wiedźmy nie mogą wyprawić zaklęć przeciwko mnie, choć próbowała. Rozpłatałem jej czoło, nim zdążyła zaintonować słowa, i odrąbałem głowę.

– I odtąd nienawidzisz wiedźm.

– Och, zacząłem nienawidzić dużo wcześniej. Gardzę sobą za to, że zaufałem jednej, rzecz bardziej w tym. Na końcu ludzie zawsze wracają do swojej natury. To jak ta żywica gumowa na drzewie, żebyś nie wiadomo jak mocno napiął, przyciągnie się z powrotem.

– Może nosisz w sobie nienawiść do kobiet.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo nigdy nie słyszałem z twoich ust jednego dobrego słowa o żadnej. W twoim świecie one wszystkie wiedźmami.

– Nie znasz mojego świata.

– Znam dostatecznie. Może żadnej nie darzysz nienawiścią, nawet matki. Ale powiedz, że kłamię, gdy mówię, że po Sogolon zawsze spodziewasz się najgorszego. I po każdej innej kobiecie, którą spotykasz.

– Kiedy widziałeś mnie przy takich słowach? Dlaczego teraz tak mówisz?

– Nie wiem. Nie możesz we mnie wejść i sądzić, że ja nie wejdę w ciebie. Pomyśl o tym.

– Nie mam o czym myśleć…

– Pierdolić bogów, Tropicielu.

– Zgoda, pomyślę o tym, dlaczego Mossi myśli, że nienawidzę kobiet. Coś jeszcze, zanim pójdę na pokład?

– Tylko jedno.

Zacumowaliśmy w południe jeden dzień i pół później. Rana na czole Mossiego wyglądała na zaleczoną i żaden z nas nie był już obolały, choć w bliznach, nawet bawół. Większość dnia przesiedziałem w luku dla

niewolników, ruchałem Mossiego, a Mossi ruchał mnie, kochałem Mossiego, a Mossi kochał mnie, potem szedłem na pokład, aby przyjrzeć się twarzom i zobaczyć, czy ktoś chce mieć ze mną sprzeczkę. Nie wiedzieli albo nie dbali o to – żeglarze wszędzie i zawsze żeglarzami – nawet gdy Mossi przestał zakrywać sobie usta moją dłonią, aby zdusić krzyki. W pozostałych chwilach dawał mi zbyt wiele do myślenia, a wszystko prędzej czy później prowadziło do mojej matki, o której nigdy przenigdy myśleć nie chciałem. I do Lamparta, o którym nie myślałem od wielu księżyców, i do tego, że Mossi powiedział, że we mnie nienawiść do wszystkich kobiet. Była to sroga myśl i kłamstwo zarazem, bo co mogłem poradzić na to, że natknąłem się w życiu na wiedźmy?

– Może przyciągasz do siebie najgorsze.

– Ty też jesteś najgorsze? – spytałem rozgniewany.

– Obym nie był. Ale myślę o twojej matce, a raczej o matce, o której mi opowiedziałeś i która może nie być prawdziwa, a jeśli jest prawdziwa, to inaczej, niż opisałeś. Mówisz jak ojcowie z moich stron, którzy córki winią za gwałt i pytają: nie miałaś nóg, żeby uciec? Nie miałaś ust, żeby krzyczeć? Myślisz jak oni, że cierpienie za przyczyną okrutności lub ucieczka przed nim to sprawa wyboru i zasobów, gdy tymczasem to sprawa siły.

– Mówisz, że powinienem zrozumieć siłę?

– Mówię, że powinieneś zrozumieć swoją matkę.

Nocą przed zacumowaniem rzekł: Tropicielu, czasem jesteś żywiołowym kochankiem, lecz nie zabrzmiało to w moich uszach jak pochwała, a potem bez ustanku wypytywał mnie o dawno minione sprawy, sprawy umarłe. Tak bardzo wypytywał, że owszem, miałem powoli dość prefekta i jego dociekań. Rankiem załoga bez słowa załatała dziurę, którą ogo wybił w burcie. Powiedział, że miał koszmar.

W południe ulice Kongoru opustoszały, idealna pora, aby wślizgnąć się do miasta i przepaść w zaułku. Odjąć należy ulice, przy których mieszkali Tarobe, Nyembe i Gallunkobe/Matyube, przy pozostałych ludzie stawiali dom, gdziekolwiek mogli kupić, wyłudzić, odziedziczyć lub przejąć grunt, co oznaczało, że kiedy większość mieszkańców zostawała pod dachem, całe miasto wyglądało, jakby ukryło się za murami. Na brzegu nie stały nawet warty, zwykle rozstawione wzdłuż granic miasta. Od dwóch z załogi Mossi i ja wzięliśmy szaty w zamian za kauri, a jeden z nich, zdumiony, rzekł: zabijałem za mniej. Odtąd nosiliśmy złachane przez morze odzienie żeglarzy, koszule z kapturem i spodnie jak przybysze ze Wschodu.

Upłynęło więcej niż siedem dni, odkąd ostatni raz widzieliśmy Kongor. Być może więcej, nie pamiętałem. Po maskaradzie bindżingun nie ostała się żadna głośna muzyka ani nic prócz kawałków słomy, odzienia, kijów i lasek w czerwonym i zielonym kolorze, wszystko rozsypane na ulicy i żadnego mistrza, aby się o to upomniał.

Wpatrywałem się w ogo, by zobaczyć, czy widzi mnie i prefekta innymi oczami, ale nic nie zobaczyłem. Jeśli w ogóle Sadogo się zmienił, to mówił więcej niż przez ostatni księżyc, o wszystkim od tego miłego nieba do tego przemiłego bawołu, aż o mało nie powiedziałem mu, że gadatliwy ogo ściągnie na nas uwagę. Zastanawiałem się, czy Mossi myśli tak samo i czy dlatego trzyma się kilka kroków z tyłu, aż nagle zobaczyłem jego spojrzenie rzucane na boki, w przód i w tył, w głąb każdej krzyżówki ulic, a jego ręka nie puszczała miecza. Zwolniłem, zrównując się z nim.

– Armia wodza?

– Pośrodku ulicy kupieckiej? Sowicie nam zapłacili, aby nigdy nie przybyć do tych stron.

– To kto?

– Ktokolwiek.

– Mossi, który wróg się nas spodziewa?

– Żaden chodzący po ziemi. To gołębie na niebie mnie niepokoją.

– Wiem. I nie mam tu przyjaciół. Nie…

W tej chwili musiałem przerwać, na środku ulicy, którą przemierzaliśmy. Ścisnąłem się za nos i cofnąłem pod mur. Tak wiele naraz, że starszy ja chybaby oszalał, teraz jednak wonie okładały mój umysł, pchając mnie do przodu i w tył, i na boki, wszystko jednocześnie, mój nos oszołomiony.

– Tropicielu.

Mogę przemierzać krainę stu nieznanych woni. Mogę wejść między wiele znanych, jeśli wiem, że będą w tym miejscu, a wtedy decyduję, którym tropem podąży mój nos. Lecz jeśli sześć lub choćby nawet cztery zastawią na mnie zasadzkę niespodziewanie, wtedy prawie dostaję obłędu. Upłynęło mnóstwo lat, odkąd to mi się przydarzyło. Pamiętam chłopca, który wyszkolił mnie w wyławianiu jednej woni spośród kilku, chłopca, którego musiałem zabić. Teraz wszystkie dopadły mnie po równo, wszystkie pamiętałem, ale nie wszystkie z Kongoru.

– Wyczułeś chłopca – powiedział Mossi, chwytając mnie za ramię.

– Nie upadnę.

– Wyczułeś chłopca.

– Więcej niż chłopca.

– To dobrze czy nie zanadto?

– Tylko bogowie to wiedzą. Ten nos to klątwa, nie błogosławieństwo. Dużo się dzieje w tym mieście, więcej, niż gdy byłem tu ostatni raz.

– Mów prostym słowem, Tropicielu.

– Pierdolić bogów, a mówię jak wariat?

– Spokój, spokój.

– To właśnie powtarzał ten pierdolony kot.

Chwycił mnie i przyciągnął do siebie.

– Twoja gorąca krew tylko to pogarsza – powiedział.

Ogo i bawół szli dalej, nie zauważywszy, że przystanęliśmy. Mossi dotknął mojego policzka i się wzdrygnąłem.

– Nikt nas nie widzi – zapewnił. – Ponadto wtedy możesz się martwić czym innym.

Uśmiechnął się.

– Zdaje mi się, że ktoś nas śledzi. Jak daleko do ulic Nyembe?

– Niedaleko, teraz na północ, potem na zachód stąd – odparł Mossi. – Ale tych dwóch nie damy rady ukryć. – Wskazał Sadogo i bawołu. – Winniśmy się trzymać nadrzecza. Idziemy po chłopca?

– Teraz jest ich tylko trzech, a Ipundulu ranny. Nie ma wiedźmy-matki, która przyśpieszyłaby gojenie się ran.

– Każesz nam czekać?

– Nie.

– To co chcesz powiedzieć?

– Mossi.

– Tropicielu.

– Milcz. Chcę powiedzieć, że gdy polujemy na ludzi, ludzie polują na nas. Być może Aesi wciąż jest w Kongorze. Mam uczucie, że nas podpatruje, czeka, abyśmy wpadli mu w łapy. I jeszcze inni, inni też nas tropią.

– Mój miecz gotów, gdy nas znajdą.

– Nie. To my ich znajdziemy.

Zmierzch nadciągnął, zanim przekradliśmy się pustymi zaułkami, aby dotrzeć na zachód. Natrafiliśmy na uliczkę wąską tylko na jednego człowieka, w której Mossi zniknął i z której się wyłonił z krwią na ostrzu miecza. Nie wyjaśnił, a ja nie pytałem. Ciągnęliśmy na północ i wschód, z zaułka w zaułek, aż dotarliśmy do kwartałów Nyembe i tej krętej ulicy, która wiodła do domu starego pana domostwa.

– Gdy ostatnim razem tu byłem, roiło się od Czarnych Skrzydeł – powiedziałem.

Mossi wskazał chorągiew Czarnego Krogulca, wciąż łopoczącą na szczycie wieży w odległości trzystu kroków.

– Ona dalej powiewa. I wszędzie znak Króla Fasisi.

Dotarliśmy do drzwi, podejrzanie otwartych.

– Na ścianie znak, który znam – powiedziałem.

– Myślałem, że najpierw doniesiesz mi o szczynach.

Mossi odskoczył, lecz ja nie drgnąłem, choć żałowałem, że nie mam topora. Nadbiegł z głębi domu, gnając wąskim korytarzem prowadzącym na dwór, skoczył wprost na mnie, obalił na ziemię. Bawół prychnął, ogo pośpieszył z ratunkiem, a Mossi dobył oba miecze.

– Nie! – krzyknąłem. – To…

Lampart polizał mnie po czole. Potarł łbem o mój prawy policzek, wsunął go pod podbródek, potarł o lewy. Nosem o nos, czoło na czole. Fuknął i zamruczał, gdy usiadłem. I zmienił postać.

– Podpatrzyłeś to u lwów, żałosna podróbko lamparta – odezwałem się na powitanie.

– Czy mamy omówić wstrętne zachowania, które ty podpatrzyłeś, wilku? Bo wstrętne są. Wkrótce usłyszę, że całujesz z językiem.

Prychnięcie pochodziło ode mnie, nie od bawołu.

– Ty ze ślepiem psa, ja ze źrenicami kota. Niepospolita z nas para, prawda, Tropicielu?

Skoczył na nogi i podciągnął mnie do góry. Mossi wciąż trzymał miecze w gotowości, ogo jednak podszedł do Lamparta i podniósł go na ręce.

– Lubię cię bardziej niż większość kotów – oznajmił.

– A ile znasz kotów, Sadogo?

– Ledwie jednego.

Lampart dotknął jego twarzy.

– Aj, rogaty, nie stałeś się jeszcze posiłkiem żadnego człowieka?

Bawół tupnął w ziemię, a Lampart się roześmiał. Sadogo postawił go na nogi.

– Kim ten z dobytymi mieczami? Wróg?

– Tak po prawdzie, Lamparcie, też mi przyszło na myśl, by wyciągnąć nóż – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Lam… Czy chłopak jest z tobą?

– Rzecz jasna… Ach, czekaj. Tak, tak, tak. By prawdę rzec, ja też bym wyciągnął nóż na siebie. Mam historię, którą muszę ci opowiedzieć. Jest w niej wyruchana dupa, więc przypadnie ci do gustu. Z pewnością ty masz wiele więcej do opowiedzenia mnie. W pierwszej kolejności, kim jest ten zacny człowiek, który wciąż nie chce schować mieczy?

– Mossi. Był w armii wodza.

– Jestem Mossi.

– Już słyszałem. Zjadłem paru wodzów i nie smakowali wodzowsko. Jak to się stało, że wędrujesz z tymi… Jak was nazwać, jak nazwać nas?

– To długa opowieść – odparł Mossi. – Ale teraz poszukuję chłopca. Z nim.

– A więc wie od ciebie o chłopcu? – spytał Lampart, zerkając na mnie.

– Wie wszystko.

– Nie wszystko – zaprzeczył Mossi.

– Pierdolić bogów, prefekcie.

Lampart spojrzał na niego, potem na mnie i rozciągnął twarz w zdrożnym uśmiechu. Oby był za to wyruchany tysiąc razy.

– Gdzie Sogolon?

– To bardzo długa historia. Dłuższa niż twoja. Muszę zamienić słowo z panem tego domu. Jest człowiek, który wygląda tak samo jak on, mieszka w Dolingo.

– Co cię zagnało do Dolingo? Niestety, nam na spotkanie wyszły tylko pająki, tak pusto. Pusto w każdym pokoju, każdym oknie, nawet roślin nie zostawiono. Ruszajcie do środka, zacny ogo i prefekcie, jakiekolwiek nosisz imię.

– Mossi.

– A tak, Mossi. Bawole, nasze warzywa w środku są lepsze niż wszystko, co znajdziesz na tej wstrętnej ziemi. Idź od tyłu i każ sobie podać przez okno.

Po raz pierwszy od długiego czasu bawół wydał ten odgłos, który brałem w swoim przekonaniu za śmiech.

– Mossi, wyglądasz na fechmistrza – powiedział Lampart.

– Jestem nim, i co zatem?

– Nic, ale mam dwa miecze, które są bez pożytku dla stworzenia na czterech łapach. Znakomite ostrza, wykonane na Południu. Należały do człowieka, któremu odrąbałem głowę.

– Czy ty albo ten tutaj kiedykolwiek zostawiacie człowieka w całości?

Lampart spojrzał na mnie, na Mossiego i się roześmiał. Potem klepnął go mocno w plecy i pchnął ze słowami: są w środku. Nie wyobrażałem sobie, aby Mossiemu to się spodobało, na pewno nie tak, jak mnie podobało się to widzieć.

– Tropicielu, ona też tu jest.

– Kto?

Kiwnął, abym ruszył za nim.

– Jutro w nocy odzyskamy chłopca – powiedział.

Gdy weszliśmy pod dach, Fumeli, którego nie widziałem od tak dawna, podbiegł do nas, ale zaraz zwolnił, bo Lampart warknął.

– O to zapytam później – powiedziałem.

– Postąpimy tak, jak postępujemy zawsze, Tropicielu. Pojedynek na opowieści. Wierzę, że znów wygram.

– Jeszcze nie usłyszałeś mojej.

Stanął przede mną. Kocie wąsy sterczały spod nosa, a włosy zdawały się dłuższe, dziksze. Stęskniłem się za tym mężczyzną tak bardzo, że serce mi podskakiwało na jego każdy ruch. I wtedy, gdy odwrócił się ze zdrożnym uśmiechem. I wtedy, gdy podrapał się w krocze pod szatą, bo nienawidził odzienia jak ja.

– Nie dorówna mojej, za to ręczę – powiedział.

Poprowadził mnie przez sześć kondygnacji. Doszliśmy do pokoju, którego wcześniej nie widziałem, i wtedy dosięgnęła mnie woń rzeki. Nie z dworu. Był to jeden z pięciu lub sześciu zapachów, które znałem i których nie witałem z radością. Znajdował się w pokoju, reszta blisko, ale gdzie indziej.

– Wyczuwam chłopca, jest niedaleko – rzekłem. – Powinniśmy iść zaraz po niego, nim znów ruszą.

– Oto człowiek, co rozumuje jak ja. Już trzy razy to samo padło z moich ust. Ale mówią, że za dużo tych, co tropią, a mnie tropi cała armia, więc pójdziemy nocą.

Nie znałem tego głosu.

– Tropiciel jest tutaj. Może ci powiedzieć, co się dzieje, gdy zamysł ustępuje przed kaprysem.

Ten głos znałem. Wszedłem do środka i najpierw rozejrzałem się za nowym głosem. Leżała na poduszkach i kobiercach, z kubkiem w dłoni, a w nim mocny napój z ziaren kawy z Fasisi. Czapka na głowie, szeroka

u góry jak korona, z czerwonej tkaniny, nie ze złota. Podciągnięty welon, być może z jedwabiu, odsłaniał twarz. Dwa duże kółka na uszach, wzór z kręgów, czerwonych, potem białych, potem czerwonych, potem znowu białych. Szata tak samo czerwona, rękaw obnażający ramiona, ale kryjący ręce. Duży niebieski wzór z przodu, kształt dwóch grotów wycelowanych w siebie nawzajem. O mało nie powiedziałem: nie znam mniszki, która by tak się odziewała, ale moje usta napytały mi już dostatecznie dużo kłopotów. Za nią stały dwie służki w takich samych skórzanych sukniach, jaką lubiła nosić Sogolon.

– Ty jesteś tym, co go zwą Tropiciel – powiedziała siostra Króla.

– Tak właśnie mnie zwą, Najznamienitsza Pani.

– Od lat jestem jak najdalsza od znamienitości i nie mam nic wspólnego z panowaniem. Mój brat się o to postarał. Sogolon już z tobą nie ma. Czy poległa?

– Dostała to, na co zasłużyła – odparłem.

– Ona była od zamysłów, ta Sogolon. Przekaż nam nowiny.

– Przeszła przez drzwi, przez które przejść nie powinna, i zapewne spaliła się na śmierć.

– Zatem to śmierć straszna, z tego, co wiem o śmierci. Czerp siłę ze smutku, tego ci życzę.

– Nie smucę się jej losem. Sprzedała nas jako niewolników w zamian za bezpieczną wędrówkę przez Dolingo. Wzięła ciało dziewczęcia i oddała je duszy człowieka, któremu ciało skradła dawno temu.

– Nic ci o tym nie wiadomo! – wtrąciła bunszi.

Zastanawiałem się, kiedy zabierze głos. Uniosła się z kałuży na podłodze po prawej stronie od siostry Króla.

– Kto wie, wodna wiedźmo? Być może człowiek ten dokonał pomsty, wciągając ją przez jedno z dziesięciu i dziewięciu drzwi. Słyszałem, że nie

można wrócić do żadnych, póki nie przejdzie się przez wszystkie pozostałe. Udowodniła, że to prawda, jeśli jesteś jedną z ostatnich, którzy jeszcze się zastanawiają.

– A ty mu na to pozwoliłeś.

– Stało się bardzo szybko, bunszi. Za szybko, aby się przejąć.

– Powinnam cię utopić.

– Kiedy się dowiedziałaś, że Sogolon zmieniła zamysł? Czy ci nie powiedziała? Jesteś łgarzem czy głupcem?

– Za twoim pozwoleniem – zwróciła się bunszi do królewskiej siostry, ale ta pokręciła głową.

– W pewnej chwili uznała, że nie jesteśmy zdatni do ratowania twego drogocennego syna – rzekłem. – Chociaż to właśnie my, niezdatni, wyrwaliśmy się z niewoli i ocaliliśmy ją przed jednym, co go nazywają Ipundulu.

– Ona…

– Popełniła błąd, który kosztował ją odzyskanie dziecka – wtrąciłem. – Owszem, tak właśnie było.

– Sogolon usiłowała tylko służyć swojej pani – zwróciła się bunszi do siostry Króla, ale patrzyła na mnie.

– Tropicielu, jakie jest twoje prawdziwe imię? – spytała siostra Króla.

– Tropiciel.

– Tropiciel. Pojmuję cię. Dziecko nie ma dla ciebie żadnej wagi.

– Słyszałem, że jest przyszłością królestwa.

Wstała.

– Co jeszcze słyszałeś?

– Za dużo i o wiele za mało.

Roześmiała się i odparła:

– Siła, przebiegłość, odwaga, gdzie byli mężczyźni o takich przymiotach, kiedy ich potrzebowałyśmy? Gdzie kobieta, którą skrzywdziłeś

i porzuciłeś?

– Skrzywdziła się sama.

– W takim razie musi być kobietą większej władzy i zasobów niż ja. Każdą bliznę, którą noszę, zadał mi ktoś inny. Co to za kobieta?

– Jego matka – odparł Lampart.

W tejże chwili mógłbym go zabić.

– Jego matka. Ona i ja mamy wiele wspólnego.

– Obie porzuciłyście swoje dzieci?

– Może raczej nam obu życie zniszczyli mężczyźni tylko po to, aby nasze dzieci wyrosły w obwinianiu nas o to. Upraszam, daruj mi te słowa. Mieszkałam w klasztorze naprzeciw domu uciech. Tylko pomyślcie, ja, siostra Króla, w ukryciu pośród starych kobiet, bo wysłał zabójców do fortecy, w której mnie uwięził. Siedem Skrzydeł, wyruszyli, aby dołączyć do armii Króla w Fasisi. Stamtąd najpierw najadą Luala Luala, potem Gangatom i Ku, zakują każdego męża, kobietę i dziecko w kajdany. Nie najadą, a najechali, bo Luala Luala już pod ich sandałem. Oręż wojenny nie buduje się sam.

– Pokłony władców dla ciebie – rzekłem – lecz stoisz tutaj i próbujesz sprawić, że zwykli ludzie przejmą się losem książąt i królów, jakby to, co stanie się z tobą, miało zmienić to, co stanie się z nami.

– Lampart mówi mi, że masz dzieci pośród Gangatom.

– W żadnej cipie nie zagościłem chyba na tyle długo, aby spłodzić dziecię – odrzekłem.

– Czy to są te usta, przed którymi mnie ostrzegaliście? – spytała, patrząc równocześnie na bunszi i Lamparta.

Skinął głową. Usiadła z powrotem na stołku.

– Jakże wspaniałą rodzinę musiałeś mieć, skoro utrata syna nic dla ciebie nie znaczy.

– Nie mojego…

– Tropicielu – wtrącił Lampart, kręcąc głową.

– Sprawy widać inaczej, gdy sami jesteśmy zaginionym dzieckiem, Najznamienitsza Pani – powiedziałem. – Wtedy myślimy tylko o rozczarowaniu, jakim są nasi rodzice.

Zaśmiała się.

– Czy wydaję ci się spokojna, Tropicielu? Czy myślisz, oto opętana przez itutu? Jak możliwe, że królewska córka taka spokojna, gdy potwory i ludzie porwali jej synka? A może to tylko ostatni gwałt nam zadany? Może jestem utrudzona. Może co noc biorę kąpiel, aby wyć pod wodą i obmywać łzy? A może niechbyś był wyruchany po tysiąckroć, skoro myślisz, że cokolwiek z tego twoją sprawą. Kilku ze starszyzny doszły już wieści o tym, że nie tylko mam dziecko, ale dziecko z prawowitego związku z księciem. Wiedzą, że udam się do Fasisi i przedłożę starszyźnie, dworowi, przodkom i bogom moje roszczenie do sukcesji. Mój brat myśli nawet, że wybił wszystkich griotów Południa, ale ja mam czterech. Czterech z prawdziwą historią, czterech, których opowieści nie zaprzeczy żaden człowiek.

– Dlaczego tyle zachodu, żeby na tronie zasiadł ktoś inny? Chłopiec.

– Chłopiec przygotowany przez swoją matkę. A nie przez mężczyzn, którzy potrafią go wychować tylko po to, aby był taki sam jak oni. Dwa dni temu wojsko mojego brata pomaszerowało na północ do krain nadrzecznych. Nie masz tam krewnych?

– Nie.

– Gangatom żyją zaraz na drugim brzegu. Co on uczyni z dziećmi za małymi, aby zrobić z nich niewolników? Słyszałeś kiedy o białych uczonych?

Wszystkich sił potrzebowałem, aby odpowiedzieć szybko, a i tak wypadło za późno.

– Nie.

– Podziękuj swoim bogom, że nie przecięły się wasze ścieżki – rzekła. Patrzyła na mnie, unosząc brew i spowalniając swoje słowa. – Biali, bo nawet ich skóra buntuje się przeciw złu, które czynią, bo skóra człowieka może przystać na tyle niegodziwości i nie więcej. Biali jak najczystsze zło. Biorą dzieci i przywiązują je do zwierząt i demonów. Dwaj na mnie napadli, jeden miał skrzydła nietoperza wielkie jak ta chorągiew. Gdy moi ludzie ubili go strzałami, okazał się tylko chłopcem, a skrzydła były już częścią skóry i kości, nawet krew krążyła. Robią też inne rzeczy, trzy dziewczęta zmienią w jedną, przyszywają chłopcu język do języka, żeby polował jak krokodyl, i dają mu ptasie oczy. Wiesz, dlaczego biorą ich za młodu? Pomyśl, Tropicielu. Zrób zabójcę z człowieka w latach, a on może to odczynić albo zabić ciebie. A wychowaj na zabójcę małe dziecko, a wtedy będzie znało tylko zabijanie. Żyło dla krwi, bez skruchy. Biorą i urabiają dzieci jak rośliny, szkolą w każdym niegodziwym rzemiośle białych czarów, a jest jeszcze gorzej, jeśli dzieci z natury mają już jakiś dar. Teraz działają w służbie mojego brata i tej suki z Dolingo.

– Sogolon mówiła, że jesteście sojuszniczkami. Siostrami razem.

– Nigdy nie byłam siostrą tej kobiety. To Sogolon ona zna. Znała.

– Ruszam więc do Gangatom.

– Znasz takie, prawda? Dzieci obdarzone.

– Ruszam do Gangatom – powtórzyłem.

– Co? Nikt mi tutaj nie mówił, że przybywasz z własnym wojskiem. Masz może najemników? A może choćby dwóch szpiegów? Czarownika, który zamaskuje twoje nadejście? Jak chcesz ich ocalić? I dlaczego miałbyś dbać o los jakiegokolwiek dziecka? Lampart donosi mi, że to mingi.

Mówże prawdę. Czy jedno jest siwe, ale bez skóry, drugie ma nogi jak struś, a trzecie nóg nie ma wcale? Wielu z tych, którzy tam teraz maszerują, wierzy w stare obyczaje. Dzieci znajdą się w domu białej nauki, jeśli nie zostaną wpierw zabite. Bez wartości i bez pożytku.

– Są warte więcej niż bezużyteczne gówno zwane królem na bezużytecznym sraczu zwanym tronem. Zabiję tego, kto je weźmie.

– Ale nie jesteś z nimi i ich nie masz. Jak się dokonuje takie ojcostwo? A jednak myślisz, że wolno ci mnie osądzać.

Nie miałem nic do odpowiedzenia. Zbliżyła się, podeszła do okna.

– Sogolon spaliła się na śmierć, powiadasz?

– Tak. Nawiedzało ją wiele duchów.

– Owszem. Niektórymi jej własne dzieci. Martwe dzieci. Zmęczyły mnie martwe dzieci, Tropicielu, dzieci, które nie muszą umierać. Mówisz o stawce w grze. Nie wiem, jak dać ci jakąkolwiek. Ale w tej chwili dwaj mają moje dziecko, bo ta tutaj popełniła błąd, który Sogolon rozpaczliwie usiłowała naprawić. Człowieka na misji czy takiego, który wierzy w królów lub bogów, nie potrzebuję bardziej niż człowieka, który myśli, że wysra z siebie grudkę złota. Potrzebuję kogoś, kto, jeśli powie: przyprowadzę ci syna, przyprowadzi mi syna.

– Ja wciąż robię to dla pieniądza.

– Niczego innego się nie spodziewam.

– Dlaczego nie wyznałaś nam od początku? Nie wyznałaś prawdy.

– Czym prawda?

– To ma być twoja odpowiedź? Bardziej bym się temu poświęcił, gdyby twoja rzeczna demonica wyjawiła nam wszystko.

– Więc aby się temu poświęcić, potrzebowałeś usłyszeć więcej, niż usłyszałeś?

– Słyszałem jedno, widziałem drugie.

– Myślałam, że ufasz swojemu nosowi. Ty i twoi towarzysze wyglądacie, jakbyście potrzebowali opatrzyć rany.

– Mnie i moim towarzyszom nic nie jest.

– Wszystko jedno. Jutro w nocy przyprowadźcie mojego syna.

Mam coś dla ciebie – powiedział Lampart.

Wziąłem w posiadanie jeden z pokojów u samego szczytu, skierowany ku krętej ulicy. Kobierce na podłodze, zroszone cywetem, i podgłówek do spania, jakiego nie widziałem od opuszczenia domu ojca mego. Dziadka. Lampart rzucił we mnie jedną z siekier i złapałem ją w locie. Kiwnął głową z zadowoleniem. Druga była w pasach, które przypiąłem do ramienia.

– Przyniosłem coś jeszcze.

Podał mi dzban, który pachniał gumową żywicą.

– Czarna ochra w karite, idealne dla ciebie. Możesz się wtopić w mrok i cienie bez noszenia tych szmat, od których swędzą cię sutki i odbyt. Chodź ze mną.

Na dworze ruszyliśmy nad rzekę i dalej wzdłuż brzegu.

– Zmieniło się między tobą a tym Fumelim – odezwałem się.

– Tak?

– Albo mną. Warczysz na niego bardziej, za to ja mniej się przejmuję.

Odwrócił się do mnie twarzą, znów idąc do tyłu.

– Tropicielu, musisz mi to powiedzieć. Jak bardzo zły byłem?

– Jak parszywy pies, któremu odebrano ostatnią kość. Dziwny byłeś, Lamparcie, jednego dnia człowiek pogodnego ducha, co potrafił mnie rozweselić jak nikt inny. Drugiego nie tylko życzyłeś mi niedoli, ale jeszcze ugryzłeś mnie w szyję.

– Nie do wiary. Nawet najgorszy ja nie mógłby…

– Zobacz bliznę – przerwałem mu i wskazałem palcem. – To ślady twoich kłów. W twoim gniewie był ogień.

– Dobrze, już dobrze. Drogi Tropicielu, jaki smutek teraz we mnie. Nie byłem sobą.

– A kim?

– Obiecałem ci osobliwą historię. Fumeli. Rozsadza mnie śmiech, gdy o tym myślę. Ale ten chłopak, pierdolić bogów. Wysłuchaj mnie.

Szliśmy nad rzeką, obaj w kapturach i odzieniu ludzi poświęconych bogom. Odzieniu pana domostwa.

– Fumeli, ten chłopak myślał, że będzie mnie miał, a nikt inny nie będzie. Zwłaszcza ty, Tropicielu. Dziwnym zrządzeniem ty jako przyjaciel przerażałeś go bardziej niż każdy inny jako kochanek. Ale tego też się lękał. Dlatego ściągnął na mnie dziwne zaklęcie. Takie, które oddało mnie w jego ręce przez cały czas. Babakup.

– Szept demona? Mikstura tak wstrętna, że żadne wino jej nie zamaskuje. Ani piwo. Jak udało mu się przemycić to do twoich ust, Lamparcie?

– Nie do ust przemycił.

– Nawet jako opar nos by ci wypaliło.

– Nie mój. Tropicielu, jak ci to powiedzieć? Fumeli, on maczał palce w szepcie demona, a potem… Później, nim jeszcze piasek w klepsydrze by się przesypał, mógł kazać mi zrobić wszystko, a ja bym to zrobił, uwierzyć we wszystko, a ja bym uwierzył, nienawidzić wszystkiego, a ja bym nienawidził. Minęło kilka dni i niczego nie pamiętałem, a gdy znów się ruchaliśmy, wciskał więcej szeptu demona do mojej dziury.

– Kiedy odkryłeś jego knowania?

– Gdy dodał drugi palec.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Chwyciłem go. Zobaczyłem jego dłoń i spytałem, co to jest. Wyznam ci prawdę, Tropicielu. Pobiłem go prawie na śmierć, aż wreszcie to wyznał, a kiedy już wyznał, po raz drugi pobiłem go prawie na śmierć.

Śmiałem się tak bardzo, że padłem w drgawkach na piasek. I nie mogłem przestać. Spojrzałem na jego twarz, śmiech. Spojrzałem na jego nogi, śmiech, spojrzałem na jego drapanie się po zadzie, śmiech. Póki nie usłyszałem własnego śmiechu wracającego od rzeki. Lampart też się śmiał, ale mniej głośno. Wreszcie powiedział:

– Przestań, Tropicielu, niemożliwe, aby to było aż tak zabawne.

– Ale jest, Lamparcie, ale jest – odparłem i znów chwyciła mnie wesołość. I tak było dalej, aż dopadła mnie czkawka. – Wiesz, co powiadają? *Hunum hagu ba bakon tsuliya bane*.

– Nie znam tej mowy.

– Lewa ręka za pan brat z zadkiem.

Znowu padłem ze śmiechu.

– Czekaj. Dlaczego więc on wciąż jest z tobą? – spytałem.

– Lampart nadal nie potrafi nosić swojego łuku. I tak po prawdzie, on się w tym spisuje o wiele lepiej ode mnie, a przecież ja jestem biegły. Gdy tylko powróciłem do siebie, złoiłem mu zadek, żeby mi powiedział, dokąd ruszyliście. Dlatego pojechaliśmy z powrotem do Kongoru i czekałem w tym domu. Bunszi nas odnalazła, gdy przeszliśmy do Nimbe, i przyprowadziła nas tutaj. Ale niewiele brakowało, bym odszedł, gdybyście nie przybyli.

– Twoje zatrute dziursko będzie dla mnie powodem do śmiechu przez długość całego księżyca.

– Śmiej się, nie oszczędzaj mnie. Od zabicia go powstrzymuje mnie tylko pytanie, kto będzie nosił mój łuk. Tropicielu, muszę ci pokazać więcej, chociaż może nie będzie to miłe.

Odeszliśmy znad rzeki i zagłębiliśmy się w zaułek, którego nie znałem. Wciąż było niewielu ludzi na ulicach, mimo że południowa pora dawno minęła.

– Mam ciągle pytania o twoją Królową – powiedziałem.

– Moją Królową? Bunszi przemyciła ją do miasta w urnie z olejem. Ale nie myśl, że skoro jest tutaj potajemnie, to nie wydaje rozkazów. Myślałem, że ta wodna wiedźma przed nikim nie skłania głowy.

Przystanąłem.

– Tęskniłem za tobą, Lamparcie.

Ujął mnie za przegub.

– Wiele ci się przydarzyło.

– Wiele. Szukałeś chłopca?

– Nie, omotany zakusami Fumelego nie szukałem. On nie dba o los chłopca. Kiedy odkryłem jego truciznę, zatrzymaliśmy się na szczycie opuszczonego domu, tutaj, w Kongorze. Zawsze chętny nadziać mnie na siebie, gdy tylko byłem omotany. I tak się to ciągnęło, aż ja pytałem: na bogów, gdzie jesteśmy? On do mnie: nie pamiętasz? To wyruchaj mnie jeszcze.

– Niech to będzie nauczka dla wszystkich wiedzionych przez własnego kutasa.

– Albo paluch drugiego.

Roześmieliśmy się tak głośno, że ściągnęliśmy na siebie kilka spojrzeń.

– A siostra Króla?

– Co z nią?

– Powiedziała mi, że jesteś w drodze powrotnej do Kongoru i nie masz dobrych wieści. Ale że chłopiec tu jest. Tropicielu, to było ledwie kilka dni temu.

Zaprowadzę cię tam, choć nie przypadnie ci to do smaku. Ale musimy pójść, zanim odzyskamy chłopca.

Kiwnąłem głową, co znaczyło: ufam ci. I jeszcze to: kiedy wonie nadchodzą razem, nawet znajome, tracę rozeznanie, kto roztacza co, a to gorzej, niż gdy są rozdzielone. Lecz w głębi tego wąskiego zaułka, wśród domów niepołączonych razem, póki nie dotarliśmy do ostatniego przy krańcu, jeden zapach wybijał się nad inne.

Czuwaliczka.

Sięgnąłem po siekierę, lecz Lampart dotknął mego ramienia i pokręcił głową. Zapukał trzy razy. Ktoś odryglował trzy rygle. Drzwi otwarły się powoli, jakby drewno było podejrzliwe. Weszliśmy, nim ją dostrzegłem. Nsaka Ne Vampi. Kiwnęła głową, gdy mnie ujrzała. Stałem w miejscu, czekając na napaść jej wygadanych ust, lecz jej oblicze wyrażało tylko znużenie. Włosy niemyte i potargane, długa czarna suknia w smugach brudu i popiołu, wargi suche i spękane. Wyglądała, jakby dawno nie jadła i nie dbała o to. Ruszyła w głąb korytarza, a my za nią.

– Idziemy tej nocy? – spytała.

– O noc później – odparł Lampart.

Otworzyła drzwi i niebieskie światło oblało ścianę i moją twarz. Błyskawica, trzask od palców po umysł, w dół po nogach aż do stóp i końca członka. Wszędzie dokoła niego gnaty psów i szczurów, tykwy z zepsutym, nietkniętym jedzeniem, krew i gówno. Na nim wciąż odpadająca skóra, co stało się jego znakiem.

Nyka.

Sterta szmat piętrzyła się w kącie. Zobaczył Nsakę Ne Vampi i splunął. Zerwał się na nogi i skoczył na nią, a łańcuch u stóp zagrzechotał i napiął się do oporu. Uwięź zatrzymała go ledwie na odległość palca od Nsaki Ne Vampi.

– Suko, smród twojej pipy czuję aż tutaj – powiedział.

– Zjedz posiłek. Szczury wiedzą, że je pożerasz, i nie przyjdą więcej.

– Wiesz, co będę jadł? Ogryzę własną kostkę przy stopie, oderwę skórę, wyżrę mięso, przeżuję kość, aż kajdany spadną, a wtedy dorwę cię i rozpłatam pierś, żeby cię wyczuł i przyszedł po mnie, a wtedy powiem: Mistrzu, spójrz, co dla ciebie przygotowałem. A oto co on zrobi. Napije się z ciebie, a ja będę patrzył. A potem ja napiję się z niego.

– Masz szpony jak on? Kły? Masz tylko utytłane paznokcie, by zhańbić własną matkę – odparła.

– Wystarczą, by rozorać ci tę ospowatą gębę i wydłubać te diabelskie ślepia. A wtedy… Proszę, proszę, odczep mnie. Wrzyna się i swędzi, proszę, zaklinam na wszystko, co od bogów. Proszę, słodyczy moja. Jestem nic, nie mam nic… Ja tak, tak, tak, taktaktak!

Odwrócił się do ściany i wbiegł do kąta. Usłyszałem, że wali głową w mur. Upadł na wznak. Nsaka Ne Vampi uciekła spojrzeniem w bok. Czy płacze, chciałem to wiedzieć. Błyskawica znowu krążyła w Nyce, a on dygotał w drgawkach. Patrzyliśmy, póki nie minęło. Przestał walić głową w podłogę. Opanował dyszenie, oddychał spokojnie. Dopiero wtedy, leżąc na podłodze, spojrzał na Lamparta i na mnie.

– Znam cię – powiedział. – Pocałowałem twoją twarz.

Zmilczałem. Zastanawiałem się, po co Lampart mnie tu przyprowadził. Czy pomysł wziął się z jego czy z jej głowy. Że gdy zobaczę go takiego, nienawiść ode mnie odstąpi. Lecz to nie cała prawda. Nienawiść pozostała, ale wcześniej była skierowana do niego, jak miłość. Ta nienawiść była żałosnym, nieszczęsnym uczuciem, które chciałem zabić, jak wtedy, gdy natyka się na konające zwierzę żrące gówno albo gwałciciela kobiet pobitego prawie na śmierć. Wciąż na mnie patrzył, szukał czegoś w twarzy. Podszedłem do niego, a wtedy Nsaka Ne Vampi wyciągnęła nóż. Zastygłem.

– Nie słyszysz? Nie słyszysz jego wołania? – dopytywał Nyka. – Ten słodki głos, tyle w nim cierpienia. Tyle bólu. Katuszy. Jakże cierpi.

Spojrzała na Lamparta.

– Mówi tak od wielu dni – powiedziała.

– Wampir jest ranny – rzekłem.

– Tropicielu – mruknął Lampart.

– Rzuciłem w niego ogniem i się zajął. Buchnął płomieniami.

– Próbowałeś go zabić, owszem, ale na boga, on nie skona. Nikt go nie zabije, przekonasz się, to on was zabije, was wszystkich, nawet ciebie, kobieto, wszyscy zobaczycie. On…

Błyskawica znów zatrzeszczała w ciele.

– Tylko czuwaliczka może go uspokoić – powiedziała Nsaka Ne Vampi.

– Powinnaś go zabić – odparłem i wyszedłem.

– Pamiętam twoje usta! – dopadło mnie wołanie Nyki przy wyjściu.

Byłem już u drzwi, gdy ręka chwyciła mnie za przegub i pociągnęła do tyłu. Nsaka Ne Vampi, z Lampartem idącym jej śladem.

– Nikt go nie zabije – rzekła.

– On już martwy.

– Nie, nie. To, co teraz robisz, to kłamstwo. Kłamiesz, bo wielka nienawiść między wami.

– Między nami nie ma nienawiści. Była tylko nienawiść, którą miałem ja dla niego. Lecz już jej nie mam. Mam tylko smutek.

– Z litości nie zrobi żadnego użytku.

– Z litości? Litości też dla niego nie mam. Dla niego mam tylko odrazę. Litość zastrzegam dla siebie. Bo teraz, gdy martwy, nie mogę go zabić.

– Nie jest martwy!

– Jest martwy w każdym względzie, w jakim martwe jest martwe. Tylko ta błyskawica w środku powstrzymuje gnicie mięsa.

– Wydaje ci się, że możesz mi mówić, co z nim?

– Rzecz jasna. Była kobieta. Ta, za którą podążaliście w tym waszym prześwietnym rydwanie. Przekaż nam wieści. Poprowadziła was w pułapkę? Mów, kobieto. Oto coś dziwnego. Z tego, co słyszałem, Ipundulu odmienia na ogół kobiety i dzieci, więc dlaczego odmienił Nykę, zamiast go zabić?

– Odmieniał też żołnierzy i wartowników – odparła.

– Nyka ani jednym, ani drugim.

Usiadła przy drzwiach. Gniewało mnie jej przekonanie, że zostanę, aby wysłuchać jej opowieści.

– O tak, jakże łatwe to się wydawało. Gdy jechaliśmy dumni, gdy wyruszyliśmy bez was, głupców. Głupcy wy zwłaszcza ta starucha. Jechać do Kongoru, a po co? Dlaczego, skoro zniewolona przez błyskawicę biegnie na północ? Uradowałam się, gdy wyruszyliśmy, gdy odciągnęliśmy go od ciebie.

– To tym on teraz? Zniewolonym przez błyskawicę? Po coś mnie tu przyprowadził, Lamparcie?

Popatrzył na mnie tępo, w milczeniu.

– Oto prawda – rzekłem. – Lata całe o tym myślałem. Lata. O jego upadku. Nienawidziłem go tak bardzo, że zabiłbym każdego, kto przede mną doprowadziłby go do klęski. Teraz nic mi nie zostało.

– Powiedział, że wydałeś go stadu hien, ale zdołał uciec.

– Dużo mówi ten Nyka. A co ci rzekł o moim oku? Że wydłubałem je ze zdechłego psa i wepchnąłem sobie w twarz? Nieszczęsny Nyka, mógłby być griotem, ładnie mówi, ale zakłamałby historię.

– Jakże go nienawidzisz.

– Nienawidzę? Oto co zrobiłem, gdy nie mogłem go odnaleźć. Wytropiłem jego siostrę i matkę. Gotów zabić obie. Znalazłem te kobiety. Słyszysz

mnie, Nyka? Znalazłem. Nawet zamieniłem słowo z matką. Powinienem był obie zgładzić, ale tego nie zrobiłem, a wiesz dlaczego? Nie dlatego, że matka opowiedziała mi o wszystkich swoich uczynkach, którymi go skrzywdziła.

– Odzyskam go – powiedziała Nsaka Ne Vampi.

– Wiedźma Ipundulu nie żyje. Nie ma odzyskania.

– A jak go zabijemy, tego Ipundulu? Mówiłeś, że jest ranny i słaby. Jeśli go zabijemy, Nyka wróci do mnie.

– Nikt nigdy nie zabił Ipundulu, więc na tysiąc ruchań, kto znałby odpowiedź na to pytanie?

– A jeśli go jednak zabijemy?

– A jeśli nie dbam o to? A jeśli nie tracę nawet chwili snu z powodu twojego martwego mężczyzny? A jeśli czuję głęboki smutek, ale smutek dlatego, że sam go nie zabiłem? A jeśli nawet jednego ruchania nie jest dla mnie warte to wasze „my”?

– Tropicielu.

– Cicho, Lamparcie.

– Łachotki dla ciebie. Radujesz się.

– Czym się raduję?

– Tym, że upadł tak nisko.

– Tak myślisz, prawda? Gardzę nim, a dla ciebie nie mam miłości, nawet ślepy bóg to widzi. Ale nie, wcale mnie to nie łechce. Jak już mówiłem, napełnia mnie to ohydą. On nie jest wart nawet mego topora.

– Odzyskam go.

– No to odzyskuj, żebym mógł zabić rzeczywistego człowieka zamiast tej poczwary, co tam więzisz.

– Tropicielu, ona idzie z nami – oznajmił Lampart. – Ruszy na ptaka-błyskawicę, a wtedy my weźmiemy dziecko.

– Wiesz, kim on jest. Ten drugi, który wędruje z chłopcem. Zabiliśmy jego brata. Ty i ja. Pamiętasz mięsożercę w buszu, w tym zaczarowanym lesie, kiedy zostaliśmy u sangomy, pamiętasz? Tego, który rozpiął mnie na drzewie trupów. Byliśmy wtedy ledwie chłopcami.

– Bosam.

– Asanbosam.

– Pamiętam. Pamiętam smród tego stwora. I miejsca. Nie zdołaliśmy znaleźć jego brata.

– Nie szukaliśmy.

– Założę się, że może paść od strzały, jak jego brat.

– Czterech nas było, a nie daliśmy rady go ubić.

– Może was czterech…

– Kocie, nie wyrokuj, o czym nie wiesz.

– Tylko posłuchajcie siebie – wtrąciła Nsaka Ne Vampi. – Jakbym zniknęła z domu. Dołączę do was, aby przejąć chłopca, i zabiję tego Ipundulu. I odzyskam mego Nykę. Kimkolwiek jest dla ciebie, Tropicielu, nie jest tym dla mnie, i więcej nie mam nic do powiedzenia.

– Ile razy złamał ci serce? Cztery? Sześć?

– Przykro mi, że jest dla ciebie tym wszystkim, czym jest. Ale dla mnie jest czym innym.

– Już mówiłaś. Ale wiedz, że tym, czym jest dla ciebie, kiedyś był także dla mnie – odrzekłem.

Patrzyła, patrzyłem. Ze zrozumieniem.

– Jeśli po tym wszystkim wciąż chcesz go mieć, chcesz nas mieć, będziemy czekać – powiedziała.

I wtedy usłyszeliśmy znów huk Nyki wbiegającego na ścianę. Nsaka Ne Vampi westchnęła.

– Zaczekaj na mnie przed domem – zwróciłem się do Lamparta.

Zamknęła oczy i westchnęła drugi raz, bo Nyka znów grzmotnął w ścianę. Zastanawiałem się, jak ona oprze się znużeniu tym obłędem.

– Mnie też kiedyś w sobie rozkochał, tak zrobił – powiedziałem. – Nikt bardziej się nie trudzi w rozkochiwaniu i nikt bardziej się nie trudzi w zdradzie, gdy już mu się to uda.

– Jestem panią siebie i czuję we własnym imieniu – odparła Nsaka Ne Vampi.

– Nyka nikomu niepotrzebny. Taki, jaki jest.

– Jest taki przeze mnie.

– Zatem spłacił dług.

– Mówisz, że cię zdradził. Był pierwszym mężczyzną, który nie zdradził mnie.

– Skąd wiesz?

– Bo nadal żyje, inaczej niż wszyscy ci, którzy mnie zdradzili. Jeden wydzierżawiał mnie jako swoją niewolnicę innym mężczyznom, którzy robili ze mną, co chcieli. Miałam dziesięć i cztery lata. Dzierżawił, gdy on i jego synowie sami mnie nie gwałcili. Pewnego wieczoru sprzedali mnie Nyce. Włożył mi nóż w dłoń, a dłoń tę przystawił do swojej szyi i rzekł: rób tak, jak pragniesz dzisiejszej nocy. Myślałam, że posługuje się obcą mową. Poszłam więc do pokoju pana mego i poderżnęłam mu gardło, a potem do pokojów synów i zabiłam ich. Co za straszny los, stracić ojca i wszystkich przybranych braci, mówili ludzie w mieście. Nyka kazał im wierzyć, że to on dokonał mordu, i umknął pod osłoną nocy.

– Sogolon też miała taką opowieść jak twoja.

– Jak myślisz, co siostry z Manthy czyni siostrami?

– Byłyście…

– Tak.

– Nie okazujesz mu miłości. Spłacasz dług.

– Znajduję dziewczęta, które zaraz staną się mną, i ratuję ich od mężczyzn gotujących im ich los. Potem zabieram do Manthy. To wobec nich mam dług. Nyce zawsze mówiłam, że nie jestem mu nic winna.

Dlaczego jej nie zabiłeś? – spytał Lampart na ulicy.

– Kogo?

– Matki Nyki. Dlaczego?

– Zamiast ją zabić, wolałem jej opowiedzieć o śmierci jej syna. Powolnym słowem. W każdym szczególe, aż do tego, jak to słychać, gdy odrąbuje mu się głowę trzema ciosami.

– Odejdźcie obaj – powiedziała Nsaka Ne Vampi.

W drodze powrotnej do domu pana domostwa Lampart rzekł:

– Twoje oczy wciąż nie wiedzą, gdzie znajdują się usta.

– Co?

– Przed chwilą. Cała ta widowiskowa gadanina o matce Nyki. Nie dlatego jej nie zabiłeś.

– Doprawdy, Lamparcie? To powiedz dlaczego.

– Bo była matką.

– I?

– I ciągle pragniesz podobnej.

– Miałem podobną.

– Nie miałeś.

– Mówisz za mnie?

– Ty sam powiedziałeś, że miałeś.

– Po co mnie tam zaprowadziłeś?

– Nsaka Ne Vampi poprosiła o to siostrę Króla. Wydaje mi się, Tropicielu, że liczyła na twoją litość.

– Nie prosiła o nią.

– A myślałeś, że poprosi?

– Ona chce widzieć owoc na gałęzi i zarazem mieć go w ustach.

– A przebaczenie?

– Nie dbam o to, nie dbam o Nsakę Ne Vampi ani o tę Królową, i bez względu na to, ile przeminie księżyców, nie będę dbał o chłopca.

– Pierdolić bogów, Tropicielu, to o co dbasz?

– Kiedy ruszamy do Gangatom?

– Ruszymy.

– Nasze dzieci związane są z tobą tak samo jak ze mną. Jak możesz pozwalać im tam siedzieć?

– Nasze dzieci? Ach, więc teraz uznałeś, że możesz mnie osądzać. Kiedy ostatni raz je widziałeś, nim siostra Króla uprzedziła cię o białych uczonych? Powiedziałeś do nich słowo? Pomyślałeś o nich?

– Myślę o nich częściej, niż ci się zdaje.

– Nic takiego nie mówiłeś, gdy ostatnio rozmawialiśmy. I co dobrego z twojego myślenia? Twoje myślenie żadnego dziecka nie przywoła.

– I co teraz?

Skręciliśmy na tę samą drogę co uprzednio, przeszliśmy ulicami. Minęło nas dwóch konnych wyglądających jak straże. Uskoczyliśmy we wnękę drzwi. Starucha siedząca w progu podniosła na mnie spojrzenie i zmarszczyła czoło, jakby właśnie takiego jak ja oczekiwała. Lampart wyglądał najmniej na lamparta, nawet wąsy znikły. Skinął głową, aby ruszać dalej.

– Jutrzejszej nocy raz na zawsze odzyskamy chłopca – powiedział. – Dzień później ruszymy do nadrzecznych krain i zabierzemy nasze dzieci. A dzień później, kto wie, na wszystkich pierdolonych bogów?

– Lamparcie, ja widziałem tych białych uczonych. Widziałem ich poczynania. Nie dbają o ból innych. To nawet nie jest nieprawość, ślepi są na to.

Sycą się cierpieniem w zarozumialstwie swego niegodziwego rzemiosła. Nie chodzi o to, co to znaczy, ale jak nowe będzie się zdawać. Widziałem ich w Dolingo.

– Siostra Króla wciąż ma ludzi po swojej stronie, wciąż ma takich, którzy wierzą w jej sprawę. Pozwól jej nam pomóc.

Zatrzymałem się.

– O kimś zapomnieliśmy – powiedziałem. – O Aesim. Jego ludzie z pewnością podążali naszym tropem do Kongoru. On wie o drzwiach, choćby nawet ich nie używał.

– Oczywiście drzwi żadnych nie pamiętam.

– Wielu drzwi. Dziesięciu i dziewięciu. Krwiopijcy przechodzą nimi od lat. Dlatego w jednej chwili woń chłopca jest przed moim nosem, w następnej pół roku dalej.

– Czy Aesi przeszedł za wami przez drzwi?

– Właśnie powiedziałem, że nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Więc ten syn hieny albo poluje na ciebie w Mitu lub Dolingo, albo biedny głupiec ze swoim wojskiem znalazł to, czego szukał, a to dzięki temu, co bogowie wysrali z siebie w Mueru. Tropicielu, w Kongorze nie ma nic królewskiego, ani królewskiej karawany, ani batalionu. Herold miejski ogłosił wyjazd Króla w dniu, w którym przybyliśmy.

– Wybaczyłeś chłopakowi? – spytałem.

– Szybko się zmienia kolor naszej rozmowy.

– Chciałbyś, abym wrócił do białych uczonych krojących i zszywających od nowa nasze dzieci?

– Nie.

– A więc Fumelego nie ma z nami?

– Nie ma? A czy miałby śmiałość udać się gdzie indziej? – odparł Lampart i się roześmiał.

– Powinniśmy obrać inny szlak.

– Jesteś podejrzliwy jak bunszi.

– Nie jestem w niczym jak bunszi.

– Nie mówmy o niej. Chciałbym wiedzieć, co wydarzyło się w Dolingo. I jeszcze o tym prefekcie, który zaczarował ci oczy.

– Chcesz wiedzieć, czy mam stosunki z prefektem.

– Stosunki? Zważ na siebie i swoje słowa. Człowiek ten wybił z ciebie całą obcesowość. Zapewne najwspanialszy z niego kochanek. A może coś więcej?

– To rozmowa, która sprawia przyjemność tobie, nie mnie.

– Pierdolić bogów, Tropicielu. „To rozmowa, która sprawia przyjemność tobie”. Sprawiała i tobie, kiedy to ja mówiłem o wędrówkach mężczyzn po mojej dupie. Ja powiedziałem ci wszystko, ty nie powiedziałeś mi nic. Lepiej, bym miał oko na niego, na tego prefekta. Zadomowił się w tobie. Widzisz, zorientowałeś się dopiero teraz, gdy to powiedziałem.

– Przestań o tym, inaczej odejdę.

– Teraz brakuje nam tylko kobiety dla ogo, która nie pęknie od samego patrzenia na jego…

– Lamparcie, spójrz, odchodzę.

– Czy dzięki temu nie myślisz mniej o dzieciach? Rzeknij prawdę.

– Oto odchodzę.

– Nie czuj się winny, Tropicielu.

– To ty mnie obwiniasz.

– Nie, jestem szczery. Też to czuję. Wspomnij, to były moje dzieci, zanim choćby wyczuły woń twojego nadejścia. Ocaliłem je od buszu, zanim ty choćby pojąłeś, że jesteś Ku. Jeszcze jedno chcę ci pokazać.

– Pierdolić wszystkich martwych i żywych bogów, co?

– Chłopca.

Lampart zaprowadził mnie prawie na sam koniec dzielnicy Gallunkobe/Matyube, gdzie liczba domów i gospód przerzedziła się do zaledwie kilku. Dalej niż szałasy niewolników i kwatery wolnych, do okolicy, w której ludzie pracowali jako rzemieślnicy wszelkiego fachu. Nikt nie przychodził do tej części miasta, jeśli nie wnosił czegoś do mogiły tajemnic albo nie kupował tego, co kupić można tylko w Malangice. Wyczuwam nekromancję na tej ulicy, powiedziałem do Lamparta. Skręciliśmy w zaułek, który w połowie długości opadał pod wodę. Stały tutaj duże domy szlachty, zanim powódź przepędziła ją na północ, do dzielnicy Tarobe. Większość tych siedzib dawno została splądrowana lub wessana przez grząskie błoto. Lecz jeden dom wciąż się opierał, w trzeciej części pod wodą, wieżyczki na dachu odłamane, okna wyłupane i czarne, boczna ściana zapadnięta, ulica dokoła wymarła. Z przodu nie było drzwi, jakby zapraszano do łupiestwa, ale Lampart powiedział, że oni z rozmysłem tak czynią. O każdym żebraku na tyle głupim, aby szukać schronienia w otwartych drzwiach, wieść przepadała na zawsze. Stanęliśmy za zeschniętymi drzewami w odległości może stu kroków. W jednym z ciemnych okien na okamgnienie zabłysło niebieskie światło.

– Oto co zrobimy – rzekł Lampart. – Lecz najpierw opowiedz mi o Dolingo.

Kolejna noc nadeszła szybko, a wiatr leniwie marszczył rzekę. Rozmyślałem o tym czarnym maśle do skóry, które dostałem od Lamparta i którego woda nie mogła zmyć. Bez księżyca, bez ognia, światło w domach kilkaset kroków dalej. Za mną szeroka rzeka, przede mną dom. Wsunąłem

się pod wodę, czułem swoje ciało w mroku. Lewą ręką zbadałem tylną ścianę, mokrą na tyle, że wygarniałem palcami kawałki błota. Obmacałem dół, aż znalazłem miejsce wypłukane przez wodę, dziurę szeroką jak moje rozłożone ramiona. Tylko bogowie wiedzieli, dlaczego ten dom wciąż stał. Woda była zimna, cuchnąca, gęsta od zgnilizny, cieszyłem się więc, że nic nie widzę, tylko wystawiłem ręce, bo lepiej było nimi dotykać wszelkiego paskudztwa niż twarzą. Po drugiej stronie przestałem przebierać ramionami i wysunąłem się powoli na powierzchnię, najpierw czoło, potem garb nosa. Obok przepłynęły kawałki desek i szczątki, które rozpoznałem po smrodzie, i tylko mocniej zacisnąłem usta. Inne natarły wprost na mnie, trafiając w bok głowy, dopiero potem zobaczyłem, że to zwłoki chłopca, ale brakowało mu wszystkiego poniżej bioder. Przesunąłem się w bok i coś poniżej zadrapało mnie w prawe udo. Zęby zwarłem tak mocno, że niemal odgryzłem sobie język. W domu wciąż panowała gęsta cisza. Nad głową dach, którego nie dostrzegałem, wiedziałem jednak, że jest ze strzechy. Stopnie po prawej stronie prowadziły na górę, ale zrobione były z błota i gliny, rozmyte teraz przez wodę. Wyżej zamigotało niebieskie światło. Ipundulu. Blask rozjaśnił trzy okna w połowie wysokości od dachu, dwa małe, trzecie duże na tyle, by się prześlizgnąć. Stanąłem teraz na twardej podłodze, lecz zaraz przykucnąłem, nie wystawiając głowy. W wodzie przy ścianie, tuż obok mnie, podrygiwały pośladki i nogi mężczyzny, poza tym nic. Powróciły do mnie trupy na drzewie, ich smród i rozkład. Sasabonsam nie skończył ich pożerać, dlatego unosiły się przede mną na wodzie. A podobno był krwiopijcą, nie mięsożercą. Rzygnąłem i zatkałem sobie usta. Lampart był na dworze, ześlizgiwał się z dachu, aby wejść przez środkowe okno. Nasłuchiwałem jego odgłosów, ale naprawdę był kotem.

Ktoś stęknął przy drzwiach. Zanurzyłem się. Znowu stęknęła i zaczęła brodzić w wodzie, niosąc pochodnię, która rozświetliła toń i ściany, ale rzu-

cała za dużo cienia. W drzwiach woda nie była tak głęboka jak w całym pokoju, który stał pochylony, jakby miał się ześlizgnąć do rzeki. Domyśliłem się, że to dom kupca, a ten pokój służył chyba za jadalnię, szerszy niż jakiekolwiek pomieszczenie, w którym dotąd przebywałem. Woń Sasabonsama przemknęła przez mój nos, i Ipundulu też, za to ślad chłopca przepadł. Skrzydła zatrzepotały nade mną, tylko raz, pod sufitem. Ipundulu znów rozświetlił pomieszczenie i wtedy zobaczyłem Sasabonsama, szerokie skrzydła spowalniały jego zeskok, nogi wyciągnięte, aby chwycić kobietę, co zapewne przyniosłoby śmierć, gdyby szpony wbiły się głęboko. Jeszcze zamachał skrzydłami, a ona odwróciła się do drzwi, jakby usłyszała odgłos, ale uznała, że dobiegł z dworu. Podniosła pochodnię, nie spojrzała jednak do góry. Zobaczyłem go, gdy znowu zatrzepotał, osuwając się nieporadnie, przekonany, że porusza się ukradkiem.

Sfrunął, zwrócony tyłem do okna, a wtedy Lampart zahaczony stopami o jedną z wieżyczek sterczących w ścianie zsunął się do góry nogami, aż głowa, łuk i strzały znalazły się w oknie. Wypuścił pierwszą i napiął cięciwę z drugą, wypuścił drugą i napiął z trzecią, wypuścił trzecią, śtrrr, śtrrr, śtrrr, w grzbiet Sasabonsama. Potwór zaskrzeczał jak kruk, zatrzepotał, zwalił się na ścianę i padł do wody. Podskoczył, gdy ja podskoczyłem, i wtedy cisnąłem siekierą w jego grzbiet. Obrócił się, wcale nie ranny, nie obolały, rozgniewany tylko. Kobieta, Nsaka Ne Vampi, trzymając pochodnię blisko twarzy, dmuchnęła strumieniem płomieni, którymi zajęły się jego włosy. Sasabonsam charczał i wrzeszczał, rozpostarł skrzydła, prawym roztrzaskując część schodków, lewym rozbijając mur. Lampart wskoczył przez okno, szyjąc z łuku w wodę, aż o mało nie krzyknąłem, że przecież ja tam jestem. Opadł na palcach u góry stopni i skoczył w prawo, prosto w zamach skrzydłem, od którego pofrunął na stertę czegoś, co zabrzmiało jak pękające suche gałęzie. Podpłynąłem do schodków i dźwignąłem się na pierw-

szy, ale pękł pod mym ciężarem. Skoczyłem jeszcze raz i wtedy Nsaka przedarła się ku mnie przez wodę. Sasabonsam, próbując wyciągać strzały z grzbietu, chwycił ją za włosy i pociągnął przez toń. Nsaka Ne Vampi, ze sztyletami w obu dłoniach, dźgnęła go w prawe udo, lecz złapał ją za lewy nadgarstek i wykręcił, chcąc wyrwać rękę ze stawu. Wrzasnęła. Wyjąłem drugą siekierę, aby wskoczyć na schody i zaatakować, ale nagle nadbiegł Sadogo i grzmotnął Sasabonsama w skroń. Stwór runął, puszczając Nsakę Ne Vampi. Zawył, ale zdążył zrobić unik przed drugim ciosem Sadogo. Jego brat używał postępów, on walczył. Zamachnął się olbrzymim skrzydłem, w którym Sadogo wybił dziurę i zaraz wyrwał pięść. Sasabonsam wrzasnął. Już wydawało się, że padnie, ale podskoczył i obiema stopami kopnął ogo w pierś. Sadogo zachwiał się, potknął i zwalił do wody. Sasabonsam skoczył za nim. Wtedy wpadł Mossi, skąd, tego nie wiem, nadstawiając włócznię w wodzie, pochyło. Sasabonsam się nadział, aż grot wyszedł przez bok. Sadogo zerwał się i zaczął okładać pięściami toń.

– Chłopiec! – krzyknął Mossi.

Przebrnął przez wodę i wtedy podciągnąłem go na schody. Nsaka Ne Vampi wyminęła mnie, wiedziałem jednak, że nie zamierza ratować dziecka. Mossi dobył miecze i ruszył za mną. U góry schodów były dwa pomieszczenia. Nsaka Ne Vampi stała w wejściu do jednego, obmacując noże w dłoniach, a z prawych drzwi błysnęło niebieskie światło. Ipundulu leżał na podłodze, zwęglony, sczerniały, na wpół zmieniony w człowieka, ale z ramion sterczały gnaty, bo tylko tyle zostało z jego skrzydeł. Podskoczył na mój widok, rozwarł ramiona i wtedy zobaczyłem chłopca leżącego na jego piersi. Zepchnął dziecko gwałtownie z siebie, więc powlokło się i skuliło w kącie. Nsaka Ne Vampi i Mossi wysunęli się przede mnie. Popatrzyli na niego, ona już krzycząc, że go zabije za to, że zaraził Nykę swoją demoniczną chorobą. Mossi wystawił oba miecze, ale zerknął za siebie, bo

słyszał, że Sadogo wciąż walczy z Sasabonsamem wspierany przez ludzi królewskiej siostry, którzy z pewnością już przybyli na dół. Spojrzałem na chłopca. Poprzysiągłbym na wszystkich bogów i każdego z osobna, że gdy Ipundulu strącił z siebie dziecko, ssało sutek ptaka-błyskawicy, karmiąc się jak matczynym mlekiem. Być może małe oderwane wcześnie od matki wciąż łaknęło piersi albo Ipundulu poczynał sobie niegodziwie z chłopcem, wreszcie możliwe, że oczy mnie zwiodły w półmroku.

Ipundulu, leżał na podłodze, bluzgając z ust, bełkocząc, jęcząc. Dygotał, jakby gorączka go chwyciła w drgawki. Patrząc na niego, patrząc, jak Mossi i Nsaka Ne Vampi dopadają go z dwóch stron, poczułem coś. Nie litość, coś. Niżej Sasabonsam zaskrzeczał i wszyscy się odwróciliśmy. Wtedy Ipundulu zerwał się i rzucił do okna. Utykał, ale wciąż był znacznie silniejszy, niżbym sądził po całym tym dygocie i broczeniu krwią. Zanim Mossi zdążył rzucić się w pogoń, pierwszy sztylet Nsaki Ne Vampi trafił Ipundulu w kark, przebijając szyję na wylot. Padł na kolana, ale nie płasko na podłogę. Nadbiegł Mossi, zamachnął się mieczem i odrąbał mu łeb.

W kącie krzyczał chłopiec. Podszedłem do niego, zastanawiając się, jak przemówić, zapewne z sercem: mała istoto, już koniec twojej niedoli, albo: uspokój się, zabieramy cię do twojej matki, albo: jesteś jeszcze mały, ale dam ci dolo, żebyś zasnął, a potem obudzisz się we własnym łóżku po raz pierwszy w swoim krótkim życiu. Lecz nic nie rzekłem. Płakał, szlochy wydając ciche, wpatrzony w szmaty, na których spał Ipundulu. Oto co widziałem. Z jego ust płynął dziecięcy smutek, płacz, co się zmienił w kaszel i na powrót w płacz. Z oczu nic. Z policzków i brwi nic. Nawet wargi ledwie się poruszały jak do pomruku. Popatrzył na mnie tym samym pustym obliczem. Nsaka Ne Vampi chwyciła go pod pachy i podniosła z podłogi. Przygarnęła go do ramienia i wyszła.

Po powrocie do domu, w drodze po schodach aż na szóste piętro, wlokąc się za Nsaką Ne Vampi, dzieckiem i Mossim, Lampart zadał mi pytanie o Sogolon.

– Nie mam o niej dobrych słów – odparłem. Zanim wszedłem do pokoju, ktoś rzekł:

– Dobre słowa zachowaj dla mnie.

Pośrodku szóstej kondygnacji siostra Króla usiłowała z trudem się podnieść, jakby ktoś przygniatał ją do podłogi. Przystawiwszy do szyi sztylet tak zielony, aż niemal się jarzył, i objąwszy ręką, obezwładnił bunszi.

Aesi.

21

A teraz słowa prawdy i obyś je przyjął. Gdy przemierzałeś ziemię wiedźm mauana, postawiłbym zakład na twoją śmierć. Ale wystarczy spojrzeć. Żywy. W ten czy inny sposób.

Tak powiedział Aesi.

Na dworze pierzasta czerń zmieniła się w ptaki. Setka, dwie, trzy setki i jeden. Na parapecie ptaki o wyglądzie gołębi, o wyglądzie sępów, o wyglądzie kruków, zaglądały w okno. Migotały czarne skrzydła, słyszałem dreptanie na dachu, na wieżyczkach, krawędziach, na ziemi. Zbliżały się maszerujące stopy, ale przecież w mieście nie było żadnych żołnierzy ani najemników. Siostra Króla usiadła, ale nie chciała na mnie spojrzeć.

– Wiesz, że były, nim nastał świat? Nawet bogowie, gdy się pojawili, najpierw je ujrzeli, nawet bogom nie starczyło śmiałości. Wszelkie potomstwo pochodzi z woli matki, a nie ze spłodzenia przez ojca. Kiedy świat był tykwą, wiedźm sześć było jedną i okrążyła ona cały świat, aż ustami sięgnęła własnego ogona.

– Szpieg, którego znałem, nazwał cię bogiem pewnego razu – odpowiedziałem.

– Błogosławię go, choć marny ze mnie bóg.

– A z niego marny szpieg.

Bunszi nie zmieniła się w wodę, aby wyślizgnąć mu się z uścisku. W rękach Sadogo też nie mogła się odmienić, lecz wokół Aesiego nie było woni zaklęcia. Stanął za moimi plecami, Sadogo stanął, metalowe pięści

mocno zaciśnięte, żelazo chrzęszczące o żelazo, palił się do boju. Mossi chciał wyciągnąć miecze, ale Aesi zbliżył nóż do szyi bunszi.

– Przeszacowałeś jej wartość dla nas – rzekłem.

– Być może. Ale ona nie mojego szacowania się boi. Więc jeśli wy nie będziecie mnie błagać o jej życie, ona będzie błagać was.

Chłopiec, z głową złożoną na ramieniu Nsaki Ne Vampi, wyglądał, jakby spał, ale gdy się odwróciła, zobaczyłem, że oczy ma otwarte, baczne.

– Popele – szepnął Aesi do bunszi na sposób człowieka, który chce być podsłuchany. – Twoje życie za dziecko. To chyba ty powinnaś błagać. Bo ci odważni ludzie z dodaniem jednego głupca rwą się do walki i nie będą mnie słuchać. Popele, ty tysiącletnia i więcej, czy pokażemy im, że ty też potrafisz umrzeć? Bogini, ich uszy są głuche na moje słowa, a sztylet ten spragniony jest krwi.

Aesi spojrzał na mnie.

– Był taki czas, gdy przydałby mi się tropiciel. Wiele razy, w wielu miejscach. Zwłaszcza tak biegły w zabijaniu.

– Nie jestem zabójcą.

– A jednak twój szlak z Malakalu do Dolingo i Kongoru usłany jest trupami. Kim ja jestem, czy wiesz?

– Pewnego razu próbowałeś zabić mnie we śnie – odparłem.

– Masz pewność, że to mnie spotykałeś w snach? Wciąż żyjesz.

– Jesteś dodatkowymi czterema kończynami Króla Pająka.

Roześmiał się.

– Tak, słyszałem, że tak właśnie nazywacie swego Króla za jego plecami. Król jest cały sam w sobie. Nie miałbym w tym interesu.

– Nigdy nie znałem króla, który potrafiłby myśleć na własną rękę – powiedział Mossi.

– Nie pochodzisz z tych krain.

– Nie pochodzę.

– Wschodnie światło, to oczywiste. Lud, który wierzy w jednego boga, a wszystko inne to albo boży niewolnik, albo zły duch. Każde wierzenie przychodzi w parze, co prowadzi do boga o dwóch obliczach. Mściwy i szalony w swym postępowaniu, a wściekłość wyładowuje na rodzaju kobiecym. Wasz to najgłupszy bóg ze wszystkich. Żadnego wdzięku w jego myślach, żadnej zręczności w jego uczynkach. Słyszałem, że ludzi nieustannie nawiedzanych przez przodków macie za szaleńców.

– Albo za opętanych.

– Co za kraina. Opętanie nazywacie nieprawością, duchy złem, a miłość? Miłość, bo takiego miana używa twoje serce, skłania ludzi, aby zmusić cię do odejścia. Obwąchuję cię i czuję posmak Tropiciela. Więcej niż posmak. Smród. Co pomyśli twój ojciec?

– Kieruję się swoimi myślami – odparł Mossi.

– W takim razie musisz być królem. Pomówmy o nim, tej małej muszce, waszym królu, tym, co się teraz ślini przy szyi kobiety, chociaż w życiu zabrnął ledwie sześć lat. Tropicielu, mówią, że masz nos. Czy aby to nie jego gówno tak śmierdzi?

– Owszem, jest w tym pokoju wielki kawał czarnego gówna – odrzekłem.

– Skoro zamierzasz powiedzieć im, kim jesteś, to powiedz im, kim jesteś – odezwała się siostra Króla.

Wciąż siedziała, wciąż słabowita, jakby wyczerpana. Wreszcie podniosła wzrok.

– Ty, ten tu, Aesi, cztery kończyny Króla Pająka – rzekła. – Powiedz im o swojej przepowiedni. Powiedz, jak się właśnie pojawiłeś w naszych sercach i umysłach jako ktoś, kto był w nich od początku, ale żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie pamięta, kiedy przybyłeś pierwszy raz.

– Chcę tego, co najlepsze dla Króla – odparł Aesi.

– Chcesz tego, co najlepsze dla ciebie. W tej chwili to jednakie z tym, czego chce Król. Tymczasem nikt nie dostrzeże, że ty taki sam dziś jak dwadzieścia lat temu i nawet wcześniej. Zwij się swym prawdziwym imieniem, nekromanto. Człowieku czarów i nikczemnej sztuki. Jesteś, jaki jesteś. Nie tworzysz nic, zakłócasz wszystko i wszystko niszczysz. Wiecie, co robi? Czeka, póki inni nie zasną, a wtedy skacze w powietrzu i znika pod ziemią. Chodzi na zloty w pieczarach i gwałci niemowlęta zaofiarowane mu przez matki. Płodzi dzieci z siostrą na siostrze i bracie, ale wszystkie umierają. Żerca ludzkiego mięsa. Widziałam cię, Aesi. Widziałam cię pod postacią dzika i krokodyla, i gołębia, i sępa, i kruka. Twoje zło wkrótce pożre samo siebie.

Tuż poza jej zasięgiem leżał wór zszyty ze szmat, przewiązany u wylotu, z wystającą rzeźbioną figurką. Fuungu. Amulet, jak nkisi, obrona przed czarami. Chciała ją chwycić, ale uderzyła głową w podłogę, amulet zaś się odtoczył.

– Chcę tego, co obróci się na dobre dla Króla – powiedział Aesi.

– A powinieneś tego, co dobre dla królestwa – odparłem. – To nie to samo.

– Tylko popatrzcie na siebie, szlachetne panie i panowie z dodaniem jednego głupca. Dla żadnego z was nie ma wartości pośród tego pokoju. Niektórzy z was odnieśli rany, inni umarli, ale przecież ten chłopiec znaczy dla was ledwie tyle co pieniądz. Zaiste, nie mogę pojąć, jak człowiek może ryzykować utratę choćby palca, aby ratować nie swoje dziecko, ale taki właśnie pieniądz w tych czasach. A teraz odejdźcie, żegnam was, bo jest to spór w obrębie rodziny.

Siostra Króla się roześmiała.

– Rodziny? Śmiesz nazywać się rodziną? Czy w pieczarze wziąłeś za żonę jedną z moich niedorozwiniętych krewniaczek? Nie zdradzisz im swojego wielkiego zamysłu, królewski podnóżku? Kacie bogów. Ach, to cię poruszyło? Kacie bogów. Kacie bogów. Sogolon widziała. Powiedziała mojej służce. Powiedziała: udam się do świątyni w Uakadiszu. Pójdę na schody Manthy. Powędruję na północ i wschód, i zachód, i nie poczuję obecności bogów. Ani jednego. Ale to jeszcze jedna z twoich sztuczek, czyż nie, kacie bogów? Nikt nie wie, co utracili, bo nikt nie pamięta, co mieli. Czy to noc, kiedy powstrzymasz Króla, tak jak powstrzymałeś bogów? Czy to ta noc? Ta noc?

Trzepot wielkich skrzydeł, usłyszeliśmy to.

– Zostawcie dziecko i odejdźcie – powiedział Aesi. – Nie wahaj się, odstaw je delikatnie. Puść i idźcie.

Wbił spojrzenie w Nsakę Ne Vampi.

– To twój Król – powiedziała królewska siostra.

Nie zobaczyliśmy nic. Ale to nic chwyciło królewską siostrę i uderzyło ją na odlew raz i drugi. Lampart doskoczył, lecz nic odtrąciło go kopniakiem. Potoczył się i zatrzymał tuż obok mnie. Przykucnął, aby znów zaatakować, wtedy nachyliłem się i położyłem mu dłoń na karku. Nic podciągnęło królewską siostrę na nogi i posadziło na stołku.

– Król? To jest Król. Widziałaś jego twarz? Znasz smak w jego ustach? Czy jest wstrętniejszy niż gówno tego fechmistrza? To jest twój Król? Czy mam zwać go Khosi, naszym lwem? Daj mu kafunda na królewską głowę. Trzy mosiężne pierścienie na nogę. Winniśmy przyzwać muzykantów muundu i matuumba, i wszystkie bębny. Czy mamy przywołać ksylofon? Czy mamy wezwać wszystkich wodzów świata, aby przybyli i ukorzyli się na rdzawej ziemi? Czy mam wyrwać sobie włos z głowy i doczepić jemu? A jaki ty masz w tym interes, rzeczna nimfo? Czy fałszywa królowa cię

wyszukała? Czy powiedziała ci, jaka chwała nastanie, gdy Król powróci do chwalebnej linii matek? Och, mamusiu, walę w swój tam-tam, aby wyjawił tajemnicę mojej wielkiej pochwie, *nkooku maama, kangwaana phenya mbuta*. Uwierzyłaś w złą wyrocznię, siostro Króla. Twoja *ngaanga ngo-ombu* cię okłamała. Napchała ci głowę niegodziwym złotem. Należało przyzwać wróżbitę. Zamiast tego otoczyłaś się kobietami, o których nawet kobiety zapomniały. Spójrz na tego, którego chciałabyś za Króla. Stoi niżej niż toto.

Aesi wskazał mnie zielonym nożem.

– Mój syn będzie królem – powiedziała siostra Króla.

– Północ już ma króla. Przyjrzałaś się swojemu synowi? Nawet go nie znasz. Obdarz go teraz spojrzeniem. Gdyby demon zwierzęcy obnażył sutek, twoje dziecko garnęłoby się do ssania. Ty, Tropicielu, i ten blady obiecaliście, że oddacie dziecko, i oddaliście. Czego pragniecie? Pieniądza? Kauri wagi waszych ciał? Ta kobieta i jej nimfa rzeczna oszukały was, i to ile razy? Nawet w tej chwili, proszę, powiedz zebranym prawdę. Wierzysz w ich opowieści? Nie. Inaczej przynajmniej próbowałbyś rzucić tą siekierą. Nóż u jej szyi. Gdybym miał ją zabić w tej chwili, nie spojrzałbyś mi nawet w oczy. Sogolon wiedziała, że nie należy ufać ludziom, którzy nie mają nic do stracenia. Żal, że tak zginęła. Chciałbym to zobaczyć.

Na dworze usłyszałem marsz, który wywracał drzwi i wtargnął do domu. Mossi też usłyszał. Zerknął na mnie, a ja skinąłem głową, w nadziei, że przekazałem mu to, czego nie wiedziałem.

– Zostawcie dziecko i odejdźcie, a obiecuję, że gdy spotkamy się następnym razem, to przy dolo, przy dobrej zupie i będzie radośnie – powiedział Aesi.

– Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że jest w tobie jakakolwiek radość – odezwał się Mossi.

– Chętnie pomówiłbym z tobą dłużej o twojej wierze w jednego boga. Spotkałem ich bowiem tak wielu.

– Spotkałeś i zabiłeś, kacie bogów – wtrąciła królewska siostra.

Aesi się roześmiał.

– Twój sprzymierzeniec Tropiciel, on mówił, że nie wierzy w wiarę. Ja też to dostrzegłem. Myślisz więc, że wierzy w kata bogów? Wtedy najpierw musiałby uwierzyć w bogów. Zauważyłeś, Tropicielu, że nikt już nie składa czci? Wiem, że nie wierzysz w bogów, ale znasz wielu takich, którzy wierzą. Czy nie zauważyłeś, że coraz więcej mężczyzn tych krain staje się takimi jak ty, kobiety też? Obracałeś się wśród czarowników i kapłanów fetyszowych, a kiedy ostatni raz widziałeś ofiarowanie? Złożenie ofiary? Ołtarz? Kobiety zgromadzone w składaniu hołdu? Pierdolić bogów, słyszałem, że tak mówisz. A owszem, pierdolić, bo nastały czasy królów. Nie wierzysz w wiarę. Ja zaś wiarę masakruję. Jesteśmy jednakowi.

– Powiem swojej matce, że ma jeszcze kolejnego syna – odparłem. – Będzie się śmiać.

– Z kutasem twojego dziadka w ustach nie będzie mogła.

Poczerwieniało mi przed oczami. Chwyciłem siekierę od Lamparta, ale on warknął.

– Musi ci być smutno – rzekłem – skoro Sogolon nie żyje i już nikt nie potrafi cię przejrzeć.

– Sogolon? Jaki pożytek z oczu starej Wiedźmy Księżyca, skoro oczy setek rozgniewanych duchów na niej spoczywają? Nie spałeś tej nocy, kiedy ruszyliście z Kongoru, zatem ktoś ci powiedział, że przychodzę w snach.

– Nie spałem.

– Wiem. Ale ty, stojący za nim, spałeś mocniej niż głuche dziecko.

Wskazał palcem ogo. Sadogo spojrzał na nas, na swoje dłonie, przez okno, znowu na siebie, jakby coś usłyszał, ale nie słowa.

– Wyśniona przez ogo dżungla jest tak wielka, bujna, otwarta na możliwości. Czasem był ślepy na to, że podróżuję w jego głowie, otwieram mu jedno oko, kiedy śpi. Czasem walczył ze mną we śnie. Czy aby nie wybił dziury w burcie statku? Czasem z jego ust wychodziło to, co mówiłem w jego śnie, i czasem ludzie słyszeli. Czy nie tak, drogi ogo? Szkoda, że twoi przyjaciele nie zwierzali ci się aż tyle, ile bym miał życzenie, bo wtedy wasze plany znałbym już w Dolingo. Czy możliwe, że nie ufają olbrzymowi?

Sadogo warknął, tocząc wzrokiem w poszukiwaniu tego, o kim mówi Aesi.

– Ach, ile się naoglądałem twoimi oczami. Ile nasłuchałem twoimi uszami. Twoi przyjaciele, to ich może rozbawić. Czy minął choćby jeden księżyc, zanim przemówiłem twoimi ustami? Nie będziesz pamiętał. Ja przemówiłem, ty przemówiłeś i ten starzec, on był na dachu i cię usłyszał. Mnie usłyszał. To mnie usłyszał, drogi ogo, ale to ty go chwyciłeś, zmiażdżyłeś mu gardło, aby nie mógł krzyczeć, i swoimi drogimi rękoma zepchnąłeś go z dachu.

Wiedziałem, że Sadogo spojrzy, aby zobaczyć, kto na niego patrzy. Nie patrzyłem więc. Zacisnął pięści tak mocno, że usłyszałem gięte żelazo. Lampart się nie odwrócił. Odwrócił się Mossi.

– Sadogo, ten tutaj to ojciec kłamstwa – powiedział.

– Kłamstwa? Czymże jedna śmierć więcej dla ogo? Przynajmniej nie zabił tej niewolniczki od zogbanu, nadziewając ją na swojego małego ogo. Ale siadała na nim wiele razy w jego wizjach na jawie. Jaki hałas wszczynała w twojej wyśnionej dżungli. Sam od tego dwa razy trysnąłem nasieniem. Ale ten ogo tutaj, to ho, ho, jego mleko o mało nie przebiło dachu.

Który sen był gorętszy: gdy w niej byłeś czy gdy nazwałeś ją żoną? Myślisz, że spłodzilibyście pół ogo? Byłem przy tym. Byłem przy tym, kiedy…

– Nie słuchaj, Sadogo – powiedział Mossi.

– Nie przerywaj. Zastanawiałeś się, czy mogłaby pokochać ogo, czy jesteś zatem pierwszym, który czymś więcej niż zwierzę?

– Chce cię rozsierdzić, Sadogo. – Mossi nie dawał za wygraną. – Chce cię rozwścieczyć, bo taki jego zamysł.

Sadogo warknął. Odwróciłem się do niego, ale moje spojrzenie spoczęło na chłopcu przy ramieniu Nsaki Ne Vampi. Usta miał otwarte, jakby zamierzał ją ugryźć, lecz zaraz je zamknął, bo zobaczył mój wzrok. Oczy wybałuszone, puste, czarne, prawie granatowe.

– Rozsierdzić? – odparł Aesi. – Czy gdybym chciał go rozsierdzić, nie powiedziałbym o nim półolbrzym?

Sadogo ryknął. Obróciłem się w porę, aby zobaczyć, że grzmoci pięścią w ścianę. Zacisnął zęby i ruszył na Aesiego, ale wtedy mrok się przeciw niemu skierował, wyskoczył z cienia, chwycił za ręce, powodując krzyk, i wyciągnął go z pokoju. Lampart dopadł siostry Króla i ugryzł nic, które wciąż siedziało na jej ramieniu. Czerwień trysnęła mu w paszczy. Nic wrzasnęło.

– Zaiste pierdolić bogów – powiedział Aesi i rozkroił bunszi gardło.

Padła.

Mossi wydobył oba miecze i natarł. Cisnąłem siekierą. Wiatr się zerwał, rzucił Mossiego na ścianę, a siekierę posłał wstecz, w moją twarz, lecz żelazo nie mogło mnie tknąć, więc przeleciała obok. Nsaka Ne Vampi wybiegła z chłopcem, a królewska siostra zawodziła. Aesi obrócił się, aby gonić dziecko, ale zatrzymał się na okamgnienie i lewą ręką złowił strzałę lecącą wprost w jego twarz. Prawą złapał drugą. Dłonie miał zajęte, dlatego

trzecia i czwarta wbiły się w czoło. Dojrzałem Fumelego, łuk wciąż napięty, dwie strzały między palcami. Aesi padł, runął na podłogę, strzały w głowie jak dwa maszty. Nic utraciło zaklęcie i umarło jako tokolosze. Ptaki, trzepocząc skrzydłami i skrzecząc, odleciały z okna.

– Musimy ruszać – zwrócił się Lampart do siostry Króla.

Chwycił ją za rękę i pociągnął. Słyszałem walkę Sadogo z niewidzialnymi potworami, przebił się przez jedną ścianę, potem drugą. Patrzyłem na Aesiego rozciągniętego na podłodze, ale myślałem nie o nim, lecz o omoluzu, którzy zawsze atakują z góry, nigdy od tyłu. Podbiegłem do Sadogo. Zabicie Aesiego pozbawiło tamtych jego niewidzialnego zaklęcia. Cali czarni, podobni do smoły, ale nie omoluzu. Czerwone ślepia, ale nie jak u Sasabonsama. Stwory z cienia, które jednak pękały, jak ten, co mu Sadogo właśnie skręcił kark. Wbiegłem w ciemność, wymachując siekierą wśród półmroków, czułem, że tnę mięso i rąbię kości. Dwa skrzydłocienie skoczyły na mnie, jeden kopnął w klatkę piersiową, drugi próbował zdeptać. Wyciągnąłem nóż i wbiłem go tam, gdzie powinien mieć jądra. Zapiszczał. Lub zapiszczała. Rozciągnięty na podłodze rąbałem siekierą, odcinając u stopy palec za palcem, potem skoczyłem na nogi. Skrzydłocienie biegały po całym ogo, doprowadzając go do takiej wściekłości, że chwytał garściami mrok, miażdżąc czaszkę prawą ręką, łamiąc kark lewą, dwóch wdeptując w podłogę tak mocno, że wybił w niej dziurę. Wyturlałem się z ciemności i wtedy ręka chwyciła mnie za kostkę. Odrąbałem ją.

– Sadogo!

Pełzali po nim. Zdzierał z siebie jednego, dopadał go drugi. Wspinali się i gramolili po nim, aż zniknął cały prócz głowy. Rzucił mi spojrzenie, brwi uniesione, oczy nieprzytomne. Patrzyłem na niego, próbowałem podpierać go wzrokiem. Podniosłem się i ścisnąłem siekierę w garści, ale on zamknął

oczy powoli, uniósł powieki i znów na mnie popatrzył. Nie mogłem nic wyczytać. I wtedy stwór z cienia wpełzł mu na twarz.

– Sadogo!

Tupał, tupał i tupał, aż wybił w podłodze wielki otwór i uchwycony przez cienie, runął do środka. Usłyszałem huk jednej podłogi, potem drugiej i trzeciej. I już nic. Podbiegłem do krawędzi i wyjrzałem, ale zobaczyłem tylko dziurę za dziurą za dziurą, a na końcu ciemność. U dołu ostatnich schodów, przy drzwiach z przodu, ujrzałem stertę tynku, cegieł, pyłu i czarnego cienia i tam właśnie coś zamigotało. Żelazna rękawica. Sadogo. Nie potrafił udźwignąć życia ze świadomością, że zabił starca tak nikczemnie, chociaż przecież to nie on. W istocie nie on. Stałem tam, patrzyłem, czekałem, bez nadziei, a jednak czekałem przez cały czas, lecz nic się nie poruszyło. Wiedziałem, że jeśli coś się poruszy, to coś spośród czerni. I to wkrótce.

Wbiegł Mossi, krzycząc coś o ludziach i ptakach. Nie usłyszałem dobrze. Znów popatrzyłem w mrok, czekałem.

Mossi przyłożył mi dłoń do twarzy i odwrócił moją głowę ku sobie.

– Musimy iść.

Na dworze ludzie z miasta stali w odległości może dwustu kroków i patrzyli na nas. Nsaka Ne Vampi i siostra Króla dosiadły koni, Lampart i Fumeli mieli jednego. Siostra Króla posadziła przed sobą chłopczyka, przytrzymując go jedną ręką, drugą biorąc wodze. Ludzie się cofnęli. Ptaki zbiły się w gromadę, niebo od nich pociemniało, potem rozproszyły się i znów zleciały razem.

– Lamparcie, spójrz w górę! – krzyknąłem. – Czy są zaklęte?

– Nie wiem. Aesi nie żyje.

– Nie widzę żadnej broni – powiedział Mossi.

– W dodatku ukradliśmy te konie – rzucił Lampart.

Mossi dosiadł swojego wierzchowca i podciągnął mnie na grzbiet. Tłum zawył i ruszył na nas. Siostra Króla pogalopowała, nie czekając na nikogo. Nsaka Ne Vampi odwróciła się i poganiając swojego konia, krzyknęła:

– Uciekajcie, głupcy!

Popędziliśmy, gdy tłum zaczął miotać kamieniami. Zgubiłem zapach chłopca, choć wciąż widziałem siostrę Króla.

– Dokąd jedziemy? – spytał Mossi.

– Do Mueru – odrzekłem.

Motłoch ścigał nas, mimo że się oddaliliśmy, ścigał aż do granicznej drogi i dalej na zachód i południe, wzdłuż Gallunkube/Matyube, przez co znów skierowaliśmy się na zachód i ujrzeliśmy port i nabrzeże. Ciągnęliśmy uparcie na południe i zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, gdy konie przemierzyły kanał i wywiozły nas z miasta. Naszym tropem podążało stado ptaków na niebie. Nie dawały za wygraną, nawet gdy ruszyliśmy przez las i step, nawet gdy z nieba uszła jasność dnia. Aż do chwili, gdy nie widać było Kongoru. Tuż nad nami kilka zanurkowało do naszych głów. Nsaka Ne Vampi wrzasnęła, siostra Króla krzyczała: jazda! Pierwsza przeprowadziła nas przez zagajnik, który powstrzymał ptaki, ale znów zaczęły atakować, gdy tylko wyłoniliśmy się po drugiej stronie.

W oddali przed nami poruszało się coś białego, chmury lub kurz. Siostra Króla skierowała się wprost w tamtą stronę, a my podążyliśmy jej śladem. Ptaszyska zaatakowały nas ostatni raz. Jedno sfrunęło wprost na głowę Mossiego, który krzyknął, abym je przepędził, więc oderwałem napastnika i odrzuciłem za siebie. Fumeli odganiał ptaki łukiem, a tymczasem Lampart pośpieszał konia za dwiema kobietami z dzieckiem. Bawół biegł obok. Gnaliśmy tak zapamiętale, że dopiero kiedy znaleźliśmy się we mgle – bo mgła to była – zauważyłem, że ptaki zaniechały pościgu. Nie miałem słowa dla tej woni, którą poczułem. Nie był to smród, lecz tak samo nie zapach.

Może coś takiego jak wtedy, gdy chmury są brzemienne deszczem i błyskawica je osmali. Przyhamowaliśmy obok siostry Króla – i całe szczęście, bo zatrzymała się nad stromym urwiskiem. Mossi dźgnął mnie łokciem, bym zsiadł. Poniżej, ale hen w oddali, leżała kraina czekająca na każdego głupca, który chciałby się do niej zapuścić.

– Sogolon mówiła, aby zabrać go do Mueru – powiedziała siostra Króla. – Że tam będzie bezpieczny od wszelkiego czarnoksięstwa i białej nauki. Przynajmniej w tym możemy jej chyba zaufać.

Przemówiła w taki sposób, że nie potrafiłem odgadnąć, czy oznajmia, czy pyta. Odwróciłem się do niej i zobaczyłem, że na mnie patrzy.

– Zaufaj bogom – odparłem.

Wskazała szlak schodzący z urwiska, roześmiała się i pojechała tamtędy bez jednego słowa wdzięczności. Nie czułem woni chłopca, nawet gdy patrzyłem na niego. Powróciła wreszcie, gdy odjechał z matką, lecz potem znów zniknęła. Nie osłabła, zniknęła. Nsaka Ne Vampi zerknęła na mnie, kiwnęła głową na pożegnanie i ruszyła wstecz do Kongoru.

– Lamparcie – odezwałem się.

– Wiem.

– Do czego ona wraca, skoro Ipundulu nie żyje?

– Nie wiem, Tropicielu. Cokolwiek to jest, nie będzie takie, jakiego pragnie. Oto…

– Tak?

– Dziesięć i dziewięć drzwi. Czy była mapa? Widziałeś jaką?

– Obaj widzieliśmy – wtrącił Mossi.

– Stąd do Gangatom musielibyśmy przebyć rzekę ku Mitu, objechać Mroczne Ziemie, przeciąć głębokie lasy deszczowe i podążyć za Rzeką Dwóch Sióstr na zachód – powiedziałem. – Będzie to najkrócej dziesięć

i osiem dni, nie wliczając piratów, wojowników Ku, wojska i najemników Króla, którzy już grabią ludy nadrzeczne.

– A drzwi? – spytał Lampart.

– Trzeba byłoby płynąć pod prąd do Nigiki.

– Chcesz wracać przez Dolingo? – odezwał się Mossi bardzo głośno, ale tylko do mnie.

– Sześć dni do Nigiki, jeśli rzeką. Gdyby wziąć drzwi w Nigiki, to zaraz jesteśmy na Wzgórzach Czarów, trzy dni od ziem Gangatom.

– Razem dziewięć dni – rzekł Lampart. – Ale Tropicielu, Nigiki to Południowe Królestwo. Dopadną nas, dopadną i zabiją jako szpiegów, zanim zbliżymy się do tych drzwi.

– Nie, jeśli będziemy się poruszać niezauważenie.

– Nas czterech niezauważenie?

– Z Mrocznych Ziem do Kongoru, z Kongoru do Dolingo – odparłem. – Możemy podążać tylko w jednym kierunku.

Skinął głową.

– Postępujcie ostrożnie – zwróciłem się do wszystkich. – Jak złodzieje wślizgnijcie się i wyślizgnijcie, zanim ktokolwiek, choćby noc, się połapie.

– Nad rzekę – zawołał Lampart.

Fumeli dźgnął piętą konia i pogalopowali. Odwróciłem się, żeby raz jeszcze spojrzeć na Mueru. W mroku, pod soczyście granatowym niebem, widziałem tylko cienie. Wzgórza piętrzyły się wzwyż, nazbyt gładkie i wyraziste. Lub wieże, lub coś pozostawionego przez olbrzymy, które uprawiały nikczemne sztuki wcześniej od człowieka.

– Sadogo – rzekłem do Mossiego. – Miłowałem tego olbrzyma, chociaż wściekał się, gdy ktoś tak go nazywał. Gdybym wtedy zasnął, gdybyś mi pozwolił, to ja byłbym tym, który strącił starca z dachu. Czy wiesz, jak bardzo bolało go zabijanie? Pewnej nocy opowiedział mi o wszystkich swoich

zabójstwach. Dla jego pamięci każde z nich było klątwą. Trwało to do brzasku nowego dnia, jego opowiadanie. Większość to nie była jego wina, bo zajęcie kata wciąż jest po prostu zajęciem, nie gorszym od urzędu człowieka, co każdego roku podnosi podatki.

Popłynęły, łzy. Usłyszałem własne biadolenie i byłem wstrząśnięty. Co to za świt nastał? Mossi nie odstępował mnie, milczał, czekał. Trzymał rękę na moim ramieniu, póki się nie uspokoiłem.

– Biedny ogo. Był jedynym, który…

– Jedynym?

Próbowałem się uśmiechnąć. Uścisnął mi szyję delikatną dłonią, a ja się poddałem. Otarł mój policzek i przystawił czoło do czoła. Potem pocałował mnie w usta, język odnalazł język.

– Wszystkie rany znów ci się pootwierały – odezwałem się.

– Za chwilę powiesz mi, że jestem brzydki.

– Te dzieci nie będą mnie chciały.

– Może nie, może tak.

– Pierdolić bogów, Mossi.

– W każdym razie nigdy nie będą cię potrzebować bardziej niż teraz – odparł, dosiadając konia i podciągając mnie do góry.

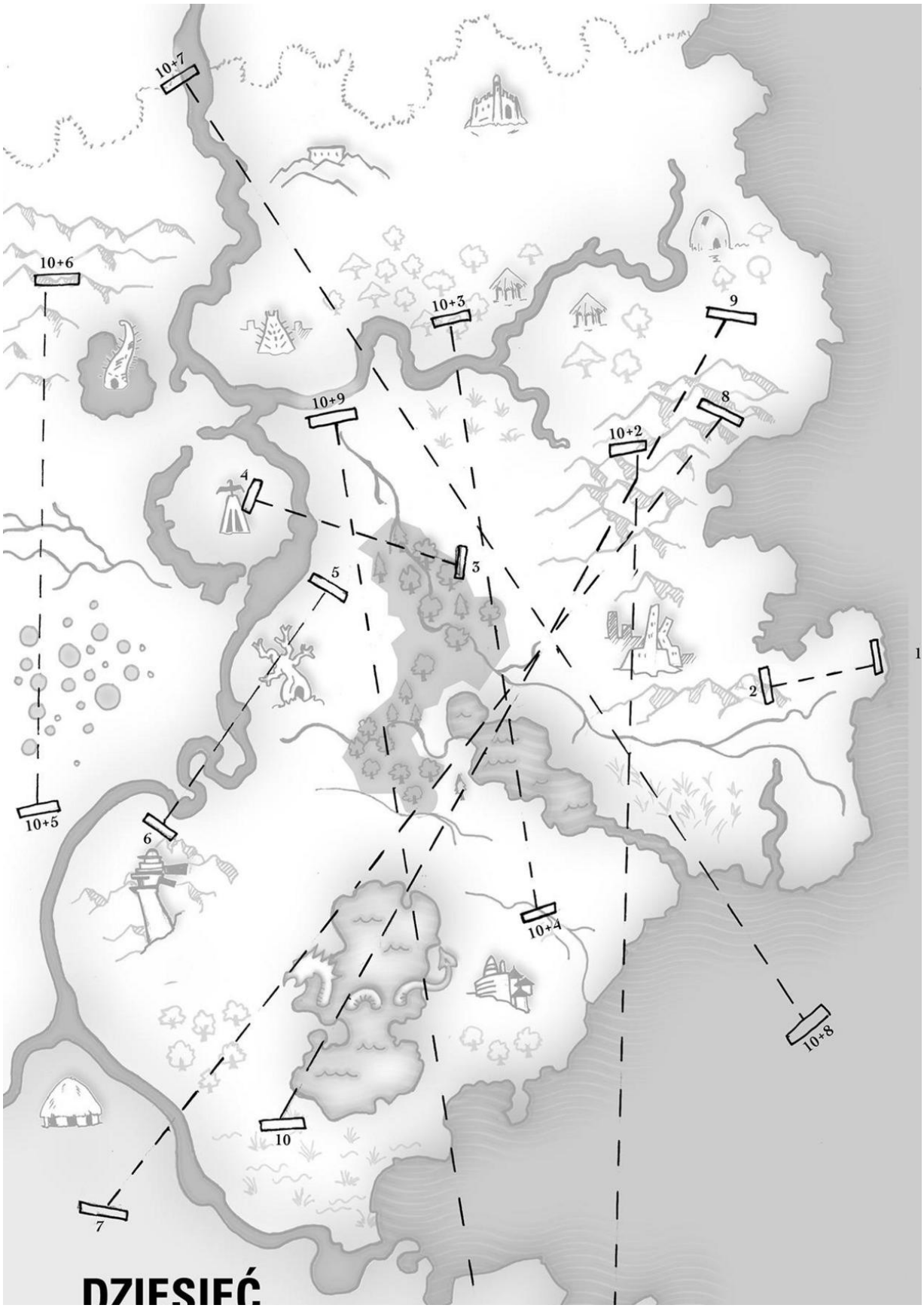
Wierzchowiec ruszył kłusem, potem przeszedł w galop. Chciałem obejrzeć się za siebie, ale nie obejrzałem. Przed siebie patrzeć nie chciałem, więc oparłem głowę na plecach Mossiego. Za nami zajaśniało światło, jakby pochodziło z Mueru, ale to był tylko brzask kolejnego dnia.

5

WYSŁUCHAJCIE JEDNEGO ORIKI

O nifs osupa. Idi ti o n bikita nipa ausn iraus.




10+7
10+6
10+3
9
10+9
8
10+2
4
3
5
2
10+5
6
10+4
10+8
10
7

22

I to już wszystko, a wszystko to prawda, wielki inkwizytorze. Chciałeś opowieści, czyż nie? Od jej zarania po kres i oto moja opowieść dla ciebie. Liczyłeś na świadectwa, lecz tak naprawdę pragnąłeś usłyszeć historię, nie mam racji? Teraz mówisz jak ludzie, o których słyszałem, ludzie przybywający z Zachodu, bo doszły ich wieści o mięśniach niewolników, ludzie, którzy pytają, czy to prawda. Gdy już znajdziemy, to czy zaniechamy poszukiwań? Czy to prawda, tak jak to nazywacie, prawda w całości? Czym jest prawda, skoro zawsze się rozciąga i kurczy? Prawda to jeszcze jedna opowieść. A teraz zapytasz mnie ponownie o Mitu. Nie wiem, kogo żywisz nadzieję tam znaleźć. Kim jesteś, że starcza ci czelności, aby rzec, że to, co miałem, nie było rodziną? Ty, który starasz się założyć taką z dziesięcioletnim dziewczęciem.

Och, nie masz nic do powiedzenia. Nie będziesz dłużej na mnie napierał.

Tak, jest, jak mówisz, przebywałem w Mitu przez cztery lata i pięć księżyców. Cztery lata, odkąd zostawiliśmy chłopca w Mueru. Byłem tam, gdy pogłoska o wojnie zmieniła się w prawdziwą wojnę. O to, co się wydarzyło, możesz spytać bogów. Spytaj, dlaczego twoje Południe nie wygrywało tej wojny, ale Północ także nie.

Dziecko nie żyje. Nie ma potrzeby wiedzieć nic więcej. W innym razie pytaj dziecko.

Och, nie zostały ci żadne pytania? Czy na tym poprzestaniemy?

Co się dzieje? Kto tutaj wszedł?

Nie, nie znam tego człowieka. Nie widziałem jego pleców ani twarzy.

Nie pytaj, czy cię rozpoznaję. Nie znam cię.

Inkwizytorze, dajesz mu usiąść. Tak, widzę, że to griot. A co, myślisz, że korę przyniósł, aby ją sprzedać? Dlaczego to miałaby być pora na pieśń pochwalną?

To griot ze strofami o mnie.

A przecież o mnie nie ma pieśni.

Tak, wiem, co rzekłem wcześniej. To ja tak powiedziałem. Pycha przeze mnie przemówiła – kimże jestem, abym miał się znaleźć w pieśni? Który griot ułoży śpiew, zanim dostanie zapłatę? Doskonale, niech śpiewa, nic to dla mnie nie znaczy. Obce mi wszystko, o czym będzie zawodził. Słucham.

Boże grzmotu, bracie mistyczny
Pobłogosławiony mową i darem gry na korze.
Oto ja, Ikede, syn Akedego,
Byłem griotem, co żył na baobabie.

Wędrowałem dni i noce i wreszcie napotkałem
Drzewo nad rzeką.
Wspiąłem się i usłyszałem papugę i kruka, i pawiana.
Słyszę dzieci,
Ich śmiech, krzyki, spory, co uciszają bogów,
A u samej góry leży człowiek na kobiercu.
Co to za człowiek?
Jak żaden w Ueme Uitu, Omororo, nawet w Mitu.

Spytał,
Czy szukasz piękna?

Odparłem, że chyba znalazłem.

I zaśmiał się, i rzekł,

Kobiety z Mitu widzą mnie szpetnym,

A gdy prowadzę dzieci na targ, wtedy mówią,

Spójrzcie na tę brzydką rodzinę, spójrzcie na te nieszczęsne potwory,

Ale ten jeden chita, ngumbu, haamba*, u niego włosy jak u konia.*

Lecz ja na to, piękne, mądre, dorodne kobiety,

Obfite w piersiach, szerokie w uśmiechu,

Żaden ze mnie zombi, jestem piękny jak ulepiony z kaolinu,

I wesołość taką u nich wywołuję, że dają mi piwo sorgowe i bawią się moimi włosami,

I powiadam, nic z tego nie odbieram jako obrazy.

Pytam,

Czy ty mieszkasz na tym drzewie?

On odpowiada, nie ma ty, tylko my, a my dziwnym domem.

Zostań, jak długo zechcesz.

Wchodzę przez rozstęp i zajmuję miejsce,

Widzę, że wraca z mięsem,

Pytam, kim jest ten zawzięty człowiek z wilczym ślepiem?

Kto go tak przeklął?

Dzieci małe, dzieci duże, dzieci, co tylko powietrzem,

Zbiegają z drzewa, tratują go,

Nie dbają, że jego złorzeczenia spłoszyłyby sowę.

Wskakują na niego, siadają na głowie, gnieżdżą się pod pachą,

A ja myślę, te dzieci mają wiele serca dla niego,

I zgorzkniałe oblicze znika

I Wilcze Ślepie wdrapuje się na wierzchołek i zastyga na mój widok,

I sunie dalej
I gdy jest na górze, widzi drugiego,
I spotykają się wargami, i otwierają usta,
Wiem.

Ten z wilczym ślepiem mówi,
Noc się starzeje, czemu nie śpisz?
Słońce stoi na niebie, czemu się nie budzisz?
Posiłek gotowy,
Kiedy wreszcie zjesz?
Czy bogowie mnie przeklęli i uczynili matką?
Nie, bóg mnie pobłogosławił i uczynił ciebie żoną moją,
Mówi ten zwany Mossi,
A dzieci się śmieją, Wilcze Ślepie łypie,
Łypie i łypie, i łypie aż po śmiech.
Byłem, widziałem.
I to, gdy przepędzili wszystkie dzieci
I powiedzieli, prędko,
Prędko nad rzekę,
Zostańcie tam, póki słońce nie zejdzie,
A gdy wszystkie przepadły i mnie za przepadłego wzięli,
Bo Mossi mówił narzeczem Wilczego Ślepia,
Se ge yi ye do bo, tak rzekł, Se ge yi ye do bo,
Kochajmy się nawzajem.
Bo ich dwu, padają w objęcia, całują usta
Całują języki
Całują szyję, sutki,
I niżej.

I jeden był kobietą, drugi był mężczyzną
I żaden nie był żadnym.
I oparł Wilcze Ślepie głowę na biodrach Mossiego,
A Mossi gładził mu pierś.
I tak zostali zapatrzeni w siebie,
Oko chłonące oko,
Twarz w spoczynku,
Może śni im się wspólny sen.

Jednego dnia Wilcze Ślepie wezwał wszystkich,
Dzieci, powiada, przybądźcie znad rzeki
I pokażcie się.
Nie wychował was szakal ni hiena,
I każde przedstawiło mi się z imienia,
Lecz imion ich nie zachowałem w pamięci.

Tak mówi Wilcze Ślepie,
Powiada, Mossi, jam Ku.
A mężczyzna z Ku może być tylko jednym rodzajem mężczyzny,
I Mossi odrzeknie, jeśli nie jesteś mężczyzną,
To co chwytam między twymi nogami.
Mossi z żartem,
Wilcze Ślepie bez żartu.
Mówi,
Uciekałem, kryłem się, szukałem,
Sam nie wiem czego, lecz znajdzie to każdy Ku,
Ale między mną i mym ludem krew
I powrót mi niepisany.

Wezwał więc Gangatom
I wódz tego ludu mówi, nikt nie czeka tak długo,
Ja czekam całe życie, odpowiada Wilcze Ślepie,
I zadziera swoją koszulę, i rzecze,
Spójrzcie na mnie, spójrzcie, gdzie kobieta.
A gdy to odetnę, będę mężczyzną
I wtedy Mossiego lęk dopadł, bo może z tej przyczyny go kocha,
Ale Ślepie mówi, wszystko, co między tobą i mną,
Człowieku ze Wschodu, nie siedzi tam w dole, lecz tutaj.
Z tym słowem wskazuje serce,
A wódz rzecze,
Prosisz nie o stare,
Prosisz o nowe.
Tyś Ku,
I nie masz ojca.
Czy w ten sposób gniewasz bogów?
Mówi Wilcze Ślepie,
Rytuał, by stać się mężczyzną,
Na chwałę jest bogów, więc
Jak któryś bóg mógłby być w gniewie?

Tak oto dla Wilczego Ślepia
Gangatom biją krowę, utaczają krwi
Do misy,
Ślepie, wypij raz i dwa,
Więc pije i ociera usta.

Gdy przychodzi nazajutrz,

Kolej przesadzić byki,

Ustawione w sile dwudziestu,

Z dodanymi dziesięcioma, bo za późno zostaje mężczyzną.

Musisz przebiec po grzbietach i spaść ci nie wolno,

Bo wtedy bogowie się śmieją.

I Wilcze Ślepie

Nagi w oliwie i karite,

Chwała bogom, biegnie,

Z grzbietu do grzbietu, jeden dwa trzy

Cztery pięć sześć i więcej.

Ludzie radują się i weselą,

Starszyzna mówi, całe księżyce żyłeś pośrodku

I nie ma w tym wstydu,

Lecz pośrodku to nigdzie.

Ale niektórzy ze starszyzny wskazują,

On nie ma enki paata.

Nie wędrował czterech księżyców,

Jak każdy chłopiec winien przed męstwem,

Gdzie na nim znak, że zabił wielkiego lwa?

A wódz, on mówi,

Spójrzcie na niego, a zobaczycie znak zgładzenia lwa i wszelkiego innego.

Starszyzna zapada w milczenie, choć niektórzy wciąż gderają,

A wódz do Wilczego Ślepia tak rzecze,

Nie wędrowałeś przez cztery księżyce,

Przesiedź więc cztery noce

Pod gołym niebem, z krowami, śpij w trawie, stój na ziemi.
A piątego ranka
Przyszli po niego
I wykąpali go z kubła
Z obuchem siekiery w środku dla schłodzenia wody.

Teraz, jak każe obyczaj, mężczyźni mówią,
Duży mężu wpasowany w skórę chłopca,
Aby być mężczyzną, ale patrzcie, jaki głupiec.
Jak każe obyczaj, mówią,
Patrzcie na korzonek chłopczyka, niegotów do męskości.
Nie da rady kobiecej pipce, lepiej niech wykopie mrówczą jamę.
I jak każe obyczaj, mówią,
Dlatego masz męża, nie żonę?
Czy żoną ty?
Siły dla ciebie, Wilcze Ślepie. Gniew to słabość.

I oto nadchodzi Wyrzynacz gotów na rytuał,
Z ostrym nożem.
Wilcze Ślepie nie ma matki,
Więc żona mu matką.
Wysyła mu skórę wołową, by na niej siadł
I w ten sposób nie zawstydził bogów.
Wiodą go, a tak, wiodą
Obok zagrody bydła,
Obok domów wielkiej starszyzny,
Na pagórek, gdzie stoi chata,
I mówi Wielki Wyrzynacz,

Kopniesz nóż, zabijemy cię,
Unikniesz noża, odtrącimy cię.
Bierze kredę, stawia kreskę,
Od czoła po nos.
Wielki Wyrzynacz, bierze mleko, by w nim wykąpać Wilcze Ślepie.
Wielki Wyrzynacz, chwyta uśmiercone i ciągnie, ciągnie,
Mówi, jedno cięcie!
Kopniesz nóż, zabijemy cię.
Unikniesz noża, odtrącimy cię,
Mówi, jedno cięcie!
A Wilcze Ślepie chwyta go za ramię.

I mówi, nie.
Posłuchajcie, mówi, nie.
Mężczyzna na górze, kobieta w rzece
Słyszą szept, co spada jak grom.
Wszyscy milkną.
Wilcze Ślepie mówi,
Sumą moich dni jest wyciąć kobietę,
Wytnij ją ze mnie, wytnij z mojej matki,
Wytnij ze wszystkich, którzy przemierzają i dźwigają świat.
I spuszcza wzrok na męskość,
Zwieńczoną u góry kobiecością,
I rzecze,
Jakie w tym może być zło
I jak to może nie być wola bogów,
A jeśli to nie wola bogów,
Wola to będzie moja.

Patrzy na Mossiego i rzecze,
Mówisz, że odciąłem całą kobiecość
Od mojej matki po każdą, która przechodzi obok domu,
A przecież to ja opuściłem matkę
I ja wytnę teraz swoją tożsamość.

Z tymi słowami wstał,
Z tymi słowami zostawił nóż
I odszedł,
A ludzie milczą, bo z niego wciąż gwałtownik.

Lecz Mossi więcej go nęka,
Gdy tylko powrócą na drzewo,
I tak oto rzecze,
Zaprzestań myśli, żeś zyskał spokój,
Wiesz, o czym mówię.
Nie wiem, odpowiada Ślepie, więc zamilcz.
I Mossi mówi, czemu każesz mi milczeć, skoro nie wiesz.
I tak nęka Tropiciela,
Nęka, nęka, o jakże nęka,
Aż Tropiciel wznosi ramię, by uderzyć,
I Mossi mówi, nikt cię szlachetniej nie miłował,
Ale spuść na mnie rękę, a zobaczysz odciętą
I wepchniętą ci do ust.
Świetnie, odpowiada Tropiciel, zaryzykuję,
Byś przestał być papugą.

I nastaje dzień odejścia,

Idzie chwiejnie, pada, mówi,
Chodź ze mną, inaczej legnę w lesie,
I Mossi idzie, i idą dzieci,
I nawet ja, bo Tropiciel mówi,
Nie postępuj, jakbyś nie należał do naszego domu.
Tak oto on i jego ród wyruszyli na poszukiwanie matki,
Jakiż widok przedstawialiśmy sobą w Dżubie!
Lecz o czym innym to opowieść,
Bo Tropiciel dziesięć razy się potknie przed bramą,
A Mossi tyleż razy mocno go podtrzyma,
I razem do drzwi,
Otwiera dziewczyna o jego wyglądzie,
Oto co ja i Mossi myślimy,
Ona milczy, tylko wpuszcza gości,
I odskakuje na bok, gdy Kulek
Przetacza się obok, a Żyrafik robi unik
I w niebieskim pokoju
Siedzi ona,
Wygląda staro i wątle, lecz oczy ma młode,
Kiedy umarł?, pyta Tropiciel.
A kiedy powinien umrzeć dziadek?, pada odpowiedź.
Patrzy na nią, jakby chciał przemówić,
Usta mu drżą, jakby chciał przemówić,
I Mossi wypędza nas z pokoju,
Jakby chciał przemówić.
Tropiciel znów się potyka i pada,
Ona pochyla się, dotyka jego policzka
I mówi, jedno z twoich oczu nie ode mnie pochodzi,

A z jego ust słychać skomlenie,
I skamle o matkę
I skamle o matkę
I noc przegnała dzień
I dzień przegnał noc,
A on skamle o matkę.

Wysłuchajcie mnie teraz,
Na baobabie zostałem dziesięć i dziewięć księżyców,
Gdy odchodziłem, dzieci płakały,
A Mossi nisko zwiesił głowę
I nawet Ślepie mnie spytał,
Czemu opuszczasz swój dom?
Ale człowiek mnie podobny, my jak zwierzęta,
Musimy wędrować,
Inaczej umrzemy.
Wysłuchajcie mnie teraz.
Dzień przed moim odejściem
Czarny Lampart zawitał na drzewie.

Ucisz go.

Ucisz go natychmiast. Ucisz go, inaczej znajdę sposób, aby jeszcze tej nocy to zakończyć. A wtedy nie będziesz wiedział, jaki cokolwiek miało kres.

Opowiem ci, co stało się potem.

Opowiem wszystko.

6

WILK ŚMIERCI

Mun be kini uuyi a lo bua.



23

Chcę, aby wiedziano, że to ty mnie do tego przywiodłeś. Chcę zobaczyć zapisane to w mowie, którą rozumiem. Pokaż. Będę milczał, dopóki nie pokażesz. Jak to zapiszesz? Czy wyróżnisz, co powiedziałem, czy po prostu stwierdzisz, że więzień zeznał to i tamto? Przestań mówić o prawdzie – karmiłem cię nią od samego początku, ale jak już rzekłem wcześniej, ty chcesz usłyszeć opowieść. Dałem ci ich wiele, a teraz dam ostatnią. Wtedy będziesz mógł z nią pomówić i wysłać nas w ogień.

Widzę ją w tej opowieści. Szła, jakby ktoś podążał jej tropem.

Dlaczego mnie powstrzymujesz?

Nie słyszałeś griota?

Lampart przyszedł w odwiedziny i uwiódł mnie słowami o przygodach. Oczywiście, że był arcysprytny – w końcu jest lampartem. Poszedłem z nim na poszukiwanie opasłego głupca, który handlował złotem i solą i śmierdział kurzym gównem. I który przepadł. Lecz nie przepadł. Pierdolić bogów, inkwizytorze, którą historię pragniesz usłyszeć? Nie, obu ci nie opowiem. Spójrz na mnie.

Dwóch nie opowiem.

A zatem.

Szła, jak idą ludzie, którzy podejrzewają, że ktoś podąża ich śladem. Patrzyła wprost przed siebie u wejścia do każdego zaułka i zerkała przez ramię u wylotu. Przemykała od cienia do cienia, podążając senną uliczką. Nad głową ostry swąd opium, na ziemi ścieki ze sraczy. Potknęła się i moc-

niej uchwyciła niesiony tobołek, gotowa raczej upaść, niż go puścić. W tym miejscu niebo miało sufit, tu i tam wysoki na sto kroków, z wywierconymi otworami, aby przepuścić białe światło słońca i srebrne światło księżyca. Pochyliła się pod pochodnią przy drzwiach, wyprostowała i przesunęła się z plecami przy murze jak krab aż do rogu.

Malangika. Miasto tuneli, gdzieś na zachód od Krwawych Bagien, na wschód od Uakadiszu, mniej więcej trzysta kroków pod ziemią, duże jak trzecia część Fasisi. Setki lat wcześniej, zanim zaczęto spisywać dzieje, pierwsi ludzie z powierzchni mieli spór z bogami nieba o deszcz, a wtedy bogowie podziemi dali im to miejsce jako schronienie przed gniewem napływającym z góry. Kopali szeroko i głęboko, a pieczary wznosiły się wzwyż, aby pomieścić trzy, cztery, niekiedy pięć kondygnacji. Kolumny ze ściętych drzew i kamienia jako podpory, żeby tunele się nie zawaliły, chociaż na dwóch odcinkach strop runął. W korytarzach budowniczy wycięli górne otwory, aby słońce i księżyc oświetlały ulice jak lampy Dżuby. Niektórzy powiadają, że mieszkańcy Malangiki byli pierwszymi, którzy wydarli naturze sekret metali. Okazali się jednak samolubni i chciwi, stali się królami ślusarstwa. Umierali uczepieni kurczowo swego żelaza i srebra. Niektórzy, parający się inną sztuką i rzemiosłem, kopali jeszcze głębiej. Lecz mieszkańcy tego miasta wkrótce wymarli, a samo miasto popadło w zapomnienie. A przecież tylko w miejscu zapomnianym może rozkwitnąć nowe miasto, miasto bez bacznego oka, miasto z targowiskiem. Na którym sprzedawano to, czego nie można było sprzedać na powierzchni, nawet nocą.

Podziemne targowisko wiedźm.

Opróżnione z nadmiaru. Ktoś utkał silne czary, aby wszyscy zapomnieli o tej ulicy. W większości zaułków było widać zaplecza gospód, w których nikt nie przebywał, karczm, z których nikt nie wychodził, i handlarzy towa-

rem najrozmaitszego użytku. Lecz w tym zaułku mrok wisiał nisko. Przeszła wiele kroków i wreszcie się zatrzymała, rozejrzała się i wtedy dwa duchy wychynęły z muru i natarły na nią. Trzeci wzniósł się z ziemi, ale potknął się jak pijany. W mgnieniu oka wyciągnęła amulet spomiędzy piersi. Duchy zapiszczały i cofnęły się, ten ziemny zapadł się z powrotem pod spód. Przez całą drogę zaułkiem trzymała amulet przed sobą, a głosy popiskiwały, stękały, syczały. Głód ich był wielki, nie większy jednak niż strach przed nkisi na jej szyi. We mgle na końcu uliczki przywarła do ściany ze świeżej gliny po prawej stronie, po czym skręciła za róg wprost na mój nóż.

Odskoczyła. Chwyciłem ją za rękę, wykręciłem za plecami i ostrze przyłożyłem do szyi. Chciała krzyczeć, ale docisnąłem. I wtedy zaczęła mówić szeptem, który znałem. Odburknąłem i ucichła.

– Chroni mnie sangoma – powiedziałem.

– Wybrałeś to miejsce, żeby ograbić biedną kobietę? Wybrałeś?

– Co tam niesiesz, dziewczyno?

Bo dziewczyną była, do tego chudą, z policzkami wyrzeźbionymi głodem. Jej ręka, którą wciąż ściskałem, zmizerniała do samej kości, mógłbym ją złamać jednym szarpnięciem.

– Przeklnę cię, jeśli przez ciebie to upuszczę – zagroziła.

– Co miałabyś upuścić?

– Zabierz spojrzenie z mojego łona albo mój mieszek i idź.

– Nie pieniądza szukam. Mów, co niesiesz, inaczej dźgnę.

Wzdrygnęła się, ale odpowiedź poznałem, zanim dosięgnął mnie smród wyrzyganego mleka i niemowlę zagulgotało.

– Za ile kauri kupuje się dziecko w Malangice? – spytałem.

– Myślisz, że dziecko niosę na sprzedaż? Co za wiedźma sprzedaje własne potomstwo?

– Nie wiem. Wiem za to, co za wiedźma kupuje.

– Pozwól mi odejść, bo będę krzyczeć.

– Kobiecy krzyk w tych korytarzach? Na każdej ulicy to słychać. Powiedz mi, jak weszłaś w posiadanie dziecka.

– Głuchyś? Mówię…

Wygiąłem jej rękę za plecami, prawie do karku. Wrzasnęła i wrzasnęła drugi raz, starając się nie upuścić dzieciątka. Poluźniłem chwyt.

– Oby cię na powrót matczyna cipa wessała!

– Czyje to?

– Co?

– Kto jest matką dziecka?

Patrzyła na mnie ze zmarszczonym czołem, myśląc, jakim kłamstwem mogłaby pokryć odgłosy budzącego się niemowlęcia, kwilącego w szorstkim płótnie, którym je owinięto.

– Ja. Ono moje.

– Nawet najpodlejsza kurwa nie przyniosłaby własnego dziecka do Malangiki, chyba że na sprzedaż. Dla w…

– Ja nie kurwa.

Puściłem ją. Odwróciła się, jakby do ucieczki, lecz dobyłem topór zza pleców.

– Spróbuj zbiec, a rozpłatam ci tym czerep, zanim zrobisz pięćdziesiąt kroków. Chcesz mnie poddać sprawdzianowi?

Spojrzała mi w oczy i potarła ramię.

– Szukam pewnego mężczyzny – wyznałem. – To człowiek szczególny, nawet w Malangice.

– Nie zadaję się z mężczyznami.

– A przecież przed chwilą powiedziałaś, że to dziecko twoje, zatem zadałaś się przynajmniej z jednym, a jakże. Jest głodne.

– Nie troszcz się o to.

– Mimo to jest głodne. Nakarm.

Ściągnęła płótno z dziecięcej główki. Powąchałem niemowlęce rzygi i wyschnięte siki. Ani śladu karite, oliwy, jedwabiów, niczego, co ulżyłoby pupce maleństwa. Kiwnąłem głową i toporem wskazałem jej piersi. Pociągnęła za szatę i prawy cycek wypadł na wierzch, chudy, mizerny, zawisł nad buzią dzieciątka. Wetknęła sutek do usteczek i zaczęło się karmienie, ssanie tak mocne, że się skrzywiła. Nagle maleństwo wypluło sutek i zapłakało aż po wrzask.

– Nie masz mleka – powiedziałem.

– Nie jest głodne. Co możesz wiedzieć o wychowywaniu dzieci?

– Wychowałem sześć – odparłem. – Jak masz zamiar nakarmić?

– Dawno bylibyśmy w domu, gdybyś się nie wmieszał.

– W domu? Najbliższa wioska to trzy dni piechotą. Umiesz latać? Do tej pory dziecko umarłoby z głodu.

Sięgnęła pod szatę po mieszek i spróbowała go rozsupłać obiema rękami, wciąż tuląc maleństwo.

– Patrz no tutaj, psojebco czy kim tam jesteś. Weź pieniądz i idź sobie kupić dziewczynę, abyś mógł ją zabić i zjeść jej wątrobę. Zostaw mnie w spokoju, mnie i moje dziecko.

– Słuchaj no. Powiedziałbym, abyś wychowywała swoje dziecko wśród lepszych ludzi, ale przecież ono nie twoje.

– Zostaw mnie samą! – krzyknęła i rozwarła mieszek. – Masz, proszę. Bierz wszystko.

Wyciągnęła rękę i nagle rzuciła woreczkiem. Machnąłem toporem, aby go odtrącić. Trafił w mur i spadł na ziemię. Małe żmije wyślizgnęły się na wolność i zaraz urosły. Uciekła, ale ruszyłem w pościg, dogoniłem ją i chwyciłem za włosy. Wrzasnęła. Wtedy upuściła dziecko. Odepchnąłem

ją, aż się potknęła i upadła. Podniosłem maleństwo. Potrząsnęła głową i wstała niepewnie. Ściągnąłem parszywą tkaninę z dziecka. Ciałko, ciemne jak herbata, naznaczyła białą gliną. Linią dokoła szyi. Kreską przy każdym stawie rączek i nóżek. Krzyżykiem na pępku, kręgami dokoła sutków i kolan.

– Ale noc sobie umyśliłaś – powiedziałem. – Nie jesteś wiedźmą, jeszcze nie, ale dzięki temu byś się nią stała, może nawet taką z wielką mocą, a nie czyjąś uczennicą.

– Żeby cię skorpion ukąsił w kutasa – warknęła, siadając.

– W sztuce rozczłonkowywania niemowląt nie masz wprawy, więc narysował, jak powinnaś kroić. Ten, który sprzedał ci dziecko.

– Pusty chuch z twoich ust.

Chłopczyk wił się w moich ramionach.

– Mężczyźni w Malangice handlują niegodziwością, nieopisaną niegodziwością. Kobiety też to robią. Ale żywe, nietknięte niemowlę trudno znaleźć. To nie bękart ani podrzutek. Tylko najczystsze dziecko może być dla ciebie źródłem potężnych czarów, dlatego właśnie takie kupiłaś. Skradzione szlachciance. Niełatwo natrafić na takie, trzy dni drogi od najbliższego miasta. Dałaś więc tamtemu coś o wielkiej wartości. Nie złoto ani kauri. Dałaś mu inne życie. A skoro kupcy doceniają tylko to, co ma wielką wartość, to życie musiało być dla ciebie cenne. Syn? Nie, córka. Dziewczynki do ożenku kosztują tutaj nawet więcej niż noworodki.

– Żeby cię wyruchało tysiąc…

– Dawno już zaliczyłem więcej. Gdzie mistrz, co sprzedał ci to dziecko?

Wciąż na ziemi, patrzyła na mnie chmurnie, pocierając czoło prawą ręką. Nastąpiłem na jej lewą dłoń i wrzasnęła.

– Jeśli będę musiał powtórzyć pytanie, to będziesz już miała ją odrąbaną.

– Ty bękarci synu kurwiącej się wilczycy. Odetnij rękę bezbronnej kobiecie.

– Bezbronnej? Przed chwilą broniłaś się żmijowym zaklęciem. Która stópka miała iść na amulet, lewa czy prawa?

– Dużo wiesz o wiedźmach i czarach. Ani chybi sam jesteś czarownikiem.

– Może po prostu zabijam wiedźmy. Dla pieniądza, o tak. Pieniądz zawsze się przyda. Ale tak naprawdę robię to dla uciechy. Ten kupiec, gdzie on jest?

– Głupcze, co noc zmienia miejsce pobytu. Żaden słoń nie pamięta drogi, żaden kruk nie potrafi go znaleźć.

– Ale dziecko kupiłaś tej nocy.

Nastąpiłem mocniej na dłoń i znowu zawyła.

– Na ulicy północnej pory! Idź na sam koniec i skręć w prawo obok suchego drzewa, dalej w dół trzema rzędami schodów, głęboko w mrok. Mrok tak ciemny, że nic nie widać, macać trzeba. Jest w domu czarownika z sercem antylopy gnijącym na drzwiach.

Cofnąłem stopę i wtedy chwyciła dłoń dłonią, przeklinając mnie pod nosem.

– Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Zanim go spotkasz, dwaj inni spotkają ciebie.

– Ostrzeżenie? Co za akt łaski.

– Ostrzeżenie cię nie ocali. Nic ci z tego, że wyjawiłam.

Pogłaskałem dziecko po brzuszku. Było bardzo głodne. Ktoś spośród kupców, handlarzy, czarowników i wiedźm miał zapewne kozie mleko. Chciałem wybić kopniakiem najbliższe drzwi, zażądać koziego lub krowiego mleka i odrąbywać kolejne ręce, póki ktoś nie spełni mego życzenia.

– Powiedz, łowco. – Wciąż siedziała na ziemi, tylko teraz zakasała szatę. – Jaki dla ciebie pożytek z dziecka? Jaki będzie pożytek dla jego matki? Nigdy ich nie odnajdziesz, oni nigdy nie odnajdą ciebie. Daj zrobić z dziecka użytek. Pomyśl, zacny łowco, co mogę ci dać, gdy już osiągnę moc. Chcesz pieniądza? Chcesz, żeby najzamożniejsi kupcy na sam twój widok dawali ci najprzedniejsze jedwabie i najdorodniejszą córkę? Mogę to sprawić. Oddaj mi dzieciątko. Takie słodkie. Czuję w nosie całe to dobro, które dzięki niemu można sprawić. Czuję w nosie.

Wstała i wyciągnęła ręce po niemowlę.

– Wiesz, co ci dam? Wyliczankę do dziesięciu, dopiero potem rzucę tym toporem i rozłupię ci łeb jak orzecha.

Młoda wiedźma zaklęła i wykrzywiła twarz jak człowiek, któremu zabrano opium. Odwróciła się, aby odejść, lecz nagle owinęła się na pięcie i zawołała o dziecko.

– Jeden – powiedziałem. – Dwa.

Pobiegła.

– Trzy.

Cisnąłem toporem, który zakręcił się w locie. Minęła cztery drzwi i dopiero wtedy usłyszała świst. Odwróciła się i dostała w twarz. Padła na plecy. Podszedłem i wyrwałem topór z jej głowy.

Minąłem dwa zaułki i zagłębiłem się w trzeci, który rozsiewał wonie. Ulica dla nikczemników, ale nikczemników głupich, drzwi kuszące, by wejść – po to, by już nigdy nie wyjść. Zapukałem do trzecich napotkanych drzwi, tych, zza których dobywał się zapach. Otworzyła stara kobieta. Powiedziałem: czuję mleko i chcę je mieć. Wyciągnęła pierś, ścisnęła ją mocno i odrzekła do mnie: napij się, ile dasz radę, chłopcze z popiołu. Dziesięć kroków dalej grubas w białej agbadzie otworzył drzwi mojemu toporowi. Mleka, powiedziałem. Wnętrze nie było wnętrzem, jego dom nie

miał dachu. Kozy i owce biegały dokoła, becząc, jedząc i srając, a ja nie spytałem, do czego ich używa. Położyłem niemowlę na stole.

– Wrócę po to dziecko.

– Które usta w tym domu powiedziały, że możesz je tutaj zostawić?

– Nakarm je kozim mlekiem.

– Chcesz u mnie zostawić chłopczyka? Wiele wiedźm przychodzi i wiele wiedźm odchodzi w poszukiwaniu niemowlęcej skórki. Co mnie powstrzyma przed zapełnieniem sakiewki?

Grubas sięgnął po dziecko. Odrąbałem mu rękę. Wrzeszczał, klął, zawodził, biadolił w mowie, której nie znałem. Wziąłem odciętą dłoń.

– Zwrócę ci ją w ciągu trzech obrotów klepsydry. A jeśli dziecko przepadnie, użyję tej dłoni, aby cię odnaleźć i posiekać całego, po jednym kawałku na dzień.

Ulica północnej pory wzięła swoje miano od szyldu ustawionego u wejścia, co głosił „PÓŁNOCNA PORA”. Oto jak każdy nadciągający by mnie widział. Nie miałem na sobie nic prócz białej gliny od szyi do kostek, od rąk do nóg. I pasy dla toporów, i pochwy dla noży. Dokoła oczu ciemno, żeby bojaźliwi widzieli we mnie kościotrupa przychodzącego upomnieć się o nich. Byłem niczym.

Dziesięć i pięć kroków dalej zrobiło się zimno. Wyślizgnąłem się z dziwnego powietrza i ruszyłem dalej, aż kwaśna rosa zwilżyła mi twarz. Zaklęcie wyszło z moich ust szeptem. Potem czekałem. I czekałem. Coś przemknęło za moimi plecami i szybko sięgnąłem po noże, odwróciłem się i zobaczyłem czmychające szczury. Czekałem dłużej. Już chciałem iść, gdy powietrze nade mną zatrzeszczało, zaiskrzyło i zaraz buchnęło płomieniem, który pobiegł na rozpiętość moich ramion i zgasł. Powietrze nie było już tak ciężkie i kwaśne, ale ulica wyglądała niezmieniona. Drzwi, ale nie żadne

z dziesięciu i dziewięciu, tylko drzwi. Siedem kroków w głąb zniknęła podłoga. Próbowałem odskoczyć, wpadłem jednak do środka, odwinąłem się i wbiłem noże w ziemię dokoła. Pod moimi stopami tylko przestwór. Przepaść być może do środka świata albo jamy kolców czy węży. Poderwałem się, pobiegłem z powrotem, skoczyłem do krawędzi, skoczyłem w górę, chybiłem nogami i runąłem na bok, znów dźgając ziemię, aby nie uciekła.

Ścieżka kończyła się ścianą lasu. Skręciłem w prawo obok suchego drzewa, o którym mówiła wiedźma, i dotarłem do urwiska nad przepaścią, ze stopniami wyciętymi w ziemi, prowadzącymi trzy rzędy w dół. Na dnie druga ścieżka wiodła do domu wykutego w skale, nad drzwiami dwa okna, w których migotało żółte światło. Mój nos szukał kwaśnego powietrza, a w rękach wciąż ściskałem noże. Wsunąłem oba do pochew i wyciągnąłem topór. Nikt nie zamknął drzwi. Bo nikt inny nie dotarł tak daleko. Wszedłem. Do domu przynajmniej pięć razy większego, niż wyglądał z zewnątrz, jak te wielkie sale, które widziałem wydrążone ludzką ręką w pniu baobabu. Dokoła księgi ukazywały swoje grzbiety na półkach, na stołach leżały zwoje i arkusze papieru. W szklanych słojach pływało wszystko, co można wyjąć z ludzkiego ciała. W większym słoju, napełnionym żółtą cieczą, zamknięto dzieciątko z matczynym sznureczkiem jak wężem. Po prawej stronie zobaczyłem klatki, jedną na drugiej, z ptakami najróżniejszego ubarwienia. Nie wszystkie jednak ptakami, niektóre wyglądały jak skrzydlate jaszczury, a jeden miał głowę surykatki.

Na środku pomieszczenia stał mężczyzna mały jak chłopiec, ale stary, z grubą tabliczką ze szkła przywiązaną do oczu, przez co każde wydawało się wielkie jak dłoń. Wpełznąłem, odkopując stopami papiery pokryte łajnem, niektóre świeżym. Z góry dobiegł śmiech i spojrzawszy tam, zobaczyłem pod sufitem wiszące na ogonie uczepionym sznura dwie szalone małpy. Oblicza jak u ludzi, ale zielone jak zgnilizna. Oczy białe i wybałuszone,

prawe małe, lewe wyłupiaste. Nieodziane, ale strzępy odzienia łopotały dokoła. Nosy wbite na płask jak u małpoluda i wyszczerbione zębiska, kiedy się uśmiechały. Mała i większa.

Mała małpa zeskoczyła, nim zdążyłem wyciągnąć drugi topór. Spadła mi na pierś. Odepchnąłem ją od twarzy, bo próbowała odgryźć mi nos. Obie zawyły EEEEEEEEEEE. Tamten człowiek wbiegł do drugiego pomieszczenia. Małpa machnęła ogonem, chcąc mnie nim chlasnąć, ale chwyciłem ją za szyję i przytrzymałem topór, żeby wywijający koniec nadział się na ostrze. Wrzasnęła i odskoczyła, biadoląc. Dobyłem drugi topór i zaatakowałem oboma małpę, ale ta większa odciągnęła ją swoim ogonem i rzuciła we mnie słojem. Uchyliłem się i słój trafił w ścianę. Duża pacnęła małą, aby ją uciszyć. Podbiegłem do półki, a wszędzie dokoła roztrzaskiwało się szkło. Potem cisza.

Obok mojej stopy leżała mokra dłoń. Chwyciłem ją i odrzuciłem w prawą stronę. Słój po słoju roztrzaskiwały się o ścianę. Ścisnąłem topory w dłoniach, podskoczyłem i machnąłem pierwszym. Duża małpa uchyliła się przed jednym i nadziała na drugi, który odrąbał jej czoło. Runęła na półkę, pociągając ją za sobą. Mała zgarnęła swój odcięty ogon i umknęła w ciemną wnękę między dwiema półkami. Odgarniałem księgi i zwoje, aż zobaczyłem trzonek swojego topora. Rąbałem oboma szaloną małpę, póki strzępy mięsa nie trafiły mnie w twarz.

Za moimi plecami pomieszczenie z drzwiami, na których z gnijącego serca antylopy zwisała popękana miska do ifa.

Wewnątrz mężczyzna i kobieta, i dziecko za stołem. Kobieta i dziecko mieli włosy ufryzowane dziwniej niż w jakiejkolwiek krainie, do której zabrnąłem, z głów sterczały gałązki jak u jeleni, a wszystko razem sklejało wyschnięte łajno. Ona spojrzała na mnie roziskrzonymi oczami, a dziecko,

chłopiec to był, chyba, uśmiechnął się w tej samej chwili, gdy kwiat na jednej z gałązek otworzył swój pąk. Mężczyzna podniósł wzrok.

– Nosisz na sobie tylko biel – przemówił. – Co opłakujesz? – Dojrzał moje spojrzenie zwrócone na jego żonę. – Ona dobra do ruchu-ruchu, ale klnę się na żywych bogów, gotować nie umie. Gówno ugotuje. Nie wiem, czy mogę ci coś z tego ofiarować. Za długo gotowała, mówię ci. Słyszysz, kobieto, nie można za długo gotować. Trzy okamgnienia i popłód z pieprzem gotowy. Chcesz kawałek, przyjacielu? Właśnie wylazło z kobiety z Budżu-Budżu. Nie dba o to, że przodkowie będą wściekli, bo nie pogrzebała.

– Czy popłód był z dzieciątkiem? – spytałem.

Najpierw się zmarszczył, potem uśmiechnął.

– Obcy, obcy, przychodzą do doktora z żartami i żartami. Nie tak, żono?

Ona spojrzała na niego, potem na mnie, ale nie odpowiedziała. Chłopiec odkroił nożem kawałek popłodu i wcisnął sobie do ust.

– A więc jesteś – powiedział mężczyzna. – Kto ty?

– Ten, na którego powitanie wysłałeś dwóch.

– Witają wszystkich. A skoro już tu stoisz, to oni…

– Przepadli.

Odłożyłem topory, wyciągnąłem noże. Jedli dalej, udawali, że mnie nie ma, zerkali jednak w moją stronę, w szczególności kobieta.

– Ty sprzedawca dzieci? – spytałem.

– Handluję niejednym, zawsze z sercem uczciwego człowieka.

– To zapewne z powodu uczciwego serca znalazłeś się w Malangice.

– Czego chcesz?

– Kiedy skóra wróci do ciebie?

– Wciąż nie mówisz nic mądrego.

– Szukam kogoś, kto prowadzi handel w Malangice.

– W Malangice wszyscy prowadzą handel.

– Lecz jesteś jednym z niewielu, co sprzedają akurat to, co on kupuje.

– To idź sprawdź u tych niewielu.

– Sprawdziłem. U czterech przed tobą, jednego po tobie. Dotąd czterech martwych.

Mężczyzna umilkł, ale tylko na chwilę. Kobieta i chłopiec jedli. Twarz miał zwróconą ku kobiecie, oczy na mnie.

– Nie przed moją żoną i dzieckiem.

– Żoną i dzieckiem? To żona i dziecko?

– Tak, nie…

Rzuciłem nożami. Jeden trafił kobietę w szyję, drugi trafił dziecko w skroń. Oboje dygotali i trzęśli się, dygotali i trzęśli, zaraz potem trzasnęli głowami w stół. Stary wrzasnął. Zerwał się, podbiegł do chłopca, chwycił go za czoło. Kwiat na głowie zwiądł, a z ust powoli wyciekła gęsta czarna maź. Mężczyzna krzyczał, zawodził, biadolił.

– Szukam kogoś, kto prowadzi handel w Malangice.

– Na bogów, patrz!

– *Teraz zabijasz dzieci* – rozległ się głos, który znałem.

– Słyniesz ze sprzedaży tego, co on kupuje – zwróciłem się do starego mężczyzny. – *Sakut vuuong fa'at ba* – zwróciłem się do swoich myśli.

– Bogowie, mój smutek, mój smutek – zawodził tamten.

– Kupcze, gdyby którykolwiek z bogów zechciał spojrzeć w dół, co by powiedział o tobie i twojej wstrętnej rodzinie?

– *Były głosy, sam słyszałeś, mówiące, że to my jesteśmy wstrętną rodziną* – odezwał się znów głos, który znałem.

– Że byli moi, że byli moi.

– Byli białą nauką. Oboje. Zbuduj sobie inną. Albo dwie. Następnym razem możesz mieć nawet takich, którzy będą umieli mówić. Jak papuga.

– Wezwę tych o czarnych sercach. Każę im wytropić cię i zabić!

– *Mun be kini uuyi a lo bua*, starcze. Przyniosłem żałobę do domu śmierci. Wiesz, czego pragnę?

Zbliżyłem się. Z bliska kobieta miała chropawą twarz, podobnie chłopiec. Nie gładką, lecz pooraną bruzdami jakby splątane pnącza.

– Żadne nie jest z ciała.

– Byli moi jedyni.

Dobyłem topór.

– Zachowujesz się, jakbyś chciał być z nimi. Mam to sprawić? W tej chwili…

– Nie! – krzyknął.

Wzywał bogów. Być może naprawdę kochał tę kobietę. Tego chłopca. Nie dość jednak, by do nich dołączyć.

– Nie każdy człowiek urodziwy na twarzy jak ty. Nie każdy człowiek może znaleźć miłość i oddanie. Nie każdy może powiedzieć, że bogowie go pobłogosławili. Niektórzy nawet dla bogów są szpetni, nawet bogowie im powiadają: nie ma nadziei dla twojej krwi. Uśmiechnęła się do mnie! Chłopiec uśmiechnął się do mnie! Jak śmiesz osądzać człowieka, który odmawia umrzeć z samotności. Bogowie nieba, osądźcie tego tutaj. Osądźcie jego uczynek.

– Nie ma nieba – odrzekłem. – Może wezwij bogów podziemi.

Wziął syna w objęcia i go przytulił, uciszając, jakby kwilił noworodek.

– Biedny kupcze, nigdy nie zaznałeś pocałunku pięknej kobiety. – Spojrzał na mnie, oczy wilgotne, wargi rozedrgane, wszystko w nim smutne. – Czy dlatego, że każdą zabijasz?

Żałość opuściła jego twarz. Wrócił na swoje miejsce.

– Mężczyzn też. Tropisz ich. Nie, na twoich rękach nie ma krwi. Nazbyt wielkim tchórzem jesteś, aby samemu przywieść tutaj swoją ofiarę, wysy-

łasz innych w zastępstwie. Rzucają na ludzi zaklęcia za pomocą mikstur, bo chcesz zdobycz dostać w całości, bez jadu w ciele, bo zatrułby serce. Potem zabijasz niektórych i sprzedajesz dla najprzeróżniejszego czarodziejstwa i białej nauki. Innych pozostawiasz przy życiu, bo za stopę żywego mężczyzny albo wątrobę żywej kobiety dostajesz na targowisku pięciokroć wyższą cenę. Może nawet dziesięciokroć. A co z dzieckiem, które właśnie przehandlowałeś z młodą wiedźmą?

– Czego chcesz?

– Szukam tego, który przychodzi do ciebie po serca. Serca kobiet. Czasem dajesz mu serce mężczyzny, bo myślisz, że się nie dowie. Wie.

– Jaką to sprawę masz do niego?

– Sprawę, co sprawą nie twoją.

– Sprzedaję złoty pył, rzemiosło dla nadrzecznych krain i owoce z Północy. Innych rzeczy nie sprzedaję.

– Wierzę ci. W Malangice się tym parasz, bo czynsz tutaj uznałeś za nienadmiernie uciążliwy. Czy co dziewięć nocy jest jedno serce czy dwa?

– Niech cię wyrucha dziesięć demonów.

– Dlaczego każda istota w Malangice życzy czegoś mojej dupie?

Usiadł z powrotem u szczytu stołu.

– Zostaw mnie, abym mógł pogrzebać żonę i dziecko.

Stanąłem obok niego.

– Znasz tego, o którym mówię – powiedziałem. – Wiesz, że to nie człowiek. Skóra biała jak kaolin, tak samo jak peleryna z czarnym obszyciem. Gdy zobaczyłeś go jednego razu, pomyślałeś: nie do wiary, jego płaszcz wygląda jak pióra. Wydał ci się piękny. Oni wszyscy piękni. Mów, gdzie mieszka.

– Powiadam, idź stąd i…

Docisnąłem jego dłoń do stołu i odrąbałem mu palce. Zawył. Łzy potokami puściły się po policzkach. Chwyciłem go za szyję.

– Zrozum jedno, mały człowieku. Nosisz w sobie strach, wiem o tym. I powinieneś się bać ptaka-błyskawicy. To potwór wielkiej niedoli i przyjdzie po twoje serce albo zmieni cię w coś, co już nigdy spokoju nie zazna. – Wyprostowałem się i podciągnąłem go na nogi, aby nasze oczy się spotkały. – Wiedz jedno. Odrąbię ci palce, ramiona, nogi, stopy, kawałek po kawałku, aż nie zostaną ci palce, ramiona, nogi ani stopy. Wtedy natnę czaszkę dokoła i zerwę ci skalp. Wtedy pokroję kutasa na cienkie paski, by wyglądał jak spódniczka z trawy. Wtedy podejdę tam, wezmę pochodnię i przypalę każdą ranę, byś wyżył. Wtedy podpalę twoją żonę z drzewa i syna z pnączy, żeby nigdy więcej nie odrośli. A to będzie tylko początek. Rozumiesz, mały człowieku? Pobawimy się zatem inaczej?

– Ja… ja… ja nigdy żywych nie tykam, nigdy, nigdy, tylko martwych.

Chwyciłem go za dłoń z krwawiącymi kikutami.

– Ulica ślepych szakali! – krzyknął. – Ulica ślepych szakali. Tam, gdzie tunele opadają i wszelkie dziwa żyją w gruzach. Na zachód stąd.

– Jakieś zaklęcia po drodze jak ten dół, do którego chciałeś mnie strącić?

– Nie.

– Pewien czarownik powiedział mi, że żaden człowiek nie potrzebuje środkowego palca prawej dłoni.

– Nie! – krzyknął. Ciągle wybekiwał słowa. – Nie, nie ma zaklęć na tej ulicy, zaklęć mego rzemiosła. Czemu miałyby być potrzebne? Żaden człowiek nie chodzi tamtędy, chyba że postanowił postradać życie. Nawet wiedźma, nawet upiór psa. Nawet pamięć tam nie mieszka.

– A więc tam go znajdę i…

Pobyt w tym pokoju i poprzednim oswoił wszystkie wonie. Ale gdy zamierzałem ruszyć do wyjścia, nowy zapach owionął mi nos. Jak zawsze,

nie wiedziałem, co to jest, wiedziałem tylko, że inne. Smród, woń żywego. Puściłem kupca i podszedłem do ściany po lewej, stopą odgarnąłem flasze ze świeczkami płonącymi w szyjkach. Kupiec powiedział, że tam sama ściana, a gdy się odwróciłem, zbierał akurat odrąbane palce w dłoń. Przy ścianie smród był silniejszy. Szczyny, świeże, woń tejże chwili. W środku powąchałem znane, szkodliwe minerały, łagodne trucizny. Szepnąłem do ściany.

– Z samej ziemi, z niczego innego wykuty ten dom – zapewniał kupiec. – Z samej ziemi, powtarzam.

Płomień błysnął na szczycie ściany, rozdwoił się, zbiegł licem i połączył u dołu. Rozjaśnił się prostokąt, który odsłonił pomieszczenie i zniknął. Duże jak to, w którym przebywaliśmy, z pięcioma lampami zawieszonymi na ścianach. Na podłodze cztery maty. Na matach cztery ciała, jedno bez rąk i nóg, drugie rozcięte od szyi do członka, z wystającymi żebrami, jedno o całej postaci, ale nieruchome, ostatnie z otwartymi oczami, dłonie i stopy związane sznurem, krzyż namalowany kaolinem na sercu. Chłopiec. Posikał się na swój brzuch i pierś.

– Oni chorzy. Chcesz znaleźć lekarkę w Malangice, to spróbuj.

– Ty ich ćwiartujesz.

– Nieprawda! Ja…

– Kupcze, kwilisz do bogów, krzyczysz i piszczysz jak kapłanka z palcem we własnej cipie, a przecież na drzwiach twego domu wisi pęknięta miska do ifa. Bogowie nie tylko odeszli, ale na dodatek nie pragniesz ich powrotu.

– Obłęd! Może…

Topór chlasnął go w szyję, krew bluznęła na ścianę, głowa odpadła, zawisła na strzępie skóry. Runął na plecy.

– *Zabiłeś dzieci* – powiedział głos, który znałem.

– Błaganie nie powstrzyma śmierci, jeśli postanowione zadać śmierć – odrzekłem.

Ulicą ślepych szakali nie podążało nic prócz bojaźni, by nią podążać. Dwa duchy nadbiegły z wrzaskiem w poszukiwaniu swoich ciał, ale we mnie nic już nie budziło lęku. Bo we mnie nic już się nie budziło, nawet smutek. Nawet obojętność. Duchy przemknęły przeze mnie i zadygotały. Spojrzały, wrzasnęły i przepadły. Słusznie wrzasnęły. Zabiłbym nawet umarłego.

Wejście było tak małe, że musiałem się wczołgać do środka i dalej, aż w końcu znalazłem się w swobodnej przestrzeni, wysokiej jak przedtem, lecz wszędzie dokoła kurz, cegły, popękane ściany, połamane drewno, gnijące mięso, wyschnięte gówno. Wykuto w tym wszystkim siedzisko podobne do tronu. Tam właśnie spoczął, rozparty, wpatrzony w dwie smugi światła, które padały na jego nogi i oblicze. Białe skrzydła, czarne u brzegów, rozłożone, zwieszone leniwie, oczy rozchylone lekko. Mały piorun zeskoczył mu z piersi i zniknął. Ipundulu, ptak-błyskawica, wyglądał, jakby obojętne było mu bycie Ipundulu. Zrobiłem krok do przodu i poczułem kruchość pod stopą. Zrzucona skóra.

– Witaj, Nyka – powiedziałem.

24

Nyka, jesteś ostatnim ze swego pokroju. Tym, którego Ipundulu wolał odmienić, niż zabić. Taki honor zastrzeżony tylko dla tych, których zniewala, i tych, których wyruchał. Do których należysz?

– Ipundulu może być tylko mężczyzną. Żadna kobieta nie może być Ipundulu.

– Nie o to cię spytałem.

– Ostatni mężczyzna, którego ukąsił, ale nie zabił, ten staje się nowym Ipundulu, chyba że na przeszkodzie stanie jego matka wiedźma, ale matki on nie ma.

– To wiem – odrzekłem. – Odpowiedzi unikasz mało zręcznie i mało przebiegle.

– Zgwałciłby i zabił moją kobietę. Trzymał ją za szyję, szpon już wbił w pierś. Powiedziałem, żeby mnie wziął zamiast niej. Żeby wziął mnie.

Odwrócił oczy.

– Nyka, którego znam, sam by go nakarmił kęsami swojej kobiety – rzekłem.

– Nyka, którego znasz. Nie znam tego Nyki. I ciebie też nie znam.

– Jestem…

– Tropiciel. Tak, imię twoje znam. Nawet czarownicy i demony znają. Szepczą: uważaj na tego Tropiciela. Zmienił się z czerwieni w czerń. Wiesz, o czym mówią? Wszędzie wokół ciebie tarapaty. Patrzę na ciebie i widzę istotę ciemniejszą ode mnie.

– Wszyscy ludzie są ciemniejsi od ciebie.

– I śmierć widzę.

– Jakże przenikliwym myślicielem się stałeś, teraz, gdy żywisz się sercami kobiet.

Roześmiał się i spojrzał na mnie, jakby dopiero zobaczył. I znów się zaśmiał, tym razem rechotem szaleńców albo takiego, który widział wszelkie szaleństwo na całym świecie.

– A jednak w tej komnacie to ja jestem istotą z sercem – rzekł.

Jego słowa mnie nie dotknęły, jednak od razu pomyślałem o sobie dawnym, którego dotknąć by zdołały. Spytałem Nykę, jakim sposobem stał się taki, i oto co mi powiedział.

Że on i Nsaka Ne Vampi odeszli, ale nie z mego powodu, bo ze mną by sobie poradził, jako że tak gwałtowna nienawiść może istnieć tylko tam, gdzie pod spodem wciąż bije gwałtowna miłość. Odeszli, bo nie ufał kobiecie-rybie i gardził Wiedźmą Księżyca, która to nakazała swoim siostrom przepędzić Nsakę Ne Vampi ze straży przy siostrze Króla.

– Widziałeś kiedy busolę, Tropicielu? – spytał. – Ludzie ze wschodniego światła posługują się takimi, niektóre duże jak stołek, inne małe, że znikną w kieszeni. Biegła, kobieta-błyskawica, biegła do naprężenia sznura, a potem szarpało nią wstecz tak mocno, że kark zaraz by pękł. Więc Nsaka trafiła ją zatrutą strzałą, która nie przyniosła śmierci, tylko spowolnienie ruchów. Oto co się nam przydarzyło. Kobieta-błyskawica brnęła na uwięzi na północny zachód, ruszyliśmy więc na północny zachód. Natrafiliśmy na chatę. Czy nie tak zaczynają się wszystkie opowieści o strachu, że wędrowcy docierają do domu, w którym nikt nie mieszka? Będąc tym, kim jestem, nadbiegłem i kopnięciem obaliłem drzwi. Najpierw zobaczyłem dziecko. W drugiej kolejności piorun światła, co trafił mnie w pierś i przepalił każdą dziurę w mojej skórze, aż wyleciałem z chaty. Nsaka przesko-

czyła nade mną i wypuściła dwie strzały do środka, z których jedna trafiła tego czerwonego z trawą zamiast włosów. Inny doskoczył z boku i chwycił jej łuk, ale kopnęła go w jądra i padł, zawodząc. Ale ten, co był robakiem, cały z much zrobiony, ten, co był robakiem, rojem much, otoczył ją i kąsał przez szatę, na moich oczach, wbijały się jej w plecy, jakby wracały do domu i och, jak strasznie moja Nsaka krzyczała i padła na plecy, żeby się ratować, bo gryzły, kąsały, piły z niej krew, a ja zerwałem się na nogi, ale Ipundulu znów uderzył błyskawicą, lecz trafiła ją, nie mnie, a grzmot przeszył ją ogniem, który dosięgnął też tego, co był robakiem, i on wrzasnął i zapłonął, i ściągnął wszystkie muchy z powrotem do swej postaci. Robak wbiegł do chaty i natarł na ptaka, walczyli, obalając jeden drugiego, a mały chłopiec patrzył. Ipundulu zmienił się w pełnego ptaka. I odegnał robaka i rzucił w niego błyskawicą, a tamten odleciał na bok. Usłyszałem nadciąganie innych i wbiegłem do środka, gdy Ipundulu akurat patrzył za swoim sługą robakiem, i wbiłem miecz wprost w jego grzbiet, robiąc unik, gdy odwinął się skrzydłem. Roześmiał się, dasz wiarę? Wyciągnął swój miecz i walczył nim przeciw mnie. Dobyłem miecz Nsaki, w samą porę, aby sparować sztych, zamachnąłem się, chcąc łeb mu odrąbać, ale wtedy odbił mój cios. Przykucnąłem i ciąłem w jego nogi, lecz podskoczył, zatrzepotał skrzydłami i łbem przebił dach. Sfrunął zaraz, rzucając we mnie grudami błota, trafiając w czoło, aż padłem na jedno kolano. I już mnie dopadł, ale chwyciłem stołek, zablokowałem atak, wyrwałem się spodem i dźgnąłem go w bok. Zachwiał się od tego. Cofnąłem się i wycelowałem wprost w serce, sparował i kopnął mnie w tułów, aż się potoczyłem i zaryłem twarzą w podłogę, nie mogąc się już ruszyć, i wtedy powiedział: ty, więcej się po tobie spodziewałem animuszu. Odwrócił się tyłem i wtedy chwyciłem za nóż – czy pamiętasz, jak biegły ze mnie nożownik, Tropicielu? Czy to nie ja cię uczyłem tej sztuki? Kobieta-błyskawica podbiegła do niego z boku

i wtedy pieszczotami okrył jej głowę, a ona, zaiste, mruczała i kuliła się pod jego dotykiem jak kocica i nagle chwycił ją w obie ręce i skręcił jej kark. Wciąż na klęczkach, wyciągnąłem dwa noże i tego, tego nigdy nie zapomnę, Tropicielu. Chłopiec krzyknął do niego. Nie żadne słowa, ale go ostrzegł. Żeby powiedzieć prawdę, to pamiętam tylko błyskawicę, nic poza tym.

Obudziłem się i zobaczyłem dwa diabły trawiastogrzywe. Zerwały szaty z Nsaki, rozsunęły jej nogi, a Ipundulu już był twardy. Nie wiem, dlaczego w ogóle słuchał, gdy błagałem go, aby w zamian to mnie sponiewierał. Może wydawałem mu się piękniejszy. Sił mi zabrakło, jak mnie dopadli. Jakże on mnie dosiadł, Tropicielu – ani kropli wilgoci, choćby splunięcia, tylko wdzierał się we mnie, aż się rozpadłem i zacząłem krwawić i, słuchajże, użył mej krwi, aby łatwiej się wcisnąć. Gryzł mnie, aż pochłeptał krwi, i pił, i pił, i tamci też popili, a potem pocałował ranę w mojej szyi i błyskawica wyszła z niego wprost do rzek mojego krwiobiegu. Kazali jej patrzeć na to wszystko. Chłopcu kazać nie musieli.

Czułeś kiedy, jak ogień wypala cię od środka? Potem wszystko było białe i puste jak pod słońcem u samego zenitu. Po prawdzie dalej nic nie pamiętam, aż do chwili, gdy obudziłem się jako Ipundulu w Kongorze. Coś mnie dobiegło jak gryzienie szczurów i szczęk luźnych kajdan. Spojrzałem na swoje ręce i zobaczyłem biel, spojrzałem na nogi i zobaczyłem ptaka, i plecy swędziały mnie i swędziały, aż dojrzałem, że siedzę na skrzydłach. A moja Nsaka. Och, najdrożsi bogowie, moja Nsaka. Była tam ze mną, może widziała, gdy się przepoczwarzałem. Tak niegodziwe są postępki bogów. Jakże musiała mnie kochać, skoro… skoro… bez walki… Najdrożsi niegodziwi bogowie. Gdy sobie przypomniałem, że jestem Nyka, zobaczyłem ją na podłodze, ze skręconą szyją i wielką skrwawioną dziurą w piersi. Najdrożsi niegodziwi, niegodziwi bogowie. Myślę o niej każdego dnia, Tro-

picielu. Przyczyniłem się do śmierci tak wielu istot. Wielu istot. Ale jakże znękane jest moje serce z powodu tej jednej.

– W rzeczy samej.

– Zabiłem swoją…

– Jedyną.

– Skąd wie…

– Dzisiejszej nocy to częste słowa.

– Nie mam serca do zabijania – powiedział.

Podsunął stopy do piersi i objął się ramionami. Klasnąłem w dłonie. Podczas jego opowieści usiadłem na podłodze, teraz jednak podniosłem się i klasnąłem.

– Nie masz i dlatego innych nasyłasz, aby zabijali dla ciebie – odparłem. – Zapominasz, co mnie do ciebie doprowadziło. Zaoszczędź wynurzenia swej duszy dla następnej nieszczęsnej dziewczynki, której serce wyszarpiesz z piersi. Ipundulu, wciąż jesteś mordercą i tchórzem. I kłamcą.

Grymas powrócił na przystojną twarz.

– Hmm. Gdybyś przyszedł mnie zabić, już dawno rzuciłbyś tą pochodnią. Czego sobie życzysz?

– Czy był z nim jeden o nietoperzych skrzydłach?

– Nietoperzych skrzydłach?

– Jak u nietoperza. Stopy takie same jak ręce, z żelaznymi szponami. Ogromnymi.

– Nie, takiego nie było. Prawdę mówię.

– Wiem. Gdyby był wśród nich, nie pozwoliłby ci przeżyć.

– Czego chcesz, stary przyjacielu? Bo my starzy przyjaciele, czyż nie?

– Tego stwora z nietoperzymi skrzydłami ludzie zwą Sasabonsam. Tego chłopca, o którym mówisz, zwróciliśmy matce pięć lat temu. Lecz Sasabonsam i dziecko znów są razem.

– Skradł dziecko.

– Tak utrzymuje jego matka.

– A ty nie.

– A ty właśnie wyjaśniłeś, dlaczego mam słuszność.

– W rzeczy samej. Chłopiec był nieswój. Myślałem, że spróbuje uciec do tych, którzy przybyli go ocalić.

– A ostrzegł tych, którzy go uprowadzili. Nie przypomina chłopców w tym wieku.

– To było pompatyczne, Tropicielu. Niepodobne do ciebie.

– Skąd wiesz, jaki jestem, skoro twierdzisz, że zapomniałeś? – Podszedłem do jego marnego tronu i usiadłem blisko twarzą w twarz. – Gdzie ty nie mogłeś, tam myśmy poradzili i ocalili dziecko. Ale nawet my wszyscy mogliśmy tylko zranić Sasabonsama, nie mogliśmy powstrzymać. Z tym chłopcem stało się coś dziwnego. Woń dawał silną, a zaraz potem znikała, jakby uciekał przed nami z wyprzedzeniem setek dni, wreszcie czułem go pod samym nosem. Oto historia dla ciebie. Ruszyliśmy ich tropem do Dolingo. Gdy ich odnalazłem, przyłapałem Ipundulu na tym, że zepchnął chłopca z piersi. Ten mały, on ssał mu sutek. Uwierzysz, co pomyślałem? Pomyślałem o chłopczyku i jego matce, o chłopczyku, który nie przestał tęsknić za matczynym mlekiem. Tyle że ta matka nie miała koo. A potem pomyślałem, co to za niegodziwa sprawa, jakże wstrętna, że on gwałcił chłopca tak długo, aż nieszczęśnik uznał to za naturalny porządek rzeczy. I wtedy zobaczyłem to takie, jakie było. Nie gwałt. Krew wampirza. Jego opium.

– Są takie kobiety i tacy chłopcy, co przychodzą do mnie, jakbym był ich opium. Niektórzy biegli od tak dawna i tak długo, że nie mają stóp. Ale żaden nie odnalazł mnie w Malangice. On pragnie tego mocniej niż objęć własnej matki.

– Sasabonsam poszedł po niego do Mueru.

– Żaden człowiek nie opuści Mueru. Po co więc ktokolwiek by się tam zapuszczał?

– Przecież to nie człowiek. Nieważne. Podejrzewam, że chłopiec poszedł z własnej woli.

– Może Sasabonsam ofiarował mu więcej niż zabawki i cycek. – Nyka się roześmiał. – Pamiętam cię, Tropicielu. Ciągle kłamiesz półprawdami. Zatem głupie dziecię, które odnaleźliście, zostało znowu uprowadzone przez demona ze skrzydłami nietoperza. Nikt nie powierzył ci odnalezienia go. Nikt ci nie płaci. I słońce pozostanie słońcem, a księżyc księżycem bez względu na to, czy wytropisz chłopca, czy nie.

– Wcześniej mówiłeś, że mnie nie znasz.

– On nic dla ciebie nie znaczy. Tak samo ten człowiek-nietoperz.

– Odebrał mi coś.

– Kto? A czy ty odbierzesz jemu?

– Nie. Zabiję go. I wszystkich takich jak on. I wszystkich, co mu pomagają. I wszystkich, co mu pomogli. I wszystkich, którzy staną na drodze między nim a mną. Nawet tego chłopca.

– To ciągle pachnie grą. Chcesz, abym pomógł ci go odnaleźć.

– Nie. Chcę pomóc jemu odnaleźć ciebie.

Wróciłem po niemowlę, po czym we trzech odeszliśmy z Malangiki. Wyruszyliśmy na górę, podążając korytarzem na końcu ulicy ślepych szakali. Na ziemi nie było więcej wojny niż przed moim zejściem. Ipundulu nie zabrał nic, owinął tylko mocno ciało skrzydłami, aż wyglądał jak dziwny wielmoża, bóg niższego rzędu noszący grubą agbadę. O tej godzinie słońce już schodziło, rozpalając niebo na pomarańczowo, ale wszystko inne spowił mrok.

– Chciałbyś, abym wziął dziecko, które ze sobą niesiesz? – spytał Ipundulu.

– Dotknij go, a rzucę ci tę pochodnię w twarz.

– Pomóc tylko chciałem, tylko pomóc.

– Uważaj, by ci od tego chcenia ślepia nie wylazły z czaszki.

Korytarz wychodził na małą osadę i tam zostawiłem niemowlę z bukłakiem pełnym mleka na progu domu znanej akuszerki. Dalej, na północ od Krwawych Bagien, znajdowały się dzikie ziemie. Pomaszerowałem tam, ale Nyka stał w bezruchu.

– Poza Malangiką chłopiec cię wyczuje i zaraz nadciągnie – powiedziałem.

– Tak jak każda kobieta-błyskawica i zniewoleni krwią – odparł. Żałował, że nie jest tym, którego zachwyca takie oddanie, ale to nie jemu byli oddani. – Są omotani tylko smakiem mojej krwi. Po prawdzie myślałem, że więcej was będzie czekać na górze. Spodziewałem się olbrzyma. Może Wiedźmy Księżyca. Najpewniej Lamparta. Gdzie on?

– Ja nie jego stróż – odparłem.

– Ale gdzie jest? Masz w sobie mnóstwo miłości do tego kota. Czy możliwe, że nie wiesz, gdzie się podziewa?

– Nie.

– Nie mówicie ze sobą?

– Matką czy babką moją jesteś?

– Nigdy nie zadano prostszego pytania.

– Jak chcesz się dowiedzieć o Lamparcie, idź zapytać Lamparta.

– Czy serce ci nie urośnie, jak zobaczysz go następnym razem?

– Zabiję go, jak zobaczę następnym razem.

– Pierdolić bogów, Tropicielu. Czy ty zamierzasz wszystkich pozabijać?

– Wymorduję świat.

– Ogromne zadanie. Większe niż upolować słonia albo bawołu.

– Tęsknisz za byciem człowiekiem?

– Czy tęsknię za ciepłą krwią krążącą we mnie i skórą barwy innej niż wszelka niegodziwość? Nie, dobry Tropicielu. Budzę się, dziękując bogom, że jestem teraz demonem. Gdybym tylko mógł zasnąć.

– Gdy w tej chwili na ciebie patrzę, wydaje mi się, że dla kogoś takiego jak ty, o takiej powłoce, była to jedyna przyszłość. Jak myślisz, czym chłopiec się karmił przez te wszystkie lata, jeśli nie twoją krwią?

– Krew jest jego opium albo lekiem. Nie pożywieniem.

– Będzie cię szukał, skoro wyszedłeś na powierzchnię.

– A jeśli jest o rok stąd?

– Ma skrzydła.

– Dlaczego twój nos go nie czuje?

Szliśmy obok dogasających promieni słońca, co oznaczało kierunek północy. Mrok miał nas dopaść, zanim dotarlibyśmy nad Krwawe Bagna.

– Dlaczego nie czuje?

– Kierujemy się na północ. Inaczej niż Ipundulu… niż ty… dawny ty, Sasabonsam nienawidzi miast i osad, nigdy nie zatrzyma się w żadnym. Nie potrafiłby ukryć swojej postaci, tak jak potrafi Ipun… jak ty potrafisz. Woli ukryć się przy szlaku wędrowców i chwytać jednego po drugim. Z bratem. Zanim zabiłem jego brata. To Lampart zabił jego brata. To Lampart zabił, ale Sasabonsam wyczuł na nim moją woń, myśli więc, że to ja.

– Jak Lampart go zabił?

– Tak, żeby mnie ocalić.

– To dlaczego go winisz?

– Winię go za coś innego.

– Za co w takim…

– Zamilcz, Nyka.

– Twoje słowa…

– Pierdolę twoje myśli o moich słowach. Zawsze tak robisz, właśnie tak zawsze robisz. Pytasz i pytasz, żeby wiedzieć i wiedzieć. A gdy już dowiesz się o kimś wszystkiego, co wiedzieć można, używasz tej wiedzy, żeby go zdradzić. Powstrzymać się od tego nie możesz, bo taka twoja natura, tak jak naturą krokodyla jest pożerać swoje młode.

– Gdzie olbrzym?

– Nie żyje. I nie był olbrzymem, był ogo.

Dotarliśmy na skraj Krwawych Bagien. Słyszałem o potwornych formach życia na tych mokradłach, owadach wielkości kruków, wężach grubszych od pni drzew, roślinach spragnionych mięsa, krwi i kości. Nawet gorąco przybierało kształt, jak szalona nimfa grasująca, aby truć. Żadne zwierzę się jednak do nas nie zbliżyło, wyczuwszy dwie istoty jeszcze gorsze. Nawet gdy woda bagienna sięgnęła nam do pasa. Brnęliśmy dalej, aż opadła na wysokość kolan, potem do kostek, i wreszcie stanęliśmy w błocie i ostrej trawie. Wszędzie dokoła grube pnącza i poskręcane cienkie pnie, tworzące ścianę gęstą jak w chacie u Gangatom.

Woń doszła do mnie, zanim my doszliśmy na miejsce. Otwarta sawanna prawie bez drzew, z niską trawą i smrodem śmierci. Smrodem niedawnej śmierci, bo to, co gniło, zaczęło gnić siedem dni wcześniej. Najpierw nadepnąłem, dopiero potem zobaczyłem. Ustąpiło pod naciskiem mojej stopy. Ramię. Dwa kroki dalej hełm, a w nim głowa. Kolejnych może dziesięć kroków sępy trzepoczące skrzydłami wyrywały na wierzch wnętrzności, a nad nimi stado takich samych, objedzonych truchłem, odlatywało po niebie. Pole bitewne. To, co pozostało po wojnie. Podniosłem oczy i zobaczyłem ptaki wszędzie, jak okiem sięgnąć, kołowały nad trupami, sfruwały po więcej, żeby oderwać mięso z ludzi spieczonych w metalowych pancerzach, ludzi tak napuchłych, że bulgotało, głowy wyglądające, jakby ciała

zakopano po szyję, z oczami dawno wydziobanymi przez ścierwojady. Za dużo ich, aby wywąchać jednego. Szedłem dalej, wypatrując barw Północy lub Południa. Przed nami drzewca włóczni i miecze były jedynym, co stało. Nyka też się rozglądał, podążając za mną.

– Myślisz, że jaki żołnierz siłą woli utrzymał się przy życiu przez osiem dni, żebyś mógł wyrwać mu serce? – spytałem.

Zmilczał. Posuwaliśmy się dalej, aż na sawannie zabrakło trupów i odrąbanych kończyn i ptaki znalazły się z tyłu. Niedługo potem skończyły się także drzewa i stanęliśmy na skraju Ikoszy, solnisk ciągnących się dwa i pół dnia jazdy. Nic, tylko ziemia spękana jak wyschnięte błoto, srebro niby księżyc. Nadszedł ku nam, jakby wyłonił się z powietrza. Nyka rozpostarł i zaraz stulił skrzydła, bo zobaczył, że zachowałem spokój.

– Tropicielu, przypominam ci, że twój to był pomysł, by mnie zabrać.

– Nie mój.

– To ode mnie ten pomysł – odrzekł trzeci, podchodząc bliżej.

Powiedział to tak, jak oczekiwałem. Polowaliśmy razem od dwóch księżyców i dziewięciu dni. Popatrzył na nas z rękami na biodrach, jak matka przed zruganiem dziecka.

Aesi.

Uderzeniem błyskawicy Nyka rozpalił trochę suchych gałęzi. Odskoczył, bo ogień szybko wystrzelił w górę. Wróciłem z głębi bagien z młodym guźcem. Tułów rozkroiłem, żeby nadziać na ruszt, serce wyciąłem i rzuciłem Nyce. Niemiło było mu hańbić się o tej porze. Niemiło było mu pożreć je na oczach moich i Aesiego, a żaden z nas odwrócić się nie chciał. Syknął, usiadł na ziemi i wbił zęby. Krew buchnęła na usta i nos.

Patrzyłem na nich obu, tych, których dawniej pragnąłem zabić i którzy mieli skrzydła – jeden białe, drugi czarne. Gdzie podział się ten dawny ja,

zastanawiałem się, ja, który wyciągnąłby topory, aby zarąbać ich na miejscu.

– Niebezpiecznie zapuszczać się na Południe – przemówił Aesi. – Wrogie terytorium w środku wojny. Wszystkie twoje zamierzenia równie szalone?

– Nie musiałeś przychodzić – odrzekłem.

– A jakie jest jego zamierzenie? – spytał Nyka cały czerwony wokół ust.

Odciąłem kawałki z guźca i chciałem podać im obu. Pokręcili głowami. Nyka burknął, że smak spieczonego mięsa jest mu teraz wstrętny, przez co pomyślałem o Lamparcie, a nie chciałem o nim myśleć.

– Szukać chłopca i jego potwora – udzielił odpowiedzi Aesi.

– Tyle to już mi zdradził – odparł Nyka.

– Ja szukam chłopca. On szuka potwora – wyjaśnił Aesi. – Potwór napadł na karawanę na północ stąd i jeden człowiek mówił, że wtedy stopami rozerwał krowę na dwoje, po czym odfrunął z obiema połowami. Chłopiec siedział mu na ramieniu, jak dziecko u ojca. Odlecieli do lasów deszczowych między tu a Czerwonym Jeziorem.

– Nie służysz już u Króla Północy? Pamięć czasem przychodzi, więcej razy umyka, a jednak wiem, że dawniej staraliśmy się znaleźć i ocalić chłopca przed tobą. A teraz obaj szukacie go, by zabić?

– Życie się zmienia – odrzekłem, zanim Aesi zdążył otworzyć usta i ugryźć kawał guźca. Wpatrywałem się w niego.

– Przecież go ocalili – odparł. – Czy nie tak, Tropicielu? Ocalili chłopca przed tą gromadą niewydarzeńców i odstawili go z matką do Mueru. Trzy lata później ty… Mam opowiedzieć?

– Nie jestem panem niczyich ust – mruknąłem.

Aesi się roześmiał. Owinął się swoją czarną szatą i usiadł na kopczyku z suchych gałęzi i mchu.

– Pamiętasz, Tropicielu, jak się przede mną kryłeś? Kryłeś, kryłeś, w wyśnionej dżungli. Dlatego dopadłem ogo. Biedak. Siłacz, ale prostak.

– Nie mów o nim.

Skinął głową.

– Wybacz. – Potem zwrócił się do Nyki: – Tropiciel wiedział, że nie może zasnąć, bo grasowałem po wyśnionej dżungli, szukałem go. Ale wiele lat później, czy powinniśmy je zliczyć, odnalazł mnie pewnej nocy. Chłopiec, jego ci oddam, jeśli pomożesz mi znaleźć tego, którego szukam, tak powiedział, zanim jeszcze powiedział: pokój z tobą. I jeśli pomożesz mi go zabić. Dziwne, tak sobie wtedy pomyślałem, że sen Tropiciela nadszedł z Mueru.

– Żaden człowiek nie opuści Mueru – rzekł Nyka.

– Ale chłopiec może – odparł Aesi. – Przepowiednie mówią, że chłopiec pochodzący z tych ziem będzie czarną chmurą nad Królem. Ale kto ma czas na przepowiednie?

– Kto ma czas na cokolwiek z tego wszystkiego? – odrzekłem, odkroiłem dwa kawały mięsa i zawinąłem je w liść. – Sasabonsam napadł karawanę zdążającą na północ. My też powinniśmy ruszyć na północ, szlakiem Bakanga, i przestać opowiadać niestworzone rzeczy przy pierdolonym ognisku, jakbyśmy byli podrostkami.

– Sasabonsam nie wędrowiec, Tropicielu. On ciągnie do lasów deszczowych. Założy tam swoją…

– Idziemy razem, więc jak to jest, że twoje nowiny zawsze inne od moich? Wybierze szlak, żeby zabić głupca, który nim podąża. Skrzydlaty nie jest taki jak jego brat. Nie czeka, żeby pożywienie do niego przyszło, lecz sam szuka. Pójdzie tam, gdzie widzi idących ludzi, pójdzie tam, gdzie nie mają ochrony.

– Jest w drodze do lasów.

– Z obu was głupcy – wtrącił Nyka. – Opowiadacie dwie części tej samej historii. Wyruszy z chłopcem do lasów. Ale po drodze będzie się żywił zebranymi trupami.

– Aesi zapomniał ci powiedzieć, że nie tylko my szukamy chłopca – rzekłem. – Nikomu z nas nie brak spoczynku, zatem wyruszamy.

– Gdzie jest północ, Tropicielu?

– Po drugiej stronie mojej dupy oblazłej przez muchy.

– Noc ma już cię dosyć – odparł Aesi.

– Szkoda, że noc nie…

– Starczy.

Gdy idzie o wojnę, to monsun jest prawdziwym nieprzyjacielem – powiedział Aesi.

Światło słoneczne tańczyło wśród sękatych konarów, raniąc oczy. Zacisnąłem i potarłem powieki, aż zaswędziały.

– Nasz Król chce zakończyć wojnę przed nadejściem deszczów. Pora deszczowa przynosi powódź, przynosi choroby. Król potrzebuje zwycięstwa, i to szybko.

– To nie mój król – odrzekł Nyka.

Usiadłem prosto i usłyszałem szum rzeki. Zapewne zaciągnęli mnie na skraj solnisk, bo gdy się przekręciłem na bok, ujrzałem otwarty step. Trawa, wysoka i żółta, czekała z wytęsknieniem na porę deszczową, o której mówił Aesi. Rozkołysane i podrygujące łby żyraf w oddali, objadających wysokie drzewa z liści. Szelest w zaroślach, perlice, koty i lisy. Nad głowami stado cietrzewi zwołujących rodzinę nad wodę. Wyczułem woń lwa i bydła, i gazelego gówna. Otarłem się łydką o coś twardego, co mnie zacięło.

– Obsydian – rzekłem. – Nie ma obsydianu na tych ziemiach.

– Zapewne zostawił go człowiek idący przed tobą. A może myślisz, że jesteś tu pierwszy?

– Coście mi zrobili?

Aesi odwrócił się do mnie.

– Twój umysł płonął cały. Wypaliłbyś się.

– Zrób tak jeszcze raz, a cię zabiję.

– Możesz spróbować. Pamiętasz, wiele księżyców wstecz pewnego razu w Kongorze, kiedy ścigałem cię w ulicy targowej? Wszystkie umysły tam były moje prócz twojego i… tego… twojego…

– Pamiętam.

– Twój umysł był zamknięty dla mnie za przyczyną sangomy. Poczułeś to, prawda? Jej zaklęcie cię opuszcza. Utraciłeś tę moc, kiedy odszedłeś z Mueru.

– Wciąż umiem otwierać drzwi.

– Są drzwi i drzwi.

– Od tamtej pory stanąłem przeciw mieczom.

– Boś kozioł szukający rzeźnika.

– Dlaczego nie opętałeś Mossiego?

– Dla zabawy. Lecz poprzedniej nocy musiałeś najpierw ostygnąć, dopiero potem przestał być z ciebie użytek.

Po prawdzie czułem ból w każdym mięśniu, w każdym stawie. A wcześniejszej nocy nie czułem żadnego bólu, kiedy gniew krążył w mojej krwi. Teraz nawet od przyklęku łupało mnie w kościach.

– Lecz masz słuszność, Tropicielu. Tracimy czas. Bo mam tylko siedem dni dla ciebie, potem muszę ocalić Króla przed nim samym.

Szlak Bakanga. Nie droga, nawet nie ścieżka, tylko ślady odciśnięte przez wóz i konia, i stopę na tyle, że trawa przestała rosnąć. Po obu

stronach las świszczących cierni, wydających upiorną muzykę, rozkołysanych pni o gałęziach cieńszych niż moje ramię. Trawiasty szlak zmienił się w gołą ziemię, spękane błoto i kamienie, sięgając widnokręgu i dalej. Po obu stronach żółta trawa z połaciami zieleni i małe drzewa okrągłe jak księżyc, wyższe drzewa z szeroko rozrastającymi się liśćmi i płaskimi wierzchołkami. Usłyszałem, jak Nyka mówi, że największy i najgrubszy z bogów siedział na nich zbyt długo, dlatego wszystko spłaszczone. Odwróciłem się i spojrzałem do tyłu, zobaczyłem, że rozmawia z Aesim, i uświadomiłem sobie, że nic takiego nie powiedział. Przypomniałem go sobie z innego czasu. Na szlaku niekiedy bywało głośno i rojno od zwierząt, ale teraz żadne się nie poruszało. Żadna żyrafa w pobliżu trzęsawiska, żadna zebra, antylopa, żaden lew nie polował na zebrę ni antylopę. Żadnego dudnienia słoni. Ani choćby ostrzegawczego syku żmii.

– Tutaj nie ma zwierzyny – powiedziałem.

– Coś spłoszyło całą – dodał Aesi.

– A więc zgodni jesteśmy, że on nie człowiek.

Szliśmy.

– Widziałem go wcześniej takim – zwrócił się Nyka do Aesiego, mówiąc tylko do niego, choć chciał, abym usłyszał. – To najdziwniejsze ze wszystkiego, co pamiętam.

Nie doczekał się odpowiedzi, a milczenie zawsze brał za znak, by mówić dalej. Dołożył więc, że Tropiciel o nic nie dba i nie kocha nikogo, ale kiedy głęboko go skrzywdzono, jego cała tożsamość i tożsamość poza tożsamością łaknęły tylko zniszczenia.

– Raz widziałem go takim. Nawet nie widziałem, raczej słyszałem. Jego żądza zemsty była jak żywy ogień.

– Kim był ten, co wzbudził w nim taką żądzę? – spytał Aesi.

Znam Nykę. Wiem więc, że przystanął i spojrzał mu w oczy, gdy odpowiedział: ja. Zabrzmiało prawie, jakby był dumny. Ale w końcu nawet najnikczemniejszemu, co Nyka mówił i robił, towarzyszył ton, jakby chciał całować wiele i czule.

– Zabije tego Sasabonsama, tak go nazywacie? Zabije go tylko z zawziętości. Co ten potwór zrobił?

Czekał, aż Aesi wyjaśni, ale znowu odpowiedzią było milczenie. Słońce nas opuściło, wciąż jednak był dzień, a przynajmniej przedwieczór.

Na niebie gromadziły się chmury, szare i opasłe, choć do pory deszczowej pozostał cały jeden księżyc. Przed zapadnięciem głębokiego zmroku dotarliśmy do wioski plemienia, którego nie znał żaden z nas trzech. Płot po obu stronach szlaku wzniesiony z gałęzi poszytych razem, długi na trzysta kroków. Dziesięć i osiem chat, i jeszcze dwie, których nie dojrzałem w pierwszej chwili. Większość po lewej stronie szlaku, tylko pięć po prawej, ale takich samych. Chaty zbudowane z błota i gałęzi, z jednym oknem do wyglądania, czasem z dwoma. Gruba strzecha umocowana pnączami. Trzy domy były dwa razy wielkości pozostałych, reszta podobna do innych. Plemię stawiało chaty w skupiskach po pięć albo sześć. Przed wejściami do niektórych leżały porzucone tykwy i widać było świeże ślady stóp, do tego wątła smuga dymu po pośpiesznie zduszonym ogniu.

– Gdzie ludzie? – spytał Nyka.

– Może zobaczyli twoje skrzydła – rzucił Aesi.

– Albo twoje włosy.

– Chcielibyście zrobić przystanek w buszu, żeby wyruchać jeden drugiego? – spytałem.

Aesi rzucił kilka słów o tym, że zapomniałem, jaka jest moja ranga w naszej drużynie, i że jako doradca królów i wielmożów może mnie zostawić samego i powrócić do swoich powinności, poza tym nie zapominaj,

niewdzięczny wilku, że to ja wybawiłem cię z Mueru, bo żaden człowiek, który przybywa do Mueru, z Mueru nie odejdzie.

– Są tutaj – powiedziałem.

– Kto? – spytał Nyka.

– Ludzie. Nikt nie ucieka z domu, nie zabierając bydła.

Pośrodku jednego ze skupisk leżały rozleniwione krowy, a kozy skakały po pniakach i stertach drewna. Podszedłem do pierwszej chaty po lewej stronie i pchnąłem drzwi. W środku mrok i bezruch. Zajrzałem do drugiej, w której też było pusto. Wewnątrz trzeciej tylko maty i wyschnięta trawa na ziemi, gliniane dzbany z wodą i świeże krowie łajno na ścianie od wschodu, jeszcze wilgotne. Na dworze Nyka otworzył usta, by przemówić, ale podniosłem rękę i wszedłem z powrotem. Chwyciłem dużą matę i pociągnąłem. Małe dziewczynki krzyknęły wprost w matczyną dłoń zatykającą im usta. Na podłodze, wciśnięte w kobietę jak nienarodzone dzieci. Matka oczy miała mokre, jedna dziewczynka płakała, lecz nie było słychać szlochów, druga patrzyła groźnie wprost na mnie, w gniewie. Takie małe, a ta odważna już gotowa walczyć. Nie lękajcie się nas, powiedziałem w ośmiu językach, aż wreszcie matka usłyszała dość słów, aby wstać. Córeczka oderwała się od niej, podbiegła i kopnęła mnie w goleń. Inny ja odsunąłby ją i się roześmiał, pobawił się jej włosami, ale ten ja pozwolił jej kopać w goleń i łydkę, aż w końcu chwyciłem ją za włosy i odepchnąłem. Wpadła w objęcia matki.

Wychodzę, powiedziałem. Kobieta ruszyła za mną.

Aesi dał Nyce swój płaszcz. W wiosce słyszeli zapewne o Ipundulu, a może domyślił się, że przerazi ich każdy skrzydlaty człowiek. Coraz więcej ludzi wychodziło z chat. Starzec powiedział coś, co ledwo zrozumiałem, że tamten przybywa nocą. I że słyszeli o takich, co nadciągną szlakiem, wśród nich biały jak kaolin, dlatego się pochowali. Długo przesiedzieli

w ukryciu. Przerażenie, mówią najstarsi, nadchodziło w południe, teraz jednak nadchodzi nocą, tak powiedział ten sam mężczyzna. Wyglądał jak członek starszyzny, prawie jak Aesi, lecz był wyższy i dużo chudszy, miał kolczyki zrobione z paciorków i glinianą płytkę nosił na potylicy. Odważny człowiek o wielu zasługach, który teraz żył w strachu. Jego oczy dwoma szczelinkami w twarzy pełnej bruzd.

Podszedł do nas trzech i usiadł na stołku obok chaty. Reszta wieśniaków zbliżyła się powoli i z obawą, jakby najlżejszy ruch miał ich spłoszyć. Wszyscy już powyłazili ze swoich domów. Trochę mężczyzn, więcej kobiet, jeszcze więcej dzieci, mężczyźni o nagich torsach, z krótką tkaniną na biodrach, kobiety w skórach zwierzęcych pokrytych koralikami od szyi do kolana, z sutkami sterczącymi z obu stron, dzieci z paciorkami u pasa albo bez niczego. Widać to było zwłaszcza w kobietach i dzieciach, bezrozumność w oczach, wyczerpanie lękiem, z wyjątkiem małej dziewczynki z chaty, która wciąż patrzyła na mnie, jakby chciała mnie zabić, ale nie mogła.

Pojawiało się ich coraz więcej, ciągle się rozglądali, ciągle szli ostrożnie, ciągle mierzyli nas wzrokiem od głowy do stóp, nie widząc jednak w Nyce nikogo innego jak człowieka. Aesi przemówił do starca, potem do nas.

– Powiada, że zostawiają krowy samopas, a on przychodzi i bierze jedną, czasem kozę. Czasem pożera na miejscu i resztę oddaje sępom. Jednego razu był chłopiec, co się nigdy matki nie słuchał. Co się miał za mężczyznę, bo niedługo szedł w busz, wybiegł więc na dwór, bogowie tylko wiedzą, dlaczego to zrobił. Sasabonsam zabrał chłopca, ale zostawił jego lewą stopę. Za to dwie noce temu…

– Co dwie noce temu? – spytałem.

Aesi znowu pomówił ze starcem. Zrozumiałem trochę z tego, co tamten rzekł, wystarczyło, nim Aesi spojrzał na mnie.

– Wtedy obalił ścianę domu tam po drugiej stronie – wyjaśnił. – Wszedł i zabrał dwóch chłopców kobiecie, która krzyczała: ja tyle ich poroniłam, ci dwaj to jedyni, co bogowie mi dali, a Sasabonsam chciał ich zabrać, to mężczyźni, słabi już wcześniej, znaleźli trochę siły w rękach i nogach, wybiegli i obrzucili go kamieniami, aż trafili w głowę, więc próbował skrzydłami zasłaniać się przed kamieniami, ziemią i gównem i odfrunął, niosąc obydwu, ale nie mógł udźwignąć, więc jednego puścił.

– Spytaj, czy który z tych mężczyzn odpędził potwora – powiedziałem.

Aesi patrzył na mnie przez kilka mrugnięć okiem, bo nie lubił tego, że dziwnym zrządzeniem człowiek mówi mu, co ma robić.

Dwaj wystąpili do przodu, jeden z koralikami, drugi z pomalowaną na żółto glinianą osłoną na głowie.

– Cuchnął jak trup – powiedział ten z paciorkami. – Jak mocny smród zepsutego mięsa.

– Szczecina czarna jak u małpoluda, ale on nie małpolud. Skrzydła czarne jak u nietoperza, ale on nie nietoperz. Uszy od konia.

– Stopy u niego jak ręce i jak ręce chwytają, a wielkie jak głowa, i nadchodzi z nieba i do nieba wraca.

– Na tym szlaku wiele fruwających potworów – rzuciłem.

– Może przelatują nad Białym Jeziorem z Mrocznych Ziem – szepnął do mnie Nyka.

Najchętniej odpowiedziałbym mu, że człowiek musiałby iść w głąb ciemnej ulicy, gdzie niektórzy ruchają dziury w ścianie i wołają na nie siostro, aby usłyszeć równie głupie słowa.

– Królowa słońca odeszła do domu – rzekł ten z osłoną na głowie. – Królowa odeszła, jak on pierwszy raz przyszedł, dziesięć dni temu. Sfrunął, najpierw skrzydła dało się słyszeć, potem był cień, co zasłonił ostatnie światło. Jedna kobieta spojrzała na niebo i krzyknęła, on chciał ją pochwy-

cić, padła na ziemię, wszyscy biegli, wrzeszczeli, biadolili, uciekamy do naszych chat, ale jeden starzec, on za wolny, z garbem chorym na plecach, i potwór go capnął łapami u nóg i odgryzł mu twarz, ale zaraz wypluł, jakby krew była trująca, i gonił kobietę, która na ostatku dobiegła do chaty. Sam widziałem z krzaków, bo się ukryłem, chwycił za nogę przed domem i odleciał z nią i już nikt jej nie widział. I od tamtego dnia przychodzi co drugą noc.

– Niektórzy my chcieliśmy odejść, ale krowy powolne, odnalazł nas na szlaku, pozabijał wszystkich, wypił krew. Każdego mężczyznę, każdą kobietę i zwierzę rozerwał na połowy. Czasem pożre głowę.

– Spytaj go, kiedy przyszedł ostatni raz – powiedziałem.

– Dwie noce w tył – odparł starzec.

– Musimy odnaleźć chłopca – rzekł Aesi.

– Odnaleźliśmy chłopca. Czekałem, żeby on odnalazł Nykę. Ale odnaleźliśmy.

– Żaden z nich słowem nie wspomniał o chłopcu.

– Zacni ludzie rozmawiają o mnie, jakby mnie nie było – wtrącił Nyka. – Chce mnie zostawić pod gołym niebem, aby chłopiec mnie odnalazł?

– Nie będzie musiał – odrzekłem. – Gdy dziś w nocy przyjdzie Sasabonsam, przyprowadzi chłopca ze sobą. Chłopiec będzie się tego domagał, aż się go nie da nijak uciszyć.

– Nie podoba mi się ten zamysł – stwierdził Aesi.

– Nie ma żadnego zamysłu – powiedziałem.

– Właśnie to mi się nie podoba.

– Sześciu nas trzeba było ostatnim razem, żeby go pokonać, a zabić i tak nie daliśmy rady. Spytaj, jaką mają broń.

– Powiadam ci, pozwólmy stać się temu, co ma się stać, i ruszmy za nim do jego kryjówki – napierał Aesi.

– Kryjówka może być dwa dni marszu stąd.

– Za sprytny jest, by zaryzykować chłopca.

– Dziś w nocy zabiję to coś albo pierdolić wszystkich bogów.

– Wolno mi coś powiedzieć? – odezwał się Nyka.

– Nie – odrzekliśmy we dwóch.

– Spytaj, jaką mają broń.

Cztery siekiery, dziesięć pochodni, dwa noże, jeden bicz, pięć dzid i sterta kamieni. Klnę się, lud ten, który myślistwo porzucił dla pól, głupi był, bo zapomniał, że w krainie wciąż roiło się od niecnych bestii. Mężczyźni przynieśli broń, rzucili nam wszystko do stóp i rozpierzchli się po chatach jak szalone mrówki. Nie zdziwiło mnie to – wszyscy mężczyźni to tchórze, a mężczyźni razem dodają tylko strach do strachu dodanego do strachu. Ciemność ogarnęła niebo, a krokodyl pożarł pół księżyca. Przyczailiśmy się przy płocie na północnym krańcu wioski. Aesi przykucnął nisko i zamknął oczy, ściskając kij, z którym nigdy dotąd go nie widziałem.

– Myślisz, że on przyzywa duchy? – spytał Nyka.

– Mów głośniej, wampirze. Na pewno cię nie usłyszy.

– Wampirze? Co za ostre słowo. Nie jestem jak ten, na którego polujemy.

– Racja, ty masz czarowników do polowań. Nie będziemy znowu toczyć tego sporu.

– Noc byłaby rada, gdybyście obaj zamilkli – syknął Aesi.

Lecz Nyka chciał rozmowy. Zawsze był taki, bez przerwy potrzebował słów. Bo gadaniem maskował to, co przy gadaniu knuł.

– Nie zabiłem dziś jeszcze człowieka – powiedziałem.

– Mówiłeś wiele razy przez wiele lat, kiedy cię znałem, mówiłeś: jestem myśliwym, nie zabójcą.

– Gdyby nie Sasabonsam, wyrżnąłbym ich wszystkich do nogi za to, że są tak słabi i żałośni.

– Ostrożnie, Tropicielu. Znajdujesz się w towarzystwie wampira i… kimkolwiek ten Aesi jest, a jednak płoniesz najgorszą złą wolą. I nawet jeśli to żart, to wtedy potrafiłeś być zabawniejszy.

– Kiedy wtedy? Przed tym czy po tym, jak mnie zdradziłeś?

– Nie przypominam sobie nic takiego.

– Ale pamięć przypomina sobie ciebie. Nigdy nie spytałeś o moje oko.

– Ja jestem jego powodem?

Popatrzyłem na niego, lecz zaraz się odwróciłem, bo widząc jego, widziałem tylko siebie. Opowiedziałem mu, skąd wziąłem wilcze ślepie.

– Myślałem, że oberwałeś pięścią i to dlatego – powiedział Nyka. – Ale rozumiem, że i temu jestem winny.

Odwrócił wzrok. Z jego skruchą nie potrafiłbym zrobić nic innego, jak tylko pięścią wtłoczyć mu ją w twarz. Jakże żałowałem, że nie mam rękawic Sadogo, bobym mu jednym uderzeniem strącił łeb z karku. Sadogo. Nie myślałem o nim od wielu długich księżyców. Nyka znów otworzył usta, ale Aesi zaraz mu je zatkał.

– Słuchajcie – szepnął.

Odgłos przeciął ciemność, szuranie, skoki, bieganina, wywrotka na płocie, trzaski gałęzi. Nadchodził. Żadnego trzepotu skrzydeł. Żadnego rechotu, gaworzenia ani syku dziecka zdradzającego swoje nadejście. Pierwszy grzmotnął mnie w pierś i obalił. Potem drugi. Z kolanem na mojej piersi podniósł wzrok, obwąchał szybko i odwrócił się, żeby zobaczyć innych, co opadali Nykę i Aesiego, wrzeszcząc, sapiąc, piszcząc, drapiąc. Ludzie-błyskawice, mężczyźni, kobiety. Więcej, niż mógłbym zliczyć, niektórzy jednoręcy, niektórzy na jednej nodze, inni bez stóp, inni bez niczego od pasa w dół. Wszyscy natarli na Nykę. Dwaj więksi, obaj mężczyźni,

kopnięciami usunęli Aesiego z drogi. Nyka zawył. Ludzie-błyskawice szukają Ipundulu, dopaść go ich jedynym pragnieniem i celem, pałają tęsknotą do niego już na zawsze. Widziałem, jak ciągną do swojego mistrza, zrozpaczeni i wygłodniali, nigdy jednak nie widziałem, co się dzieje, gdy w końcu go znajdą.

– Pożerają mnie! – krzyknął Nyka.

Zafurgotał skrzydłami i wypuścił błyskawicę, która trafiła paru, ale wessali jej siłę, karmiąc się nią, oszaleli jeszcze bardziej. Wyciągnąłem oba topory. Aesi wciąż dotykał swej skroni i zamiatał rękami, lecz nic się nie wydarzyło. Ludzie-błyskawice byli jak mrowisko zakrywające Nykę. Wziąłem rozbieg, natarłem, skoczyłem, spadłem na plecy jednego, zasypałem go ciosami. Z lewej, z prawej, z lewej, z prawej, z lewej. Drugiego kopnąłem i odrąbałem mu kawał głowy. Jedna z kobiet zacisnęła rękę na szyi Nyki, więc ciachałem u ramienia, aż odpadło. Nie zamierzali odstąpić, ja nie zamierzałem przestać.

Stopa znikąd kopnęła mnie w pierś. Pofrunąłem w powietrze i upadłem na brzuch. Dwaj dobiegli, żeby zaatakować. Miałem tylko jeden topór, więc wyciągnąłem nóż. Pierwszy skoczył na mnie, ale się usunąłem i padł na gołą ziemię. Z nożem w garści natychmiast się dotoczyłem i wbiłem mu go w pierś. Kobieta natarła, ale przeturlałem się po ziemi i odrąbałem jej nogę. Runęła i wtedy obciąłem głowę. Opadali Nykę. Aesi odciągnął dwóch i odrzucił ich jak małe kamienie. Nyka odpychał napastników, lecz nie walczył. Podbiegłem do tej ciżby, wyszarpnąłem jednego za stopę i dźgnąłem go w kark. Drugi, którego szarpnąłem, uderzył mnie w brzuch. Padłem na ziemię, wyjąc z bólu. Teraz była we mnie wściekłość. Aesi chwycił kolejnego. Podparłem się na toporze i dojrzałem takiego, który przykucnął Nyce na piersi, żeby ssać szyję. Ciąłem toporem prosto w kark. Błyskawica przemykała w nich wszystkich, ale nie zważali na nic. Raziłem łeb ciosami sie-

kiery i kopnąłem kobietę obok. Poturlała się i zaraz nadbiegła ponownie. Przykucnąłem, zamachnąłem się toporem i chlasnąłem tuż nad sercem, gdy natarła, drugiej zadałem cios w czoło. Rąbałem wszystkich i wszystko, aż dojrzałem Nykę, pokąsanego, broczącego czarną krwią. Ostatni, dziecko, skoczył mu na głowę i wyszczerzył do mnie zęby. Błyskawica rozpaliła mu oczy. Wbiłem mu nóż prosto w gardło i padł Nyce na kolana.

– To był chłopiec.

– To nie było nic – odparłem.

– Coś tutaj na opak – powiedział Aesi.

Odskoczyłem, zanim wrzasnęła wieśniaczka.

– To na tyłach! – krzyknąłem.

Aesi rzucił się biegiem pierwszy, ja za nim, przeskakując po trupach, wśród których ciągle iskrzyły błyskawice. Minęliśmy chaty skryte w mroku. Nyka próbował frunąć, ale mógł tylko skakać kulawo. Dotarliśmy do granic wioski i zobaczyliśmy Sasabonsama, odlatującego z kobietą unoszoną w szponach. Wciąż krzyczała. Rzuciłem toporem i trafiłem w skrzydło, ale zaciąłem zbyt płytko. Nawet się nie obejrzał.

– Nyka!

Zatrzepotał skrzydłami. Grzmot zadudnił i błyskawica wystrzeliła z niego, lecz trafiła na wschód i zachód, nie w potwora. Sasabonsam rozpostarł skrzydła i odleciał, a kobieta ciągle walczyła. Szarpała się, lecz wolną stopą kopnął ją w głowę. Na sawannie nie było gęstwiny, w której mógłby się skryć. Mój topór zabłysł wbity w ziemię.

– Frunie na północ – powiedział Aesi.

W oddali stado ptaków, których nie dostrzegłem wcześniej, zmieniło kierunek i poleciało wprost do Sasabonsama. Atakowały go po dwa, trzy naraz, a on próbował się opędzać ręką i skrzydłami. Nie widziałem wszystkiego dokładnie, ale jeden wbił mu się prosto w twarz, jakby kąsał. Za nim

nadciągnęło więcej. Aesi miał zamknięte oczy. Ptaki nurkowały w ataku na twarz i ręce Sasabonsama, a on zaczął wymachiwać dziko ramionami. Puścił kobietę z bardzo wysoka i gdy spadła na ziemię, już się nie poruszyła. Opędzał się od ptaków tak mocno, że przemykały po całym niebie. Aesi otworzył oczy i wtedy odleciały.

– Nigdy go nie złapiemy – powiedział Nyka.

– Ale wiemy, dokąd zmierza – odparł Aesi.

Biegłem i biegłem, przeskakując przez zarośla, toporem torując sobie drogę w gęstwinie, podążając śladem Sasabonsama na niebie, a gdy go nie widziałem, podążałem za wonią. W trakcie tej pogoni zastanawiałem się, dlaczego wszechpotężny Aesi nie zapewnił nam koni. I nie biegł. Swą wściekłość mogłem obrócić przeciwko niemu, ale to byłoby daremne. Gnałem dalej. Napotkałem rzekę. Sasabonsam przefrunął w górze na drugi brzeg. Była szeroka na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kroków, trudno odgadnąć, a na powierzchni gwałtownie tańczyła poświata księżyca, co zapewne oznaczało wzburzone i głębokie wody. Nie znałem tego odcinka rzeki. Sasabonsam odlatywał. Nawet mnie nie zobaczył, nie usłyszał.

– Sasabonsamie!

I się nie odwrócił. Ścisnąłem w rękach oba topory, jakbym to ich nienawidził. Napłynęły mroczne myśli, że ten potwór nie czerpie radości z tego, co robi, ani nawet dumy, nic. Nic w ogóle. Że wróg mój nawet nie wie, że go szukam, mimo obecności mojej woni i twarzy. Byłem taki sam jak każdy inny głupiec rzucający toporem. Nic, nic w ogóle. Krzyknąłem do niego. Wsunąłem topory za pasy i wbiegłem do rzeki. Uderzyłem palcem o ostrą krawędź skały, ale nie zważałem na to. Potykałem się o kamienie, ale nie zważałem na to. Potem grunt ustąpił pod moimi nogami i osunąłem się, wciągnąłem w siebie wodę, zakrztusiłem się. Wyrwałem głowę na powierzchnię, lecz nie mogłem znaleźć oparcia dla stóp. I coś jak duch

mnie pociągnęło, choć to była tylko woda, zimna, spychała mnie na środek rzeki, wtłaczała w głąb, drwiąc z mojej siły pływania, obracając mnie głową do dołu, wlokąc tam, gdzie księżyc już nie doświecał, a im bardziej walczyłem, tym mocniej mnie wciągało, i nie pomyślałem, aby zaprzestać walki, nie pomyślałem: jestem zmęczony, nie pomyślałem, że woda tutaj zimniejsza i czarniejsza. Wystawiłem rękę nad głowę pewien, że sięgnę powietrza, ale byłem w głębinie, tonąc, tonąc, tonąc.

I wtedy palce zacisnęły się na mojej ręce i szarpnęły mnie do góry. Nyka próbował lecieć, potknął się, odbił i runął do wody. Potem podfrunął, ciągnąc mnie za sobą, ale zdołał wydobyć tylko na wysokość ramion, walczył z nurtem. Tym sposobem dowlókł mnie do brzegu, gdzie czekał Aesi, który powiedział:

– Rzeka o mało cię nie wzięła.

– Potwór ucieka – wykrztusiłem, chwytając ustami powietrze.

– Może obraziłeś ją swoją zawziętością.

– Potwór ucieka.

Odzyskałem oddech, wyciągnąłem topory i ruszyłem w drogę.

– Żadnej wdzięczności dla Ip…

– Odchodzi.

Pobiegłem.

Woda zmyła cały popiół i skórę miałem teraz czarną jak niebo. Terenem nadal była sawanna, sucha, z krzakami i świszczącymi cierniami, które rosły razem, ale nie znałem tych okolic. Sasabonsam zatrzepotał dwa razy skrzydłami, a zabrzmiało to w oddali nie jak łopot, lecz echo. Przede mną wyrosły wysokie drzewa, w odległości trzystu kroków. Nyka krzyknął coś, ale nie usłyszałem. Znowu trzepot, zabrzmiało, jakby dochodziło z drzew, więc tam pobiegłem. Uderzyłem nogą o kamień, potknąłem się i upadłem, ale wściekłość zwalczyła ból, poderwałem się i gnałem dalej. Grunt stał się

grząski. Przebiegłem przez wysychającą sadzawkę, przez trawę, która zacięła mnie w kolano, przez kolczaste krzaki rozproszone jak czyraki na skórze, przeskakiwałem albo taranowałem. Nie słychać było trzepotu, ale nie odrywałem od niego oczu. Usłyszę, gdy będę bliżej. Nie potrzebowałem nawet nosa. Drzewa robiły to, co robią drzewa, zastawiały drogę. Żadnej ścieżki w dolinie, tylko ogromne ciernie i dzikie zarośla, a gdy skręciłem, wbiegłem wprost na nich.

Jeźdźcy. Oceniłbym, że setka. Szukałem znaków na koniach. Grzebień zbrojny na czole schodził aż do chrap. Tułów okryty ciepłą tkaniną, ale nie tak obwisłą jak u wierzchowców z Dżuby. Ogony zapuszczone na całą długość. Siodła na warstwach grubego sukna, a w jego rogach znaki Północy, których nie widziałem od lat. Może połowa koni czarna, reszta gniade i siwe. Powinienem był się przyjrzeć wojownikom. Grube odzienia, aby powstrzymać włócznie, a włócznie o dwóch zębach. Wszyscy mężczyźni z wyjątkiem jednej.

– Ujawnij się – powiedziała, gdy mnie zobaczyła.

Nic nie odrzekłem.

Siedmiu mnie otoczyło, zniżając włócznie. Zwykle nic sobie nie robiłem z mieczy i grotów, ale coś było inaczej. Coś w powietrzu dokoła nich i mnie.

– Ujawnij się – powtórzyła.

Nic nie zrobiłem.

W blasku księżyca byli cali forgą i lśnieniem. Zbroje srebrne w ciemnym świetle. Pióropusze na przykrytych głowach nastroszone jak na zlocie ptactwa. Ciemne ręce wycelowały we mnie drzewce. Nocą nie mogli poznać, kim jestem. Ale ja poznałem, kim są oni.

– Tropiciel – przemówiłem.

– Nie mówi po naszemu – odezwał się wojownik.

– Nic szczególnego w mowie Fasisi – powiedziałem.

– To jak masz na imię?

– Tropiciel.

– Kolejny raz nie zapytam.

– Nie pytaj więc. Moje imię Tropiciel, rzekłem. A twoje, Głucha Nieznajoma?

Wysunęła się do przodu i dźgnęła mnie włócznią. Zachwiałem się. Nie widziałem jej twarzy, tylko połyskliwy hełm wojenny. Roześmiała się i znów dźgnęła. Chwyciłem za topór. Strach najpierw zdawał się o dzień drogi stąd, nagle dopadł mnie od tyłu i już był w głowie. Zacisnąłem powieki.

– Może twoje imię Nieśmiertelny, skoro nie lękasz się, że cię zabiję.

– Rób to, co powinnaś. Jeśli zabiorę ze sobą choćby jednego z was, i tak będzie to dobra śmierć.

– Żaden z nich wahałby się umrzeć, myśliwcze.

– A czy którykolwiek wahałby się mówić?

– Jak na takiego, co wygląda na lud nadrzeczny, masz śmigłe usta.

– Szkoda, że nie znam żadnych buntowniczych strof z Fasisi.

– Buntowniczych?

– Żadne wojsko z Fasisi nie dotarłoby do południowej granicy Uakadiszu, inaczej bylibyście trupami na polu bitwy. Żadnych kobiecych godności pośród zbrojnych z Fasisi. Żadna tamtejsza straż nie mogłaby się zapuścić tak daleko na południe, kiedy jest wojna. Urodzeni w Fasisi, ale zbuntowani poddani Kuasz Dary. Straże siostry Króla.

– Wiesz o nas niemało.

– Wiem, że nie trzeba wiedzieć nic więcej.

Grot się przybliżył.

– To nie ja nie okazuję grzeczności w obliczu siedemdziesięciu i jednej włóczni – rzekła. Wskazała mnie. – Mężczyźni i ich przeklęta buta. Złorzeczycie, sracie, biadolicie, bijecie kobiety. Ale tak naprawdę tylko zajmujecie przestrzeń. Mężczyźni tak zawsze, nie mogą nic na to poradzić. Dlatego muszą rozkraczyć nogi, gdy siedzą.

Wojownicy gruchnęli śmiechem, wszyscy, którzy usłyszeli ten żart, jakikolwiek żart to był.

– Chwalebne musi być to twoje bractwo mężczyzn, skoro jedyne, o czym myślą, to jak rozkraczyć nogi.

Nachmurzyła się, widziałem to mimo ciemności. Wojownicy wydali pomruki.

– Nasza Królowa…

– Nie jest królową. Jest siostrą Króla.

Dowódczyni znów się roześmiała. Rzekła, że albo pragnę śmierci, albo myślę, że nie mogę umrzeć.

– Tego też cię nauczył ten, który z tobą jedzie? – spytałem. – Lepiej byś zrobiła, gdybyś trzymała go przy sobie na czele oddziału, bo tacy jak on lubią zabijać od tyłu.

Pognał konia, aż zrównał się z kobietą. Mimo że w hełmie przybranym piórami, co poskramiał jego niesforne włosy, na końskim grzbiecie wydawał się nie tylko niedopasowany, ale i tego świadomy. Tak wyglądałby pies dosiadający krowy.

– Jak płynie życie, Tropicielu?

– Zawsze do ujścia, Lamparcie.

– Mówią, że masz nos.

– Pod tą zbroją śmierdzisz gorzej niż dawniej.

Chwycił wodze mocniej, niż było trzeba, i klacz szarpnęła łbem. W mroku nocy połyskiwały kocie wąsy, które rzadko się ukazywały, gdy

miał ludzką postać. Zdjął hełm. Nikt nie poruszył włócznią. Były sprawy, o które chciałem go wypytać. Jak taki, co nie dba o długoczasowy najem, znalazł długoczasowy najem. Jak skłonili go do włożenia tej zbroi i szat, które z pewnością się wloką, drą, wycierają i drapią. I czy częścią ugody nie była obietnica, że nigdy więcej nie zmieni się w swoją prawdziwą postać. Lecz nie spytałem o nic.

– Jakże inaczej wyglądasz – powiedział.

Milczałem.

– Włosy dziksze niż u mnie, jak u jasnowidza, którego nikt nie słucha. Tyczka z ciebie jak kij wiedźmy. Żadnych znaków Ku, Tropicielu?

– Zmyła je rzeka. Wiele mi się przydarzyło, Lamparcie.

– Wiem.

– Ty wyglądasz niezmieniony. Może dlatego, że tobie nic się nie przydarza. Nawet to, czego sam jesteś przyczyną.

– Dokąd to, Tropicielu?

– Idziemy tam, skąd ty przybywasz. Jedziesz tam, skąd my przybywamy.

Patrzył na mnie. Odgadł, kogo szukam. Inaczej byłby głupcem. Albo mnie za niego uważał.

– Dla własnego dobra, Tropicielu, powiedz im, że idziesz do domu.

– To ja mam dom? Zdradź mi gdzie. Wskaż chociaż kierunek.

Lampart patrzył mi w oczy. Wojowniczka odchrząknęła.

– Niech będzie stwierdzone jasno, że próbowałem ci pomóc.

– Niech będzie stwierdzone jasno? Skąd wziąłeś taką mowę? Lamparcie, twoja pomoc gorsza od twojej klątwy.

– Dość. Wy dwaj spieracie się jak ludzie, którzy się ruchali. To ty natknąłeś się na nas, wędrowcze. Ruszaj w drogę i… A kim są ci dwaj?

Nyka i Aesi znajdowali się co najmniej sto kroków za moimi plecami. Aesi zakrył włosy kapturem. Nyka owinął się ciasno skrzydłami.

Ciągnęła:

– Ty i twój ród, idźcie. I tak już nas opóźniacie.

Ściągnęła wodze.

– Nie – odezwał się Lampart. – Znam go. Nie możesz pozwolić mu odejść.

– To nie jego szukamy.

– Lecz skoro Tropiciel tu jest, to on już go znalazł.

– Ten człowiek – powiedziała. – Jakiś człowiek, którego znasz. Najwyraźniej znasz wielu.

Miałem nadzieję, że uśmiechnęła się w ciemności. Klnę się, że miałem nadzieję.

– Głupia, jak możesz nie wiedzieć, kim jest, skoro sam wyznał swoje imię. To on obraził twoją Królową. To on przybył, aby zabić jej syna, lecz nie zdążył. To on…

– Wiem, kim jest. – Potem do mnie: – Ty, Tropicielu, pojedziesz z nami.

– Nigdzie z wami nie pojadę.

– Jesteś już drugim tutaj, który myśli, że daję wybór. Brać go.

Trzej zbrojni zsiedli z wierzchowców i ruszyli ku mnie. Chwyciłem topory, ścisnąłem mocno. Ledwie przed chwilą poderżnąłem dziecku gardło i rozpłatałem głowę kobiecie, gotów więc byłem zabić ich wszystkich. Przy tej myśli zerknąłem wprost na Lamparta. Tamci trzej podeszli i zastygli. Obniżyli włócznie i znów postąpili naprzód. Dawniej tego nie czułem, strachu, który budzi metal. Potrafiłem stać wyprostowany jak człowiek w obliczu nawałnicy, w którego nigdy nie uderzy podmuch burzy. Teraz rozglądałem się na boki, by wiedzieć, przed którym z wojowników zrobić pierwszy unik. Podniosłem wzrok i zobaczyłem spojrzenie Lamparta.

– Tropicielu.

– Czy wszyscy mężczyźni głuchną nocą? Brać go!

Wojownicy nie ruszyli. Napinali się i drżeli, zmuszając usta do mowy, biodra do obrotu, chcieli powiedzieć, że pragną wykonać rozkaz, ale nie mogą.

Nyka i Aesi pojawili się tuż za moimi plecami.

– Kim są ci dwaj?

– Z pewnością potrafią mówić – odparłem. – Ich spytaj.

Wszystkie trzymane włócznie się odsunęły. Wstrząśnięta wojowniczka popatrzyła dokoła i niechcący spłoszyła konia. Potarła mu mocno chrapy, próbując uspokoić.

– Kto… – odezwał się Lampart, ale reszta słów przepadła.

Aesi stanął u mego boku. Oburącz zsunął kaptur z głowy.

– Zabić go, zabić go! – wrzasnął Lampart.

– Kim on jest?! – krzyknęła wojowniczka.

Aesi miał białe źrenice. Wszystkie konie jak jeden podskakiwały i wierzgały, stawały dęba, zrzucając jeźdźców, chcąc kopnąć cały świat. Jeden z wojowników został trafiony w głowę. Ci, którzy utrzymali się w siodle, wołali ze strachu, bo wierzchowce wpadały na siebie i atakowały strąconych na ziemię. Trzy konie pobiegły w dal, tratując dwóch zbrojnych.

– To jego wola, to jego wola! – wołał Lampart do dowódczyni.

Chwyciła go za ramię i wtedy oboje spadli z koni. Większość zwierząt umknęła. Niektórzy wojownicy pobiegli za nimi, lecz dali za wygraną, wrócili, dobyli miecze i rzucili się do walki między sobą. Po chwili każdy miał przeciwnika. Jeden zabił drugiego, przeszywając ostrzem miecza. Wojownik padł od ciosu w plecy. Lampart walnął pięścią wojowniczkę i runęła nieprzytomna. Wstał i warknął na Aesiego. Ruszył. Aesi patrzył na niego. Dotknął swej skroni. Usiłował umysłem poskromić kota, lecz Lampart zmienił się w lamparta i natarł. Chciał skoczyć, ale konie na niego natarły, obalając go, tarasując drogę. Nyka rozpostarł skrzydła, przemaszerował

wśród walczących i przystanął przy jednym, wykrwawiającym się na ziemi od śmiertelnej rany. Wiem, że powiedział mu o swoim smutku. I że będzie prędki. Wbił mu pięść w pierś i wyrwał serce. Tak samo postąpił z dwoma innymi rannymi wojownikami, po czym wszyscy pozostali, żywi i bliscy śmierci, zasnęli. Wszyscy oprócz dowódczyni, która miała ranę kłutą w ramieniu. Aesi pochylił się nad nią. Wykrzywiła twarz, chciała go uderzyć, ale jej ręka zawisła w powietrzu.

– Gdy twoi bracia obudzą się rano, zobaczą, co się tutaj wydarzyło. Zobaczą, że w obłędzie brat wzniósł miecz przeciw bratu i zabił wielu – powiedział Aesi.

– Jesteś żywe zło. Słyszałam o tobie. Stanąłeś przeciwko ludziom. Niegodziwa połowa Króla Pająka.

– Nie wiesz tego, dzielna wojowniczko? Obie połowy są niegodziwe. Zaśnij.

– Zabiję…

– Zaśnij.

Opadła na ziemię.

– Miej słodką wędrówkę do wyśnionej dżungli. To będzie ostatni przyjemny sen, jaki będziesz miała.

Wyprostował się. Uważaj, przywołam trzy konie, zwrócił się do mnie.

Na Krwawych Bagnach były drzwi, ale zabrałyby nas do Luala Luala, za daleko na północ. Z początku myślałem, że Aesi nie wie o dziesięciu i dziewięciu drzwiach, ale on tylko postanowił ich nie używać. Tak właśnie później podejrzewałem – że przechodzenie przez drzwi go osłabia, jak osłabiało Wiedźmę Księżyca. Ogromna gromada skrzywdzonych duchów i demonów, wszystkie czyhały na niego w progu, żeby dopaść w jedynej chwili, kiedy był taki jak oni, cały zjawą bez ciała, kiedy mogły go uchwycić, porwać, zwalczyć, a nawet zabić. Oto co myślałem: że są rzeczy, któ-

rych nie widzimy – bezlik łapsk chwytających go z żądzą zemsty krążącą w miejscu krwi.

– Tropicielu, co z tobą?! – krzyknął Nyka. – Trzy razy cię wołam.

Dosiadł już konia. Zwierzę wierciło się niespokojnie, strwożone przez jeźdźca będącego nienaturalną istotą. Stanęło dęba, próbując go zrzucić, ale przytrzymał się szyi. Aesi odwrócił się w ich stronę i wierzchowiec natychmiast się uspokoił.

Ruszyliśmy w mroku na wędrówkę, którą miała być całonocna jazda na północ, potem na zachód, po stepie, do lasów deszczowych. Nie miały nazwy te lasy i nie pamiętałem ich z mapy. Aesi galopował pierwszy, kilka kroków z przodu, i nie wiem, czemu tak pomyślałem, ale wyglądało, jakby próbował uciec. Albo dopaść ich przed nami. Gdy przyszedł po mnie do Mueru, powiedziałem mu, że może wziąć chłopca, postąpić wedle swojej woli, chwycić nóż do obrzezania i rozkroić całe ciało na pół, co mi tam, niech tylko pomoże mi zabić skrzydlatego demona. Ale to ja chciałem zabić chłopca. Inaczej wygubiłbym cały świat. Ludzie mnie mijający powtarzają, że jesteśmy na wojnie. Jesteśmy w wojnie. Niech więc będzie zabijanie i niech więc będzie śmierć. Zejdźmy w zaświaty i niech bogowie śmierci mówią o prawdziwej sprawiedliwości. Nocą złota trawa stała się srebrna.

Ziemia deptana przez końskie kopyta dudniła grzmotem. Przed nami leżała głęboka ciemność, gęsta jak góry. Widzieliśmy ją na drugim końcu płaskiego terenu, ale nie dotarlibyśmy tam przed świtaniem. Podążając przez mrok, mając niegodziwe wizje, czując jego woń bez myślenia o nim, zobaczyłem go dopiero, gdy zbliżył się na długość konia, poganiając go mocno, usiłując mnie dojść. Pochyliłem się głębiej, popędzając swojego wierzchowca do pełnego galopu. Teraz, gdy mój nos przypomniał sobie tę woń, wyczuwałem go coraz bliżej. Warknął do swojego konia, płosząc go, i zaraz pędziliśmy nos w ogon, zad w bok, łeb w łeb. Przeskoczył z grzbietu

na mnie, strącając na ziemię. W locie owinąłem się i gdy runęliśmy, znalazłem się na nim. Upadek był mocny i potoczyliśmy się, potoczyliśmy przez kilka kroków, on uczepiony mnie. Wreszcie zatrzymało nas martwe mrowisko i Lampart zleciał na ziemię. Gruchnął na plecy i zerwał się natychmiast, wprost na mój nóż przystawiony mu do gardła. Odskoczył, ale przyparłem go. Podniósł rękę i wtedy pchnąłem, upuszczając krwi. W ciemnym blasku księżyca miał jasne oblicze, oczy wytrzeszczone, wstrząs w nich, tak, może żal, prawie nieruchome, jakby błagał mnie, abym coś zrobił. A może nic z tego i na tę myśl oszalałem. Nie widziałem go od wielu księżyców, bo umysł mi płonął od tego, co mu zrobię, gdy nasze ścieżki znów się przetną. Czy powinienem spaść na niego, czy powinienem obezwładnić, czy mieć nóż i topór. Nóż taki jak ten na jego gardle w tej chwili. Żaden bóg nie dałby rady zliczyć, ile razy o tym myślałem. Mogłem wykroić w jego ciele dziurę wielką jak moja nienawiść, tak głęboką i szeroką, jak tylko weszłoby ostrze.

Przemów, Lamparcie, pomyślałem. Powiedz: Tropicielu, czy teraz w taki sposób znajdziemy uciechę, ty i ja – a wtedy zatnę cię głębiej i uciszę. Lecz tylko patrzył na mnie.

– Zrób to – odezwał się Nyka Ipundulu. – Zrób to, mroczny wilku. Zrób. Spokoju, którego szukasz, nigdy nie znajdziesz. A spokój nie znajdzie ciebie, więc zrób to. Zapomnij o spokoju. Szukaj zemsty. Wykrój w nim dziurę szeroką na sto lat. Zrób to, Tropicielu. Zrób. Czy nie on jest przyczyną twojego cierpienia?

Lampart patrzył na mnie wilgotnymi oczami. Chciał coś powiedzieć, ale wyszły z tego tylko dźwięki jak skomlenie, choć przecież nazbyt był odważny, by skomleć. Tak strasznie pragnąłem wykroić w czymś dziurę. I wtedy pod jego stopami rozległo się dudnienie. Ziemia rozpadła się w pył i go wchłonęła. Odskoczyłem, wykrzykując jego imię. Wyrwał rękę na

wierzch, kopał i kopał, ale ziemia go połknęła. Podniosłem oczy, a wtedy Aesi naciągnął płaszcz na głowę.

25

Zabiłeś go! – Wyszarpnąłem topór. – Synu wyruchanej kurwy, zabiłeś go!

– Tropicielu, męczysz mnie. Od wielu księżyców rozmyślałeś przecież o zabiciu tego zwierza. Podciąłeś mu gardło w wyśnionej dżungli. Przywiązałeś go do drzewa i podpaliłeś. Najprzeróżniejszy oręż wepchnąłeś we wszystkie części jego ciała. Przyłożyłeś mu nóż do szyi. Wskazałeś go jako źródło wszystkich swoich cierpień. A teraz wrzeszczysz, gdy w końcu spełniło się twoje życzenie?

– Tego nigdy nie chciałem.

– Nie musiałeś chcieć.

– Wejdź znowu do mojej głowy i…

– I co?

– I uwolnij go.

– Nie.

– Wiesz, że cię zabiję.

– Wiesz, że nie dasz rady.

– Wiesz, że spróbuję.

Staliśmy naprzeciw siebie. Potem pobiegłem tam, gdzie był Lampart. Ziemię wybrzuszył garb nowej mogiły. Zamierzałem odkopać gołymi rękami, ale za moimi plecami rozległ się gwizd i zadął zimny wiatr, który wyglądał jak dym. Wtargnął do ziemi i wywiercił dziurę wielkości mojej pięści.

– Teraz oddycha – powiedział Aesi. – Nie umrze.

– Wyciągnij go.

– Tropicielu, zastanów się, czego naprawdę chcesz w tych ostatnich dniach. Miłości czy pomsty. Obu mieć nie możesz. Niech sam się odkopie. Potrwa to całe dnie, ale starczy mu na to sił. I gniewu. Chodź, Tropicielu, Sasabonsam śpi za dnia.

Aesi i Nyka dosiedli koni. Kopiec był nieruchomy. Odsunąłem się, lecz nadal patrzyłem w dziurę. Wydawało mi się, że usłyszałem Lamparta, ale to były stworzenia pory świtania. Odjechaliśmy.

Bogowie poranka przynieśli światło dnia. Las stał w zasięgu oczu, ale wciąż daleko. Konie były utrudzone, czułem to. Nie krzyknąłem do Aesiego, by się zatrzymał, sam przyhamował do kłusu. Sasabonsam zapewne ułożył się do snu. Podjechałem bliżej.

– Wierzchowce muszą wypocząć – rzekłem.

– Nie będziemy ich potrzebować po dotarciu do lasu.

– To nie było pytanie.

Zatrzymałem swojego konia i zsiadłem. Nyka i Aesi spojrzeli na siebie. Nyka kiwnął głową.

Zasnąłem, nie wiem, na jak długo, ale obudziło mnie ciepłe słońce. Nie południe, później. Bez jednego słowa dosiedliśmy koni i ruszyliśmy w dalszą drogę. Wiedziałem, że jeśli zwierzętom starczy sił, przed zmierzchem dojedziemy do lasów. Powietrze wciąż było gorące i wilgotne od popołudniowego słońca i natknęliśmy się na drugie pole bitewne pozostałe po długiej walce, na czaszki i kości, na części zbroi w rozsypce. Szczątki ludzkie prowadziły na kopiec wysoki jak dom z dwoma piętrami, w odległości może dwustu kroków po prawej stronie. Kopiec z drzewc po włóczniach, połamanego oręża i tarcz, pogiętych i popękanych, z kości objedzonych do czysta z mięsa i ścięgien. Aesi ściągnął wodze i zatrzymał konia.

Patrzył na kopiec. O nic nie pytałem, Nyka też nie. Zza drzewc wyłoniła się czapka, potem głowa. Ktoś wchodził na szczyt. Twarz w masce z gliny zakrywającej wszystko prócz oczu, nosa i ust, czapką wysuszone owoce lub nasiona, do tego kości, kły, długie zwisające pióra, które omiatały ramiona. Na nagich piersiach biała glina aż do brzucha, pasy jak u zebry, na biodrach podarta spódnica ze skóry.

– Spotkamy się u wejścia do lasu – powiedział Aesi i ruszył w stronę kobiety.

Nyka wysyczał przekleństwo, które nie chciało wyjść z moich ust. Tamta odwróciła się i zaczęła wracać, skąd przyszła. Odjechałem. Po chwili usłyszałem, że Nyka podąża za mną.

Zauważyliśmy to dopiero, gdy zagłębiliśmy się w las. Dla koni było zbyt gęsto od trawy i powalonych drzew, więc dalej ruszyliśmy pieszo.

Ten las przypominał mi Mroczne Ziemie. Ale nie drzewa pnące się ku niebu ani rośliny, kępy czy paprocie rozpościerające się z pni jak kwiaty. Ani mgła tak gęsta, że wydawała się lekkim deszczem. To cisza zawiodła mnie z powrotem do tamtej krainy. To spokój kazał się mieć na baczności. Niektóre pnącza zwieszały się przed nami jak liny. Niektóre dyndały i wiły się wokół konarów niby węże. Niektóre były wężami. Zmrok jeszcze nie nadszedł, ale pod tymi liśćmi nie było światła. Lecz to nie były Mroczne Ziemie, bo tam żyło wiele duchów. Wszystko krakało, gruchało, pokrzykiwało. Żadnych powarkiwań, ryków.

– Co za gówno – powiedział Nyka. Odwróciłem się i zobaczyłem, że zeskrobuje owady ze swojej stopy. – Robaki potrafią poznać, jak nastąpi na nie zgnilizna.

Przegramoliłem się przez zwalone drzewo o pniu szerokim jak wysokie było moje ciało i szedłem dalej. Drzewo znalazło się daleko w tyle, gdy w końcu zauważyłem, że Nyka nie podąża za mną.

– Nyka.

Po drugiej stronie pnia też go nie było.

– Nyka!

Jego woń czułem wszędzie, ale nie ukazały się żadne ślady. Stał się powietrzem – był niczym, choć był wszędzie. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie szare nogi szeroko rozstawione, a zanim spojrzałem w środek, coś białego i mokrego trafiło mnie w twarz.

Oddarł to z mojej głowy, twarzy, oczu, wchodziło mi także do ust, a czułem to jak jedwab bez smaku. Po zdjęciu z oczu zobaczyłem, że jestem tym owinięty, szczelne i połyskliwe, choć pod spodem widziałem swoją skórę. Stopy i ręce, nie mogłem nimi ruszyć, choć natężałem się ze wszystkich sił, choć próbowałem kopać i tupać, drzeć i się turlać. Byłem przytwierdzony do wiotkiej gałęzi, która wyginała się pode mną. To wszystko kazało mi pomyśleć o Asanbosamie, bracie Sasabonsama, bez skrzydeł, skaczącym po konarach obwieszonych gnijącymi ludźmi. Tyle że tu nic nie gniło. Uznałem to za pocieszające, ale wtedy zobaczyłem go nad sobą i zrozumiałem, że woli pożerać świeże. Odgryzł łepek małej małpie i ogon zwisł bezwładnie. Że na niego patrzę, zobaczył dopiero wtedy, gdy z całego zwierzęcia został tylko ogon, zaraz wessany do paszczy z donośnym mlaśnięciem.

– Kwe, kwe, kwe, nic, tylko kwękają. Ja nawet nie głodny. Znam ja tę śliczną małpkę, jak mama kipunja przychodzi szukać dziecko kipunja, wtedy zjem i ją. Nabałaganią, strasznie nabałaganią te kipunje, oj, jak nabałaganią, dyndają, wypatrując owoców, i bałaganią w moim domu, i nie przestaną, i nie przestaną, srają na liście, srają i srają, a tak, a moja mami-mami powie potem, powie, nie powie, mami-mami nieżywa, ale powie:

miej czysty dom, inaczej niedobra kobieta będzie cię chcieć, powie: kippi-lo-lo, tak powie.

Zaczął złazić po pniu, przykucając jak pająk, tak nisko, że brzuchem szorował po korze. Najpierw myślałem, że żaden gomid nie może być taki wielki. Ramiona w mięśniach jak u szczupłego mężczyzny, ramiona długie jak gałęzie, przedramiona wyciągnięte jeszcze dalej, więc łapska miał dłuższe niż ja cały. Nogi wcale nie krótsze. Taki właśnie zszedł do mnie, wyciągając prawą rękę, szponami grzebiąc w korze, podnosząc lewą nogę i wyginając ją nad tułów, nad kark i łeb, aby uchwycić się pnia. Potem lewą ręką i lewą nogą, a brzuchem zaczął się ocierać o drzewo. Zlazł tuż nade mną, podczołgał się w górę, uniósł się do pasa, skręcił ciało, prawie o pełny obrót, i sięgnął do ostatniej sterczącej gałęzi, najpierw lewą, potem prawą ręką, potem lewą i prawą nogą, wciąż skręcony w pasie, więc tuż pod spodem znalazły się jego pośladki zamiast krocza. Sięgnął jedną ręką do tyłu, jakby się miała złamać, i poskrobał się po grzbiecie. Przykucnął na gałęzi dyndającej przede mną, kolana sięgnęły nad głowę, a ręce zwisły prawie do ziemi. Między nogami miał włochaty napletek jak u psa i stamtąd właśnie wziął się sok, którym trysnął mi w twarz. Sok trafił w pień i zmienił się w sieć jedwabną. Stwór podpełzł tam i wystrzelił kolejną nić do tyłu. Następnie, pełzając po obu rozpiętych niciach, utkał rękoma i stopami wzór, aż powstało coś na tyle mocnego, by służyć za siedzisko. Spoczął. Skóra szara, pokryta bliznami i znakami jak u ludów nadrzecznych, tak lekka, że pod spodem widać było strumienie krwi w kończynach. Łysy łeb z kępką włosa na samej górze, białe ślepia bez czerni, zęby żółte i ostre, wystające z paszczy.

– Znajdź opowieść i daj mnie, znajdź i daj mnie, tak?

– Nie znam potworów o twojej powłoce – powiedziałem.

Beknął i zarechotał sycząco. Spojrzał na mnie i starł z gęby śmiech.

– Znajdź opowieść i…

Machnął obiema nogami nad głową i z napletka wystrzelił mokrą nić wysoko w drzewa. Uchwycił się sieci i ją ściągnął, małpią matkę. Kwękała i kwękała, a on trzymał ją przed sobą. Nos w nos, małpa skamlała ze strachu. Była mniejsza od mego ramienia. Rozwarł paszczę i odgryzł jej głowę. Potem szybko przeżuł resztę i wciągnął ogon. Oblizał się i spojrzał na mnie.

– Znajdź opowieść i daj mi, tak? Znajdź i daj mi.

– Słyszałem, że to właśnie tacy jak ty, że wy dajecie opowieści. I kłamstwa. I sztuczki.

– Tacy jak ja? Jak ja? Żadnego jak ja. Nie nie nie nie. Chcę opowieść. Nie ma już takich jak ja. Znajdź opowieść i daj mi się nakarmić, tak? Albo się nakarmię czym innym.

– Ty znasz się na sztuczkach i opowieściach. Nie jesteś aby jaki Nan Si? A to właśnie jedna z twoich sztuczek?

Skoczył na mnie, wbijając stopy w drzewo, rękami chwytając się gałęzi, z kroczem tuż przed moją twarzą. Głowę pochylił tak nisko, że myślałem, że sam się wyliże, ale tylko wbił we mnie spojrzenie.

– Tego pragniesz, widzę przecież. Zginąć lub zabić, każda z tych dwóch śmierci taka sama. Witasz jedną lub drugą, chcesz obu. Mogę ci dać. Ale kto to Nan Si?

– Kim jesteś?

– Powiedz, łowco, że widzisz moją bladą cerę. Jestem jak ten, co z nim przybyłeś.

– Zabiłeś go?

– Opuścił cię.

– Nie pierwszy to raz.

– Nie wie, żeś przepadł. W tym lesie niejedno zaklęcie.

– Jak w każdym.

– Wiedz, że ja nie z lasu. Ja nie z niczego jak Nan Si. Żaden taki, żaden. Byłem człowiekiem o wielkiej wiedzy w nauce i matematyce.

– Białej nauce i czarnej matematyce. Byłeś białym uczonym. Teraz nie jesteś, tylko byłeś.

Pokiwał głową za mocno i za długo.

– Czego sięgnąłeś?

– Tego, co już było w głowie. Sięgnąłem dalej niż kapłan fetyszowy, dalej niż prorok. Dalej niż jasnowidz. Dalej nawet niż bogowie! Prawdziwa mądrość nigdy nie jest w świecie, lecz zawsze, zawsze w środku. Zawsze w środku.

– A teraz jesteś bestią pożerającą małpki i ich matki i snującą pajęczyny z własnego nasienia.

– Był w tobie strach. Przepadł, przepadł, przepadł. Ja taki spragniony opowieści. Z tych zwierząt żadne nie mówi. Żadne nie ma czarów.

– Szukam latającego stwora z chłopcem.

– Latającego stwora? Zabijesz go? Zabijesz powoli? Co z nimi zrobisz?

– Podążał tędy.

– Żaden potwór tędy nie podążał.

– To las, a Sasabonsam zażywa odpoczynku w lesie.

– To las życia, a on jest pośród martwych spraw świata.

– A więc znasz go.

– Nie mówiłem, że nie znam.

Chwycił coś ponad moją głową i włożył sobie do paszczy.

– Napotkam ich. Na polu albo bagnie. Albo na Morzu Piasków. Albo tutaj.

Próbowałem uwolnić ręce, ale jedwab zacisnął się mocniej. Wrzasnąłem na białego uczonego. Szarpnąłem do przodu, chcąc oderwać się z kokonem

od drzewa, lecz ani drgnął. Tamten uśmiechnął się tylko, patrząc na moją szamotaninę. Wyszczerzył kły, gdy się tarmosiłem. Znów go przekląłem.

– Daj mi go zabić, jego i chłopca, a potem wrócę do ciebie, byś mnie zabił. Roztrzaskał mi czaszkę i wyssał mózg. Rozciął mnie i pokazał, co pierwsze pożresz. Zrobisz, jak zechcesz, przysięgam.

Wrócił na konar.

– Kamikuayo, tak mnie niektórzy nazywają.

– Gdzie uprawiałeś białą naukę?

– Uprawiałeś? Uprawianie jest dla uczniów.

– Biali uczeni z Dolingo wchodzą do głowy człowieka, aby pragnąć nienaturalnych rzeczy.

– Dolingo to rzeźnicy. Jatka oni wszyscy. Jatka! Nie byłem ani uczonym, ani czarownikiem. Byłem artystą. Najwybitniejszym uczniem, jaki kiedykolwiek opuścił Szkolnicę Uakadiszu, i nawet najmądrzejsi jasnowidze, nauczyciele i mistrzowie nie dosięgliby mnie, bo byłem mądrzejszy od nich wszystkich. Mówili: ty, Kamikuayo, musisz resztę życia poświęcić na poznanie dróg umysłu. Tak mówili, byłem przy tym. Udaj się do pałacu mądrości w Uakadiszu. Badałem pająka, aby poznać jego sekret przepysznej sieci. Ty jesteś mały umysł, być może z Gangatom, nie potrafisz więc myśleć jak uczony, ale weź pod uwagę sieć, dojrzyj, jak bardzo potrafi się rozciągnąć, nim pęknie. Pomyśl, pomyśl, pomyśl teraz. Rzekłem do nich: wyobraźcie sobie sznur, który lepi się do człowieka jak pajęczyna do muchy. Wyobraźcie sobie zbroję miękką jak bawełna, ale mogącą zatrzymać włócznię, a nawet strzałę. Wyobraźcie sobie most przerzucony przez rzekę, jezioro, bagnisko. Wyobraźcie sobie to wszystko i jeszcze więcej, gdybyśmy potrafili wytwarzać sieć jak pająk. Posłuchaj tego, człowieku znad rzeki. Ten uczony nie potrafił wytworzyć sieci. Zmieszałem tak wiele pająków, dociskałem ich brzuchy, smakowałem toto w ustach, aby rozpo-

znać osobne składniki, ale wciąż mi się wymykało jak oślizłe. Wymykało! Lecz trudziłem się dzień i noc, noc i dzień, aż opracowałem miksturę. Zrobiłem klej jak żywica z drzewa, wziąłem kij i rozpiąłem to na długi odcinek jak ślinę. Potem wysechł, schłodził się i stwardniał. Zwołałem swoich braci i powiedziałem: patrzcie tutaj, wykonałem sieć pajęczą. Byli zdumieni. Rzekli: nie widzieliśmy niczego podobnego w całej ludzkiej nauce i matematyce, bracie nasz. I wtedy pękł i się rozpadł, a oni się śmiali, jakże się śmiali, i jeden powiedział: połamało się na ziemi jak u ciebie w głowie, i śmiali się jeszcze bardziej, i drwili ze mnie, i wrócili do swoich komnat, aby spać i rozprawiać o miksturach, dzięki którym stworzyliby kobietę, co zapomina, że została zgwałcona.

I wyznam ci prawdę, że byłem smutniejszy niż smutek, żałośniejszy niż żal. Ta nauka mnie zatruwała, złapałem więc flasze i wypiłem trucizny. Chciałem zasnąć i nigdy się nie obudzić. I wtedy się obudziłem. Ocknąłem się z gorączką w ciele, która nie chciała ustąpić. Ocknąłem się i zobaczyłem, że spałem na suficie, a nie na posłaniu pośrodku podłogi. Potarłem oczy i przed swoją twarzą zobaczyłem długie szare łapska potwora. Zapłakałem, ale mój płacz zabrzmiał jak pisk i spadłem na podłogę. Moje ręce takie długie, moje nogi takie długie, a moja twarz, moja twarz, bo powiem ci znowu prawdę, byłem najpiękniejszym ze wszystkich naukowców, a tak, mężczyźni przychodzili do mnie z bardziej nieprzyzwoitymi propozycjami niż do nałożnic, mówili: śliczny ty, daj swoją dziurkę, bo z twojego umysłu pożytku nie ma. Płakałem, krzyczałem, zawodziłem, aż nie czułem już nic. A nic, nic było najlepsze. Nic mi się spodobało. Do południa pokochałem swoje nic. Pełzałem po suficie, jadłem przyklejony do ściany, nie spadałem. Wydawało mi się, że zsikam się albo spuszczę, ale ze mnie wychodziła słodka, lepka wydzielina i mogłem wisieć na ścianie!

Moi bracia, moi bracia nie rozumieli. Moi wszyscy bracia byli ofiarą własnej bojaźni, nic nie osiągnęli, bo niczym nie zaryzykowali. Jeden krzyknął: demon!, i rzucił we mnie flaszami, i nawet nie wiedziałem, że schylić potrafię się tak nisko, tylko łokcie i kolana sterczały do góry. Wytrysnąłem siecią na jego głowę, aż przestał oddychać. A teraz słuchaj, bo drugi raz tego nie powiem. Pierwszego zabiłem, zanim wszczął hałas. Pozostali, oni byli w innym pomieszczeniu, praktykowali naukę na młodych wieśniaczkach, więc idę tam, w jednym ręku drogocenna oliwa, w drugim pochodnia. Poszedłem po suficie i obaliłem drzwi, i jeden z nich rzekł: Kamikuayo, co to za szaleństwo? Złaź z sufitu. Pomyślałem, by powiedzieć coś błyskotliwego i ostatecznego, z niegodziwym śmiechem. Ale słów mi brakło, więc rozbiłem dzban z oliwą i rzuciłem pochodnię, a potem zamknąłem drzwi. A tak, zamknąłem. Jakże wyli, och, jakże wyli. Miłe dla moich uszu. Pobiegłem w dzicz, do wielkiego lasu, gdzie wolno mi rozmyślać o sprawach doniosłych i małych, ale kto mi będzie opowiadał wspaniałe historie?

Wskazał mnie i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Zacny łowco, wyciągnąłeś ze mnie opowieść. Teraz twoja kolej. Niedobrze mi się robi od towarzystwa ludzi, a jednak taki jestem samotny. Nawet po tym poznasz, jak bardzo jestem samotny, bo nikt samotny tak nie mówi. Wiem, że to prawda. Wiem. Znajdź opowieść i daj mi, tak? Znajdź i daj mi.

Patrzyłem, jak trze nogą o nogę, ślepia puste, zapadłe poliki rozciągnięte od uśmiechu. Byłby albinosem albo dorosłym mingi, gdyby jego skóra nie nabrała ziemistości białych uczonych.

– Oddasz mi wolność, jeśli dam ci opowieść?

– Tylko jeśli wielce mnie rozweseli. Albo zasmuci.

– Ach, więc szukasz wzruszenia. Inaczej odgryziesz mi głowę i pożresz mnie w pięciu kęsach.

Popatrzył na mnie zdumiony. Potem coś odrzekł, chyba, że nie wiedział, że małpy to mój ród. Z jego dziury wyciekał jedwab.

– Nie, jestem człowiekiem i bratem! Jestem człowiekiem!

Doskoczył i chwycił mnie za kark. Prychał i warczał, zaczął rwać nici wokół mnie, podarł mi odzienie i zadrasnął szyję szponami.

– Czy nie jestem? Pytam cię. Jestem czy nie jestem człowiekiem?

Oczy mu poczerwieniały, z paszczy cuchnęło.

– Jesteś bratem. Jesteś moim bratem.

– Więc jak mam na imię?

– Kami… Kami… Kami… Kola.

W tej chwili najbardziej przypominał człowieka, bo nie mogłem nic wyczytać z jego oblicza. Potwory nigdy nie ukryją twarzy pod twarzą, ludzie w tym mistrzami.

– Znajdź opowieść i daj mi.

– Pragniesz opowieści? Dobrze, usłyszysz jedną ode mnie. Żyła sobie pewna królowa, a mężczyźni i kobiety skłaniali przed nią głowy jak przed królową. Ale królową nie była, była tylko siostrą Kuasz Dary, Króla Północy. Wygnał ją do Manthy, fortecy ukrytej w górach na zachód od Fasisi, sprzeniewierzając się w ten sposób woli swego ojca, który chciał, aby pozostała na dworze. Ale ojciec ten zerwał wcześniej ze swoim ojcem, bo w każdym pokoleniu odsyłano najstarszą córkę do Manthy, aby nie upomniała się o prawowite miejsce na tronie. Ale to nie jest ta opowieść.

Ta królewska siostra myśli, że jest królową. Lissisolo ma na imię. Spiskowała z kilkoma przeciw Królowi, a Kuasz Dara ją ukarał. Zabił jej oblubieńca i dzieci. Jej nie mógł zabić, bo wielką klątwą dla krwi rodowej byłoby zabić kogoś z własnej krwi rodowej, nawet złą krew. Wygnał ją

więc do ukrytej fortecy i miała tam zostać mniszką na resztę życia. Ale siostra Króla knuła. Siostra Króla spiskowała. Siostra Króla knuła jeszcze bardziej. W Kalindarze znalazła jednego spośród setek książąt bez księstwa i wzięła go potajemnie za męża, aby narodzone z tego dziecko nie było bękartem. Ukryła dziecko przed gniewem Króla, albowiem nie na żarty się rozgniewał, gdy szpieg doniósł mu o zamążpójściu i narodzinach. I postanowił zabić dziecko. Ale to nie jest ta opowieść.

Siostra Króla straciła dziecko, a właściwie pozwoliła synka uprowadzić i najęła mnie i innych, byśmy go znaleźli. I znaleźliśmy, jako brańca krwiopijców i jednego, co miał ręce jak stopy i skrzydła jak nietoperz, i oddech jak odór dawno umarłych, a jako że wolał krew, jego brat mógł się rozkoszować pożeraniem. I choć zwróciliśmy dziecko, a było nas kilku, coś w nim siedziało dziwnego, woń, która była i której nie było. Dziecko i królewską siostrę tropili także ludzie Króla, pojechaliśmy więc z nimi do Mueru, bo przepowiednia mówiła, że tam będą bezpieczni, choć inna mówi, że żaden człowiek nie opuści Mueru. Ale to nie jest ta opowieść.

Prawdę ci powiem. Siedziało w tym chłopcu coś takiego, co niepokoiło bogów i każdego, kto pragnie mieć serce zawsze uspokojone. Byłem jedynym, który to widział, ale nic nie mówiłem. Został z matką w Mueru, pod strażą kobiet i zbuntowanej piechoty mężczyzn, którzy stanęli na posterunku przed krainą, bo żaden człowiek, który przybędzie do Mueru, z Mueru nie odejdzie. I tak się stało, że jedyny demon, którego nie zabiliśmy, ten ze skrzydłami nietoperza, ten, którego zwą Sasabonsam, przyszedł po chłopca i zabrał go, a przynajmniej tak mówili i wciąż mówią. I odleciał z chłopcem, który nie wrzasnął ani razu, choć przecież mógł wrzasnąć, nie krzyknął ani razu, choć krzyczał z byle czego, nie wszczął hałasu, choć jego matka zawsze spodziewała się intruza. Nie możesz zepchnąć tego, który skoczył. A ten człowiek-nietoperz i chłopiec zabawiali się najstraszliwiej.

Wiele z tego jest podłe i obrzydliwe, zgorszyłoby najniegodziwszego boga i najnikczemniejszą wiedźmę. I pewnego dnia natknęli się na drzewo, na którym… dotarli do miejsca, gdzie mieszkała miłość. Chłopiec z nim był, ktoś napisał krwią na piasku. Pięknym pismem napisano na piasku. Ale to nie jest ta opowieść.

Bo ten, który mieszkał w domu miłości, on natrafił na przesłanie napisane na piasku przez tego, co umarł. Słów mu zabrakło, przepełniły go żałość i wściekłość, bo oni padli. Wszyscy. Z niektórych została tylko połowa. Niektórzy zjedzeni w połowie, niektórzy wysączeni z krwi do ostatniej kropli. I ten człowiek płakał, ten człowiek zawodził, ten człowiek przeklął milczenie bogów, potem przeklął samych bogów. I ten człowiek, on ich pochował, nie mógł jednak pogrzebać tej stworzonej z ducha, bo choć nie mogli jej zabić, to pole rzezi doprowadziło ją do obłędu i teraz grasuje aż do Morza Piasków, wystękuje pieśń upiorów. I ten człowiek padł na kolana dziewięć razy w wielkiej żałości, głębokiej niedoli i wspaniałym smutku. I człowiek ten, po księżycach i księżycach smutku, pozwolił temu smutkowi osiąść, stwardnieć i zmienić się we wściekłość, która osiadła, stwardniała i zmieniła się w cel. Bo wiedział, z kim przyszedł chłopiec albo kto przyszedł z chłopcem. Wiedział, że to bestia, której brata zabił Lampart, choć bestia przyszła i na nim chciała dokonać pomsty. Zwrócił się do swojego przyjaciela: śmierć ich wszystkich jest na twoich rękach. Naostrzył topory, a ostrza noży umoczył w plwocinie żmii, po czym wyruszył do Mueru, bo stamtąd chłopiec przyszedł i tam miał wrócić. Oto prawda, człowiek ten nie rozmyślał nad tym długo, bo wciąż był poza myśleniem. Oto głębsza prawda. Zabiłby chłopca i każdego, kto by go chronił, oraz nietoperza i każdego, kto stanąłby na drodze. Nie wiedział nic o obyczajach nietoperzy, wiedział jednak sporo o obyczajach chłopców, a wszyscy chłopcy ciągną do domu do matki.

Człowiek ten zajeździł jednego konia na ziemi, drugiego na piachu, trzeciego w buszu, czwartego nareszcie w Mueru. Noc rozpostarła się we wszystkich krainach, a u granic krain stała piechota. Kto wie, ilu się rozleniwiło od jedzenia i spania? Natknął się na nich, przejechał wśród nich z pochodnią w ręku, wywracając garnki i tratując jednego żołnierza, a oni rzucali włóczniami, lecz chybiali, szukali strzał, lecz byli nazbyt strudzeni albo pijani i strzelali do siebie nawzajem, a gdy kilku powstało na tyle, żeby chwycić drzewce i łuki, i maczugi, zobaczyli, dokąd zmierza, i odstąpili. Bo skoro śmierć tak słodka mu się jawi, kim jesteśmy, aby próbować go powstrzymać, niechybnie powiedział jeden z nich.

A w co innego prócz wściekłości i smutku odział się ten człowiek? Poganiał konia po srogiej ziemi Mueru, lżejszej od piasku i gęstszej niż błoto, obok źródeł, które ugotowałyby ludzkie ciało i cuchnęły siarką. Obok pól, na których nic nie rosło, po starych połamanych, pogruchotanych ludzkich kościach. Jedna z krain, nad którą nigdy nie wschodzi słońce. Natrafił na jezioro czarne, brązowe i szare, które podgryzało brzeg, więc objechał je dokoła, bo kto wiedział, jaki stwór w nim żyje? Pragnął krzyknąć do jeziora, że stanie przeciwko każdemu potworowi, który z niego wyjdzie, a to za opóźnianie wędrówki.

Dziesięć bezimiennych tuneli Mueru. Jak dziesięć wywróconych urn bogów. Jego koń stanął przed jednym, wysokim na czterysta kroków po czterysta kroków lub nawet wyższym, wyższym niż długie jest pole bitewne, wyższym niż szerokie jest jezioro, tak wysokim, że strop niknął w cieniu i mgle. I równie szerokim. U wejścia do tunelu wierzchowiec był jak mrówka, a jeździec jeszcze mniej. Najdalszy tunel miał największy wlot, obok tunel najwyższy, a jednak wejście do niego było mniejsze od człowieka stojącego na ramionach drugiego. Dalej tunel tak samo wysoki, wejście nisko w ziemi, więc mógł wjechać wprost do środka. W pobliżu

tunel niewiele wyższy niż koń. I tak w głąb. Każdy korytarz biegł wyżej, niż znajdowało się wejście i bardziej niż obalone urny one wszystkie wyglądały jak olbrzymie robaki zmorzone snem lub pokonane. U podstawy ścian miedź lub rdza, uformowana przez boskich kowali czy kogoś innego. Lub żelazo i mosiądz, stopione razem w rzemiośle znanym tylko bogom. Po zewnętrznej stronie ścian arkusze metalu, we rdzy lub połysku, od ziemi po niebo.

Skrzek. Ptaki z ogonami i tęgimi łapami, ze skrzydłami gruboskórnymi. Mech i brązowa trawa porastały strop każdego tunelu, łącząc razem ukryte pod bujną naroślą. Wszystko bure. Poprowadził konia środkowym tunelem ku światłu na końcu, które nie było światłem, bo w Mueru światła nie znano, tylko rzeczy, co się jarzą.

Na końcu znajdowały się rozległe stepy poznaczone okrągłymi otworami wypełnionymi sadzawkami wody, która cuchnęła siarką, a u stóp uroczyska pałac, co wyglądał jak wielka ryba. Z bliska przypominał statek na mieliźnie, złożony cały z żagli, pięćdziesięciu i stu, nawet więcej. Żagiel na żaglu, białe i brudne, brązowe i czerwone, jakby rozbryzgana krew. Dwa rzędy schodów, dwa swobodne języki wystające z dwóch bram. Żadnych wartowników, straży, żadnej oznaki działania czarodziejstwa czy nauki. W progu odrzucił pochodnię i wyciągnął oba topory. W sieni, wysokiej jak pięciu chłopa jeden na ramionach drugiego, ale szerokiej tylko na rozpiętość rąk, unosiły się swobodnie kule, niebieskie, żółte i zielone, płonęły jasnością jak świetliki. Dwaj mężczyźni, granatowi jak mieszkańcy Dolingo, nadeszli z dwóch stron, pytając: jak ci pomóc, przyjacielu? Jednocześnie obaj powoli dobyli miecze. Skoczył i oburącz zamachnął się na tego z lewej, rąbiąc i rąbiąc go w twarz. Potem uderzył go raz w szyję. Ten z prawej natarł, ale on wyślizgnął się poza zasięg pierwszego ciosu, zawirował przy ziemi i ciął go w kolano. Strażnik padł na ranną nogę i zawył i zaraz ostrze

trafiło go w skroń, szyję, lewe oko, potem runął od kopniaka. On szedł, potem biegł. Nadbiegło ich więcej, więc skakał, dawał susy, przyklękał, rąbał, ciął, powalając wszystkich. Uchylił się przed ostrzem miecza i wyrżnął fechmistrza łokciem w twarz, chwycił go za kark i dwa razy grzmotnął jego głową w ścianę. I biegł dalej. Zaatakował strażnik z wojennym wrzaskiem, nie miał zbroi, ale miał miecz. On sparował cios jednym toporem, opadł na kolana i rąbnął w goleń. Strażnik wypuścił miecz z ręki, więc on go chwycił i przebił nim właściciela.

Strzała przemknęła obok jego skroni. Chwycił strażnika z nadrąbaną głową i obrócił go, aby zatrzymać drugą strzałę. W biegu czuł, jak kolejne wbijają się w trupa, aż w końcu znalazł się na tyle blisko, że mógł rzucić pierwszym toporem, który trafił łucznika w nos i czoło. Odebrał mu pas z mieczem. Biegł i biegł i w końcu z korytarza wpadł do wielkiej sali, w której były tylko kule światła. Natarł na niego olbrzym, pomyślał więc o ogo, który był jego wiernym przyjacielem, człowiekiem, nie olbrzymem, człowiekiem o zawsze nieutulonym smutku, i zawył z wściekłości, rozpędził się i wskoczył olbrzymowi na plecy, i rąbał, rąbał w czaszkę i kark, aż czaszki i karku już nie było, a tamten runął.

– Królewska siostro!

Cisza w sali, tylko echo odbijające się szaleńczo od ścian i sufitu, potem milknące.

– Zabijesz wszystkich? – spytała.

– Zabiję cały świat.

– Olbrzym był tancerzem i pielęgniarzem dzieci. Nigdy nie zrobił tutaj nikomu nic złego.

– Ale tu był. To wystarczy. Gdzie on jest?

– Gdzie kto jest?

Chwycił włócznię i rzucił ją tam, skąd zdawał się pochodzić głos. Uderzyła w drewno. Kule rozjarzyły się jaśniej.

Siedziała na czarnym tronie obramowanym kauri i włócznia wbiła się kilka dłoni wyżej. Dwie straże, kobiety, stały z mieczami u jej boku, kolejne dwie z włóczniami obok nich w przyklęku. U jej stóp dwa ciosy słoniowe, za plecami rzeźbione kolumny wysokie jak drzewa. Jej koroną grube płótno zawinięte wokół głowy, by wyglądało jak płomienny kwiat. Powłóczyste szaty z ramion do stóp, pod szyją złoty napierśnik, jakby była jedną z królowych wojowniczek.

– Jakie to ciężkie, wygnanie w tym miejscu bez życia – powiedział.

Popatrzyła na niego i się roześmiała, na co się wściekł, bo przecież nie przemówił żartem.

– Pamiętam, że byłeś tak bardzo czerwony, nawet po ciemku – odparła. – Czerwona ochra, jak u kobiet nadrzecznych ludów.

– Gdzie twój syn?

– I jakże biegły byłeś w machaniu toporem. I jeszcze był Lampart, co z tobą wędrował.

– Gdzie chłopiec?

– To bunszi, to ona powiedziała: odnajdą twojego chłopca, zwłaszcza Tropiciel. Mówi się, że ma nos.

– Mówi się, że masz cipę. Gdzie twój pierdolony syn?

– A co dla ciebie mój syn?

– Mam z nim sprawę.

– Mój syn nie ma spraw z ludźmi, których nie znam.

Wyczuł go, nadchodzącego w mroku, próbującego poruszać się w cieniu, poruszać cicho. Z prawej strony. Nawet się nie odwrócił, po prostu rzucił toporem i trafił strażnika w mroku. Tamten krzyknął i padł.

– Wezwij ich. Poślij po wszystkich swoich ludzi. Usypię tu mur z trupów.

– Czego chcesz od mojego syna?

– Wezwij ich. Wezwij swoje straże, skrytobójców, wezwij olbrzymów, wezwij najlepsze wojowniczki, swoje potwory. I patrz, jak utoczę morze krwi u twoich stóp.

– Czego sobie życzysz od mojego syna?

– Domagam się sprawiedliwości.

– Domagasz się zemsty.

– Domagam się, jakkolwiek zechcę to nazwać.

Zbliżył się o krok do tronu i dwie strażniczki opadły przed nim na linach. Pierwsza, z mieczem, chybiła celu, ale druga, z maczugą, obaliła go ciosem. Upadł i prześlizgnął się na śliskiej posadzce. Podbiegł do upuszczonego miecza i chwycił go, zanim ona zamachnęła się maczugą drugi raz. Zamachnęła się z całej siły, ale nie zdołała dość szybko powstrzymać jego ciosu. Kopnął ją w plecy i upadła. Natarł, lecz machnęła maczugą i trafiła go w pierś. Padł na plecy, ona zerwała się do boju. Chciał wznieść miecz, ale nadepnęła mu na dłoń. Kopnął ją w koo i padła ciężko na kolana wprost na jego pierś, aż odebrało mu dech. Strażniczka, kłykcie ubrane w twardą rękawicę, uderzyła go pięścią w twarz, raz, drugi, trzeci, aż ogłuszyła.

Wysłuchaj tego. Obudził się w celi jak klatka, zawieszonej nad podłogą. Bo klatka to była. Pomieszczenie ciemne i czerwone, nie sala tronowa.

– Domagał się cycka. Jaką kpinę by wyśpiewywano, gdyby griot żył w tej krainie. Powiesz, co też musi się wyprawiać w krainie bez griota. Zważ, było tak, chociaż szedł mu już siódmy rok życia i był chłopcem

zmierzającym ku męskości. Garnął się do mojej piersi, zanim choćby spojrzał na moją twarz.

Odwrócił się tam, skąd pochodził głos. Po prawej stronie rząd pięciu pochodni na ścianie, lecz niczego nie oświetlały. Poniżej mrok i cień, może tron, lecz nie widział niczego prócz cienkich kolumn wyrzeźbionych w ptaki.

– Daj mężczyźnie wolną rękę, a obmaca cię całą. Daj chłopcu, a… Nie przyjmował odmowy. I co powiedzieliby bogowie o kobiecie, która własnemu dziecku skąpi pokarmu? Własnemu synowi? Owszem, od dawna są ślepi i głusi, ale który bóg nie osądziłby matki za to, jak wychowuje przyszłego króla? Spójrz na mnie, co za mleko mogą skrywać te piersi? – Umilkła, jakby spodziewała się odpowiedzi. – Ale właśnie, nawet w pełni mężczyźni, musicie ssać pierś. A mój drogocenny chłopiec. Do piersi szedł, jakby szedł na wojnę. Czy powinnam ci wyznać, że nieomal odgryzł mi sutki? Najpierw lewy, potem prawy. Przegryzł skórę do mięsa i wciąż ssał. Przecież jestem kobietą. Krzyczałam na niego, ale nie przestawał, oczy miał zamknięte, jak wy wszyscy, mężczyźni, gdy dochodzicie. Musiałam go złapać za szyję, mojego synka, żeby tego zaniechał. Mój synek, patrzył na mnie i się uśmiechał. Uśmiechał. Z zębami czerwonymi od mojej krwi. Odtąd dawałam mu służkę. Była rozgarnięta pod czaszką. Co wieczór się zacinała, żeby mógł ssać. Czy w tym dziwność? Czy jesteśmy dziwni? Ty Ku. Podrzynacie krowom gardło, żeby pić krew, czy jest w tym dziwność?

Milczał. Chwycił się tylko prętów klatki.

– Myśli masz wypisane na twarzy. Patrzysz na mnie z odrazą i potępieniem. Ale czy wiesz, co znaczy mieć dziecko? Na co byłbyś gotów dla dziecka?

– Nie wiem. Może bym porzucił, by zostało zabite. Nie, sprzedane. Nie, uprowadzone i wychowane przez wampiry. I może trzeba mieć u boku

kogoś, kto poprosi kogoś, kto poprosi kogoś, aby odnalazł maleństwo, kłamstwo za kłamstwem, aby nikt nawet nie przeczuwał, że miałaś syna. Czy to znaczy mieć dziecko?

– Milcz.

– Musisz być najwspanialszą ze wszystkich matek.

– Nie pozwolę ci się do niego zbliżyć.

– Pozwoliłaś mu odejść czy znów go utraciłaś, wspaniała matko?

– Zdajesz się myśleć, że mój syn dopuszcza się bezeceństw.

– Twój syn jest bezeceństwem. Diabłem…

– Nic nie wiesz. Diabły się rodzą. Wszyscy grioci o tym śpiewają.

– Nie masz griotów. A diabły są stworzone. Ty je tworzysz. Tworzysz, zostawiając na pastwę każdemu, kto miałby ochotę…

– Śmiesz wyrokować, co dzieje się w mojej głowie? Osądzasz mnie, królową? Kim jesteś, aby mi mówić, jak mam postępować ze swoim dzieckiem? Ty dzieci nie masz. Ani jednego.

– Ani jednego.

– Co?

– Ani jednego.

I wtedy opowiedział jej historię.

– Nie miały imion, bo Gangatom nigdy takim imion nie nadają, bo dla nich też były dziwnymi istotami. Co nie znaczy, że Gangatom przejmują się dziwnym. Ale gdyby ktoś powiedział Żyrafik, wszyscy w wiosce wiedzieliby, o kogo chodzi pod tym mianem. Inaczej niż u ciebie, żadne nie było z mojej krwi. Ale tak samo jak u ciebie, bo innym pozwoliłem wychowywać i jeszcze powiedziałem, że to dla ich dobra, choć było dla dobra mojego. Ktoś doniósł, że Król Północy narzuca ludom nadrzecznym jarzmo niewoli, aby służyły na jego wojnie, więc poszliśmy po dzieci, bo wojna jest jak gorączka, wszyscy się zarażą. Zabraliśmy je od Gangatom, ale nie

wszystkie chciały iść. Powiedziałem do dzieci: chodźmy, ale dwoje nie chciało, potem troje i czworo, bo dlaczego miałyby iść z jednym, którego nie znają, i drugim, którego nie lubią? I ten, który był mi towarzyszem, pokazał im monetę i zaraz zamknął dłonie i otworzył, i moneta znikła, znowu zamknął i spytał, w której dłoni skryta moneta, a Żyrafik wskazał na lewą, więc lewą otworzył i wyfrunął z niej motyl. Tak po prawdzie to za nim poszły, nie za mną. Wszyscy za nim poszliśmy do krainy Mitu i tam zamieszkaliśmy na baobabie. I powiedzieliśmy dzieciom: potrzebujecie mieć imiona, bo Żyrafik i Dymka to nie imiona, tak was tylko ludzie wołają. Jednemu po drugim minął im gniew na mnie, Dymce ostatniej. Albinoska, który nie był już chłopcem, tylko wysoki się zrobił jak mężczyzna, nazwaliśmy Kamangu. Żyrafika, który wysoki był zawsze, nazwaliśmy Niguli, bo wcale nie przypominał żyrafy. Nie miał cętek, a długie miał nogi, nie szyję. Kosu nazwaliśmy chłopca bez nóg. Toczył się wszędzie jak kula, ale zbierał na sobie brud, gówno, trawę albo kolce, a wtedy krzyczał. Najpierw Złączonym Bliźniakom daliśmy połączone imiona, ale złorzeczyli na nas jak stare wdowy. Ty i on wszystko macie wspólne, a jednak imiona inne, powiedzieli do mnie i Mossiego. Tak więc tego głośnego nazwaliśmy Loembe, a tego cichszego, ale wciąż głośnego Nkanga. I jeszcze Dymka. Ten, który był mój, rzekł, jedno z nich musi mieć imię ze stron, z których pochodzę. Jedno chociaż musi mi przypominać o mnie. Dlatego Dymkę nazwał Chamsin, od wiatru, który dmie pięćdziesiąt dni. Mówisz mi o dzieciach, a jakie imię twojego chłopca, oprócz że chłopiec? Dałaś mu jakieś imię?

– Zamknij się.

– Jesteś królową pośród matek.

– Milcz! – Poruszyła się na siedząco, ale pozostała w mroku. – Nie będę znosić osądów mężczyzny. Wygłaszającego różne twierdzenia o moim

dziecku. Czy to wściekłość cię tu przywiodła? Bo nie mądrość. Jak mamy to przeprowadzić? Czy powinnam przywołać tu teraz moje dziecko i dać ci nóż? Miłość ślepotą, czyż nie? Boleję nad twoją stratą. Lecz równie dobrze mógłbyś mi opowiadać o gasnących gwiazdach. Mojego syna tutaj nie ma. Jakże szybko odmawiasz ujrzenia, że on też jest ofiarą. Że obudziłam się, aby usłyszeć, że moje dziecko przepadło. Porwane. Że mój syn przeżył tyle lat i księżyców w niezgodzie ze swoją i moją wolą. Jak mógłby znać cokolwiek innego?

– Diabeł wielkości trzech chłopa, ze skrzydłami szerokimi jak piroga, wślizgnął się niezauważony do twego pałacu.

– Zabierzcie go – zwróciła się do straży.

Sukno spadło na klatkę i pozostawiło go w ciemności. Klatka grzmotnęła o ziemię i mężczyzna uderzył o pręty. Trzymano go bez światła jak najdłużej – kto wie, ile dni to trwało? Gdy zdjęli sukno z klatki, znajdował się w innym pomieszczeniu, z otworem w suficie, przez który dym umykał ku niebu. Siostra Króla stała obok innego siedziska, niepodobnego do tronu, ale z wysokim oparciem.

– Moje krzesło porodowe ukazuje moją przeszłość. Wiesz, co widzę? Urodził się stopami do przodu. Mogłabym to odebrać jako omen, gdybym w omeny wierzyła. Co Sogolon o tobie mówiła? Że podobno masz nas. Może to nie ona mi o tym powiedziała. Chcesz odnaleźć mojego syna. Też bym tego chciała, ale z innych powodów. Mój syn też jest ofiarą, nawet jeśli z własnej woli wszedł do Mueru, nie dostrzegasz tego?

Nie odpowiedział: nie, bo widziałem twojego syna. Widziałem, jak wygląda, kiedy myśli, że nikt na niego nie patrzy.

– Moja yeruuolo powiedziała, że powinnam ci zaufać w poszukiwaniach chłopca. Może nawet ocalisz go od nietoperza. Chyba jest głupia, ale osta-

tecznie… Nie ma zakończenia dla tego, co chciałam ci rzec.

Skinęła Tropicielowi głową i podeszła do niego jedna z pomywaczek z kawałkiem płótna, zielonym i białym. Oddartym kto wie od czego?

– Powiadają, że masz nos – rzekła.

Wskazała go palcem i wtedy pomywaczka podbiegła do klatki, rzuciła płótno i uciekła do tyłu. Podniósł szmatkę.

– Czy to ci powie, dokąd poszedł? – spytała.

Ścisnął płótno w dłoni, ale go nie powąchał, odsunął od nosa i uchwycił spojrzenie królewskiej siostry, oczy szeroko otwarte, oczekiwanie. Odrzucił płótno. Znowu zakryły klatkę. Gdy obudził się w sali tronowej, wiedział, że sen trwał wiele dni. Że z pewnością użyły przeciw niemu złych oparów albo czarów sennych. W środku było więcej światła niż poprzednio, ale i tak panował półmrok. Siedziała na tronie, za nią te same kobiety, straże przy obu ścianach, i jeszcze starucha, o białym obliczu, szła ku niemu. Ręce pozostawiły mu swobodne, ale na szyi miał obręcz z miedzi, co drapała jak kora. Dwie strażniczki stały za jego plecami, przysunęły się, gdy spróbował zrobić kilka kroków.

– Znów składam ci ofertę, Tropicielu. Odnajdź mojego syna. Czy nie widzisz, że musi być ocalony? Czy nie widzisz, że jest bez winy?

– Ledwie kilka dni temu powiedziałaś, że nie pozwolisz mi się do niego zbliżyć – odparł.

– Zbliżyć, tak. Wydaje się, że Tropiciel to jedyny człowiek, który wie, jak się zbliżyć do mojego syna.

– To żadna odpowiedź.

– Może odwołanie się do serca, które szuka pomsty. Odwołanie serca do serca.

– Nie. Zabrakło ci ludzi. Teraz prosisz tego, który zaprzysiężony, by go zabić.

– Kiedy to poprzysiągłeś? Komu? To zapewne jedno z tych, co mówią mężczyźni, jak wtedy, kiedy mówią: to najlepsze, to moje ulubione. Nigdy nie wierzyłam w przysięgi ani w mężczyzn, którzy je składają. Chcę od ciebie danego mi słowa, że gdy cię uwolnię, odnajdziesz mojego syna i przyprowadzisz go do mnie. Zabij potwora, jeśli musisz.

– Masz piechotę. Dlaczego ich nie wyślesz?

– Wysłałam. Dlatego teraz proszę ciebie. A mogłabym rozkazać. Jestem twoją królową.

– Nie jesteś królową.

– Jestem tutaj królową. A gdy wiatr w tych krainach się zmieni, będę matką króla.

– Króla, którego straciłaś już dwa razy.

– Więc odnajdź go dla mnie. Jak mam uleczyć twój smutek? Nie potrafię. Ale sama też zaznałam straty.

– Zaznałaś?

– Rzecz jasna.

– Miło memu sercu to słyszeć. Powiedz mi, że nie jestem jedynym, który wraca do domu i odnajduje swojego syna bez połowy twarzy. I tylko rękę drugiego syna. A najdroższego mu z dziurą tam, gdzie miał pierś i brzuch. Albo wiszącego na…

– Czy mamy porównywać zamordowanych najbliższych i zarżnięte dzieci? To w tej sprawie wydasz osąd, żeby zobaczyć, czy jesteś lepszy ode mnie?

– Twoje dziecko zostało ledwie skrzywdzone.

– Resztę moich dzieci zabił mój brat. A więc porównujemy, abyś wyszedł zwycięsko z tej rywalizacji?

– Nigdy nie mówiłem, że idziemy w zawody.

– To dlaczego starasz się wygrać?

Milczał.

– Czy odnajdziesz swojego króla?

Zastygł. Czekał. Wiedział, że ona spodziewa się, by czekał, zastygł, zadumał się, może bił się z myślami, a wreszcie podjął decyzję.

– Tak – odparł.

Starucha spojrzała na niego i przekrzywiła głowę, jakby tym sposobem naprawdę poznawało się człowieka.

– Kłamie – orzekła. – Nie ma wątpliwości, że go zabije.

Strażnika za plecami uderzył łokciem w nos, odepchnął go, wyrwał mu miecz i wbił głęboko w brzuch. Zrobił unik bez patrzenia, bo wiedział, że drugi będzie chciał ciąć w szyję. Klinga przecięła powietrze nad jego głową. Przetoczył się po podłodze i zaciął go w łydkę. Strażnik padł, a on wbił mu miecz w pierś i zabrał jego broń. Pojawiło się ich więcej, jakby wychynęli ze ściany. Najpierw natarło dwóch i stał się Mossim, wojownikiem dwóch mieczy ze Wschodu, który nigdy nie przychodził do niego w umyśle ani duchu, odkąd napisał na piasku własną krwią. Nie, Mossi nie przychodził teraz do niego. Tropiciel pomyślał o nim stojącym na skałach, ćwiczącym fechtunek. Pierwszego strażnika kopnął w jądra i gdy ten padł, skoczył na niego, natarł na dwóch następnych, ich włócznie odtrącając lewym mieczem, prawym tnąc pierwszego w brzuch, drugiego dźgając w ramię. Lecz posłuchaj, z jego pleców bluznęła krew, a ten, który go ranił, zaatakował mocniej. Odtoczył się poza zasięg drugiego ciosu. Strażnik znowu się zamachnął, lecz wpierw się zawahał – miał rozkaz nie zabijać, to było jasne. Zastygł zbyt długo, bo miecz Tropiciela przeszył go na wylot.

Otoczyli go. Rzucił się na nich, odstąpili. Obręcz zapięta na szyi zacisnęła się, jakby dłoń ściągnęła silnie pętlę. Miecze wypadły z obu rąk. Kaszlał, ale kaszleć nie mógł, warczał, ale warczeć nie dawał rady. Mocniej i mocniej, twarz nabrzmiała, mózg chciał wybuchnąć. I oczy. Strach. Nie

strach, wstrząs. *Wyglądasz, jakbyś nie wiedział. Zły człowieku, na pewno wiedziałeś. Zaklęcie sangomy cię opuszcza. Nie będziesz więcej panował nad metalami*. Wiatr nie wiał do nosa, wiatru nie było. Upadł na jedno kolano. Strażnicy się cofnęli. Podniósł wzrok, oślepiony łzami, a starucha wyciągnęła prawą dłoń i zacisnęła pięść. Nie uśmiechała się, ale sprawiała wrażenie kobiety myślącej szczęśliwą myśl. Znów spróbował zakaszleć, ledwo już ją widział. Zaskrobał palcami po podłodze i odnalazł miecz. Chwycił go, wzniósł jak włócznię, rzucił mocno i szybko. Miecz trafił staruchę prosto w serce. Oczy wyszły jej na wierzch. Otworzyła usta i polała się czarna krew. Padła i wtedy pękła obręcz na jego szyi. Strażnik uderzył go od tyłu w głowę.

Powąchaj – powiedziała siostra Króla, gdy Tropiciel się ocknął.

Kto by zgadł, co to za pomieszczenie, ale Tropiciel nadal przebywał w klatce, z tym samym kawałkiem tkaniny u stóp.

– To po nim. Z jego ulubionej pościeli. Aż służki musiały prać w każdą ćwierć księżyca, zaiste, dawniej miało wiele kolorów. Możemy dobić innego targu. Znajdź go i przyprowadź, a z tamtym zrób, co chcesz. Jeśli zdołasz wydostać się z Mueru. Wielu przybywa, nikt nie odchodzi.

– Czary?

– Która wiedźma chciałaby, aby mężczyzna pozostał? Ale możesz spróbować odejść. Powąchaj szmatkę.

Chwycił tkaninę, przysunął ją do nosa i wciągnął głęboko woń. Wypełniła mu głowę i już wiedział, co to jest, jeszcze zanim nos powędrował do źródła. Podskoczył, bo trafiło go między nogi.

– Spójrz na siebie. Chciałeś wiedzieć, dokąd odszedł, a ja dałam ci to, skąd przyszedł. – Roześmiała się donośnie, a jej głos odbił się echem po

pustej sali. – Ty. Ty masz być tym, który wygubi cały świat? – dodała i wyszła.

Tej nocy Tropiciel przebudził się w wyśnionej dżungli. Obok drzew tak małych jak krzaki i krzaków wysokich jak słonie szedł i szedł na poszukiwania. Natknął się na nieruchomą sadzawkę, w której nie było życia. Najpierw zobaczył siebie. Potem zobaczył chmury, potem góry, wreszcie ścieżkę i uciekające słonie, antylopy, gepardy, za nimi inną drogę, która prowadziła do murów miejskich, na murach wieża, a w wieży, patrzącego na niego, oko w oko, tego, którego szukał. Człowiek ten jakże był zdumiony, słysząc wołanie Tropiciela, ale odpowiedź znał bez pytania.

– Wiesz, że mogę cię zabić we śnie.

– Ale zastanawiasz się, dlaczego wołam ciebie, najgorszego z wrogów – odparł Tropiciel. – Oszczędź mi kłamstw. Żaden człowiek nie może odejść z Mueru, ale ty nie jesteś człowiekiem.

Uśmiechnął się i odrzekł:

– To prawda, nie można odejść z Mueru, chyba że umrzesz lub popadniesz w obłęd, zarządziła tak bogini z uczuciem pomsty do mnie. Musiałbyś mieć kogoś poza czarodziejstwem, kto cię wyprowadzi. Ale co za to dostanę?

– Chcesz głowę tego chłopca. Ja mogę cię do niego poprowadzić.

Było to kłamstwo, bo zgubił woń dziecka, a potem miał się dowiedzieć, że nie miało już woni, w ogóle żadnej, ale dobili targu, Tropiciel i Aesi.

– Powiedz mi, gdzie będziesz w pałacu, kiedy się dowiesz – poprosił Aesi.

Ten człowiek, który nie był człowiekiem, przyszedł po niego i zabrało mu to półtora księżyca, a Północ już dawno cisnęła pierwszymi włóczniami w Południe. W Uakadiszu i Kalindar.

Oto co się wydarzyło. Tropiciela obudził hałas upadających ciał. Do jego celi wszedł strażnik i bez słowa skinął głową, aby z nim poszedł. Obaj przeszli nad trupami innych strażników i ruszyli dalej. W głąb korytarza, obok sali, schodami w dół, schodami w górę, schodami w dół. Kolejnym korytarzem, obok wielu martwych strażników, śpiących strażników, obalonych strażników. Ten, który milczał, wskazał konia czekającego u stóp masywnych schodów prowadzących na zewnątrz, a Tropiciel odwrócił się, aby powiedzieć: co, bo nie wiedział, ale zobaczył tylko szeroko otwarte oczy tamtego, a w nich nic. Potem on padł. Tropiciel pobiegł schodami, w ich połowie chwycił miecz zabitego strażnika, dosiadł wierzchowca i odjechał, obok dymiących jezior, tunelem, na sam skraj Mueru. Koń zarył kopytami w ziemię, żeby zrzucić jeźdźca, ale Tropiciel już w locie uchwycił się wodzy. Koń odwrócił się i pogalopował.

Tropiciel ruszył na dalszą wędrówkę i po pewnym czasie zobaczył w ciemności postać w kapturze. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami i pisała w powietrzu sposobem Sogolon, unosząc się nad ziemią. Tropiciel zbliżył się i człowiek ten wyciągnął rękę przed siebie, aby go powstrzymać. Wskazał na prawo i Tropiciel skierował się w prawo, a gdy pokonał dziesięć i pięć kroków, ogień wystrzelił z ziemi tuż przed nim. Odskoczył. Tamten skinął, aby Tropiciel zrobił kolejnych dziesięć kroków i przystanął. Ziemia pod spodem pękła i rozwarła się, rozsunęła z głuchym dudnieniem, zadygotała. Tamten zsunął nogi, a w prawej dłoni potarł coś lepkiego. Rzucił tym – sercem – w przepaść, a przepaść zasyczała, kaszlnęła i zawarła się. Potem machnął ręką, aby Tropiciel podszedł. Rzucił coś innego, od czego powietrze zaiskrzyło jak od błyskawicy. Iskra przeskakiwała w iskrę, w iskrę, a potem buchnęło, obalając Tropiciela na ziemię.

– Wstań i umykaj – powiedział mężczyzna. – Nie potrafię ich już utrzymać w karbach.

Tropiciel odwrócił się i zobaczył zbliżający się tuman kurzu. Jeźdźcy.

– Umykaj! – krzyknął mężczyzna.

Tropiciel podbiegł do miejsca, w którym ten siedział, i obaj stanęli, dopadnięci przez konnych. Tropiciel zadrżał, gdy tamci nadjechali wprost na nich. Lecz w swoim towarzyszu dojrzał spokój i uszczknął go trochę dla siebie, choć wszystko w nim chciało krzyczeć. Stratują nas, pierdolić bogów, dlaczego nie uciekamy? Jeździec doskoczył na bliskość oddechu i wjechał w mur, którego nie było. Ludzie i konie wpadali na zaporę, wielu jednocześnie, jedne zwierzęta łamały szyje i nogi, jeźdźcy wykatapultowani w powietrze, walący w mur, inne stawały jak wryte, strącając swoich panów.

Tropiciel złapał Aesiego w chwili omdlenia, i odciągnął go na stronę.

– I to jest opowieść, którą znalazłem i ci dałem – powiedział.

– Ale, ale… ale… to nie jest opowieść, nawet nie połowa. Twoja opowieść jest tylko w połowie smakowita. Czy mam zabić cię tylko w połowie? I kim jest ten człowiek, co nie jest człowiekiem. Kim on? Chcę mieć imię i będę miał!

– Nie wiesz? Wołają go Aesi.

Biała istota stała się niebieska. Rozdziawiła paszczę i chwyciła się za ramiona, jakby z zimna.

– Kat bogów?

Nie obudziłem się ze snu. A jednak znalazłem się w innym lesie, w którym było niepodobnie jak w tym wcześniejszym. Zamrugałem oczami, ale to naprawdę był inny las. Nic nie żyło, nic się nie ruszało. Żadnych woni życia, żadnego nowego kwiatu, niedawnego deszczu, świeżego łajna, pająk przepadł jak płocha myśl. U swych stóp zobaczyłem jasnoszarą i białą stertę czegoś prawie przeźroczystego, jak zrzucona skóra. Obok,

skryte w trawie, leżały dwa topory i uprząż do ich noszenia na plecach. Zahaczyłem palec w rozcięciu jednego rzemienia i wyciągnąłem, to było pióro Nyki. Cała jego ścieżka otworzyła się przede mną, gdy musnąłem piórem nos. Wstecz, może trzydzieści kroków, potem w prawo, za zakręt, potem w dół, być może zboczem wzgórza i dalej, wzwyż, chyba małe wzniesienie, ale wciąż pod osłoną lasu, a potem do miejsca, z którego nie odszedł. A może to wciąż wyśniona dżungla? Pewnego razu usłyszałem pijaka w gospodzie w Malakalu, który powiedział, że jeśli człowiek zagubi się we śnie i nie potrafi rozsądzić, czy śpi, czy się przebudził, powinien przyjrzeć się swoim dłoniom, bo we śnie zawsze ma cztery palce. U moich dłoni było pięć.

Zgarnąłem swoje rzeczy i pobiegłem. Czterdzieści kroków po mokrej trawie i błocie, po paprociach, które kąsały mnie w łydki, dalej w prawo, omal wprost na drzewo, uniki w lewo, prawo, lewo, nad truchłem zwierzęcia, potem wolniej, bo las był zbyt gęsty na bieganie, na każdym kroku krzak albo pień, potem do zakrętu jak rzeka, w dół stromizny, aż najpierw poczułem w nosie, potem usłyszałem wodospad toczący się po głazach. Przeskakiwałem skałki, złaziłem powoli, ale wciąż się ślizgałem, uderzyłem łydką o ostry występ, który utoczył krwi. Lecz kto by przystanął, żeby patrzeć na ranę? Zgramoliłem się nad rzekę i wszedłem do wody, aby zmyć krew, a po długiej chwili wybiegłem na brzeg, który wznosił się wyżej i wyżej, a potem wyciągnąłem topór i wyciąłem sobie drogę w jeszcze gęstszym buszu, i właśnie wtedy coraz silniej dochodziła mnie woń Nyki. Torowałem sobie toporem drogę wśród gęstwiny mokrych liści i gałęzi chłoszczących mnie po plecach, aż dotarłem nie do polany, lecz zagajnika drzew wyższych niż wieże, z przestrzenią między nimi. Był blisko, tak blisko, że zerknąłem nad głowę, spodziewając się, że Sasabonsam powiesił go wysoko. Albo że on i Sasabonsam spotkają się jako jeden, wampir z wam-

pirem, że obaj zmówili się, aby wciągnąć mnie na jedno z drzew i rozedrzeć na pół. Spodziewałem się, że w głębi tego, co Nyka nosi zamiast serca, tkwi takie pragnienie.

Szedłem. Słyszałem własne kroki w buszu. Przede mną podążał człowiek, kilka kroków z przodu, i zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie dostrzegłem go wcześniej. Kroczył wolno, bez zdecydowania w ruchach, przechadzał się. Włosy miał długie i kręcone, a gdy mocniej naciągnął płaszcz, ramiona okazały się lekkie jak piasek. Drgnęło moje serce. Podbiegłem do niego i stanąłem, nie wiem dlaczego. Z bliska mokre włosy, ostro zarysowana żuchwa, ruda broda, wysokie kości policzkowe, dość, abym pomyślał, że to on, za mało, abym powiedział: nie, to nie może być prawda. Peleryna skrywała jego nogi, ale znałem ten długi krok, przód stopy depczący ziemię przed piętą, nawet w butach. Czekałem na woń, lecz nie nadeszła. Peleryna spadła i potoczyła się w gęstwinę. Stopy zobaczyłem najpierw, zielone od trawy, brunatne od ziemi. Potem łydki, zawsze grube i silne, jakże inne niż u mężczyzn z tych krain. I zgięcie kolana, i pośladki, niezmiennie gładkie i białe, jakby nigdy nie lubił leżeć jak małpa nagi w słońcu na wierzchołku baobabu. Nad pośladkami drzewa i niebo. Pod ramionami drzewa i niebo. Nad pośladkami dziura, nic, wszystko wyjedzone od brzucha do pleców, nieobecność wielka jak świat. Z mięsa kapała krew, a jednak szedł.

Ja iść nie mogłem. Nogi miałem słabe jak nigdy, osunąłem się na kolana, oddychałem ciężko, powoli, czekając, aby w moim sercu zapanował itutu. Nie zapanował. W mojej głowie byłem tylko ja, kładłem się na niego, tuliłem go, chroniłem oczy, bo wszędzie były muchy, płakałem, zawodziłem, krzyczałem, krzyczałem i krzyczałem do drzew i nieba. I przeczytałem to, co własną krwią napisał na piasku: chłopiec, chłopiec był z nim.

Zapłakałem: piękny mężczyzno, nie powinienem przybyć spóźniony. Powinienem przybyć, zanim odszedłeś z tego świata, i skusić twoją duszę do wejścia w nkisi, zawiesić go sobie na szyi, abym mógł go głaskać i ciebie czuć. Mistyk z nkisi w kształcie psa rzekł: jest udręczony duch, który chce z tobą mówić, Wilcze Ślepie, ale ja nie chciałem słów. Zakrzyknąłem twoje imię, ale wyszło z tego skomlenie.

Ten Mossi szedł w coraz większą gęstwinę. Tyle wiem. Nadchodzi niechybnie taka pora, gdy smutek jest tylko chorobą, a ja miałem dość chorób. Szalałem i wyłem, a woń tego potwora i tego ptaka-wampira doszły mnie i wstałem, wyciągnąłem topory i natarłem z wrzaskiem na nic, rąbałem nic. Uciekałem od nowego, z pewnością była to naczelna wiedźma usiłująca nanizać śmierć na śmierć i zszyć wszystkie razem. Od ojca, którego nie znałem, od niepomszczonego brata. Od Mossiego i jeszcze więcej. Nie naczelna wiedźma, lecz bóg podziemi mówiący mi o skrzywdzonych umarłych, którym muszę uczynić zadość, jakbym ja był przyczyną, dlaczego zginęli. Jakim zrządzeniem Tropiciel, który nie żyje dla nikogo, ma tak wielu umarłych na swoim karku. Czy należy go winić za wszystkich? Moja głowa spierała się sama ze sobą, od czego potykały się nogi. Lampart powinien być tutaj, tutaj w tej chwili, żebym go dźgnął w serce. Uderzyłem stopą o zwalone drzewo i upadłem.

Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem nogi. Wiszące nade mną, wysoko nawet wtedy, gdy już wstałem. Nogi białe jak pył z kaolinu, z czarnymi stopami, dyndającymi swobodnie. Żebra wyciągnięte z chudego tułowia i strugi zakrzepłej czarnej krwi na brzuchu. Dwie czarne plamy w miejscu sutków i wyschnięta krew, która z nich wypłynęła. Wszędzie na piersi, na szyi, na lewym policzku ślady kąsania. Ktoś szukał miękkiego miejsca, aby wbić kły. Podbródek spoczął na ramieniu, ramiona rozpostarte, spętane pnączami. Skrzydła rozłożone jeszcze szerzej, uwikłane w gałęziach i liściach.

– Nyka – szepnąłem.

Nie poruszył się. Przemówiłem głośniej. Rechot dobiegł z gęstwiny poniżej. Spojrzałem w zarośla i zarośla spojrzały we mnie. Patrzył jak wcześniej, oczy szeroko wybałuszone bez powodu, brak zachwytu, brak złości, ciekawości, nieprzejęty. Po prostu wybałuszone. Starszy. Wyższy. Poznałem po samych oczach i chudym kościstym policzku. Wolałbym, aby się zaśmiał. Wolałbym, aby powiedział: spójrz na mnie, to ja jestem twoim złoczyńcą. Albo zakwilił i błagał: spójrz na mnie, swoją prawdziwą ofiarę. Ale on tylko patrzył. Patrzyłem mu w oczy i zobaczyłem martwe oczy Mossiego, patrzące bez ustanku, niewidzące nic. Wyskoczył z gęstwiny trawy w tej samej chwili, gdy mój topór wyszedł mu naprzeciw. Natarłem prosto w zarośla, sądząc, że zwierzęcy charkot wyszedł nie z moich ust. Miotałem się wśród gałęzi, przedzierałem przez listowie w kierunku ciemniejszego buszu. Nic. Upiór ssący cyca krwiopijcy, ciągle chichoczący jak dziecko. Zniknął.

Nade mną jęknął Nyka. Wyszedłem z buszu i nadziałem się na nogorękę Sasabonsama kopiącą mnie w twarz.

Gruchnąłem potylicą i plecami w ziemię. Przekręciłem się na kolana i zerwałem na nogi. Zatrzepotał skrzydłami, ale zahaczały o drzewa, więc opadł na stopy i łypnął na mnie. Sasabonsam. Nigdy nie przestałem patrzeć na niego. Duże białe ślepia, uszy od szakala, ostre dolne zęby wystające z paszczy jak u guźca. Całe ciało porośnięte czarną szczeciną z wyjątkiem nagiego bladego torsu i różowych sutków, naszyjnik z kości słoniowej i przepaska biodrowa, która wzbudziła mój śmiech. Warknął.

– Twój zapach, ja pamiętam – powiedział. – Idę za nim.

– Milcz.

– Przyszedłem za nim.

– Ani słowa.

– Ty tam nie byłeś. To je zjadłem. Te małe, one dziwnie smakują.

Zaatakowałem, robiąc unik przed ciosem skrzydła. Potem potoczyłem się do jego nóg i odrąbałem lewą oboma toporami. Podskoczył, skrzecząc jak kruk.

Zawsze celujesz w stopy, powiedział głos, który zabrzmiał jak mój. Topory ledwo go drasnęły. Chciał mnie pacnąć ręką, ale się uchyliłem, dopadłem do jego kolana i zamachnąłem się toporem w głowę, po czym zaraz odskoczyłem. Tępa krawędź trafiła go w kość policzkową i syknął, a potem mnie grzmotnął. Ręka chybiła, lecz szpony wycięły mi cztery pręgi na piersi. Padłem na kolano i wtedy mnie kopnął. Walnąłem plecami o pień i straciłem dech. Oczy się wywróciły. Nie było już nic. Zaskrobałem podbródkiem o pierś, zobaczyłem swoje sutki i brzuch. Głowa stała się ciężka, oczy przestawały widzieć. Nyka jęknął i napiął ręce. Znowu walnąłem podbródkiem w pierś. Podniosłem wzrok prosto na pięść Sasabonsama.

– Sześć ich za jednego ciebie – powiedział. – Zobacz, jaką masz wartość.

Dodał coś, ale z mojego prawego ucha sączyła się krew i nie usłyszałem. Zamachnął się pięścią, ale schyliłem głowę i uderzył w pień. Zawył i pacnął mnie w twarz. Wyplułem krew wprost na nogi, w których nie miałem władzy.

– Gdzie moje czopory, pytało to małe. – Złapał mnie za gardło. – Ten mały jak kula, ten mały próbował się odtoczyć. Chcesz wiedzieć, jak daleko uciekł? To on mówił: mój ojciec wróci i cię zabije. Zarąbie cię czoporami.

– Kosu.

– Ojciec, tak o tobie mówił. Ojciec? A ty nie toczysz się jak kula. I nie masz już czoporów. Patrz, jaką masz wartość.

– Kosu. Ko…

Znowu mnie uderzył pięścią. Wyplułem dwa zęby. Chwycił moją głowę w długie palce i pociągnął mnie do góry.

Toporami, mówił, że ojciec porąbie go toporami.

– Nie krzyczał ani razu. A poszedł do paszczy w wielu kęsach.

– Kosu.

Pomiędzy jego śmierdzącymi grubymi paluchami dostrzegałem smugi światła. Szpony podrapały mi szyję.

– Jak się zabrałem za gnaty w plecach, to też nie zapłakał. I jak umierał. Ugryzłem głowę z tyłu i wyssałem…

– Pierdolić bogów.

Rzucił mną i w locie spowił mnie spokój, który prysł, gdy gruchnąłem w gałęzie i liście. Chwycił mnie za kostkę, ale odtrąciłem go kopniakiem. Zarechotał i znów złapał mnie za nogę, rechotał bez przerwy, wyciągając mnie z zarośli. Walnąłem głową i plecami w gołą ziemię i przesuwałem się dalej, ciągnięty.

– Ty głupiec i ona głupiec. Ta w złotym i czerwonym, tylko siedzi, nic nie robi. Widziałem ją przez okno. Tylko ja znam chłopca. Przychodzę po niego do dziwnego miejsca i idzie za mną. Nawet mnie przyzywa, bo biały nauczył go przyzywania. Ja nigdy chcieć chłopca nie chciałem, bo on nie chce mnie, chciał błyskawicy, ale mnie wezwał, to przyszedłem po niego i odlecieliśmy, a on do mnie: słyszałem matkę, jak mówiła o wilku i jego wilczętach i próbowała go wziąć na swój żołd, a tamte mieszkają na drzewie małpiego chleba, a ja do chłopca, że to właśnie ten zabił mojego brata, słyszę, powiedział chłopiec, weź mnie na grzbiet i polećmy, zabiorę cię tam, i mnie zabrał.

Milcz, rzekłem, ale słowo skonało, nim wyszło z ust. Nie wiem, dokąd mnie ciągnął, szorowałem plecami po trawie i ziemi, i po kamieniach w wodzie, a potem moja głowa się zanurzyła, bo Sasabonsam wlókł mnie

przez rzekę, uderzyłem czaszką o głaz, pociemniało wszystko. Gdy się ocknąłem, wciąż znajdowałem się pod wodą, kaszlałem i dusiłem się, aż wreszcie wyciągnął mnie na trawę pod drzewami.

– Ten biały, śliczny, ten, który jak go ścisnąłem aż do pokazania się krwi pod skórą, on to smakowity, on walczył, walczył lepiej niż ty. Nauczył się od tego z dwoma mieczami. Więc oni dwaj, ja wyrwałem drzwi, a oni dwaj zwiesili się z drzewa i powiedzieli, że będą ze mną walczyć. I skoczyli na mnie z ostrzami i ten od dwóch mieczy rzucił jeden białoskóremu, i on na mnie napadł, ten chłopiec, skoczył, ten chłopiec, uderzył w głowę i zabolało, a mężczyzna ciął mnie w bok, o tutaj, ostrze weszło, ale zatrzymało się na mojej klatce piersiowej, o tutaj, grzmotnąłem go pięścią i padł, i białoskóry nadbiegł do mnie, przychylił się, jak chciałem go pacnąć skrzydłem, i złapał mnie za skrzydło i przebił na wylot, o tutaj, widzisz, ciągle dziura, to ten białoskóry zrobił, to go złapałem tą stopą, i drugą tak samo, i rzuciłem go na drzewo, huknął w gałąź i ucichł. Tak, tak. A ten, który kula, przyturlał się od tyłu i zbił mnie z nóg. Upadłem, a on się śmieje, ale capnąłem go, nim zdążył uciec, ugryzłem i wyrwałem mu kawał mięsa, słodziutkie, słodziutkie mięso, słodziutkie, to ugryzłem znowu i znowu i ten mężczyzna z włosami w krzyk. Posadził kilku na konia i klepnął go w zad. Odjechali, a on do mnie w gniewie, a ja lubię gniew, i walczył, walczył, walczył, ciął i dźgał, i natarł na moje oko, ale złapałem miecz i wtedy białoskóry dźgnął mnie w samo dupsko, i wtedy ja furia, tak, furia.

Przeciągnął mnie z jasnej trawy w ciemną, a w górze zniknęło światło. Kopnąłem go w rękę, więc mnie poderwał i cisnął o ziemię. Krew znów popłynęła z ucha.

– Złapałem białoskórego i zacząłem miażdżyć, miażdżyć, miażdżyć, aż tylko sok z niego został. A ten długowłosy wtedy biadolił i biadolił, wył jak pies, ale walczył jak wojownik, on i jego dwa miecze, lepszy od ciebie

z jednym toporem. Zastygnij, to też cię zmiażdżę, mówię do niego, ale on robił tak i tak, jak mucha, i ciął mnie przez plecy, rozorał skórę! Nikt nie umie rozciąć skóry i wiele księżyców nie widziałem swojej krwi, potem zrobił wywrotkę, lepiej niż ty, i dźgnął mnie w brzuch, i popatrzył na mnie, to ja zastygłem i dałem się obejrzeć, bo niejeden człowiek myśli, że coś tam jest w środku, a tam w moim środku tylko mięso. Odepchnąłem go tą ręką. – Puścił mnie, żeby pokazać łapsko. – I tą ręką wyciągnąłem miecz. Ja miecza użyć dobrze nie umiem, ale on sięgnął po nóż, to mu przebiłem pierś, jakbym palec wbił w błoto. Pokręciłem mieczem i poderżnąłem mu gardło. Wtedy wskoczyłem na niego i najpierw zjadłem dobrą część. Och, brzuch, potem część czerwoną, och, tłuszcz, jak u świni. Myślą, że mój brat lubił mięso, ja lubię krew, ale przecież ja jem wszystko.

Pragnąłem odzyskać głos i ubłagać go, aby przestał, pragnąłem, by miał uszy, którymi usłyszy.

– Potem zabrałem się za resztę, tych, co uciekli, a jakże. Jak mieli odjechać daleko, skoro ja szybszy od konia? Najpierw to dwugłowe było.

– Ich było dwa, ty skurwysynu. Dwa.

– Ta druga głowa się rozbeczała o brata. A wiesz, co powiedziałem strusiowi?

– Niguli miał na imię. Niguli.

– Dziwnie smakował. Czym go karmiłeś? Płakał. Płacz, chłopcze, płacz, ja do niego, nie po ciebie przyszedłem, to on miał być zjedzony, nie ty.

– Nie.

– Kłamstwo, kłamstwo. Kłamię. Ja bym ciebie zjadł wpierw, a ich potem. Oni cię nazywają ojciec?

– Byłem…

– Przecież żadnego nie spłodziłeś. I żadnego nie strzegłeś. Otworzyłeś zagrodę, wpuściłeś wilka.

– To Lampart. To Lampart zabił twojego brata.

Znów chwycił mnie za gardło.

– Tej z ducha zrobionej nie mogłem ucapić. Ona jak kurz na wietrze.

Sasabonsam cisnął mną o ziemię. Ciemność mnie spowiła za dnia. Żądza mordu, tęsknota za śmiercią, one w głowie są tej samej barwy, a drzwi do jednej wiodą do drugiej. Chciałem powiedzieć, że z zabicia mnie nie będzie miał uciechy, że przewędrowałem te krainy z północy na południe, przewędrowałem przez dwa królestwa na wojnie, przewędrowałem wśród strzał i ognia, wśród śmiertelnych zakusów ludzi i nie dbałem o nic, więc zabij mnie, zabij więc, zabij szybko albo powoli, palec, stopa, łydka, kolano, wyżej, nie dbam o to. Ale powiedziałem tylko:

– Nie znasz żadnego griota.

Sasabonsam położył uszy po sobie i ściągnął brwi. Przyczłapał do mnie. Stanął, leżałem między jego nogami. Rozpostarł skrzydła. Pochylił się, przysunął twarz do mojej twarzy, oko w oko. Zgniłe mięso utkwiło mu w zębach.

– Wiem, jak smakuje mały chłopiec – powiedział.

Chwyciłem swoje dwa noże i wbiłem mu w oczy.

Oślepiła mnie tryskająca krew. Zaryczał jak dziesięć grzywiastych lwów, padł na prawe skrzydło, aż kość pękła. Wył jeszcze głośniej i miotał się, aż wreszcie wymacał noże w swojej twarzy i wyszarpnął oba, skowycząc przy każdym ruchu. Wbiegł na drzewo, runął na grzbiet, zerwał się, pognał dalej, wbiegł na drugie. Chwyciłem kij i rzuciłem go za nim. Podskoczył, odwinął się, wbiegł na trzecie drzewo. Próbował trzepotać skrzydłami, ale tylko lewe było posłuszne. Prawe zwisało, złamane, wiotkie. Biegał między drzewami, a ja szukałem noży. Znów zawył, deptał ziemię, grzebał w trawie i piachu, tropiąc mnie na oślep, zdyszany wyrywał kępy i grudy i ciągle skowyczał i wył. Potem dotknął oczu i ryknął.

Znalazłem jeden nóż. Spojrzałem na szyję Sasabonsama. Na bladą pierś i różowe sutki. Na jego strach przed wszystkim dokoła. Przechylił się na prawe skrzydło i znów je złamał.

Runął na plecy.

Wstałem i zaraz opadłem na kolano. Dźwignąłem się i pokuśtykałem.

Z powrotem przez gąszcz, ze wzgórza, za rzekę. Sasabonsam wciąż skowyczał, zawodził, biadolił. A potem ucichł.

Ja z dawnych dni próbowałbym dociec, dlaczego jeden i drugi los był dla mnie bez różnicy. Nie dbałem o nic. Nyka nadal wisiał na drzewie, nadal próbował się uwolnić. Pod tym samym drzewem, w zaroślach, odnalazłem jeden topór, a kilka kroków dalej drugi. Najpierw go usłyszałem, dopiero potem zobaczyłem, pełzał na czworakach po pniu jak przedtem biały pająk, chciał dotrzeć do Nyki, do słodkiego miejsca, z którego wypije krew. Chłopiec. Rzuciłem toporem, ale chybiłem przez ból w nodze, ostrze wbiło się na szerokość dłoni od jego twarzy. Wgramolił się szybko między gałęzie. Drugim toporem rzuciłem z prawej strony Nyki, aby przeciąć pnącza krępujące jego rękę. Wyrwał ją swobodnie. Myślałem, że coś powie. I że nie może powiedzieć niczego, co pragnąłbym usłyszeć. Opadłem na kolano. A potem zawołał mnie po imieniu i usłyszałem trzepot skrzydeł.

Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem Sasabonsama. Wymachiwał rękami w powietrzu i skrobał nimi ziemię. Pociągał nosem. Wywąchał mnie tak, jak ja wywąchuję wszystkich. Odskoczyłem, potknąłem się o zwalony konar i upadłem.

Potem były już tylko grzmoty i pioruny, jeden, zaraz trzy, uderzały bez końca w Sasabonsama, biły, rozchodziły się po całym ciele, biegły do ust i uszu, wychodziły z oczu i ust jako ogień, soki i dym i wtedy wydał coś z siebie, nie krzyk ani pisk, ani wycie. Zakwilił. Włosy i skóra zajęły się płomieniem, zachwiał się, padł na kolano, a błyskawica wciąż w niego biła,

grzmot w niego grzmocił i w końcu runął, runął Sasabonsam, płonąc żywym ogniem, który zaraz zgasł.

Nyka spadł z drzewa.

Mówił coś do mnie, ale nie słuchałem. Chwyciłem topór i podszedłem do zwęglonego truchła Sasabonsama. Wziąłem zamach i rąbnąłem w szyję. Wyrwałem ostrze i rąbnąłem, wyrwałem i rąbnąłem, aż w końcu przedarłem się przez skórę, przez kość, aż do samej ziemi. Padłem na kolana, nie wiedziałem, że krzyczę, aż w końcu Nyka dotknął mego ramienia. Odepchnąłem go, o mało nie wznosząc na niego topora.

– Zabierz ode mnie swoje wstrętne łapska – powiedziałem.

Cofnął się, unosząc ramiona.

– Uratowałem ci życie – powiedział.

– I życie mi odebrałeś. Niewiele z niego było, ale je odebrałeś.

Niedaleko trupa Sasabonsama wykopałem gołymi rękami dół w ziemi, włożyłem do niego naszyjnik z zębów moich dzieci, po czym zasypałem. Poklepałem ziemię powoli, aż stała się równa, lecz nie chciałem odejść, wciąż klepałem i głaskałem, aż poczułem, jakbym kształtował coś pięknego.

– Ja nie pogrzebałem Nsaki. Gdy się obudziłem i zobaczyłem ją martwą, wiedziałem, że muszę umykać. Bo byłem odmieniony, rozumiesz. Odmieniony byłem.

– Nie – zaprzeczyłem. – Bo byłeś tchórzem.

– Bo zasnąłem na długo, a gdy się obudziłem, miałem białą skórę i skrzydła.

– Bo jesteś tchórzem bez kości, który potrafi tylko mamić. Domyślam się, że to ona stoczyła całą walkę. Jak się od niej uwolniłeś?

– Od pamięci?

– Od winy.

Roześmiał się.

– Chcesz usłyszeć, że się obwiniam o to, że cię zdradziłem.

– Nie chcę usłyszeć niczego – odparłem.

– Przecież zapytałeś.

– A ty udzieliłeś odpowiedzi. Nie musiałeś się uwalniać od winy, bo żadnej nie czułeś. Nie jesteś człowiekiem, poznałem cię, gdy zobaczyłem twoją zrzuconą skórę. Udajesz, że cię swędzi, ale zrzucanie skóry to dla ciebie nic nowego.

– To prawda – przyznał – nawet gdy byłem człowiekiem, bliżej mi było do węża albo jaszczura, a nawet ptaka.

– Dlaczego mnie zdradziłeś?

– A więc jednak zależy ci na moim poczuciu winy.

– Pierdolić bogów i twoje poczucie winy. Chcę usłyszeć opowieść.

– Opowieść? Opowieść jest taka, mój przyjacielu, że kiedy się napatoczyłeś, byłem opętany samą pychą tego. Pragniesz więcej? Przyczyny? Tego, w jaki sposób wmówiłem sobie, że tak będzie sprawiedliwie? Może w grę wchodził pieniądz albo kauri? Prawda taka, że najadłem się do syta tej pychy. Myślisz o tym dniu, gdy cię zdradziłem? To pomyśl o tych wszystkich dniach, kiedy cię nie zdradziłem. Bultundżi tropiły mnie przez dziesięć i trzy księżyce. To było dziesięć i trzy księżyce, kiedy myślałem o tobie, nie o sobie.

– Chcesz teraz pochwały?

– Nie chcę niczego.

Ruszył przez las, cały teraz niebieski od światła nocy. Gdy zapadał zmrok, jego skóra i pióra zaczynały się jarzyć. Nie wiedziałem, dokąd idzie, i nasłuchiwałem odgłosów rzeki, ale nie wychwyciłem niczego.

– Kiedy Aesi mnie uwolnił, opowiedział mi o nowych czasach – powiedziałem. – O tym, że nadchodzi większa wojna, tak pewna jak ta, która toczyła się teraz, wojna niszcząca wszystko. A sednem tej wojny ten chłopiec. Ten odrażający, zboczony stwór.

– A ty darowałeś mu życie – rzekł Nyka.

– To były tylko przypuszczenia. Przesądziło drgnienie serca, nie głowa. Coś się nie zgadzało, zobaczyłem to tak samo wyraźnie, jak zobaczyłem jego. Szalał od tego. Szalał za tym. Za krwią Ipundulu. Wtedy to zobaczyłem.

– I darowałeś mu życie.

– Nie wiedziałem.

– Chłopcu, który przyprowadził Sasabonsama do twojego domu, żeby…

– Mówię, że nie wiedziałem.

Zrobiliśmy kolejnych kilka kroków.

– Nie pomogę ci się uwolnić – rzekł.

– Od czego?

– Od poczucia winy.

– Przywołaj chłopca, żebym go zabił – powiedziałem.

– Jak ma na imię? Bo nie wiem.

– Zawołaj, chłopcze, albo trzaśnij błyskawicą z sutków, dupy albo skądkolwiek.

Nyka roześmiał się głośno. Odparł, że nie musi wołać, bo wie, gdzie go znaleźć. Szliśmy przez busz, pod drzewami, aż dotarliśmy do polany prowadzącej nad jezioro. Wydawało mi się, że to Białe Jezioro, ale pewności nie miałem. Wyglądało jak Białe Jezioro, z sadzawką na końcu, niezbyt dużą, za to głęboką. Patrzyli na nas, jakby spodziewali się naszego nadejścia. Lampart, chłopiec i, z pochodnią oraz twarzą i piersiami ukrytymi pod

warstwą gliny kaolinowej, w czapce z piór i kamyków, ta sama kobieta co na pagórku wcześniej. Sogolon.

Jej widok po drugiej stronie jeziora nie wstrząsnął mną. Podobnie jak nie wstrząsnęło mną to, że jej wtedy nie rozpoznałem, bo być może, gdy kobiety starzeją się w tej krainie, stają się tą samą kobietą. Być może nosiła na sobie kaolin, aby ukryć straszliwe blizny po oparzeniach, ale ze swego miejsca widziałem nos, usta, nawet uszy. Zastanawiałem się, jak ocalała, choć nie byłem zdziwiony, że tego dokonała. Lampart tymczasem, biały od kurzu, stał kilka kroków za Sogolon, a chłopiec pomiędzy nimi. Chłopiec popatrzył na nich, popatrzył na mnie. Dostrzegł Nykę i odwrócił się, aby uciec, ale Sogolon chwyciła go za gęste włosy i powściągnęła.

– Czerwony wilk – powiedziała. – Nie, nie, już nie czerwony. Wilk.

Milczałem. Patrzyłem na Lamparta. Z powrotem w swojej zbroi, jak człowiek oddany nie swojej sprawie. Nawet nie najemnik, zwykły żołnierz. Powiedziałem sobie w duchu, że nie chcę wiedzieć, co zaszło w jego sercu i je zdobyło, dlaczego ten człowiek, który nie żył dla nikogo ani niczego, nagle wykonał zwrot, aby walczyć dla zachcianek królów. I ich matek. Spójrz na siebie, którego dawniej zwaliśmy brawurowym i mówiliśmy to z miłością i zawiścią. Jak nisko możesz zejść, niżej niż hańba, szyja wisi ci u ramienia, jakbyś się garbił w zbroi. Chłopiec wciąż się szarpał, próbując wyrwać się, więc Sogolon pacnęła go w policzek. Zrobił to, co widziałem wcześniej: zapiszczał, zaskomlał, ale bez uczucia na twarzy. Podrósł, był wysoki prawie jak Sogolon, lecz w półmroku niewiele więcej dostrzegałem. Wyglądał chudo, jak chłopcy, którzy rosną, ale nie stają się mężczyznami. Gładki, tylko w przepasce biodrowej, cienkie i długie nogi i ręce. Nie wyglądał na króla ani nawet przyszłego króla. Z wywieszonym językiem wpatrywał się w Nykę. Ścisnąłem topór w ręku.

– *Eddżirim ebib ekuum eczing otamangang na ane-iban* – powiedziała Sogolon. – Gdy zapada ciemność, i wroga bierzesz w objęcia.

– Przetłumaczyłaś dla mnie czy dla niego?

– Zdradzisz sprawę, za którą walczyłeś tak długo?

– Popatrz na siebie, Wiedźmo Księżyca. Nawet nie wyglądasz na trzysta lat. Ale w końcu *gunnugun ki ku leue*. Jak udało ci się przeżyć w tych drzwiach?

– Zdradzasz to, o co walczyłeś tak długo – powtórzyła Sogolon.

– Zwracasz się do mnie czy do Lamparta? – odparłem.

Spojrzał wprost na mnie. Sogolon i chłopiec stali na skraju wody i nawet w półświetle widziałem ich odbicia. Chłopiec wyglądał jak chłopiec, pochodnia zaokrąglała jego dużą głowę. Sogolon wyglądała jak cień. Żadnej gliny kaolinowej, czarniejsza niż wszystko, co ciemne dokoła, nawet jej głowa, bez piór i włosów.

– Hej, Lamparcie, czy nikt już ci nie pozostał? – spytałem. – Nikt, kogo możesz zawieść?

Nie odrzekł, ale wyciągnął miecz. Wciąż patrzyłem na czarną postać widoczną na wodzie, z pochodnią w ręku. Woda była nieruchoma, spokojna, granatowa jak nadchodząca noc. W tafli zobaczyłem Lamparta biegnącego do chłopca. Podniosłem wzrok w chwili, gdy zamachnął się mieczem na jego głowę. Sogolon nawet się nie odwróciła, wzbiła tylko w okamgnieniu mocny wiatr, który przetoczył się po Lamparcie, wyrzucił go w powietrze i grzmotnął nim o drzewo. Tuż za nim jego własny miecz, poderwany przez wiatr, śmignął jak piorun wprost w jego pierś i przyszpilił go do pnia. Głowa obwisła.

Wrzasnąłem i rzuciłem toporem w Wiedźmę Księżyca. Pofrunął na przekór wiatrowi, ale uchyliła się, unikając ostrza, lecz trzonek uderzył ją w twarz i zamigotała cała jej postać. Glina zniknęła, pojawiła się, zniknęła,

znowu pojawiła, zniknęła. Nyka i ja rzuciliśmy się biegiem dokoła wody. Sogolon była wypaloną łupiną, skóra czarna, palce stopione razem, otwory zamiast oczu i ust, lecz zaraz potem kaolin znów się wyłonił, skóra, czapka z piórami, jej zaklęcie odparło napór. Wciąż trzymała chłopca. Lampart zastygł.

Chłopiec wybuchnął śmiechem, najpierw chichotał, a potem jego głośny rechot odbijał się od wody. Sogolon uderzyła go w twarz, lecz śmiał się dalej. Znów go uderzyła, ale pochwycił jej rękę w zęby i ugryzł mocno. Pchnęła go, lecz nie chciał puścić. Uderzyła go trzeci raz, na próżno. Nie puszczał. Kąsał tak boleśnie, że nie mogła panować nad swoim wiatrem, więc jej mała burza osłabła do podmuchów, a potem ucichła.

Ziemia zadrżała i zadudniła, jakby miała się rozpęknąć. Fala wzniosła się z jeziora i roztrzaskała się o brzeg, wywracając Sogolon i chłopca. Wiedźma zaczęła wymachiwać rękami, aby wzbudzić wicher, lecz ziemia się rozwarła i wessała ją po szyję, zacisnęła dokoła. Krzyczała i klęła, próbowała się poruszyć, ale nie mogła.

Oto pojawił się Aesi, stał na brzegu, jakby był tam zawsze. Zastygł naprzeciw chłopca, przyglądał mu się, jak człowiek przygląda się białej żyrafie albo czerwonemu wilkowi. Przede wszystkim z ciekawością. Chłopiec patrzył na niego tak samo.

– Jak ktokolwiek mógł pomyśleć, że możesz być królem?

Chłopiec syknął. Kulił się przed Aesim jak dźgnięty wąż, wił się i kręcił, jakby najchętniej odpełzł po ziemi.

– Zniszczyłam cię – zwróciła się do Aesiego Sogolon.

– Opóźniłaś mnie tylko.

Wyminął ją i chwycił chłopca za ucho.

– Przestań! – krzyknęła. – Wiesz, że jest prawdziwym królem.

– Prawdziwym? Pragniesz przywrócenia matriarchatu, czyż nie? Linię królów wywodzącą się z królewskiej siostry, a nie z Króla? Ty, Wiedźmo Księżyca, która twierdzisz, że żyjesz trzysta lat, nie wiesz nic o tej linii, którą poprzysięgłaś chronić, o tej wielkiej krzywdzie we wszystkich krainach i światach, którą chcesz naprawić.

– U ciebie tylko okrągłe słowo w służbie kłamstwa.

– Kłamstwem jest myśleć, że to obrzydlistwo może być królem. Przecież on mówić nawet nie potrafi.

– Powiedział Sasabonsanowi, gdzie żyję – odparłem, podnosząc topór.

– Skamle i skowyczy jak pies z buszu – odrzekł Aesi. – Ssie krew z matczynej piersi, nie jest nawet wampirem, lecz jego podróbką. A jednak czuję litość do tego dziecka. Nie miało wpływu na to wszystko.

– Więc na swoją śmierć też nie powinno mieć wpływu – powiedziałem.

– Nie! – krzyknęła Sogolon.

Aesi przemówił:

– Miałaś jedno zadanie. I dobrze się z niego wywiązałaś. Jest hańba. Spójrz na swoje poświęcenie. Spójrz na swoje zwęglone oblicze, popaloną skórę, palce stopione w płetwę. A wszystko to dla tego chłopca. Wszystko dla mitu o królewskiej linii siostrzanej. Czy królewska siostra opowiedziała ci o naszych obyczajach? Że te siostry rodzą królów, bo ruchają się ze swoimi ojcami? Że każda matka króla była równocześnie jego siostrą? Że dlatego właśnie obłąkani królowie Południa są zawsze obłąkani? Ta sama krew krąży w ich żyłach rok po roku, stulecie po stuleciu. Nawet najdziksze zwierzęta tak nie postępują. Oto porządek, który kobieta zwana Sogolon pragnie zaprowadzić. Ty, trzystuletnia.

– Jesteś samo zło.

– A ty jesteś samo prostactwo. Sogolon, ten najnowszy szalony król, mówimy, że jest najbardziej szalony, bo wszczął wojnę, której nie może

wygrać, bo pragnął rządzić wszystkimi królestwami. Szaleńcem może i jest, ale nie głupcem. Wiedźmo, nadchodzi niebezpieczeństwo, ale nie z Południa ani Północy, nawet nie ze Wschodu ani Zachodu. Groźba ognia i choroby, śmierci i rozpadu idzie zza morza – wszelka starszyzna, kapłani fetyszowi, yeruuolo, dostrzegli ją. Ja widziałem trzecim okiem, ludzie czerwoni jak krew i biali jak piasek. Tylko jedno królestwo, królestwo zjednoczone, może się temu przeciwstawić, całe księżyce, lata i stulecia naporu. I tylko jeden król, i to nie władca szalony ani pokurczony krwiopijca z matką opętaną żądzą władzy, bo żaden taki nie potrafi podbijać, rządzić ani utrzymać królestwa w jedności. Ta królowa z Mueru, czy ona nie wie, dlaczego dom Akumów zakończył tę linię sukcesji? Mówił o tym przez całą noc. Nadchodziło niebezpieczeństwo, dął zły wiatr. A ten chłopiec, to małe obrzydlistwo, musi zostać zniszczony. Jesteś tylko życiem przeżytym w kłamstwie.

– W kłamstwie, kłamstwie, kłamstwie – powtórzył chłopiec i zachichotał.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego. Dotąd nigdy nie słyszałem, aby przemówił. Wciąż wił się i wyginał, dotykał swoich stóp, wiercił na ziemi, bo Aesi puścił jego ucho.

– Umrze dziś – obwieścił Aesi.

– Od mojego topora – dodałem.

– Nie – odparła Sogolon.

– W kłamstwie, kłamstwie, kłamstwie, cha, cha, cha – podśpiewywał chłopiec.

– W kłamstwie, kłamstwie, kłamstwie, cha, cha, cha – zawtórował Nyka.

Zapomniałe m o nim. Podszedł do chłopca i obaj powtarzali te słowa, aż ich głos zlał się w jeden. Stali naprzeciw siebie.

Chłopiec podbiegł do niego i padł mu w objęcia. Nyka chwycił go, zamknął w uścisku. Dziecko przytuliło się do piersi, zastygając, zagnież-

dżając się jak jagniątko. Nyka wzdrygnął się i odgadłem, że chłopiec go ugryzł. Dziecko ssało krew jak mleko matki. Nyka otoczył je ramionami. Zamachał skrzydłami, aż stopy oderwały się od ziemi. Wznosił się wyżej i wyżej i tym razem nie tonął, nie zapadał się, nie zanurzał pod ciężarem ani ze słabości. Znów zatrzepotał skrzydłami i wtedy piorun, biały i jaśniejszy od słońca, przeciął niebo i trafił w nich obu. Ziemia zatrzęsła się od grzmotu, zbyt głośnego, by ktokolwiek usłyszał krzyk chłopca. Piorun bił w nich uparcie, porażając obu. Nyka mocno trzymał wierzgającego i wrzeszczącego chłopca, aż długi piorun buchnął płomieniem, który rozlał się po nich i szybko zgasł, nie pozostawiając nic oprócz małego żaru, który zniknął w czerni.

– O, przeklęci królowie, o, przeklęci królowie! – zawodziła Sogolon.

Rozpaczała tak długo, że kiedy w końcu powściągnęła się, słychać było skomlenie. Poczułem swąd spalonego mięsa i czekałem, aż coś mnie dopadnie – nie spokój, nie zadowolenie, nie poczucie równowagi wskutek zemsty, ale coś, czego nie znałem. Wiedziałem, że na to czekam, i wiedziałem, że to nie nadejdzie. Lampart zakaszlał.

– Lamparcie!

Podbiegłem do niego, a on pokiwał głową jak pijak. Pojąłem, że nie ma w nim krwi. Wyciągnąłem miecz z jego piersi i wtedy stęknął. Oderwał się od pnia i złapałem go na ręce, i obaj padliśmy na ziemię. Przyłożyłem dłoń do jego piersi. Zawsze chciał umrzeć jako lampart, ale nie potrafiłem sobie teraz wyobrazić jego przemiany. Chwycił moją rękę i przysunął ją sobie do twarzy.

– Twój kłopot to, że nigdy nie byłeś niczym więcej niż kiepskim łucznikiem – powiedział. – Dlatego taki zły los nam przypadł, tobie i mnie.

Podtrzymywałem mu głowę i głaskałem go po karku, jak zrobiłbym to z kotem w nadziei, że przyniosę ulgę. Wciąż starał się zmienić postać. Czu-

łem to pod jego skórą. Czoło mu pogrubiało, wyrosły kocie wąsy i kły, oczy lśniły w mroku, ale dalej nie zaszedł.

– Zamieńmy się na ciała w następnym życiu – powiedziałem.

– Nie cierpisz surowego mięsa i nie zniósłbyś nawet małego palca w dupie – odparł i się roześmiał, ale wesołość przeszła w kaszel, od którego zadygotał, a między moimi palcami popłynęła krew z rany. – Nie powinienem był wtedy po ciebie przychodzić. Zabierać cię z tego twojego drzewa.

Charczał.

– Przyszedłeś, bo wiedziałeś, że pójdę. Oto słowa prawdy. Czułem miłość i czułem nudę, jedno i drugie w tym samym czasie, dwóch władców w tym samym królestwie. Dostawałem obłędu.

– Namówiłem cię do odejścia. Pamiętasz, co powiedziałem? *Nkita ghara igbo udża a guo ya aha ozo*.

– Jeśli wilk nie zechce wyć, ludzie nadadzą mu inne miano.

– Skłamałem. Bo to znaczy: jeśli pies nie zechce szczekać.

Zaśmiałem się, on dał radę tylko spróbować.

– Odszedłem, bo tego chciałem.

– Wiedziałem, że to zrobisz. W Fasisi, kiedy spytali, jak odnajdziesz tego człowieka? On… nie żyje od dwudziestu księżyców. Powiedziałem… Powiedziałem… – Zakaszlał. – Powiedziałem: znam jednego tropiciela, on nie odmawia dobrej zabawy. Mówi, że pracuje dla pieniądza, ale dla niego zapłatą jest praca, choć nigdy się do tego nie przyzna.

– Nie powinienem był odchodzić.

– Nie, nie powinieneś. Co za życie prowadzimy. Poczucie winy, bośmy czegoś nie powinni byli zrobić, żal, bośmy powinni. Tęsknię za byciem lampartem. Tęsknię za niezaznaniem powinności.

– A teraz umierasz.

– Lamparty nie znają śmierci. Nigdy o niej nie myślą, bo to nic do myślenia. Dlaczego więc to robimy, Tropicielu? Dlaczego myślimy o niczym?

– Nie wiem. Bo musimy w coś wierzyć.

– Pewien człowiek, którego znałem, mówił mi, że nie wierzy w wierzenie – odparł. Zaśmiał się i zakaszlał.

– Pewien człowiek, którego znałem, mówił mi, że nikt nikogo nie kocha.

– Ci dwaj to tylko głupcy. Tylko głu…

Jego głowa opadła w moich dłoniach.

Niech nie zaznają spokoju, kocie. Znajdź dobrą zabawę w zaświatach, aż zawstydzisz władców tej krainy. Pomyślałem to, ale zachowałem milczenie. Był pierwszym, o którym mogłem powiedzieć, że go kocham, choć nie był pierwszym, któremu w oczy to powiedziałem.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przestanę myśleć o tych latach. Wiedziałem, że nie przestanę, bo musiałem znaleźć sens albo opowieść, albo choćby przyczynę wszystkiego, tak jak się to dzieje przy wysłuchiwaniu wspaniałych historii. Historii o ambicji i misji do wypełnienia. Kiedy to oddaliśmy się bez reszty odnalezieniu chłopca dla sprawy, która okazała się fałszywa, dla ludzi, którzy okazali się fałszywi.

Może tak kończą się wszystkie opowieści, te o prawdziwych ludziach, o rzeczywistych ciałach padających od ran i śmierci, z przelaną czerwoną krwią. Może dlatego wspaniałe historie opowiadane przez nas są tak inne. Bo my opowiadamy, by żyć, a taka historia wymaga celu, a taka historia nieuchronnie jest kłamstwem. Bo na końcu prawdziwej historii nie ma nic prócz marności.

Sogolon splunęła na ziemię.

– Pragnąłbym, aby moje oczy nigdy nie ujrzały twojej twarzy – powiedziałem.

– Ja też pragnęłabym, żeby moje oko mnie nie widziało.

Podniosłem miecz Lamparta. Mogłem sprowadzić ostrze wprost na jej głowę, rozpłatać czaszkę na dwoje, jakbym rozkrajał melona.

– Pragniesz mnie zabić. Lepiej się pośpiesz i zrób to. Bo ja żyję dobre…

– Pierdolić bogów i twoją gębę, Sogolon. Twoja królowa nie mogła nawet przypomnieć sobie twojego imienia, kiedy jej powiedziałem, że poległaś. Poza tym, jeśli cię zabiję, kto wyśle wieści do siostry Króla, że jej mały wąż nie żyje? Co będzie teraz z naszą drużyną, wiedźmo? Lampart powinien widzieć tę, która go zabiła, tuż obok siebie w zaświatach. Bogowie będą się śmiać, prawda?

– Nie ma bogów. Aesi ci nie mówił? Nawet w tej chwili masz tak ciasny łeb, że nie widzisz, co naprawdę się dzieje.

– Prawda i ty nigdy nie mieszkałyście pod jednym dachem. Jesteśmy u kresu tej opowieści, ty i ja.

– To kat bogów!

– Jeszcze coś nowego? Jesteśmy u końca opowieści, Wiedźmo Księżyca. Tym nowym to poczęstuj pierwszą wygłodniałą bestię, która przyjdzie zeżreć ci twarz.

Sogolon przełknęła ślinę.

– Przetrwanie zawsze było twoją jedyną umiejętnością – powiedziałem.

– Daj pić, wilczku. Daj pić!

Popatrzyłem na jej głowę podobną do czarnego kamienia na ziemi, kiwającą się na boki, usiłującą się dźwignąć. Szukałem topora, ale nie mogłem go znaleźć. Noże przepadły już dawno. Ich utrata przywiodła mi na myśl utratę wszystkiego. Odcięcie się. Zdjąłem pochwę z pleców, ściągnąłem pas, zsunąłem koszulę i opaskę biodrową. Ruszyłem na północ, podążając za gwiazdą na prawo od księżyca. Pojawił się i zniknął, jak przelotna myśl, szybko. Aesi. Pojawił się tak, jakby zawsze tam był, tak samo znik-

nął, jakby nigdy go nie było. Hieny szykowały się, żeby mieć pożytek z Lamparta. Taki obyczaj buszu, poza tym tak właśnie by chciał.

Może nastała taka część, w której ludzie o szerszym umyśle i większym sercu niż moje patrzą, jak krokodyl pożera księżyc i jak świat wiruje wokół bogów nieba, zwłaszcza przepadłego boga słońca, bez względu na to, co ludzie porabiają w swoich krainach. I może z tego bierze się jakaś mądrość albo przynajmniej coś, co na nią wygląda. Ale ja chciałem tylko iść – nie dokądś, nie skądś, a tylko jak najdalej. Za plecami usłyszałem:

– Daj pić! Daj pić!

To krzyczała Sogolon.

Szedłem.

Wędrowałem całymi dniami po krainach, po ziemi grząskiej i suchej, aż dotarłem do Omororo, siedziby twojego obłąkanego Króla. Gdzie ludzie pochwycili mnie jako żebraka, wzięli za złodzieja, torturowali jako zdrajcę, a gdy siostra Króla usłyszała o śmierci swojego dziecka, uwięzili jako zabójcę.

A teraz spójrz na siebie i na mnie, w mieście-państwie Nigiki, gdzie żaden z nas dwóch nie pragnie być, ale żaden z nas dwóch nie ma dokąd pójść.

Wiem, że wysłuchałeś jej świadectw. Co więc zeznała potężna Sogolon?

Czy powiedziała: nie daj wiary żadnemu słowu, które wyszło z ust Tropiciela? Ani o chłopcu, ani o poszukiwaniach, o Kongorze, ani o Dolingo, ani o tym, kto umarł, a kto został ocalony, o dziewięciu i dziesięciu drzwiach, ani o tym jego tak zwanym przyjacielu, Lamparcie, ani o tym tak zwanym kochanku ze Wschodu, o imieniu Mossi, a czy to w ogóle było jego imię i czy w ogóle byli kochankami? Ani o bliskich jego sercu mingi, których nie spłodził? Czy powiedziała: nie ufaj żadnemu słowu, co wyszło z ust Wilczego Ślepia?

Powiedz mi.

PODZIĘKOWANIA

Pisarze nigdy nie tworzą świetnych historii. Historie znajdujemy. Dziękuję więc wszystkim, którzy pomogli mi dostroić ucho i odnaleźć światy poza słowami.

Za niebywałe wsparcie, przewodnictwo, szczodrość, a czasem nawet ślepą wiarę na moje podziękowania zasługują następujące osoby: moja wspaniała agentka Ellen Levine; mój równie wspaniały wydawca Jake Morrissey; Jeff Bennett, pisarz, researcher, asystent, świetny przyjaciel i wspaniały człowiek; Jynne Dilling Martin, Claire McGinnis, Geoffrey Kloske i wszyscy z Riverhead; Martha Kanya-Forstner, Kiara Kent i wszyscy z Doubleday Canada; Simon Prosser z Hamish Hamilton; Macalester College English Department; Robert McLean; wszyscy niestrudzeni badacze i uczeni wykonujący często niewdzięczną pracę detektywistyczną i archiwalną w dziedzinie historii i mitologii afrykańskiej, w tym niezłomni bibliotekarze z Timbuktu; Fab 5 Freddy za umieszczenie na Facebooku tego wpisu, który rozbudził milion pomysłów; i Pablo Camacho za absolutnie zachwycającą okładkę. Mojej Mamie wolno przeczytać całą książkę oprócz dwóch stron.

Marlon James